

# W Kraju Mahdiego 2

Karol May



calibre 0.9.27

Karol May

W kraju Mahdiego

Część druga

Mahdi



# Rozdział I

## Mahdi

Kordofan, ten bardzo szczególny kraj, był od dawna terytorium przejściowym dla szczepów wędrownych, toteż ludność jego była jeszcze przed zdobyciem go przez Mehmeda Ali niezwykle wymieszana, Wnieśli tu następnie Fellaci i Baszybożycy krew niemal wszystkich plemion małoazjatyckich. Grecy, Lewantyńczycy, Ormianie zmieszali się z czarnymi plemionami Południa, a wśród nich żyją znowu potomkowie nomadów czystej krwi, którzy przedostali się tu z Hedżasu.

Kordofan jest krajem sudańskim. Ponieważ słowo Sudan, używane już w wiekach średnich, słyszy się teraz tak często, nie zawadzi krótkie objaśnienie. Właściwa nazwa brzmi: Beled es Sudan. „Beled” znaczy kraj, „es” rodzajnik a „sudan” pochodzi od słowa „aswad” (czarny), w liczbie mnogiej „sud”. Beled es Sudan znaczy tedy kraj czarnych. Akcent kładzie się nie na pierwszej, jak to często się słyszy, lecz na ostatniej zgłosce.

Kraj ten tworzy w części północnej i zachodniej ogromną sawannę, podobną w suchej porze roku do pustyni, lecz pokrywającą się w porze deszczowej bujną roślinnością. Przez szerokie, trawiaste przestrzenie ciągną się tu i ówdzie lasy mimozowe. Na tej sawannie znajduje się około stu studzien, koło których skupiają się wsie. Wędrowne plemiona pasą tam w porze deszczowej swoje trzody, a z nastaniem pory suchej wędrują dalej.

Spotyka się tu dość często strusie i ptaki rozmaitego gatunku, dalej żyrafy i olbrzymie stada antylop.

W południowej części kraju grunt, bardziej gliniasty, zatrzymuje wodę i dlatego udaje się tu podziwu godna roślinność. Palmy, adanzonie i tamarindy pokrywają olbrzymie przestrzenie. Na żyjącą tu różnego gatunku zwierzynę polują lamparty i pantery, a nie rzadko słysząc głos lwa.

Wadi Melk zalicza się już do Kordofanu, a ponieważ znajdowaliśmy się między nim i Es Safih, mieliśmy już Nubię za sobą. Jak sobie czytelnik przypomni, odebrałem Ilb Asłowi porwane przez niego Beduinki i odprowadziłem je do ich ojczyzny do Bir es Serir pod eskortą dwudziestu żołnierzy. Krewni kobiet i dziewcząt przyjęli nas z radością, ugościli obficie i obdarzyli. A gdyśmy wyruszyli, towarzyszyli nam aż do końca drugiego dnia drogi. Potem staraliśmy się dostać najkrótszą drogą do Chartumu, gdzie miałem oddać żołnierzy ich komendantowi, reisowi effendinie.

Sawanna zieleniła się jeszcze, albowiem było to po upływie pory deszczowej. Gdybym nie siedział na hedżinie\*, lecz na koniu, łatwo mogłoby mi się wydać, że jadę przez amerykańską prerię. W suchej porze roku, gdy zeschną trawy, trzeba obierać drogę, wiodącą szlakiem studzien, ale teraz było to zbyteczne. Wędrówki od studni do studni zajmują dużo czasu, a z drugiej strony zwierzęta, mając teraz soczystą paszę, nie potrzebowały wody, dla nas zaś były wory napełnione. Mogliśmy tedy jechać prosto, dopóki zapas wody się nie wyczerpał i to nie zmuszało nas do szukania studni. W ten sposób dostaliśmy się o cały dzień wcześniej do Bir Aczan. Znaczy to „studnia spragniona”,

ponieważ jednak było jej aż nadto, by napęłnić wory na nowo. Studnia ta leżała na równinie, nie oznaczona ani kawałkiem skały ani drzewem. Nie byłbym jej znalazł z pewnością, gdyby mi nie dano rozumnego przewodnika, który miał nas zaprowadzić do Chartumu i znał okolicę równie dobrze, jak wady swojej długiej arabskiej flinty.

Ta flinta była jego największą boleścią, a jednak miłował ją widocznie nad wszelką miarę. Miał ją zawsze w ręku i chętnie o niej mówił. I teraz, kiedy siedział ze mną na krawędzi studni, trzymał ją w czułych objęciach, przesunął po niej przychylnym wzrokiem i powiedział:

— Widziałeś już kiedy taką robotę, effendi? Czy to nie jest godne podziwu? — ozwał się, pokazując mi kolbę.

Kolba ta była wykładana kością słoniową a rysunek tworzył figurę zupełnie dla mnie niezrozumiałą. Odpowiedziałem zatem:

— Ależ z pewnością, rzecz istotnie wspaniała! Ale co ten rysunek ma przedstawiać?

— Co ma przedstawiać? — zdziwił się. — No, proszę! Czyż nie widzisz tego sam?

Podsunał mi kolbę pod nos i zagadnął:

— No, przypatrz się dokładniej i powiedz, co to? Staralem się, jak mogłem, odgadnąć, ale daremnie. To nie było ni pismo ani obraz, to było — nic!

— Jesteś ślepy, — rzekł. — Oby Allah rozjaśnił oczy twoje! Ponieważ jednak jesteś chrześcijaninem, nic dziwnego, że nie poznajesz tej figury. Wierny muzułmanin zobaczy na pierwszy rzut oka, co to ma znaczyć. Czy nie poznajesz, że to głowa?

— Głowa? Ani śladu! Możliwy to chyba uważać za bezkształtną głowę hipopotama — zaprzeczyłem ruchem głowy.

— Nie? Allah, Wallah, Tallach! Toż to głowa samego proroka, mieszkającego we wszystkich niebiosach.

— Nie może być! Przecie tu nie widać żadnej głowy! Gdzież jest na przykład... nos?

— Nie ma go, effendi, prorok nie potrzebuje nosa jest on teraz najczystszym duchem i sam składa się z dziesięciu tysięcy zapachów.

— A gdzie są usta?

— Nie ma ich, ponieważ prorok ust nie potrzebuje; on mówi do nas przez koran.

— Oczu także nie widzę...

— Na co mu oczy, skoro nie potrzeba mu nic widzieć, gdyż w obliczu Allaha jest wszystko jasne.

— Uszu także szukam na próżno...

— Nie znajdziesz ich, bo ich nie ma. Prorok nie potrzebuje słyszeć naszych modłów, ponieważ sam przepisał nam dokładne ich słowa.

— W takim razie powinna być przynajmniej broda...

— Nie widać jej. Jakżeż można profanować ją kością słoniową, skoro przysięga na nią jest największą i najświętszą?

— Wobec tego powinno z głowy zostać samo czoło.

— Także nie. Ponieważ jest siedzibą ducha, a tego wyobrazić wcale nie można.

— A więc z głowy tutaj nic nie ma.

— Wcale nic — potwierdził — ale ja rozpoznaję każdy rys twarzy!

— Nie widząc w ogóle głowy? I niechże to kto pojmie!

— Tak, chrześcijanin tego nie pojmie. Wy wszyscy rażeni jesteście nieuleczalną ślepotą.

— Ty także, lecz ślepotą twoją jest bardziej jasnowidząca, aniżeli najzdrowsze oko. Ty widzisz głowę, której brak wszystkiego. Zresztą, nie wolno wam przedstawiać człowieka. O ileż karygodniejszym musi być portretowanie proroka.

— Artysta, który sporządził ten obraz, nie znał tego zakazu.

— Widział jednak proroka z pewnością.

— W duchu! Ta strzelba jest prastara, jak sam zapewne to spostrzegasz, a człowiek, który ją zrobił, żył pewnie przed prorokiem.

— Ależ to być nie może, przecie wówczas nie znano jeszcze prochu.

— Effendi, nie odbieraj mi szczęścia posiadania tak cennej pamiątki! Po co proch? Gdy Allah zechce, to można i bez prochu wystrzelić.

— Przyznaję, że Allah czyni cuda. Już tu są dwa. Pierwszy jest strzelbą z czasów, kiedy jeszcze prochu nie było, a drugi, to obraz proroka, kiedy jeszcze nie żył na świecie.

— Powiedziałem ci już, że artysta widział go w duchu. To była wizja i dlatego ta flinta jest wizyjna.

— Ach, flinta wizyjna; to dobre, to jedyne w swoim rodzaju.

— Tak, ona jest jedyną w swoim rodzaju. Masz słuszość i cieszy mnie to, że przyszedłeś do tego

przekonania. To jedyna taka flinta na świecie, dlatego uważam ją za świętość i jestem z niej dumny.

— A w jaki sposób do niej przyszedłeś?

— Dziedzictwem. Artysta przekazywał ją z dziecka na dziecko, a ja jestem jego potomkiem i przekażę ją najstarszemu synowi. Tak, przypatruj mi się ze zdziwieniem! Jestem rzeczywiście prawnukiem syna prawnuka człowieka, któremu Allah pozwolił oglądać proroka, zanim na świat przyszedł.

— W takim razie jesteś najsłynniejszym człowiekiem swojego szczepu, i nie tylko się cieszę, lecz uważam sobie za zaszczyt, iż cię poznałem.

— Tak — rzekł zupełnie poważnie — dla każdego jest zaszczytem widzieć takiego praprawnuka artysty, który żył jeszcze przed prorokiem. Znają mnie daleko w głębi Sudanu, aż hen, dokąd sięgają prawdziwi wierni, a strzelba moja słynie nawet w krajach pogańskich.

— Pewnie i strzela dobrze.

— Niestety nie. Było to wolą Allaha, że dla podniesienia właściwości nieba, nic nie ma być doskonałego na ziemi. Odnosi się to również do mojej flinty. Ma ona kilka wad, napełniających smutkiem moje serce.

— Znam wszystkie rodzaje strzelb i umiem się z nimi obchodzić. Jeśli powiesz mi, jakie ma błędy, może ci co poradzę.

— Jest ich kilka. Przede wszystkim strzelba jest niesforna, jak dziki cap, okropnie kopie. Dała mi już niejeden porządny policzek.

— To istotnie nieładnie z jej strony. Musisz ją przy strzelaniu tak przykładać, żeby cię policzkować nie mogła.

— W takim razie trąci mnie gdzie indziej, a to wszystko jedno. Następnie wężuje strasznie.

— Wężuje? Co rozumiesz pod tem wyrażeniem?

— Mam tu na myśli, że kula nie leci w kierunku prostym, lecz w splotach wężowych.

— Co też ty mówisz...

— Effendi, nie wątp! U strzelby wizyjnej wszystko możliwe. Przypatrywałem się temu dokładnie. Nie mogę nigdy mierzyć do celu, lecz stosownie do oddalenia, na prawo, na lewo, wyżej albo niżej.

— A więc strzelba kręci, a o ile wiem, nie ma na to innego środka, jak tylko wprawienie nowej lufy.

— Jak możesz posądzać mnie o coś podobnego! Zniszczyłbym tym drogocenną strzelbę. Niech mnie Allah ochroni przed takim występkiem. Flinta musi zostać taka, jaka jest.

— W takim razie zbyteczne wyliczanie dalszych jej właściwości. Moim zdaniem, ta strzelba jest najlepsza, która odpowiada celowi.

— Tak, tak... Moja strzelba wizyjna dowodzi, że mój praszczur widział proroka i to zupełnie wystarcza.

— A jak strzela, to rzecz uboczna?

— Rozumie się.

— A ja sądzę, że celem strzelania jest trafianie!

— Nie jesteś mahometaninem, więc nie możesz z odpowiednią czcią wczuć się w tę flintę.

— Nie, tego nie mogę, ale gdybyś kiedy miał strzelać w mojej obecności, to proszę cię, staraj się uchronić mnie od wypadku. Zrób mi tę przyjemność i mierz do mnie, abyś mnie nie trafił.

— Ty szydzisz, effendi! Powiadam ci, że...

Utknął, zerwał się z ziemi, przysłonił sobie oczy ręką i spojrzął ku wschodowi.

— Co takiego? — zapytałem go. — Czy co widzisz?

— Tak, zauważyłem nad trawą punkt, którego przedtem nie było. To zapewne jakiś jeździec.

Wstałem, rozciągnąłem lunetę i zobaczyłem człowieka siedzącego na wielbłądzie i zdążającego do studni. Kiedy zbliżył się tak, że nas zobaczył, stanął, by się nam dobrze przypatrzeć. Następnie zatrzymał się tuż przede mną i pozdrowił:

— Sallam aleikum! Czy pozwolisz mi, panie, napić wielbłąda z tego Bir Aczan i zaspokoić swoje własne pragnienie?

— Alleikum sallam! Ta studnia jest dla wszystkich i nie mogę zabronić ci tego.

Odpowiedziałem chłodno, ponieważ na pierwszy rzut oka, wywarł na mnie niemiłe wrażenie. Ubrany był jak zwykły Beduin i uzbrojony w strzelbę, nóż i pistolet. Twarz jego nie miała rysów odpychających, lecz nie podobał mi się jego ostry, badawczy, kolący niemal wzrok. Przy tym, jako zważającego na wszystko, musiało mnie uderzyć to, że z pytaniem zwrócił się do mnie. Żołnierze mieli mundury wicekróla, ja zaś i przewodnik byliśmy ubrani po cywilnemu. Powinien był więc w danych warunkach zwrócić się do żołnierzy. Ta okoliczność i jego szukający czegoś wzrok napełniły mnie pewną nieufnością, która i później nie tylko nie ustąpiła, lecz zwiększyła się jeszcze.

Zsiadł z wielbłąda, odprowadził go na bok i puścił na paszę. Potem zaczerpnął sobie wody, napił się, usiadł naprzeciw mnie i wyciągnął spod haiku cybuch i pecherz z tytoniem. Nabił fajkę, zapalił ją, podał mi tytoń i rzekł:

— Masz, panie, nałóż sobie także! To fajka pozdrowienia, którą ci podaję.



— Dzięki za twoją dobroć, lecz... z niej nie skorzystam — odpowiedziałem odmownie.

— A więc nie palisz? Czy należysz do jednej z owych surowych sekt, której członkom wzbroniony jest tytoń?

Ton, w którym to wypowiedział, był wprawdzie pytający, ale taki, jak gdyby wiedział z góry, jaką otrzyma odpowiedź. Zwróciło to moją uwagę i dlatego odrzekłem z większą jeszcze rezerwą:

— Palę również, lecz nie do ciebie, tylko do mnie należało prawo gościnności. Obecny przedtem ma przyjąć później przybywającego. To jest wszędzie regułą, a tym bardziej tutaj na chali\*.

— Wiem o tym i proszę cię o przebaczenie. Ja, jak widzisz, mam ten błąd, że u mnie co na sercu, to na języku. Podobałeś mi się od pierwszej chwili i chciałem okazać ci to ofiarowaniem tytoniu. Czy wolno wiedzieć, skąd przybywasz z żołnierzami?

— A mnie, czy wolno dowiedzieć się przedtem, skąd wiesz, że ja do nich należę?

— Przypuszczam tylko...

— Bystrość twoja jest godną podziwu; nie—przypuściłbym tego na twoim miejscu.

— Jesteś obcym na chali, podczas kiedy ja przejeżdżam ją często.

— Nie tylko ja jestem obcym, lecz i żołnierze nie byli tu jeszcze nigdy. Tym godniejsze uznania to, że przypuszczenie twoje było od razu słuszne. Ty wprawdzie mnie pierwszy pytałeś, ale ponieważ znajdowałem się tu przed tobą, więc wyda ci się rzeczą słuszną i sprawiedliwą, że zanim ci odpowiem, chcę wprzód wiedzieć, skąd wyruszyłeś w drogę?

— Nie mam powodu zatajać tego. Na chali i na pustyni musi każdy wiedzieć, kim jest ten drugi i czym się trudni. Ja przybywam z Feky Ibrahim nad Bahr el Abiad.

— A gdzie leży cel twojej drogi?

— Chcę się dostać do El Faszar.

— Między miejscowościami, o których mowa, leży bardzo uczęszczana droga karawanowa, prowadząca przez El Abeid i Fodżę. Dlaczego z niej nie korzystasz? Dlaczego zboczyłeś tak daleko na północ?

— Ponieważ jestem handlarzem i muszę poznać potrzeby okolicy. Chcę w El Faszar zakupić towary, a wracając, sprzedać je znowu. To też jeżdżę od studni do studni i pytam obozujących tam ludzi, czego im potrzeba.

— Jesteś widocznie nowicjuszem w handlu.

— Jak to, panie?

— Doświadczony handlarz nie szedłby do El Faszar z próżnymi rękoma, lecz zaopatrzyłby się w Chartumie w towary sprowadzane i sprzedalby je w drodze do El Faszar. Ty zaś chcesz handlować tylko w drodze powrotnej i wyrzekasz się w ten sposób połowy zysku z takiej podróży. Tego nie czyni prawdziwy dżelabi\*.

— Chciałem rychło dostać się do celu, więc nie objczyłem teraz swego zwierzęcia.

— Handlowiec ma tylko jeden cel — zarobek. Zresztą jedziesz na niezwykłym hedżinie, dżelabi natomiast zwykły używać osła.

— Każdy wedle możliwości, panie, nie jestem całkiem ubogim. No, ale skoro już słyszałeś moje odpowiedzi, kolej teraz na ciebie.

Pytania moje były tego rodzaju, że musiał wyczuć z nich nieufność; były one dla uczciwego człowieka nawet obrażające. Oko jego błysnęło wprawdzie kilkakrotnie gniewem, ale ton, w którym mówił, był uprzejmy i pozornie swobodny. Ta różnica między wzrokiem a tonem dowodziła, że panował nad sobą. Panowanie nad sobą, to udawanie, a skoro udawał, to miałem powód wobec niego być ostrożnym.

Oczywiście, że ani mi się śniło wierzyć w jego zawód kupiecki; byłem również pewien, że nie przybywa z El Feky Ibrahim, lecz z Chartumu. Spotkanie się z nami, nie zaskoczyło go widocznie, a całe zachowanie się świadczyło, że spodziewał się nas spotkać. Jak to wszystko wytłumaczyć? Nie oddałem się jednak na razie domysłom; należało go przede wszystkim obserwować. Okłamał mnie, więc uważałem za najlepsze i jemu nie powiedzieć całej prawdy, odpowiedziałem więc na jego zapytanie:

— Przybywam z Badjaruja.

— I tam byli także żołnierze?

— Nie. Spotkałem się z nimi tutaj, a oni pozwolili mi skorzystać ze studni.

W kącikach ust jego zadrgał chytry uśmieszek, lecz udał, że mi wierzy, i pytał dalej:

— Skąd oni przybywają? Gdzie byli?

— Nie wiem tego.

— Wiesz, bo musiałeś mówić z nimi!

— Prosiłem ich o pozwolenie zakwaterowania się tutaj, a ponadto nic nie mówiłem. Uważam też za brak uprzejmości wypytywanie nieznanym zaraz po spotkaniu się z nimi o najrozmaitsze drobnostki.

— W pustyni i na stepie ciekawość jest bardzo ważną rzeczą i dlatego proszę cię o pozwolenie

zapytania się, która miejscowość jest twoim celem podróży?

— Zdążam do Kamlinu nad Błękitnym Nilem.

— To prawdopodobnie przejdiesz pod El Salaya przez Biały Nil.

— Tak.

— A dokąd dążą żołnierze?

— Nie wiem. Powiedziałem ci już, że nie pytałem ich o nic.

Zwrócił się nagle do przewodnika, siedzącego obok mnie i zapytał go:

— A kto ty jesteś? W każdym razie Ben Arab?

Sądziłem, że zapytany słysząc to, co mówiłem, nabierze nieufności i nie będzie go informował, tymczasem on wbrew moim oczekiwaniom odpowiedział:

— Jestem Ben Arab, bo należę do Beni Fessarów.

— Przybywasz teraz z ojczyzny?

— Tak.

— A gdzie pasą się wasze trzody?

— Słyszałem o Beni Fessarach; to waleczni mężowie, a szczęście mieszka w ich namiotach.

Chciał wybadać przewodnika. Ponieważ człowiek ten był tak nieostrożny, że wymienił szczep, do którego należał, były mi już obojętne dalsze jego odpowiedzi. Rozciągnąłem się na trawie jak długi, oparłem łokieć na ziemi i przybrałem minę zupełnej obojętności. W istocie jednak przypatrywałem się każdej minie rzekomego dżelabiego. Na ostatnią uwagę rzekł przewodnik:

— Tak, szczęście u nas mieszkało, lecz potem nas opuściło.

— Niech je Allah powróci! Co się stało?

— Ibn Asl porwał nasze kobiety i córki.

— Nic o tym nie wiem.

— Ale imię tego rozbójnika słyszałeś już pewnie nieraz.

— Pewnie! Czyny jego są takie, że musi się o nim słyszeć. Więc on na was napadł? To sobie trudno pomyśleć, bo przecież wy jesteście wiernymi muzułmanami, więc nie wolno mu szukać u was niewolnic. Mylisz się chyba, to jakieś plemię pogańskie musiało się tego dopuścić.

— Nie myślę się; to udowodnione, że Ibn Asl. Jeśli temu nie wierzysz, mogę ci łatwo dowieść, gdyż ten...

Poznałem po nim, że chciał wskazać na mnie i powiedzieć: „ten effendi”. Szczęściem spojrział na mnie, a ja dałem mu znak ostrzegawczy. Poprawił się więc i mówił dalej:

— Ten wypadek mogą potwierdzić żołnierze, którzy byli u nas i których teraz jestem przewodnikiem.

Zaczął opowiadać. Oczywiście, że w opowiadaniu zjawiała się i moja osoba, lecz przewodnik był tyle ostrożny, że nazywał mnie zawsze „obcym effendi” i że nie zdradził wzrokiem ani też żadnym znakiem, iż właśnie ja nim jestem.

— Czy podobnie haniebny czyn jest możliwy? On napadł na wasze żony i córki, a kto nie nadawał się do sprzedaży, tego zamordował. To zbrodnia, wołająca o pomstę do nieba, i niechybnie spotka go kara Allaha.

— Tak, Allah potrafi go znaleźć, a effendi i reis effendina poprzysięgli mu zemstę.

— O, on nie tylko odważny, lecz chytry, on im się wymknie.

— Nie sądzę. Obcy effendi to człowiek, który znajdzie każdego, kogo szuka.

— W takim razie musiałby być wszechwiedzącym.

— To niepotrzebne, jego oko widzi wszystko, a bystrość rozumu tworzy sobie z tego całość. On nie znał drogi, obranej przez rabusiów kobiet, lecz obliczył ją tak dokładnie, jakby mu kto powiedział.

— Gdzie on znajduje się teraz?

— On... on... jest jeszcze u nas we wsi — odrzekł zapytany z wahaniem.

— Jeszcze tam u was we wsi? — powtórzył obcy z uśmiechem nie całkiem przytłumionym, przesuwając po mnie krytyczne spojrzenie. — Chciałbym zobaczyć tego człowieka. Gdybym miał czas, pojechałbym tylko w tym celu do Bir es Serir, lecz godziny moje tak policzone, że nawet tu nie mogę zabawić dłużej.

Wstał i poszedł do swego wielbłąda. Chociaż obserwowałem go nieustannie, miałem czas przypatrzeć się także zwierzęciu. Wpadło mi przy tym w oko, że miało ono błąd, zwany „skubaniem”. Wielbłąd taki zamyka i otwiera na przemian racice, przy czym wyrывa źdźbła trawy, które mu się zostają między nimi. Bład ten nie powoduje wprawdzie wielkiej szkody, ale fakt, że zauważyłem go u tego zwierzęcia, mógł mi się bardzo przydać dla unicestwienia ich złowrogich planów.

Obcy osiodłał swego hedzina, wsiadł nań, podjechał ku nam i rzekł do mnie:

— Sallam, panie! Powiedziałaś mi wprawdzie, skąd przybywasz i dokąd dążysz, ale ja temu nie

wierzę. Nie powiedziałaś mi, kim jesteś, lecz zdaje mi się, że to odgaduję i że poznasz mnie wkrótce.

Leżałem w poprzedniej pozycji, ani się ruszywszy, i nie odpowiedziałem mu wcale. Na to on skinął mi szyderczo głową i odjechał, machając ręką na znak, że mną gardzi.

— Co to było? — pytał przewodnik. — Co on miał na myśli? To była obraza!

Wzruszyłem ramionami.

— On ci nie wierzy i może domyśla się, kim jesteś! Wiesz ty, czego on chce?

— Prawdopodobnie mego życia.

— Allah, ‘1 Allah!

— I życia żołnierzy.

— Effendi, ty mnie przerażasz!

— To siadaj na wielbłąda i jedź do domu! Prawdopodobnie wkrótce przyjdzie do walki, a ponieważ twoja flinta z wszelką pewnością odmówi posłuszeństwa, radzę więc dla twojego własnego dobra, abyś się jakoś zabezpieczył.

— Nie zawstydzaj mnie! Ja mam cię zaprowadzić do Chartumu i nie opuszczę, dopóki tam nie przybędziemy. Skąd ci się uroiło, że grozi nam zaczepka? Szczepy tych stron żyją teraz właśnie w jak najlepszej zgodzie.

— Dżelabi mi to powiedział.

— Nie słyszałem ani słowa!

— On powiedział to nie słowami, lecz swoim zachowaniem. Czy uważałeś go rzeczywiście za dżelabiego?

— Rozumie się. Dlaczegoż przedstawiałby się dżelabim, skoro nim nie jest.

— Żeby nas oszukać. Wywiadowca ma wszelkie powody do zatajenia, kim jest.

— Wy... wiadow... Ty uważasz go za wywiadowcę? Któżby go wysłał?

— Może Ibn Asl, który chce zemścić się na mnie.

— Skąd on może wiedzieć, że tu się znajdujesz?

— Nie było to dla niego zbyt trudne dowiedzieć się, że odprowadzałem niewolnice do ojczyzny. Również łatwo mu było przewidzieć, że potem przybędę do Chartumu. A zatem spodziewał się, że może mnie spotkać na przestrzeni między tymi dwoma miejscami.

— Ha... skoro tak mówisz... możliwe... trochę zaczynam pojmować... on bardzo pragnie zemścić się na tobie; tak, tak, to można już sobie wyobrazić. Udał on się pewnie do Chartumu, gdzie ma wielu znajomych. Wśród mieszkających tu szczepów ma także wielu przyjaciół, korzystają z jego handlu i sprzyjają mu wobec tego. Jeśli zechce napaść na ciebie, to znajdzie dość ludzi do pomocy. Ale mu się to nie uda; ja pokażę wam drogę, na której spotkanie się jest niemożliwe.

— Jestem ci wdzięczny, lecz nie mogę zgodzić się na to.

— Czemu? To dla twego bezpieczeństwa.

— Jak mógłbym schodzić z drogi człowiekowi, którego chcę pochwycić. Teraz, kiedy już wiem, że na mnie czatują, nie pochwycą mnie na pewno. Gdyby ich nawet stu było, mam nad nimi przewagę w doświadczeniu i podstępnie. Nie tylko im nie ustąpię, lecz będę ich wprost szukał. Pozostawiam ci oczywiście samemu do rozstrzygnięcia, czy chcesz narażać się na nieuniknione niebezpieczeństwa.

— Zostaję przy tobie, effendi. Nie mów o tym więcej. My zawdzięczamy ci tak wiele; jak mógłbym cię tak opuścić! Ale mówisz o szukaniu ich. Skąd wiesz, gdzie znajdują się nieprzyjaciele?

— Czyż nie powiedziałeś sam przedtem, że znalazłem łowców niewolników, choć nie wiedziałem, jaką drogę obiorą? Tu jest o wiele łatwiej, ponieważ mam przewodnika.

— Czy masz mnie na myśli? Ja nie mam pojęcia, gdzie mielibyśmy ich szukać.

— Nie mam ciebie na myśli, lecz dżelabiego.

— Jego, jego nazywasz swoim przewodnikiem? Nie rozumiem ciebie. On udał się do El Faszar, a zatem na zachód, a ty musisz szukać na wschodzie.

— r Kłamał; on wcale nie dążył do El Faszar. Skoro tylko dostanie się poza obręb naszego wzroku, wróci do tych, którzy wysłali go na zwiady. Wystarczy nam więc iść jego śladem, a znajdziemy, czego szukamy.

— Jeśli się tylko nie mylisz, effendi! Przecież jest możliwe, że mówił prawdę.

— Możliwe jest, ale ja się chyba nie mylę. Jak długo jedzie się z El Feki Ibrahim do El Faszar?

— Mniej więcej dwadzieścia dni.

— Czy można to uczynić bez wora na wodę?

— Nie.

— A więc wcale tam nie dąży, bo go nie ma! Następnie, jeśli Ibn Asl ma rzeczywiście zamiar wystąpić przeciwko nam wrogo i dowodzi odpowiednią liczbą ludzi, przypuści, że w drodze używam przewodnika.

— Zapewne, gdyż jesteś obcy.

— Ale ten przewodnik musi nie tylko znać okolicę, lecz być w niej znanym. Jeśli wysłał naprzeciw nas tylko wywiadowcę znanego tu tak samo, to przewodnik i wywiadowca poznaliby się natychmiast.

— To słuszne.

— Co z tego wynika? Jakiego rodzaju ludźmi muszą być jego szpiegowie?

— Tacy, których tutaj nikt nie zna, obcy.

— Obcy może zablądzić lub spotka się z kim innym. Czy takiego człowieka wysyła się daleko bez wody?

— Nie.

— Rzekomy dżelabi był szpiegiem; nie miał wody i nie mógł się za bardzo oddalać od swoich. Są oni blisko. Na linii, przecinającej prosto naszą drogę, postawią zapewne straż. Kiedy taka straż nas zobaczy, zawiadomi czym prędzej inne i nieco dalej urządzi na nas zasadzkę. Do tych straży należał dżelabi! Czatuja na nas, a linia, utworzona w poprzek naszej drogi, jest stąd niedaleko. Dżelabi wróci teraz i zaalarmuje ją, a przeciwnicy będą czekali w miejscu, z którym musi się zetknąć nasz prosty kierunek drogi, i gdybyśmy tak pojechali, to musimy spotkać się z nimi. Na otwartej płaszczyźnie nie przedstawiałoby to dla nas żadnego niebezpieczeństwa, bo widzielibyśmy zbliżanie się nieprzyjaciół. To też wybiorą sobie miejsce, może zarośla, las albo załomy skalne, gdzie wpadniemy im w ręce, nie wiedząc o tym. Na razie zachodzi pytanie, czy w dzisiejszym dniu naszej drogi znajduje się takie miejsce. Jako przewodnik musisz to wiedzieć.

— Znam drogę doskonale. Teraz jest południe, gdybyśmy wyruszyli zaraz, dostaniemy się przed zachodem słońca do lasu.

— W takim razie daję ci na to słowo, że ci ludzie będą siedzieli w tym lesie.

Spojrzał na mnie zdumiony, potrząsnął głową i powiedział:

— Twierdzisz to tak na pewno?

— Zaiste i zobaczysz, że się nie mylę. Pojedziemy najpierw śladem rzekomego dżelabiego, dopóki nie dostaniemy się do linii straży a potem...

— Jak poznasz, że znajdujemy się przy niej? — przerwał mi.

— Już ja ci to pokażę. Potem wbrew ich obliczeniu, zatoczmy łuk, ażeby z innej zupełnie strony dojść do nich. I kiedy oni wyglądają nas będą z zachodu, my wpadniemy na nich z tyłu od wschodu. Przedtem jednak muszę zorientować się we wszystkim, przynajmniej powierzchownie. Jaki wielki ten las?

— Tak szeroki, jak długi, a trzeba z godzinę jechać, ażeby dostać się na drugą stronę.

— Czy drzewa są wysokie?

— Czasem bardzo wysokie.

— Czy jest podszyty?

— Miejscami gęsto. Jest tam studnia, dająca dużo wody i ożywiająca liczne krzaki i wijące się rośliny.

— Czy można przejechać na wielbłądach?

— Tak, jeśli szuka się rzadkich, zarosłych, otwartych miejsc.

— A więc na razie wiem dość i możemy wyruszyć.

— Czy nie lepiej pojechać na zachód za tym kupcem i dowiedzieć się, czy on rzeczywiście zwrócił się z powrotem?

— To zbyt ryzykowne. Jestem pewien, że to uczyni i niebawem natrafimy na jego ślad.

Ponieważ jechał prędko, zniknął nam dawno z oczu. Osiedliśmy wielbłądy, wsiedliśmy na nie i ruszyliśmy ku wschodowi, ja z przewodnikiem na czele, żołnierze za nami w zwykłym karawanowym porządku, jeden za drugim. Siedząc w naszym pobliżu, słyszeli wszystko. Teraz byli ciekawi, czy moje przypuszczenia były słuszne i, gdyby tak było, płonęli żądzą zrobienia użytku ze swoich strzelb.

Opuściliśmy studnię po tropie, który dżelabi zostawił, jadąc do nas. Po upływie pół godziny zobaczyliśmy drugi trop, wiodący od prawej strony i łączący się z pierwszym. Zsiadłem, żeby go zbadać. Przewodnik przyłączył się do mnie z ciekawości. Przypatrywałem się śladom, a wyprostowawszy się, rzekłem:

— To był dżelabi, tak, jak przypuszczałem.

— Jak możesz to twierdzić, effendi? Przecież mógł to być i ktoś inny.

— Nie, to on. Przypatrz się śladom pierwszego tropu; poszczególne źdźbła trawy są wyrwane. W drugim tropie masz to samo.

— To prawda, ale...

— Tu nie ma żadnego „ale”. Wielbłąd dżelabiego ma czułe podeszwy i wyrywa trawę racicami. Drugi trop ma wyraźniejsze odciski, wyrzucane na zewnątrz. Stąd wniosek, że teraz jechał daleko szybciej, aniżeli przedtem; zawrócił i bardzo mu pilno.

Przewodnik potrząsnął głową, lecz nic nie powiedział. Wsiedliśmy znowu na wielbłądy i ruszyliśmy dalej ze zdwojoną szybkością. Po upływie może godziny przybyliśmy na miejsce, na



którym stali jeźdźcy. Trawa była stratowana i położona na ziemi na dość obszernej przestrzeni. Wprost na wschód prowadził dawny ślad trzech wielbłądów i jeden nowy. Na prawo i na lewo rozchodziły się dwa tropy, jeden na południe, a drugi na północ. Gdy moi towarzysze nie mogli tego zrozumieć, oświadczyłem:

— To, co tu widzicie, popiera zupełnie słuszność moich domysłów. Tam daleko przed nami w lesie czekają nasi przeciwnicy, dowódca ich wysłał naprzód linię forpoczt. Trzej ludzie przybyli aż tutaj, a dżelabi, najodważniejszy, pojechał dalej. Wróciwszy, doniósł im, że nas znalazł i pojechał owym potrójnym tropem, by dowódcy o tym oznajmić. Natomiast dwaj ostatni pojechali: jeden na północ, a drugi na południe, by pościągać do lasu wszystkie inne straże. Przypatrzcie się temu miejscu ze stratowaną trawą. Oni muszą sobie chyba myśleć, że jesteśmy ślepi albo głupi! Jeśli tu znajdował się posterunek z trzech ludzi, to należy się spodziewać, że inne posterunki były również silne.

Po jakimś czasie natknęliśmy się znowu na ślad posterunku o tej samej liczbie ludzi. Ponieważ właściwa gromada wojowników jest zawsze liczniejsza od forpoczt, to możemy sądzić z nich o liczbie ludzi, z którymi będziemy mieli do czynienia. Nieprzyjaciel nasz jest wprawdzie nieostrożny, ale bardzo liczny. Z tego powodu poskromię własne życzenia, a was zapytam o zdanie. Czy wolicie wszcząć walkę, czy też zejdziemy mu z drogi, co jest bardzo łatwym, wobec tego, że zgromadził się na jednym miejscu.

— Walczyć, walczyć! — brzmiała powszechna odpowiedź.

— Dobrze, więc zjedźmy na lewo, ażeby od północy dostać się do lasu, podczas gdy oni spodziewać się nas będą od zachodu. Ponieważ mamy przed sobą znaczne okrażenie, musimy jechać szybciej, niż dotychczas.

Ruszyliśmy dalej i to tak szybko, jak tylko wielbłądy zdołały pędzić. Po jakimś czasie spostrzegliśmy nowy trop, potem drugi, trzeci i czwarty. Wszystkie ślady biegły mniej więcej w kierunku południowo-wschodnim ku lasowi. Nie zsiadając, widziałem, że każdy trop miał odciski trzech wielbłądów.

— Czyżby to były same forpoczty? — pytał przewodnik, który znów jechał obok mnie.

— Oczywiście — odrzekłem. — Widzisz, że miałem słuszność. Przypuśćmy, że linia tropu dżelabiego leżała w samym środku linii forpoczt, to wynika z tego suma jedenastu forpoczt po trzech ludzi, co czyni trzydziestu trzech ludzi. A wielu mogło zostać tam w lesie? Można przypuścić, że zastaniemy tam przynajmniej podwójną liczbę, a więc sześćdziesięciu przeciwników.

— W takim razie musimy przygotować się na srogą walkę.

— Na żadną; będziemy tacy rozumni, że nie zostawimy im ani chwili czasu na obronę.

— Czy masz na myśli otoczyć ich i wystrzelać, zanim zdołają użyć broni?

— Prawdopodobnie otoczymy ich, lecz nie będziemy ich zabijać. Nie chcę przelewać krwi. W

ogóle nie wolno nam zaatakować ich wcześniej, zanim zdołamy im udowodnić, że na nas godzili.

— W jaki sposób damy im to do poznania?

— Zostaw to mnie! A nawet, kiedy będziemy mogli rzucić im w twarz ich wrogimi zamiarami, nie będziemy mieli prawa zabierać im życia, gdyż plan ich nie będzie jeszcze wykonany. Gdybyśmy nawet mieli to prawo, wolałbym oszczędzić, by wydać w ręce reisa effendyny.

— To szkoda. No, ale musimy cię słuchać. Gdy jednak pomyślę, co w naszych wsiach się działo, porywa mnie taka złość, że nic wiedzieć nie chcę o oszczędzaniu.

— Sprawcy są ukarani i zapłacili życiem za zbrodnie, a ci, których mamy przed sobą, nie porywali waszych kobiet i dziewcząt.

— Dobrze, ale zwracam ci na to uwagę, że postanowieniem swoim narażasz nas na niebezpieczeństwo. Jeśli nagle przerzedzimy ich kulami, nic nam się nie stanie. Jak jednak chcesz pojmać ich wszystkich żywcem, bez obawy, że zabiją kilku z nas a przynajmniej zranią?

— Nie wiem teraz jeszcze, co postanowię; muszę się liczyć z warunkami, jakie zastanę. Wiesz, że ja w Wadi el Berd pojmałem łowców niewolników i nikomu z nas ani skóry nie zadraśnięto.

Potrząsnął głową z powątpiewaniem, lecz nie sprzeciwił się dalej, wiedząc, że byłoby to bezskuteczne.

Jechaliśmy z początku ku południowemu wschodowi,—a mniej więcej po dwóch godzinach skręciliśmy ku południowi. Przewodnik zauważył nagle, że ten łuk zaprowadzi nas prosto do lasu. Wkrótce ujrzeliśmy na horyzoncie ciemny pas, leżący na prawo od nas. Jechaliśmy więc tak szybko, że objechaliśmy prawie połowę lasu. Ponieważ mieliśmy do zachodu jeszcze dość czasu, przyszło mi na myśl, żeby nieprzyjaciół podejść od tyłu a nie z boku. W tym celu skręciliśmy znowu na lewo i jechaliśmy tak długo w tym kierunku, dopóki pas lasu nie znalazł się na wschód od nas. Tu natrafiliśmy też, czego spodziewałem się zresztą, na szeroki pas, ciągnący się ze wschodu do lasu. Trawa była podeptana, a choć źdźbła już się podnosiły, zgięte ich końce odbijały się silnie od reszty chali. To był wspólny trop naszych wrogów, po którym poznałem, że przeszli tędy dziś wczesnym rankiem. Rozłożyli się zatem w lesie obozem i wysłali szpiegów ku zachodowi.

Skręciliśmy oczywiście w tym samym kierunku i dostaliśmy się do lasu w miejscu tak przerzedzonym, że mogłaby nim przejechać większa gromada od naszej. Teraz należało rozwinać jak największą ostrożność. Zsiadłem z wielbłąda i szedłem pieszo naprzód, a przewodnik, który wziął mego wielbłąda za uzdę, jechał z żołnierzami nieco w tyle. Powiedział mi on, że źródło leży mniej więcej w środku lasu, więc przyjąłem, że szukani przez nas ludzie będą się znajdowali w pobliżu tego źródła.

Las w tym miejscu, któremy przejeżdżaliśmy, składał się z wysokich drzew. Musiałem poszukać kryjówek dla wielbłądów. Skręciłem zatem w bok, gdzie pod drzewami rosły gęste krzewy. Składały się one przeważnie z balsamodendronu, z kolczastych baulunii, pnących się po pniach i konarach i zwieszających się we wspaniałych festonach, okrytych kwiatami. Za tymi gęsto spletanymi krzakami

nie mógł nas nikt zobaczyć. Towarzysze posiadali z wielbłądów, ażeby poczekać na mój powrót, gdyż postanowiłem wyjść na zwiady.

Wierny Ben Nil chciał mi towarzyszyć, lecz odmówiłem mu tak jak i przewodnikowi, który chciał także iść ze mną i rzekł:

— Ty nie znasz lasu i drogi do źródła, effendi; muszę cię zaprowadzić.

— Nie troszcz się o mnie! Wiem, co czynię. Zresztą mylisz się, jeśli sądzisz, że nieprzyjaciele obozują nad wodą.

— A gdzieżby indziej?

— Gdziekolwiek, tylko nie tam. Przedtem znajdowali się tam na pewno, lecz po powrocie posterunków musieli chyba opuścić to miejsce.

— Dlaczegoż?

— Myślą pewnie, że przyjdziemy do studni, a tam jest najlepsza sposobność aby napaść na nas. Gdyby nas zaatakowali po drodze, kiedy siedzielibyśmy w siodłach i jechali szeregiem, to niełatwo osiągnęliby swój cel. Zaczekają, aż rozłożymy się obozem i dlatego można przypuścić na pewno, że nie znajdują się nad wodą, lecz w jej pobliżu. Którędy wiedzie droga stąd do źródła? Czy ma dużo zakrętów?

— Nie, tworzy prawie prostą linię.

— To mi na rękę. Teraz idę, a wy zachowujcie się jak możecie najciszej.

— A co zrobimy, jeśli nie wrócisz?

— Ja wrócę.

— Mówisz z wielką ufnością, effendi. Niech cię Allah prowadzi!

Zostawiłem jasny haik, a szare ubranie nie odbijało od bujnej roślinności. Nie poszedłem oczywiście szerokim tropem, bo tam drzewa stały daleko od siebie, dążyłem wciąż zaroślami równoległe z nim.

Po kwadransie może drogi wydało mi się, że przede mną ktoś mówi; studnia zapewne znajdowała się na prawo. Zatrzymałem się i jałem nadśłuchiwać. Tak, to były rzeczywiście głosy ludzkie. Nie rozmawiali zbyt głośno, więc musieli znajdować się niedaleko ode mnie. Położyłem się na ziemi i poczołgałem się na rękach i na kolanach. Im dalej się posuwałem, tym wyraźniejsze stawały się głosy, a jeden z nich wydał mi się znany. Nie mogłem zrozumieć słów, ale po brzmieniu wywnioskowałem, że rozmawiający znajdowali się za gęstym krzakiem senesu. Przysunąłem się bliżej i poznałem drugi głos. Był to dželabi, a ten, z którym rozmawiał, ni mniej ni więcej tylko Abd Asl, święty fakir, który chciał mnie zamorzyć głodem w Sijut.

Krzaki senesu nie były zbyt gęste, gdyż rozumiałem każde słowo tak wyraźnie, że zdawało mi się, jakoby odległość między nami wynosiła zaledwie trzy do czterech łokci. Z rozmaitych dolatujących mnie szmerów i dźwięków można było wnioskować, że nie byli oni sami.

— Wszyscy, wszyscy muszą pójść do piekła; tylko tego cudzoziemca zostawmy przy życiu! — rzekł fakir w chwili, kiedy ułożyłem się już wygodnie.

— Czemu? — spytał dżelabi. — On właśnie powinien pierwszy zginąć od naszych kul i noży.

— Nie. Ja chcę go zachować i przywieźć synowi. Niech poniesie długie, długie męki. Ani mi się sni pozwolić mu umrzeć szybką śmiercią.

— W takim razie musisz przygotować się na to, że ci znowu ucieknie.

— Ucieknie? To niemożliwe! Wiem, że to diabeł, ale jest dość środków na poskromienie nawet takich szatanów. Zamknę go jak zwierzę drapieżne i nie wymknie mi się nigdy. Gdyby poszło po mojej myśli, to zostawiłbym i asakerów\* przy życiu, by ich powoli na śmierć zamęczyć, ale ponieważ nie mamy wiele czasu, więc musimy się ich pozbyć szybko. Ach, jakbym dręczył tych łajdaków, którzy wystrzelali nam towarzyszy, a syna przyprawili o stratę takiego zysku!

— Tak, za te niewolnice fesarskie zapłacono by wiele, bardzo wiele. Należałoby tym ludziom poobcinać ręce i języki, żeby nie mogli mówić ani pisać, a więc i nie zdradzić. Potem należałoby ich sprzedać najokrutniejszemu z książąt murzyńskich.

— To niezła myśl i może ją wykonamy. A może wymyślimy jeszcze coś lepszego. Nie ma bólu, nie ma cierpienia zbyt wielkiego dla nich. Oni powinni umierać codziennie, co godzimy i nie móc umrzeć. Zasłużyli na to, a szczególnie ten pies cudzoziemski. Odgadywał wszystkie nasze zamiary, odkrył nasze plany, a potem zniknął z pomocą diabła, kiedy się było najpewniejszym, że się go nareszcie ma.

— I to właśnie nakazuje nam jak największą ostrożność. A gdyby nam znów się wymknął?

— Nie obawiaj się! Wydane przeze mnie rozkazy są tak starannie obmyślane, że nie ma mowy o niepowodzeniu. Pierwszy strzał dam ja, a mierzyć będę w nogę cudzoziemca. Jeśli tam będzie zraniony, to nam umknąć nie zdoła. Po tym strzale wypalicie wy także. Około siedemdziesiąt kul wystarczy, by ich wszystkich położyć trupem.

— Należałoby tak sądzić. Właściwie to hańba dla nas, że dla dwudziestu asakerów zgromadziliśmy aż taką liczbę ludzi.

— Stało się to nie z powodu asakerów, lecz tego effendiego. Pod jego dowództwem znaczy dwudziestu wojowników tyle, co stu pod kim innym. Powiadam ci, że tylko niespodzianką i nagłością napadu możemy zwyciężyć. Gdybyśmy ich dopuścili do obrony, wynik byłby bardzo wątpliwy.

Nie mogłem się powstrzymać od cichego śmiechu. Ani dżelabi ani fakir nie mieli dość rozumu do

przeprowadzenia takiego planu. Do teraz nie postawili straży, która dałaby im znać o naszym zbliżaniu się. Dowiedziałem się o tym z dalszej ich rozmowy. Usłyszałem też, że miejsce, na którym się znajdowali, było tak blisko źródła, że spodziewali się usłyszeć szmer wywołany naszym nadejściem.

Z mowy fakira wynikało, że syn jego Ibn Asl urządził zasadzkę na reisa effendinę. To napełniło mnie obawą i postanowiłem działać szybko, ażeby jak najrychlej przybyć do Chartumu i ostrzec zagrożonego. Przede wszystkim trzeba było ocenić sytuację. Tam, gdzie leżałem, krzaki były tak gęste, że nie mogłem przebić ich wzrokiem. Poczłogałem się dalej na lewo i znalazłem miejsce z otwartym widokiem. Ujrzałem miejsce wolne od drzew, a na nim rozłożonych siedemdziesięciu ludzi. Wielu z nich było tylko na poły ubranych, ale wszyscy byli dobrze uzbrojeni. Widziałem twarze, poczynawszy od jasnobrunatnej aż do głęboko czarnej. Wielbłądy leżały po lewej ręce i naprzeciw mnie, na skraju polany. Fakir siedział z towarzyszem w pewnym oddaleniu od całej gromady i szczęściem mogę nazwać to, że od razu się na nich natknąłem, bo musiałbym być ich szukać z pewnymi trudnościami.

Ludzie ci siedzieli blisko siebie, lecz rozrzućeni po dwóch lub trzech razem. To ułatwiło napad znakomicie. Obok miejsca, na którym się znajdowałem, mogłem ustawić moich dwudziestu asakerów. Stąd widzieliby nieprzyjaciół, a ja mógłbym im dać instrukcje każdemu z osobna, gdyż każdy musiałby wiedzieć, kogo ma zaatakować, w przeciwnym razie powstałby chaos, w którym większość nieprzyjaciół miałaby sposobność do ucieczki.

Wróciłem do towarzyszy i opowiedziałem im cały przebieg moich działań. Nikt się tak nie cieszył, jak Ben Nil, który zawołał z nietajoną radością:

— *Hamdullillah*, fakir, jest fakir! Effendi, musisz mnie go zostawić; ja go zastrzelę!

— Nie, my w ogóle nie będziemy strzelać — odpowiedziałem. — Nie pozabijamy tych ludzi, lecz wydamy ich reisowi effendinie.

— Fakira także!? Przecież on mój!

— I mój, lecz ja wyrzekam się zemsty.

— Ale ja się nie wyrzekam.

— No, no, później o tym pomówimy, teraz jednak zakazuję ci najsurowiej zabijać go.

— Nie zapominaj o tym, effendi, że pozbawiasz mnie prawa, którego by mi nie odmówił żaden człowiek na świecie.

— Ja ci go bynajmniej nie odmawiam, idzie mi tylko o pewną zwłokę. Reisowi effendinie grozi niebezpieczeństwo, o którym nie mam pojęcia; fakir zaś wie o wszystkim, mogę więc dowiedzieć się od niego bezpośrednio. Jeżeli jednak zginie — wówczas nie dowiem się o niczym i reis jest

zgubiony. Zrozumiałeś więc, dlaczego pragnę za wszelką cenę rozmówić się z fakirem.

— Jeżeli tak, to oczywiście nie pozostaje mi nic innego, jak tylko zgodzić się na twoje zarządzenie. Przypuszczam też, że później nie będziesz tak niesprawiedliwym, żebyś mi czynił jakiegokolwiek trudności w wykonaniu praw pustyni. Radbym jednak wiedzieć, effendi, w jaki sposób moglibyśmy zwyciężyć siedemdziesięciu uzbrojonych przeciwników, jeśli strzelanie z góry wykluczone.

— Uderzymy na nich kolbami. Zginie który od tego ciosu, to niewielka stanie się szkoda i nie mamy powodu płakać nad jego zwłokami. Wy wszyscy musicie napaść na nich tak niespodzianie i zręcznie, żeby każdy z przeciwników stracił świadomość, co się z nim dzieje i aby nie mógł się obronić. Poprowadzę was sam i każdemu z osobna wskażę, do której grupy zwrócić się powinien, inaczej mogłoby powstać zamieszanie i tylko przeszkadzalibyście jeden drugiemu. Fakira i dżelabiego, biorę na siebie ja sam. Gdy tylko wyskoczę z krzaków, idźcie za moim przykładem. Komendy nie będzie żadnej; żaden też z was nie śmie wypowiedzieć ani słowa, nie wolno nawet szepnąć; wszystko musi się stać zupełnie cicho, gdyż najłżejszy szelest ostrzegłby nieprzyjaciela i cały plan chybiony. Pamiętajcie zresztą o tym, że każdy z was ma do zwalczania trzech lub czterech przeciwników, a zatem musicie działać niezmiernie szybko i zręcznie, a to możliwe jest jedynie wówczas, gdy się będziecie zachowywali jak najciszej. Draby oniemiają z przerażenia, gdy zobaczą was nagle tuż nad sobą, podczas gdy okrzyk przedwczesny zaalarmowałby ich i dał możliwość do przygotowania się na atak.

Ponieważ wielbłądy nasze były spętane, wystarczył jeden tylko człowiek do ich pilnowania. Reszta poszła ze mną.

— Podoba mi się twój plan, effendi — zauważył przewodnik, gdyśmy ruszyli z miejsca — ja osobiście jestem nawet rad, że nie będziemy strzelać, bo nie jestem wcale pewny swej flinty, natomiast draby popamiętają jej kolbę.

Dotarliśmy szczęśliwie na upatrzone przeze mnie miejsce. Nic się tu wcale nie zmieniło. Nim każdemu z swoich ludzi osobno wskazałem, gdzie się ma rzucić, upłynęła spora chwila. Następnie stanąłem na miejscu wolnym od krzaków, skąd poprzednio patrzyłem. Moi towarzysze, skradając się ostrożnie, nie spuszczały z oczu wskazanych im ofiar. Przekonawszy się, że każdy z nich gotów jest do skoku, jak zaczajony zwierz, rzuciłem się potężnym susem przez zarośla, skręciłem nagle w prawo... dwa uderzenia kolby, a fakir i szpieg leżeli u mych stóp.

Poza mną tymczasem zawrzała w krzakach prawdziwa burza. To moi żołnierze rzucili się w bój. Nie miałem czasu nawet popatrzeć, jak się sprawią, bo spostrzegłem tuż przede mną czterech drabów, którzy tak byli przerażeni moim nagłym pojawieniem się, że wyglądali jak martwi. Zajechałem kolbą jednego, potem drugiego, trzeciego... Czwarty chciał czmychnąć, ale i jego dosięgnąłem i powaliłem na ziemię. Ciosy mierzone płaską stroną kolby, nie kantem, nie były śmiertelne, ogłuszały tylko.

Sześciu przeciwników! Zwycięstwo nie lada, ale nie poprzestałem na tym. Trzeba było zapobiec możliwej ucieczce którego z napadniętych. Zwróciłem się więc ku scenie walki i ku swemu zdziwieniu spostrzegłem, że żołnierze wykonywali ściśle moje polecenia, to jest zachowali jak

największy porządek i przytomność umysłu. Żaden nie ozwał się ani słowem i to właśnie sprawiło napadniętych w śmiertelne przerażenie. I oni również nie zdolni byli do wydania z siebie głosu. Niektórzy tylko zerwali się z zamiarem ucieczki, ale nie udało się to ani jednemu. Zwróciłem zresztą lufę sześciostrzałowego rewolweru w tę stronę i, gdy tylko uważałem, że mógłby się który wymknąć, częstowałem go kulą w nogi.

Pominawszy tę okoliczność, że przypatrywanie się, jak ludzie padają pod ciosem zwycięzców, nie należy do rzeczy przyjemnych, doznałem miłego wrażenia na widok rycerskości i dzielności moich żołnierzy. Najbardziej chwalebnie spisał się Ben Nil; zdaje mi się, że powalił na ziemię ni mniej ni więcej tylko sześciu przeciwników. Od chwili, gdy wyskoczyłem z zarośli aż do pokonania ostatniego z tej gromady nieprzyjacielskiej, nie upłynęło więcej niż półtorej minuty. Ze strony napadniętych nie dano ani jednego strzału, nie zdobył się też nikt nawet na jedno uderzenie lub pchnięcie. Był to skutek przerażenia, ale przerażenia tak ogromnego i niezwykłego, jakiego widzieć nie zdarzyło mi się jeszcze nigdy.

Nawet w tej chwili, gdy zwycięstwo nasze było już zupełnie pewne, żołnierze zachowywali się milcząco i spoglądali ku mnie z niemym zapytaniem, co robić dalej.

— Powiążcie jeńców szybko! — krzyknąłem. — Brać rzemienie, powrozy, chusty, co kto ma pod ręką, i do roboty! Wolno wam już teraz rozmawiać!...

Rozmawiać? Nie, to określenie wcale niewłaściwe. Gdybym był rzekł: „możecie wyć”, to jeszcze nie odpowiadałoby to ogólnemu nastrojowi zwycięzców, którzy tłumili dotąd oddech w piersiach i nagle wszyscy jak jeden wydali naraz piekielny prawie krzyk. Dawało to złudzenie, jakoby sto szatanów ryknęło na znak triumfu i radości. Nie przeszkodziło to jednak dzielnym zuchom wykonać w okamgnieniu mego rozkazu. I ja oczywiście nie miałem chwili do stracenia. Zwróciłem się do moich osobistych jeńców, fakira i szpiega, w obawie, aby nie przyszli do przytomności i nie zbiegli. Na szczęście obaj leżeli jak nieżywi, jęcząc okropnie. Sam powiązałem im ręce i nogi, materiału było dosyć. Każdy Beduin ma przy sobie powrozy w czasie podróży, a oprócz tego przydały się również kafije\* i sznury, którymi przywiązuje się okrycia głowy. Te ostatnie okazały się bardzo praktyczne.

Niektórzy ze zwyciężonych byli tylko na poły ogłuszeni razami; tych oczywiście musieliśmy powiązać najprędzej. W niespełna pięć minut byliśmy gotowi, pozostało tylko zbadanie, czy który nie wyzionął ducha. Niestety, żołnierze nie byli tak delikatni, jak im to nakazywałem i walili kantem kolb a nie płaską stroną i wskutek tego spostrzegliśmy na pobojowisku kilka roztrzaskanych czaszek. Przykrość wstrząsnęła mną, gdy naliczyłem aż osiem trupów, z których trzy miał na swoim sumieniu przewodnik. Ozwał się on do mnie z nietajonym zadowoleniem, obcierając kolbę z krwi:

— Effendi, moja flinta wizyjna sprawiła się nad wszelkie oczekiwanie znakomicie. Z czterech, których ona swą grubszą częścią dotknąć raczyła, podniósł się tylko jeden.

— Zrobiłeś to umyślnie?

— Rozumie się i szczerze żałuję, że i ten czwarty nie poszedł za tamtymi.

— Nakazałem przecie wyraźnie, aby nie zabijać...

Ba, ale czy sądzisz, effendi, że mogłem oprzeć się pokusie i nie wykonać zemsty? Zresztą, czy przyrzekałem ci może bezwarunkowe posłuszeństwo? W decydującej chwili stanął mi żywo przed oczyma obraz pomordowanych i leżących na piasku pod Bir es Serir i zdaje mi się, że uśmiercenie trzech rabusiów jest niczym wobec grozy, jaką obraz ten w duszy mojej wywoływał. Miałem zatem prawo pomsty za to.

Z trudnością tylko zdołałem się powstrzymać od dania mu odpowiedzi i zwróciłem się do fakira, który właśnie rozglądał się wokoło z prawdziwym osłupieniem. I dżelabi również przyszedł do przytomności, wytrzeszczając oczy, jakby jeszcze nie wierzył wszystkiemu.

Żołnierze rzucili się teraz na jeńców i poczęli im przeszukiwać kieszenie i torby, zabierając wszystko, co tylko miało jakąkolwiek wartość. Odmówić im tego, było rzeczą wielce ryzykowną, to też udałem, że nic nie widzę i przysiadłem się do fakira, który zamknął oczy nie wiadomo ze wstydu, czy też z bólu.

— *Salam, ia Weli el kebir el maszur* — bądź pozdrowiony ty, wielki, sławny i święty człowieku — zagadnąłem go uprzejmie. — Cieszę się bardzo, że cię tu ujrzałem, imam nadzieję, że i ty czujesz się szczęśliwym z tego spotkania.

— Bądź przeklęty! — syknął jak zmija.

— Pomyliłeś się, mój drogi. Chciałeś powiedzieć: „bądź błogosławiony”, wiem o tym na pewno i odczułem całą duszą tęsknotę, jaka cię pchała ku mnie. Wysłałeś nawet posłańców, aby odszukali miejsce, na którym chwilowo odpocząłem. Twoja tęsknota wynikała z szczerego i dobrego serca. Postanowiłeś powystrzelać moich żołnierzy, a mnie wyciąć język i ręce i następnie sprzedać mnie jednemu z najokrutniejszych książąt murzyńskich.

— On jest wszystkowiedzący — krzyknął mimowolnie do swego towarzysza, którego wzrok pałał śmiertelną nienawiścią.

Nachyliłem się nad nim, mówiąc:

— Miałeś najzupełniejszą słuszość, twierdząc, że niebawem zobaczymy się znowu i że będę miał sposobność poznać cię bliżej. Mimo tedy, żeś wyruszył w kierunku El Faszar, spotkaliśmy się znowu razem i jestem z tego bardzo zadowolony, ponieważ potwierdza się w zupełności, że trafnie cię osądziłem. Jesteś właśnie tym człowiekiem, któremu błysnęła genialna myśl, aby mi odciąć język i ręce. Jeżeli teraz żywisz przeświadczenie, że odplacę ci się pięknem za nadobne, to nie mylisz się wcale.

— Nie rozumiem zupełnie — ozwał się tonem oburzenia — dlaczego jestem związany? W jakim celu napadliście na nas? Co możecie nam zarzucić i udowodnić? Żądam więc stanowczo, abyś nas z więzów uwolnił.

— Życzeniu twemu stanie się zadość w całej rozciągłości, niestety dopiero wówczas, gdy cię



postawię przed... katem.

Szarpnął się z całej siły i równocześnie chciał coś rzec, lecz zagadnąłem go natychmiast:

— No, no, nie szarp się tak bardzo”, szkoda trudu. Jesteś za głupi na to, by mnie wywieść w pole. Człowiek taki, jak ty, powinien siedzieć w domu i opłakiwać swą głupotę. Możesz mi wierzyć, że dzisiaj, nim jeszcze zsiadłeś z wielbłąda tam u studni, wiedziałem już, co z ciebie za ziółko. Znasz ty bajkę o pluskwie, która chciała oszukać buhusaina?\*

— Co mnie obchodzi bajka, którą zna prawie każde dziecko.

— Przeciwnie, bajka ta powinna cię bardzo obchodzić, ponieważ z chwilą, gdy cię opadła niedorzeczna myśl o przebiegłym zapędzeniu mnie w ośli ką, stałeś się podobny zupełnie do tej bakki\*. Nie udałoby się to bowiem nawet człowiekowi o zdrowych zmysłach, a cóż dopiero mówić o tobie. Wszak w głowie twej, zamiast mózgu, woda chlupie i dlatego raz jeszcze ci powtarzam, że zamiar twój oszukania effendiego z Zachodu przypomina doskonale treść wspomnianej bajki.

Wypowiedziałem to z wielką dumą i zrozumiałością, jednakże wszelki inny sposób byłby tu był zupełnie bezcelowy. I rzeczywiście, nawet tak zuchwały ton nie zdołał go zbić z tropu,

— Uważałbym sobie za ujmę wchodzić z tobą w dalszą rozmowę. Jesteś giaurem. Gdybyś istotnie posiadał taki rozum, jak mniemasz, to dawno już wyrzekłbyś się swej pogańskiej wiary. Zresztą szkoda czasu na tę gadaninę, rozwiąż mi ręce natychmiast, zdejmi ze mnie powrozy, skalane tymi pogańskimi rękoma, gdyż inaczej...

— Milcz! — przerwałem mu nagle. — Jeżeli usłyszę tylko jedno słowo groźby, to odpowiem ci... batem! Jeżeli pies zaszczeka niepotrzebnie, to go się ćwicz... Szkoda, że nie rozumiałeś dotąd grozy swego położenia i szarpiesz się, zamiast błagać o litość. Ostrzegam więc raz jeszcze, że gotów jestem przekonać cię o rzeczywistości nie słowami, ale w inny sposób, nie bardzo dla ciebie miły...

— No, no, powoli... nie tak ostro... Jestem szejkiem i...

— Ba! — buchnął śmiechem. — Marny szejek Beduinów wobec mnie jest niczym; zresztą przedstawiłeś mi się niedawno jako dżelabi, a w istocie jesteś tylko członkiem bandy zbójckiej. Odpowiednio do tego obejdę się więc z tobą.

— W takim razie strzeż się! Byłbyś zgubiony. Mój szczep zniszczyłby was bez litości...!

— Co? ten człowiek śmie ci grozić, effendi? — zawołał Ben Nil, który zbliżył się i posłyszał ostatek zdanie dżelabiego. — Pozwól, a zaknebluję mu pysk.

— Możesz, pozwalam.

Ben Nil obrócił jeńca do góry plecami i odpiął od pasa bat. Odwróciłem się, nie chcąc być świadkiem niemilej egzekucji. Słuch tylko dał mi pewne wyobrażenie, jaką rozkosz miał Ben Nil, ćwicząc śmiertelnego swego wroga.

W tym czasie rozkazałem żołnierzom, aby poprowadzili jeńców i ich wielbłądy nad studnię. Rozkaz został wkrótce wykonany; sprowadzono tu również nasze wielbłądy.

Miejsca koło studni było dość, bo naokoło uprzątnięto starannie drzewa i krzaki w celu wygodnego urządzenia obozowiska. Było też pod dostatkiem wody. Żołnierzom nie brakowało humoru, gdyż obłowili się znakomicie. Na każdego z nich przypadła zdobycz broni, żywności i mienia trzech jeńców. Ja oczywiście nie tknąłem niczego, a Ben Nil, mimo całej swojej nędzoty, poszedł za moim przykładem. Gdy go spytałem o powód tej wspaniałomyślnej skromności, odpowiedział:

— A czemu ty, effendi, nie wziąłeś niczego? Chcesz, żeby żołnierze mieli więcej, czy też jesteś za dumny na to, by brać łup wojenny? Słyszałem, że wojownicy Zachodu nie lecą na zdobycz, nie dopuszczają się na wojnie grabieży. Co do mnie, to uważałbym sobie za ujmę, gdybym się tknął przedmiotów, które były w brudnych rękach tych psich synów.

Mniemanie to, uznałem za bardzo szlachetne. Skłoniło mnie ono do tego, że traktowałem go więcej po przyjacielsku, na co zresztą zasłużył sobie przywiązaniem do mnie i życzliwością.

Trzeba było teraz pomyśleć o zabezpieczeniu jeńców, przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności w celu zapobieżenia możliwej ich ucieczce. Poukładano ich tedy w środku i otoczono, nie spuszczając z nich oka ani na chwilę. Na noc wyznaczyłem wartę. Było jeszcze widno, ale wieczór już się powoli zbliżał. Postanowiłem więc przed zapadnięciem zmroku zbadać dokładnie teren naokoło studni. W ciągu swoich podróży nie zaniedbywałem tej ostrożności, nawet wówczas, gdy się czułem najzupełniej pewnym i bezpiecznym. Oddaliłem się tedy od obozowiska, szukając śladów i orientując się w położeniu. Równocześnie wysłałem kilku żołnierzy do lasu po drwa, gdyż wobec znacznej liczby jeńców, trzeba było założyć i podtrzymywać przez całą noc kilka ognisk. Wróciłem niebawem, nie znalazłszy nic podejrzanego. Żołnierze naznosili już całą kupę drewna, a jeden z nich przyniósł mi bardzo interesujące przedmioty, które znalazł pod drzewem.

— Zobacz no, effendi, te dwie kości — rzekł do mnie, zakłopotany trochę — zdaje mi się, że pochodzą one z cielęcia. A że zazwyczaj nikt nie bierze ze sobą na step cieląt, by je tu zabijać, przypuszczałem, że obozowali tu złodzieje, trudniący się kradzieżą bydła.

Wziąłem do ręki podane mi kości i — zdębiałem. Jedna z nich była połową łopatki, druga nasadą goleni.

— To nie są kości cielęcia, lecz człowieka — ozwałem się.

— Allah! A zatem tu kogoś zamordowano!

— No, o morderstwie mowy nie ma. Człowiek ten z wszelkim prawdopodobieństwem został pożarty.

Wszyscy otoczyli mnie wokoło i krzycząc starali się przekonać mnie, że nie mam słuszności.

— Nie mylę się, moi kochani, ponieważ znam się doskonale na budowie ludzkiego ciała i mogę z

zamkniętymi oczyma odróżnić kości ludzkie od zwierzęcych. Ta łopatka daje mi pewne oznaki, że gryzł je jakiś drapieżny zwierz. Czyżby w tej okolicy były lwy?

— Allah niech nas strzeże i broni i łaską swoją darzy! — krzyknął nasz przewodnik. — Z pewnością nie był to żaden inny diabeł, jak tylko Chazzak el Dżuma\*, lew z El Teitel!

— Dlaczego dano mu nazwę tej okolicy?

— Ponieważ odwiedza on naprzemian wszystkie studnie, znajdując się między El Teitel a Nilem.

— A jakiej okoliczności zawdzięcza on drugie miano?

— Bo nie ma tygodnia, żeby nie pożarł człowieka. Znajduje się w tych okolicach przeszło cały rok.

— I nie starał się nikt upolować go i uczynić nieszkodliwym?

— Upolować? Co też tobie przychodzi do głowy, effendi! Allah strzeże każdego człowieka przed tym potworem, większym od wołu, a silniejszym niż słoń.

— Wiadome jest jego legowisko? Widział go może kto z lwicą lub z młodymi?

— Niestety. Drapieżca nie posiada stałej siedziby; śpi raz tu, raz tam, gdzie go zaskoczy noc. Najprawdopodobniej szuka sobie legowiska na przestrzeni między jedną studnią a drugą.

— A więc mamy tu do czynienia z mahdanim. Wiem coś o tych szkodliwych i ogromnie niebezpiecznych zwierzętach. Odznaczają się one niesłychaną drapieżnością. Jeżeli taki potwór raz zasmakuje w mięsie ludzkim, to żywi się nim przez całe życie. Na zwierzęta napada jedynie wówczas, gdy mu grozi głodowa śmierć.

— To prawda, effendi, podobnym ludożercą jest właśnie ten wagabunda z El Teitel. Zdarza się nawet tak, że bestia w ciągu tygodnia zjada aż dwoje ludzi. Kiedy on tu był?

— Przed pięciu albo sześciu dniami, jak można wnosić z wyschnięcia tych kości.

— O, Allah, to okropne! Jeżeli tak, to możemy się spodziewać go tu... właśnie dziś. Gdyby tu był wczoraj lub przedwczoraj, to dziś znajdowałby się z pewnością w innych stronach, ale po sześciu dniach zdołał już odbyć swą okrężną podróż.

— Zależy zresztą od tego, ile on studzien odwiedza i czy zdobył sobie co po drodze. Przecież on nie może zjeść człowieka za jednym razem i oddala się dopiero wówczas, gdy wyszły resztki szpiku z kręgosłupa. Możliwe, że leżał on tu co najmniej trzy dni.

— W takim razie Allah miał na nas wzgląd i miłosierdzie. Drapieżca mógł nas napaść podczas ostatniej nocy. Jeżeli kości leżą już cztery dni, a on tu siedział trzy dni, wynika z tego jasno, że oddalił się stąd wczoraj, no i możemy spać spokojnie.

— Rozumowanie wcale trafne, ale mogłoby ono wprowadzić nas w błąd. Lew, jak w ogóle każe inne zwierzę drapieżne, kręci się więcej na tych miejscach, gdzie raz znalazł zdobycz, niż tam, gdzie mu się nic nie trafiło. Możliwe więc, że pojawi się tu prędzej, niż przypuszczasz.

— A niechże nas strzegą wszyscy święci całego kalifatu! A może on wcale się nie oddalił i czai się gdzieś w ukryciu?

— Gdyby tak było, zauważyłbym niezawodnie jego ślady. Musimy jednak zachować wielką ostrożność, bo lwy tego gatunku odznaczają się wielką przebiegłością i nie dają znać o sobie rykiem, jak to czynią inni ich pobratymcy. One się skradają zręcznie i ostrożnie niż pantery i rzucają się na swoje ofiary zniemacka, bez wydania z siebie głosu. Zastrzeliłem raz takiego zatwardziałego grzesznika, który tylko raz ryknął z uciechy, że wpadł na ślad ludzki. Potem zaś zbliżał się chyłkiem i po cichu, jak kot.

— Co ty mówisz, effendi! Ty zastrzeliłeś takiego strasznego potwora?

— O, nie jednego.

— I trafiłeś?

— Mój kochany, ja nigdy nie chybiam celu. Zdarzało mi się to jeszcze w chłopięcych latach, gdym się uczył strzelać, ale teraz... szkoda przecie kul i prochu na wiatr.

— I zabiłeś lwa?

— Powiedziałem ci to przecie wyraźnie.

— A iloma strzałami?

— Jednym. Raz tylko zdarzyło mi się, że potrzebowałem dwie kule.

— O, effendi, ja ty pięknie blagujesz, jak ty blagujesz! Ani mi się śniło brać mu za złe tych wykrzykników, ponieważ nie było mi obcym, w jaki sposób mieszkańcy stepów i pustyni polują na lwy.

Skoro tylko odkryją legowisko lwa, natychmiast mobilizują się wojownicy całego szczepu i jadą na miejsce, okrążają je, rzucają kamienie i krzyczą, ile mają sił, tak długo, dopóki nie wypłoszą zwierza z kryjówek. Wówczas strzelają wszyscy na oślep. Kule fruwać w powietrzu, ale nie trafiają żadną, a jeśli trafi, to tylko zrani rozjuszonego zwierza, który rzuca się jak wściekły na całą gromadę, powala jednego albo nawet dwóch jeźdźców i zabija, a tymczasem inni się cofają, nabijają broń na nowo i strzelają z tym samym skutkiem, co przedtem. Lew rzuca się znowu na napastników i rozdziera trzeciego. W ten sposób brzmiały salwy jedne po drugich tak długo, dopóki zwierze nie padnie wreszcie z podziurawioną skórą jak rzeszoto, nie trafiony bynajmniej, lecz wyczerpany przez upływ krwi. Zwycięstwo takie musi być z reguły okupione życiem kilku ludzi, ale to się nie liczy. Główna rzecz, że król pustyni padł zabity. Rzuca się tedy na niego cała zgraja, kopie nogami, obrzuca kamieniami, przeklina i pastwi się nad garścią zbitego ścierwa do syta. Nie zdarza się to nigdy w nocy, lecz jedynie w dzień. Że jeden jedyny Europejczyk może w ciemną noc jednym celnym strzałem

położyć zwierzę, zbliżające się do wody lub do przynęty, uważają ci ludzie za wierutną bajkę, i nie wierzą w to wcale. Nie dziwnym mi więc było, że poczciwy przewodnik sądził, jakobym starał się bawić go „piękną blagą”.

— On zabił lwa! — mówił dalej, uśmiechając się drwiąco. — Jednym strzałem i do tego w nocy, sam jeden jak palec! O, Allah, o Mahomet, co za straszliwy bohater z effendiego. Radbym go widzieć jako Sijad es Saba\*.

— No, no, nie pragnij tego — ostrzegłem go, nie obrażając się bynajmniej jego żartami. — Możesz to wyrzec w złą godzinę, czyli że lew zjawiłby się tu może w tej chwili, a mnie się widzi, że byłoby to dla ciebie nie bardzo miłe i pożądane.

— Ależ przeciwnie — odparł, śmiejąc się jeszcze ciągle — cieszyłbym się niezmiernie, gdyby życzenia moje mogły się ziścić. Boję się lwa akurat tyle, co i ty. Ludożerca należy do zwierząt olbrzymich i, jeżeli mu pozwolę zbliżyć się na dostateczną odległość, to trafię go na pewno. Co może obcy effendi, który się tu wcale nie urodził, to potrafię również ja, syn tego kraju. Możemy się zresztą założyć, że w razie pojawienia się lwa, będę czynił to samo, co ty.

— Zgoda! O co zakład?

— Uważasz, że twój zegarek i luneta, mają taką samą wartość, jak moja flinta?

— Chętnie.

— I nie żartujesz, effendi?

— Nie. Chcesz się tedy założyć koniecznie?

— Koniecznie, przysięgam ci na Allaha i na brodę proroka. Nie cofniesz się?

— Nie. I ty, skoro przysięgłeś na Allaha i brodę proroka, cofnąć się również nie możesz, bo naprzód wyśmiewasz mnie, nie dając wcale wiary, i nagle bierze cię chętką na mój zegarek i lunetę i jesteś pewnym, że oba te przedmioty są już twoją własnością, ponieważ zdaje ci się, że ja w razie pojawienia się lwa będę siedział przy ogniu najspokojniej w świecie i ani się ruszę. Ale mylisz się i to grubo.

Spuścił oczy na chwilę, a potem ozwał się poważnie:

— Ja cię wcale nie chcę obrażać, tylko ci nie wierzę.

— A ja nie myślę o tym, że zwierz się pojawi, gdyby jednak tak było, przekonam cię, że się mylisz. Przy zakładzie obstajesz?

— Przysięgam.

— Nie pozostaje ci zatem nic innego, jak tylko modlić się do proroka, by nie dopuścił lwa tutaj, a jeśli cię nie wysłucha, wówczas możesz się raz na zawsze pożegnać ze swoją historyczną flintą.

Teraz musimy zajrzeć do jeńców...

Przerwałem zdanie, gdyż spostrzegłem nagle na zachodniej krawędzi pod światło sylwetkę wielbłąda z jeźdźcem, który stanął i, zobaczywszy nas, wahał się, czy nas ominąć, czy nie. Po krótkim namyśle podciał wielbłąda i popędził wprost ku nam.

Przybywszy, zsiadł ze zwierzęcia i zagadnął:

— Zanim usta moje wypowiedzą salam, powiedzcie mi, kto jest waszym dowódcą.

— Ja nim jestem — odparłem.

— To są żołnierze, a ty bynajmniej nie wyglądasz na askariego\*, w jaki tedy sposób mogę o to sobie wytłumaczyć?

— Czy uniform stanowi żołnierza?

— Nie wierzę ci. A co to za ludzie leżą powiązani? Co to ma znaczyć?

— Są to nasi jeńcy, łowcy niewolników.

— Czyż popełnili przez to zbrodnię?

— Oczywiście. Rabowanie ludzi...

— Niewolnicy i w ogóle czarni nie są właściwie ludźmi. Ty puścisz tych jeńców na wolną stopę!

Mężczyzna ten liczył około lat trzydzieści, był chuderlawy i nosił niezbyt gęstą, długą brodę. Z posępnej, ascetycznej twarzy przebijała się surowość. Stał dumnie wyprostowany przede mną a oczy jego błyszczały prawie groźnie, jak gdyby nie ja, lecz on był tym, który ma tu rozkazywać. Nie miałem wyobrażenia, że człowiek ten jako Mahdi odegra później tak wielką i znakomitą rolę.

— Proszę? spytałem go. — No, proszę! Jakim prawem i na jakiej podstawie śmiesz domagać się tego i to z taką pewnością?

— Ponieważ rozkazuję ja, fakir el Fukara.

— Bardzo ładnie. A ja jestem askari el asaker\* i robię tylko to, co mnie się podoba.

Fakir el Fukara jest fakirem fakirów, a zatem najprzedniejszy z fakirów, dlatego ja nazwałem siebie żołnierzem żołnierzy, a więc najdoskonalszym z tych żołnierzy. On, zdaje mi się nie oczekiwał takiej odpowiedzi, ponieważ zapytał:

— I ty mnie nie znasz? Nie słyszałeś nigdy o fakirze el Fukara?

To mówiąc, zamienił z czcigodnym fakirem, leżącym na ziemi, przelotne, ale wiele znaczące spojrzenie, co mojej uwagi nie uszło. Znają się więc, pomyślałem i odrzekłem:

— Nie znam cię wcale, lecz moi jeńcy mają ten zaszczyt.

— A ty skąd wiesz o tym?

— Powiedziałeś mi to ty sam.

— Kiedy? Nic o tym nie wiem.

— W tej właśnie chwili. Powiedziały mi to twoje, oczy. Uczyniłeś sławnemu Abd Aslowi przyrzeczenie, którego żadną miarą nie dotrzymasz.

— A jednak dotrzymam... Zapytaj swoich jeńców, a powiedzą ci, że jestem potężnym i że, co przyrzekam, tego zawsze dotrzymuję.

— Zapytaj ich wprzód o mnie, a objaśnią cię dokładnie, że w tym momencie ja jestem tym, który rozporządza potęgą. Kto ty zasz, jest mi to zupełnie obojętne. Zastępuję tu miejsce reisa effendiny, a więc kedywa, powinno ci to wystarczyć.

— Nie zadowala mnie to wcale, lecz wywiera wręcz przeciwny skutek, niż się spodziewałeś. Zarówno wicekról jak i reis effendina nie znaczą w moich oczach nic i bynajmniej nie mam zamiaru zwracać się do nich.

Wówczas nie miałem wyobrażenia o jego stosunkach i dopiero później dowiedziałem się, z jakich powodów mógł ten człowiek wyrażać się tak lekceważąco. Był on przez pewien czas w służbie rządowej a potem zrezygnował z posady i wolał się zajmować handlem niewolników. Nie wiedziałem oczywiście jeszcze o tym, lecz mimo to odparłem tonem wyższości i z pobłażliwym uśmiechem:

— A jednak, mimo wszystko, zwrócisz się do niego chociażby nawet w tej chwili, gdy w jego imieniu wydam ci rozkaz.

— Zobaczymy, czy mnie się zechce usłuchać tego rozkazu.

To powiedziawszy, dobył noża i pochylił się nad Abd Aslem.

— A to co znaczy? — krzyknąłem. — Co chcesz robić?

— Uwolnić z więzów tego oto mego przyjaciela!

— Ale ja na to nie pozwalam.

— Nie pytam ciebie o to.

Już przytknął ostrze noża do rzemieni, którymi były skrępowane członki jeńca, gdy wtem poskoczyłem ku niemu z tyłu, chwyciłem oburącz za biodra i machnąłem nim tak, że poleciał o parę kroków w trawę. Podniósł się jednak w okamgnieniu, wyciągnął rękę w nóż uzbrojoną i rzucił się ku mnie, miotając słowami wściekle:

— Poważyles się tknąć fakira el Fukara! Oto masz za to!...

Nie przyszło mi nawet na myśl, by dobyć rewolweru, żaden też z żołnierzy nie powstał w mej obronie, tylko jeden Ben Nil zerwał się, sięgnął ręką do pasa, lecz został na miejscu. Wszyscy byli pewni, że dam sobie sam radę z napastnikiem bez ich pomocy. I istotnie trafne było ich przypuszczenie. W chwili, gdy przeciwnik zbliżył się do mnie z podniesionem wysoko ramieniem, uderzyłem go z dołu pod pachę zaciśniętą pięścią tak niespodzianie i silnie, że przekopyrtnął się znowu kilka razy po ziemi. Wówczas dobyłem rewolweru i, gdy po raz trzeci zamierzał rzucić się na mnie, jak dziki zwierz, rzekłem spokojnie, lecz stanowczo:

— Jeżeli tylko postąpisz pół kroku, zastrzelę cię!

— Stój, pohamuj się, bo on nie żartuje — wtrącił Abd Asl — to przecie giaur!

Fakier el Fukara na te słowa stanął jak wryty na miejscu, jak skamieniały, niewiadomo czy ze strachu przed lufą rewolweru, czy też z oburzenia i grozy na samo wspomnienie, że jestem giaurem.

— Giaur? On nie jest muzułmaninem?

— Nie, lecz chrześcijańskim effendim — odparł stary.

— I ten pies ważył się mnie...

W tym momencie stanął przede mną Ben Nil z podniesionym batem i zapytał:

— Czy chcesz, effendi, abym mu tym oto batem napisał na skórze odpowiedź na jego głupie szczekanie?

— Tym razem jeszcze mu daruję — odrzekłem, — bo wypowiedział to w uniesieniu, jeżeli jednak odważy się choćby na pół słowa, które byłoby dla mnie obrazą, sprawię mu takie lanie, że będzie ziemię gryzł z bólu i wściekłości.

— Allah! On mi grozi laniem! Chrześcijanin! Co za śmiałość, co za bezczelność!...

— No, co do śmiałości — parsknąłem mu śmiechem w twarz — to wobec ciebie i mowy o niej być nie może, nawet gdybyś miał po swej stronie dziesięciu towarzyszy takich jak ty. Jesteś jednak sam jeden, a poza mną stoi dwudziestu żołnierzy.

— Czy oni są muzułmanami?

— Rozumie się.

— W takim razie powinni stanąć po mojej, a nie po twojej stronie. Bo czyż możliwe, żeby muzułmanin patrzył obojętnie na to, jak giaur i poganin grozi prawemu wyznawcy proroka plagą cielesną? Czy też muzułmanin ów rzuci się właśnie na tego samego, który jego współwyznawcę znieważa...



Na to zerwał się ku niemu Ben Nil i odpowiedział za mnie: „,, — Posłuchaj no, każdy z nas kocha tego effendiego całym sercem, i w jego obronie gotów jest walczyć z każdym, kto by mu groził. W naszym pojęciu wart on więcej niż dziesięciu, niż nawet stu fakirów el Fukara i zapewniam cię, że nie byłbyś wcale pierwszym z tych, którzy za nieposkromiony język jęczeli pod razami bata, jak potępieńcy. Radzę ci więc, bądź bardzo ostrożny, bo skoro nie zamkniesz gęby, wkrótce skóra może być w robocie i wtedy nie pomogą żadne błaganie.

— Chłopcze! — przerwał mu fakir — ty sam raczej trzymaj język za zębami, bo co ty znaczysz razem ze swoją gromadą wobec mnie i moich poddanych, którzy dążą za mną i, jeżeli tylko krzyknę...

— Krzyknij, no, krzyknij! Chcemy słyszeć, czy chociaż jeden głos się odezwie...

— No tak, w tej chwili nie, bo nie mam nikogo ze sobą, ale później mogę was wszystkich zgnieść, jak nędzne robaki zdeptać i zniszczyć!

Wśród żołnierzy dał się zauważyć pomruk niezadowolenia; on jednak nie zważał na to i ciągnął dalej:

— Już przez to samo, że służycie chrześcijaninowi, wypieracie się swego proroka, a to rzecz wielce karygodna. Albo na przykład, czy macie prawo więzić tych oto wiernych? Jeżeli nawet łowili niewolników, to czyż to grzech? Wskażcie mi, w którym rozdziale koranu zabroniony jest handel niewolnikami.

Mówił to w nadziei, że uda mu się podburzyć przeciw mnie żołnierzy, był może nawet tego pewny. Nie próbowałem przerywać mu tych przekonywujących dowodów jakimkolwiek zaprzeczeniem. Wyręczył mnie w tym Ben Nil, który zabrawszy głos w imieniu wszystkich, odpowiedział:

— Ty nie wiesz, o co tu idzie i nie znasz wcale sprawy, więc ci wyjaśnię. Ibn Asl, syn tego starego fakira, napadł na Beni Fassarów, pozabijał mnóstwo ludzi, a młode kobiety i dziewczęta uprowadził ze sobą, ażeby je sprzedać w niewolę. My jednak odebraliśmy mu je i odprowadziliśmy do ojczyzny, za co poprzysiął nam zemstę i wysłał przeciw nam swego ojca na czele tych oto powiązanych jeńców. Zaczaili się oni w tym miejscu i mieli napaść na nas znienacka i wymordować co do nogi z wyjątkiem effendiego, któremu miano odrąbać ręce i wyrwać język. Powiedz więc, kto ma słuszość, my razem z effendim, czy ci, którzy napadają na wiernych i rabują im kobiety? Godzi się to?

— Oczywiście, że nie — odparł fakir.

— A czy Beni Fessarowie są wiernymi, czy giaurami?

— Wiernymi.

— W takim razie Ibn Asl zasłużył na karę śmierci, a ci oto jeńcy są jego współnikami i muszą być ukarani, nie mówiąc już o zbójceckich zamiarach, o których wspomniałem.

To wyjaśnienie młodzieńca osiągnęło swój skutek. Fakir el Fukara zwrócił się do starego Abd Asla i zapytał:

— Czy to wszystko prawda, co tu słyszałem?

— Niech nam udowodnią — odrzekł — że chcieliśmy pomordować tych żołnierzy. To wszystko bezczelne kłamstwo.

— Nie kłam — poskromiłem go. — Słyszałem na własne uszy wszystko, leżąc w zaroślach tuż blisko was w chwili, gdy układałeś z dżelabim cały plari.

— Mogłeś się pomylić — wtrącił fakir el Fukara.

— Słyszałem wszystko bardzo dokładnie, a oprócz tego mam inne dowody na potwierdzenie tego, co mówię.

— Jakież to dowody? Muszę je rozważyć.

— Musisz? Cóż to za ton? Któż cię to ustanowił sędzią nade mną? Ja muszę tylko to, co mnie się podoba, i mogę ci objawić w tej chwili swoją wolę. Żądam mianowicie, abyś się nie mieszał do tej sprawy. Sparzyłeś sobie już ręce na tym wszystkim i powinieneś być teraz nieco ostrożniejszym. Oprócz tego, przybyłeś tu i, nie znając mnie wcale, odgrywasz rolę jakiegoś zwierzchnika. Radzę ci jednak, jedź sobie, gdzieś się wybrał, albo przenocuj z nami, co ci lepiej dogadza. Mnie to obojętne, lecz jeżeli jednym słowem wmieszasz się w moje sprawy, przekonam cię natychmiast, że ja tu jestem chwilowo upełnomocnionym władcą.

— A w jaki sposób mnie przekonasz?

— W taki, że cię nie ścierpię i wypędzę precz. Ustąp mi z oczu! Możesz przenocować, gdzie chcesz; obok żołnierzy, tylko nie razem z jeńcami, nie wolno ci niczym zajmować się.

Spojrzał na mnie i wyczytał z oczu, że nie ścierpię dalszego oporu. W twarzy jego jednak czaiła się straszna zaciekłość i złość, grożąca każdej chwili żywiołowym wybuchem. Rozsiodłał wielbłąda i puścił go wolno na paszę. Następnie wydobył z torby u siodła kubek na wodę, zawiniątko z pożywieniem i rozłożył się z tym nad samą studnią. Wprzód jednak zaczął wieczorną modlitwę, którą z powodu sprzeczki ze mną nie mógł odmówić we właściwej porze, to jest równocześnie z zachodem słońca. Tak samo i moi żołnierze zapomnieli byli o mogrebie czyli o przepisanej godzinie modlitwy i teraz dopiero wzięli sobie przykład z pobożnego przybysza.

Rozłożono cztery ogniska. Na przestrzeni między tymi ogniskami leżeli jeńcy oświetleni tak, że najmniejszy ruch z ich strony nie mógł ujść naszej uwagi.

Ponadto żołnierze usadowili się łańcuchem naokoło, a poza nimi również w okrąg leżały wielbłądy, spętane za przednie nogi.

I ja usiadłem tuż przy studni, by spożyć wieczorny posiłek. Przysiedli się do mnie Ben Nil i przewodnik fessarski. Fakir el Fukara znajdował się od nas tak blisko, że mógł dokładnie słyszeć naszą rozmowę. Nie miałem wcale zamiaru kryć się przed nim z czymkolwiek, gdyż inaczej gotówby sobie pomyśleć, że się go boję. Domyślałem się, że Ben Nil skorzysta ze sposobności i przypomni mi

swoje żądanie co do starego Abd Asla, i istotnie, skoro skończyłem wieczerzę, ozwał się:

— Nie chciałem ci przeszkadzać, effendi, ale skoro jesteś już gotów, mogę teraz mówić, nieprawdaż? Przyszedłeś, że wydasz mi starego fakira.

— No tak całkiem na pewno, jak ci się zdaje, nie przyrzekałem.

— Słusznie. Miałeś dowiedzieć się czegoś od niego, a potem pozwolić, bym go ukarał, jak na to zasłużył.

— Ale je jeszcze z nim wcale nie mówiłem i bynajmniej mi się nie spieszy.

— O, nie! Nie uwierzę w to wcale. Tobie bardzo zależy na tym wywiadzie i wiesz nawet dobrze, że mogłoby być za późno. Ociągasz się jednak, bo nie życzysz sobie jego śmierci.

— Allah go ukarze!

— No, oczywiście, ale za moim pośrednictwem.

— Popatrz tylko, toż to siwowłosa i niedołężny starzec. Czyż miałbyś sumienie wbić mu nóż w piersi?

— Ale on miał sumienie zamknąć nas obu w studni, abyśmy tam marnie zginęli. A dziś, czy nie był gotów do wymordowania dwudziestu ludzi? Jeżeli go ułaskawisz, to popełnisz przez to wielki grzech wobec Allaha, który przecież i twoim jest Bogiem.

— To prawda — potwierdził przewodnik — bo i mnie zagłądała już śmierć w oczy z jego powodu tak samo, jak i żołnierzom, mamy więc prawo wszyscy domagać się krwi tego mordercy.

— Słusznie, słusznie — odezwały się głosy wśród żołnierzy.

— Słyszysz, effendi! — pytał przewodnik — czyż wobec tego będziesz się dalej ociągał z przyzwoleniem na wykonanie przysługującego nam prawa? Jeśli tak, to bądź pewny, że nie będziemy się oglądali na ciebie i zrobimy, co nam się podoba.

Myślałem o tym nim to powiedział. Żołnierze pałali wściekłym gniewem ku jeńcom i tylko wzgląd na mnie powstrzymał ich w czasie napadu od rozbastwienia. Z pewnością byliby pozabijali wszystkich na miejscu. Zresztą nie mogłem ich wcale zapewnić, że winowajców spotka w Chartumie zasłużona kara, i jeżeli wbrew mej woli zapragnęli się pomścić, to nie było rady. Gdybym się starał odwieść ich od zamiaru stanowczą groźbą — wówczas straciliby łatwo dla mnie poważanie. Lepiej więc było poświęcić jednego, niżby w czasie walki zginąć miało więcej, na tym jednym nie był kto inny, tylko stary fakir. Już, już byłem zdecydowany powiedzieć: dobrze, gdy wtem zbliżył się do mnie najstarszy z żołnierzy i zameldował:

— Przychodzę do ciebie, effendi, z pewną prośbą w imieniu wszystkich towarzyszy.

— Słucham cię — odrzekłem.

— Powiedz wpraw, czy byliśmy ci posłuszni i czy jesteś z nas w ogóle zadowolony.

— Mogę przed resem effendiną każdemu z was wystawić jak najlepsze świadectwo.

— Dziękuję ci. To powiedz, żeśmy zawsze czynili to wszystko, co nam rozkazywałeś, nawet wówczas, gdy wola twoja była dla nas zupełnie niezrozumiałą. Wiedzieliśmy zawsze z góry, że wszystko, co obmyślasz i podejmiesz, musi być dobre i słuszne i dlatego ceniliśmy cię zawsze i poważali. Mimo to w postępowaniu twoim zauważyliśmy pewien błąd i, jeżeli tylko się nie obrazisz, gotowi jesteśmy zganić cię za to. Jesteś mianowicie jako chrześcijanin bardzo pobłażliwy względem naszych wrogów, a przecie wrogów tych trzeba koniecznie zniszczyć, inaczej oni zniszczą nas! Jeżeli bowiem schwyć dziś swego śmiertelnego wroga i powodowany litością, puszczyć go na wolność, to on napadnie na mnie jutro. Myśmy właśnie dzięki twojej przeczności i sprytowi uszli dziś śmierci i mamy w rękach wszystkich wrogów, ale ty nie chcesz ani słyszeć o tym, abyśmy ich ukarali. Dobrze więc, zgadzamy się na to i tym razem jeszcze nie wypowiadamy ci posłuszeństwa. Jeńców tych dostawimy do Chartumu i oddamy reisowi effendinie, wszelako jeden z nich musi zginąć z naszej ręki, a tym jest nie kto inny, tylko Abd Asl. Domagamy się tego bezwarunkowo. Nie chcielibyśmy powstawać przeciw tobie, lecz jeżeli odrzucisz tę naszą skromną prośbę, to nie jest wykluczone, że w nocy ten lub ów z nas zakradnie się do jeńców i utopi nóż w piersi pierwszego lepszego, jaki mu pod rękę podpadnie. Namyśl się więc dobrze...

Wypowiedział to w tonie dosyć energicznym, cóż więc miałem na to odrzec? Czy istotnie jako chrześcijanin byłem obowiązany oszczędzić Abd Aslowi okrutnego losu po to, by wielu innych na tym ucierpiało? Jedyłą deską ratunku w tym położeniu była moja przebiegłość. Postanowiłem tedy zdać wszystko na łaskę lub nielaskę poczciwego Ben Nila. Nie powinno się przelewać krwi przynajmniej tak długo, jak długo ja rozkazuję, a co potem, to już nie ode mnie zależy i dlatego odpowiedziałem, zgadzając się pozornie na ich żądanie.

— Sądząc wedle waszych poglądów, mówiłeś całkiem rozumnie, jednakże powiedz sam, czy mogę ja rozporządzać życiem fakira, który wcale cło mnie nie należy. Prawo pierwszeństwa w wykonaniu sprawiedliwości na tym winowajcy ma nie kto inny, tylko Ben Nil.

— Słyszeliśmy jednak, że ty wzbranasz mu tego.

— Bynajmniej. Jeżeli wy się zgodzicie, wolno mu postąpić, jak zechce.

— W takim razie, effendi, już się zgodzili na wszystko.

— To znaczy, że oddajecie życie fakira w ręce Ben Nila.

— Tak.

— A zatem już się porozumieci. Możesz to oznajmić swoim towarzyszom.

Żołnierz oddalił się zadowolony z obrotu sprawy, a Ben Nil chwycił mą rękę i ozwał się:

— Dziękuję ci, effendi. Prawu pustyni stanie się zadość i, mam nadzieję, nie powtórzy się straszna zbrodnia, jakiej byliśmy świadkami.

— Idź więc i wbij związanemu i bezbronnemu starcowi nóż w piersi. To bardzo szlachetne i — bohaterskie!

Na te słowa spuścił wzrok ku ziemi. Widać było, że walczy z samą sobą. Po chwili podniósł głowę i zapytał:

— Czy ten starzec należy istotnie do mnie i czy mogę z nim uczynić, co mi się podoba?

— Możesz.

— Dobrze. Wykonam zemstę zaraz.

Zerwał się i dobył noża, gdy wtem przyskoczył ku niemu fakir el Fukara i chwycił go za ramię:

— Stój! To byłby mord, a ja na to nie pozwolę!

Ben Nil odepchnął go od siebie z taką siłą, o jakiej byłbym nigdy nie przypuszczał.

— Milcz! — krzyknął. — Co ty masz tutaj do rozkazywania! Na twoje słowa zważam tyle, co na brzęczenie muchy.

— Milcz ty sam, smarkaczu, bo jeżeli zbierze mnie ku temu ochota, zmiążdżę cię w moich rękach, jak nędznego komara.

— Spróbuj, nie bronię ci tego wcale.

Ben Nil miał już w ręce nóż, który przedtem z za pasa wyciągnął. Fakir el Fukara sięgnął teraz po swój nóż, lecz w tej chwili pospieszyłem ku niemu, wytrąciłem mu broń z ręki i krzyknąłem:

— Precz mi stąd, gdyż inaczej będziesz miał ze mną do czynienia!

— A ty ze mną! — odparł, pieniać się ze złości.

— Ba! Ale mnie się zdaje, że miałeś już sposobność przekonać się, co znaczysz wobec mnie.

— No, no, poszcęściło ci się przypadkowo i nie mów hop, aż nie przeskoczysz. Bo czyż możliwe, żebyś miał więcej odwagi i zręczności, niż ja? Ja ci powiadam, że fakir el Fukara nie boi się żadnego nieprzyjaciela, choćby był olbrzymem lub samym diabłem. Zrozumiałeś?

Odpowiedź na to zamarła mi na ustach, gdyż w tej chwili do uszu naszych doleciał jakiś głos, podobny do dalekiego grzmotu albo też do wycia znajdującej się w pobliżu hieny, która się ze snu przebudziła. Głos ten nie był mi obcy. Po chwili usłyszałem to samo i nie było najmniejszej wątpliwości, że to nie to samo i nie było najmniejszej wątpliwości że to nie kto inny się zbliża, tylko jego królewska wysokość, król zwierząt i władca pustyni we własnej osobie.

— Czy i tego nieprzyjaciela się nie boisz? — spytałem fakira, wskazując w stronę, skąd dochodził

nas ryk zwierza.

— Powiedziałem, że nie boję się nikogo i niczego.

— I jesteś gotów stanąć przed nim oko w oko?

— Tak — zaśmiał się — ale tylko pod tym warunkiem, że ty mnie do niego zaprowadzisz.

— A więc dobrze, zgadzam się. Proszę za mną! — odpowiedziałem, zaglądając do strzelby, czy nabita.

— Widzę, że z ciebie nie lada bohater — zauważył z szyderstwem, — skoro nie wahasz się walczyć i z hieną.

— Z hieną? Jesteś chyba głuchy i nie słyszałeś głosu jego królewskiej mości.

— Jego królewskiej mości? Masz na myśli lwa?

— Tak jest, lwa.

— Ależ to z pewnością hiena. Ty sam jesteś głuchy albo tak bojaźliwy, że hienę bierzesz za lwa. Jednakże, gdyby to był istotnie dusiciel trzody, już ja bym się z nim zmierzył, aby przekonać cię...

Urwał nagle, bo ryk ozwał się znowu o wiele wyraźniej, niż za pierwszym razem, co oznaczało, że zwierzę do nas się przybliżyło. Zauważyły to nawet wielbłądy, parskając z trwogi, a przewodnik fesarski krzyknął:

— *Allah kerim* — Boże ulituj się nad nami! To istotnie lew, olbrzymi lew z El Teitel. Pożre nas wszystkich z kośćmi.

— Tak, tak. On wpadł na nasze ślady i tego oto dzielnego fakira el Fukara i dlatego aż dwa razy ryknął — odrzekłem. — Teraz jednak skrada się tu po cichu, by wybrać sobie któregoś z nas na wieczerzę.

— Niechże nas Allah broni przed tym ogoniastym diabłem!

— A więc boisz się? Cóż jednak w takim razie będzie z naszym zakładem?

— Oh, ten zakład, effendi!...

— Miałeś przecież zamiar czynić to wszystko, co ja,

— Naturalnie, że się nie cofnę — odrzekł, ale flinta wizyjna drżała przy tym w jego ręku, jakby ją nawiedziła żółta febra.

— A zatem, chodź naprzeciw!

— Zwariowałeś, effendi?

— Bynajmniej. Jeżeli wyjdę naprzeciw, to go odszukam i zabiję, gdybym jednak tu został, zginąć musi jeden człowiek.

— Możliwe, ale w każdym razie nie ty ani ja.

— Jednego bezwarunkowo pożre, a kogo, to wszystko jedno.

— O, przepraszam, to wcale nie wszystko jedno, czy lew zje mnie, czy kogo innego. Proszę cię więc błagam, zostań tu między nami. Jeśli pochowamy się za wielbłądy, to możemy być zupełnie bezpieczni.

— Czyż sądzisz, że lew nie potrafi wydobyć swej ofiary nawet z pośród wielbłądów? Nie zatrzymuj mnie; spieszę naprzeciw wroga, a ten oto dostojny fakir el Fukara będzie mi towarzyszył!

— Mówisz to zupełnie poważnie, effendi? — zapytał fakir.

— Chciałeś przecie sam iść ze mną razem. Inaczej gotów jestem sobie pomyśleć, że posiadam więcej odwagi i siły, niż ty. Chełpić się potrafi każdy tchórz, ale fakir el Fukara powinien przecie...

— Milcz! — przerwał mi żywo — idę!

— Dobrze, chodź! A ty Ben Fesarah?

— Ja... ja... zostanę — odrzekł przewodnik.

— Wiedziałem, że tak będzie. Jesteś dzielny, ale tylko wtedy, gdy idzie na słowa. Pożegnajże się tedy ze swoją flintą wizyjną!

— O, Allah, o Mahomet, o Abu Bekr i Osrnan! Moja piękna, moja sławna flinta! — jęczał żałośnie.

— Przepadnie, skoro tylko zostaniesz — dorzuciłem z poważną miną.

— Jeżeli tak, no to... to ja... ja pójdę, effendi, ale tylko za tobą, w tyle. Ty pierwszy musisz iść naprzód...

Drżał na całym ciele, ale mimo to stanął za mną, gotów do wyprawy. Tak też postępował dalej, chowając się za mnie, myśląc, że skoro zwierz się pojawi, to ja pierwszy padnę ofiarą. Bawił mnie doskonale tym swoim tchórzostwem i chętnie byłbym mu kazał pozostać, by nie zawadzał, ale że zasłużył na tego rodzaju karę, uparłem się. Oprócz tego wywnioskowałem z jego miny, że się zgubi, ledwie ujdziemy kilkanaście kroków.

— Dołożyć więcej drzewa do ogniska, aby płomienie oświetliły znaczniejszą przestrzeń! — rozkazałem i ruszyłem naprzód.

Żołnierze i jeńcy oniemieli z trwogi i żaden ani szepnął. W milczeniu tylko szukali sobie kryjówek, około wielbłądów. Ja jeden z nich wszystkich nie straciłem zimnej krwi. W podróży swoich, stając wielokrotnie oko w oko z niebezpieczeństwem, nauczyłem się panować nad sobą i metoda ta okazała się znakomitą.

Fakir el Fukara ani się spodziewał, że jego przechwałki pociągną za sobą tak rychły i niemiły skutek. Był zapewne do głębi przekonany, że tu idzie o hienę, a ponadto obawiał się, abym go nie poczytał za tchórza, co było może jeszcze gorsze dla niego, niż samo niebezpieczeństwo.

Przewodnik ustąpił mu miejsca tuż za mną i sam pozostał na trzecim miejscu. Nim jednak oddaliliśmy się poza obręb światła, zauważyłem, że niedaleko poruszyło się coś w zaroślach. Stanął więc nagle jak wryty i przykucnął za jednym jedynym znajdującym się tu krzakiem.

— Tam jest, tam! O Allah miłosierny, o litościwy Allah! Uciekajcie, ratujcie się, a ja zbiorę całą swoją odwagę i zostanę tutaj!

Mieliśmy zatem uciekać, aby lew wpadł nam na karki, podczas gdy „dzielny” przewodnik siedziałby sobie za krzakiem, jak u Allaha za drzwiami. Iście arabska logika!

I ja zauważyłem owo poruszenie, które takiego strachu biedakowi napędziło. Wiedziałem jednak, że to wcale nie lew, dlatego zwróciłem się do tchórza:

— No, no, chodź dalej, gdyż w przeciwnym razie flinta przepadła! Zobowiązałeś się przecie czynić to wszystko, co ja.

— O, nie, nie! Ja tu zostanę i zastrzelę go zniemacka, a wy uciekajcie, co wam sił starczy i krzyczcie mocno, żeby się was przestraszył.

Nie ulegało wątpliwości, że z wyrachowania domagał się od nas, abyśmy uciekali. Myślał, że zwrócimy tym na siebie uwagę lwa, którego zresztą wcale tu jeszcze nie było. Gdy odezwał się po raz pierwszy, był z pewnością oddalony o dwie mile angielskie i dlatego to pozwoliłem sobie być na dłuższą ironiczną rozmowę z obydwojema. Obecnie zwierz znajdował się co najmniej o trzy czwarte tej drogi.

Że ryk dał się słyszeć od zachodu, zwróciłem się oczywiście w tym kierunku i przystanąłem w tym miejscu, gdzie kończył się widnokąt świetlny od naszych ognisk, i rozglądałem się za odpowiednią kryjóweką. Było do przewidzenia, że lew będzie omijał krzaki i zarośla, aby nie sprawić hałasu. W tym miejscu było tylko jedno wolne przejście pomiędzy krzakami, przypuszczałem tedy, że zwierz właśnie stamtąd się wysunie. Było to zatem miejsce wymarzone na zasadzkę. Tuż obok nas stały dwa bliźniacze i dość grube drzewa gumowe\*. Bujne sensowne zarośla zatrzymywały blask od ognisk i rzucały głęboki cień na nasze stanowisko.

— Tu się położymy, — szepnąłem — miejsce to jest najdogodniejsze.

— Dlaczego tu? — spytał fakir, przykucnąwszy koło mnie.

— Ponieważ właśnie o jakie dziesięć kroków stąd pojawi się lew.



— *Allah kerim!* Dlaczego tak blisko? Musimy się cofnąć co najmniej o jakie pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt kroków.

— O, nie. Im bliżej, tym lepiej, tym pewniejszy strzał.

— Czyś ty zmysły postradał, effendi?

— Nie, ale posiadam więcej odwagi, niż ty. Słyszę wyraźnie, jak ci zęby dzwonią z trwogi.

— Co ja na to poradzę, skoro szczęka moja jakby się oderwać chciała...

— Czy i ręce ci także drżą?

— Oh, zgadłeś. Mróz ścina mi krew w żyłach.

— W takim razie nie strzelaj, gdy lew się pojawi, lecz zostaw to mnie! Mógłbyś spudłować, a to powiększyłoby nasze niebezpieczeństwo ogromnie.

— Że też ja, na Allaha, zdecydowałem się na tę wyprawę. Nie jestem trwożliwy, ale nawinąć się na oczy ludożercy jest rzeczą, mimo wszystko, dość zuchwałą i ryzykowną. Nie odzywajmy się już, bo mógłby nas usłyszeć!

— My przecie szeptamy tylko, a zresztą on jeszcze daleko. Fakir el Fukara popadł w śmiertelną trwogę. Słyszałem najwyraźniej, jak dzwonił zębami, a gdy położyłem mu rękę na ramieniu, by się przekonać, czy też i na całym ciele tak drży, wydał z siebie przeraźliwy okrzyk. Zdawało mu się, że moje palce, to kły straszliwego drapieżcy, który gotów rozszarpać go w kawałki.

Fesarah tymczasem powziął jakieś postanowienie, bo przykucnął za krzakiem i zdradzał w ruchach wielki niepokój. Oddalony był ode mnie nie dalej jak czterdzieści kroków, odległość aż do studni wynosiła ledwie drugie tyle; gdyby więc lew tam właśnie się pokazał, mogłem jeszcze wziąć go na cel. Tak sobie spokojnie obliczałem, gdy „bohater” leżał spokojnie za krzakiem i nie ruszał się, aż tu licho go jakieś zniewoliło do podniesienia się w kucki, ba, co więcej, widziałem najwyraźniej, jak podniósł swoją „cudowną” flintę wizyjną do ramienia, a głowę odchylił od kolby jak najdalej, kryjąc się za krzak. Lufa tej wspaniałej broni skierowana była w to miejsce, gdzie poprzednio zauważyliśmy pewne poruszenie. Co jemu przyszło do głowy? Czyżby miał czelność wypalić? Miałem krzyknąć ku niemu głośno, by dał pokój, jeśli mu miłe życie. Niestety nawet na to nie było czasu, bo w tej chwili o uszy moje obił się huk jak z móżdżerza, a równocześnie strzelec, uderzony kolbą w głowę, wywrócił się na ziemię. Myślałem, że już teraz będzie leżał spokojnie, Niestety, odgłos strzału własnej flinty tak go podniecił, że zerwał się na równe nogi i, wymachując rękoma na wzór śmigieł wiatraka, począł krzyczeć jak opętany:

— *Hamdulillah!!* Chwała i cześć i dzięki Allahowi!... Mam go, zabiłem, zastrzeliłem, trafiłem w samo serce, patrzcie, padł już nieżywy, tarza się we własnej krwi, ten, ten morderca, pustoszyiciel i zjadacz ludzi, zabójca trzód i zwierzyny wszelakiej! Ciescie się, triumfujcie! Opiewajcie jego śmierć, jego koniec tak tchórzowski, marny, haniebny! Effendi, pójdź no tu do mnie, a żywo, pokażę

ci go, zobaczysz na własne oczy!...

Zachowanie się przewodnika było tego rodzaju, że nie dorównałby mu najbardziej zwariowany obłąkaniec. Gestykulował rękoma, wierzgał nogami i miotał się na wszystkie strony bez opamiętania. Wywołało to w obozie ruch, żołnierze bowiem, słysząc jego triumfalne okrzyki, sądzili, że lew zabity; nie przybiegł jednak nikt. Co do mnie, to wszystkiego innego mogłem się spodziewać, tylko nie tego wariactwa ze strony „bohatera”, podszytego mocno tchórzem. Co mu się przywidziało? Do czego, czy do kogo strzelał? Że nie do lwa, szyję dałbym za to. W tej chwili poczułem w powietrzu mocno odurzający odór, właściwy dzikim zwierzętom z rodzaju kotów. Osobniki, hodowane w menażeriach i ogrodach zoologicznych i w połowie oswojone, ani w dwudziestą część tak nie śmierdzą, jak te, które żyją na wolności.

— Pójdźmy zobaczyć, effendi, on go naprawdę zastrzelił — szepnął fakir el Fukara.

— Głupota, nic więcej. Zwierz zbliża się z przeciwnej zupełnie strony. Zwietryłem go już; skrada się prosto do nas.

— O miłościwy Allah! Nie wypuszczaj z pod swej opieki wiernych, ratuj nas! Ale ty, effendi, mylisz się bardzo. Fesarah jest zwycięzcą i ja spieszę do niego.

To mówiąc, zerwał się i uciekł. Gdybym nawet chciał, nie mógłbym go być zatrzymać, bo nie było na to jednej chwili czasu do stracenia.

Lew się pojawił we własnej swojej osobie. Wysunął się chytrze z głębi lasu i przystanął nagle, zobaczywszy jasno oświetloną przestrzeń. Płomienie z naszych ognisk obozowych strzelały wysoko w górę, dzięki czemu widno było jak w dzień i mogłem ze swego ukrycia przypatrzeć się dostatecznie czworonogiej bestii. Okaz był istotnie wspaniały; wysoki więcej niż na metr, nadzwyczaj silny i potężny, z bardzo długą, gęstą, czarną grzywą. Złożyłem się w pozycji leżącej, lecz nie mogłem wypalić, bo zwierz przybrał postawę dla strzału niekorzystną, a zmarnować wystrzał, to rzecz wielce ryzykowna. Zresztą nie było czasu na długie namysły, bo lew zauważył uciekającego fakira i złożył się do skoku za nim. W tej chwili wydałem z siebie okrzyk tak silnie, jak tylko mogłem, by zwrócić uwagę rabusia na siebie. Gdyby bowiem „raczył łaskawie” skierować się ku mnie, miałbym doskonały cel, ale jego królewska wysokość nie raczyła nawet zauważyć mojej uprzejmości, zaszczycając jedynie fakira el Fukara swoimi względami. Jeden potężny skok, drugi, trzeci... Zobaczono go aż w obozie, gdzie powstał piekielny lament; krzyczał również Fesarah, jakby go na różnie pieczono. Zastanowiło to fakira, obejrzał się, a spostrzegłszy grożące mu niebezpieczeństwo zdrętwiał i padł na kolana, próbując bez skutku dobyć z siebie głos. Jeszcze trzy skoki, a zwierz chwyci go w ostre swoje pazury...

Wszystko to było dziełem jednej chwili, ale zdołałem wyzyskać nawet tak krótki czas znakomicie. Nie wypuszczając wcale dubeltówki z prawej ręki, dobyłem lewą rewolwer i, puściwszy się za drapieżcą, dałem sześć strzałów raz po raz w powietrze, naśladując przy tym wycie. To pomogło. Lew teraz mnie zauważył i rzucił się w moją stronę. W okamgnieniu przykucnąłem do ziemi i złożyłem się... Odetchnąłem w tej chwili, będąc pewnym, że tamci dwaj są ocaleni. Lew bowiem rzuca się przede wszystkim na tego, kto weń mierzy. Stanęliśmy więc naprzeciw siebie do rozstrzygającej walki i nawet w tym momencie nie straciłem zimnej krwi. Jeden z nas zginie — to

prawda i, gdyby los padł na mnie — wszystko jedno. Kiedyś przecież człowiek tak czy owak zginąć musi, a czy to prędzej czy później... Zwierz tymczasem mierzył wzrokiem przestrzeń, dzielącą go ode mnie. Za jednym susem nie mógł mnie dosięgnąć, ku temu trzeba było dwu. Jeżeli go trafię w chwili, gdy po pierwszym skoku dotknie ziemi, to wygrana po mojej stronie, jeżeli zaś nie — to na drugi strzał zabraknie czasu.

Była to chwila iście piekielnej męki. Rozjuszony kot nie wydał z siebie żadnego głosu, co świadczyło o jego niezwykłej pewności siebie. Oto już rozpostarł przednie łapy szeroko, wznosił je do góry, odbił się tylnymi wrył się pazurami w grunt — wypaliłem. Wstrząsł się cały i odbił w tył, jakby go kto pchnął silnie z przodu, i to było dla mnie znakiem, że kula nie chybiła, ale naprężona siła woli zwierzęcia i energia mięśni działała w dalszym ciągu. Potężne cielsko wzniosło się znowu w powietrze, kierując się prosto na mnie tak, że poczułbym z pewnością na ciele ostre pazury, gdyby mi było brakło przytomności umysłu. W momencie, gdy zwierz sięgnął w skoku najwyższego punktu, wypaliłem po raz drugi, wypuściłem strzelbę z rąk i szarpnąłem się gwałtownie na bok, wyciągając równocześnie nóż zza pasa. Obrona ta jednak była na szczęście już zbyteczna. Zwierz leżał na grzbiecie, wierzgając nogami na jedną i drugą stronę w śmiertelnych skurczach, po czym przeciągnął się straszliwie, buchnął pianą z otwartej szeroko paszczy i — koniec. Był nieżywy i wiedziałem już w tej chwili z całego przebiegu, że obie kule nie chybiły ani na jotę, a mianowicie, pierwsza przez oko dostała się do mózgu, druga z dołu trafiła w samo serce. Mimo to nie miałem odwagi przystąpić bliżej, ponieważ zdarzało się wiele razy, że pozornie zabity lew, z kilkoma kulami w czaszce, zrywał się nagle, jak wściekły. Podjąłem więc z ziemi dubeltówkę, naładowałem na nowo i końcem luf poruszyłem nieboszczyka. Gdyby istotnie był się obudził, to nim by się jeszcze rzucił, dostałby dwie kule. Zwierz jednak nie dawał żadnego znaku życia.

Wszystko stało się tak niezmiernie szybko, że fakir el Fukara ciągle jeszcze klęczał na ziemi, a Fesarah stał opodal nieruchomy jak słup soli i darł się w niebogłosy. Żołnierze natomiast uciszyli się zupełnie, bo nic im już nie groziło. Pospieszyłem teraz do fakira, chwyciłem go za ramię, chcąc go podnieść i rzekłem:

— Ty jeszcze klęczysz i modlisz się? Ludożerca już nie żyje.

— Nie ży... ży... ży... je? — powtórzył ostatnie moje słowa bezwiednie.

— Z pewnością nie żyje i nie masz się już czego obawiać.

— *Hamdulillah!*

Wypowiedział jeszcze ten jeden wyraz, poczym wstał i, nie interesując się bynajmniej lwem, nie pytając o nic, czmychnął w las, aż się za nim pokurzyło.

Chciał zapewne okazać mi w ten sposób wdzięczność za uratowanie życia. Ciekawy objaw, ale mniejsza o to. Fesarah słyszał moje słowa, otrząsł się trochę z śmiertelnej trwogi i zapytał:

— Czy naprawdę już nie żyje?

— Z wszelką pewnością.

— I można go zobaczyć i dotknąć się go?

— Można.

— W takim razie zawołam żołnierzy, niech się przekonają o naszym triumfie, niech sławią naszą waleczność!

Nie mogłem się powstrzymać od śmiechu na te słowa. Mówił o „naszym” triumfie, „naszej” waleczności... i byłem bardzo ciekaw zobaczyć lwa, którego on tak „walecznie” położył, ale przede wszystkim trzeba było przypatrzeć się bliżej mojej zdobyczy. Towarzysze obozowi jednak nie spieszyli się bardzo, nie biegli na miejsce zwycięstwa z okrzykami radości, lecz posuwali się z niedowierzaniem i obawą, zachowując się nadzwyczaj ostrożnie i cicho.

Zwierz odznaczał się tak olbrzymimi rozmiarami, że aczkolwiek bez życia, napełniał obecnych śmiertelną grozą. Musiałem użyć całej swojej powagi, nim udało mi się przekonać żołnierzy, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Ostatecznie kilku odważniejszych zdecydowało się chwycić pokonanego drapieżcę za głowę i obrócić go na drugi bok. Dopiero wówczas, odzyskali wszyscy swobodę i nagle powstał niesłychany zgiełk i hałas. Z całej gromady wyróżnił się oczywiście przewodnik, odgrywając rolę mówcy. Wskoczył on na cielsko lwa jak na trybunę i począł wrzeszczeć:

— Niech będzie uwielbiony Allah i jego wielki prorok! Dzień dzisiejszy jest dniem tryumfu i sławy. Nieprawdaż, towarzysze?

— Tak jest! Sława! Cześć! — krzyczeli żołnierze, zbiegłszy się tu wszyscy. Jeden tylko Ben Nil czuł się w obowiązku strzeżenia jeńców, pozostał więc w obozie.

— Słyszeliście — ciągnął dalej przewodnik — o lwie z el Teitel, który stale każdego tygodnia pożerał jednego wyznawcę proroka, aż oto nareszcie kraj wolny jest od tej plagi dzięki dwóm bohaterom, którym należy się wdzięczność za to i sława przede wszystkim z waszej strony, przyjaciele!

— Tak jest, prawda! — brzmiała odpowiedź:

Mówiąc o dwu bohaterach, miał z pewnością na myśli mnie i siebie. Nie oponowałem wcale, czekając, aż się wygada.

— We wnętrznościach tego oto króla pustyni, — krzyczał — tego pana z grubą głową, spoczęły wiecznym snem setki prawych wyznawców proroka, a może nieraz żarłok potknął nawet i niewiernego, co go zapewne przyprawiło o ciężką niestrawność. Dziś przybył on nad tę studnię uprawiać dalej zbrodnicze swoje rzemiosło, ale na szczęście wyczerpała się cierpliwość najślawniejszych bohaterów Afryki, którzy, zapaleni słusznym gniewem oburzenia, rzucili się na potwora i odnieśli zwycięstwo. Ty, effendi, jesteś jednym z tych bohaterów, a drugim jestem ja we własnej swojej osobie. Wy zaś świadkowie tego czynu nieśmiertelnej sławy wznieście teraz okrzyk: Niech żyją zwycięzcy!

— Niech żyją! Cześć im i sława! — krzyknęli obecni z całej piersi.

— Dusiciel ludzi i zwierząt nie przybył tu sam, lecz przyprowadził ze sobą bezbożnego towarzysza swoich haniebnych zbrodni. I ten właśnie towarzysz niecnota, którego duszę przeklętą powinien był Allah wcielić raczej w kulawego, parszywego psa, ten zbrodzień miał czelność stanąć ze mną oko w oko. Ogarnął mnie niepowstrzymany zapał do walki... chwyciłem swoją flintę wizyjną, dałem strzał i dusza bestii powędrowała na samo dno piekła, a ścierwo leży tam w krzaku, opromienione jasnością mojej bohaterkiej sławy. Nim jednak pokażę wam tego potwora, abyście mieli sposobność przekląć go i nasycić się zemstą, winniście wpierw uczcić zwycięzcę trzykrotnym okrzykiem.

Żądaniu temu stało się natychmiast zadość, po czym upojony szczęściem „zwycięzca” raczył także zauważyć i moją osobę, zwracając się ze słowami:

— Ponieważ położyłem koniec żywemu grobowi tylu wiernych wyznawców proroka, należy mi się słusznie zegarek i luneta, bo godnie na to zasłużyłem, czyniąc to wszystko, co effendi. Uśmierciłem czworonogiego potwora, którego głos silniejszy był niż grzmoty, ba nawet ja prędzej niż effendi dokonałem swego czynu. Tu, pod moimi stopami mam w tej chwili olbrzyma we własnej jego skórze, która powinna była być żywcem jeszcze z niego ściągnięta. Effendi zużył aż dwie kule do uśmiercenia tej bestii, podczas gdy mnie do zwycięstwa wystarczyła tylko jedna. Mimo to i temu zwycięzcy należy się nagroda i na jego cześć wzniescie okrzyk: Niech żyje! Sława mu i cześć!

— Niech żyje! — krzyknęli gromko wszyscy.

— A teraz, kiedy uczciliśmy już należycie bohaterów i zwycięzców, przychodzi kolej na zwyciężonych. Mamy prawo szydzić, naigrawać się, sponiewierać ich do syta. Bijcie więc tego mordercę rodu ludzkiego, kłujcie go, wyrrywajcie mu sierść, targajcie za uszy, za ogon, plujcie nań, obrzućcie go stekiem obelg, które mu się słusznie należą, i przekleństwami, aby jego podła dusza runęła w otchłań wiecznej hańby i tam skamieniała! Rzućcie się nań, podrzyjcie skórę w kawałki, rozszarpacie ścierwo, aby drugi podobny złoczyńca miał odstraszający przykład i nie ważył się rzucać na wyznawców proroka, lecz aby się zadowolił mięsem kóz i baranów! Skończyłem!

Zstąpił z tej szczególnej trybuny wśród wiwatów i okrzyków. Żołnierze, podnieceni jego mową, rzucili się, jak opętani, na cielsko i byliby je roznieśli, gdybym ich nie powstrzymał. Zależało mi bowiem na okazałej skórze zwierzęcia. Nie było to jednak łatwe do wykonania. Musiałem zebrać wszystkie siły, by ich przekrzyczeć.

— Stójcie, przezacni wierni! Dusiciel z El Teitel ma już dość za swoje, teraz powinniśmy odszukać sławnego lwa, któremu położył koniec nasz dzielny Ben Eesarah! Jestem ogromnie ciekaw zobaczyć teraz tę drugą pokonaną bestię.

— Nie dziwię się wcale tej ciekawości — przerwał przewodnik, — gdyż mój lew o połowę większy od twego. Wyobraź sobie, że głową sięgał powyżej krzaka, za którym się czaił. Wygrałem tedy zakład i mam nadzieję, że dotrzymasz przyrzeczenia. Gdybym ja przegrał, nie wahałbym się ani na chwilę z oddaniem ci swej drogocennej pamiątki. Teraz ja stanę na waszym czele, towarzysze. Uformujcie pochód triumfalny na miejsce walki, gdzie sława moja dosięgła ostatecznych granic i gdzie wygrałem wspaniały zakład!

Co do wyniku tego zakładu, to głowa mnie o to nie bolała. Byłem z góry przekonany, że wygrałem ja i że „uwieńczony sławą” i nagrodą Fesarah znalazł się wobec nieuniknionego i bardzo przykrego blamażu. Wiedziałem bowiem doskonale, co to za lew, którego głowa ciągle sterczała z krzaka. Wszystkie wielbłądy znajdowały się w obozie, a tylko fakir el Fukara puścił swego wolno na paszę. Wyglądzone stworzenie obgryzało najspokojniej w świecie młode gałązki krzaka, no i jeden z dwu „bohaterów” wziął je za co innego i albo je zabił albo, co gorsza, postrzelił.

Pochód ruszył po cichu naprzód. Musiano bowiem zachować wielką ostrożność, bo nikt nie wiedział, czy drugi lew jest nieżywy, czy też tylko zraniony. Im bliżej było tego strasznego miejsca, tym ostrożniej przewodnik postępował i zdradzał bardzo wymowną chęć ucieczki. Powstrzymał się jednak i stanął niby w celu pomówienia ze mną:

— Czy ty, effendi, wierzysz niezłomnie w moje zdolności od bohaterskich czynów?

— Najzupełniej, ponieważ zastrzeliłeś największe i najślawniejsze zwierzę pustyni. Niestety obawiam się tylko, czy spotka cię za to wdzięczność fakira el Fukara.

— Ale cóż znowu; ja wcale na jego wdzięczność nie liczę, wszak twój lew zagrażał jego życiu, a nie mój, z czego wynika, że powinien on wyrazić wdzięczność jedynie tobie, effendi. Mój lew groził żołnierzom i jeńcom w obozie, wobec czego winni mi wdzięczność wszyscy, a tobie tylko jeden fakir i nawet ci tego nie zazdroszczę. Mniejsza jednak o to. Bądź łaskaw, effendi, stanąć teraz na czele żołnierzy, bo ty masz bystrzejszy wzrok, niż ja.

— Mylisz się, mój kochany, mnie czasem wzrok nie dopisuje do tego stopnia, że trudno mi odróżnić lwa od wielbłąda. Łatwo sobie wyobrazisz, jak wielka nieprzyjemność spotkałaby cię, gdyby właśnie w tej tak ważnej chwili zawiódł mnie wzrok i coś podobnego mi się wydało. Zresztą ty jesteś tu zwycięzcą i wyłącznie na tobie ciąży obowiązek przewodniczenia.

Mówiłem tonem tak przekonywującym, że biedak musiał usłuchać. Stąpił naprzód ostrożnie, jak po jajach, z których ani jednego zgnieść nie wolno; świadczyło to, że „dzielny zwycięzca” stracił nie tylko odwagę, lecz i władzę w nogach, bo uszedłszy jakie sześć kroków, stanął nagle i ani rusz dalej. Rękę tylko przed siebie wyciągnął i ozwał się do mnie głosem zupełnie zdławionym:

— *Allah kerim!* Otóż i on! Wystawił dwie nogi z krzaka i wierzga nimi. Co robić, effendi?

— Naprzód iść, tylko naprzód!

— Ba, ale on jeszcze żyje i gotów mnie uzreć albo nawet zjeść.

— Jeżeli tak, to nie pozostaje ci nic innego, jak tylko podejść ostrożnie i wpakować weń jeszcze jedną kulę! Wprawdzie przyniesie to pewną ujmę twojej sławie, bo nie będziesz już mógł powiedzieć, żeś potrzebował jedną tylko kulę, a nie dwie, jak ja to uczyniłem, ale trudna rada.

— No, wiesz, co do tej sławy, to ja znowu nie jestem tak bardzo zachłanny, jak sobie wyobrażasz i, żeby ci dać tego dowód, proszę cię właśnie wyręczyć mnie. Co ci to szkodzi? Widzisz, ja rozporządzam tylko jedną kulą, podczas gdy ty masz nabitą dubeltówkę i o wiele łatwiej uporasz się

z tym potworem. Nie odmawiaj mi więc, effendi, bardzo cię o to proszę i ustępuję swego miejsca!

— Dziękuję ci za dowód życzliwości i zaufania, mój drogi, niestety skromność moja nie pozwala mi z tego korzystać.

— To bardzo ładnie z twojej strony, effendi, ale... o Allah! On znowu wierzgnął nogami i mruczy coś. Nie słyszysz? Widocznie jest zły. Puśćcie mnie! Puśćcie!

Skoczył, jak oparzony i schował się w tyle za plecami ostatniego żołnierza. Domniemany lew istotnie dawał oznaki życia i wydobywał z siebie głos, nie bał to jednak groźny pomruk rozjuszonego dzikiego zwierza, lecz jęk zranionego wielbłąda. Nawet żołnierze cofnęli się z przestachem w rył, pozostawiając mnie samego na przodzie. Zwróciłem się tedy do przewodnika, mówiąc:

— Dobrze, jestem skłonny wyręczyć cię w tym trudnym zadaniu i wybawić was wszystkich, ale pod tym tylko warunkiem, że podejść z tamtej strony i wypłoszę go tak, aby poszedł prosto na ciebie. Będziesz miał wspaniałą, popisowy cel!

Postąpiłem parę kroków, jakbym istotnie chciał wykonać ten zamiar, gdy nagle przewodnik krzyknął rozpaczliwym głosem:

— Na Allaha, daj pokój, nie rób tego! Ja o czymś podobnym ani słyszeć nie chcę.

— A zatem, jak widzę, boisz się. No, dobrze, przekonam cię teraz, jak wielkie grozi ci niebezpieczeństwo. Popatrz tylko dobrze, czy to są tylne łapy lwa, czy też nogi wielbłąda?

Ostatni wyraz zaakcentowałem tak wymownie, że wszyscy odgadli, co mam na myśli.

— Ależ to nieprawda — zaprzeczył Fesarah — powiedziałaś sam przed chwilą, że czasem nie potrafisz odróżnić lwa od wielbłąda!

— A ty wielbłąda od lwa, o czym cię zaraz przekonam. Zwierzę, które postrzeliłeś, było istotnie większe od mego lwa, ale niestety nawet do niego niepodobne. Nie jest ta bowiem żaden lew, tylko biedny, Bogu ducha winien wielbłąd fakira el Fukara. Chodźcie przekonać się o tym!

Podszedłem do krzaka i poodginałem gałęzie tak, że wszyscy mogli zobaczyć. Było to istotnie wielbłądzisko, postrzelone w prawą tylną nogę. W tej chwili żołnierze odzyskali na nowo odwagę i przybiegli szybko do mnie, wybuchając niepowstrzymanym śmiechem.

— Co za lew, jaki groźny potwór! — wykrzyknął jeden z nich. — Gdyby nie Fesarah, byłby nas wszystkich połknął od razu. Fesarah odwrócił od nas straszne niebezpieczeństwo, uratował nam wszystkim życie i dlatego zasłużył sobie na miano najdzielniejszego pogromcy lwów w całym kraju. A zatem, koledzy, wnieśmy okrzyk na jego cześć! Niech żyje wielki bohater, Fesarah!

— Niech żyje! — powtórzyli żołnierze, śmiejąc się do rozpuku.

Ten jednak, na którego cześć wznoszono tak entuzjastyczne okrzyki, był o tyle skromnym, że uchylił się czym prędzej od dalszych owacji i uciekł w krzaki.

Wielbłąd nie mógł wstać, bo miał jedną nogę zgruchotaną powyżej kolana i trzeba go było dobić. W tej chwili właśnie wylazł z krzaków jego właściciel, fakier el Fukara, przystąpił do mnie, uścisnął mi rękę i zaczął mówić tak głośno, żeby go wszyscy słyszeli:

— Przebac mi, effendi, że oddaliłem się od ciebie, nie wyraziwszy ci serdecznej podzięk! Była to dla mnie najstraszniejsza chwila w życiu. Podjąłem się bowiem zadania, które przechodzi moje siły. Drżałem na całym ciele, jak w febrze i dusza moja była już na ramieniu. Drapieżca upatrzył sobie mnie na pożarcie i gdyby nie ty, stałbym w tej chwili przed obliczem Allaha. Przerazenie moje w krytycznym momencie było tak straszne, że straciłem mowę i dlatego musiałem się usunąć na osobność, by z wolna przyjść do siebie i przede wszystkim w spokoju pomodlić się i złożyć Allahowi dzięki za ocalenie. Teraz odzyskałem już mowę i przychodzę wyrazić ci, effendi, nieskończoną wdzięczność. Jesteś od dziś moim przyjacielem i bratem. Byłem dla ciebie wrogo usposobiony, ale to już należy do bezpowrotnej przeszłości i pragnę gorąco okazać ci w jakikolwiek sposób dowody na potwierdzenie tych słów. Czy zechcesz mi przebaczyć, effendi?

— Z całą gotowością — odparłem, ściskając mu rękę.

— Wobec tego powiedz mi, czym mogę ci się przysłużyć, w jaki sposób okazać ci wdzięczność i przypodobać ci się, jak serdeczny druh i przyjaciel?

— Ale ja nie żądam od ciebie żadnych oznak wdzięczności. Mnie szło tylko o jedną rzecz. Ty nie miałeś pojęcia, co znaczy spotkanie z królem zwierząt, a jak wy go nazywacie, panem z wielką głową; naraziłem cię więc na tę przyjemność i to mnie zupełnie zadowala. Radbym tylko wiedzieć, czy miałbyś chęć kiedykolwiek jeszcze stanąć naprzeciw takiego potwora?

— Przenigdy! Od jego wzroku krew ścina się w żyłach; ma się uczucie, jakoby ciało z człowieka opadło, a pozostały tylko kości.

— Tak jest, bojaźliwość i trwoga wywołuje w duszy podobne uczucia. Na szczęście ja nie straciłem zimnej krwi, lecz gdybym był poddał się i ja trwodze, wówczas źle byłoby z naini wszystkimi.

— Otóż to, effendi. Nie może mi się wprost w głowie pomieścić, jak śmiałeś postąpić w ten sposób. Lew rzuca się na mnie, a ty, widząc to, starasz się zwrócić jego uwagę na siebie i pomimo, że zachowałem się wobec ciebie bardzo wrogo, wystawiasz na niebezpieczeństwo własne życie. Czy wasza religia nakazuje postępować w ten sposób?

— Nie. Prawy chrześcijanin przebacza nawet najzapalczyszemu wrogowi, ponieważ Chrystus, Syn Boży, nakazał nam kochać nawet nieprzyjaciół. Żeby jednak miał dać się pożreć dzikiemu zwierzowi dlatego jedynie, aby ocalić życie muzułmanina, tego nasza religia nie wymaga. Ja w tym przypadku postąpiłem nie tyle jako chrześcijanin, ile jako człowiek, jako strzelec i myśliwy, którego nawet tego rodzaju żarłoczny drapieżca nie mógł wytrącić z równowagi. A zatem zabiłem lwa jako myśliwy, a jako chrześcijanin jestem skłonny pogodzić się z tobą w zupełności. Oto wszystko, co miałem powiedzieć na twoje zapytanie.

— Mnie się zdaje, że to wszystko jedno, z jakiego powodu, uratowałeś mi życie, z pobudek



chrześcijańskich, czy też ogólnoludzkich; tak czy owak, tobie zawdzięczam ocalenie i proszę cię, abyś mnie objaśnił, czym i jak mogę naprawić swój błąd bodaj w setnej części.

— Ależ tu mowy nie ma o jakimś błędzie z twojej strony. Ja zastrzeliłbym zwierza nie w ten, to w inny sposób. Że skierowałem go w swoją stronę w chwili, gdy zamierzał się na ciebie, to było to tylko dziełem przypadku, który ciebie do niczego nie zobowiązuje. Mnie zależało przede wszystkim na tym, aby zwierz przybrał jak najdogodniejszą dla mego strzału pozycję. Zresztą ja sobie zabiorę skórę lwa i ta nagroda wystarczy mi najzupełniej.

— Mogę cię pojąć dostatecznie tylko wówczas, gdybym przypuścił, że jedynie z pobudek dumy odrzucasz podziękę człowieka, który cię obraził. Musisz jednak wiedzieć, że i ja posiadam poczucie honoru, które mi wzbrania cofnąć się zupełnie. Namyślę się i mam nadzieję, że znajdę sposobność wyświadczenia ci przysługi, do przyjęcia której będziesz wręcz zmuszony. Ty wcale nie wiesz, komu uratowałeś życie. Później, gdy dowiesz się coś więcej o mnie, przekonasz się, że zobowiązany ci jest cały islam, cały Wschód... Ale oto, zdaje mi się, mój wielbłąd. Co się z nim stało?

— Fesarah go postrzelił, myśląc, że to lew.

— A to durny osioł! Trwoga go oślepiła. Czy zwierzę ciężko ranione?

— Ciężko, nie może nawet wstać i jeżeli pozwolisz, uwolnię je od cierpienia jednym celnym wystrzałem.

— Po jakiego licha chcesz marnować tak drogocenny na pustyni proch i ołów? Zostawmy bydlę w spokoju, zginie samo bez tej pomocy.

— Byłoby to okrucieństwem. Zwierzę jest tak samo bożym stworzeniem, jak człowiek.

— Rób, jak ci się podoba, nic nie mam przeciwko temu! Ale co ja pocznę teraz bez zwierzęcia na pustyni? Miałbym wędrować dalej pieszo?

— Głupstwo, podaruję ci wielbłąda, bo mamy ich dość. Zdobyliśmy je przecież dzisiejszego wieczora. Teraz trzeba zawlec lwa do obozu, bo chciałem zdjąć zeń skórę.

Z litości dobiłem męczące się stworzenie, a żołnierze zawlekli lwie cielsko w pobliże jednego z ognisk, gdzie następnie zdjąłem zeń szaro-żółty „frak”, jak wyraził się Ben Nil. Przez cały ten czas mówiono tylko o lwie, o niczym więcej. Niebawem zbliżył się i Fesarah z miną wielce upokorzoną. Naigrawał się z niego, kto żył, ale biedak nie miał wcale ochoty bronić się lub usprawiedliwiać i było to z jego strony rzeczą bardzo rozsądną. W milczeniu zbliżył się do mnie i położył na boku swoją sławną flintę wizyjną.

— Tam leży! Oddać ci jej w ręce nie mogę, bo byłoby to grzechem wobec moich pradziadów i praszczurów. Jeżeli istotnie nie masz w sercu isierki litości, to ją sobie zabierz!

— Oczywiście, że zabiorę, wszak jest moją prawną i dobrze zasłużoną własnością.

Biedak liczył jeszcze na moją wspaniałomyślność, lecz gdy spostrzegł, że zabrałem strzelbinę,

założył ręce na głowę i począł lamentować:

— O, Allah, o niezgłębiony smutku mej duszy, o boleści okropna! Oto jestem pozbawiony drogocennego skarbu, który był chlubą i sławą całych pokoleń moich bohaterskich przodków. Straciłem już przedmiot moich snów i marzeń, okryłem się hańbą, która mi nie dozwoli wrócić w ojczyste progi. Gdzie tylko stąpię, wytykać mnie będą palcami i naigrawać się: oto jest człowiek, który przegrał drogocenny skarb całego swego szczepu, zbezcześcił imię swoich przodków, hańba mu i przekleństwo! Nie pozostaje mi więc nic innego, jak tylko we łzach się rozpływać. Serce moje tonie w odmęcie smutku, a dusza nurza się w morzu boleści. O Allah, Allah, Allah!

Mnie się ani śniło zabierać mu flintę, a zatrzymałem ją tylko chwilowo, by go ukarać za jego niebywałą chępliwość i próżność, co wcale nie było dla niego wielką krzywdą. Napłakawszy się dowoli, wyciągnął się na ziemi jak długi, owinał głowę w kapuzę i umilkł. Natomiast tym swobodniej zaczęli się zachowywać żołnierze, którym nie brakło ochoty do ustawicznych zachwyków nad odniesionym zwycięstwem. Jedno i to samo powtarzali bez ustanku, wymyślając zabitemu zwierzowi od ostatnich nicponiów i gałganów. A czynili to w iście orientalny sposób i gdyby mnie kto chciał ocenić wedle ich mniemania, to niewątpliwie ogłoszono by mnie bohaterem, jakiego jeszcze na świecie nie było i nigdy nie będzie.

Dopiero około północy zdawało się, że zabrakło tematu, i wówczas to przypomniał mi Ben Nil moją obietnicę, żądając stanowczo ukarania starego fakira Abd Asla. Wypadek z lwem przerwał mu całą sprawę i teraz dopiero, gdy zapanował nareszcie chwilowy spokój, trzeba było ostatecznie z tym skończyć. Fakir el Fukara, usłyszawszy żądanie Ben Nila, przystąpił do mnie i ozwał się tonem prawdziwego przygnębienia:

— Niedawno, effendi, wystąpiłem tu w obronie życia człowieka, którego mieliście skazać na śmierć, a który należy do grona moich przyjaciół. My się znamy o wiele bliżej, niż ci się zdaje, przekonuję się jednak, że jestem za słaby wobec was i moja obrona na nic by mu się nie przydała. Zresztą wierzę już teraz, że dałbyś sobie radę z dziesięcioma takimi, jak ja, fakirami, winienem ci też wdzięczność za ocalenie życia i dlatego nie będę działał wbrew twej woli. Nie mieszam się więc do tej sprawy, jak sobie wyraźnie to zastrzegłeś, ale nie mogąc patrzeć obojętnie na mękę i śmierć przyjaciela, oddalę się stąd na tak długo, dopóki nie będziecie z tym gotowi.

To mówiąc, odszedł poza obręb obozu i usiadł na ziemi, obrócony do nas plecami. Ben Nil stał tak samo, jak przedtem, z nożem w ręku i zapytał:

— A zatem nie masz nic przeciw temu, effendi, abym się zemścił.

— Powiedziałem ci już, że jeżeli jesteś w możności zakłuć bezbronного starca, to spróbuj, nie przeszkadzam.

— Już ja wiem, do czego obowiązuje mnie mój honor, i przekonam cię, że będę postępował tak, jak on tego wymaga.

— O cóż więc idzie? Oddałem starca w twoje ręce i rób, co chcesz, ale tylko ty sam. Innym nie wolno go tknąć, bo wiadomo ci, że i żołnierze mają pretensje. Raz jeszcze powtarzam, że ty jedynie

jesteś uprawniony do osądzenia winowajcy. Nim jednak przedsięweźmiesz cokolwiek, muszę go wybadać, jak ci o tym dobrze wiadomo.

Zbliżyliśmy się obaj do Abd Asła, który słyszał całą tę naszą rozmowę i wiedział, co mu grozi. Rysy jego twarzy były tak skamieniałe i nieruchome, że niepodobna było wywnioskować, jakiego jest usposobienia i czy w ogóle boi się, czy też nie.

— Wiesz już, co cię czeka — oznajmiłem mu. — Uczyń tedy rachunek sumienia i pojednaj się z Allahem!

— Kto mnie zabije, ten będzie mordercą — syknął, jak rozdrażniona żmija.

— A, możesz sobie myśleć i mówić, co ci się żywnie podoba, to cię wcale nie uratuje. Za kilka chwil przejdiesz przez es sired, most śmierci, i dlatego radzę ci, byś uporządkował sprawy swego sumienia, a może Allah będzie dla ciebie łaskawy.

— Ja nie potrzebuję żadnej łaski. Tępić niewiernych razem z ich poddanymi nie jest żadnym grzechem, lecz zasługą, za którą Allah sowicie nagradza.

— Ha, skoro wedle twoich poglądów śmierć pod nożem jest łaską, to co ja na to poradzę. Ty zresztą nastawałeś nie tylko na moje życie jako chrześcijanina, ale miałeś zamiar mordować tych oto wiernych muzułmanów, a dalej wiesz dobrze, że reisowi effendinie grozi wielkie niebezpieczeństwo i z tego przed Allahem w żaden sposób się nie wyłgasz. Wymagam więc od ciebie, abyś się pozbył tej winy, a uczynić to możesz bardzo łatwo, gdy wyjawisz przede mną, co grozi reisowi effendinie.

— Pluję na ciebie i na śmierć! — odparł, wykrzywiając twarz szyderczo. — Dni moje policzone są przed Allahem i bez jego woli nie ukróciysz mi życia ani na minutę. Jeżeli Allahowi się podobało, abym tu w tej chwili umarł, to ty na to nic nie poradzisz i wcale nie mam chęci wyjawić ci tego, czego się domagasz.

— A jeżeli ja cię zmuszę.

— Spróbuj! Mogę cię zresztą tylko o tym zapewnić, że reis effendina znajduje się w poważnym niebezpieczeństwie i jest zgubiony, a z nim wszyscy, którzy go otaczają. Czy ci to nie wystarcza?

— Już on potrafi uchylić się od niebezpieczeństwa, jak i my.

— O, nie. Wszelki ratunek jest wykluczony. On razem ze swoimi ludźmi zginie nędznie za to, że wystrzelał naszych towarzyszy u studni Wadi el Berd. Oczywiście, gdybyś wiedział co mu grozi, spieszyłbyś natychmiast z pomocą, bo ty jesteś bezczelnym szatanem, który lubuje się wyłącznie w niebezpieczeństwach i żyć nie mógłby bez nich. No, ale na szczęście nie dowiesz się niczego ode mnie.

— A gdybym ja na przykład kazał cię tak długo różgami siec, aż raczysz przemówić?

— Możesz. Będę milczał jak grób.

— Ba, ale bat otwiera usta nawet najbardziej zacieklej zuchwalcom.

— Przypuśćmy, że pod wpływem chłosty powiedziałbym cokolwiek, czyż w takim razie będziesz pewny o prawdziwości tego?

— Mnie się zdaje, że zdołam osądzić, czy mówisz prawdę, czy też łżesz, ale mimo to nie myślę dać cię oćwiczyć. Byłoby to dla mnie wstydem, gdybym w ten sposób chciał wydobyć tajemnicę z ust starca, stojącego nad grobem.

— Nie obrażaj mnie i nie lżyj! Nie jestem kaleką i, gdybym nie znajdował się w twoich rękach jako obezwładniony jeniec, łatwo przekonałbym cię o mojej sile. Możecie mnie zabić, psy, ale będę milczał.

— Dobrze, życzeniu jego stanie się zadość — wtrącił Ben Nil. — Jesteśmy o tyle roztropni i mądrzy, że możemy się dowiedzieć bez pomocy tego starego zbója, co grozi reisowi effendinie. A zatem poniosą cię zaraz diabli do piekła.

Młodzieniec przykląkł przed nim, obnażył mu pierś i przytknął do niej koniec noża. Abd Asl nie spodziewał się widocznie, że stanie się to wszystko tak nagle i z zupełną powagą, krzyknął więc, śmiertelnie przerażony:

— Wstrzymaj się! Pamiętaj, że jestem świętym fakirem, na którego nikomu porwać się nie wolno! Allah za ten mord i świętokradztwo skazałby cię na wieczne męki w piekle.

— O, ty chcesz być świętym, ty? — przerwał mu Ben Nil. — Jesteś przecież potworem podlejszym tysiąc razy niż ten lew, którego dzisiaj śmierć spotkała, a zresztą jakżeby Allah mścił się na mnie za twoją śmierć, skoro sam powiedziałaś przed chwilą, że tylko za Jego rozkazem możesz zginąć? Jeżeli więc zakłuję cię teraz, to stanie się to z Jego woli. A zatem marsz do piekła, gdzie z utęsknieniem oczekują cię miliony szatanów!

To rzekłszy, pocisnął lekko nóż tak, żeby tylko zadrasnął skórę. Stary obrócił się na bok i jęczał, dając dowód śmiertelnej, a starannie maskowanej dotąd trwogi.

— Nie! Nie! Ja nie chcę, ja nie mogę zginąć! Zlituj się nade mną!

— A widzisz, stary tchórze, jak się boisz. Teraz dopiero okazujesz strach, gdy śmierć nad karkiem — mówił Ben Nil.

— Łaski! Łaski, miłosierdzia!

— Możliwe, że daruję ci życie, ale wprzód objaśnisz nas dokładnie, co grozi reisowi effendinie.

— Powiem, wszystko powiem, tylko mnie nie zabijaj!

— Mów więc, a prędko, bo inaczej...

— Będzie otruty w Chartumie.

— Kto się tego podjął?

— Podjął się... ten, no ten, muzabir.

— A więc ten kuglarz, który dwa razy godził na życie naszego effendiego? W jaki sposób on to zrobił?

— Przekupił farrana\* i da mu truciznę, aby ją wrzucił do ciasta, gdy będzie dla reisa effendiny sporządzał kizrah\*.

— Przysięgasz, że to wszystko prawda?

— Przysięgam na Allaha, na proroka i na życie i nauki wszystkich kalifów, że nie kłamię.

— No, widzisz teraz, jak szybko dowiedzieliśmy się od ciebie to, czego nie chciałeś powiedzieć. Wyślemy więc natychmiast kuriera, by ostrzegł w czas dowódcę. Obawa przed śmiercią zmusiła cię do wyjawienia zbrodniczych zamiarów i teraz, gdy już wiem wszystko, mogę cię zapewnić, że strach był zupełnie zbyteczny z twojej strony. Ja wcale nie miałem i nie mam zamiaru plamić swego honoru zabójstwem. Jesteś niedołęznym i starym tchórzem, a do tego posiadasz podłą duszę. Znęcanie się więc nad tobą przynosiłoby ujmę mojej czci. Sprawę załatwimy w inny sposób; chcę walczyć, ale nie z tobą, bo jestem młody i silny, lecz z twoim zastępcą. Wskaż któregokolwiek z jeńców, a rozwiążę go natychmiast, dam mu nóż i niech staje ze mną do prawidłowej walki, a Allah rozstrzygnie. Jeżeli zastępca twój zwycięży mnie, jesteś uratowany, gdy zaś ja go położę, czeka i ciebie śmierć, bo on będzie walczył w twoim imieniu za ciebie. Effendi — zwrócił się do mnie — mam nadzieję, że zgodzisz się na to wszystko.

Przyznam, że nie oczekiwałem takiego obrotu sprawy. Młodzieniec okazał się szlachetnym w całym znaczeniu tego słowa, ale — jaki może być wynik pojedynku? Ben Nil był odważny i, jak na swoje lata, dość silny i sprytny, czy jednak można było przewidzieć z góry, że zwycięży? Rozumie się samo przez się, że stary wybierze najdzielniejszego wojownika, mimo to nie mogłem odmówić przyzwolenia na tego rodzaju załatwienie sprawy. Ben Nil mógł tak postąpić, jak uważał za stosowne, zwróciłem mu tylko mimochodem uwagę na grożące mu niebezpieczeństwo, lecz uspokoił mnie, mówiąc:

— Nie trwóż się o mnie, effendi, już ja wiem dobrze, co robię! Ty zresztą nie widziałeś mnie jeszcze w podobnej walce i oczywiście nie dowierzasz mi, lecz bądź spokojny; nie stracę przytomności umysłu nawet na jeden moment i nie poddam się uczuciu trwogi.

— Pomyśl, że do zapasów stanie najsilniejszy człowiek z nich wszystkich!

— Tym lepiej. Wolę przecie walczyć z dzielnym przeciwnikiem, niż z cherlakiem. Zgadzasz się więc?”

— Zgadzam, tylko spisz się dzielnie, nie wrywaj się za wcześnie i nie patrz na nóż, tylko w oczy

przeciwnika! Staraj się ponadto przybierać zawsze taką postawę, aby przeciwnik był obrócony do światła przodem, a ty przeciwnie!

Nie spodziewaliśmy się, że stary wybierze na swego obrońcę dżelabiego, gdyż między jeńcami byli silniejsi i więcej sprytni i dzielniejsi od niego, ale z drugiej strony nasuwała się myśl, że dżelabi zapewne odznacza się doskonałym sprytem i doświadczeniem w pojedynku, a może nawet uplanowano jakiś podstęp? Leżeli obaj ze starym przez cały czas razem i mogli ze sobą prowadzić potajemnie rozmowę i obmyśleć Bóg wie jakie plany. Na wszelki wypadek postanowiłem być w pogotowiu.

Uwolniony z więzów dżelabi począł się wyciągać i rozprostowywać członki, które były dłuższy czas skrępowane i pocierpły mu zapewne. Najbardziej fikał nogami, chcąc im przywrócić sprawność i zdolność.

— Tu masz nóż — ozwał się do niego Ben Nil — rozbierz się ze wszystkiego, prócz spodni, będziemy walczyć obnażeni do połowy!

— Po co to? — zapytał. — Możemy zostać tak, jak jesteśmy.

— Nie, tak będzie, jak powiedziałem.

Dżelabi nie chciał zgodzić się na to, lecz w końcu ustąpił, Ten jego upór obudził we mnie podejrzenie. Przecie o wiele wygodniej byłoby walczyć bez krępującego ubrania. Widocznie nosił się z zamiarem ucieczki. Ben Nil tymczasem mówił:

— Jeżeli mnie zabijesz, życie Abd Asla uratowane. Gdybyś jednak poległ, skonać musi natychmiast pod moim nożem starzec, a zatem rozważ dobrze: masz walczyć w obronie życia ludzi. Jesteś gotów?

— Gotów, możemy zacząć.

Stanęli naprzeciw siebie, wewnątrz koła utworzonego z ciekawych żołnierzy, a chociaż nie było ułożonych żadnych reguł, ostrzegłem dżelabiego krótko i wężłowato:

— Uważaj na swoje nogi!

— To zbyteczne — roześmiał się — życie ma swoją siedzibę w sercu i przeciwnik z pewnością tam będzie mierzył, a nie w nogi.

Nie zauważył wcale, że miałem przy sobie karabin systemu Henry, gotowy każdej chwili do strzału.

— Zaczynamy, raz, dwa trzy! — krzyknął Ben Nil. — Zbliź się!

Ale dżelabi nie miał odwagi zaczynać. Zwlekał też i Ben Nil. Obaj przeciwnicy, patrząc sobie bystro w oczy, poczęli się kręcić po całej arenie, wtem nagle dżelabi rzucił się jak tygrys na Ben Nila, który uchylił się błyskawicznie w bok przed grożącym mu ciosem. Był to jednak ze strony

dżelabiego sprytny wybieg, gdyż w krytycznej chwili szarpnął się w bok, przeskoczył przez głowy dwu z siedzących w tym miejscu żołnierzy i puścił się w gwałtownych skokach w las, omijając leżące wielbłądy. Tak więc domysły moje się sprawdziły. W mgnieniu oka wziętem uciekiniera na cel, gdy już, już byłby znikł w zaroślach. Padł strzał. Przebiegły dżelabi wyciągnął się na ziemi jak długi, spróbował następnie wstać, lecz nie udało mu się. Celowałem w nogę i dobrze trafiłem. Na tym właśnie mi zależało, by go tylko skaleczyć, a nie zabić, ku czemu zresztą miałem bardzo ważny powód.

Ben Nil z kilkoma żołnierzami pobiegł ku niemu, ja nie ruszałem się z miejsca. Przywlekli go zbroczonego krwią, nie oszczędzając go przy tym wcale.

— Śmiałeś się z mego ostrzeżenia, abyś uważał na nogi — rzekłem, gdy go tuż koło mnie na ziemi ułożono — a teraz masz za swoje. Myślałeś, że uda ci się podstęp, ale daremne trudy. Sprawa z obcym effendim nie taka łatwa.

Oglądnałem i obandażowałem ranę. Kula przeszła goleń na wylot, nie było więc wielkiego niebezpieczeństwa.

— Musimy teraz psa podwójnie skrupować i mieć na niego baczne oko — zauważył Ben Nil.

— Bynajmniej — odpowiedziałem — wnet pojawi się u niego z powodu rany gorączka. Gdybyśmy go tu zostawili, nie dałby nam spać, majacząc i jęcząc. Przywiążcie go tam do tego drzewa kafalowego\* tak silnie, by nie mógł nawet głową ruszyć, a tymczasem może Abd Asl przeznaczyć innego człowieka do walki z tobą!

Rozkaz ten nie bardzo się podobał żołnierzom, ale mimo to wykonali go bez szemrania, wiedzieli bowiem, że ilekroć coś postanowię, choćby to na pozór wydawało się ryzykowne, zawsze osiągam swój cel. Przekonał ich też doskonale wypadek z uciekinierem, że nie lada kto zdoła mnie wyprowadzić w pole.

Ucieczka dżelabiego była łatwa do wytłumaczenia. Chciał on wyszukać rabusia niewolników Ibn Asla i zawiadomić go, że napad na nas się nie udał i że wszyscy znajdują się w niewoli, a staremu Aslowi grozi śmierć. Plan jednak chybił zupełnie i stary omal się nie wściekł ze złości i rozpacz. Poznać to można było z jego oczu. Panował jednak, jak mógł, nad sobą. Do ponownej zaś walki wyznaczył innego ze swoich wojowników, z którym trzeba się było dobrze liczyć, bo i tęgi był i zapalczywy, a fakir wybrał poprzednio dżelabiego zapewne tylko ze względu na jego zdolność w szybkim bieganiu.

Nowy przeciwnik Ben Nila był tęgim i barczystym mężczyzną w pełni sił. Szczególnie rozwinięte miał piersi. Twarz jego była ciemnobrunatna, niemal murzyńska. Ben Nil nie zdradzał ani cienia obawy lub niepokoju. Stali naprzeciw siebie jak wryci, mierząc się wzrokiem przez dłuższą chwilę. Nagle czarny zapaśnik rzucił się na Ben Nila jak tygrys, mierząc weń ostrzem noża. Zdawało mu się zapewne, że wytrąci w ten sposób przeciwnika z równowagi, lecz się pomylił. Ben Nil uchylił się w okamgnieniu, obrócił się poza nim z niesłychaną zwinnością i wbił czarnemu nóż w plecy po samą rękojęść. Pokonany zapaśnik runął na ziemię. Pchnięcie, jak się potem okazało, było wymierzone z tyłu w samo serce.

— *Afarim, Maszallah alaik* — brawo, brawo! — wykrzykiwali żołnierze radośnie. — To było wspaniałe, niesłychane! Położył go za jednym zamachem — nasz dzielny i waleczny Ben Nil!

A on, nie zważając na to, zwrócił się w naszą stronę.

— Widzisz więc, effendi, że zbyt mocno obawiałeś się o mnie. Gdyby przeciwnik był dwa razy jeszcze silniejszy, byłbym go niezawodnie pokonał. Mam bowiem bystry wzrok, silną rękę i serce bez trwogi. Czyż tedy nie słusznie roszczę sobie pretensje do Abd Asla?

— Nie zaprzeczam — odpowiedziałem, żywiąc w głębi ducha wielką ciekawość, co on z nim zrobi.

Na wypadek, gdyby go istotnie zamierzał pozbawić życia, musiałbym go prosić o odroczenie. On tymczasem pochylił się nad zwłokami czarnego i wydobył nóż z pleców, a ocierając żelazo z krwi, potrząsnął głową i zauważył:

— Masz słuszość, effendi, twierdząc, że odebrać komuś życie, jest rzeczą wielce odpowiedzialną. Ta krew wzbudza we mnie odrazę... Sądziś, że reis effendina ukarze sam tego starego?

— Rozumie się, że jak najsurowiej go ukarze.

— W takim razie mogę mu darować życie. Ten czarny walczył za niego i zginął, to mnie zadowala. Zgadzasz się na to, effendi?

— Ależ całą duszą. Słowa, które od ciebie słyszę, napełniają mnie prawdziwą radością. Postanowienie to przynosi ci więcej zaszczytu, niżbyś go miał, zabijając niedołęznego starca.

— Mimo to żądam, aby mu wymierzono zasłużoną karę.

— Bądź spokojny, już ja się sam o to postaram. Żeby zaś nie uciekł nam przed czasem, trzeba go zaprowadzić tam do dżelabiego i przywiązać tak samo do drzewa.

Żołnierze wykonali w mig ten rozkaz, a Ben Nil zauważył nie bez zdziwienia:

— Po co kazałeś przywiązać ich obu z dala od nas? Mogliby przecie czmychnąć...

— Słuszna jest twoja obawa i trzeba ich będzie na powrót tu przyprowadzić, wprzód jednak musimy się dowiedzieć, co przedsięwzięto przeciw reisowi effendinie.

— Jak to? Słyszałeś przecie...

— Ależ ta cała historia z trucizną i piekarzem była wierutnym kłamstwem. Idź, proszę cię, tam do nich i uważaj, co robią! Ja skradnę się z tyłu aż pod drzewo i tam się zaczaję, a ty wrócisz do obozu. Wówczas sądząc, że ich nikt nie słyszy, będą ze sobą rozmawiali swobodnie i ja oczywiście dowiem się wszystkiego.



Ben Nil zastosował się do mego rozkazu natychmiast, ja zaś zarządziłem dalej, aby żołnierze wszczęli ruch w obozie i udawali radość ze zwycięstwa nad czarnym. Było mi to potrzebne w tym celu, by się wymknąć niepostrzeżenie. Obaj jeńcy bowiem byli tak do drzewa przywiązani, że mieli widok na cały obóz.

Wszystko to poszło bardzo zrećźnie. Za chwilę okrążyłem znacznie obóz, przedzierając się przez zarośla i krzaki i usadowiłem się za drzewem w ten sposób, że nie mogli mnie spostrzec. Ben Nil, widząc mnie oczywiście, bo patrzył w tę stronę, przeszedł się kilkakrotnie, jakby dla zabicia czasu z nudów, i następnie oddalił się w głąb lasu. Skutek był znakomity. Dżelabi natychmiast zaczął:

..... 4 Słuchaj no, co będzie! M.....y się naradzić, nim on wróci.

— Nic nie będzie — mruknął niechętnie fakir.

— Ależ my musimy koniecznie obmyśleć jakieś środki ratunku.

— Nie widzę niestety żadnego. Allah niech strąci na samo dno piekła tego po siedmiokroć bezecnego effendiego! Gdyby ci się udała ucieczka, byłbyś już dotarł do dżezireh\* Hassania i zawiadomił mego syna o wszystkim. Wówczas syn popłynąłby w dół Nilu, zostawiwszy okręt koło Makai albo Kateny, zdążyłby na czas przybyć z ratunkiem. Niestety teraz już za późno!

— Czyż nie ma już innego sposobu? A fakir el Fukara? Przecie on miewał z nami bardzo korzystne interesy i powinien być nam teraz pomocnym. Kto wie, czy jego pojawienie się nie jest dla nas deską ratunku. Przypuszczam, że on uczyni wszystko, co będzie w jego mocy.

— Mylisz się zupełnie. Ten pies chrześcijański uratował mu życie i przez to pozyskał jego życzliwość.

— A ja sędzę, że on mimo wszystko będzie po naszej stronie. Gdyby tak, dajmy ha to, wiedział, że syn twój znajduje się koło dżezireh, wysłałby niezawodnie wiadomość. Musisz więc porozumieć się z nim koniecznie.

— Ba, ale czy na to oni pozwolą! Zresztą ten effendi jest ciągle przy nas i, choćbym powiedział co, to on usłyszy.

— Niechby usłyszał. Możesz wypowiedzieć kilka słów w narzeczu Szyluków, którego effendi z pewnością nie zna.

— Wiesz, to niezła myśl i spróbuję na wszelki wypadek porozumieć się w ten sposób z fakirem el Fukara. Gdyby się to udało, byłby możliwy ratunek, ale z drugiej strony reis effendina wymknie się memu synowi z pułapki.

— Nie rozumiem.

— Syn mój zwabił reisa effendinę w kierunku dżezireh, a sam zaczął się ze swymi ludźmi po drodze w gęstym lesie senesowym, by go napaść znienacka. Gdyby więc był udał się nam dzisiejszy napad tutaj, a synowi tam, bylibyśmy się pozbyli raz na zawsze dwu diabłów, którzy przeszkadzają

nam w naszym handlu. Niestety, Allah zrządził inaczej.

— Jeżeli istotnie nie zdołamy się uratować, to jak sądzisz, co nas czeka w Chartumie?

— Żeby coś bardzo złego o tym i mowy nie ma. Przede wszystkim reisa effendiny nie będzie już na świecie, a inni sędziowie, chociażby bardzo surowi, niekoniecznie będą wierzyć naszemu oskarżycielowi, zwłaszcza, że to Frank i chrześcijanin. Możliwe, że nas puszcza na wolność natychmiast;

Mówili jeszcze dłużej ze sobą, ale nie było w tym już nic ciekawego. Usunąłem się więc z powrotem i, żeby więźniowie niczego nie zauważyli, kazałem żołnierzom tak jak przedtem udać zamieszanie.

Ledwie usiadłem, przybył do mnie Ben Nil z zawiadomieniem, że Abd Asl chce rozmówić się ze mną.

Oczywiście nie mogłem odmówić temu żądaniu.

— Oddałeś mnie w ręce swego Ben Nila — ozwał się stary, gdy przybyłem na miejsce — a ten darował mi życie. Cóż więc stanie się teraz ze mną?

— Nie przeczę, że Ben Nil darował ci życie, i z naszej strony nic ci wcale nie grozi. Co zaś będzie później, rozstrzygnie reis effendina.

— Jak to? Chcesz nas dostawić do Chartumu?

— Tak, a dlaczego o to pytasz?

— Dlaczego? Przecie to dla mnie rzecz niesłychanie ważna, bo skoro tylko oddasz mnie w ręce reisa effendiny, będę zgubiony! Ty jesteś szlachetny i nie uszło to wcale mojej uwagi, ile zadałeś sobie trudu, aby uratować mi życie, ale reis effendina jest srogi i nieugięty. Bez miłosierdzia każe mnie natychmiast rozstrzelać albo, co gorsza jeszcze, powiesić.

— A to jest bardzo możliwe — potwierdziłem.

— Przyznajesz sam i istotnie nie ma dla mnie innej rady, jak tylko przygotować się godnie na śmierć. Ty musisz oczywiście dopomóc mi w tym, bo tak chrześcijańska wiara nakazuje swoim wiernym. Od tego przygotowania się na śmierć zależy cała wieczność człowieka.

— Masz słuszność. Kto bez skruchy, bez żalu i bez dobrych uczynków, a tylko z grzechami na sumieniu umiera, ten jest na wieki potępiony.

— Otóż ja żałuję i pragnę odpokutować szczególnie jeden grzech, który na sumieniu mi ciąży. Ty nie jesteś człowiekiem zemsty i mam nadzieję, że dopomożesz mi w moim postanowieniu.

— Ależ najchętniej — odrzekłem, ciekaw ogromnie, co on obmyślałyby mnie wprowadzić w błąd. I wziął się ku temu zgrabnie. Przede wszystkim udał wielką skruchę i pokorę i zaczął mówić

miękkim, płaczącym tonem:

— Na sumieniu moim ciąży straszny grzech i chętnie bym się go pozbył, ale wiem z góry, że reis effendina nie da mi czasu do naprawy tego błędu, zwracam się więc już teraz z pewną prośbą do ciebie. Na moje szczęście znajduje się tu fakir el Fukara, jeden jedyny człowiek, który może mi być tu pomocny. Pozwól więc pomówić mi z nim słów parę!

— Hm — rzekłem, zastanawiając się. — Żądasz ode mnie rzeczy niemożliwej.

— Ależ bynajmniej. Idzie o wymianę paru słów.

— Czy mniej, czy więcej słów, to wszystko jedno, wiesz zresztą sam, jak mało ci dowierzam.

— Możesz być obecny przy tym i słyszeć wszystko.

— To nie ma nic do rzeczy, zwłaszcza, że ty chcesz mnie oszukać i dać fakirowi pewne wskazówki, dotyczące twego uwolnienia się za naszych rąk.

— Ależ to niemożliwe, skoro ty będziesz słyszał wszystko.

— Przeciwnie, możliwe. Wystarczy, gdy zestawisz takie wyrazy, których ja nie rozumiem, ale on, wtajemniczony w sprawę, pojmie od razu twoją myśl.

— Takim znowu mistrzem słowa nie jestem, effendi. Daj się więc ubłagać! Jesteś przecie chrześcijaninem.

— Teraz to powołujesz się na moją religię, a przedtem znieważałeś ją. Muzułmanin na moim miejscu oczywiście nie dałby się uprosić.

— Ale ty, effendi, nie odmówisz prośbie skruszonego człowieka. Będę mówił tak powoli i wyraźnie, żebyś każde słowo mógł zważyć w myśli, jak na wadze. Pomyśl, że to będzie niejako testament człowieka, stojącego przed obliczem śmierci. To, o co cię proszę, jest zresztą tak błahe, proste i jasne. — Ty zaś odznaczasz się surowością i nieustraszoną odwagą, ale okrutnikiem nie jesteś. Czyżbyś teraz chciał zasłużyć sobie na to ostatnie miano? Co się tyczy mądrości, chytrości i daru spostrzegawczego, to nikt nie może iść z tobą w zawody. Czy sądzisz, że właśnie dziś, w tej chwili przymioty owe odmówią ci posłuszeństwa? Gdybym obmyślał coś skrytego, poznałbyś to był o wiele wcześniej.

Wyczytałem z jego oczu, że uważał, jakoby mnie przekonał tymi słowami. Odpowiedziałem mu jednak:

— Zbyteczne są te pochwały i słowa, ponieważ ja sam siebie znam najlepiej i wiem, jakie posiadam przymioty. Mimo wszystko jestem niezbitie przekonany, że ani tobie ani fakirowi el Fukara nie uda się nigdy mnie oszukać, bo jesteście na to za głupi. Życzenie twoje spełnię, ponieważ uważam, że nie ma w tym dla mnie nic niebezpiecznego.

— Dziękuję ci, effendi — rzekł spokojnie i skromnie — pomimo, żeś mnie do głupich zaliczył.

Nie mylisz się. W rozmowie naszej nie będzie żadnego niebezpieczeństwa dla ciebie, ponieważ wszystko usłyszysz.

— Nie, nie usłyszę ani słowa, nie będę nawet obecny podczas waszej rozmowy.

— A więc mogę bez świadków i bez nadzoru z nim pomówić? — zapytał, nie mogąc całkiem opanować ukrytej radości.

— Powiedziałem ci to raz i nie widzę powodu do powtórzenia tego. Jeżeli chcesz, mogę usunąć nawet dżelabiego, a teraz wracam do obozu i przyślę ci natychmiast fakira el Fukara, abyś się z nim rozmówił. Sądzę, że dziesięć minut wystarczy na to w zupełności.

— Aż za wiele, effendi.

— Widzisz więc, jak jestem i szczerze ci radzę, abyś nie nadużył mej dobroci, bo z pewnością nie wyszłoby ci to na zdrowie, uważaj!

— Nie troszcz się o to, effendi! Moje zamiary są uczciwe, dobroć twoja zresztą tak mnie w tej chwili wzruszyła, że chociażby był nawet knuł cokolwiek tajemnego przeciwko tobie, odstąpiłbym od tego stanowczo.

— Jeżeli tak jest istotnie, to cieszy mnie twoja uczciwość. Ale, ale czy słyszałeś o pobożnym i sławnym marabucie, któremu duch przyniósł dwanaście języków kruczych i tyleż orlich uszu?

— Słyszałem. On zjadł je i od tej chwili mówił wszystkimi językami ludzkimi i zwierzęcymi i słyszał wszystko, co tylko jego nieprzyjaciele radzili przeciw niemu, chociażby aż na drugim końcu świata.

— Wiedz tedy o tym, że i ja zjadłem takie języki i uszy, i uważaj; ja słyszę wszystko!

Słuch mój jednak, bez żadnych zaczarowanych sposobów, był w ustawicznym niebezpieczeństwie w czasie podróży tak wydoskonalony, że istotnie oddawał mi niesłychane usługi. I w tej chwili, gdy oddaliłem się od obu jeńców, dosłyszałem najwyraźniej szept starego:

— Co za szczęście! Uda się nam wszystko!...

Fakir el Fukara był mocno zdziwiony, gdy mu oznajmiłem, że stary chce z nim mówić i że ja pozwalam, by rozmowa ta odbyła się bez świadków. Udał się on czym prędzej na miejsce i usiadł koło obu jeńców. Żołnierze byli bardzo zdziwieni tym wszystkim, a Ben Nil począł mi przedstawiać całą nedorzeczność mego kroku; uspokoiłem go jednak twierdzeniem, że wiem bardzo dobrze, co czynię.

Po upływie dziesięciu minut fakir el Fukara wstał i zwrócił się z powrotem. Nie dawno temu zapewniał mnie o swej bezgranicznej wdzięczności i radbym się przekonać, czy robił to szczerze. Jeżeli istotnie czuł dla mnie życzliwość za uratowanie życia, to powinien był odkryć przede mną natychmiast spisek starego. Nie dbając wszakże na razie o to, obmyśliłem inną rzecz. Szło o to, aby przekonać starego, że wiem wszystko i w tym celu wyminiłem z daleka fakira el Fukara i podążyłem

prosto pod drzewo.

— No i cóż, czy fakir el Fukara spełni twą prośbę? — zapytałem.

— Tak, effendi. Przynależ mi uroczyście, że naprawi w moim imieniu ów błąd, którego sam już naprawić nie mogę. Jestem ci niezmiernie wdzięczny.

— Lżej ci teraz na sercu?

— Oh, tak mi błogo, tak lekko, jak jeszcze nigdy.

— Wierzę i znam powody ku temu.

— Znasz powody? A to w jaki sposób, skoro pojęcia nie masz o czynie, o którym była mowa?

— Mylisz się pod tym względem. Powiedziałem ci przecie jak najwyraźniej, że i ja spożyłem uszy młodych orląt. Idzie tu istotnie o pewien czyn, ale nie z dziedziny przeszłości, lecz o taki, który dopiero fakir el Fukara przedsięwzię.

— Effendi, co ty mówisz? Nie rozumiem...

— No, no, nie udawaj niewinnego. Powiedziałem ci z góry, że jesteście za głupi na to, by mnie oszukać. Uknuliście spisek przeciw mnie.

— To nieprawda! Jaki spisek? Nie wiem o niczym!

— Fakir el Fukara ma was ocalić w ten sposób, że sprowadzi tu twego syna Ibn Asla.

— Ależ o tym nie było żadnej mowy, effendi, ani też przez myśl nawet mi nie przeszło. Fakir nie wie, gdzie syn mój znajduje się obecnie.

— Ty mu to powiedziałaś.

— Nie! Nie mówiliśmy o nim ani słowa.

— Czy nie mówiliście również o reisie effendinie?

— Nie!

— Przypomnij sobie jednak zaczarowane uszy... Powiedziałaś fakirowi, jakie niebezpieczeństwo grozi reisowi effendinie.

— Nie jemu, lecz tobie mówiłem, że mają go otruć w Chartumie.

— Tak jest, przysięgłeś nawet na to i popełniłeś krzywoprzysięstwo, za które Allah bardzo surowo karze.

— Przysięgałem na prawdę.

— Co ty mówisz? A w jakimże celu powiedziałeś fakirowi el Fukara, że reis effendina będzie wciągnięty w zasadzkę w lasach senesowych koło dżezireh Hassania?

— Allah! — krzyknął stary, zdumiony do tego stopnia, jakby nagle piorun trząsł z jasnego nieba.

— A widzisz, jak cię to przestraszyło. Syn twój znajduje się obecnie koło wyspy Hassania, a fakir el Fukara ma bezzwłocznie udać się do niego i zawiadomić o wszystkim.

— Nic o tym... nie... nie... wiem — stękał jak konający.

— Że nic nie wiesz, mniejsza o to — odparłem z uśmiechem — główna rzecz w tym, że mnie jest wszystko wiadome. Ja zresztą słyszałem jeszcze więcej. Syn twój ma na czele swoich ludzi popłynąć w dół Nilu aż do Kateny i stąd wyprowadzić na step, by na nas napaść i uwolnić jeńców. No i cóż? Uszy orląt oddają mi przysługę, nieprawdaż?

— Jesteś diabłem, nie, najgorszym z diabłów! — krzyknął z nietajoną złością. — Nie słyszałeś niczego, jestem tego pewny, ale wiesz wszystko, boś zawarł przymierze z piekłem.

— A dlaczego nie z Allahem? Jesteś przecie skończonym łotrem, wobec czego potęga, która mnie wspiera w walce z tobą, musi być dobra i sprawiedliwa. Diabli nie daliby zrobić krzywdy temu, kto dla nich pracuje na ziemi, no, ale mniejsza z tym. Spisek odkryłem i staraniem moim będzie udaremnić go natychmiast. Twemu synowi złożę osobiście wizytę bez względu na to, czy sobie tego życzy, czy też nie, i biada mu, jeżeli reisowi effendinie chociażby włos z głowy spadnie. Teraz każę was obu odprowadzić na powrót do ogniska, by wam się tu nie przykrzyło samym, zresztą może tu za chłodno.

Skoro ich przyprowadzono z powrotem do obozu, opatrzyłem raz jeszcze ranę dżelabiemu, która na szczęście nie była niebezpieczna, o co się tak obawiałem, bo w tych okolicach nawet nieznaczące drażnienie mogłoby przybrać zgoła nieoczekiwane niebezpieczeństwo. Uporałem się z tym szybko i byłem bardzo ciekaw zachowania się fakira el Fukara. Gdyby mi powiedział całą prawdę, w takim razie wszystko dobrze. Jeżeli zaś nie, trzeba będzie uczynić wszystko, aby mu przeszkodzić w wykonaniu planu.

Siedział on znowu na boku sam i zadumany. Gdy żołnierze pokładli się spać, skinął na mnie, bym się do niego zbliżył.

— Usiądź koło mnie — rzekł, gdy podszedł ku niemu chciałbym pomówić z tobą w pewnej ważnej sprawie!

Usiadłem, będąc pewnym, że zdradzi plany starego, niestety już z pierwszych jego słów wywnioskowałem, że mu się to ani śniło.

— Jesteś chrześcijaninem, nieprawdaż?

— Tak.

— I znasz dokładnie kitab el mukaddas\*?

— Badalem tę księgę z wielkim zamiłowaniem.

— W takim razie wiesz niezawodnie, jakie objaśnienia poczynili wasi uczeni badacze?

— Oczywiście.

— Powiedz mi więc, czy wy uznajecie Mahometa prorokiem?

— Wedle naukowych wyników nie był on żadnym prorokiem, ale najzwyczajniejszym w świecie człowiekiem.

— Czy wy nie uznajecie żadnych proroków?

— Oj nie! Za proroków uważamy tych świątobliwych mężów, którzy obdarzeni łaską Boga, zesłani zostali między lud, aby go odwracać od złego, a prowadzić ku dobremu.

— Mahomet przecież czynił to wszystko.

— Przepraszam. Błędną jest droga, którą on wskazał swoim wyznawcom.

— A zatem i jego naukę uważacie za mylną i niedorzeczną?

— Co do tego, to trudnoby mi było odpowiedzieć krótkim słowem „tak”. On pomieszał rozmaite pojęcia, złe i dobre, w jedną całość. Spotykając się z chrześcijanami, izraelitami i poganami, brał od nich to, co mu się podobało, i stworzył zlepek dogmatów i przepisów, które o tyle są dobre, o ile pochodzą z chrześcijaństwa, reszta to same niedorzeczności. A że nawet najczystsza prawda, wpleciona w błędne koło kłamstwa i głupoty, traci swą wartość, zatem koran, mimo kilku ustępów, zgadzających się z religią chrześcijańską, jest jednym wielkim kłamstwem.

— A mimo to moglibyśmy wam zarzucić jeden niezmiernie wielki błąd: potępiacie koran, nie znając go wcale.

— Mylisz się i twierdzenie twoje zbiję jednym jedynym dowodem. Czy mianowicie istnieje choćby jeden mahometański medresse\*, w którym wasi studenci uczyli się naszej biblii?

— Rozumie się, że nie, bo młodzieży naszej nie wolno zajmować się nauką, dotyczącą jakichkolwiek innych religii, poczytano by im to za grzech śmiertelny.

— Ale w naszych uniwersytetach pracują uczeni i bardzo sławni ludzie i badają razem z uczniami koran i rozumieją go, kto wie, czy nie lepiej, niż wasi profesorowie. Wy nie macie pojęcia o naszej biblii, a mimo to nazywacie nas giaurami, my zaś znamy wasz koran dokładnie i możemy na tej podstawie wyrobić sobie nieomylny pogląd na cały islam.

— Czy i ty byłeś uczniem takich sławnych badaczy?

— Owszem, ucześniezzałem na wykłady jednegoz najbardziej poważnych badaczy. Przetłumaczył on dzieła uczonych, jak Abu I'feda, Beidhawi, Samachszari i inni, sto przypowieści Alego. Pod jego kierunkiem poznałem waszą mowę i koran sunnę, i objaśnienia, dodane przez waszych nauczycieli religii. Mogę tedy udzielić ci wyczerpujących wyjaśnień na każde zapytanie, dotyczące islamu.

— Cud nad cudami! Chrześcijanin chce objaśniać koran i inne święte księgi mnie, fakirowi el Fukara! Czy słyszał kto kiedy o czymś podobnym i czy ty, effendi, nie tylko w czynach, ale w słowach chcesz być koniecznie zuchwałym?

— O zuchwałości mowy tu być nie może. Wywody swoje opieram na podstawach pewnych i naukowo dowiedzionych. Możesz się o tym przekonać, jeśli chcesz.

— Nie, nie chcę i nie mogę dysputować z chrześcijaninem o islamie. Zresztą wiem z góry, że nie dałbyś się nawrócić! Mnie zależy jedynie na kilku pytaniach, na które odpowiedzieć mi musisz. Nawet bowiem najmędrszy z mędrców nie jest w stanie wydać stanowczego sądu o naszej wierze. Dzieło to nie jest jeszcze gotowe; rozpoczął je Mahomet, a skończy kto inny.

— Kto?

— A więc zapytujesz i dajesz tym dowód, że twoja znajomość koranu i objaśnień do niego było tylko przechwałką.

— Przepraszam, mądry fakirze, wcale nie dlatego pytałem. Wiem bowiem, masz na myśli Ma'ddijego waszego Parakleta\*, którego wielu z was oczekuje.

Wyraz ten należy pisać Ma'ddijj, nie Mahdi. Pochodzi on z arabskiego czasownika „hahdaja” — prowadzić i znaczy tyle, co pośrednik, pomocnik i przewodnik ludzi ku prawdzie i doskonałości. Ja jednak w dalszym ciągu dla jednostajności będę używał wyrazu Mahdi.

— O! Słyszałeś o tym, że Mahdi zejdzie na ziemię?

— Słyszałem i czytałem. Koran jednak o nim nigdzie nie wspomina, nie ma też żadnej wzmianki w komentarzach. Mahdi żyje tylko w ustnej tradycji ludu, ale to nic nie znaczy.

— I ja do ustnego podania nie przywiązuję żadnej wagi. Allah ześle na ziemię proroka i zadaniem jego będzie dokończenie dzieła, które rozpoczął Mahomet. Prorok ten nawróci niewiernych, a jeśli nawrócić się nie dadzą, zniszczy ich i wytępi, a potem dobra tej ziemi rozda pomiędzy nowych wyznawców Allaha wedle zasług i pobożności.

— Są to marzenia i nadzieje więcej świeckie niż religijne. Gdybym ja był muzułmaninem, trzymałbym się koranu, którego nauka nie każe bynajmniej spodziewać się jakiegokolwiek proroka.

— Niby dlaczego? To, że koran o Mahdim nie wspomina, nie daje jeszcze podstawy do mniemania, jakoby przyjście wielkiego proroka było wykluczone.

— Mylisz się pod tym względem zupełnie. Mahomet przecie sam powiedział, że jest ostatnim prorokiem zesłanym z nieba. Nauka jego jest zamknięta w sobie jako całość i nie może być ani



uzupełnioną ani zmienioną. Zaznaczył zresztą Mahomet i to, że po nim przyjdzie na świat jeden jedyny Iza Ben Marryam\*, w dniu ostatecznym sędzić żywych i umarłych. Zstąpi on nad meczetem Ommijadów w Damaszku. Pominąwszy zresztą to, że Mahomet w tym wypadku stawia Zbawiciela świata wyżej o całe niebo od siebie, stwierdza on jak najwyraźniej, że oczekiwanie Mahdiego jest niedorzecznością.

— Mówisz to, jako niewierny.

— Bynajmniej, lecz jak znawca islamu, który w tym wypadku przejął na siebie poglądy muzułmanina. Gdyby dziś pojawił się na świecie Mahdi i chciał wszystkich opornych niewiernych wytepić i zniszczyć, byłoby to śmieszne. Istnieje przecie więcej niż tysiąc milionów ludzi, którzy nie są mahometanami, zresztą weźmy w rachubę choćby tylko samych chrześcijan. W jaki sposób ów Mahdi zabrałby się do tego olbrzymiego dzieła zniszczenia całych narodów?

— Ogniem i mieczem!

— A no, niechby przyszedł taki wariat! Tylko, że on wcale nie przyjdzie, a zwłaszcza nie dotrze do nas. Czy bowiem możliwe jest, aby małe źródło pustynne udało się stąd nad Nil i połknęło tę olbrzymią rzekę? Czy mogłoby ono przedrzeć się przez pustynię i skaliste łańcuchy gór, które je od Nilu oddzielają? Mnie się zdaje, że gdyby tylko wyszło poza obręb oazy, zginęłoby marnie w rozżarzonym piasku.

— Allah rozszerzy jego fale i wzmocni siły do tego stopnia, że potęgą swoją przewyższy Nil tysiąckrotnie.

— Bóg jest wszechmogący, to prawda, ale On wcale nie dopuści, aby dla zachcianek marnego muzułmanina powstało na tej pustyni morze, które mogłoby zatopić góry i wyżyny.

— Wy nas nie znacie. Nikt nie będzie zdolny oprzeć się nam, gdy zbrojni zalejemy nawałą wasze kraje!

— Ba! Ale ten wasz strumień wyschnie daleko jeszcze od naszych granic. Bo czy wy znacie nasze kraje? Gdzie one leżą? Znacie nasze narody, urządzenia, armie? Marna pchła chciałaby się zmierzyć z hipopotamem lub krokodylem! I nie jest to ubolewania godną głupotą?! Toż gdybyście nawet rozmnożyli się setki tysięcy, to ani pojęcia nie masz, jakbyśmy was szybko ujarzmili.

— Na Allaha! Nie widziałeś zapewne jeszcze nigdy walczącego muzułmanina. My zdruzgotalibyśmy was w mgnieniu oka.

— Ale o jedno mgnienie oka przedtem wyginęlibyście co do nogi od kul naszych armat i karabinów. I nim jeszcze zaczniesz mówić o zdruzgotaniu, udaj się w nasze kraje i policz te miliony wojowników, stojące pod bronią, gotowe do ognia każdej chwili! Przypatrz się, co to za ludzie i czy dziesięciu z was może się zmierzyć z jednym tylko naszym żołnierzem! Nie! Doprawdy śmiech mnie zbiera. Masz tyle pojęcia o rzeczy, co ryba o trąbie powietrznej na pustyni. Pytasz mnie nawet, czy widziałem walczącego muzułmanina. — Ależ owszem widziałem, walczyłem nawet z nimi sam i dziwi mnie to, że stawiasz mi podobne pytanie. Weź pod uwagę przykład, jaki obecnie masz pod

ręką, a mianowicie — mnie! Chciano mnie tu koniecznie uśmiercić, i co? Czyż wszyscy ci bohaterowie nie wpadli we własne swoje sieci? Jestem jedynym chrześcijaninem pośród was. Powiedział ci zresztą sam Abd Asl, że należy się obawiać mnie samego więcej, niż wszystkich żołnierzy razem, którzy się tu znajdują. Chcieli mnie złapać. I co się stało? Nie oni mnie, lecz ja ich sześćdziesięciu mam w swym ręku i w dodatku tu, w ich własnym kraju, gdzie znają dobrze stosunki. Może więc przyjsć twój Mahdi i spróbować szczęścia. My z swej strony nie będziemy się nawet bronić; odpowiemy jedynie śmiechem i tego śmiechu tak się przelęknie, że łeb na szyję czmychnie razem ze swoimi bohaterami.

— No, no, pozwalasz sobie za wiele, effendi, ale gdybyś go ujrzał na własne oczy, oniemiałbyś ze strachu i trwogi.

— Czy posiada on tak straszliwe oblicze?

— O tak, nie masz pojęcia, jaki on straszny.

— A ty masz o tym pojęcie?... Widocznie znasz go osobiście, co?

— Właśnie dlatego, że nie wierzysz w przyjscie Mahdiego i naigrawasł się z całej tej sprawy, odpowiem ci tak: znasz go osobiście.

— A więc on już był na tym świecie?

— Tak. Jest na tym świecie i właśnie otrzymał od Allaha mądrość i moc do rozpoczęcia wielkiego dzieła. Niebawem podbije on świat i rozniesie między niewiernych śmierć i spustoszenie.

— Wiesz co? Możebyś był łaskaw udzielić mu pewnej rady ode mnie.

— Jakiej?

— Bardzo życzliwej rady, a mianowicie, żeby w ciszy i pokoju pasł sobie trzodę albo uprawiał rolę i na miłość Allaha wyrzekł się mrzonek o jakimś posłannictwie. Biedaka opętała mania wielkości i głupota, co nie tylko on sam, ale i jego zwolennicy, jeśliby jakich znalazł, przepłacać życiem.

— Mylisz się. Posłannictwo jego pochodzi od Allaha i on musi spełnić rozkaz, dany mu z niebios.

— W takim razie mogę z góry przewidzieć, co go czeka. Przede wszystkim zbuntuje się przeciw wicekrólowi i możliwe, że uda mu się wznieć powstanie. Chartum jest dość daleko oddalony od Kairu i, nim kedyw zbierze wojsko, mógłby Mahdi zająć okolice nad oboma górnymi ramionami Nilu, ale tylko na krótki czas, bo niebawem zmuszony będzie poddać się bez pardonu.

— O, co to to nie. On gardzi kedywem i ujarzmi go natychmiast, jak niewolnika, a potem zajmie Mekkę i pomaszeruje wprost na Sztambuł. Zdetronizuje sułtana i obwoła się tu właściwym panem i władcą wszystkich wiernych.

— Ani mowy nie ma! Nie masz najmniejszego wyobrażenia o stosunkach, z którymi on musiałby

się liczyć, nie znasz przeszkód, na któreby się natknął. Tu, nad górnym Nilem, mógłby się bawić przez pewien czas w wojnę, ale skoro wychyliłby tylko nos poza Nubię, dostałby takiego weń szc lutka, że...

— Od kogo? — przerwał mi żywo.

— Od mocarstw, które nie pozwolą wcale na detronizację wicekróla lub sułtana. Czyż myślisz, że na świecie nie ma ludzi, którzy, jak ten twój Mahdi, niechętnie Widzą sułtana na tronie w Stambule? Weźmy choćby takiego cara rosyjskiego, który ma wielką chętkę na Stambuł, a zwłaszcza na Dardanelle. I ma niedaleko, bo jego kraje graniczą bezpośrednio z Turcją i rozporządza milionową armią, a mimo to ani się kusi zabrać Stambuł. Wierz mi, że nie czyni tego z obawy przed mahometanami, ale dlatego, iż nie zgodziłyby się na to inne chrześcijańskie mocarstwa w Europie. Czyż zatem mógłby Mahdi dokonać tego, na co nawet wielki car się nie odważy? Powiedz więc temu człowiekowi, że jego plany są dziecinne i niedorzeczne! Nawet po stronie kedywa stoją mocarstwa, które nie dozwolą nikomu odebrać mu władzy. Mahdi mógłby dotrzeć najdalej do Assuanu, ale tam już natknąłby się na europejskie, a więc chrześcijańskie karabiny i armaty, które garstkę jego rozfanatyzowanych zwolenników rozniosłyby w puch od razu.

— A coby było, gdyby tak, dajmy na to, w armii kedywa znalazł się ktoś przychylny Mahdiemu?

— Masz na myśli kogoś z wyższych oficerów, który wszcząłby powstanie w Kairze równocześnie z wystąpieniem zbrojnym Mahdiego w Chartumie?

— Tak.

— Otóż powiem ci, że gdyby nawet udało się owemu oficerowi pozyskać garstkę zwolenników, krótka byłaby jego uciecha, ponieważ armie europejskie wylądowałyby w krótkim czasie i zgniotły powstanie w samym zawiązku.

— A jeżeli on nie dopuści do wylądowania?

— W jaki sposób? Przecie wojska europejskie lądują pod osłoną armat okrętowych.

— On zniszczy okręty.

— Czym? Jak? Przecie to nie drewniane barki nilowe, lecz olbrzymy, opancerzone stalą, od których kule się odbijają. Ich kule armatnie sięgałyby aż do Kairu i cały kraj zrównałyby z ziemią za jeden dzień. Jeżeli jednak Mahdi miałby zamiar opanować Sudan i wszystkich murzynów nawrócić na islam, to ostatecznie możliwe jest, żeby mu się to udało, bo tu zna ludzi i stosunki, ale niech się nie porywa do wykonania jakichkolwiek szerszych planów zaborczych ku Północy. Mahdi, który śni o podbiciu całego świata, musiałby nie tylko skupić w swych rękach o wiele większą potęgę, niż ją posiada współczesna Europa. Czy jednak możliwe jest, żeby taki nadczyłowiek znalazł się między wami?

— Jest taki człowiek, który dziesięciokrotnie przewyższa wszystkich Europejczyków razem wziętych — odparł zarozumiale.

— Z odpowiedzi twojej wnioskuję, że za takiego uważasz się ty sam.

— Mniejsza o to, kogo mam na myśli, dosyć, gdy powiem, że Allah udzielił mu ducha mądrości, potęgi i wszystkich w ogóle przymiotów, jakie niezbędne są dla człowieka, mającego spełnić święte i wielkie posłannictwo. Niebawem rozejdzie się po całym świecie wieść o jego chwale i mocy, a wszyscy królowie, cesarze i książęta wyślą do niego swych posłów z darami i prośbą błagalną o pokój. Na to mogę ci przysiąc.

— E, co do waszej w ogóle przysięgi, to przekonałem się wiele razy, a nawet i dzisiejszego jeszcze dnia, co ona warta, jeśli ją składa muzułmanin. Czy to już wszystko, o czym chciałeś mówić ze mną?

— Wszystko. Chciałem poznać twoje poglądy jako uczonego chrześcijanina na zesłanie Madhiego.

— I dowiedziałeś się. Radbym jednak zapytać cię jeszcze o pewną rzecz, a mianowicie, o czym to rozmawiałeś z Abd Aslem?

— O pewnym wielkim błędzie, który on popełnił. Prosił mnie, abym błąd ten naprawił w jego imieniu.

— I przyrzekłeś?

— Tak, effendi.

— Pytanie jednak, czy będziesz mógł zrealizować to zadanie.

— Mogę. Otrzymałem wszystkie potrzebne wskazówki.

— Czy nie chciałbyś i mnie wtajemniczyć w tę sprawę?

— Daruj, effendi, ale to była spowiedź umierającego starca, zresztą sam zdobyłeś się na tyle delikatności, że usunąłeś się, by nic nie słyszeć. Czyżbyś teraz żałował tego?

— No, nie, ale obawiam się, że okoliczność ta nie powinna być dla mnie obojętną.

— Ona ciebie nie dotyczy.

— Tak? Nie planowaliście nic przeciwko mnie?

— Jak śmiesz nawet o to pytać! Uratowałeś mi życie i jestem ci winien wdzięczność, wierzaj mi, że gdyby tylko groziło ci cokolwiek, nie omieszkałbym zawiadomić cię o tym.

— On przecież jest twoim przyjacielem.

— Wdzięczność moja dla ciebie przewyższa wielokrotnie ową znajomość; możesz mi zaufać.

— Ufam zazwyczaj tylko tym, których doskonale znam, ciebie jednak spotkałem dziś po raz

pierwszy.

— Szczerze żałuję, że nie możesz w tej chwili poznać mnie bliżej. Wypocząłem już dostatecznie i chciałbym się udać w dalszą drogę do Chartumu; proszę cię więc, wybierz dla mnie wielbłąda!

— Chętnie to uczynię, ale dopiero rano.

— Teraz nie? Przyrzekłeś mi przecie...

— Naturalnie i przyrzeczenia dotrzymam.

— W takim razie obojętne ci jest, czy darujesz mi wielbłąda teraz, czy później.

— Sądzę, że i tobie również.

— O, nie, ja muszę odjechać zaraz.

— A ja jestem przekonany, że odjedziesz rano.

— Mówię ci jednak, że...

— A ja ci mówię — przerwałem ostro — że wszystko to, co mówisz, jest mi zupełnie obojętne. Wiem tylko to, że zostaniesz tutaj do rana i odjedziesz dopiero razem z nami.

— Ależ, co tobie się stało, effendi? Już ja wiem, co robię i co mam robić. Czyżbym nie był już panem swej woli?

Wstałem i on równocześnie zerwał się, patrząc na mnie dość groźnie.

— Nie puszczę cię.

— Jakim prawem.

— Prawem przemocy. Jestem władcą i panem nad tą studnią i nic się tu nie może stać bez mego pozwolenia.

Fakir miał strzelbę przy sobie, ja zaś pamiętałem o wszystkim prócz tego, że on nagle może umknąć. A że karabin swój zostawiłem przy ognisku, mógł znakomity uczony myśleć spokojnie i bez obawy o ucieczkę.

— Obiecałeś mi dać wielbłąda, abym mógł przedsięwziąć dalszą podróż — rzekł tonem stanowczości — zdaję się więc na twoje słowo.

— Otrzymasz wielbłąda i pojedziesz, lecz kiedy, o tym nie było żadnej wzmianki. Pojedziemy wszyscy raniutko.

— Mnie jednak tak się bardzo spieszy, że czekać na was nie mogę.

— Czemuż nie powiedziałeś mi tego wcześniej? Zdawało mi się, że ci wcale niespieszno, a zresztą my pojedziemy bardzo szybko i wcale nie stracisz na czasie, gdy zaczekasz na nas.

— Ależ effendi, dla mnie zbyteczne jest towarzystwo i jakakolwiek ochrona; podróżując sam jeden, będę się czuł o wiele bezpieczniejszym, niż razem z chrześcijaninem, którego obecność mogłaby mnie właśnie narazić na niebezpieczeństwa.

— Mam przecież żołnierzy, a zresztą obstaję stanowczo przy tym, że nie odjedziesz wcześniej od nas.

— Jakim prawem obchodzisz się ze mną, jak z jeńcem, radbym wiedzieć!

— Prawem obrony własnego życia; okoliczności właśnie tak się złożyły, że nie mogę postąpić inaczej.

— Czyżby mój wcześniejszy odjazd był połączony z niebezpieczeństwem dla ciebie?

— Tak.

— Allah 1'Allah! Posądzasz o to mnie, Mahdiego, przed którym w prochu czołgać się będą miliony.

— Ach, tak! Puściłeś nareszcie barwę. Więc to ty jesteś tym wybranym, z którym Allah osobiście rozmawiał! To ty strącisz z tronu kedywa i sułtana! Ty? Ty zdobędziesz ziemię i wytepisz chrześcijan? Ty uzupełnisz posłannictwo proroka i mieczem islamu sięgniesz z jednego końca świata na drugi?

W czasie tych pytań mierzyłem go wzrokiem od stóp do głowy, a na słowo „ty” kładłem wyraźny nacisk, poczym dodałem:

— Otwarcie mówiąc, ty nie wyglądasz nawet na takiego człowieka, któryby umiał dowodzić choćby dziesięcioma żołnierzami, a chciałbyś podbić całą kulę ziemską?

— Nie drwij, bo ci to nie wyjdzie na dobre! Jestem obdarzony duchem proroczym i znam wszystkie sprawy, wiem, co się już stało i co się stanie w przyszłości, i widzę naprzód, jak ogromne tłumy wszystkich na świecie śmiertelników gromadzących się koło mnie.

— A zatem wiesz wszystko, co było, i możesz przewidzieć również przyszłość? Mam więc tak samo silny wzrok, jak i ty — wiemy bowiem obaj w tej chwili, że nie do Chartumu chcesz się udać, lecz do dżezireh Hassania, w celu wyszukania Ibn Asla. Czy wiesz jednak o tym, że ja będę tam wcześniej, niż ty? Wdzięczność twoja dla mnie jest istotnie wielka i właśnie, chcąc ci się odpłacić za nią, nie puszcze cię od siebie. Zostaniesz z nami i...

Nie mogłem dokończyć, gdyż fakir odwrócił się nagle i począł zmykać. Puściłem się za nim w tej chwili i dogoniłem, chwytając go za lewe ramię, gdy tymczasem on, mając w prawej ręce strzelbę, chciał mnie uderzyć kolbą w pierś, Nim mu się jednak to udało, powaliłem go na ziemię i przycisnąłem mu piersi kolanami tak silnie, że ledwie mógł szeptem kląć i obrzucić mnie obelżywymi

wyrazami, które bynajmniej z przyszłym Mahdim nie licowały.

Żołnierze nie mało zdziwili się na wiadomość o tym, że ja tak nagle odkryłem w fakirze el Fukara nowego wroga, i kiedy im oznajmiłem, że on właśnie miał zamiar wydać nas w ręce Ibn Asła, zdradzali nietajoną chęć pomścić się na niewdzięczniku.

Wobec tego, że odkryłem tak ważne tajemne knowania, musiałem oczywiście zmienić pierwotny cel podróży. Wypadało teraz za wszelką cenę ilość z pomocą reisowi effendinie, a przede wszystkim ostrzec go przed groźącym niebezpieczeństwem, jeżeli, rozumie się, jeszcze nie jest za późno. Wyruszyć trzeba było w tej chwili, a że transport jeńców nastroczał wiele trudności, postanowiłem pojechać sam naprzód i to natychmiast, nie kładąc się choćby tylko na chwilowy spoczynek. Samotna podróż nie należała do zbytnich przyjemności, ale kogóż było wziąć ze sobą? Żołnierza? Bynajmniej! Sytuacja była bardzo naprężona i kto wie, na jakie niebezpieczeństwo mogłem się natknąć. Koniecznym więc było uzbroić się w odwagę, stanowczość, nie gardząc nawet podstępem, wobec czego pożądanym był taki towarzysz, na którym mógłbym w każdym wypadku polegać. Bardzo chętnie byłbym powierzył dowództwo nad karawaną Ben Nilowi, bo byłem pewny, że wywiązałyby się z zadania znakomicie, ale był on przede wszystkim mnie potrzebny. Wolałbym, żeby wszyscy jeńcy uciekli, niżby miało spotkać nieszczęście reisa effendinę. Dlatego rozkazałem Ben Nilowi, by był gotów do drogi ze mną, a dowództwo oddałem w ręce najstarszego z żołnierzy, który ponadto miał doskonałego pomocnika w osobie Fesara. Mieli oni obaj doprowadzić cały transport do wsi Hegazi w pobliżu Hassanii i tam oczekiwać mego przybycia. Przewodnikowi oddałem ową sławną flintę wizyjną, co go napełniło niesłychaną radością.

Effendi — mówił ze łzami w oczach — serce twoje pełne jest łaski i miłosierdzia, od którego i moje serce topnieje. Zaufaj mi i nie troszcz się o nic, już ja zdołam doprowadzić żołnierzy razem z jeńcami do Hegazi! Jedź więc spokojnie, a Allah niech cię błogosławi i strzeże!





# Rozdział II

## W niewoli

Odległość od studni, nad którą zdarzyły się właśnie tak ważne wypadki, aż do dżezireh Hassania wynosiła prawie trzydzieści mil. Drogę tę przebyły nasze znakomite wielbłądy w dwu dniach, były jednak w końcu tak pomęczone, że musieliśmy zwolnić biegu. Zdawało mi się, że jechaliśmy we właściwym kierunku i najprostszą drogą, ale niestety zaszła nieduża pomyłka, bo zboczyliśmy aż pod Dżebel Arasz Quol, który leży znacznie dalej na północ od Hegazi.

Wieczór zapadał, gdyśmy przybyli na miejsce. Hegazi jest nędzną hellą\*, składającą się ledwie z kilku chat, pobudowanych na wysokim brzegu Nilu tak, że są przed wylewem zupełnie zabezpieczone. Z chat tych wiedzie droga w dół ku rzece do miejsca, gdzie ładują statki nilowe i poją zwierzęta. Drogę taką oraz miejsce do ładowania i pojenia nazywają nad górnym Nilem miszrah.

Od wyprawy do Fesarów nie widziałem rzeki, to też ucieszyłem się bardzo, zobaczywszy ją znowu. Mieszkańcy wsi zbiegli się do nas i zapytywali ciekawie, skąd jesteśmy i gdzie jedziemy. Oczywiście nie wyjawiałem im wcale swoich planów i wymijałem zapytania tak, że się niczego nie dowiedzieli.

Napoiiliśmy wielbłądy i wypuścili je na pastwisko, zapłaciwszy za to właścicielowi parę groszy. Zmierzając następnie od wielbłądów ku wsi, zauważyłem człowieka, który siedział wysoko na brzegu i był uzbrojony. Poznałem od razu, że nie należy on do mieszkańców tej wioski, zacząłem więc wypytywać jednego z tych ostatnich, co to za jegomość.

— My go nie znamy wcale. Przybył tu jeszcze wczoraj i siedzi wciąż na tym miejscu, patrząc z biegiem rzeki.

— Oczekuje zapewne okrętu?

— Prawdopodobnie, ale gdyśmy go o to pytali, nie chciał z nami mówić. A tam, na końcu wsi, stoi osiodłany koń, którego on sobie pożyczył u naszego szejka el beled\*.

— Gdzież jeździł na tym koniu?

— Wcale jeszcze nie jeździł, ale koń ma być w pogotowiu tak długo, dopóki on tu będzie siedział.

— Nie wiecie, gdzie on chce jechać?

— Skądże znowu? Może powiedział szejkowi el beled, bo inaczej nie otrzymałby konia.

Obecność tego obcego i tajemniczego człowieka, zastanowiła mnie bardzo. Nie ulegało wątpliwości, że siedzi on tu w jakimś określonym celu, że oczekuje na coś w razie spostrzeżenia gotów jest odjechać z jakąś wieścią. Chętnie więc radbym się dowiedzieć o wszystkim, ale w jaki

sposób? Nie wypadało od razu pytać szejka, bo wzbudziłoby to w nim podejrzenie. Woląłem więc dowiadywać się dalej od przygodnego gapia.

— Kiedy przepłynął ostatni raz okręt w górę Nilu?

— Wczoraj rano.

— A ten człowiek kiedy przybył?

— On właśnie wysiadł z tego okrętu i przybył do miszrah łódką.

— Czy łódka ta znajduje się jeszcze na rzece?

— Nie, zabrano ją z powrotem na okręt?

— A co to był za okręt?

— Skądże ja mogę wiedzieć...

— Czy wiózł jakie towary?

— Nie widziałem.

— A może zapamiętałeś sobie nazwę?

— Nazywał się „Hardaun” (jaszczurka) i nie był to dahabijeh, tylko noker.

— A kiedy przejeżdżał tędy przedostatni okręt?

— Przedwczoraj. Był to również noker i nie wiózł nic. Płynął na południe, prawdopodobnie po towary.

— A czy nie widziałeś przypadkiem okrętu, któryby był parowcem i żaglowcem zarazem? Poznałbyś go łatwo po obcym wyglądzie.

— Nie, nie widziałem.

Odpowiedź ta uspokoiła mnie, gdyż dowiedziałem się przez to, że reis effendina nie dotarł jeszcze do niebezpiecznego dlań miejsca. Jego „Sokół” był tak niezwykle zbudowany, że musiano by go tu zauważyć.

Ben Nil położył się na trawie i przypatrywał się zajęciom tubylców, ja zaś poszedłem z wolna do obcego zagadkowego mężczyzny, obserwatora, który przez cały czas nie spuszczał ze mnie oczu. Usiadłem koło niego i ozwałem się:

— Allah niech ci da szczęśliwy wieczór!

— Szczęśliwy wieczór? — odburknął niechętnie. Pozdrowiłem go, jak należało, a mimo to

otrzymałem krótką i niechętną odpowiedź. Cóż więc było począć? Na więcej uprzejmości zdobyć się było trudno. On jednak dał mi dobrze do zrozumienia, że nie zależy mu na moim towarzystwie. Udając, że tego nie zauważyłem, ozwałem się z pewnym zakłopotaniem:

— Nie wziąłem ze sobą siatki i komary nie dadzą mi spać w nocy. Czy nie ma w tej wsi chaty, w której mógłbym zanoćować?

— Nie wiem. Ja nie tutejszy.

— Jesteś także obcy? Niechże Allah błogosławi ci w podróży!

— Niech błogosławi i tobie! Skąd przybywasz?

— Z Chartumu — odrzekłem, zmuszony mim owoli do kłamstwa.

— Gdzież jest twój namiot?

— Nie używam nigdy namiotu, lecz mieszkam stale we własnym domu w Suezie.

— Czymże ty jesteś?

— Handluję wszystkim, co tylko pod rękę podpadnie, najchętniej jednak...

Nie dokończyłem, robiąc wiele mówiącą minę i gest ręką na znak, że nie wypada dokończyć rozpoczętego zdania.

— Zakazanym towarem? — pochwycił w sam czas.

— A gdyby tak było, czy wolno mi się przyznać do tego otwarcie?

— Mnie możesz to powiedzieć i bądź pewny, że cię nie zdradzę.

— Czasem istotnie milczenie więcej warte, niż mowa.

— O, nie zawsze. Jeżeli jakiś kupiec chce dobrze zarobić, to musi ostatecznie mówić z kimś o tym.

— W tym wypadku rzeczywiście wygadałem się z tego powodu, ale na razie nie o interes idzie.

— Jeżeli jednak się nie mylę, jeżeli dobrze cię zrozumiałem... Przybyliście tu na wielbłądach, a gdzie udacie się dalej?

— Kupować.

— Co?

— No, to — burknąłem niejasno, aby się raczej sam domyślał na swój sposób.

To go usposobiło dla mnie nie tylko życzliwie, ale że tak powiem, nawet serdecznie. Uważał mnie

z wszelką pewnością za handlarza niewolników; z drugiej strony, ja nie wątpiłem ani na chwilę, że mam do czynienia z łowcą niewolników, poddanym Ibn Asla którego właśnie miałem zamiar odszukać. Rzecz wymagała, ażeby nie przyznać się przed nim otwarcie, gdyż dobry łowca ludzi nie wygaduje się od razu przed pierwszym lepszym nieznanym. Domyślałem się dalej, że człowiek ten wyczekiwał tu na pojawienie się reisa effendiny, by natychmiast ponieść wiadomość dalej. Zapewne też i „Jaszczurka” należała do Ibn Asla, i znajdowała się niedaleko, a najprawdopodobniej koło Hassanii.

— Jesteś dyskretny i cieszy mnie to bardzo — zauważył nieznanomy. — Tylko z ludźmi zdolnymi do milczenia można prowadzić dobre interesy.

— Ach, więc i ty również zajmujesz się tego rodzaju handlem?

— A gdyby?

— W takim razie możemy się doskonale porozumieć.

— Naprawdę? A czy wiesz, że zmieniać ludzi w niewolników jest interesem bardzo niebezpiecznym?

— E, cóż znowu za niebezpieczeństwo? Wyrusza się na wieś murzyńską, okrąża się, podpala i chwytą się uciekających czarnych w pułapkę, a starców i kaleki zabija się na miejscu i jazda z powrotem. Czy to taka sztuka?

— No, w czasie napadu nic oczywiście nie grozi, ale niebezpieczeństwo rozpoczyna się z chwilą transportu. Trzeba się skradać z wielkimi ostrożnościami i nie dać się złapać, niewolników zaś dostawić do właściwego miejsca i sprzedać. W tym właśnie cała sztuka, zwłaszcza, że kupców nie ma na zawołanie.

— W takim razie praktycznie byłoby wziąć jednego kupca ze sobą, ażeby na miejscu zaraz kupił cały połów i niechby jego samego głowa bolała o cały transport.

— Ba, ale skąd wyrwać takiego kupca?

— Skąd? Hm... — mruknąłem znacząco.

— Któż to ma być?

— E, ciebie to niewiele zajmować może, jak sędzę.

— Może więcej, niż ci się zdaje. Czy to bogaty człowiek?

— No, ma tyle, ile mu potrzeba.

— I jest oczywiście śmiały i odważny?

— O, tak. Kilkakrotnie zapuszczał się aż do Abisynii na kupno niewolników, a to wcale nie łatwe

przedsięwzięcie.

— Oczywiście. Gdzież on znajduje się obecnie?

— Nad Białym Nilem, może nawet stąd wcale niedaleko.

— Jesteś w samej rzeczy nader ostrożny. Masz na myśli samego siebie.

— Tego, rozumie się, nie powiem.

— Mnie możesz, ponieważ...

— Ponieważ? — Czemu nie mówisz dalej?

— Bo i ja muszę być ostrożnym. Jeżeli się jednak nie mylę, to może potrafiłbym ci powiedzieć, u kogo byś rekwik\* mógł kupić.

— A więc u kogo?

— U Ibn Asla.

— Allah! U tego sławnego łowcy niewolników. Gdzież on się znajduje?

— Tam, gdzie i twój handlarz, to jest nad Białym Nilem.

— W której okolicy?

— Może nawet stąd niedaleko — odrzekł, powtarzając moje poprzednie słowa.

Udałem, że mnie to nader przyjemnie zdziwiło, i ozwałem się:

— Ach, jak to dobrze, jak to dobrze! Słyszałem o nim. Pewien znajomy mój handlarz z Turcji opowiadał mi, że nabył od niego wielu niewolników.

— Murad Nassyr? Znasz go?

— Bardzo dobrze. Kupowałem często rekwik od niego.

— Ach, nareszcie potwierdziłeś, że jesteś tym samym kupcem, o którym wspominałeś.

— Allah, Allah! Wygadałem się tak niezręcznie.

— Nie troszcz się zbyt, nic nie szkodzi, bo i ja mogę mówić z tobą otwarcie! Mogę ci więc powiedzieć, że jestem w służbie Ibn Asla.

— Czy to prawda, czy też chcesz mnie tylko wypróbować?

— Prawda. Z jakiego powodu miałbym podawać się za sługę łowcy niewolników?

— Aby mnie schwycić. Możliwe bowiem jest, że pełnisz tu służbę z ramienia kedywa.

— Gdyby nawet tak było, to nie mógłbym ci nic zrobić w tej chwili, bo musiałbym cię złapać na gorącym uczynku. A zatem bądź szczerzy i powiedz, czy chcesz istotnie kupić rekwik?

— No, dobrze, zaufam ci mimo, że nie widziałem cię jeszcze nigdy w życiu. Tak jest, kupię niewolników, skoro ‘ tylko będą do nabycia.

— Dokąd udasz się stąd?

— W górę Nilu i hen dalej, aż poza Faszodę, dopóki nie znajdę seriby.

Pod tą nazwą rozumie się osadę niewolników. Osady takie są wedle tamtejszych pojęć ufortyfikowane i składają się z chat, służących częścią za schronisko dla łowców, częścią za rodzaj zapasowych „składow” żywego towaru. Naokoło całej osady sterczą powbijane gęsto ostre pale i koły.

— Ja sędzę, że zbyteczne z twojej strony podróżować tak na los szczęścia — zauważył troskliwie.  
— Masz przy sobie pieniądze?

— Dosyć.

— W takim razie zaprowadzę cię do Ibn Asla.

— Byłbym ci za to bardzo wdzięczny i nawet nie żałowałbym sutego bakszyszu\*. Czy jednak Ibn Asl ma gotowych do sprzedaży niewolników?

— Jeszcze nie, ale właśnie mamy zamiar urządzić wyprawę. Murad Nassyr chce koniecznie nabyć towar i, jeżeli nam się poszczęści, jak dotąd zawsze, to i dla ciebie zostanie może nawet więcej, niż ci potrzeba.

— To i Murad Nassyr jest u Ibn Asla?

— Nie. Pojechał do Faszody.

To mnie ogromnie ucieszyło. Miałem bowiem naprawdę zamiar odszukania Ibn Asla, a więc wpaść niejako w paszczę lwa. On mnie nie znał, gdyż nad Wadi el Berd, widział mnie tylko z daleka. Gdyby jednak znajdował się u jego boku Murad Nassyr, który znał mnie osobiście — miałbym się z pyszna. Naturalnie, można się było spodziewać, że będzie tam mokedem i muzabir. Obaj ci łajdacy znali mnie równie dobrze, jak Turek. Należało więc wybadać nieznanego w tym kierunku.

— A wiesz ty, po co teraz Turek przybył — zapytał mnie obcy człowiek, swobodny już zupełnie i otwarty.

— Skądże mam wiedzieć?...

— Znasz jego rodzinę?

— Wiem tylko, że ma dwie siostry.

— To zgadza się z rzeczywistością, z czego wnioskuję, że mówisz prawdę i jesteś istotnie tym, za którego się podajesz. On przywiózł jedną z tych sióstr Ibn Aslowi za żonę. W jednej z serib nad górnym Białym Nilem odbędzie się wesele, jeżeli więc wybierzesz się z nami, to oczywiście zabawisz się doskonale. Ibn Asl w takich okolicznościach jest bardzo gościnnie i dobry. Jego ojciec będzie również na uroczystości.

— On ma ojca? — zapytałem z udaną ciekawością.

— Tak jest. Jego ojciec żyje jeszcze. Odbywa on przejażdżki po Nilu jako pobożny fakir i pod tą maską dopomaga znakomicie synowi w interesach.

— Czy znajduje się on obecnie u boku syna?

— Najprawdopodobniej już jest, bo tylko na krótki czas oddalił się na step razem z oddziałem łowców niewolników, by tam urządzić sąd.

— Co znowu za sąd?

— Sąd nad pewnym obcym giaurem, który wyrządził nam niemałe szkody.

— Zaciekawiasz mnie.

— Ibn Asl mógłby ci opowiedzieć, jeżeli zechce, bo ja naprawdę nie wiem, czy wolno mi mówić o nim. Ten chrześcijanin jest łotrem i diabłem w jednej osobie, którego my musimy zgładzić, jak psa.

Gdyby mówiący to wiedział, że tym łotrem i diabłem ja właśnie jestem!

— Chrześcijanina tego prześladowaliśmy od Kairu aż tu, niestety, wymknął się nawet samemu morkademowi, kiedy...

— Morkademowi? — zapytałem — którego morkadema masz na myśli?

— No, tego od świętej Kadiriny.

— I nazywa się Abd el Barak? Ach, tego to ja znam doskonale. Spotkałem się z nim w Kairze.

— Naprawdę? A zatem bardzo się cieszę, że cię tu spotykam. Znajdziesz wielu przyjaciół między nami. Morkadem pojechał z Nassyrem do Faszody i zabrał także jednego muzabira. Wszyscy mają wziąć udział w wyprawie.

No i dowiedziałem się, czego mi było potrzeba. W otoczeniu Ibn Asla nie było nikogo z moich znajomych, mogłem więc śmiało udać się do niego. W tej chwili krąg słoneczny począł zapadać za horyzont i wobec tego, że podałem się za muzulmanina, wypadało odmówić mogreb czyli modlitwę o zachodzie słońca. Udałem się więc do Ben Nila, ukląknę koło niego i udawałem, że się modlę. Mogłem być uczynić to w obecności nieznajomego, ale obawiałem się, że on się pozna na mojej

udanej modlitwie, a zresztą należało zawiadomić Ben Nila o rezultacie moich wywiadów, bo mógłby bardzo łatwo popełnić jakiś błąd, unicestwiający moje plany od razu. Oczywiście nie było czasu na długą, wyczerpującą mowę. Obcy mógł lada chwila zbliżyć się do nas. Dlatego rzekłem do niego krótko:

— Słuchaj! Ja jestem handlarzem niewolników z Suez i nazywam się Amm Selad. Ty jesteś moim służącym i nazywasz się Omar. Obaj znamy Murada Nassyra, od którego kupowałem niewolników, tudzież znajomy jest nam mokkaDEM. Wędrujemy z Chartumu w górę Nilu.

— Rozumiem, effendi — skłonił głową Ben Nil.

— Ale na Allaha, nie wrywaj się ze słowem „effendi”, zwłaszcza jeżeli zachodzi obawa, że nas kto podsłuchuje. Jesteś człowiekiem bardzo wrażliwym i dlatego nie namawiam cię, byś mi dalej towarzyszył, ku czemu niezbędna jest szalona odwaga. Możesz więc zostać tutaj i zaczekać na karawanę.

— Ależ, panie, ja pójdę z tobą wszędzie, chociażby nawet na śmierć. Jeżeli grozi ci niebezpieczeństwo, to tym bardziej nie mogę cię opuścić.

— Dobrze, więc jesteś dzielnym chłopcem. Ibn Asl znajduje się niedaleko; postanowiłem odwiedzić go w celu wybadania, jakie są jego plany względem reisa effendiny, no i rozumie się pokrzyżować je. Udaję, że radbym się przyłączyć do jego wyprawy na murzynów i zakupić potem część połowu.

Nie mogłem dalej mówić, bo nieznajomy przystąpił do nas i rzekł:

— Zapytałeś mnie o datę na nocleg, otóż powiem ci, że nie będziesz tu nocował, bo udamy się zaraz po wieczornej modlitwie do Ibn Asla.

— Dlaczego aż po modlitwie?

— Oczekuję tu okrętu, a ty wiesz, że one w nocy nie kursują, lecz zatrzymują się u brzegu, a co najwyżej płyną jeszcze z jaką godzinę po zachodzie słońca. Owóż muszę tu czekać jeszcze, dopóki się zupełnie nie ściemni, i jeżeli nikt się nie pojawi, to dziś w ogóle nie ma się już czego spodziewać i dlatego mogę śmiało opuścić swój posterunek.

— Cóż to ma być za okręt?

— Czy ten młody człowiek może słyszeć wszystko, co mówimy? — odparł, wskazując Ben Nila.

— Nie mam przed nim żadnych tajemnic, ponieważ jest mi bardzo wierny i umie trzymać język za zębami.

— Słyszałeś co o reisie effendinie?

— Widziałem go nawet w Kairze.



— I wiesz także, jakie on ma zadania?

— O tym wiedzą wszyscy. On ma na celu wyłapać wszystkich łowców i handlarzy niewolnikami. Słyszałem, że ma ku temu nadzwyczajne i daleko idące pełnomocnictwa.

— Prawda co do joty. Allah niech potępi tego psa! Zalał on już łowcom dosyć sadła za skórę i niedawno wymordował cały oddział naszych kolegów w Wadi el Berd.

— On to zapewne uważa jako wymiar sprawiedliwości, nie jako karę.

— Może mu tu powiesz!

— Cóż znowu? Jestem handlarzem niewolników i jako taki nie mogę przecież być jego przyjacielem jeżeli tak dalej pójdzie, jak dotąd, to człek w końcu nie kupi ani jednego niewolnika.

— Ten giaur, o którym wspomniałem ci przedtem, jest jego przyjacielem i pomocnikiem, no, ale wkrótce zrobimy z nimi porządek. Reisa spodziewać się można tu lada godzina.

— A! To ty wyglądasz jego okrętu!

— Nie inaczej, a Ibn Asl czatuje w ukryciu.

— Zamierza zapewne napaść na okręt...

— E, to nie byłoby praktyczne. Okręt jest tak zbudowany i uzbrojony, że mimo przewagi liczebnej z naszej strony moglibyśmy łatwo przegrać. Po co zresztą wszczynać walkę, skoro i po stronie zwycięzców muszą być ranni i zabici. Nieprzyjaciela można unieszkodliwić w inny, praktyczniejszy sposób.

— W jaki na przykład?

— Na przykład, bierze się...

Omam cały w słuch się nie zamieniłem, by dowiedzieć się o tym ciekawym sposobie. Gdyby obcy był dokończył zdania, fatyga moja do Ibn Asla byłaby była zupełnie zbyteczna. Niestety, nieznajomy urwał nagle, zatykając sobie usta ręką, a potem dodał:

— Powiedziałem o wiele więcej, niż mi to było wolno. Z oblicza twego bowiem czytam, że mogę ci wszystko powiedzieć, nie pytając, czy to uchodzi, bo wzbudzasz we mnie zupełne zaufanie. Mimo to muszę milczeć, zresztą dowiesz się dokładnie wszystkiego od Ibn Asla, ja przy tej okazji proszę cię, byś nie dał mu do zrozumienia, że zanadto wygadałem się przed tobą.

— Możesz być zupełnie spokojny, nie wywnętrzam się tak łatwo i umiem być dyskretnym. Wiesz na pewno, że reis effendina tu przybędzie? Człowiek ten jest podobno bardzo ostrożny i przezorny.

— Co się tyczy tego giaura, tego chrześcijańskiego effendiego, to trzeba naprawdę bać się go, jak ognia. Ostrzeżono nas pod tym względem. Ibn Asl urządził pułapkę, w którą musi się złapać reisa

effendinę.

— Wiesz jaką?

— Wiem, ale nie mogę o tym mówić, ty zresztą wyprawisz się razem ze mną i dowiesz się dokładnie o wszystkim na miejscu. Myśmy mianowicie zawiadomili go podstępnie, że w pobliżu dżezireh Hassania ma być przeprowadzony przez Nil świeży transport niewolników, i jesteśmy pewni, że przybędzie tu natychmiast celem odbicia nam schwytanych murzynów, no i — oczywiście wpadnie w pułapkę.

Na tym skończyła się nasza rozmowa, z której dowiedziałem się prawie wszystkiego, co było dla mnie potrzebne. Zadaniem moim było jeszcze dowiedzieć się wszystkich szczegółów urzędzonej zasadzki i potem mogłem spokojnie zawrócić w dół z biegiem Nilu na spotkanie przyjaciela i ostrzec go przed niebezpieczeństwem. Niestety wywnioskowałem, że natarczywe pytania w tym kierunku mogłyby wzbudzić podejrzenie w gadatliwym nieznajomym.

Siedzieliśmy jeszcze całą godzinę razem, patrząc ciągle wzdłuż Nilu, i kto wie, czy nie byłem więcej podniecony, niż sam strażnik, ponieważ gdyby reis effendina pojawił się był w tym czasie, ostrzeżenie z mojej strony było wprost niemożliwe. Na szczęście nie pokazał się wcale.

Nastąpiła teraz aszya, modlitwa wieczorna, przepisana na godzinę po zachodzie słońca, po czym trzeba było wybrać się w dalszą drogę. Nie pytałem, jak i którędy pojedziemy, i dowiedziałem się dopiero w ostatniej chwili od nieznajomego.

— Pojedziemy konno. Udamy się do szejka el beled, aby nam dał jeszcze dwa konie.

— Czy tylko zechce, wszak nie zna nas wcale.

— Przypuszczam, że nie powinien się wahać, skoro zostawicie tu wielbłądy, a to wcale nie były jakie zwierzęta, zresztą on idzie zawsze na rękę Ibn Asłowi.

— Zna go osobiście?

— Jest naszym mężem zaufania i pomocnikiem. Wiesz przecie, że łowca niewolników musi mieć wszędzie zaufanych ludzi, którzy udzielają mu wskazówek i na wypadek ostrzegają przed niebezpieczeństwem. Ja zresztą, wróciwszy tu jutro o świcie, oddam mu obydwie konie.

Szejk dał nam konie z wielką gotowością i nawet nie przyjął zapłaty, jaką mu zaofiarowałem za tę usługę. Wsiadliśmy więc na konie i pojechali. Noc była ciemna, bo gwiazdy jeszcze nie nabrały pełnego blasku.

Jechaliśmy zrazu całą godzinę na południe w głąb stepu, po czym zakreśliliśmy łuk ku wschodowi, zbliżając się znowu ku rzece. Natrafiliśmy w dalszym ciągu na drzewa stojące z rzadka, których jednak było coraz więcej, aż wreszcie wjechaliśmy w gęsty las. Tu zatrzymaliśmy się pod rozłożystym drzewem, a przewodnik nasz udał się dalej pieszo w celu odszukania Ibn Asła, którego miał zawiadomić o naszym przybyciu i zapytać, czy zechce nas przyjąć.

— Boisz się, effendi? — szepnął do mnie Ben Nil.

— Nie, ale jestem mocno podniecony.

— Oh, i ja. Jeżeli nas pozna — zginęliśmy.

— Sądzę, że nie ma tam nikogo, kto by nas znał osobiście, mimo to musimy zachować jak największą ostrożność. W żadnym jednak wypadku nie powinniśmy do tego dopuścić, by nas rozdzielono, gdyż możliwe, że jeden drugiemu będzie musiał nieść pomoc.

— Czy to daleko stąd?

— Wcale nie, i nie będziemy tu czekali zbyt długo.

Nie pomyliłem się, po upływie ledwie dziesięciu minut powrócił przewodnik i rzekł:

— Pan mój oświadczył gotowość przyjęcia was zaraz. Weźcie konie za uzdy i chodźcie za mną pieszo, bo tuż o parę kroków znajduje się silny spad i trzeba iść z wielką ostrożnością!

Wokoło panowała taka ciemność, że oko wykol, ale drzewa się przerzedziły. Postąpiwszy kilkanaście kroków, stanęliśmy na pagórku, z którego roztaczał się widok na obszerną kotlinkę, oświetloną jasno płomieniami kilku ognisk. Kotlinka ta równa i bez jednego drzewa na całej swej przestrzeni, była właściwie łąką, na której niedawno skoszoną trawę i poukładano powyżej w stogi. Trawa ta nazywa się omm sufah i rośnie na moczarach nad górnym Nilem w takiej ilości, że nieraz po deszczu woda ją wyrywa i niesie ze sobą prawie na całej szerokości koryta, a żeglarze mają wiele do roboty, gdy natrafiają na te wały, uniemożliwiające często przejazd.

Naokoło ognisk spostrzegłem co najmniej stu ludzi rozmaitej rasy. Jedni byli ubrani w całości, inni do połowy, a byli nawet i całkiem nadzy, mając jedynie przepaskę na biodrach. W pobliżu kopie trawy stało sześć wielkich beczek, a dalej na rzece tuż przy samym brzegu stał na kotwicy statek, który ledwie było widać, bo powierzchnia wody znajdowała się znacznie niżej, od poziomu łąki. Prawie nad samym brzegiem błyszczało nikłe ognisko, przy którym siedzieli trzej mężczyźni. Zaprowadzono nas do nich natychmiast i wszyscy trzej powstali na równe nogi.

Pierwszy z nich był średniego wzrostu, barczysty jednak i krępy; nosił długą czarną brodę i miał na sobie biały haik; poznałem go od pierwszego wejrzenia. Był to ten sam człowiek, którego ścigałem nadaremnie na Wadi el Berd, a który miał wówczas pod sobą białego wielbłąda; — Ibn Asl, we własnej swojej osobie, najślawniejszy z łowców niewolników. Sławny ten jegomość obrzucił nas od stóp do głów ostrym badawczym spojrzeniem, jakby chciał przeniknąć nas do głębi.

— Sallam — pozdrowiłem go i chciałem dalej coś powiedzieć, ale on dał mi znak, bym milczał.

— Twoje nazwisko?

— Amm Selad z Suezu.

— A ten młodzieniec?

— Omar, mój pomocnik.

Nie chciałem powiedzieć: służący, bo w takim razie Ben Nil nie mógłby pozostać razem z nami.

— Ilu niewolników chcesz kupić?

— Ile będzie do sprzedania.

— Komu ich dostarczasz?

Chwila jedna wystarczyła do namysłu, że nie wolno mi się wygadać. Jemu trzeba było dać do poznania, że ma przed sobą nie byle kogo, a przynajmniej nie niższego od siebie. Odpowiedziałem więc tym razem krótko i stanowczo:

— Temu, kto dobrze płaci. Sądysz, że ja muszę wtajemniczać pierwszego lepszego człowieka w swoje handlowe interesy?

— Amm Selad, wystąpienie twoje jest bardzo pewne!

— Mógłbyś oczekiwać czegoś innego od człowieka mego zawodu? Czy godzi się pytać w ten sposób gościa, nie prosząc go nawet, by usiadł?

— A któż to powiedział, że masz być moim gościem?

— Nikt, ale ja uważam to za rzecz zupełnie naturalną.

— Rozumie się samo przez się, ale daruj, dla mnie wskazane jest zachować wszelkie środki ostrożności.

— Dla mnie również i jeżeli ci się nie podobam, w takim razie nie myślę nawet zadawać sobie trudu w tym kierunku i bądź zdrow. Chodź, Omar!

Zwróciłem się z zamiarem odejścia, Ben Nil tak samo, wtem Ibn Asl przystąpił do mnie nagle i, położywszy mi rękę na ramieniu, rzekł:

— Za pozwoleniem... Nie zrozumiałeś swego położenia... Kto przychodzi do mnie w tym miejscu, ten nie może się oddalić.

Popatrzyłem nań z uśmiechem i odparłem:

— A jeżeli ja mimo to odejdę?

— Nie odejdiesz! Zatrzymam cię przemocą.

— Spróbuj!

Powiedziawszy to słowo, chwyciłem Ben Nila za rękę i umknęliśmy w las. Stało się to tak nagle,

że Ibn Asl zdębiał ze zdumienia. Umknęliśmy, zanim zdołał wyciągnąć rękę, by któregoś z nas zatrzymać. Następnej chwili jednak odzyskał świadomość i krzyknął donośnie:

— Łapaj! Trzymaj! Wszyscy co do jednego marsz za nimi w pogoń!

Wszystko, co żyło, zerwało się na równe nogi i biegło w las, nawet Ibn Asl z obydwoma swoimi towarzyszami. Ja zaś odbiegłem nie więcej niż dwadzieścia kroków i zwróciłem się nagle w tył, w kierunku, gdzie kończył się krąg świetlny ognisk obozowych. Pociągnąłem za sobą Ben Nila w trzcinę i obaj przykucnęliśmy do ziemi. Tuż poza nami rozlegały się bezustannie głosy szukających nas bezskutecznie opryszków.

— Czemu nie uciekasz dalej? — pytał Ben Nil. — Oni nas nie dogonią.

— Ależ ja wcale uciekać nie chcę.

— Mamy tu pozostać?

— Bynajmniej, chcę tylko przekonać przez to Ibn Asla, że nie dam sobie rozkazywać. Teraz wszyscy zniknęli już za drzewami, chodźmy!

Wyleźliśmy z wysokiej trzciny i pobiegli bardzo szybko w kierunku ogniska, przy którym siedział Ibn Asl. Usiadłem tu najspokojniej w świecie i rozejrzałem się wokoło. Leżały tu trzy strzelby i trzy fajki, obok zaś garnek gliniany z tytoniem. Nałożyliśmy co żywo fajki i zapaliliśmy je, wtem ozwały się tuż w pobliżu głosy niesłychanego zdziwienia:

— Siedzą tam przy ognisku!

Wykrzykniki te podawano sobie z ust do ust, i wszyscy wrócili na swoje miejsca z taką samą szybkością, jak przedtem rzucili się do pościgu. Ja i Ben Nil siedzieliśmy spokojnie, paląc fajki, a wszyscy dziwili się niemało i nie wiedzieli, jak sobie to wytłumaczyć. Było przy tym dosyć śmiechu i wesołości, a Ibn Asl musiał sobie przemocą torować drogę między nimi, by się do nas dostać.

— *Allah akbar* — Bóg jest wielki! — krzyknął. — Co się stało? Szukamy was, gonimy, a wy siedzicie tu, jak gdyby nigdy nic.

— Chciałem ci tylko dać dowód, że mogę się stąd oddalić, jeżeli tylko sam zechcę, i nie byłibyście w stanie przeszkodzić temu. Ja jednak przybyłem tu zawrzeć z tobą korzystny interes i oddał się dopiero wówczas, gdy dojdzie on do skutku.

Powiedziałem te słowa z taką pewnością siebie, że twarz Ibn Asla wypogodziła się nagle, a na ustach zagrał swobodny uśmiech.

— No, no — ozwał się, potrząsając głową — podobnego śmiałka nigdy jeszcze w życiu nie widziałem. Jesteś odważny, a że mnie właśnie to się podoba, więc mogę ci darować psikusa, którego nam urządziłeś. Wróćcie na swoje miejsca!

Ostatnie zdanie skierował do swoich ludzi, którzy do rozkazu zastosowali się natychmiast. Następnie usiadł obok mnie, a dwaj towarzysze uczynili to samo. Byłem istotnie bardzo śmiały i skutek osiągnąłem nie najgorszy, teraz jednak trzeba było oczekiwać dalszych następstw. Nie pozdrowiono nas jeszcze ani nie przywitano się z nami, wobec czego nie czuliśmy się jeszcze bezpiecznymi. Ibn Asl nałożył trzecią fajkę i zapalił ją, puszczając dym prosto do mego nosa.

— To, co się teraz stało, nie zdarzyło mi się istotnie jeszcze nigdy. Jesteś zapewne albo lekkomyślny figlarz albo bardzo doświadczony handlarz.

— To ostatnie — odrzekłem — przeszedłem w życiu niejedno i wcale się nie boję, jeżeli przyjmuje mnie ktoś, nie pozdrowiwszy wprzód.

— Czyż mogę powiedzieć ci marhaba\*, nie znając cię?

— I tak i nie. Każdy postępuje wedle swej woli i upodobania. Ja na przykład witam się z każdym, kto mnie odwiedza.

— A jeżeli to człowiek zły i nie zasługujący na to?

— W takim razie znajdę czas, by go przepędzić.

— Wtedy, gdy ci już wyrządził szkodę... Moim zdaniem lepiej jest naprzód wypróbować, a potem dopiero osądzić.

— A więc możesz mnie egzaminować i będzie mi nawet bardzo miło, tylko przedtem zwracam ci uwagę, że jestem dziś bardzo zmęczony. Jechaliśmy całą noc i dzień i jesteśmy niewyspani, bądź więc łaskaw i nie przeciągaj egzaminu do rana!

Popatrzył znacząco na swoich towarzyszy, a ci na niego tak samo, nie wiedząc, czy śmiać się z mego zachowania, czy też nas łąjąc, gdy wtem Ben Nil wtrącił w poważnym i uroczystym tonie:

— I głodni jesteśmy, jak szakale.

Ibn Asl wybuchnął głośnym śmiechem.

— Na Allaha, jesteście obaj dobranymi łobuzami! Ja jednak tym razem odstąpię od swoich zasad i obdarzę was zaufaniem.

— Nie sprawi ci to wcale trudności — przerwałem mu — bo już sam fakt, że poważylem się na odszukanie ciebie świadczy najlepiej, że przybyliśmy w poważnych zamiarach.

— No, właściwie nie mam powodu do wątpienia.

— I słusznie. Bardzo się ucieszyłem wiadomością, że znajdujesz się tutaj koło dżezireh, chciałem bowiem udać się do Bahr el Ghazal albo nawet aż do Bahr el Dżebel w celu wyszukania seriby, ale podróż ta w okolicach niepewnych nie bardzo mi się uśmiechała. Teraz zaś, jeżeli oczywiście pozwolisz, mogę przyłączyć się do twej wyprawy i mam nadzieję, że pozostaniemy ze sobą w

trwałych stosunkach handlowych.

— Pytanie, jakie ofiarujesz ceny?

— Jaki towar, taka cena. Kupuję rekwik świeży, zaraz po ukończeniu połowu i transport przyjmuję na własne ryzyko.

— Nie masz jednak potrzebnych do tego ludzi.

— Znajdą się później. Przypuszczam, że dostanę dosyć ludzi u Szyluków.

— O, to za kosztowna rzecz, a zważ, że w tych okolicach płaci się nie pieniędzmi, lecz towarami.

— Zaopatrzę się w nie w Faszodzie, pieniędzy mi nie zabraknie.

— Ha, jeśli tak. Ale ty naprawdę ryzykujesz bardzo wiele. A coby było, gdybym tak dajmy na to, zabił cię, aby ci zrabować pieniądze?

— E, ty jesteś na tyle mądry, że nie uczynisz tego.

— Jak to? Nazwałbyś mądrością z mej strony to, że puściłbym z rąk swobodnie człowieka, który posiada pieniądze?

— Naturalnie, że tak. Gdybyś mnie obrabował, miałbyś jednorazowy tylko zysk, jeżeli zaś postąpisz uczciwie, wówczas będziesz miał ode mnie zarobek ciągle i możesz więcej zyskać, niż to, co teraz posiadam.

— Rozumujesz doskonale i bądź pewny, że włos z głowy twej nie spadnie!

— Cieszy mnie to, że nie zawiodłem się na tobie, co się zaś mnie tyczy, to już Murad Nassyr poręczy.

— To też właśnie, że go znasz, skłoniło mnie do rozmówienia się z tobą. Kupowałeś u niego i mam nadzieję, że będę z ciebie zadowolony. Nie mam więc nic przeciw temu, byś podążył razem z nami na połów.

— W którym kierunku chcesz się udać?

— O tym później, teraz musimy się wzajemnie przedstawić. Pozdrawiam cię i twego towarzysza; możecie spożyć razem z nami posiłek i przenocować.

Od pobliskich ognisk czuć było silny drażniący powonienie zapach pieczonego mięsa. Jak się dowiedziałem, zabito wieczorem wołu i pieczono sztukami. Otrzymaliśmy też niebawem spore porcje i zajadali z apetytem, przy czym rozmawialiśmy w ten sposób, że Ibn Asl zadawał mi jedno pytanie po drugim, a ja musiałem odpowiadać. Chciał bowiem dowiedzieć się o całej mojej przeszłości, o stosunkach, na co odpowiadałem bez zająknięcia i w sposób wyczerpujący. Rozumie się, że wszystko zmyśliłem od początku do końca. Przedstawiłem się więc jako handlarz żywym

towarem z Suez, malując dosadnie okoliczności, w których jako taki mogłem się znajdować, kalkulowałem wszelkie możliwe stosunki handlowe, opisywałem podróże, co zresztą nie było dla mnie bardzo trudne, bo znałem dostatecznie okolice. Ibn Asl zainteresował się tym ogromnie i zmiękł do tego stopnia, że w końcu począł mi opowiadać różne szczegóły ze swego życia.

To, co słyszałem, napełniło mnie prawdziwą grozą. Człowiek ten nie miał ani serca ani sumienia i w duszy swej nie czuł zapewne nigdy iskierki szlachetnego uczucia, a tylko hołdował zbrodni i ohydzie. I im dłużej, im więcej mi opowiadał, tym głębszą odczuwałem ku niemu odrazę. On zaś, jakby na przekór, nabierał do mnie z każdą chwilą zaufania i stawał się szczerym niemal zupełnie. W końcu zgadało się o mnie samym, tudzież o szkodzie, jaką mu wyrządziłem, odbijając kobiety i dziewczęta Fessarów. Określał mnie oczywiście z punktu swego własnego widzenia, a z każdego słowa przebijała taka nienawiść, taka zapalczywość, że kto inny na moim miejscu byłby drżał, jak liść, ze strachu i grozy. Napomknąwszy, że wysiał naprzeciw mnie swoich ludzi, by mnie schwytali, dodał:

— Na czele wyprawy stoi mój ojciec i jestem pewny, że dostaniemy tego effendiego w swoje ręce.

— Można jednak łatwo rozminąć się z nim — zauważyłem — chyba, że znacie dokładnie kierunek jego drogi.

— Znamy. On z wszelką pewnością otrzymał od Fessarów przewodnika, a my wiemy, którą drogą Fessarowie podróżują do Chartumu. Tym razem więc nie ujdzie nam z wszelką pewnością i będziesz miał sposobność widzieć, ile bólu i katuszy może znieść człowiek, zanim wyzionie ducha.

— Masz zamiar zamęczyć go na śmierć?

— Każę mu poobcinać powoli ręce, nogi, nos, uszy, język, wykłuć oczy i wtedy niech zdechnie.

— A co się stanie z żołnierzami, którzy mu towarzyszą?

— Wydałem rozkaz, aby ich wystrzelano co do nogi. Mnie zaś dostawią żywcem tylko tego jednego. Ojciec mój może lada chwila tu się pojawić.

A więc... usłyszałem wyrok dość... pocieszający, nie ma co mówić. Poobcinają mi ręce, nogi, uszy, nos, brr! Na samą myśl, że mógłby poznać, kim jestem, włosy stanęły mi na głowie. Mimo to odważyłem się na pewne pytanie, które mogło mnie zgubić bardzo łatwo, wspomniałem mianowicie o fakirze el Fukara i zapytałem, czy go zna.

— Rozumie się, że go znam — odrzekł. — Był niegdyś również łowcą niewolników.

— A teraz już nie?

— Oddał się pobożności i przygotowuje się do wielkiego dzieła.

— Nie wiesz, jakiego?



— On się z tym przed nikim nie zdradza. Czyta wiele ksiąg świeckich i religijnych, odbywa narady z ludźmi, którzy nie wiadomo skąd do niego przychodzą. Możliwe, że zamierza zostać wielkim marabutem albo wędrownym kaznodzieją i apostołem islamu, a zresztą może to tylko pozory, pod którymi ukrywa zupełnie inne plany. Nienawidzi bowiem wicekróla za wypędzenie go z urzędu i zapewne knuje przeciw niemu jakąś zemstę.

Wiadomość ta zastanowiła mnie. Jeżeli istotnie fakir bierze sprawę mahdyzmu ze strony poważnej, to obowiązkiem moim jest ostrzec rząd, tym bardziej, że wedle jego własnych słów Mahdi spodziewa się pozyskać jakiegoś wyższego oficera. Postanowiłem tedy zawiadomić przede wszystkim reisa effendinę, który w tej sprawie mógł o wiele łatwiej zdecydować, niż ja.

Co zaś do najbardziej w tej chwili pięknej dla mnie sprawy, niestety niczego dowiedzieć się nie mogłem, bo Ibn Asl nie skierował wcale rozmowy na temat pułapki, urządzonej na reisa effendinę. Sam zaś strzegłem się, jak mogłem, by się nie wygadać, i tylko dokładałem wszelkich starań, by rozmowa w jakiś sposób skierowała się na ten przedmiot, ale bez skutku. Na rozmowie czas leciał szybko i było już około północy, gdy straszny ten człowiek oznajmił mi, że czas już spać i kazał mi iść za sobą.

— Dokąd? — zapytałem.

— Na okręt. Tam nie ma tyle komarów, dam ci zresztą siatkę. Będiesz spał wraz ze mną, co powinieneś przyjąć za oznakę wielkiej życzliwości z mej strony.

Udałem, że istotnie w to wierzę, pomimo, że zupełnie co innego miał na myśli, to jest, chciał sam osobiście mieć mnie na oku.

— Nie chciałbym sprawiać ci kłopotu — zauważyłem — jestem przyzwyczajony do spania w podróży z Omarem, pozwól więc, że i on zostanie ze mną.

— Mam miejsce tylko dla siebie i dla ciebie. Omar otrzyma również wygodny nocleg u moich oficerów, którzy tak samo mają osobną kajutę.

Oczywiście, musiałem się na to zgodzić, bo dalsza wymówka mogłaby była wzbudzić w nim podejrzenie, a zresztą nie miałem znowu wielkiego powodu do obstawania przy tym, aby Ben Nil pozostał ze mną. Dotąd bowiem poszło wszystko jak najlepiej i nie było najmniejszej przyczyny do obawy przed jakimkolwiek niebezpieczeństwem aż do rana.

W ciągu naszej rozmowy zauważyłem, że wielu z rabusiów udało się na okręt, szukając tam zapewne ochrony przed komarami.

Dostaliśmy się tam po drabince i, skoro tylko stanęliśmy na pokładzie, obaj mężczyźni, których Ibn Asl nazwał oficerami, zabrali ze sobą Ben Nila na przód okrętu i nie miałem czasu do wymienienia z nim choćby słów paru. Ibn Asl udał się ze mną na tył okrętu.

Różnica między dahabijehem a nokwerem polega na tym, że ostatni ma pokład otwarty. Na rufie znajduje się zazwyczaj kuchnia, w której pracuje kilka niewolnic, za kuchnią kajuta, do której Ibn Asl

mnie zaprowadził. Składała się ona z dwu przedziałów: mniejszego i drugiego obszerniejszego. Uprzejmy gospodarz zatrzymał się w pierwszej i zapalił lampę. Przy świetle jej zobaczyłem po prawej ręce na ziemi materace do siedzenia, po lewej zaś znajdowała się drewniana skrzynia, w której pomieszczono rozmaite narzędzia rzemieślnicze, potrzebne zazwyczaj na okręcie. Przedmioty te mogły być później dla mnie bardzo ważne.

— Wejdz prędko do środka, żeby się komary nie dostały! — rzekł do mnie, rozsuwając matę, przedzielającą kajutę. Wszedłem do środka i, kiedy on zawiesił lampę na sznurku, umocowanym do sufitu, mogłem się dokładnie zaznajomić z całym urządzeniem. Było tu kilka materaców i poduszek, tudzież skrzynia, bardzo prymitywnie pomalowana, w której widocznie przechowywał ubrania.

Wyjął z niej dwie siatki i dał mi jedną, w którą owinąłem się starannie, i on też poszedł za moim przykładem.

Pokładliśmy się spać, lecz on bynajmniej nie zdradzał ochoty aby zasnąć zaraz i począł mówić:

— Powiedziałeś, żeś strudzony bardzo, ale to nic nie szkodzi. Możesz spać tak długo, jak ci się podoba. Porozmawiajmy jeszcze trochę, nim olej się wyświeci!

To ucieszyło mnie niemało, gdyż wzbudziło znowu w mym sercu nadzieje dowiedzenia się czegokolwiek o projektowanym napadzie na reisa effendinę.

— Jeżeli nie jesteś jeszcze bardzo śpiący, to pogadajmy, ale wątpię, czy będę mógł długo spać rano.

— Dlaczegożby nie?

— Oczekujesz przecież reisa effendiny, z którym może nawet do walki przyjdzie.

— Boisz się?

— No, nie koniecznie. W życiu wahałem już nieraz proch, nie jestem też najgorszym strzelcem i może nawet z pewną przyjemnością wziąłbym udział w walce.

— Co do tego, to przypuszczam, że o użyciu prochu i mowy być nie może. Cała sprawa musi się odbyć jak najciszej, znienacka i, jeżeli masz chęć roztrzaskać czaszki kilku asakerom, pozwalam ci na to w zupełności.

— Nie będzie więc strzelania, a tylko walka na kolby i noże? Mnie wszystko jedno. Tylko w jaki sposób dostaniemy się stąd na pokład okrętu reisa effendiny?

— Wcale nie zamierzamy dostać się na jego pokład. Ogień wyświadczy nam lepszą przysługę niż proch.

— Ach, wiem już, spalicie statek reisa. Ale czy nie za trudne to zadanie? Chyba, że masz kogo ze swoich na pokładzie, który się podejmie tej roboty.

— Nie, nie mam nikogo i w ten sposób nie osiągnąłbym swego celu, bo ogień ugaszonoby. Sprawą pokierowałem zupełnie inaczej i to tak, że ani jeden człowiek z okrętu się nie uratuje, ani jedna belka.

— Wcale tego nie rozumiem.

— Nic dziwnego. Przeżyłeś już bardzo dużo, jesteś doświadczony, jak nie byle kto, ale brak ci jednak zdolności do wybiegów i fortelów. Łowca niewolników zaś nie powinien bawić się w jakiegokolwiek sentymenty, zwłaszcza, gdy idzie o jego śmierć lub życie. W tym wypadku albo reis effendina zginie albo ja, a że ja wcale a wcale nie mam na to ochoty, nieszczęście spotka właśnie jego i to w ten sposób, że wszelki ratunek będzie niemożliwy.

— Masz słuszność. We wszystkim, czego dowiedziałem się od ciebie, postąpiłbym na twoim miejscu dokładnie tak samo. Nie mam jednak pojęcia, za pomocą jakich środków osiągniesz na pewno swój cel?

— Mogłeś się przecie domyślić, ale mimo to opowiem ci wszystko. Zauważyłeś tam na brzegu stogi siana?

— Rozumie się. Są dosyć wielkie.

— Kazałem umyślnie skosić omm sufah, by mieć wygodne miejsce na obozowisko, a po wtóre, by był pod ręką materiał do palenia. Zauważyłeś także beczki, stojące w pobliżu?

— Owszem.

— Są one napełnione płynem, który zniszczy reisa effendinę. A wiesz, co to jest? — Nafta!

— Nafta, zaczynam pojmować. W jakież jednak sposób dostawisz ten niebezpieczny materiał na jego okręt?

— No, nie na okręt, tylko koło okrętu. Sprawa jest zupełnie prosta. Wiem na pewno, że on zatrzyma się w Hegazi na dłuższy wypoczynek i będę miał dosyć czasu do przygotowań. Mam w Hegazi strażnika, który doniesie mi natychmiast o pojawieniu się reisa effendiny. Nil w tym miejscu jest przedzielony wyspą na dwa strumienie, z których ten tutaj, na którym się znajdujemy, jest spokojny i bezpieczny, reis effendina zatem będzie żeglował tędy, a nie po tamtej stronie dżezireh. Ludzi swoich podzielę na trzy oddziały. Pierwszy pozostanie koło beczek, drugi obsadzi brzeg o ile możliwości na jak najszerszej przestrzeni, a trzeci tak samo zajmie brzeg wyspy z tamtej strony. W ten sposób otoczą silnie całe ramię rzeki, którym reis effendina będzie musiał przejeżdżać. Skoro okręt wpłynie tak daleko, że cofnąć się będzie niepodobna, pierwszy oddział wyleje na wodę zawartość beczek, zapalając ją, i narzuci suchej trawy. Nafta rozszerzy się szybko po całej rzece, tworząc istne morze płomieni, z których reis żywcem się już nie wydobędzie. Jak ci się podoba ten plan, co?

Czułem obrzydzenie i wstręt do tego człowieka, jednakże zdobyłem się na odpowiedź w tonie uznania i podziwu:

— Wspaniały plan, jedyny w swoim rodzaju! Któż to wpadł ha taki pomysł, ty, czy kto inny?

— Ja sam to wymyśliłem — odrzekł z odcieniem dumy.

— Podziwiam cię naprawdę. Ja na przykład nigdy bym się nie zdobył na podobną myśl, co najwyżej mógłbym się zacząć i powitać go kulą.

— A jego pomocnicy mieliby zostać przy życiu? Przenigdy! Oni muszą wszyscy, jak jeden, runąć w czeluście piekła.

— Co by się jednak stało, gdyby mieli czas do wylądowania?

— No, niech się pokuszą o to! Nie zapominaj, że płomień zaskoczy ich nagle, wobec czego potracą zupełnie głowy, a tymczasem okręt zapali się, jak pochodnia, i spłoną z nim razem doszczętnie. Mimo to jednak przypuszczam, że niektórzy z nich rzucą się do wody, by dotrzeć do brzegu. Jeżeli nawet udałoby im się ominąć płomień i paszcze krokodyli, w co bardzo wątpię, to moi ludzie, rozstawieni wzdłuż brzegu, porozbijają im łby kolbami. Widzisz więc, że niemożliwym jest, aby chociaż jeden zdołał się uratować.

— Czy ogień nie będzie niebezpieczny dla twego własnego nokwera?

— Wcale nie.

— Powiedz mi jednak, czy rozważyłeś następstwa tego planu? Żołnierze wicekróla nie daliby ci chwili spokoju i byłoby to dla ciebie chyba nie bardzo przyjemną rzeczą.

— Ee, kto się tam dowie, skąd powstał ogień...

— Ale przypuśćmy. Możliwe jest, że ogień rozszerzy się po Hegazi. Naturalnie każdy będzie wiedział, że to nafta, rozpoczną się więc dochodzenia, kto mógł wylać ją na wodę i zapalić.

— Mogą sobie czynić dochodzenia. Nikt ani słowa nie piśnie.

— Jesteś swoich ludzi tak pewny?

— Żaden z nich się nie wygada.

— Żebyś jednak wiedział, że pojąłem cię doskonale, śmiem na jedno jeszcze zwrócić ci uwagę, a mianowicie, czy pomyślałeś nad tym, co by się stało, gdyby w pobliżu pojawił się jaki inny okręt?

— Spaliłby się tak samo.

— A jeżeli by nadpłynął z góry... Jemu przecie nic by nie groziło. Zarzuciłby kotwicę, no i są świadkowie twego czynu. Wyobraź sobie wówczas swoje położenie!

— Mam nadzieję, że to obawa zbyteczna; gdyby jednak istotnie wypadek taki się zdarzył, to trudno. Już ja bym się postarał w inny sposób o to, aby ów okręt nie mógł być dla mnie szkodliwy. Zresztą czyż moja byłaby w tym wina, że nafta przypadkowo się zapaliła i to właśnie w chwili, gdy

reis effendina raczy zaszczycić swą obecnością ten zakątek? Kto śmiałby mieć do mnie jakiegokolwiek pretensje?

— Hm, mimo wszystko, lepiej by było, żeby nikt nie stanął na przeszkodzie.

— Niech sobie będą przeszkody, jakie chcą, nie robię sobie nic z tego. Bo czyż i obecnie mało jestem prześladowany? Czy mogę na przykład pokazać się w Chartumie? Jestem wyjęty spod prawa. Nikt nie wie, gdzie właściwie mieszkam. Występuję przeciw prawu, a ono również występuje przeciw mnie. Tu mam jeszcze niejedno do załatwienia i potem dopiero zniknę i dlatego będzie dla mnie zupełnie obojętną rzeczą, gdy się kto dowie, że reis effendina zginął przeze mnie. Szkoda tylko, że okręt spłonie, wobec czego będę musiał wyrzec się łupu. Pocieszam się tylko tym, że najbliższy połów wynagrodzi mi tę stratę. Urządzam wkrótce ghazuah\* z takim przygotowaniem, jak jeszcze nigdy, co cię ucieszyć powinno. Zresztą nie mówmy już o tym, bo lampa gaśnie i czas spać!

I istotnie w lampie zabrakło już oleju, a płomyk konał powoli, aż nareszcie zgasł i w kajucie zapanowała zupełna ciemność. Leżałem z otwartymi oczyma, myśląc o tym wszystkim, czego się dowiedziałem, ze zgrozą i zdziwieniem. Szatański iście plan tego opryszka trzeba było za wszelką cenę unicestwić. Ale jak? Najprostszy sposób był ten, aby wymknąć się z Ben Nilem i wrócić do Hegazi celem ostrzeżenia na czas reisa effendinę. Nie miałem jednak pojęcia, gdzie znajduje się Ben Nil i czy w ogóle było możliwe wydobyć go spod opieki dwu towarzyszy. Oczywiście postanowiłem na wszelki wypadek spróbować szczęścia w tym kierunku, ale nie wcześniej, aż Ibn Asl zapadnie w twardy sen. Oczekiwałem tego bardzo niecierpliwie, minuty płynęły wolno, jakby to były miesiące, lata... nareszcie dosłyszałem długi, rytmiczny oddech i chrapanie. Rozwinąłem się z siatki, wstałem po cichu i dla pewności poruszyłem Ibn Asla lekko za nogę. Nie obudziło go to i byłem pewny, że śpi snem „sprawiedliwego”. Wylazłem po cichu, jak kot, do przedniego przedziału i odłożyłem wszystko to, co by mi mogło przeszkadzać w czasie poszukiwania towarzyszą.

Wydostawszy się na otwarty pokład, przyczałem się na chwilę w cieniu kajuty, nasłuchując wokoło. Nie zauważyłem nikogo. Część ludzi skryła się widocznie po zakamarkach okrętowych, szukając schronienia przeciw owadom, na ładzie zaś błyszczał tylko jeden ogień, przy którym leżał kilku ludzi. Nie zauważyłem wcale warty ani na brzegu ani na pokładzie, mimo to przestrzegałem wszelkich środków ostrożności. Położyłem się na brzuchu i w takiej postawie posuwałem się po pokładzie w tył okrętu, gdzie również znajdowała się kajuta, z której dochodziły niewyraźne dźwięki rozmowy. Przytuliłem się więc do cienkiej ściany i jałem nasłuchiwać. Już z kilku słów wyrozumiałem, że Ben Nil ma zamiar wybadać oficerów i w tym celu podtrzymuje rozmowę i zadaje im pewne pytania, dotyczące naszej sprawy. Mimo tedy tej gorliwości w mojej sprawie, byłem zły, że udaremnił moje przedsięwzięcie. Byli bowiem wszyscy tak rozgadani, że o spaniu ani mowy! A gdyby zresztą posnęli nad ranem, to ucieczka byłaby wtedy bardzo utrudniona. Ponadto wywnioskowałem po głosie, że Ben Nil leżał w tyle pod przeciwną ścianą, a przed nim obaj jego przygodni towarzysze. Gdyby więc nawet chciał wyjść, to musiałby przełazić przez nich obu i kto wie, czy nie pobudziliby się, i wtedy wszystko na nic.

Cóż tedy było począć? Gdybym uciekł, a jego zostawił, czekałaby go niechybna śmierć. A szkoda dzielnego chłopaka. Wypadało więc i mnie zostać, ale w takim razie grozi reisowi effendinie straszne niebezpieczeństwo, któremu bądź co bądź zaradzić trzeba było koniecznie i to zaraz, bo gdyby na przykład pojawił się rano — wszelka pomoc byłaby spóźniona. Gdyby tu szło o napad, to

zupełnie co innego, ale ów pomysł z naftą był naprawdę niebezpieczny i należało go w jakikolwiek sposób unicestwić. Wówczas, choćby nawet reis effendina nadpłynął, to przynajmniej nie spaliłby się, a tylko miałby z opryszkami rozprawę orężną.

Cóż tedy robić? Postaczać beczki do wody? Niemożliwe, bo narobiłbym tym dużo hałasu, zresztą nie jestem pewny, czy prąd wody zabrałby je, czy też zatrzymałby się koło okrętu. Na ten wypadek Ibn Asl kazałby je wydobyć i wykonałby potem swój plan. Nagle przyszła mi do głowy świetna myśl: wypuścić naftę! Niech beczki stoją na miejscu. Przypomniałem sobie, że w przedniej kajucie znajduje się skrzynia z narzędziami i kto wie, czy nie ma tam świderka. Byłby to jedyny sposób ocalenia reis effendiny i jego asakerów.

Co powie na to Ibn Asl, gdy zawczasu dowie się, że beczki próżne — mniejsza o to. Nie ulegało zresztą wątpliwości, że podejrzenie padnie tylko na mnie, ale nie zastanawiałem się nad tym zbyt i wróciłem czym prędzej do kajuty. Ibn Asl spał, jak zabity, wobec czego mogłem szukać świderka wśród narzędzi w przedniej kajucie. Nie szło to oczywiście bardzo gładko, bo musiałem się sprawować tak cicho, aby nie spowodować najłżejszego szmeru. Znalazłem kilka świderów, niestety były za grube i dopiero niemal na samym dnie skrzyni namacałem jeden nie grubszy od ołówka. Ten wydał mi się najodpowiedniejszy. Schowałem go i, przekonawszy się raz jeszcze, że Ibn Asl chrapie w najlepsze, poczołgałem się na brzuchu przez pokład, dostałem się po drabince na brzeg, gdzie na szczęście nie było żadnej warty. Chyłkiem po cichu skradłem się do beczek i rozpocząłem robotę. W każdej beczce trzeba było zrobić po dwa otwory, jeden u góry celem dopuszczenia do środka powietrza, drugi u dołu do wyciekania płynu. Zadanie było ogromnie trudne, bo za wszelką cenę nie chciałem dotknąć się nafty, woń bowiem lub plama na odzieży zdradziłaby mnie później niezawodnie.

Beczki stały tuż niemal nad samą wodą, widocznie w tym celu, aby można w jak najkrótszym czasie wypuścić ich zawartość, która miała do popłynięcia zaledwie kilka stóp ziemi. Nie upłynęło nawet piętnaście minut, gdy byłem z całą robotą zupełnie gotowy po czym wymyłem świderek w wodzie, wytarłem piaskiem i trawą i wróciłem na okręt. Po upływie kilku minut świderek spoczywał spokojnie na dnie skrzyni, a ja, owinięty w siatkę, leżałem na swoim miejscu.

Odczułem wielką ulgę na sercu. Toż niewątpliwie przez ten iście urwisowski figiel uratowałem życie wielu ludziom, ale — jakie to pociągnięcie następstwa dla mnie samego? Eh, wszystko jedno — co będzie, to będzie, nic już zaradzić się nie da; szkoda czasu na rozmyślanie nad tym. Myśl ta uspokoiła we mnie nerwy i niebawem zasnąłem twardo, jak kamień.

Obudził mnie Ibn Asl, bardzo podniecony:

— Wstawaj Amm Selad! — zawołał — dosyć spania, późno już na dzień, a zresztą przygotować się trzeba, bo reis effendina się zbliża.

Zerwałem się szybko z posłania, czując się wypoczętym doskonale. Z twarzy opryszka wyczytałem, że nie odkryto mego podstępu. Ibn Asl bowiem zacierał ręce z radości i uśmiechał się.

— Tak, tak, dziwisz się! Nadeszła wreszcie godzina. Wyjdź, kazałem ci sporządzić kawę na śniadanie.

Przed kajutą na pokładzie leżał materac, na którym usiadłem i niebawem przyniosła mi kawę brzydka i stara murzynka. Łowcy niewolników leżeli na swoich miejscach, tak jak ich wczoraj zastałem.

— Powiadasz, że reis effendina się zbliża? — zapytałem Ibn Asla — czemuż więc twoi ludzie nie są jeszcze na stanowiskach?

— Jeszcze czas. Otrzymałem właśnie wiadomość, że przybył do Hegazi i rozłożył się w tamtejszym miszrah na odpoczynek, nie wiem więc, jak długo tam zechce siedzieć, może kilka godzin albo i więcej. Dlatego wysłałem znowu jednego człowieka, który w połowie drogi między Hegazi a tym miejscem stoi na posterunku i doniesie nam natychmiast o wyruszeniu reisa. Wówczas będzie dosyć czasu do obsadzenia terenu.

— I nie spodziewasz się przybycia jakiegoś innego okrętu?

— Z dołu nie, gdyż moi ludzie na posterunkach byliby go zobaczyli, lecz z góry — niech diabli wezmą — byłoby to okropne.

— Pozwoliłbyś mu przepłynąć tędy?

— Ani mowy. Załoga zauważyłaby mój nokwer i zawiadomiła o tym reisa effendinę.

— Przypuszczam, że niekoniecznie. Okręt mógłby przecież popłynąć z dala od reisa effendiny i nie spotkać się z nim wcale.

— Nie znasz tego psa. On zatrzymuje każdy okręt i zmusza załogę do zeznań, czy nie wie co o mnie, a nawet odbywa rewizje, szukając niewolników. Gdyby więc jaki statek nadpłynął z góry, to on by go z pewnością zatrzymał i dowiedziałby się, że mój nokwer tu stoi, co byłoby mu bardzo na rękę, a mój plan w niwecz się obrócił. A j właśnie tego sobie nie życzę i, gdyby się pojawił jaki statek, zatrzymam go tak długo, dopóki się wszystko nie skończy. Ażeby upewnić się lepiej, wyślę jednego człowieka w górę rzeki, czasu jest jeszcze dosyć. Uczynię wszystko możliwe, żeby mi nic nie przeszkodziło.

Wstał i poszedł na ląd w celu wysłania jednego z ludzi na posterunek, a tymczasem przystąpił do mnie Ben Nil. Ponieważ w pobliżu nie było nikogo, mogliśmy rozmawiać zupełnie swobodnie.

— Spałeś bardzo długo, panie — rzekł — i począłem się wreszcie obawiać, czy ci się co złego nie stało. Czyż nie pomyślałeś o tym, co nam robić należy?

— Nie tylko pomyślałem, ale i zrobiłem więcej, niż się spodziewać możesz.

— A ja oka nie zmrużyłem, tak się ogromnie bałem o reisa effendinę. Oficerowie napomknęli coś niecoś, że mają go spalić żywcem, uważaj!

— Za pomocą nafty, która znajduje się w tych oto beczkach.

— Dowiedziałeś się o tym?

— Od samego Ibn Asla.

— Panie, co my poczniemy? Reis effendina już się zbliża... To straszne, to okropne! I ty mogłeś spać tak spokojnie?

— No, no, nie jest jeszcze tak źle, jak myślisz. W nocy przedziurawiłem beczki i wszystka nafta wyciekła do rzeki.

— Allah! Co ja słyszę!

— Nie była to rzecz łatwa. Z początku miałem ochotę uciec, oczywiście zabrawszy ciebie, ale się przekonałem, że rozmawialiście jeszcze, a ty leżałeś poza nimi, wobec czego niemożliwe było dla ciebie wydobyć się stamtąd. Musiałem więc zaniechać ucieczki i przedsięwziąć co innego.

— A to dlatego poczułem naftę, gdy rano wyszedłem na pokład. Ludzie tłumaczyli sobie, że to wskutek parowania. Widziałem też w trzcinie kilka nieżywych ryb.

— Poniżej, z wszelką pewnością, będzie ich więcej. Czy woda była zabarwiona?

— Nie.

— A zatem nafta była dobrze oczyszczona albo też silny wiatr poranny spędził szybko wszelki osad. Dla nas to znakomite!

— Ja, panie, nie widzę w tym nic znakomitego. Jeżeli odkryją tajemnicę, to podejrzenie padnie wyłącznie na nas.

— Możliwe, ale co nam mogą udowodnić?

— Ci ludzie nie będą się wcale pytać o dowody. Musimy więc wynieść się stąd i to jak najszybciej.

— Bez kwestii, że najpraktyczniejszym dla nas byłoby, gdybyśmy mogli czmychnąć, ale...

— Jakie „ale”?

— Przede wszystkim nie możemy tego uczynić, bo naokoło są ludzie, którzy, spostrzegłszy nasze zamiary, zatrzymaliby nas z wszelką pewnością, i sprawa przegrana na całej linii.

— A możebyśmy spróbowali tak, jak wczoraj wieczór — to znaczy po prostu uciec.

— W takim razie strzelano by do nas.

— A czemu nie strzelano wczoraj?

— Bo było ciemno, a dziś jest jasno i w tym cała różnica. Dziś z pewnością zastrzeliliby nas obu, gdyż mamy dzień i jest ich dosyć.



— Możemy i my strzelać.

— , To prawda, ale musielibyśmy się zatrzymać i dać przez to ścigającym możliwość tym pewniejszego schwytania nas. Nie, z tego nic nie będzie, a nasza ucieczka powinna mieć dwa cele: po pierwsze musimy się wydostać z paszczy lwa, w którą wleźliśmy sami dobrowolnie, a ponadto ostrzec reisa effendinę. Niestety i jedno i drugie niemożliwe. W razie naszej ucieczki, musielibyśmy błąkać się przez dłuższy czas po drodze, a tymczasem reis effendina byłby już tutaj. Wprawdzie nie grozi mu już spalenie żywcem, ale rabusie mogą nastawić na niego inną jakąś zasadzkę lub też napaść nań znienacka. Będąc tu — łatwo zaś możemy mieć sposobność ostrzeżenia go, bądź też przez podstęp uniemożliwić opryszkom zbrodniczą robotę.

— Co do ostrzeżenia, to wątpię bardzo... Gdyby na przykład który z nas krzyknął w decydującej chwili — czyż sądzisz, że usłoby nam to bezkarnie?

— Sądzę, że niekoniecznie musimy wołać. Można na przykład spowodować przez nieuwagę wystrzał karabinu.

— Mimo wszystko, lepiej byłoby dla nas, gdyby w chwili odkrycia twojej roboty koło beczek nie było nas tu wcale.

— Masz zupełną słuszość, ale — zostaw to wszystko mnie. Możliwe, że wpadnę na jaką myśl.

— Myśl ta powinna przyjść bezzwłocznie, gdyż tracimy drogocenny czas nadaremnie.

Siadł koło mnie i czekał na „pojawienie się” zbawiennej myśli, Niestety, zazwyczaj na świecie tak się zdarza, że człowiek właśnie w najbardziej piekającej potrzebie nie może się zdobyć na żaden pomysł. Tak było i ze mną. Natężyłem mózg przez cały kwadrans — daremnie. A tam na brzegu Ibn Asl rozmawiał bardzo żywo z jednym z opryszków, spoglądając ciągle ku nam. Niebawem przybył na pokład, ale w twarzy jego nie zauważyłem żadnej zmiany, gdy odezwał się do mnie z tą samą, co poprzednio, uprzejmością.

— Miałeś słuszość, Amm Selad, ostrzegając mnie, że ogień mógłby być niebezpieczny dla mego statku. Trzeba go zaciągnąć tam, powyżej i mam nadzieję, że reis effendina nie pojawi się w tym czasie.

To dlatego wszyscy jego ludzie patrzyli ku nam, pomyślałem, a teraz przyszli w znacznej liczbie na pokład, celem usunięcia stąd okrętu... i... Wtem rzucili się nagle na nas obu. Stało się to tak nieoczekiwanie i szybko, że w okamgnieniu leżeliśmy obaj na pokładzie obezwładnieni i skrupowani jak barany.

Ibn Asl zmienił się na twarzy, nie do poznania. Gdy jego ludzie cofnęli się parę kroków od nas, przystąpił do mnie i rzekł, przybierając wielce srogą minę:

— Nie spodziewałeś się tego zapewne, co? Spostrzegłem od razu, że mam do czynienia z nie byle jaką głową i dlatego musiałem z tobą postępować również chytrze i podstępnie, no, ale teraz już dość. Nie mam wiele czasu na dalszą zabawę i załatwię się z tobą całkiem krótko.

— Jestem zdziwiony — odparłem — i nie ma pojęcia, z jakiej przyczyny postępujesz ze mną tak po barbarzyńsku.

— No, oczywiście... ty w ogóle nie wiesz o niczym, a najmniej chyba o tym, że ktoś podsłuchał waszą rozmowę.

— Mógł sobie podsłuchać — przerwałem mu śmiało i szybko, orientując się w całej sprawie. — Nie mówiliśmy przecie nic takiego, coby dało powód do nieludzkiego obchodzenia się z nami.

— Taak? Czy sądzisz, że istotnie uda ci się oszukać Ibn Asla? Jesteś za głupi na takie rzeczy. Ten oto człowiek — tu wskazał na mnie — leżał na dachu kajuty i słyszał całą waszą rozmowę, a potem spuścił się po linie do łódki i przybył do mnie z oznajmieniem o wszystkim. Chcesz może zaprzeczyć temu?

— Ani myślę. Ale o czym mówiliśmy, że cię to doprowadziło do takiej pasji?

Sądziłem, że człowiek ów nie mógł słyszeć dokładnie naszej rozmowy i oczywiście nie rozumiał jej dostatecznie, gdyż rozmawialiśmy dosyć po cichu, chociaż nie szeptem.

— Mówiliście o wielu rzeczach, a głównie o zdradzie.

— Masz na to dowód?

— O, żądasz dowodu, no, proszę, czy też nie mówiliście co o nafcie?

— I owszem, mówiliśmy i nie wypieram się tego, powiedziałaś mi przecie sam o wszystkim.

— Ale ty twierdziłaś, że nafty w beczkach nie ma. Jak mogłeś przypuścić taki nonsens, co?

— Żartowałem — odrzekłem, ciesząc się, że tak gładko mogłem kłamać i to bezkarnie, bo ów zaczajony człowiek niezupełnie zrozumiał naszą rozmowę.

— Przekonasz się niebawem, że to nie żart, ale sprawa bardzo poważna, a potem... mówiliście o ucieczce. Z jakiegoż tedy powodu chcielibyście uciekać, gdybyście mieli czyste sumienie?

— A! tak, mówiliśmy o ucieczce przed pożarem, gdyby objął twój okręt. Zresztą, gdybym chciał uciec, to uczyniłbym to był wczoraj i zdaje mi się, że to wystarczy za dowód, iż nie mam wcale zamiaru rozstawać się z tobą, dopóki nie załatwię wiadomego interesu.

— Widzę, że z ciebie na lada mistrz słowa. Ale co ty powiesz, gdy cię zapytam, w jakim celu rozległby się strzał z twego karabinu, gdy reis effendina się zbliży?

— Co takiego? Ależ właśnie mówiłem przeciwnie i bynajmniej nie o swoim, ale o wszystkich w ogóle karabinach.

Wyrażałem obawę, że ten lub ów z twoich ludzi, podrażniony i zdenerwowany, mógłby wystrzelić przed czasem, co ostrzegłoby reisa effendinę. Masz przecie ludzi daleko stąd na posterunkach i

właśnie o nich się najwięcej obawiałem, czy zachowają ostrożność i nie zechcą użyć broni. Człowiekowi temu najwidoczniej się przestyszało albo też umyślnie przekręca moje słowa. Powiedz mu, żeby na drugi raz lepiej otworzył uszy!

— Ale mimo wszystko wyrażaliście obawę o reisa effendinę.

— I znowu twój wywiadowca pomylił się w zupełności. Mówiłem o reisie, to prawda, ale nie jakobym się obawiał o niego, lecz jego.

— A wczoraj mówiłeś mi, że się go nie boisz, jakże to pogodzić jedno z drugim?

— Wczoraj nie wiedziałem jeszcze, o co idzie, ale dziś, gdy poznałem cały twój plan i gdy widzę, że to wszystko może się stać zaraz, to jest: sprawa cała może się nadspodziewanie przyspieszyć...

— Przyspieszyć? — przerwał mi żywo — Co chciałeś przez to powiedzieć? Kto mógłby...

— Sam reis, który wylądował przecież w Hegazi. Zwabiłeś go przecie zmyśloną wiadomością, że właśnie w tym miejscu przeprawi się przez Nil transport niewolników, wobec czego przebiegły reis, musiał się domyśleć, że znajdują się tu łowcy niewolników i handlarze. I jak ci się zdaje? Reis, wiedząc o tym, popłynie spokojnie aż tu, jakby to był jakiś spacer dla przyjemności?

— Co ty mówisz?

— Uważam za bardzo możliwe, że reis effendina zostawił okręt w Hegazi a sam na czele asakerów maszeruje lądem, by z tyłu spaść nam na karki, podczas gdy my wszyscy mamy oczy zwrócone na rzekę. I oto dlaczego obawiam się reisa...

— Allah! To prawda! Nie pomyślałem o tym, musimy natychmiast rozstawić posterunki od strony lądu...

Nie dokończył, bo w tej chwili przybył z dołu zdyszany mocno posłaniec i oznajmił, że okręt z góry się zbliża. Część załogi pod dowództwem jednego z oficerów rzuciła się natychmiast do łodzi i popłynęła naprzeciw.

Wstąpiła we mnie nadzieja uwolnienia z więzów, lecz Ibn Asl nie spieszył się z tym bynajmniej i pytał.

— Skąd wiesz, żeśmy zwabili tu podstępnie reisa effendinę?

Nie mogłem mu na to odpowiedzieć prawdy, bo ów człowiek, stojący wczoraj na warcie w Hegazi, bardzo mnie prosił o zachowanie tajemnicy, a że czułem do niego wdzięczność za udzielenie mi tak pożądanых wiadomości, nie chciałem mu wyrządzić krzywdy, odrzekłem więc:

— Wspomniał ktoś o tym koło drugiego ogniska, gdyśmy siedzieli wieczorem...

— Kłamstwo! Tego nikt z siedzących w pobliżu nie mógł powiedzieć, bo wtajemniczone są tylko cztery osoby to jest: ja, obaj oficerowie i ów strażnik w Hegazi. Sądzę, że od żadnego z nich nie

dowiedziałeś się, lecz od kogoś innego, może nawet od samego reisa, co? Miałem już zamiar zaufać ci na nowo, ale przekonuję się, że z ciebie nie lada wykpiś i, zanim wypuszczę cię na wolność, muszę zbadać całą sprawę bardzo dokładnie. Jeżeli chociaż cień podejrzenia padnie na ciebie — biada ci, możesz mi wierzyć. Teraz nie mam czasu na to. Zostaniecie tu pod strażą na pewien czas.

Odwrócił się nagle od nas, bo uwagę jego zwróciło pojawienie się statku, ku któremu dobiła łódź dopiero co wysłana. Ktoś z pokładu okrętu porozumiewał się z załogą, znajdującą się na łodzi, potem jakiś człowiek zszedł do tej łodzi, a statek zatrzymał się na kotwicy u brzegu.

Koło nas obu stał na warcie jeden z członków bandy i nie spuszczał z nas oczu ani na chwilę. Nie obawialiśmy się jednak zbytnio. Przypuszczałem mimo wszystko, że usprawiedliwienia moje wywrą choć w części pożądany skutek. Dowieść nam przecie nie mógł Ibn Asl niczego. W każdym razie jedno tylko napełniało mnie straszną obawą, a mianowicie roilem najrozmaitsze i nawet najgorsze przypuszczenia na wypadek odkrycia tajemnicy co do sprawy z naftą. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że podejrzenie zwróci się jedynie na mnie mimo, iż dowodów ku temu, prócz podsłuchanych moich słów, nie było żadnych. Niestety sprawa przybrała obrót zupełnie inny i nieoczekiwany.

Po chwili łódź przybiła do okrętu i ludzie, znajdujący się na niej, wyszli na pokład razem z obcym mężczyzną, którego ze sobą przywieźli. Można sobie wyobrazić moje przerażenie, gdy poznałem w nim od razu Abu en Nila, sternika dahabijeh „Es Semek”, na której byłem ongi w Gizeh świadkiem nocnego zdarzenia. Ta dahabijeh była przeznaczona do transportowania niewolników i owej nocy została skonfiskowana przez reisa effendinę. Z litości puściłem sternika, dając mu nawet na drogę trochę pieniędzy, za co oświadczył mi stanowczo, że wróci do swojej ojczyzny na Północ, aż oto nagle zobaczyłem go znowu tutaj, powyżej Chartumu na dalekim Południu!

Człowiek ten musiał mnie znać z wszelką pewnością. Doświadczyłem tego zresztą dość często, że mam pewne właściwości fizjonomii, które dają się zapamiętać łatwo i trwale. Nieraz zdarzyło się tak, że ktoś, widząc mnie jeden raz tylko w życiu, poznawał mnie po latach. Obecnie sprawa była tym bardziej niewesoła, że ów przybysz, Abu en Nil, był ojcem, czy dziadkiem mego towarzysza Ben Nila. Było więc do przewidzenia, że pozna nas obu natychmiast i zdradzi nas przez to samo.

Ben Nil leżał odwrócony od miejsca, w którym znajdował się ów przybysz, i oczywiście nie spostrzegł go zaraz. W obawie więc, aby, zobaczywszy go, nie wydał ze siebie okrzyku, spróbowałem uprzedzić młodziana, szepcząc:

— Nie przelęknij się leż tak, jak leżysz! Twój dziadek jest tu.

Ben Nil, usłyszawszy te słowa, poruszył się niecierpliwie, chcąc obejrzeć się po za siebie, lecz opanował się natychmiast i po upływie kilku chwil zapytał:

— Obaj moi dziadkowie żyją jeszcze. Któryż to z nich?

— Abu en Nil, były sternik.

— O Allah, co za szczęście!

— Raczej co za nieszczęście, wszak on nas zdradzi.

— Nieba! To istotnie możliwe. Co on tu robi? W jaki sposób dostał się tutaj?

— Znajdował się na okręcie, który Ibn Asl zmusił do zatrzymania się. Oficer przywiózł go tu zapewne w celu udzielenia mu wskazówek, jak się ma zachować.

— Gdzież on jest?

— Tam przy burcie okrętu. Nie spostrzegł nas jeszcze, bo zajęty jest rozmową z Ibn Aslem.

— Czy nie mogliśmy go uprzedzić, by milczał?

— Gdybyśmy nie byli powiązani, to oczywiście byłoby to możliwe, ale w tej sytuacji — doprawdy wszystko się na nas sprzysięгло. Jakie лихо przyniosło go tu nad Biały Nil, skoro miał zamiar udać się w przeciwnym kierunku!

— Tak jest, z początku miał ten zamiar, ale zaskoczyło go coś innego. Wspominałem ci, że widziałem go ostatni raz w Sijut.

— Ach, nie zastanawiałem się wówczas nad tym.

— Nie widziałem się z nim potem, bo, jak wiesz, stary Abd Asl zwabił mnie do podziemnej studni, bym tam marnie zginął, ale ty mnie wyratowałaś. Gdyby Allah natchnął starego i dał mu do zrozumienia, że przyznanie się do nas miałooby straszne następstwa!

— Sądzisz, że on byłby zdolny do takiej subtelności i natchnienia?

— Bynajmniej! Radość ze spotkania a równocześnie przerażenie z powodu, że jestem skrupowany, wyprowadzi go z równowagi i z wszelką pewnością zdradzi nas swoim zachowaniem się, a może nawet wypowie głośno nazwiska! Obróć się, żeby nie zobaczył twojej twarzy!

Zastosowałem się do rady młodego przyjaciela, aczkolwiek nie wydało mi się, żeby to coś pomogło. Zetknąłem się ze starym sternikiem na dahabijeh na krótko wprawdzie, ale to wystarczyło do przekonania się, że nie umie wcale panować nad sobą.

Stojący przy nas wartownik nie troszczył się o naszą rozmowę, gdyż uwaga jego była zwrócona w kierunku Abu en Nila, z którym Ibn Asl rozmawiał tak głośno, że mogliśmy słyszeć wszystko całkiem dokładnie.

— Ale ja mimo wszystko nie widzę powodu, dla którego, miałbym przerywać podróż — upierał się Abu en Nil — przecie to wam nie przeszkadza.

— O, przeciwnie, bardzo nawet przeszkadza. Musisz przeczekać kilka godzin, a potem możesz sobie jechać swoją drogą.

— Dlaczego jednak nie zaraz?

— Nie mam zamiaru tłumaczyć się z tego przed tobą.

— Ja jednak obstaję przy swoim i, jeżeli mi nie wyjaśnisz całej sprawy, każę rozwinąć żagle natychmiast.

— No, nie koniecznie, gdyż skoro tylko się przekonam, że mnie nie chcesz usłuchać, zatrzymam cię tu tak długo, jak mi to dogadza.

— Nie masz do tego prawa.

— Tak ci się zdaje? A jeżeli ja ci powiem, że jestem resem effendiną, o którym słyszałeś zapewne.

— Nieprawda, nie jesteś tym, za którego się podajesz. Ja nie tylko słyszałem o reisie effendinie, ale znam go również osobiście.

— To nic nie ma do rzeczy, jestem jego oficerem i tak czy owak winieneś poddać się moim rozkazom.

— Dowiedz mi, że mówisz prawdę! Ludzie reisa effendiny noszą uniformy, a twoi nie. Okręt twój ma napis „Jaszczurka”, podczas gdy reisa effendiny nazywa się „Sokół”. Już z tego samego wynika jasno, że kłamiesz.

— Śmiesz mnie obrażać? Ostrzegam cię, że możesz żałować tego. Reis effendina posiada statek pod nazwą „Sokół”, to prawda, ale to jeszcze nie powód żeby nie mógł posługiwać się innymi dla swoich celów. „Jaszczurka” jest właśnie przez niego wynajęta, a ja dzierżę nad nią komendę. Zdaje mi się, że wyjaśnienie powinno ci wystarczyć.

— Wcale mi nie wystarczy i, jeżeli to prawda, co mówisz, to niezawodnie jesteś zaopatrzony w pełnomocnictwa reisa effendiny i, dopóki nie wylegitymujesz się nimi, nie mam zamiaru poddawać się twoim rozkazom.

— A jeżeli mnie się nie chce, to co? Powinieneś mi wierzyć na słowo.

— Nie uwierzę i wracam.

— No, no stary, nie tak prędko! Bez mego pozwolenia nie opuścisz tego miejsca! Zrozumiano? Jesteś szyprem tego statku. Jak się nazywasz?

— Himjad el Bahri.

Będąc obrócony w inną stronę, nie mogłem widzieć starego. Ze słów tylko wywnioskowałem, że chciał się oddalić, ale go zatrzymano przemocą. Wymówienie innego nazwiska zastanowiło mnie. Widocznie zmienił je dlatego, że, wymknąwszy się raz z rąk reisa effendiny, musiał się strzec na przyszłość, i dlatego przybrał inne nazwisko. Sprawa zatem była mi na rękę, gdyż stary nie mógł teraz przyznać się do swego wnuka Ben Nila. Zanim jednak pomyślałem o tym, dozorca nasz, usłyszawszy mylne nazwisko, postąpił parę kroków i ozwał się do Ibn Asla:

— To nieprawda! Ja znam starego jeszcze z Kairu. On jest sławnym sternikiem i nazywa się Abu en Nil.

— Abu en Nil? — powtórzył Ibn Asl z wielkim zainteresowaniem — Czy to możliwe? Znasz go naprawdę?

— Znam i nie mylę się.

— Oh, stary, stary, chciałeś mnie zwieść! Jesteś kłamcą, co wcale nie przystoi twemu wiekowi. No? I cóż ty na to?

— Nazywam się Himjad el Bahri i nigdy nie używałem innego nazwiska.

— Kłamstwo! — wtrącił dozorca. — Znam go doskonale i mogę nawet przystawić dwu świadków, którzy go również widzieli.

Wymienił nazwiska dwu z ludzi, którzy znajdowali się na brzegu, i natychmiast przywołano ich obu. Potwierdzili oni zgodnie twierdzenie dozorca prosto w oczy staremu.

Co do mnie, to nie mogłem sobie wyobrazić, dlaczego Ibn Asl był tak ogromnie przejęty tym, że stary człowiek podał zmyślane nazwisko. Przecie w tych okolicach i wśród osobliwych miejscowych stosunków zdarza się bardzo często, że ten lub ów zmienia sobie nazwisko sam wedle własnej woli i upodobania. Ktoś na przykład długo oczekiwał potomstwa i, doczekawszy się nareszcie tego szczęścia, to jest, ma syna — który przypuśćmy otrzymał imię Amal — uradowany zmienia własne nazwisko i nazywa się Abu Amal — czyli ojciec Amala. Ciekawość Ibn Asla miała jednak inne powody, jak, przekonałem się niebawem z jego własnych słów:

— Pokonano cię, stary, teraz nie ulega wątpliwości, że podałeś zmyślane nazwisko.

— Nie skłamałem, chyba, że podobny jestem do owego Abu en Nila, a zresztą dla ciebie powinno to być zupełnie obojętne, jak ja się nazywam, i nawet gdybym istotnie nosił nazwisko Abu en Nila, to nie powinno cię to ani grzać ani ziębić.

— Tak sądzisz? Co? Ależ przeciwnie, bardzo bym się cieszył, gdybym poznał tego człowieka, a że go właśnie mam przed sobą, jak to stwierdzili trzej świadkowie, więc się też cieszę ogromnie. Masz syna, który się nazywa Ben Nil?

— Nie.

— W takim razie wnuka.

— Także nie.

— Mów prawdę stary, bo inaczej zmuszę cię do tego! Istnieje pewien młodzieniec, marynarz, który się nazywa Ben Nil, i jeżeli z drugiej strony ktoś nazywa się Abu en Nil, to ów ktoś jest niewątpliwie ojcem albo dziadkiem Ben Nila!

— A że ja nie nazywam się Abu en Nil, tylko Himjad el Bahri i że nie mam ani syna ani wnuka, więc nie zwracaj mi głowy swoim Ben Nilem, bo mnie to nic a nic nie obchodzi!

— Jeżeli będziesz przemawiał do mnie w ten sposób — groził Ibn Asl — to może się to skończyć dla ciebie bardzo źle, uważaj stary!

— Ależ bynajmniej. Nie widzę wcale powodu aby się ciebie obawiać.

— Tak ci się zdaje w tej chwili, lecz gdybyś wiedział...

— Co?... Jeżelibym wiedział?...

— Że ja... jestem zupełnie kim innym — odparł Ibn Asl.

— Zupełnie kto inny? A więc dobrze się domyślałem! I w takim razie jeszcze nie mam powodów do obawy przed tobą.

— Zależy od tego właśnie, kim jestem.

— Możesz sobie być, kim chcesz, nie obawiam się wcale.

— Jesteś zanadto pewny siebie, mój stary. Dowiedz się więc, że jestem... Ibn Asl we własnej osobie.

— Allah, czy to możliwe? Ibn Asl, sławny łowca niewolników.

— Tak, no i jakie to wywiera na tobie wrażenie?

Jeżeli Ibn Asl spodziewał się, że sam dźwięk jego nazwiska przestraszy starego, to grubo się pomylił. Sternik miał powody do obawy przed resem effendiną, bo przecież uciekł z jego rąk, ale jako były łowca niewolników, nie miał bynajmniej powodów do trwogi przed hersztem bandy. Ujawniło się natychmiast z jego zachowania i tonu, w jakim wykrzyknął, nie hamując swojej radości:

— Ibn Asl! Ależ właśnie cieszy mnie to ogromnie, że się z tobą spotykam, oczywiście, jeśli nie myślisz zwieść mnie raz jeszcze.

— Powiedziałem ci prawdę i mogę ci przysiąc na Allaha i proroka.

— Wierzę ci bez przysięg i jestem bardzo rad. Ibn Asl nie ma żadnego powodu do wrogiego postępowania ze mną i dlatego chętnie wyjawię ci moje właściwe nazwisko.

Pocziwy starzec nie miał najmniejszego pojęcia, jaki wielki błąd popełni, niestety nie mogłem go przestrzec.

— Oczywiście nosisz to samo nazwisko, którego się przedtem wyparłeś.

— Tak. Jestem Abu en Nil.



— A zatem... Czy ty, człowieku wiesz, co wypowiedziałeś w tej chwili?

— Cóżby, jeżeli nie to, że nie jestem twoim wrogiem, lecz przyjacielem.

— Nie, to przechodzi wszelkie wyobrażenie. Człowieku, zastanów się... Ty — moim przyjacielem?

— Słyszałeś może o pewnej dahabijeh pod nazwą „Es Semek”\*, co?

— Tak, zabrał ją reis effendina.

— Ten sam reis effendina, który jest twoim śmiertelnym wrogiem! Ja zaś byłem sternikiem tego statku. Byłem świadkiem tej chwili, gdy on przeszukiwał go i odkrył, że to dahabijeh, służąca do transportu niewolników. Skonfiskował ją więc z całą załogą.

— Nie wyłączając ciebie?

— Rozumie się, ale udało mi się uciec... Na okręcie był pewien obcy effendi...

— Ach, obcy effendi! — przerwał mu Ibn Asl.

— Człowiek ten ulitował się nade mną, zaopatrzył mnie w pieniądze i ułatwił ucieczkę.

— Dlaczego właśnie tobie, a nie komu innemu?

— Ponieważ... albo ja zresztą wiem...

Stary jednak wiedział dobrze, ale nie chciał wobec łowcy niewolników mówić o mnie dobrze.

— W każdym razie uczynił to z pobudek przyjaźni dla ciebie i to właśnie jest podejrzane.

— Przyjaźni? Ależ o tym mowy nie ma, bo widziałem go raz w życiu.

— No, ale potem widywaliście się.

— Stanowczo nie.

— Kłamiesz. Przyznałeś się, że jesteś Abu en Nilem, wobec czego nie wyprzesz się teraz, jakobyś nie miał syna, który nazywa się Ben Nil.

— Nie syn, ale wnuk mój nosi to nazwisko.

— Bardzo dobrze! Gdzież to widziałeś się z nim po raz ostatni?

— W Sijut.

— Zgadza się to doskonale i musisz mi tylko powiedzieć, u kogo wnuk twój służy?

— O tym nie wiem, wiem tylko, że wnuk mój nie był nigdy niczym sługą.

— Naprawdę nie? No, ale obecnie tak. Twój wnuk jest sługą, i to człowieka, który...

— Nie rozumiem, o co idzie — przerwał — nie wiem, z jakiego powodu złościsz się na mnie.

— Ach tak! Raczyłeś nareszcie zauważyć, że nie jestem wcale łaskaw na ciebie. Ale czy naprawdę nie domyślasz się, z jakiego powodu?

— Wcale nie umiem sobie wytłumaczyć, dlaczego samo wspomnienie mego wnuka wyprowadza cię z równowagi.

Ibn Asl był pewny, że stary kłamie. Tak wywnioskowałem z tonu jego mowy. Rad więc, że dostał go w swe ręce, zauważył szyderczo:

— Jesteś niewinny... nie wiesz o niczym, co? Ha, w takim radzie zmuszony jestem przekonać cię, że wybiegi z twej strony na nic się nie przydadzą. Allah sprowadza cię tu do mnie i wkrótce obaczysz tu swego wnuka i tego obcego effendiego, któremu zgotuję taką niespodziankę, że oniemiejesz z przerażenia. W kawałki każę go posiekać...

— *Allah kerim!* Cóż on takiego zawinił wobec ciebie?

— Niech ci się nie zdaje, psie jeden, że zdołasz mnie podejść i oszukać! Jesteś z nim w zмовie i wiesz wszystko, nie są ci obce wszelkie jego sprawki, pociesz się więc, że i ciebie ten sam los spotka na pewno. Mniemasz istotnie, że muszę ci powiedzieć, co się stało? Na to w tej chwili nie mam ani czasu ani ochoty. Związać go! — dodał do swoich służalców — rzucić tam do tych dwu, koło kajuty!

— Co, mnie związać? — krzyknął stary rozpaczliwie. — Ja nic nie jestem winien i nie wiem o niczym. Byłem w Faszodzie i...

— Milcz, bo cię każę wychłostać! — zawrzał gniewem Ibn Asl. — Nie chcę już słyszeć ani słowa. Później dowiesz się, o co idzie, no i odczujesz to na własnej skórze!

Kilku tęgich mężczyzn rzuciło się na Abu en Nila, który mimo rozpaczliwej obrony musiał wreszcie ulec. Związano go i ciągnięto jak worek zboża przez pokład ku nam. W pierwszej chwili zdawało mi się, że zsiniały z gniewu starzec będzie miał na oku jedynie swoich oprawców, a na nas ani spojrzę, wobec czego nie pozna nas, no, i nie wyda mimo woli. Niestety, zawiodła mnie ta przelotna nadzieja. Stary spojrział na mnie i twarz jego przybrała natychmiast inny wyraz.

— Effendi! — krzyknął dość głośno. — Czy mnie oczy nie mylą... Tyżeś to? Związany i obezwładniony!

Słowa te doleciały uszu Ibn Asla, który zwrócił się ku nam natychmiast, a stary tymczasem, poznawszy wnuka, krzyczał jeszcze głośniej:

— Ben Nil, mój syn, moje dziecko, syn mego syna! o Allah, Allah, Allah! Co się stało? Dlaczego

związano cię jak zbrodniarza?...

Masz tobie! Takiej niespodzianki nie spodziewałem się bynajmniej. Licho nadało tego starego, i to w takiej chwili i to za moje dobre serce, że go niedawno ocalił... Przyznam się — w pierwszej chwili żałowałem mocno, że ten stary bałwan uszedł swego losu w Gizeh. Słowa jego wywarły takie samo wrażenie, jak przypuszczałem. Ibn Asl, usłyszawszy je, skoczył ku nam jak rozwścieczony tygrys i ryczał:

— Effendi? Ben Nil? *Allah akbar* — Bóg jest wielki... Co ja słyszę, co słyszę!

— Milcz gaduło! Zgubisz nas! — zdołałem szepnąć do starego i w tej chwili wszyscy, znajdujący się na pokładzie, otoczyli nas w koło.

— Powiedz raz jeszcze, powtórz! — wołał Ibn Asl. Co oni za jedni?

Moje ostrzeżenie jednak poskutkowało. Zapytany nie odpowiedział i z miny jego wywnioskowałem, że namyśla się, co ma rzec.

— Mów, kim oni są! — powtórzył Ibn Asl.

— Kto? — odparł Abu en Nil niewątpliwie w tym celu, by zyskać na czasie.

— Ci dwaj, których wymówiłeś nazwiska.

— Ci? Ci dwaj? Nie znam ich wcale.

— A przed chwilą nazwałeś jednego z nich effendim, a drugiego Ben Nilem... Słyszałem na własne uszy!

— No tak, wypowiedziałem nazwiska, ale nie miałem na myśli tych dwu obcych.

— Szatan przez usta twoje przemawia!... W jakiż sposób mógłbyś mówić o effendim i Ben Nilu, jeśli ci nimi nie są?

— Sam nie wiem, co powiedziałem w przystępie oburzenia i rozpacz. Przecie kazałeś mnie związać za to, że wspomniałem o effendim i Ben Nilu. Czy więc dziwi cię to, iż powtórzyłem do samego siebie nazwiska, które nie wiem z jakiego powodu były przyczyną mego nieszczęścia?

— Krzychałeś wyraźnie: Co się z tobą stało, za co cię związano... Skądże wzięło ci się to pytanie?

— Mówiłem to do siebie... Tak... Za co cię związano, Abu en Nilu? Czy nie wolno mi było tego powiedzieć?

— Czy ty, psi synu, ty, wnuku psiego syna, myślisz, że ja głupi? Dajcie tu bat! Zaraz usta mu się

rozwiążą!...

W tej chwili rozległ się na brzegu głośny, rozpaczliwy okrzyk:

— Na Allaha!... Wszystkie beczki próżne!...

Ibn Asl podbiegł na krawędź pokładu od strony brzegu, skąd powtórzył jakiś głos:

— Wszystkie beczki są próżne!

— Czyście poszaleli! — wołał Ibn Asl.

— Ależ bynajmniej, wszystkie próżne — odpowiedziano i równocześnie słyszałem, jak ktoś bębnił w nie na znak, że to, co mówi, jest prawdą.

— *Maszallah* — cud boży! — krzyczał Ibn Asl. — Próżne są w istocie. Któż to zrobił! Czekajcie, pójdę tam i zobaczę.

Do dozorczy zaś dodał:

— Nie dozwól tym psom mówić ze sobą! Gdyby który pisnął tylko, to zaraz wal w mordę!

To powiedziawszy, znikł z pokładu. Człowiek, który otrzymał tak surowy rozkaz, chwycił kawałek liny i począł nią wymachiwać nam przed oczyma, na znak, że gotów jest zrobić z niej użytek. Wobec takiego stanu rzeczy nie wypadało nic innego, jak tylko milczeć. Ja zresztą nie wiedziałem nawet, czy i w jaki sposób dałby się naprawić jeszcze błąd, który sternik tak niebacznie popełnił.

Zdawało mi się, że wszyscy zgromadzili się w jednym miejscu, to jest koło beczek, bo stamtąd dochodziły niewyraźne głosy. Potem zapanowała na chwilę zupełna cisza, widocznie próbowano dociec przyczyny katastrofy. Niebawem jednak wrócił Ibn Asl razem z całą swoją bandą, która zapełniła cały pokład. Oczy wszystkich były zwrócone na nas i pełne oburzenia i wściekłości, a nawet, jeśli się nie mylę, podziwu. Ibn Asl przystąpił do mnie, kopnął mnie nogą i rzekł, mierząc mnie iście bazyliżkowym wzrokiem:

— Powiedz prawdę, parszywy szakalu, bo inaczej wyrwę ci język... Gdzie byłeś w nocy?

Byłoby wielką głupotą, gdybym pytanie to zbył milczeniem. Najdosadniejszą odpowiedzią mogła być jedynie pięść, niestety, nie miałem wolnej ręki i dlatego rad nierad, ozwałem się:

— Gdzieżby, jeżeli nie w twojej kajucie?

— Ale wymknąłeś się z niej i poszedłeś do beczek.

— Chyba może we śnie... Nakotłowałeś mi głowę przed spaniem tymi beczkami, tak że oczywiście mogły mi się przyśnić...

— Byłeś tam na jawie i nie wyprzesz się tego.

— Nikt nie może wypierać się tego, czego nie popełnił.

— W beczkach są otwory.

— Wiem o tym... Nie widziałem nigdy w życiu takiej beczki, któraby otworu nie miała.

— Co? — kopnął mnie raz jeszcze nogą — tobie żarty w głowie? Nikt inny tylko ty przedziurawiłeś beczki.

— Dajże mi spokój ze swoimi beczkami! Ciekaw jestem, z jakiego powodu mogłyby mnie one zajmować...

— Dla uratowania reisa effendiny! Przyznaj się, no przyznaj się, bo cię zetrę na miazgę, na proch!

Podniósł nogę w zamiarze kopnięcia mnie w samą twarz. Być wystawionym na tego rodzaju obelgę, i to wobec tylu ludzi, nie należało do zbyt wielkiej przyjemności. Leżałem związany, bezsilny, zdany na łaskę i niełaskę zbydlęconego zbrodniarza i najwstrętniejszego pod słońcem łotra i gbura.

I oto ma mnie w rękę jako igraszkę! A przecie miało być zupełnie przeciwnie! Czyż w tym rozpaczliwym położeniu nie było dla mnie żadnej obrony, żadnego ratunku? Niepodobna było odpowiadać na jego obelgi tak samo, jak nikt rozsądny nie dobyłby szabli celem pojedynkowania się z parobkiem, który ma do rozporządzenia widły do gnoju. Instykt nakazywał mi bronić się jedynie wykrętami i możliwe, że byłaby w tym jakaś deska ratunku, ale skoro tylko spróbowałbym wykrętów, mógłby opryszek snadnie posądzić mnie o trwogę i to — byłoby najgorsze, co tylko można sobie wyobrazić. Trwoga! Położenie moje było wcale, a wcale nie do pozazdroszczenia, jednakże nie bez wyjścia, ani na myśl bowiem mi nie przyszło uważać się za zgubionego. Spojrzałem tedy śmiało w oczy niebezpieczeństwu, nie dbając bynajmniej, czy nie przeplacę tego życiem i to zaraz.

— Przyznać się? — rzekłem. — Tylko zbrodniarze i grzesznicy są obowiązani do wyznań, a to przecie, co ja uczyniłem nie jest ani grzechem ani zbrodnią.

— Stwierdzasz więc tymi słowami, że to twoje dzieło?

— Tak.

Spojrzał na mnie jak osłupiały; nie spodziewał się widocznie tego po mnie.

— Czy słyszycie? Czy wy słyszycie? — ryknął, ochłonawszy ze zdziwienia. — To on! Przyznał się. Człowieku, czy ty sobie wyobrażasz, że wydałeś przez to na siebie wyrok śmierci? Po coś ty wypuścił naftę?

— Odpowiedź na to sam wypowiedziałeś przed chwilą.

— Żeby ocalić reisa effendinę?

— A gdyby... Jestem przecie jego przyjacielem.

— I obcym effendim?

— Tak!

— A ten twój niby pomocnik, Omar?

— Ben Nil.

Otwartość moja wywarła na nim tak silne wrażenie, że cofnął się o dwa kroki w tył. Widocznie sądził, że będę dalej brnął w wykrętach i przeczeniu wszystkiemu, gdyż tylko w ten sposób mogła mnie nęcić iskierka nadziei, aż nagle usłyszał wszystko od razu, bez zbytnich nalegań i dochodzeń.

— Słyszeliście? — zwrócił się do swoich ludzi — On się przyznał, że jest obcym effendim... Mamy go więc w swych rękach. Allahowi najwyższemu niech będzie cześć i dzięki!

Chwila ta dała sposobność Ben Nilowi do wypowiedzenia szeptem:

— Cóżes zrobił dobrego, effendi, wszystko przypadło, zginiemy z całą pewnością.

— Nie trać odwagi i pozostaw resztę mnie, już ja zdołam się wymotać! — odrzekłem uspokajająco.

Ludzie poczęli teraz cisnąć się do nas, by nam się bliżej przypatrzeć, a Ibn Asl stanął znowu tuż nade mną i syczał, zgrzytając zębami:

— Jesteś, effendi, zuchwały w bardzo wysokim stopniu, ale nie miałeś pojęcia, co to znaczy dostać się w moje ręce.

— E, nie jest znowu tak źle. Przeżyłem gorsze już rzeczy. Gdyby nie przypadek, nie byłbyś się wcale dowiedział, kim jestem. Masz więc czym się szczycić, i czy naprawdę zawdzięczasz o własnym zdolnościom, że znajduję się w twej mocy?

— Robaku marny! Śmiesz mi urągać jeszcze! — krzyknął zły do ostateczności i kopnął mnie nogą.

— Teraz możesz mnie kopać, bo jestem obezwładniony, ale zwracam ci uwagę, że każde to kopnięcie odpłacisz mi bardzo, a bardzo drogo.

— Tobie? A to kiedy? Grozisz zemstą? Czyś oszalał, czy co?

— Mówię z pełnym przekonaniem. Jak długo twoim zdaniem, będę zmuszony znosić zniewagi od ciebie?

— Tak długo, dopóki nie wyzioniesz ducha wśród strasznych męczarni.

— Śmieję się z tego! Zważ, że reis effendina jest tutaj!

— O, liczysz na niego? Zdaje ci się, że cię uratuje?

— Owszem.

— No, no, możesz się łudzić, ale nie długo; ja oczywiście nie mogę spalić tego psiego syna, ale...

Urwał, bo na krawędzi pokładu wszczął się ruch. Człowiek, który był wysłany na posterunek w kierunku Hegazi, przecisnął się przez grupę ludzi i, łapiąc z trudnością oddech w piersi, meldował:

— Panie, nic z naszej nafty. Reis effendina nie przybędzie tu drogą wodną.

— Tylko którądy?

— Allah mnie natchnął, bym poszedł nieco dalej, niż mi rozkazałeś, i stanąłem na brzegu tak, że miałem widok nie tylko na rzekę, ale i na step. Tam właśnie ich spostrzegłem.

— Skąd wiesz, że to reis effendina?

— Któżby inny? Byli wprawdzie bardzo daleko ode mnie, ale poznałem ich po uniformach.

— Jeżeli tak, to może to i prawda. Ilu ich było mniej więcej?

— Nie liczyłem ich. Szli dwójkami i pochód był bardzo, bardzo długi.

— Kiedy mogą się tu pojawić?

— Będą się skradali ku nam ostrożnie i dlatego potrzebują wiele czasu na to, nim się do nas dostaną.

— Wobec tego musimy uciec. Pies popsuł nam szyki, niszcząc naftę, pozostałby nam jeden tylko sposób, to jest walka. Nie wątpię ani na chwilę, że zwycięstwo byłoby po naszej stronie, ale lepiej jest uchylić się od tego, żeby sobie zaoszczędzić szkody w ludziach. Bo chociaż zwyciężylibyśmy, wielu z nas musiałoby polec. Co do reisa effendiny, to już ja obmyślę niezawodny sposób w celu nieszkodliwienia go raz na zawsze. A zatem do roboty, towarzysze! Maszty w górę, rozwinąć żagle! Wiatr nam sprzyja i wkrótce będziemy stąd daleko na górnym Nilu.

Wszystko, co tylko znajdowało się na brzegu, spakowano na okręt z wyjątkiem tylko wypróżnionych beczek, które powrzucono do rzeki, podniesiono maszty i rozpięto żagle. Nokwer był skonstruowany w sposób odmienny, niż inne tego rodzaju statki. Oprócz głównego masztu na środku był mniejszy na przodzie. Za kilkoma podmuchami wiatru odbiliśmy od brzegu i popłynęliśmy pod prąd w górę.

A że przy tym każdy miał coś do roboty, zważano na nas bardzo mało, nawet nasz dozorca interesował się więcej ruchami okrętu, dlatego mogliśmy chociaż bardzo po cichu wymienić między sobą parę słów, ku czemu zresztą dał powód okręt, stojący u brzegu. Przejeżdżaliśmy właśnie obok i Abu en Nil ozwał się:

— Czy nie byłoby wskazane, effendi, bym w tej chwili zawołał na moich ludzi?

— Na Allaha — nie! Pogorszyłbyś tylko całą sprawę, nic więcej.

— Ale ja, za wszelką cenę, muszę wrócić na swoje stanowisko i nie pojedę z tym przeklętym Ibn Aslem.

— Który wcale nie ma zamiaru pytać się ciebie, czy chcesz jechać z nim czy nie. Ty musisz!

— Cóż on ze mną uczynić zamierza?

— To samo, co z nami obydwoma.

— No, a co z wami?

— Allah wie, nie ja. Ty sam winieneś temu, że znalazłeś się w tak przykrym położeniu.

— Byłem tak załęczniony, że wprost nie zastanawiałem się nad tym, czy wymówienie waszych nazwisk może spowodować jakieś nieprzyjemności.

— Byliśmy powiązani i to powinno było ci wystarczyć do zorientowania się w sytuacji.

Zbliżaliśmy się do dżezireh. Na prawym brzegu rzeki drzewa stały rzadko od siebie tak, że w jednym miejscu był widok na otwarty step. Mimo, że znajdowałem się w pozycji leżącej, spostrzegłem przez ten wyłom człowieka, pędzącego co tchu na wielbłądzie w kierunku rzeki. Zobaczywszy okręt, podpędził zwierzę, okładając je kolbą niemiłosiernie. Ibn Asl stał niedaleko nas i mówił:

— Patrzcie, oto Oram, którego przysyłają nam w poselstwie, niestety, nie możemy zabrać go na okręt, bo wskutek zatrzymania się, reis effendina łatwo mógłby nas dopędzić.

Przyłożył ręce do ust i krzyknął na jeźdźca:

— *Maijeh es Saratin! Maijeh es Saratin!*

Ten zrozumiał w lot te słowa, zawrócił bowiem w miejscu i popędził co tchu z powrotem w step.

Pod nazwą maijeh rozumie się bagnistą odnogę rzeki lub zatokę, w której woda stoi cicho, a więc to samo, co mieszkańcy z nad Missisipi nazywają bayou. Es jest rodzajnikiem, saratin zaś oznacza raka. Posłaniec zatem otrzymał wskazówkę, że ma się udać w zakręt Nilu, czy też jego odnogę, gdzie jest dużo raków, i stąd dano jej tę nazwę. Widocznie w miejscu tym okręt miał się zatrzymać. Intrygowało mnie, przez kogo mógł być wysłany ów człowiek. Nie widziałem wyraźnie jego twarzy, ale przypomniało mi się, że postać ta nie jest mi obcą. Co zresztą mógł obchodzić ów człowiek w tak ciężkiej dla mnie chwili, w której trzeba było myśleć przede wszystkim o sobie. Rozumie się samo przez się, że już wspomnienie o uratowaniu reisa effendiny sprawiało mi wielkie zadowolenie, niestety, sterczałem sam w paszczy potwora, który mógł mnie połknąć lada chwila. Czy należało się spodziewać pomocy ze strony reisa? Była ona możliwa, ale nieprawdopodobna, nie miał on pojęcia,



w której stronie szukać swego wroga i gdzie za nim się udać. Jeżeli odkryje obozowisko, to niezawodnie rozpocznie poszukiwania. Możliwe, że dowie się od ludzi Abu en Nila o kierunku ucieczki łowców i w takim razie musi wrócić do Hegazi po swój statek i dopiero potem zacznie ścigać zbiegów, a tymczasem z nami może być naprawdę źle. „Sokół” reisa co prawda posiada o wiele znaczniejszą chyżość niż „Jaszczurka” Ibn Asla, ale gdy ten skryje się w jakąś tam rakową odnogę, może go reis przeoczyć i popłynąć dalej.

Jak z tego widać, nie mogłem sobie obiecywać wiele ze strony reisa effendiny i ratunek zależał wyłącznie i jedynie ode mnie samego, o czym zawiadomiłem też obu towarzyszy niedoli. Ben Nil ufał mi najzupełniej, jego dziadek zaś wyrażał się z wielkim niedowierzaniem i rozpaczą. Opowiadał nam w krótkich słowach, jakie przeszedł koleje od czasu rozstania się z Ben Nilem, spotkał mianowicie pewien okręt, który wybierał się w kierunku Faszody, a że kapitan znał go przypadkowo, zabrał go ze sobą i powierzył mu czynności sternika. Dziś właśnie, wracając już z tej podróży, spotkali łódź, a w niej kilku łowców, którzy z rozkazu Ibn Asla ostrzegli kapitana przed niebezpieczną wyspą z trawy omm sufah. Zajęła ona opowiadali — prawie całą szerokość Nilu i dalej płynąć niepodobna. Kapitan wysłał tedy sternika naprzód razem z tymi ludźmi, aby wybadał teren, a sam tymczasem zarzucił kotwicę u brzegu. I oto stary marynarz zamiast wysp omm sufahowych napotkał legowisko łowców, okręt, no i — wpadł w zdradliwą sieć, z której wymotać się nie ma już sposobu. Klął więc, na czym świat stoi, i zasypywał nas pytaniami, dlaczego Ibn Asl tak śmiertelnie nas nienawidzi, a gdy mu Ben Nil krótko objaśnił, ozwał się płacząco:

— Allah, któżby się był tego spodziewał! Teraz już na pewno wiem, że godziny mego życia są policzone, bo ten handlarz niewolników pomorduje nas bez litości. Nie zobaczę już swoich ukochanych nigdy i zginę marnie, jak pies.

— Nie rozpaczaj, nie narzekaj — upominał go Ben Nil — bo to przeszkadza effendiemu w myśleniu! Bądź więc cicho, a on już znajdzie jakiś sposób wyjścia z tej niedoli, inaczej zaszkodzisz nam obu, a sobie nic nie pomożesz. Nie uczyniłeś zresztą Ibn Aslowi nic złego, więc nie ma on prawa krzywdzenia cię w czymkolwiek.

— Jak to, czy nie słyszałeś, co on mówił? Posądza mnie o to, że jestem z wami w zмовie, i dlatego zgotuje mi ten sam los, co wam.

Stary przedstawiał mi się jako wielki egoista, bo myślał i mówił tylko o sobie, a o los wnuka, któremu groziło większe niebezpieczeństwo, wcale się nie troszczył. Co do tego, to przypuszczenia moje okazały się mylne. Jeszcze w Gizeh przekonałem się, że nie należy on do rzędu bohaterów, a że obecnie schwymano go nagle i niespodziewanie w pułapkę, stracił biedak głowę w zupełności. Gdy Ben Nil zwrócił mu uwagę, że skargi te obrażają mnie i niepokoją, zwrócił się do mnie:

— Przebacz, effendi, sam nie wiem, co mówię, straciłem panowanie nad sobą! Wiem zaś, ile mam ci do zawdzięczenia, i pragnę w jakikolwiek sposób okazać ci to czynem. Mów więc, co mam czynić, a zastosuję się w zupełności!

— Nie narzekaj i poddaj się losowi z rezygnacją, oto wszystko, czego żądać mogę od ciebie w tej chwili.

Ominęliśmy wyspę, płynąc nierozdzielonym już korytem. Przed i poza nami ani jednego okrętu, ani żadnej nawet łodzi. Wtem Ibn Asl kazał sobie tablice z napisami, znajdujące się zewnątrz kadłuba, obrócić na drugą stronę, wskutek czego znikł napis „Jaszczurka”, a na jego miejsce pojawił się nowy: „Karnuk”, co oznacza nad górnym Nilem żórawia, od głosu, który ptak ten wydaje: „Kar–nuk–nuk–nuk”, zwiastując zbliżający się świt.

A zatem Ibn Asl zmieniał dowolnie nazwę swego statku i nietrudno domyślić się, w jakim celu. Było bowiem do przewidzenia, że reis effendina puści się w pogoń za „Jaszczurką”, nie może natomiast zaczepiać tak sobie bez powodu „Karnuka”. Przekonałem się teraz na moje utrapienie, że „Karnuk” należał do niezłych żaglowców i mknął szybko po gładkiej powierzchni wody. Mimo to Ibn Asl rozkazał swoim ludziom poruszać odpowiednimi belkami w rodzaju wiosła. Na przodzie zaś okrętu umieszczono łódź, w której dwunastu ludzi pracowało co sił wiosłami, zmieniając się co pół godziny. Łódź ta posuwała się szybko naprzód i ciągnęła liną okręt, holując go niejako i przyspieszając jego szybkość. Że statek płynął już spokojnie i nie było do przewidzenia żadne niebezpieczeństwo, Ibn Asl miał czas zając się teraz nami. Przybliżył się więc do nas w towarzystwie obydwu swoich oficerów, z których jednego nazywa podporucznikiem, a drugiego porucznikiem. Wszyscy trzej stali dłuższy czas w milczeniu, przypatrując się nam triumfalnie. Po jakimś czasie ozwał się Ibn Asl:

— Kto ścigał mnie na Wadi el Berd?

— Ja — odpowiedziałem.

— Ty? Ach, ty sam! No, i złapałeś mnie, co?

— Nie nadymaj się! Że nie zdołałem cię schwycić, nie zawdzięczasz to własnym zdolnościom, lecz wielbładowi, który prześcignął mego.

— Zdaje ci się, że, gdyby nie to, nie byłbym cię zwyciężył? Ej ty robaku marny, t robaku...

— Miej wolne ręce, chwyć nóż, mnie zaś zwiąż ręce na przodzie, wtedy spróbujmy walczyć. Zobaczysz, kto jest nędznym robakiem, ja czy ty...

— Milcz! Szczęście ci sprzyjało dotąd, ale uważaj, żeby się ono nie odwróciło nagle! Aż do dziś pragnąłem z całej duszy dostać cię żywego w swe ręce, no, i nareszcie ziściło się to, przekonasz się, jak wierny muzułmanin potrafi postępować z parszywym psem chrześcijańskim. Dla ciebie stokroć lepiej byłoby, gdybyś się nie narodził. Ja cię...

— Oszczędź sobie tych gróźb, wiem sam, co zrobisz ze mną!

— No, co?

— Przede wszystkim każesz mi wyrwać język, potem wykluć oczy, odciąć uszy, nos i wszystkie członki.

— Istotnie wiesz. Któż cię o tym uwiadomił?

— Ktoś, kto dwa razy doświadczył, że ja się niczego nie boję i umiem wyjść obronną ręką z najgorszego niebezpieczeństwa.

— Któż to taki?

— Abd Asl, twój ojciec.

— Prawda, wymknąłeś mu się już kilkakrotnie, ale co on, to nie ja. Mnie się już nie wymkniesz. Prędzej obłok zawali się nam na głowę, niż cię z rąk swoich wypuszczę.

— Nie wierzę w to. Możliwe, że mógłby mnie jakiś człowiek przyprawić o śmiertelną trwozę, ale ty z wszelką pewnością nie.

— Psie! W przeciągu kilku minut będziesz szczeakał o łaskę i zmiłowanie.

— Spróbuj!

— Sądzisz, że żartuję?

— Nie, ale tylko grozisz. Do wykonania tej groźby brak ci odwagi.

— A nich cię diabli wezmą! Pokażę ci właśnie, że posiadam odwagę. Tu do mnie, chłopcy! Zobaczycie jak pies chrześcijański będzie się wił w śmiertelnych podrygach.

Na te słowa zgromadzili się około nas wszyscy ludzie, obecni na pokładzie. Ibn Asl poszedł do kajuty..

— Co ty dobrego robisz, effendi? — zauważył Ben Nil — Drażnisz go niepotrzebnie i wręcz nie poznaję cię teraz. Byłeś zawsze tak roztropny. Teraz pogorszyłeś sprawę nie do naprawienia.

— Nie obawiaj się! Ja mu tylko pokażę, że nie on mnie, ale ja jemu napędzę strachu.

Ibn Asl wyniósł z kajuty obcęgi i podniósł je w górę wołając:

— Temu synowi przeklętej suki trzeba naprzód wyrwać paznokcie u palców. Kto się tego podejmie? Odezwało się kilka głosów naraz: ja, ja, ja. Z pomiędzy zbitych w grupę łowców wystąpił jeden silny i barczysty drab, wyciągnął rękę po obcęgi i prosił:

— Daj mnie, panie! Wiesz o tym dobrze, co ja potrafię, dla mnie to nie pierwszozna.

— Dobrze zgadzam się i mam nadzieję, że nie zawiedziesz moich oczekowań.

Drab chwycił obcęgi, stanął przede mną i kłapał nimi przez dłuższą chwilę, dając mi do poznania, jak błoga czeka mnie przyjemność. Potem pochylił się nade mną, by mnie obrócić, bo ręce miałem związane w tyle. Na to tylko czekałem. Drab chełpił się ze swoich zdolności do okrucieństw i znęcania się nad bezbronnymi ofiarami i dlatego nauczka była dla niego bardzo pożądana, i gdyby nawet zagrażała jego życiu, tym lepiej. Zebrałem wszystkie siły i w okamgnieniu skurczyłem kolana i,

wyprężywszy nogi nagłym rzutem, kopnąłem go w brzuch tak silnie, że wywrócił koziółka, potracił kilku obok stojących gapiów i padł na pokład bez przytomności. Z ust buchnęła mu krew, widocznie przeciął sobie język. Wywołało to nieopisany popłoch wśród całej załogi, jedni klęli, drudzy odgrzali się zapalczywie i dopiero Ibn Asl uspokoił ich, zajmując się następnie poturbowanym, który nie dawał ciągle znaku życia. Zabrano go na bok, a Ibn Asl, zacisnąwszy pięść, syknął do mnie:

— Odpokutujesz to dziesięciokrotnie, postąpię z tobą zupełnie inaczej, niż przedtem postanowiłem. — Chwycicie go — dodał do swoich ludzi — tak silnie, żeby się ani ruszył, i ręce wyciągnąć mu na wierzch, zaczniemy operację!

Opadło mnie sześciu potężnych drabów, czemu nie stawiałem najmniejszego oporu. Jeden przyniósł obcęgi, które podczas zajścia daleko na pokład odleciały, i zamierzył nimi wyrwać mi paznokcie.

— Jedno słowo, Ibn Asl! — krzyknąłem teraz — Czyń ze mną, co ci się podoba i zapewniam cię, że ani jednego jęku nie usłyszysz z moich ust. Zwracam ci jednak uwagę, że wszystko to, co od ciebie ucierpię, spotka w równej mierze Abd Asla, twego ojca!

— Me...e...go ojca? — zapytał zdziwiony.

— Tak i nie tylko jego, ale wszystkich, którzy się razem z nim znajdują.

— Co wiesz o moim ojcu? Gdzie on jest?

— Wyprawił się przeciw mnie, by mnie schwycić.

— No... to prawda... ale znowu wymknąłeś mu się, widocznie nie mógł cię odnaleźć.

— Owszem, nie odnalazł mnie, ale natomiast ja jego odnalazłem i to w taki sposób, że odechce mu się na całe życie podobnego spotkania.

— Kullu szejatin — wszyscy diabli! Czy nie łżesz?

— Możesz wierzyć lub nie — wszystko mi jedno.

— Gdzieżeście się spotkali?

— Nad studnią.

— Którą?

— Nie chce mi się powiedzieć.

— Musisz.

— Nie muszę, bo to moja tajemnica. Każ mi rozwiązać ręce i nogi, a zaprowadzę cię do niego, jeżeli zaś nie chcesz, to będziesz miał na sumieniu i jego i cały oddział.

— To mi się podoba — zaśmiał się — chcesz się ratować za pomocą kłamstwa.

— Kłamstwa! A skądbym wiedział, że on się wyprawi przeciw mnie?

To go zastanowiło, dlatego zapytał:

— Byli pieszo?

— Nie, na wielbłądach.

— Ilu ludzi?

— Eh, czy myślisz, że mam chęć dać się brać na spytki, jak żak szkolny? Wystarczy, gdy ci powiem, że wszyscy zostali schwytani i że czeka ich to wszystko, co ty ze mną wyprawiasz.

— Są więc niedaleko?

— No, nie bardzo, bo myśmy ich znacznie wyprzedzili na doborowych wielbłądach.

— A czemużeś ich pozostawił?

— Znajdują się w pewnych rękach. Znasz może człowieka, który mianuje się fakirem el Fukara?

— Oczywiście, rozmawiałem z nim jeszcze przedwczoraj wieczorem. Dlaczego się o to pytasz?

— Bo on spotkał nas przypadkowo i chciał ratować jeńców.

— I udało mu się?

— A czyż znajdowałbym się obecnie tutaj, gdyby tak było? Ma on też porządną nauczkę za to, że śmiał wmieszać się do moich spraw, bo sam dostał się do niewoli. Nie pojmuję, jak mogłeś ważyć się na coś podobnego... Wysyłasz ludzi, by mnie schwytali, chociaż dobrze wiesz, że nie uda się to nikomu i nigdy.

— Człowieku, czyś ty zwariował? Toż właśnie w tej chwili jesteś schwytany i znajdujesz się mojej mocy, jesteś moim więźniem.

— Bynajmniej. Wrócisz mi wolność zaraz, jestem o tym najmocniej przekonany.

— Prędzej mnie diabeł porwie...

— Nie klnij i nie przysięgaj się daremnie, bo sam nie wiesz, co czynisz!

— A ty jesteś chytrzejszy niż lis i nikt nie śmie ci zaufać. Wyobrażasz sobie tylko, żeśmy cię chwycić chcieli, i podajesz to za rzeczywistość, jakbyś naprawdę o wszystkim wiedział.

— Czy wyobrażam sobie tylko, że twój ojciec jest dowódcą?

— No, co do tego. Ale dlaczego udałeś” się w kierunku dżezireh Hassania?

— Ażeby potargować się z tobą.

— Któż ci powiedział, że ja się tam znajdowałem?

— Twój ojciec i zdaje mi się, że to najpewniejszy dowód, iż z nim rozmawiałem.

— O cóż to chciałeś targować się ze mną?

— O jeńców, których mam w ręku.

— E? Spodziewałeś się okupu?

— Pomówimy o tym później.

— Nie pojmuję, dlaczego nie mówiłeś ze mną o tym zaraz po przybyciu do mnie wczoraj wieczór.

— Ba, ale w takim razie musiałbym być przyznać się, kim jestem, i nie mógłbym być uratować reisa effendiny.

— Wiedziałeś, że go oczekuję?

— Ojciec twój mi powiedział.

— Niemożliwe. Mój ojciec za ni w świecie nie mówiłby z tobą o tym.

— Wygadał się mimowolnie.

— Nie rozumiem.

— No, niejedno jeszcze będzie dla ciebie niezrozumiałe, gdy się później o mnie dowiesz.

— Przez usta twoje przemawia pycha i zarozumiałość, a mimo to leżysz bezsilny u moich nóg.

— Mylisz się. Jeżeli do pewnego ściśle określonego czasu nie powrócę do swoich ludzi, stanie się ze wszystkimi jeńcami i z twoim ojcem to, czego byłeś świadkiem na Wadi el Berd, gdy reis effendina powystrzelał wszystkich schwytych co do nogi. Nawet fakir el Fukara musi zginąć.

Nastąpiła dłuższa pauza, podczas której Ibn Asl rozważał wypowiedziane przeze mnie słowa, poczym zapytał:

— Ilu z moich ludzi uciekło?

— Ani jeden!

— Kłamiesz mimo, że starasz się mówić poważnie i nawet z oczu ci to patrzy.

— Mówię prawdę.

— A ja ci udowodnię, że nie. Widziałeś może jeźdźca, który dopiero co ukazał się był na brzegu?

— Widziałem.

— Był to Oram, jeden z moich ludzi; towarzyszył memu ojcu podczas wyprawy.

— Możliwe, ale nie w tym czasie kiedy spotkałem twój oddział. Może był gdzieś wysłany, a po powrocie, spotkawszy swoich towarzyszy schwytanych, umknął niepostrzeżenie, aby cię zawiadomić o nieszczęściu.

— Mógłbym się dowiedzieć, w jaki sposób udało ci się uwięzić ludzi, których przeciw tobie wysłałem?

— Nie mam wcale ochoty bawić się w opowiadania i opisy.

— W takim razie niech opowiada stary Abu en Nil.

— On nie wie o niczym, bo nie był wcale z nami. Od chwili, kiedy dopomogłem mu w Gizeh do ucieczki, nie widzieliśmy się i dopiero spotkałem go po raz pierwszy dziś na pokładzie tego okrętu.

— Prawda to?

— Proszę cię, nie pytaj mnie więcej, czy to prawda, co mówię, bo mnie to obraża, przyznasz to zresztą sam!

— A przecie przedstawiłeś mi się w nocy jako Amm Selad ze Suez, a dziś przyznałeś się, że jesteś poszukiwanym przeze mnie effendim. Czyż to nie było kłamstwem?

— Nie, to tylko podstęp wojenny.

— Wy, chrześcijanie, nie zdajecie sobie sprawy, co znaczy kłamstwo.

— A muzułmanin nie zadaje sobie wcale trudu co do podstępu wojennego, tylko morduje i zabija wprost. Allahowi powinieneś dziękować, że nie przyznałem się wczoraj, kim jestem, gdyby bowiem nie to, miałbyś dziś na sumieniu straszną zbrodnię morderstwa setek ludzi. Zapytaj zresztą Ben Nila!

Podczas tej rozmowy ludzie cisnęli się hurmą do nas, chcąc słyszeć wszystko, co zaczął opowiadać Ben Nil. Był na tyle rozsądny, że przemilczał miejscowość, co nadawało całej sprawie pewnej tajemniczości i oczywiście wyjść mogło na moją korzyść. Wszyscy słuchali z zapartym oddechem opowiadania i dopiero, gdy Ben Nil skończył, Ibn Asl zauważył mocno zdziwiony:

— Naprawdę wierzyć się nie chce, jakobyś zabił lwa z El Teitel, effendi.

— Możesz nie wierzyć.

— Odważyłeś się na to chyba, nie wiedząc wcale, co ci grozi.

— Zaryzykowałem własne życie, nic więcej.

— Czy to nie dosyć? Czy może człowiek ponieść większą stratę nad życie?

— O, o wiele więcej.

— Co na przykład!

— To, co dawno już utraciłeś, a mianowicie honor, dobre imię i łaskę u Boga i u ludzi.

— Effendi, nie myśl, że ja nagle popadnę w skruczę i rozrzewnienie! O, nie! Jestem w tej chwili twoim panem i władcą życie twoje zawisło od mej woli.

— Nie przeczę, ale równocześnie zawisło od twej woli życie Abd Asla, fakira el Fukara i całego oddziału ludzi.

— Ach tak. Przybyłeś ułożyć się ze mną o wolność tych ludzi. Ciekaw jestem, jakie jest twoje żądanie.

— Nie bardzo wygórowane. Przysięgnij, że nie będziesz już zajmował się handlem niewolnikami, wróc mi wolność i oczywiście tym dwóm moim towarzyszom!

— Zadowolilibyś się moją przysięgą?

— Możliwe, a może i nie. Możliwym jest, że zażądam pewnego zabezpieczenia.

— Na jakiej podstawie przypuszczasz, że mógłbym przysiąc fałszywie?

— Bo znam już wielu muzułmanów, którzy składali fałszywe przysięgi.

— Widocznie nie byli to prawi wyznawcy proroka.

— Mogę ci udowodnić, że fakir el Fukara i twój ojciec, który uchodzi na bardzo pobożnego fakira, przysięgli na Allaha i brodę proroka, a skłámali wszystko od początku do końca.

— Czy ty byłeś tym, który żądał od nich przysięgi?

— Ja.

— W takim razie nie popełnili żadnego grzechu, bo jesteś niewiernym.

— Ach, to tak! Rozumiem. Muzułmanin może wobec chrześcijanina przysiąc fałszywie i to wcale nie jest uważane za krzywoprzysięstwo.

— Rzecz się ma tak, jakby wcale nic nie powiedziano.



— I wobec tego żądasz, abym wierzył twoim zapewnieniom? Złapałeś się sam, wobec czego zmuszony jestem postawić inne warunki.

— No? Słucham.

— Uwolnisz nas wszystkich trzech, a ja w zamian daruję wolność twemu ojcu i fakirowi el Fukara. Resztę jeńców oddam reisowi effendinie.

— Co za bezczelność! — przerwał mi szyderczo. — Ten gjaur znajduje się na naszej łasce lub niełasce, a mówi tak, jakby miał tu coś do rozkazu! Czemu ja nie podniosę ręki, by cię zdruzgotać na miazgę!? — dodał zwracając się do mnie.

— Czemu nie podniesiesz ręki? A no, bo masz ją związaną. Zginę ja — spotka ten sam, a może nawet jeszcze gorszy los twego ojca.

— Jesteś tego tak pewny?

— Powiedziałem ci już, że skoro nie wrócę na oznaczony czas do swoich, zacznie się natychmiast straszna godzina dla Abd Asla i jego towarzyszy niedoli.

— Kiedy to ma nastąpić?

— Moja to tajemnica, mogę ci tylko powiedzieć, że im prędzej się zdecydujesz, tym mniejsze niebezpieczeństwo, grozi twemu ojcu.

— Hm, żądasz wydania trzech osób za dwie, to miarka bynajmniej nierówna.

— Owszem, gdyż wcale w rachubę nie biorę Abu en Nila, który jedynie Bogu ducha winien.

— Na ile oceniasz siebie?

— W tym wypadku idzie tylko o liczbę osób. Dwie głowy za dwie głowy. Sternik jako dodatek.

— Czy to warunek ostatni?

— I nieodwołalny.

— A teraz pozwól, że ja ze swej strony przedstawię propozycję! Zwróćcie wolność wszystkim jeńcom, a ja w zamian oddam Abu en Nila i Ben Nila!

— A ja?

— Zostaniesz.

— Dziękuję, jesteś mężem bardzo roztropnym i mądrym i, gdyby nie to, że leżę skępowany, padłbym przed tobą na klęczki i wielbił twoją wielkość.

— A twoja mądrość czyż nie jest bez granic... wszak ona... nie miała nigdy początku... Jakżebyś śmiało uwolnić cię tak sobie z lekkim sercem, skoro masz tyle na sumieniu. O, patrz, tam leży człowiek, którego dopiero co zamordowałeś.

— Naprawdę?

— Jeszcze dotąd nie dał znaku życia.

— Eh, to tylko chwilowe oszołomienie, zajmij się nim, może potrzebna będzie pomoc.

— Nie mamy hekima na pokładzie, jednakże — ty jesteś obcym effendim, a każdy z takich jest lekarzem, sądzę więc, że i ty znasz tę sztukę.

— Owszem

— Zechciej więc opatrzeć nieszczęśliwego!

— Nie mam przecie swobody ruchów.

— A gdybym ci rozwiązał ręce, czy próbowałbyś ucieczki?

— Nie.

— Kto tobie może ufać... Jesteś silny, zuchwały i przebiegły.

— Nie sądzę, że skoczę do rzeki, aby mnie tam pożarły krokodyle! Pominąwszy to jednak, zapewniam cię słowem, że na wszelki wypadek nie opuszczę twego okrętu bez obu współjeńców. Uwolnij mi więc ręce, a potem możesz je związać na powrót!

— Dobrze, ale pamiętaj, że będę trzymał w ręku przez cały czas pistolet i, jeżeli tylko zauważył choćby jak najmniej podejrzany ruch z twojej strony — dostaniesz kulą w łeb.

Przyniesiono człowieka do mnie i rozwiązano mi ręce, więzy na nogach pozostały. Gdybym chciał złamać słowo, byłby mi się niezawodnie nadał nader śmiały, ale niezły plan. Człowiek, leżący koło mnie bez ruchu, miał za pasem nóż, który mogłem wydobyć rzutkim ruchem, aby przeciąć więzy na nogach, a następnie zaatakować Ibn Asla, który trzymał wprawdzie pistolet w ręce, ale z kurkiem nieodwiedzionym. Gdyby mi więc się udało zapakować go do kajuty, obok której znajdowaliśmy się właśnie, mogłem wymusić na nim wszystko wedle własnej woli, niestety dałem słowo i musiałem go dotrzymać, będąc najświęciej przekonany, że zarówno Ibn Asl, jak wszyscy obecni na to nie zasługiwali i, gdyby okoliczności złożyły się ku temu, to wszyscy gotowiby z lekkim sercem złamać nie tylko słowo, ale i przysięgę na Allaha.

— No? — zapytał Ibn Asl, gdy ukończyłem badanie — Czy istotnie tylko omdlenie?

— O, tak omdlenie, ale takie, z którego nigdy się już nie obudzi. Tak zawsze bywa, gdy ktoś bez należytego zastanowienia się chce wyrywać bliźniemu paznokcie.

— Co? Nie żyje?

— Zgadłeś. Człowiek ten nigdy już nie będzie zmuszał niewinnych ofiar do „śpiewania” wśród barbarzyńskich katuszy. Wskutek kopnięcia nastąpiło zerwanie organów brzusznych i krwotok wewnętrzny, a ponadto nieszczęśliwy, upadając, złamał sobie kręgosłup w karku.

— *Allah kerim!* Jesteś mordercą!

— Stanowczo nie, lecz dwaj inni, a mianowicie ty i on sam.

— Nieprawda, ty zadałeś mu śmiertelny cios i przestępstwa twoje powiększają się z każdą godziną. Sądysz więc, że wobec tego puszczyć cię na wolność?

— Przenigdy! — wtrącił porucznik — śmierć mu!

— Zabić go, jak psa, zabić! — ozwały się głosy.

— Pomyśl, że zginie również twój ojciec...

— Pomyśl — odparł z drwiącym uśmiechem — że do tej chwili tylko od ciebie słyszałem o wszystkim i że muszę dowiedzieć się prawdy od Orama. Jestem prawie pewny, że sprawa weźmie zupełnie inny obrót i to taki, że będziesz zębami zgrzytał ze zgrozy, A zresztą niech będzie, co chce i jak chce, nie puszczyć cię za żadną cenę.

— Wolisz poświęcić rodzzonego ojca?

— Bez wahania. Przeżył już dość lat i niewielka będzie szkoda, gdy umrze a ciebie trudnoby mi było po raz wtóry dostać w swe ręce. Zatrzymam cię więc i przestanę się tobą zajmować dopiero wówczas, gdy ostatnia kropla krwi z ciebie wypłynie, ostatni oddech uleci. Hej! — krzyknął od obecnych — zabrać wszystkich trzech i wpakować do ciemnicy! Drzwi dobrze zaryglować i postawić wartę!

Rzuciło się na nas kilku, nie troszcząc się o całość naszych kości, wlokło po schodach w dół i niosło następnie przez ciemny korytarz w głąb. Nie zdołałem nawet rozpoznać, w której stronie okrętu znajdowała się cela, do której wpakowano nas; zaryglowano drzwi, a jeden z drabów zauważył:

— Za wiele gadania z rym psem i za wiele zaszczytu! Ja bym o wiele krócej postąpił. Nóż w pierś i po krzyku! Allah niech ich spali... Kto zostaje na posterunku?

— Ja — ozwał się znajomy mi skądś głos.

— Dobrze, niebawem cię zwolnię, służba nieciężka, bo oni są powiązani i zamknięci. No i zresztą gdzieby uciekli? Potopić się w nurtach rzeki?

Niebawem kroki ucichły i nawet z pokładu nie dolatywały już głosy. Począłem się tedy orientować w tej nowej pozycji. Przede wszystkim za pomocą czucia zbadałem, że podłoga była zrobiona z

drewnianych dyli, nadaremnie jednak starałem się wywnioskować po szumie wody, w której stronie okrętu jesteśmy. Przypuszczałem tylko, że komórka należała do tak zwanego zogu\*, a więc byliśmy w przedniej części okrętu.

Abu en Nil chciał coś mówić, lecz powstrzymałem go, gdyż człowiek, stojący na straży mógł nas łatwo podsłuchać i podwoić swą czujność. Po jakimś czasie słychać było ciche macanie i czołganie, które to się oddalało, to znów zbliżało. Wreszcie ktoś począł do drzwi leciuchno i ostrożnie pukać tak, że ledwie dosłyszeć było można. Nie odezwaliśmy się, a mimo to pukanie się powtórzyło i to śmieiej niż przedtem, a że i teraz nie dawaliśmy wcale jakiegokolwiek znaku, dał się słyszeć leciuchny szept:

— Effendi, czy słyszysz mnie?

— Słyszę

— Zostałem z własnej ochoty na straży, jedynie dlatego, by cię zapytać, czy mnie zgubisz.

— Zgubisz? — Któżżeś ty?

— Ten, z którym rozmawiałeś wczoraj w Hegazi.

Ucieszyło mnie to niezmiernie, gdyż z pojawieniem się tego człowieka błysnęła dla mnie gwiazdka nadziei, słaba wprawdzie, ale przy sprzyjających okolicznościach mogła się stać dla nas wielką gwiazdą zbawienia. Człowiek ów drżał z obawy, abym w przystępie gniewu nie zapomniał o danym mu słowie i nie wygadał się przez Ibn Aslem, któryby go ukarał bardzo surowo za długi język. To była woda na mój młyn.

Kiedy zawiodły mnie już wszystkie oczekiwania, nie pozostało mi nic innego, jak tylko własna siła fizyczna i zręczność. Możliwym było na przykład, że uda mi się przerwać palmowy łyżak na rękach przez dłuższe tarcie o kant belki, reszta dałaby się już jakoś zrobić. Wygodniej jednak było wykorzystać inną sposobność, a mianowicie otrzymać od tego człowieka jakie ostre narzędzie i dowiedzieć się od niego wielu ważnych rzeczy, bez których ucieczka mogła być bądź utrudnioną, bądź nawet spełznąć na niczym.

Przyczołgałem się pod same drzwi i pytałem szeptem:

— Słyszałeś, że chciano mi powrywać żywcem paznokcie?

— Tak, effendi.

— Wobec tego wiesz zapewne, co nam zarzucają i co nas czeka.

— Skazani jesteście na śmierć wszyscy.

— A co na to Ibn Asl?

— Wielu jest za tym, ale nie brak i takich, którzy się domagają wypuszczenia cię na wolność, byle

tylko uratować towarzyszy, będących u ciebie w niewoli.

— Która grupa liczniejsza?

— Na razie nie wiem, ale na wszystkie nieba Allaha błagam cię, nie powiedz Ibn Aslowi, że wtajemniczyłem cię w różne rzeczy, bo każe mnie rozstrzelać albo wyrzuci mnie do wody na pastwę krokodyli!

— W takim razie bardzo mi przykro, że ci nic pomóc nie mogę.

— Nic? *Allah kerim* — Allah jest łaskawy. — Czy odmówisz mi swej łaski? Wszak jesteś chrześcijaninem!

— Chrześcijanin ceni własne życie tak dobrze jak i każdy z wyznawców proroka.

— Ty jednak wcale się przez to nie uratujesz, gdy opowiesz Ibn Aslowi, co słyszałeś ode mnie.

— Mylisz się pod tym względem. Słyszałem od ciebie wiele szczegółów, które mogę wyzyskać na swą korzyść.

— Przyrzekłeś mi jednak dotrzymać tajemnicy.

— O ile sobie przypominam, przyrzekłem ci to istotnie, ale tylko co do jednego punktu i pod warunkiem, że będę uważany za tego, za kogo się podałem, a że sprawa wzięła zupełnie inny obrót, wiadomości, udzielone mi przez ciebie, są obecnie dla mnie jedyną i ostateczną bronią.

— O Allah, o proroku święty! Jestem zgubiony!

Zamilkł na chwilę, widocznie rozważał coś w myśli. Ale co?

Ten moment oczekiwania był dla mnie bardzo ciężki, na szczęście stało się o wiele, wiele korzystniej, niż przypuszczałem. Po ponownym zapukaniu szepnął znowu:

— A gdybyś mógł uciec, effendi!...

— Byłoby, to najlepszym wyjściem i dla mnie i dla ciebie, bo wówczas nie potrzebowałbym mówić z Ibn Aslem o tobie.

— Niestety, ucieczka jest zupełnie niemożliwą. Jesteś związany, czuwać tu będzie bezustannie warta, a choćby i nie, to w jaki sposób wydostałbyś się na ląd z okrętu?

— Czy to już wszystkie przeszkody?

— Mnie się zdaje, że te trzy są dosyć poważne.

— A ja natomiast lekceważę je sobie i wystarczyłaby mi tylko pewna pomoc ze strony zaufanej osoby.

— Byłoby to bardzo niebezpieczne, effendi...

— Bagatela! O naszej ucieczce nie dowie się żadna żywa dusza.

— Cóż powinien zrobić ów zaufany człowiek?

— Dwie rzeczy tylko, z których pierwsza jest prostsza i błahsza od drugiej. Przede wszystkim niechby mi dostarczył ostrego noża!

Po krótkiej chwili namysłu, ozwał się:

— Dobrze, dam ci nóż.

— Kiedy?

— Zaraz. Tam w tyle znajduje się paka z narzędziami, przyniosę. A...a... druga rzecz?

— Pewne informacje — nic więcej. Za to przyrzekany że ani jednym słowem cię nie zdradzę.

— Dobrze, pytaj mnie więc, a odpowiem... Pst... cicho, ktoś się zbliża!...

Zatrzeszczały schody. Ktoś zszedł po nich i zapalił światło, które wpadało wąskimi pasmami przez szpary ściany do środka. Naprowadziło mnie to na domysł, że wskutek upałów deski wyschły, skurczyły się. I istotnie powstały stąd szpary tak szerokie, że można było przez nie wsadzić nóż bez przeszkody. W tej chwili pomyślałem też o ryglu, którym założone były drzwi w połowie wysokości. Spostrzegłem ku mojej uciechu, że był to drewniany patyk o długości około pół metra, a szeroki na kilka centymetrów, który mógł się dać łatwo usunąć od wewnątrz. Do poczynienia tych spostrzeżeń wystarczyły ledwie sekundy, po czym ów ktoś zbliżył się do drzwi, otworzył je i wszedł ze światłem w rękę. Przymknąłem powieki, ale tak tylko, bym mógł dalej rozejrzeć się po komórce. Była ciasna, jak gołębnik, i nie zauważyłem tu żadnego w ogóle przedmiotu, nawet gwoździa, wbitego w ścianę.

— No, i jakże się wam tu powodzi? — ozwał się sarkastycznie handlarz niewolników. — Pokaż więzy!... Chciałbym się przekonać, czy się nie rozluźniły...

Postawił lampę na podłodze i obejrzał następnie moje ręce i nogi. Byłem tak silnie skrupowany, że powrozy z łyka wgryzały się w ciało i omal krew nie wystąpiła.

— Myślałeś w dalszym ciągu o cenie, korą mi postawiłeś? — zapytał, na co mu wcale nie dałem odpowiedzi.

— A może będziesz łaskaw oznajmić mi, czy upłynął już termin, w którym cię oczekiwano?

— Nie obawiaj się, zdążę na czas tam, gdzie mnie oczekują!

— Wybornie! Spotkasz się zatem z psami, które do ciebie należą — w wieczności.

A do strażnika dodał:

— Uważaj bacznie, aby te wrzodliwe szakale nie rozmawiały ze sobą! Weź bat i chłoszcz, głowa czy nie głowa!

Dawszy ten rozkaz, podniósł lampę, splunął na mnie i zamknął drzwi, po czym wstąpił na schody, postawił światło w jakimś zakamarku i zgasił je, wreszcie wyszedł na pokład.

Po upływie dobrej chwili zapukał nasz znajomy i począł szeptać:

— Już poszedł i jesteśmy bezpieczni, effendi. O co chciałeś mnie pytać?

— Przede wszystkim, powiedz mi, co to za komórka, w której się znajdujemy?

— To zidżn el bahriji\*, w której zamykani bywają za karę nasi ludzie.

— Gdzie śpi załoga w nocy?

— Tu pod pokładem i jeszcze niżej pod więzaniami, jeżeli nie ma niewolników.

— Musielibyśmy zatem przechodzić obok śpiących i natknąć się nawet na nich?

— Rozumie się.

— O, to źle.

— Ale wieczorem załoga znajduje się zazwyczaj na brzegu i dopiero późno w noc schodzi pod pokład o tej godzinie mniej więcej, co wczoraj.

— Znasz maijeh es Saratin?

— Dokładnie, bo zatrzymujemy się tam dość często w celach ukrycia się przed pościgiem.

— Daleko jeszcze do tej zatoki?

— Znajduje się ona na lewym brzegu Nilu po drugiej stronie wsi Kwana. Wejście do niej jest tak zarośnięte, że tylko dobrze obznajomiony może trafić do środka, a okręt cały niknie wśród gałęzi i pnących roślin.

— Tam ma się zatrzymać dziś Oram, nieprawdaż?

— Tak jest. Dopłyniemy na miejsce około północy, gdyż Ibn Asl zarządził, aby o ile możności przyspieszyć jazdę. Po południu spotkamy wyspę Mohabileh, a wieczorem wieś Kwanę.

— Nie mógłbyś się tak urządzić, ażeby w chwili wjazdu do maijeh, znowu warta na ciebie przypadła?

— Owszem, ale — czy... chcielibyście może w tym czasie czmychnąć?

— No, nie, gdyż narazilibyśmy cię na niechybne nieprzyjemności. Uciekniemy dopiero później,

gdy cię zluzują z warty. Ale musi się to stać w tym czasie, kiedy ludzie będą na brzegu, nie później, bo gdy się tu zwałą na nocleg, ucieczka byłaby niemożliwą. Może jest z pośród twoich towarzyszy jaki łajdak i nicpoń, którego warto ukarać za rozmaite łotrowskie sprawy?

— O, są tacy, do których mam wstręt.

— Urządź więc tak, aby właśnie na ową krytyczną chwilę przypadła warta takiego draba! Im większy drab tym lepiej, bo gdy uda się nam ucieczka, Ibn Asl wymierzy mu dotkliwą karę. Ale, ale, idzie o główniejszą rzecz. Czy nie wiesz, gdzie znajduje się moja broń? Bez niej nie dałbym sobie rady.

— Ibn Asl schował ją w swej kajucie jako osobistą zdobycz.

— Przekonaj się więc, czy nie przeniesiono jej gdzie indziej, bo to kwestia dla mnie bardzo ważna. Jeżeli się sprawisz dobrze, to nie tylko, że cię nie zdradzę, ale wynagrodzę cię jeszcze osobno, bo pieniędzy nam nie odebrano, co zresztą wcale nie jest dla nas dobrą wróżbą, gdyż widocznie są bardzo pewni siebie. W ostatniej chwili, gdy się przekonam, że ucieczka się uda, zostawię ci pewną kwotę w miejscu, które sam oznaczysz.

— O, jeżeli chcesz, effendi, sprawić mi tę przyjemność, to niema na całym okręcie lepszego miejsca jak tam pod schodami, gdzie leżą maty palmowe. Możesz tam włożyć węzełek z pieniędzmi. Tylko... w jaki sposób dowiem się, żeście uciekli, i czy kto inny nie natknie się przypadkowo na skrytkę? Wspomniałeś przecie, że nikt nie zauważy waszej ucieczki.

— Dam ci znak. W tych okolicach żyją tak zwane koty morskie i zapewne nie jest ci obcy głos tych małych, gdy je kto w nocy nastraszy.

— Znam ten głos.

— Dobrze więc. Ażebyś wiedział, kiedyśmy umknęli, ozwę się trzykrotnie, naśladując głos małpy, i skoro to zauważysz, biegnij w umówione miejsce — a znajdziesz tam nagrodę z pewnością!

— Pragnę z całego serca, effendi, abym znalazł ten upominek, po pierwsze, że ja pieniądze bardzo, a bardzo lubię, a po wtóre, będzie to dla mnie oznaką radosną z szczęśliwego obrotu sprawy dla was. Co jeszcze rozkażesz, effendi?

— Radbym się dowiedzieć, jakie nowiny przywiózł Oram, niestety, nie będzie to możliwe, bo nim skończy opowiadanie, my powinniśmy być już w drodze.

— Możliwe, że mi się uda choć cokolwiek usłyszeć, i wówczas zawiadomię cię natychmiast.

— W jaki sposób? Przecie tu będzie warta.

— To nic nie szkodzi. Posłuchaj! Nie możesz uciec zaraz w pierwszej chwili, gdy się zatrzymamy, a Oram będzie opowiadał natychmiast, ja podsłucham i następnie przybiegnę tu podzielić się wiadomością ze strażnikiem, no i oczywiście wy wszystko będziecie słyszeli.



— Istotnie znakomita myśl i upominek dla ciebie będzie tym większy, im bardziej pójdiesz mi na rękę. Teraz już dość; wiem wszystko, co mi było potrzebne, a nie chciałbym obciążać twego sumienia innymi jeszcze sprawami.

Na tym skończyło się nasze porozumienie. Spiskowiec postarał się dla mnie o nóż bardzo ostry i spiczasty tak, że na wypadek mógł wystarczyć do uśmiercenia kogokolwiek, kt oby mi stanął na przeszkodzie. Położenie moje bowiem było tego rodzaju, że mogłem ze spokojnym sumieniem odważyć się na wszystko w obronie własnego życia i towarzyszy.

Co za szczęście, że ten człowiek drżał o swą skórę! Byłem prawie przekonany, że około północy zaświta nam zupełna wolność! W ciągu popołudnia przyszło mi na myśl, czy przypadkiem ściana zewnętrzna nie posiada również szpar, i okazało się, że była to myśl wcale dobra. W okręcie nie było żadnego towaru i dlatego zanurzał się w wodę bardzo mało, wskutek czego zewnętrzna ściana w miejscu, w którym się znajdowaliśmy, wystawała ponad poziom i deski były rozeschnięte, a miejscami smoła poodpadała. Chwyciłem następnie rękojeść noża w zęby i co prawda z pewną trudnością udało mi się wydłubać maleńki otworek na świat. Przez tę dziurkę mogłem jednym okiem zobaczyć dość szeroki zakres. W łodzi pracowano ciągle, a nawet wywieszono w niej mały żagiel. Na wszelki wypadek zatkałem potem dziurkę tak, aby ktoś, wszedłszy do celki przed czasem nie mógł jej zauważyć.

Pod wieczór pofatygował się Ibn Asl do nas powtórnie i wywnioskowałem, że jest nas zupełnie pewny, bo zrewidował tylko mnie jednego i wyszedł, nie odezawszy się ani słowa. Całe szczęście dla nas, że nie zauważył noża, który z przeczności ukryłem w kącie poza Abu en Nilem. Kilkakrotnie kusiło mnie rozpocząć robotę, ale wstrzymywałem się do ostatniej chwili, bo możliwe było, że on jeszcze raz powróci. Wolałem przysunąć się do samej ściany i patrzeć przez dziurkę na Nil. Cienie drzew z lewego brzegu padały ukośnie, a więc słońce miało się już ku zachodowi i widocznie zbliżaliśmy się już do wioski Kwana. Niebawem zapadł zmrok, i, nie mogąc już dojrzeć niczego, odsunąłem się od ściany i położyłem się celem wypoczęcia.

Wedle rachuby zachodniej mogła być godzina ósma, gdy nasz spiskowiec objął ponownie wartę. Zamienił potem kilka zaledwie słów ze mną, upewniając, że się nie rozmyślił i że po nim przybędzie następca, któremu nie zaszkodzi choćby bardzo dotkliwa nauczka.

— Kiedy będziemy w maijeh? — spytałem.

— Zaraz po zmianie warty. Ja wyjdę natychmiast na brzeg i, gdyby tylko zaszło co nieoczekiwanego, postaram się ostrzec cię zawczasu. Dotychczas jednak wszystko w porządku. Broń leży w przedniej kajucie Ibh Asla.

Doczekaliśmy się nareszcie zmiany straży. Rozmawialiśmy po cichu, co nie uszło uwagi draba, bo wnet otwarł drzwi i począł wymachiwać w powietrzu rżemiennym batem, wymyślając nam przy tym od giaurów i psów chrześcijańskich. Musieliśmy milczeć. Niebawem dały się słyszeć na górze wyraźne głosy komendy. Biegano po pokładzie, puszczano liny, zwijano żagle. Widocznie zbliżaliśmy się już do maijeh. Po jakimś czasie zauważyłem, że okręt skręcił z głównego koryta w bok, a gdy wyjrzałem przez otworek w ścianie, było całkiem ciemno i nie dostrzegłem nawet gwiazd na horyzoncie, co znowu naprowadziło mnie na myśl, że wjechaliśmy zapewne pod baldachim

rozłożystych drzew, wznoszących się nad zatoką. Za chwilę rozjaśniło się. Na brzegu zobaczyłem ognisko, a tuż obok stał jakiś człowiek, który wołał głośno:

— Tutaj! Zrzućcie linę, a zaczepię ją o pień drzewa! Przystań była tak dogodna, że nie zarzucano nawet kotwicy, a tylko za pomocą lin przysunięto okręt nad sam brzeg, po czym spuszczone w dół drabinę, po której schodzili ludzie z pokładu.

Ściana, o którą się oparłem, przylegała do brzegu i mogłem przez dziurkę widzieć stosunkowo bardzo wiele, reszty zaś trzeba się było domyślać. Gdy okręt był już dostatecznie umocowany, zeszedli prawie wszyscy na dół i należało się spodziewać, że Ibn Asl raz jeszcze zaszczyca nas swą wizytą, i zaledwie to pomyślałem, zaskrzypiały schody od wewnątrz, ktoś zszedł, zapalił lampę i zapytał:

— Czy wszystko w porządku?

— Wedle rozkazu — odpowiedział strażnik — psy zaczęły między sobą szczekać, ale uspokoilem ich natychmiast za pomocą bata.

— Dobrze zrobiłeś. Wal ile wlezie.

Otworzył drzwi, oświetlił komórkę i obejrzał nas starannie, po czym odezwał się przez zaciśnięte zęby:

— Rozmówię się teraz z Omarem i losy wasze rozstrzygną się ostatecznie. Radzę ci, byś się przygotował na męczeństwo, które czeka cię jeszcze dziś.

— Mówisz jak dziecko — odpowiedziałem tonem pewności i powagi — co do mego losu, to nie zmienisz go ani na jotę i rozstrzygnęło się, co się miało rozstrzygnąć, bez twego współdziałania.

Ibn Asl parsknął głośnym śmiechem i zauważył:

— Trwoga odebrała ci rozum i pamięć, a odzyskasz to na powrót nie dalej jak za godzinkę i zaczniesz śpiewać na inną nutę.

:— Miałeś dziś wymowny dowód, co się stać może, jeżeli ktoś ma odwagę zmuszać mnie do — śpiewania...

— Raz ci się udało, ale drugi raz, no zobaczymy! Zaryglował drzwi, zgasił lampę i odszedł. Popatrzyłem teraz przez dziurkę na brzeg i spostrzegłem, że ludzie ścinali trzcinę i sitowie, ażeby mieć dogodne miejsce na rozłożenie się. Zapalono też więcej ognisk, co wywnioskowałem z cieni drzew. Nadeszła teraz długo oczekiwana chwila. Wydobyłem z ukrycia nóż i przyczołgałem się do Ben Nila tak, że, trzymając nóż w zębach, rozciąłem powróż na jego rękach. Była to najcięższa i najbardziej żmudna praca, bo łatwo można go było skaleczyć. Reszta poszła gładko i tak zręcznie, że stojący na straży ani nie spostrzegł, co się stało... Wolni już wszyscy trzej od więzów, wyprostowywaliśmy członki za pomocą ostrożnych ruchów i czekaliśmy na przybycie znajomego, niestety dopiero po upływie pół godziny zatrzeszczały schody i usłyszeliśmy jego głos:

— Słuchaj no! Nowiny, powiadam ci, niesłychane nowiny przyniósł Oram. Szkoda, że nie możesz

posłuchać.

— Diabli nadali wartość w tak ważnej chwili — odrzekł pełniący służbę. — Cóż tam takiego?

— Ów niewierny effendi mówił prawdę. Nasi towarzysze zostali istotnie schwytani, a ośmiu z nich zabito kolbami w walce.

— Allah niech zgubi reisa effendinę, a ten chrześcijański effendi otrzyma należyłą nagrodę od nas i nawet zbyteczną byłoby rzeczą przeklinać go. W jaki sposób zdołał się wymknąć Oram? Czy może w ogóle nie dał się schwytać?

— Gdzież tam, schwytano go, ale asakerzy nie związali go zbyt silnie i nad ranem zdołał wymknąć się im z rąk, a nawet zabrał im wielbłąda i oczywiście popędził co tchu w kierunku Hassanii, aby nas zawiadomić, ale spóźnił się biedak ledwie o kilkadziesiąt minut.

— A dlaczego nie pędził wprost do naszego obozu, tylko kołował w górę Nilu?

— Bo nie mógł inaczej. Tam właśnie ciągnęli asakerzy reisa effendiny, a schwytanych nowych towarzyszy nie odstawiono do Chartumu, jak chciał początkowo effendi, lecz do Hegazi. Tam asakerzy oczekują effendiego.

— Mogą sobie czekać do sądnego dnia, a zresztą doczekają się natomiast Ibn Asla, który niezawodnie pospieszy na pomoc schwytanym.

— Oczywiście.

— Mój kochany, możebyś mnie zastąpił tutaj przez chwilę, ofiaruję ci za to chętnie...

— Dajże mi pokój, stałem dopiero całe dwie godziny.

Po tych słowach wybiegł w górę. Dotrzymał więc przyrzeczenia, a ponadto udzielił mi w ten naturalny wprawdzie, ale nader dowcipny sposób bardzo ważnych wiadomości i dlatego przygotowałem dla niego umówioną nagrodę, mimo, że należał do moich wrogów i jako zły człowiek nie zasługiwał na to. Mogłem zresztą nie dotrzymać przyrzeczenia, ale niech tam wie, że chrześcijanin jest uczciwy i, co raz obieca, od tego się nie uchyli.

Rozmowa ostatnia zresztą była dla nas jeszcze pod innym względem korzystną. Zaintrygowany strażnik wystąpił wysoko na schody, aby chociaż coś niecoś podsłuchać, a ja tymczasem mogłem śmiało wyjść z komórki. Zupełnie inaczej mogłoby być się stać, gdyby człowiek ten czuwał tuż koło drzwi. Rygiel odsunąłem za pomocą noża jeszcze w czasie ich głośnej rozmowy, co uszło zupełnie ich uwagi, teraz łatwo już było o swobodę ruchów. Postępowałem tak zręcznie naprzód, a obaj towarzysze tuż za mną, że ani się spostrzegł, kiedy stanąłem tuż za jego plecami, i w chwili, gdy chciał zawołać na towarzyszy, aby go zastąpiono, chwyciłem go obydwoma rękami za gardło, a towarzysze związali go w okamgnieniu, po czym zakneblowaliśmy mu usta jego własnym fezem i, zaniósłszy go do komórki, zaryglowaliśmy za nim drzwi. Na pokład wyszedłem następnie sam i począłem nasłuchiwać i rozglądać się w około. Na nasze szczęście nie było na pokładzie żywej duszy. Wróciłem w dół, złożyłem w umówionym miejscu sakiewkę, a następnie w towarzystwie obu

współwięźniów wyszedłem na pokład i, czołgając się na brzuchu, aby nie dostrzeżono mnie, dotarłem do kajuty i nie bez pewnych trudności namacałem broń i zabrałem ją ze sobą.

— No, a co teraz? — pytał strwożony Ben Nil — Czy możemy zejść po drabinie na brzeg?

— Ba, chwyciliby nas z pewnością — zauważył Abu en Nil.

— Którędyż więc mamy się wydostać na świat, powietrzem?

— O, to właśnie. Najlepiej zrobimy, gdy damy susa w dół między nich. Postraszą się i, nim się połapią, co zaszło — nas już nie będzie.

— Zlituj się — zauważył Ben Nil — taki skok nie na moje nogi. Połamałyby się w kawałki.

— No, no — pocieszałem go — obejdzie się bez karkołomnego skoku, spuścimy się po linie i to nie między nich, lecz z przeciwnej strony, do łodzi, którą umkniemy tak dobrze, jak lądem i na własnych nogach.

— Allah, Wallah, Tallah! Co za przepyszna myśl! Ale — effendi, nic z tego nie będzie...

— No, a to czemu?

— Bo łódź znajduje się z tamtej strony, gdzie oni siedzą.

— Mnie się zdaje, że powinna być z przodu, bo tam ją przyczepiono, celem przyspieszenia szybkości statku. O ile sobie przypominam, nie ruszano jej w czasie wjazdu do majeh, a tylko odpięto żagle. Zobaczmy!

Poradziliśmy w przeciwną stronę okrętu od strony rzeki i istotnie domysły moje były trafne. Łódź wisiała na grubej linie tuż nad wodą. W ciemnicy nie mogliśmy dostrzec, czy znajdują się w niej wiosła, a tylko widniało coś białego.

— Co to? — zapytał Ben Nil nie bez trwogi.

— Prawdopodobnie żagiel, który dodano łodzi w czasie jazdy. Jeżeli to prawda, to niezawodnie będzie tam i maszt, a może nawet i wiosła.

Widziałem rano na przodzie okrętu wiązki pochodni, zrobione z palmowego łyka i żywicy. Zabrałem więc jedną z nich i wrzuciłem do łodzi.

— Na co ci to? — pytał Ben Nil.

— Zobaczysz później, teraz czas działania a nie rozmowy. Chwyć się liny i jazda w dół, a za tobą dziadek, ja ostatni!

Ben Nil zarzucił swą strzelbę na plecy, wyprostował się i pochylił następnie w dół, a w tej chwili dosłyszałem słowa Ibn Asla:

— Przynieście mi tu kubek raki, a żywo!

Jest to rodzaj wódki, którą muzułmanom wolno używać. Domyśliłem się z tych słów, że co najmniej dwu ludzi pobiegnie na pokład po raki i dlatego nalegałem na Abu en Nila:

— Prędej! Nie spostrzeżono nas jeszcze, ale w tej chwili dwu drabów wspina się po drabinie na pokład!

Musiałem przykucnąć, aby mnie natychmiast nie spostrzegli. Niestety, stary Abu en Nil guzdrał się tak niezdarnie, że pierwszy, który wyszedł na pokład, zobaczył go i poznał od razu, co się święci.

— Gwałtu! Jeńcy uciekają! Tu wszyscy, prędko! — wołał pierwszy, biegnąc równocześnie do nas, a za nim dwaj inni. Stary już się chwycił liny i spuścił się w dół, a ja na krawędzi przykucnąłem i w chwili, gdy trzech bandyci dobiegli do tego miejsca, zamachnąłem się kolbą tak silnie, że pierwszy padł od razu na pokład, drugiego dźgnąłem lufą w brzuch i w ten sposób również obezwładniłem, a trzeci już położył palec na języczku pistoletu, gdy nagle otrzymał potężny cios między oczy i runął jak długi. Trwało to wszystko ledwie parę sekund. Na brzegu wzmógł się niesłychany popłoch i zamieszanie, a część załogi wdzierała się po drabinie na pokład, spychając się i przeszkadzając jeden drugiemu. Tylko niezwykłej przytomności umysłu zawdzięczam ocalenie, bo każda sekunda miała ogromną wartość. Spuściłem się lotem ptaka do łodzi, odciąłem nożem linę, podczas gdy Ibn Asl wrzeszczał w górze jak buldog:

— Gdzie się podzieli? Zabili tych trzech!... Pewnie skryli się w kajucie! Psy! Łotry! Trzymać ich, nie puścić!...

Ja tymczasem najspokojniej w świecie odbiłem od okrętu. Wioseł było kilka. Chwycili je tamci dwaj, ja zaś stanąłem u steru.

— Pst! — szepnąłem do nich. — Sprawujcie się jak najciszej! Ibn Asl nie wie, gdzie jesteśmy. Żeby tylko umknąć na kilkanaście kroków, niech potem strzela! Ciemno jest i z pewnością nie trafi. Wiosłujcie więc do taktu, ale po cichu!...

Zrazu posuwaliśmy się wzdłuż okrętu, aby pozostać w cieniu, następnie skierowaliśmy się na pełną wodę i, znalazłszy się w bezpiecznym mniej więcej oddaleniu, zatrzymaliśmy się. Na brzegu nie pozostał ani jeden człowiek, wszyscy rzucili się na pokład i poczęli przeszukiwać zakamarki okrętu. Towarzyszył temu taki hałas i zamęt, że nie rozumiałem ani słowa. Możliwe, że znaleziono obezwładnionego strażnika, ale nas — nie! Po pewnym czasie nastąpiła zupełna cisza. Nie mogąc pojąć, gdziebyśmy się podzieli, naradzali się widocznie między sobą, bo zbili się w kupę.

Mogłem widzieć to wszystko, bo odległość między nami a okrętem nie wynosiła więcej nad trzydziestokrotną długość łodzi.

— Możebyś teraz udał głosy małpy — ozwał się Abu en Nil — jesteśmy wolni.

— Zaniecham tego, a natomiast spróbuję nawiązać rozmowę z Ibn Aslem i to bezpośrednio.

— Niech cię Allah uchwaja, wszak wywnioskuję stąd, gdzie jesteśmy, i każe strzelać z karabinów.

Jest wprawdzie dosyć ciemno, ale gdyby dali kilka salw, to mogłaby się zabłąkać do nas kula i uśmiercić którego z nas, a to wcale nie należy do przyjemności.

— Nie obawiam się i zobaczysz, że uśmiejemy się przy tej okazji.

Zwróciłem się twarzą w górę rzeki, pod wodę, przytknąłem obie dłonie do ust i jak przez tubę krzyknąłem głośno, wymawiając zwolna sylaby:

— Ibn Asl! Ibn Asl! Łapaj nas, trzymaj!

Słowa te odbiły się echem o wysoki, gesty las, który wznosił się wzdłuż brzegu, a mimo to nie straciły wyrazistości.

— To on, ten pies, ten psi syn! — zerwał się Ibn Asl — tam, w górze na wodzie! Widocznie zabrali nam łódź!

Zebrani na pokładzie zaczęli natychmiast przeginać się w dół celem przekonania się, czy istotnie łodzi brakuje, ja zaś ozwałem się znowu w sposób jak poprzednio:

— Tak jest, mamy twoją łódź. Teraz możesz nareszcie żądać ode mnie, bym śpiewał.

— Słyszycie? — ryczał wściekle Ibn Asl. — Zabrali nam łódź i są tam, sto kroków w górze. Strzelać, hej, strzelać, a wszyscy!...

Rozległ się odgłos kilkunastu strzałów w kierunku zachodnim, podczas gdy my znajdowaliśmy się w stronie południowej. Teraz zwróciłem się twarzą ku wschodowi i, siląc się na głośny śmiech, krzyknąłem:

— Źle strzelacie! Całkiem źle!

Słowa te odbiły się znowu z innej strony i wszyscy skierowali się w tym kierunku, a Ibn Asl komenderował:

— Nie tu, lecz tam są, celujcie do nich tam w dół rzeki! Znowu padło kilka strzałów i oczywiście bez skutku, po czym raz jeszcze buchnąłem śmiechem w stronę poprzednią, co wprowadziło wszystkich w osłupienie, a Ibn Asl darł się na całe gardło:

— Diabła ma w sobie, wiedziałem o tym już dawno. Patrzcie, on znowu tam w górze!

Nie spodziewałem się sam, że uda mi się tak wyborny kawał, który wprowadził nas wszystkich trzech w znakomity humor, niestety nie na długo. Byliśmy wprawdzie zabezpieczeni już od kul, ale wskutek nieznajomości okolicy, nasuwały się nie bardzo wesołe myśli. Szło mianowicie o wyszukanie miejsca, którędy możnaby wydostać się z majeh, lecz żaden z nas pojęcia o tym nie miał. Wejście do tego zacisza było, jak słyszeliśmy przedtem, zarośnięte tak bardzo, że nawet w biały dzień trudno je było odnaleźć, a cóż dopiero teraz w nocy ciemnej, że oko wykol! A oprócz tego należało się obawiać krokodyli i hipopotamów, których pełno w górnym Nilu, zwłaszcza w miejscach zacisznych.

Na szczęście stary Abu en Nil znał dosyć okolice tej osobliwej rzeki i dowiedziałem się od niego, że powyżej wsi Kwany przybiera ona kierunek północno–zachodni, postanowiłem więc kierować się w tę stronę. Po jakimś czasie spostrzegliśmy nad głową gwiazdny pas nieba między wysoko wznoszącymi się ścianami lasu. Pas ten zwiężał się coraz bardziej, aż wreszcie znikł i mieliśmy nad głową znów baldachim gałęzi i liści.

— Ściągnąć wiosła! Prawdopodobnie jesteśmy już u wyjścia z zatoki. Przypuszczam, że musi tu być chociaż słaby prąd i ten uniesie łódź na właściwą drogę najpewniej.

— O, to niebezpieczna rzecz — ostrzegał sternik — jeżeli zawadzimy o co i łódź się wywróci, to zjedzą nas krokodyle.

— Ale my nie zderzymy się z niczym, zobaczysz. Dobyłem w tej chwili wiązkę, zabraną z okrętu, zapaliłem jedną z pochodni i dałem ją Ben Nilowi, by ją umocował na dziobie łodzi, nie troszcząc się już o to, czy Ibn Asl zauważy światło, czy nie.

Przy świetle spostrzegłem, że znajdowaliśmy się pod olbrzymimi drzewami, których pnie, jak zmierzylśmy wiosłami, były w wodzie jakie półtora metra. A zatem nie było to wejście do majeh. Zatrzymaliśmy się koło jednego pnia na chwilę. Zerwałem w tym czasie garść liści i wrzuciłem na wodę — popłynęły. Puściliśmy się więc ostrożnie w tym kierunku to jest skęciliśmy całkiem na lewo i natrafiliśmy na szerszy prąd. Woda była tak głęboka, że wiosło nie dostawało wcale dna, a ponadto kręciła się tu i ówdzie nieznacznie.

— Zbłądziliśmy — twierdził Ben Nil — musimy zawrócić.

— Mylisz się, wnuku — zaprzeczył Abu en Nil — woda się kręci w tym miejscu dlatego, ponieważ tuż niedaleko przepływa główny prąd rzeki, ale nie widzimy nic, bo rośliny zasłaniają. Trzeba więc przedostać się stąd przez ten wir koniecznie.

Ba, ale gdzie? W każdym razie na wprost, bo z jednej i drugiej strony wznosiły się drzewa, których wierzchołki były tak omotane pnącymi roślinami, że łączyły się z sobą, w wielu miejscach tworząc niejako mosty ponad powierzchnią wody. Rozglądając się bacznie, zauważyłem, że tu i ówdzie rośliny były powyrywane i połamane gałęzie, co naprowadziło mnie na domysł, że tędy właśnie płynął nokwer Ibn Asla.

— Tędy! — ozwałem się — chwycie wiosła, znam już drogę!

Przeprawiliśmy się całkiem swobodnie i lekko przez tę szyję i ujrzeliśmy nagle otwartą rzekę, a ponad głowami jasne gwiazdziste niebo.

— Allahowi niech będą dzięki! — odetchnął sternik. — Już ogarniała mnie trwoga, bo gdybyśmy byli nie znaleźli wyjścia, to mógł nas Ibn Asl dogonić i schwytać na nowo.

— Nie tak łatwo — odrzekłem. — Nie natrafiwszy na rzekę, byłibyśmy w ostatecznym razie wylądowali i skryli się w gąszczu leśnej, i niechby nas Ibn Asl szukał do sądnego dnia. No, ale lepiej w każdym, razie, że wypłynęliśmy na pełną rzekę i mamy teraz wolną drogę do reisa effendiny.

— Gdzie chcesz go szukać? Myślisz, że on jeszcze siedzi koło dżezireh Hassania?

— Tego, to ja już wiedzieć nie mogę dokładnie. Przede wszystkim musimy się bardzo spieszyć. Skąd mamy dziś wiatr?

— Prawie prosto z południa.

Wiatr ten jednak był tak lekki, że ledwie mogliśmy zauważyć dokładnie jego kierunek, ale mimo to dogadzał nam doskonale. Wznieśliśmy zaraz maszt i rozpięli żagiel. Ponieważ stary Abu en Nil był już dosyć zmęczony, posadziłem go u steru, a sam z Ben Nilem zabrałem się do wiosła.

— Czy nie lepiej trzymać się środkiem rzeki? — zapytał stary.

— Nie.

— Dlaczego? Przecież tam mielibyśmy pełny wiatr.

— Prawda, ale moglibyśmy łatwo rozminąć się z resem effendiną.

— Sądzisz naprawdę, że on płynie w górę rzeki?

— To nie, ale możliwe, że ukrył się gdzieś na brzegu, a zresztą niechby sobie był, gdzie mu się podoba, przypuszczam, że na wszelki wypadek rozstawił czujną straż na dalekiej przestrzeni. Dlatego zabrałem zapas pochodni, aby nas łatwiej spostrzeżono.

— Dobrze więc, proszę cię tylko, pozwól mi sterować tak, abyśmy gdzie niegdzie zbliżali się do brzegu. Znam wybornie wszystkie przystanie okrętów, jak również miejsca, skąd roztacza się szeroki widok na rzekę i okolicę.

Oczywiście zgodziłem się na to. Ale niestety, czyż możliwe było wywnioskować, gdzie reis effendina znajduje się w tym czasie? Że odkrył ciepłe jeszcze gniazdo handlarzy niewolników, to prawda, mógł również dowiedzieć się od załogi zatrzymanego tamże okrętu o kierunku ucieczki całej bandy. Przypuszczałem więc, że powrócił natychmiast do Hegazi, wsiadł na „Sokoła” i pożegłował na południe. Jeżeli przypuszczenie to było trafne, to mogliśmy spotkać się z nim w drodze, bądź też rozłożył się gdzieś w wieczór na takim miejscu, skąd można mieć na oku całą rzekę i oczywiście nie przepuścić żadnego statku bez należytej kontroli czyli, że zatrzyma nas z pewnością.

Płynęliśmy o wiele prędzej, niż rankiem w górę Ibn Asl, bo sprzyjał nam wiatr, a oprócz tego niósł nas prąd i w dodatku mieliśmy wiosła; niestety łódź była za wielka. W mniejszej bylibyśmy jeszcze znacznie przyspieszyli podróż, mimo to od chwili odbicia od okrętu nie upłynęła nawet godzina, gdy dotarliśmy do Kwany. We wsi tej znajdował się podówczas składy rządowe rozmaitych zapasów żywności. Każdy okręt, zdążający w górę Białego Nilu, zaopatrywał się tu w niezbędne artykuły, bo im dalej w górę, tym droższa żywność i tym trudniej ją nabyć.

Zatrzymaliśmy się tu na krótki czas, by zasięgnąć wiadomości od harisa el miszrah\*, czy nie przepłynął tędy okręt reisa effendiny. Otrzymaliśmy odpowiedź przeczącą, wobec czego powiosłowaliśmy natychmiast w dalszą drogę.



Noc na Nilu! W duszy poety wywołałaby ona prawdziwe natchnienie, lecz nie dla mnie były w tej chwili poetyckie nastroje.

W ciągu ostatnich nocy spałem bardzo mało, byłem ogromnie znużony, a tu na dobitek trzeba było wiosłować! Tak samo i Ben Nil poruszał wiosłami jak automat i prawdopodobnie spał podczas tej pracy. Nie odzywał się też stary Abu en Nil. Wprawdzie nie miał on poza sobą tyle przeżyć, co my, ale milczenie jego miało zgoła inne powody. I gdy go o to spytałem, rzekł:

— Nie jestem wcale zmęczony, effendi, a tylko odbiera mi humor pewna dosyć poważna troska. Jestem przecież dezenterem.

— Ach, obawiasz się więc reisa effendiny?

— Oczywiście. Schwycił mnie przecie wówczas na okręcie niewolników i, gdybyś mi nie dopomógł w ucieczce, czekała mnie z pewnością dotkliwa kara. Obecnie nawijam się znowu przed oczy temu surowemu panu i kto wie, co będzie ze mną. Ciężko mi wypowiedzieć, effendi, ale... puść mnie jeszcze raz na wolność, pozwól mi wysiąść z łodzi na najbliższym przystanku!

— Chcesz się dostać z powrotem na swój okręt?

— Ba, ale nim do niego zdążę, będę z pewnością uwięziony.

— No dobrze, ale zważ, że byłbyś sam jeden bez żadnych środków, nie masz przy sobie niczego. W jakiż sposób dałbyś sobie radę w dzikiej okolicy?

— Zabiorę Ben Nila.

— O, nie! — przerwał wnuk — Jesteś ojcem mego ojca, a Allah przykazał czcić i szanować cię należycie. W tym wypadku jednak muszę ci odmówić posłuszeństwa, bo jestem sługą effendiego i nie odważyłbym się nigdy pozostawić go samego.

— Synu mego syna, kto by to pomyślał o tobie! Czy wyprzesz się krwi, która w żyłach twoich płynie? Śmiałyś sprzeciwić się prawu, które nosi każdy człowiek w głębi swej duszy?

— Mnie się zdaje, że miłość dla ciebie i wierność dla effendiego dadzą się ze sobą pogodzić najzupełniej. Nie musisz wcale odłączać się od nas. Znam effendiego i wiem, że otoczy cię swą opieką.

— Ba, ale to przechodzi jego siły.

— Nie należy w to wątpić! On może wszystko, co tylko chce.

— No, ja ci znowu nie przyrzekam więcej, niż mogę — wtrąciłem — zapewniam cię jednak, mój Abu en Nilu, że nie powinienes się obawiać. Reis effendina przebaczy ci to, co już minęło.

— O, effendi, gdyby to było prawdą, na klęczkach złożyłbym mu podziękę, bo musisz wiedzieć, że ja nie jestem tak złym, jak ci się wydaje.

— Wiedziałem o tym i dlatego udzieliłem ci wówczas pomocy.

— Nikt już nie ujrzy mnie na pokładzie okrętu handlarza niewolników.

— Wierzę ci i wstawię się za tobą do reisa effendiny.

— Effendi, ty wlewasz balsam na rany mojej duszy i jeżeli mi daruje reis effendina, to łatwiej uspokoi się moje sumienie. Nie będę się już obawiał nikogo i śmiało będę mógł spojrzeć w oczy każdemu, a nawet wrócić do ojczyzny, pewny, że nie grozi mi żadna kara. Ty uratowałeś mi już raz życie i przeczuwam, że gdyby mnie coś istotnie groziło, to nie brałbyś mnie z sobą do reisa effendiny. Cóż ja mu jednak odpowiem, gdy mnie zapyta, w jaki sposób wówczas uciekłem? — Wyznaj mu całą prawdę!

— Ba, ale on w takim razie pogniewa się na ciebie.

— Nie sędzę, zresztą twój wnuk wyświadczył mu tyle przysług w ostatnich dniach, że może tylko mieć wdzięczność nie tylko dla niego, ale i dla ciebie i oczywiście przebaczy ci bez wahania.

To uspokoiło go zupełnie i od tej chwili, że tak powiem, rozwiązał mu się język. Opowiadał mi stary tyle przygód i rozmaitych przejść, że doprawdy miło mi było słuchać, chociaż nieraz ze zgrozą, tego wszystkiego. A droga nasza była długa i monotonna.



# Rozdział III

## Febryczne bagno

Prowadziliśmy bardzo ożywioną rozmowę w czasie tej nocnej podróży, co nam jednak nie przeszkadzało uważać na każdy szczegół po drodze. Skoro tylko zauważyliśmy jakiś przedmiot, podobny łudzaco do okrętu, stawaliśmy natychmiast, niestety trudno było spotkać choćby żywego ducha. Wypalił się powoli cały zapas pochodni i w końcu brakło nam światła. Musieliśmy więc płynąć po ciemku. Nad ranem wiatr dał silniej, wskutek czego łódź posuwała się bardzo szybko i przez dłuższy czas ani ruszyliśmy wiosłami, zwłaszcza gdy się nadarzył bystry prąd rzeki.

Okolo piątej godziny rano przybyliśmy na miejsce, gdzie obozował wczoraj Ibn Asl. Zatrzymanego przezeń okrętu już nie było. Wyszliśmy do obozowiska w nadziei, że spotkamy kogoś, niestety daremnie. Nie pozostawało nam nic innego, jak tylko płynąć jeszcze dalej do Hegazi. Gdybyśmy i tam nie zastali reisa effendiny, to albo rozminęliśmy się z nim w drodze albo też cofnął się do Chartumu. W tym ostatnim wypadku troska o moją karawanę spadała wyłącznie na mnie.

Popłynęliśmy więc i w pobliżu Hegazi zauważyliśmy małe światełko, a że poczęło już szarzyć, dostrzegłem po dobrym wpatrzeniu się, że światełko to mieści się na statku, stojącym w miszrah. Rozróżniłem następnie kontury okrętu z trzema pochyłymi masztami; był to „Sokół”, którego tak troskliwie poszukiwaliśmy przez noc całą. Popłynęliśmy oczywiście ku okrętowi, lecz w tej chwili dał się słyszeć z pokładu alarmujący głos:

— Łódź, po lewej burcie!

Chciałem zażartować i dałem znak towarzyszom, by udawali, że nic nie słyszą, i skierowaliśmy umyślnie w bok niby z zamiarem ucieczki, gdy w tym krzyknął ktoś z pokładu, bynajmniej nie w żartobliwym tonie:

— Stać, bo strzelam!

A równocześnie ozwał się na pokładzie dzwonek alarmowy. Wiedziałem, że skoro warta da taki znak, to w przeciągu kilku minut cała załoga jest w pogotowiu do walki i dlatego żart mój mógł spowodować bardzo nie mile następstwa. Skierowaliśmy więc łódź w kierunku statku.

— Przybić do okrętu — brzmiały gromkie słowa z pokładu — i nie ruszać się!

Usłuchaliśmy, a na górze wszczął się bardzo ożywiony ruch. Niebawem zapytano nas:

— Czyja to łódź?

Poznałem po głosie reisa effendinę i, żeby on mnie również nie poznał, kazałem Ben Nilowi odpowiedzieć:

— Z „Jaszczurki”.

Odpowiedź ta wprawiła go w zdumienie.

— Wejść na pokład w tej chwili! — zawołał głosem podniesionym.

Wiadomo było mu zapewne, że to właśnie statek pod nazwą „Jaszczurka” umknął wczoraj z przystani koło dżezireh i teraz pomyślał, że dowie się coś bliższego o całej sprawie. Na pokładzie pozapalano wiele latarń, ja zaś, chcąc się trochę podroczyć, wypchnąłem sternika na zrzucaną nam powrozową drabinę, zostając z Ben Nilem na dole. Stary krzywił się co prawda, ale rad nierad polazł pierwszy i, gdy już wy dostał się na pokład, usłyszałem słowa reisa effendiny:

— A no jest już jeden! Ale poczekaj... Widziałem już gdzieś tę twarz... Kto by to mógł być? Słuchaj, dobrodzieju, gdzieśmy się to widzieli?

Powitanie to przeraziło starego do tego stopnia, że prawie oniemiał i nic nie odpowiedział.

— Jeżeli się nie mylę — mówił reis effendina dalej — to imię twoje brzmi Abu en Nil. Nieprawdaż?

— Tak jest, effendi — jęknął stary drżącym głosem.

— Widzieliśmy się w Gizeh, co?

— Tak, effendi, w Gizeh...

— Nazywaj mnie emirem. Wiesz przecie dobrze, że mam prawo do tego tytułu. Byłeś sternikiem na dahabijeh es Semek, którą wówczas skonfiskowałem, no gadaj!

— No, tak, byłem.

— I uciekłeś mi, ty jeden z całej załogi... Wiem już... Miło mi dobrodzieja powitać... Hej, związać draba i wrzucić do ciemnicy!

— Emirze, nie trzeba mnie wiązać — błagał stary — nie jestem twoim wrogiem i przybyłem dobrowolnie.

— Jak to? Przecie mój żołnierz z warty chciał już strzelać do ciebie. Kłamiesz, starcze, o tej swojej dobrej woli. Gdzie znajduje się teraz „Jaszczurka”?

— W Maijeh es Saratin.

— Nie znam takiej miejscowości! Cóż tam „Jaszczurka” ma do roboty?

— Schowała się przed tobą.

— A zatem ma nieczyste sumienie, skoro musi chować się przede mną. Czego ona szukała koło

dżezireh Hassanii?

— Ciebie chciała schwytać.

— Mnie, mnie chciała schwytać? Do diabła, jesteś bardzo otwarty. Kto jest reise „Jaszczurki”?

— Nie ma tam reisa. Komenda spoczywa w ręku samego właściciela, Ibn Asla.

Imię to wywołało wśród całej załogi wielkie poruszenie, nawet sam reis effendina był niemało zdumiony.

— Czy mi się nie przesłyszało? Ibn Asl, powiadasz? Ten najsłynniejszy rabuś niewolników znajduje się na pokładzie „Jaszczurki”? Zaczynam teraz pojmwować. Ten psi syn zastawił na mnie pułapkę. Prawda to? Mów!

— Tak, emirze, zgadłeś. Miałeś być spalony razem z okrętem i załogą za pomocą nafty.

— *Allah kerim!* Bóg jest łaskawy, bo mnie natchnął, bym obrał drogę lądem. To stąd pochodziły beczki! W tej chwili ruszymy dalej, a ty musisz nas zaprowadzić do maijeh es Saratin! Spalić mnie chciał razem z ludźmi i okrętem! Żeby ci jednak dać przedsmak tego, co cię czeka, otrzymasz na razie kije. Azis, zwiąż mu nogi i wymierz dwadzieścia plag w podeszwy!

Ostatnie słowa wypowiedział do swego ulubieńca, młodego człowieka, który właśnie stał obok, trzymając w ręku potężny bykowiec, zrobiony ze skóry hipopotama. Młodzieniec ten był zawsze na zawołanie, ilekroć zaszła potrzeba wymierzenia komuś plag. A że Abu en Nil pamiętał go dobrze jeszcze z pod Gizeh i wiedział, że nie ma z nim żartów, dlatego złożył dłonie jak do modlitwy, błagając:

— Emirze, nie każ mnie chłostać, jestem niewinny!

W tej chwili wydrapał się na pokład Ben Nil i rzekł do emira:

— Nie powinieneś go bić, emirze, bo to mój dziadek, który zresztą wcale przed tobą nie skłamał.

— Co? Ty tutaj? Ty, Ben Nil? Cóż ty robisz w towarzystwie łowcy niewolników?

— Tym nie był on nigdy. Że przez krótki czas pełnił obowiązki sternika na okręcie łowców, to jeszcze nie wielka wina, poświadczy to zresztą mój effendi.

— A gdzież ten twój effendi jest?

— Idzie już — odpowiedziałem, skacząc przez poręcz. — Otóż i on!

Z piersi wszystkich wyrwał się jeden okrzyk zdziwienia i radości. Emir cofnął się o krok w tył i prawie oniemiał, lecz po chwili otworzył szeroko ramiona i postąpił ku mnie, wołając:

— Effendi! Jakże się cieszę, jakże niezmiernie się cieszę! Pójdź w moje objęcia, niech cię

przycisnę do serca!

Radość jego była zarówno wielka jak i szczerą i ja również omal się nie rozrzewniłem. Przystąpili też natychmiast do mnie obaj oficerowie, stary onbaszi i wielu innych, ściskając mi ręce serdecznie. Jeden tylko stał dłuższy czas na uboczu i, dopiero gdy już wszyscy powitali się ze mną, roztrącił ich i stanął naprzeciw. Była to postać chuda z długimi członkami jak u małp i ogromnie komiczna.

— Effendi, o effendi — jęczał i skomlał: — dusza moja pełna jest rozkoszy, a serce wyskoczyć mi chce z piersi i oko w głowie rzuca się z radości, że cię znowu ujrzało. Tęskniłem do ciebie jak zakochana żona do męża. Bez ciebie życie jest dla mnie ciemne, jak w garnku odwróconym dnem do góry, i przykre, jak but do nogi niedobrany. Nikt o mnie się nie troszczył, nie pamiętał, nie zwracał uwagi na moje słowa. Dzielność moją psy zjadły, a odwaga wyschła, jak plama dziegiu na rękawie mej szaty. Aż oto przechodzi przez moje kości rozkosz i czuję, że moje przymioty odżyją na nowo i zagrają wszystkimi kolorami tęczy, jak bańka mydlana, i...

— Prysna — przerwałem, podając mu rękę, i cofnąłem się o krok w tył w obawie, by mnie nie chwycił w ramiona, którymi dwa razy mógł mnie opasać.

Człowiek ten, podobny do szubienicy, był moim drugim służącym i nazywał się Selim. Zostawiłem go u reisa effendiny przed wyprawą do Fessarów, bo zawsze robił wszystko odwrotnie, niż należało, i mógł mi nieraz być poważną przeszkodą w rozmaitych przedsięwzięciach.

— Effendi — rzekł do mnie, robiąc pociesznie czułą minę — żebyś ty wiedział, jak ja się tu sprawowałem przez cały czas! Byłem dla nich wszystkich świecznikiem i wzorem cnót wszelakich i zapewne takiego wzoru nie znajdą już nigdy w życiu...

— W jedzeniu — przerwał mu któryś. — O, w tym ma bestia talent. Jeść, pić, palić tytoń, spać i chełpić się umie doskonale, lecz poza tym...

— Milcz! — zgromił go drażal — usta twoje są źródłem, z którego mętna płynie woda. Bardzo żałuję, effendi, że nie miałeś sposobności widzieć mnie choćby na przykład wczoraj, gdyśmy ciągnęli w kierunku dżezireh Hassanii w pościgu za handlarzami niewolników. Moja postać przewyższała wszystkich, a w sercu czułem taki ogień zapału i męstwa, że, że... ale co tu wiele gadać. Łowcy niewolników już na sam widok mojej osoby uciekli co sił, a emir mnie jedynie ma do zawdzięczenia, że...

— No dosyć, dosyć — przerwałem mu — mamy ważniejsze rzeczy do omówienia, niż twoje przechwałki.

— Otóż to — dodał emir — idź stąd! — a do mnie: — Jestem bardzo ciekaw, dlaczego udałeś się do Hegazi, a nie do Chartumu, skąd wzięłeś się w towarzystwie tego oto sternika z bandy rabusiów, no i w końcu, gdzie twoi żołnierze?

— Asakerzy zostali w tyle i przyprowadzą ci niebawem całą gromadę łowców niewolników, których schwytałem.

— Znowu sprzyjało ci szczęście? Udało ci się może co z bandą Ibn Asla? Effendi, ty się w czepku urodziłeś. Ja, niestety, od Wadi el Berd nie wyłowilem nic

— No, to pociesz się, bo jeżeli nie pomylę się w rachubie, to już jutro będziesz miał w rękę samego Ibn Asla.

— Naprawdę? Gdzie on się znajduje?

— W maijeh es Saratin, jak ci wspomniał Abu en Nil.

— Gdzie to jest?

— Powyżej wsi Kwana.

— Byłeś aż tam? Nie, doprawdy wierzyć nie mogę.

— Byłem przedwczoraj, nim jeszcze tu przybyłeś, w Hegazi i koło dżezireh Hassanii, gdzie Ibn Asl schwytał mnie.

— Schwytał... — słowo zamarło mu na ustach i dopiero po chwili dodał: — Effendi, bierzesz mnie na kawał...

— Nie, emirze.

— Domyślałem się, że jesteś w zachodnim stepie, a ty tymczasem, Allah wie którądy, rozbijasz się za Ibn Aslem, którego szukam nadaremnie.

— Rzecz zupełnie prosta, opowiem ci, tylko rozkaż swoim ludziom, by byli cicho! Pożądane jest dla nas, by w Hegazi nie dowiedziano się o niczym, co się tu dzieje, bo Ibn Asl ma tu swoich szpiegów. Tutejszy szejik el beled na przykład jest z nim w porozumieniu.

— Masz na to dowody?

— Wiedział on doskonale, że Ibn Asl urządził na ciebie zasadzkę i nawet pomagał mu w tym zbrodniczym przedsięwzięciu, bo ofiarował konia do dyspozycji strażnikowi, który tu oczekiwał twego przybycia i miał o nim zaraz donieść Ibn Aslowi.

— I ty wiesz o tym wszystkim, człowieku, ja nie wytrzymam dłużej... Musisz mi wszystko opowiedzieć dokładnie. Chodź do mojej kajuty, a tego sternika z bandy łowców trzeba zwięzać i wtrącić do aresztu!

— Nie, emirze! To dobry, uczciwy człowiek i polecam go twoim względom. Objasnię cię później, a tymczasem każ im dać posiłek obydwu, bo od wczoraj nie mieliśmy nic w ustach!

— A więc jesteś głodny i ty? Ależ chodź czym prędzej do mojej kajuty, będziesz miał, czego tylko dusza twoja zapagnie!



Powiedziałem emirowi, by kazał pogasić światła na pokładzie i masztach, po czym zesliśmy do wspaniale urządzonej kajuty, gdzie usługiwał nam Azis. Emir kazał przynieść wszystkiego, co tylko było w zapasie, nie brakło nawet paru flaszek wina, ponieważ emir dał sobie dyspensę od przepisów korami co do tego napoju. Spożywałam z wielkim apetytem, co Azis podał, i opowiadałem reisowi effendinie zajścia ostatnich dni, co chwilami wprowadzało go w niemałe zdumienie. Słuchał z natężoną uwagą i przerywał wykrzyknikami podziwu i zachwytu. Opowiadanie moje było jednak bardzo treściwe i pobieżne, emir zaś chciał wiedzieć najdrobniejsze szczegóły i natarczywie domagał się tego.

— Kiedy indziej — odpowiedziałem — bo teraz nie ma na to czasu. Przed dniem jeszcze musimy wyruszyć w drogę.

— Kto, gdzie?

— No, ja, ty i Ben Nil. Wsiądziemy do łodzi, którą tu przybyliśmy, i powiosłujemy kawałek w górę rzeki; będę miał dosyć czasu opowiadać ci dalej w czasie jazdy. Mam pewien plan, który trzeba wykonać zaraz i to w ten sposób, że musisz udać się ze mną. Dobrze by było, gdybyśmy tylko trzej w drogę udać się mogli, niestety ja i Ben Nil jesteśmy tak pomęczeni, że nie moglibyśmy wiosłować. Zechcesz więc odkomenderować do tego dwu silnych marynarzy.

A no, dobrze. Jesteś nadzwyczaj tajemniczy, że jednak jestem przekonany o twoich zdolnościach i że nie przedsięwzięsz niczego bez należytych ku temu powodów, posłucham cię, ale przyznam się, że gdyby kto inny czynił mi podobną propozycję, podejrzewałbym go o nieuczciwe zamiary względem mnie. Moznaby mnie przecież przy tej sposobności wydać w ręce Ibn Asla tak łatwo...

— Sądzę, że istotnie możesz na mnie polegać. Ale zmień uniform, aby nas nie poznano po drodze, gdy będziemy wracali! To rzecz niemałej wagi.

Emir przebrał się natychmiast po cywilnemu, a ja zabrałem ze stołu trochę żywności do torby i następnie wyruszyliśmy w drogę.

Na wschodzie rumieniła się już zorza poranna, gdy odbiliśmy od okrętu. Dwaj marynarze wiosłowali pilnie, a ja siedziałem obok Ben Nila a naprzeciw emira, który był ogromnie zdenerwowany z łatwo zrozumiałych powodów. Nie trzymałem go też zbyt długo w niepewności i wtajemniczyłem go dokładnie w cały plan, tym bardziej, że czasu ku temu było dosyć. Nim dobiliśmy na miejsce, gdzie obozował przedtem Ibn Asl, emir udobruchał się na dobre i przejął się moimi myślami bardzo żywo. Wylądowawszy, usiedliśmy pod drzewem na brzegu i w tej chwili rozkazałem, by obaj marynarze wrócili pieszo do Hegazi, ale tak ostrożnie, aby ich nikt po drodze nie zauważył. Odeszli natychmiast, a reis effendina pytał niemało zdziwiony:

— Jesteś ciągle zagadkowy do niemożliwości. Czy my nie będziemy wracali łodzią do Hegazi?

— Ja z Ben Nilem — tak, ale ty nie.

— Co? Chcesz, żebym pieszo biegł taki kawał drogi?

— Zgadłeś, a powód ku temu wytłumaczę ci później, teraz zaś chciałbym się dowiedzieć, co myślisz o całej sprawie.

— Przede wszystkim jestem zdumiony w najwyższym stopniu. Ty, effendi, jesteś istotnie człowiekiem, który...

— Daj pokój — przerwałem mu — co o mnie myślisz w tej chwili, to rzecz uboczna.

— My wszyscy zawdzięczamy tobie życie, ale mimo to nie możesz żądać, aby...

— Abyś bodaj przez krótki czas przynajmniej milczał, tego mogę żądać śmiało od ciebie. Czas bardzo drogi i musimy się zająć tym, co najpilniejsze. Przypuszczam, że masz chęć pochwytać Ibn Asla?

— Naturalnie. Przysięgam na Allaha, że nie dziś, to jutro...

— Powoli tylko z przysięgami! Bo człowiek nie jest panem rozmaitych okoliczności. Nieraz bardzo nieznaczny błąd może zniweczyć olbrzymi zasób pracy i zabiegów. W jaki sposób chciałbyś schwycić opryszka?

— W sposób najprostszy. Pojadę do maijeh es Saratin i tam go napadnę.

— Ale jego tam z pewnością już nie ma. Jestem przekonany, że zaraz po naszej ucieczce opuścił tę kryjówkę, i miał ku temu bardzo ważne powody. Po pierwsze nie czułby się tam już bezpiecznym, bo miejsce to jest mnie wiadome, po wtóre musiał pospieszyć z pomocą swemu ojcu i poddanym, będącym u mnie w niewoli, i jestem pewny, że popłynął w dół Nilu zaraz po naszej ucieczce.

— W takim razie nie pozostaje nam nic innego jak tylko wyruszyć naprzeciw...

— Aby go nie spotkać — przerwałem.

— Przeszukamy wszystkie zakątki wzdłuż Nilu.

— I podczas gdy się tam zajmujemy, on najspokojniej w świecie pomaszeruje przez step w kierunku mojej karawany.

— Za krótki czas na to.

— Bynajmniej. Wie on dobrze, że go szukasz i że ja popłynąłem na pewno naprzeciw ciebie, aby cię wezwać do maijeh. Dlatego wykorzystał noc i udał się, o ile mógł, jak najdalej w dół, skrył gdzieś swój okręt w zaroślach, a z załogą pomaszerował naprzeciw naszych asakerów.

— Rozumiem już teraz. Zaalarmuję żołnierzy i poprowadzę ich w kierunku karawany, by jej bronić natychmiast. Ty oczywiście będziesz mi towarzyszył.

— Nie, ja z Ben Nilem pojadę naprzeciw karawany, podczas gdy ty urządzisz zasadzkę na Ibn Asla.

— Dlaczego nie obaj razem?

— Bo w tym wypadku nie dostalibyśmy Ibn Asla, który obecnie znajduje się ze swoimi ludźmi powyżej nas. Wyprzedziliśmy go więc, a gdy tu się pojawi i zauważy nasze ślady, będzie ostrożny i zostanie.

— Jeżeli jednak zechce ratować swego ojca, to mimo wszystko nie zaniecha wyprawy i może na nas napaść z tyłu.

— Nie zdobędzie się na to, ceni on bowiem więcej własną wolność, niż życie ojca i ludzi zabranych do niewoli. Słyszałem to z własnych jego ust. Możliwe zresztą, że wyprawi przeciw nam oddział łowców niewolników, ale ręczę za to, że osobiście nie zdecyduje się na nic, bo to tchórz ostatniego gatunku. Chyba że w ostatecznym razie zdobędzie się na jakiś fortel, którego bądź co bądź lekceważyć nam nie wolno, gdyż pod tym względem ma gałgan pewne zdolności.

— Hm, posłuchaj! Jeżeli wybiorę się naprzód i pozostawię go w pewnym oddaleniu, to bardzo jest możliwe, że napadnie na karawanę, a pomoc z naszej strony mogłaby być spóźnioną.

— Co do karawany, to wcale nie bałbym się o nią, gdybym tam był na miejscu. Wiem na pewno, że nie zdołałby jej zwyciężyć, ale mam na myśli zupełnie co innego. Nieraz już udało mi się podstępem uzyskać tyle, ile nie zdołałbym nawet bardzo znaczną przemocą i gwałtem, i zresztą miałeś sam liczne tego dowody. Otóż chciałbym podstępem własnym podejść Ibn Asla i, jeżeli tylko nie popełnię jakiego błędu w planie, ręczę z góry za pomyślny skutek.

— Cóż więc obmyśliłeś?

— Zastawić pułapkę. Wiesz o tym zapewne, że znajomość pola walki jest dla każdego wodza rzeczą bardzo ważną, bo od niej w znacznej części zależy zwycięstwo lub klęska. Tak na przykład, gdy wódz zwabi nieprzyjaciela w miejsce, gdzie wszystko zostało należycie do walki przygotowane, to może być pewnym powodzenia. W tym przypadku gdybyś poszedł w otwarty step, to nie wiedziałbyś, gdzie szukać wroga, i nie miałbyś pojęcia, wśród jakich okoliczności przyjdzie do potyczki. Otóż, aby tego uniknąć, wyznaczymy z góry miejsce i będziemy go tam oczekiwali.

— Czy tylko zechce tam przyjść!

— Że istotnie ściągniemy go tam, w tym już moja głowa.

— Obrąłeś już takie miejsce?

— Bardzo dogodne, a mianowicie Dżebel Arasz Kwol. Leży ono tuż w pobliżu linii wytycznej, którądy iść ma nasza karawana, a więc prze to samo również blisko drogi Ibn Asla. Byłeś tam zapewne.

— Pięć razy i znam nawet dobrze całą okolicę.

— Cieszy mnie to, bo nie muszę towarzyszyć ci na miejsce dla zaznajomienia z terenem. Są tam dwie zatoki, a właściwie bagna, które połączone są ramieniem z głównym korytem rzeki. Północna

jest większa i dłuższa, niż południowa. Znasz ten zakątek?

— Doskonale. Większa z zatok nazywa się maijeh el Humma\*, nazwy zaś mniejszej nie pamiętam.

— Otóż właśnie mam na myśli to Febryczne Bagno. Ciągnie się ono u stóp góry wąskim pasmem tak daleko, że do przejścia pieszo z jednego końca na drugi potrzeba co najmniej czterech godzin. Mniej więcej w samym środku tej długości jest większe zagłębienie w grzbiecie skalistego brzegu, zarośnięte mocno omm sufah, a na krawędziach wznoszą się wysokie, cieniste drzewa gafulowe\*, które zwracają szczególniejszą uwagę wędrowca, bo rzadko tego gatunku drzewa osiągną taką wysokość.

— Znam je, ich nadzwyczaj przyjemny zapach rozchodzi się po całej okolicy i łagodzi wyziewy bagna. Pieszko można przejść tamtędy całkiem śmiało, lecz na wielbłądzie trzeba bardzo uważać, bo skały wznoszą się prawie prostopadle tuż nad samą wodą, a na wąskiej drożynie leżą potężne głazy x stoczone z góry. Tę drogę właśnie naokoło wkleśnięcia zatoki w głąb skał nazywają tubylcy darb el Muzibi\*, bo niejeden podróżny nabawił się tu kalectwa lub stracił życie.

— Mam nadzieję, że i dla Ibn Asla droga ta będzie nieszczęśliwą.

— W jakiż sposób zwabisz go w to miejsce?

— Że go zwabię, nie ulega najmniejszej wątpliwości, ale w jaki sposób, niestety sam jeszcze nie wiem i myśl o tym przyjdzie w decydującej chwili. Droga Nieszczęścia wiedzie wzdłuż brzegu zachodniego. Czy znasz także wschodni?

— Doskonale.

— To przypomnisz sobie zapewne gęsty hegelikowy las, który styka się z brzegiem zachodnim.

— Byłem tam. Las ten jest nie do przebycia, bo przestrzeń między pniami wypełniają gęste krzaki i zarośla nabakowe.

— Otóż ten las posłuży nam za kryjówkę.

— Czyżby mieli oczekiwać tam Ibn Asla?

— Tak. A teraz twoje zadanie, emirze, zapamiętaj je sobie dobrze! Przede wszystkim, skoro tylko wrócisz do Hegazi, musisz wybrać się w drogę, ale przedtem porozumiesz się z szejkiem el beled.

— Z tym psem, zdrajcą, którego ukaram jak najsurowiej?

— Uczynisz to później, a teraz musisz być bardzo grzecznym dla niego i zachowywać się tak, jakbyś mu ufał zupełnie. Powiesz mu, że oczekiwałeś tu transportu niewolników, ale zamiar się nie udał, gdyż widocznie Ibn Asl wprowadził cię podstępnie w błąd. Wyrazisz tedy przypuszczenie, że handlarz ten czmychnął do Chartumu, i powiesz, że podążysz za nim, by go wyśledzić i ukarać.

— Po co ja to mam mówić właśnie szejkowi el beled?

— Bo odgrywa on w moim planie bardzo znaczną rolę. On właśnie nastawi pułapkę na Ibn Asła, nie wiedząc sam o tym. Wspominałem ci już, że to współnik i szpieg Ibn Asła. Jestem pewny, że albo sam potajemnie uda się do niego z wiadomościami albo wyśle kogoś z zaufanych, no i Ibn Asł, dowiedziawszy się w ten sposób o twoim powrocie do Chartumu, będzie się czuł bezpieczny.

— A ciebie nie będzie się obawiał?

— Nie, bo i ja rozmówię się z szejkiem. Ale posłuchaj dalej, udasz się natychmiast pieszo do Hegazi, ale tak, aby o ile możliwości nikt nie mógł cię zauważyć, w tym celu kazałem ci się przebrać, i kiedy już stamtąd wyruszysz, ja z Ben Nilem przywiosłuję.

— Skądże będziesz wiedział o tym, że wyruszyłem w drogę?

— Zostaw to już mnie, potrafię sobie dać radę! Otóż, przybywszy na miejsce z Ben Nilem, udam się do szejka el beled niby tak, jakbym dopiero wprost z majeh powrócił, i opowiem mu, co zaszło koło dżezireh Hassanii.

— Wyjawisz mu swoje właściwe nazwisko?

— Rozumie się. Gdybym tego nie uczynił, to i tak dowiedziałyby się później od Ibn Asła i oczywiście nie wierzyłby wówczas memu opowiadaniu, co mogłoby pokrzyżować moje plany. Muszę zachowywać się tak, jak gdybym miał do niego zupełne zaufanie; będzie to łatwe, bo on należy przecie do zwierzchności i ja, jako do takiego, zwrócę się niby to o pomoc. Oddam mu w przechowanie łódź z tym, że później za swej bytności w tej okolicy odbierzesz ją od niego.

— Powiadasz, że przyplyniesz do Hegazi z Ben Nilem. A co będzie, gdy szejek dowie się później o trzecim, Abu en Nilu? Jak wytłumaczysz jego nieobecność?

— Bardzo łatwo. Mogę powiedzieć naprzykład, że uciekł mi w obawie, aby się z tobą nie spotkać, albo, że utopił się w czasie ucieczki.

— Po co mi go zostawiasz? Mógłby przecie przydać się tobie.

— Mam tylko dwa wielbłądy wierzchowe.

— Dokąd się wybierzesz?

— Naprzeciw karawany, którą opuściłem, aby ciebie ostrzec przez zasadzką, a że jesteś uratowany, mogę już teraz śmiało powrócić do niej, tym bardziej, że nadarza się znakomita sposobność schwytania Ibn Asła. Ucieczka moja była dla niego strasznym ciosem, który za wszelką cenę zechce sobie powetować, i wyprawi się przeciw karawanie, by ratować ojca i jeńców. Jeżeli więc usłyszy, że się tam udałem, ucieszy się niezmiernie, bo wstąpi weń nadzieja ponownego schwytania mnie do niewoli. Napadnie więc na karawanę, no i wlezie w pułapkę.

— Ba, ale ty sam jeszcze nie wiesz, w jaki sposób wciągniesz go w tę zasadzkę.

— Istotnie, do tej chwili nie miałem o tym pojęcia, ale przyszła mi nagle do głowy pewna myśl.

Napomknę szejkowi el beled, w jaki sposób może on odnaleźć Arasz Kwol. Powiem mu, że oszczędzałem życie jeńców pomimo, że łajdacy ci zasłużyli już niejednokrotnie na śmierć. Obecnie wyczerpała się już moja cierpliwość i muszę się pomścić bardzo surowo za to, że mnie Ibn Asl chciał zamęczyć bez litości. Otóż za to właśnie czeka śmierć wszystkich poddanych Ibn Asla, którzy tylko w rękę mi wpadną. Przede wszystkim zaprowadzę jeńców do Dżebel Arasz Kwol, aby ich powrzucać do majeh el Humma. Skoro więc Ibn Asl dowie się o tym, skieruje niezawodnie swą bandę w moje ślady, aby uratować zagrożonych poddanych. Cóż ty na to?

— Przypuszczam, że nie zawiodą cię te obliczenia, ale czy ci się uda akurat zwabić go w takie dogodne dla ciebie miejsce, gdzie możesz być pewien zwycięstwa, w to trochę wątpię.

— E, co do tego, to sobie poradzę. Zresztą on przybędzie tam wcześniej niż ja i będzie miał czas rozejrzeć się w terenie. Sądzę zatem, że jeżeli tylko cokolwiek posiada zmysłu orientacyjnego, to wpadnie na tę samą myśl, co ja, to znaczy, zechce na mnie napaść z obu stron, z przodu i z tyłu, podczas gdy będę się znajdował na wąskiej ścieżce między skałami a wodą. Jeżeli mu się to uda, to będzie mnie uważał za straconego.

— Miałżebyś odwagę wejść w tę pułapkę?

— Może, ale oczywiście tylko w tym celu, aby go wciągnąć w ten sposób w swoje sieci i potem ubezwładnić na zawsze. Ty popłyniesz z Hegazi aż do wysokości Dżebel Arasz Kwol, ukryjesz okręt w jakimś zakamarku, a zostawiwszy kilku ludzi do pilnowania, resztę marynarzy i asakerów zabierzesz ze sobą do majeh el Humma i skryjesz się w lesie, o którym ci mówiłem. Tam masz czekać, dopóki nie spostrzeżesz nas i Ibn Asla. Możliwe, że ja prędzej jeszcze dotrę na miejsce i odszukam cię tam w ukryciu dla udzielenia ci ostatecznych wskazówek; jeżeli jednak nie zdążę, to zadanie twoje jest bardzo proste. Skoro tylko usłyszysz strzały, możesz przypuszczać, że przybyłem z północy, a Ibn Asl napadł na mnie ze strony przeciwnej. Oczywiście i on nie będzie miał wiele miejsca na wąskiej drożynie. Wówczas ty wypadniesz znienacka z lasu i popędzisz prosto na niego z tyłu. Jeżeli się dobrze sprawisz, to Ibn Asl albo się podda dobrowolnie albo rzuci się na majeh, gdzie wśród zarośli omm sufaho—wych znajdzie niewątpliwie grób dla siebie i wszystkich swoich poddanych.

— Effendi! Plan ten jest wspaniały, ale mimo to mam pewne skrupuły. Wszak rozporządzasz tylko dwudziestoma żołnierzami. :— Gdyby mi ich więcej było trzeba, to wezmę od ciebie.

— Kiedyż będzie na to czas?

— Może i będzie. Skrupuły twoje nie są pozbawione pewnych podstaw.

— A druga rzecz, potrzebni ci są ludzie do piklowania jeńców. Ileż więc pozostanie ci do rozporządzenia w czasie napadu? A jest również bardzo prawdopodobne, że Ibn Asl tak samo umieści oddział od strony północnej i weźmie cię we dwa ognie.

— I o tym już myślałem i jestem nawet tego pewny, że urządzi na mnie zasadzkę. Skoro jednak wiem o tym — nie boję się tego. Jeżeli na przykład wie ktoś, że w tym właśnie miejscu podłożono minę, to oczywiście ominie zawczasu niebezpieczne miejsce. Zresztą przyznaję, że za mało mam

ludzi i proszę cię, przyślij mi ze dwudziestu asakerów!

— Dokąd ich wysłać, aby na pewno trafili do ciebie?

— Idzie głównie o to, aby ludzi tych nie spostrzegł nieprzyjaciel. Najlepiej jednak będzie, jeśli ja ich sam wyszukam w umówionym miejscu. Znam wyborną kryjówkę w północnej stronie Dżebel Arasz Kwol; jest to wyschłe koryto potoku, wciskające się w skały. Po pięciu minutach drogi koryto rozszerza się w kotlinkę, zarośniętą gęsto krzakami.

— Wiem już... Zapłaciłem się raz w to miejsce, szukając wody do picia.

— Doskonale. Ciesz się, że znasz obmyślaną przeze mnie kryjówkę. Otóż tam właśnie przyślij mi ze dwudziestu wojowników!

— Ba, ale w jakim czasie?

— Na krótko przed moim przybyciem, gdyby bowiem przysli tam wcześniej, to mógłby ich Ibn Asl wyszukać. Jeśli dobrze obliczyłem, to ja jeszcze dziś powitam swą karawanę.

— Niemożliwe! Wszak ona ma przed sobą pięć dni drogi, a dziś dopiero dzień trzeci.

— Ja wnioskuję inaczej. Oto gdy asakerzy spostrzegli ucieczkę Orama, musieli się od razu domyśleć, że on pocwałował co tchu do Ibn Asla i wskutek tego spieszyli się, ile mogli. Dziś wieczorem tedy są oddaleni od nas nie więcej jak jeden dzień drogi, a że ja popędzę naprzeciw, więc bardzo jest możliwe spotkanie o tej właśnie porze, jak sobie obliczyłem. Jutro rano wyruszymy do Dżebel Arasz Kwol, ale tuż w pobliżu rozłożymy się na nocleg i dopiero rano pojutrze udamy się na miejsce. Jest bowiem bardzo pożądane, ażeby potyczka odbyła się w dzień. Możliwe, że w ciągu nocy odnajdę cię, lecz gdybym do pierwszej godziny po północy nie zjawił się przed tobą, przyślij natychmiast dwudziestu asakerów w kierunku suchego koryta, o którym mówiliśmy, a ja już ich tam odnajdę. Na wypadek gdybym miał czas odwiedzić cię na twoim posterunku, dam ci z daleka znak, a mianowicie powtórzę trzykrotnie raz po raz głos hieny i żołnierz, stojący na widecie, może wówczas zaprowadzić mnie do ciebie. Oto wszystko, co miałem ci do powiedzenia.

— No tak, ale teraz na mnie kolej podziękować ci za tyle trudu dla mnie i poświęcenia...

— No, no, zostawmy to na lepsze czasy, teraz szkoda każdej chwili. Do widzenia więc, kochany emirze, przy lepszej sposobności!

Reis effendina podał rękę mnie i Ben Nilowi i ruszył pieszo do Hegazi, my zaś wypoczęliśmy tak długo, ile mniej więcej czasu potrzebował reis effendina na odbycie swej drogi, potem wsiedliśmy do łódki i popłynęli na przeciwległy brzeg. Ukrywszy łódź w trzcinie, podążyliśmy pieszo brzegiem tak daleko, dopóki nie spostrzegliśmy Hegazi. „Sokół” stał jeszcze w miszrah i dopiero po upływie jakiej pół godziny rozpiął żagle i wyruszył w drogę. Wówczas cofnęliśmy się pomału i następnie popłynęliśmy łodzią ku Hegazi.

Ben Nil słyszał całą moją rozmowę z resem effendina i był bardzo przejęty moimi planami i wręcz palił się do walki ze zniechęconą zgrają opryszków. Ja zaś przemyślałem nie bez troski

nad tym, czy zastanę w domu szejka el beled, od czego zależało bardzo wiele. Nie spodziewałem się nawet, że on... wyjdzie sam naprzeciw. Spotkaliśmy go w miszrah; stał na brzegu i, skoro tylko wylądowaliśmy, zagadnął nas uprzejmie:

— *Sallam aleikum!* Wy tutaj? Sądziłem, że mieliście zamiar udać się na „Jaszczurce” do Faszody, a wielbłądy zabrać dopiero później za powrotem.

— Dziękuję, do Faszody stąd będzie co najmniej dziesięć dni drogi, a my wcale nie mieli zamiaru do takiej dalekiej podróży. Mimo to rzeczy tak się ułożyły, że byłbyś musiał o wiele dłużej mieć, w opiece nasze wielbłądy.

— Nie rozumiem — odparł, udając minę wielce zdziwionego, ale mimo wszystko, nie mógł ukryć pomieszania i opanować się należycie.

— Opowiem ci — rzekłem — ale na osobności, bo rzecz niesłychanie ważna i jedynie ciebie mogę wtajemniczyć we wszystko.

— Zasmucasz mnie tym, panie — zauważył, postępując za nami na bok. — Cóżby znowu takiego ważnego miało zajść w tak marnej wioszczynie, jak nasza?

— O, zdziwisz się, gdy usłyszysz. — Znasz człowieka, któremu pożyczyłeś konia tu w Hegazi?

— Bliżej nie. Mówił mi, że należy do załogi „Jaszczurki”, która zatrzymała się koło dżezireh Hassanii.

— Czy wiesz, czyj to był okręt?

— Człowiek ten objaśnił mi, że to statek handlowy z Berberii.

— Nie pytałeś się o właściciela?

— Po co? Co mnie mógł obchodzić ten okręt? Nie jestem przecie naczelnikiem ani strażnikiem portu i nie mam potrzeby zaprzętania sobie głowy nazwiskami wszystkich przepływających tędy okrętów i ich właścicieli.

— Racja, ale źle się stało, żeś tego nie uczynił, bo byłbyś nas z pewnością ostrzegł przed niebezpieczeństwem utraty życia.

— Utraty życia? — przerwał zalekziony — Allah ‘1 Allah! Czyżby wam groziło coś podobnego?

— O, tak! Dowiesz się, że „Jaszczurka” to okręt największego pod słońcem przestępcy i rabusia niewolników. Domyślasz się, o kim mówię?

— Nie wiem. Czy byłbym zdolny do podobnego domysłu? Za najstraszliwszego z rabusiów uchodzi Ibn Asl, którego Allah niech potępi — jednakże ten nie śmiałby zapuszczać się aż tutaj.

— Otóż on istotnie miał odwagę ku temu.



— Co ty mówisz? O Allah! Gdybym o tym wiedział! Zebrałbym wszystkich mężczyzn z Hegazi i wyruszył, by go złapać i odstawić do reisa effendiny.

— Znasz tego wicekrólewskiego urzędnika?

— Rozumie się. Rozmawiałem z nim nie dawniej jak przed godziną.

— Co? — wykrzyknąłem, udając zdziwionego wielce. — On był tutaj?

— Dziś był tu, wczoraj zaś koło Hassanii.

— Zapewne wtedy, gdyśmy już odpłynęli. Allahowi niech będzie cześć i chwała, że udało mi się uratować mu życie! Nie wierzyłem, że będzie tak nieprzezorny i wlezie w nastawioną nań sieć.

— Panie! Przestraszasz mnie swoim opowiadaniem. Krew ścina mi się w żyłach i nogi drżą pod mną. Czy reisowi, któremu niech Allah błogosławi na każdym kroku, groziło jakie niebezpieczeństwo? Z czyjejże to strony?

— Ze strony Ibn Asla.

— Straszne! Język odmawia mi posłuszeństwa. Mów, panie, mów!...

— Ale wprzód zapytam cię, czy przypadkiem nie wiesz, kim jestem ja?

— Skądże znowu...

— Jestem effendim z kraju chrześcijańskiego i przyjacielem reisa effendiny, którego...

— Allah! — przerwał mi z niesłychaną trwogą. — Ty? Ty jesteś owym obcym effendim, który tyle już niewolników wyrwał z sieci rabusiów?

Umilkł, namyślając się widocznie nad tym, co powiedział i że może powiedział więcej, niż wypadało. Ja zaś udałem, jakobym tego wcale nie zauważył, i rzekłem:

— Słyszałeś więc o mnie? Cieszy mnie to, bo nie będę zmuszony rozprawiać z tobą wiele. Wiesz zatem, że pomagałem emirowi w spełnianiu ważnego zadania.

— No, tak, wiem, ale tylko tyle, że osiągnąłeś to, czego sam emir nie zdołał.

— Zrozumiesz więc, że Ibn Asl żywi z tego powodu śmiertelną nienawiść do mnie.

— Oh tak, większą nawet nienawiść niż do reisa effendiny.

— I doświadczyłem tego nie dawniej, jak wczoraj. Muszę ci to opowiedzieć.

Powtórzyłem mu w krótkości wszystko, co mnie spotkało, przemilczając oczywiście rzeczy zbędne, a przede wszystkim to, że widziałem się z resem effendiną. Słuchający udawał wybornie, że

go to nadzwyczaj wzrusza i oburza.

— O proroku proroków — krzyknął, gdy ukończyłem opowiadanie — to straszne, to wszystko okropnie straszne! Jesteś chrześcijaninem, a mimo to Allah ma cię w szczególnej swej opiece, bo inaczej byłbyś nie uszedł śmierci z rąk tej krwiożerczej hieny. Ale co się stało z tym trzecim, Abu en Nilem? Wszak i on uciekł razem z wami.

— Oh! O tym widocznie Allah nie raczył pamiętać, bo spotkało go nieszczęście. Źle skoczył do łodzi z „Jaszczurki” i wpadł do wody. Jeśli rabusie nie wyłowili go, to zapewne spoczywa sobie teraz spokojnie we wnętrznościach krokodyla.

— Biedny! A wy przybiliście dopiero teraz tutaj?

— Niestety dopiero teraz, bo musieliśmy szukać reisa effendiny. Zdawało nam się, że on będzie ścigał Ibn Asla.

— Po co? On wcale nie uważał „Jaszczurki” za podejrzaną. Mniema widocznie, że Ibn Asl ściągnął go tu naumyślnie w tym celu, aby mógł w Chartumie porobić doskonałe interesy.

— Skąd wiesz o tym?

— Emir mi mówił.

— Gdzież się on podział?

— Pożegłował z powrotem do Chartumu.

— Wiadomość to dla mnie bardzo przykra. Sądziłem, że zabierze ze sobą łódź, którą zdobyłem. Cóż ja teraz z nią zrobię?

— To głupstwo. Ale co zrobisz ze sobą samym? Jeśli chcesz dostać się do Chartumu, to możesz wsiąść na pierwszy okręt, który w ty kierunku będzie tędy przejeżdżał, a łódź doczepisz z tyłu.

— To niemożliwe, bo muszę przede wszystkim odnaleźć swoją karawanę.

— Zostaw więc łódź pod moją opieką. Przypuszczam, że możesz mieć do mnie tyle zaufania.

— Owszem, ufam ci, jesteś przecie zwierzchnikiem osady i mógłbym ci bez wahania powierzyć nie tylko łódź, ale i nawet większy majątek, gdyby tego było potrzeba. Proszę cię jednak, nie odsyłaj łodzi do Chartumu, lecz niech zostanie, dopóki reis effendina tu nie powróci i nie zabierze jej z sobą!

— A kiedy można go się tu spodziewać?

— Nie wiem, ale przypuszczam, że pojawi się tu niebawem. Im więcej czasu będzie miał Ibn Asl, tym mniejsza nadzieja schwytania go. Reis effendina mógłby ścigać przestępcę na drodze do Faszody i może jeszcze dalej w górę, lecz możliwe jest, że łotr uda się w kierunku Bahr el Džebel albo Bahr es Seraf na połów niewolników. Pościg aż tak daleko byłby uciążliwy. Lepiej w każdym razie

zaczekać na jego powrót, odebrać mu połów i załatwić się z nim ostatecznie. W takim razie spotkałoby go niezawodnie to samo, co jego ojca, Abd Asla.

— Jak? Cóż jemu grozi?

— Śmierć! Mogłem powystrelać wszystkich łajdaków, jak to uczynił emir na Wadi el Berd z ich towarzyszami, ale jestem za dobry, zresztą chciałem dostawić wszystkim emirowi, by zrobił z nimi, co mu się podoba, zmieniłem jednak zamiar i załatwię się z drabami, jak na to zasługują.

— Mógłże reis effendina udzielić ci aż takiego pełnomocnictwa, które może wydawać jedynie kedyw?

— Ma upoważnienie przelewać swą władzę na inne osoby, jeżeli tylko uzna to za stosowne. Zresztą to bardzo znakomity środek na wytepienie wstrętnych zbrodniarzy, trudniących się rabowaniem ludzi i ich handlem. Tylko jak najsurowsze postępowanie ze strony rządu położy koniec tej pladze. Ja, co prawda, nie korzystałem jeszcze z przelanych na mnie czasowo praw, ale teraz nie mam już żadnych skrupułów i po raz pierwszy pokażę gałganom, że ze mną nie łatwa sprawa.

— Niby masz prawo, ale zawsze to pewna odpowiedzialność.

— Ba! Czyż sądzisz, że jestem także odpowiedzialny za wszystkie zbrodnie i gwałty, które ten drab może jeszcze popełnić, gdybyśmy dozwolili ujść mu bezkarnie? A może żywisz dla niego współczucie?

— Jak możesz o to pytać, effendi! Im wcześniej wytepicie całą tę zgraję, tym większa będzie moja radość. Zresztą ja sam, jeżeli tylko przydam się na co, ofiaruję się na wasze usługi.

— Z których niestety korzystać nie możemy. Bo zresztą cóżbyś mógł nam pomóc? Wracając jednak do rzeczy, ludzie ci chcieli wymordować wszystkich asakerów, podróżujących ze mną, a mnie postanowili zamęczyć w najokropniejszy sposób. Że więc udało mi się z nadludzkim wysiłkiem ujść tych męczarni, to jeszcze nie powód, abym miał narażać się na ponowne niebezpieczeństwo. Byłbym samobójcą, gdybym ich puścił, bo oni natychmiast urządziliby na mnie zasadzkę i napad. I co wtedy? Otóż lepiej stokroć będzie, jeżeli bez żadnych względów i skrupułów wydam na stracenie wszystkich znajdujących się w mym ręku zbrodniarzy.

— Urządź może są tu, w Hegazi?

— O nie! Oni nie ujrzą już nigdy tego miejsca.

— Effendi, nie bierz mi za złe, gdy cię zapytam, gdzie odbędzie się ten straszny sąd i egzekucja! Dusza moja jest przepelniona wstrętem do tych zbrodniarzy i chciałbym za wszelką cenę wiedzieć, czy sprawiedliwości istotnie zadość się stało.

— Cieszy mnie, że jesteś tak szlachetnie usposobiony, że masz tak doniosłe poczucie sprawiedliwości i dlatego nie mam powodu kryć się przed tobą ze swoimi zamiarami. Czy znasz Dżebel Arasz Kwol?

— Jakżebym nie miał znać? Byłem tam już wiele razy.

— I maijeh el Humma, nad którym leży, znasz również?

— Znam.

— Czy są tam krokodyle?

— Niezliczona ilość, szczególnie aż wre od nich w środkowej zatoce, wciskającej się w głąb skał.

— Ponad tą zatoką wije się bardzo wąska drożyna, nieprawdaż?

— O, bardzo wąska i niebezpieczna. Podróżny musi iść pieszo i wymijać ostrożnie głązy, bo za lada potknięciem się mógłby wpaść do wody na pastwę krokodyli.

— Otóż widzisz, ja tam wykonam wyrok na tych drabów.

Szejk el beled zbladł z przerażenia, po czym zauważył:

— Effendi, to będzie straszne, przeokropne!

— Każdy zbiera to, co zasiał, a zresztą nie będzie tak źle, jak ci się zdaje. Mnie na przykład chciano powyrywać paznokcie, poobcinać ręce i nogi powoli i z wyszukany okrucieństwem, a mimo to ja postąpię ze zbrodniarzami o wiele łagodniej; każę ich powrzucać ze skały na omm sufah i krokodyle załatwią się z nimi w kilku sekundach. Któraż śmierć okrutniejsza, ich, czy ta, którą ja miałem umrzeć?

— Oczywiście, że ta ostatnia, effendi. Kiedyż jednak niebiosa będą świadkami tej zasłużonej kary dla drabów?

— Pojutrze rano, w godzinę po modlitwie o porannej zorzy będziemy na miejscu, nad maijeh el Humma.

— Ma to być godzina śmierci skazańców?

— Tak.

— Kiedy stąd wyruszasz, effendi?

— Zaraz, skoro tylko odnajdę wielbłądy.

Udaliśmy się wszyscy do tubylca, który opiekował się zwierzętami, i, zapłaciwszy mu parę groszy za to, osiodłaliśmy je.

— Patrz, effendi — zauważył Ben Nil, gdy już mieliśmy wsiadać i wskazał na jeźdźca, zmierzającego przez step wprost ku nam. Mimo znacznego oddalenia poznałem od razu. Był to Oram.

— Uważaj, effendi!

Szejk el beled stał obok nas i słyszał wszystko, dlatego odrzekłem obojętnie:

— Uważać? Dlaczego? Od chwili, gdy cię schwytano do niewoli, nie widzisz nic wokół, jak tylko same niebezpieczeństwa. Ów jeździec, to jakiś podróżny i nic więcej. Wsiadaj i jazda, bo czas nagli!

Ben Nil posłuchał, ale spojrzał przy tym na mnie bardzo zdziwiony. Nie troszcząc się o nic, podałem rękę szejkowi, który żegnał mnie czułymi słowami.

— *Allah jihfacak* — niech cię Bóg strzeże! Czy też spotkamy się jeszcze kiedy?

— Prawdopodobnie niedługo i będziesz tym niemało uradowany.

Ruszyliśmy w kierunku zachodnim, podczas gdy Oram zbliżał się od południa, a spostrzegłszy nas, przystanął i zwrócił z drogi, lecz po pewnym czasie, widząc, w którym kierunku pojechaliśmy, skierował się ku Hegazi.

— Nie pojmuje cię — zauważył Ben Nil. — Przecież to z pewnością był Oram.

— Nie przeczę.

— I nie czekałeś, by go schwytać...

— Posłuchaj, o wszystkim, co powiedziałem szejkowi, musi się dowiedzieć Ibn Asl, ku czemu nastęczyła się znakomita sposobność, bo przecie Oram prędzej niż kto inny zawiadomi herszta o nowych planach i ten pomaszeruje niezawodnie wprost w kierunku Dżebel Arasz Kwol, jak sobie tego życzymy.

— Niech Allah to sprawi! Mam nadzieję, że nie rozminiemy się z naszymi asakerami.

— Widzisz tę ciemną linię na trawie?

— Tak, to zapewne ślady, lecz czyje?

— To trop Orama. Kierował się zapewne nowymi tropami, które były jeszcze świeże, bo pędził za nami po kilku ledwie godzinach. Asakerzy również trzymali się tej samej drogi i jestem pewny, w tym kierunku spotkamy niebawem naszych.

Wielbłądy po dłuższym wypoczynku biegły znakomicie, niestety tropy były miejscami tak niewyraźne, że ciągłe śledzenie ich zabierało nam sporo czasu. Po krótkim południowym odpoczynku pojechaliśmy dalej ciągle szukając tropów z wielką trudnością. Po takich okolicznościach było do przewidzenia, że i karawana tu i ówdzie, nie znalazłszy śladów, musiała zbaczać i kto wie, czy nie zbłądziła. Na szczęście przypomniałem sobie, że w tej okolicy znajduje się studnia nazwana Bir Safi

(czysta studnia), a że wiedział o niej przewodnik, więc najprawdopodobniej skierował tam karawanę. Skręciliśmy zatem ku południowi i, pędząc dość szybko, dotarliśmy na miejsce na krótko przed zachodem słońca. Z daleka jeszcze zobaczyliśmy leżące wielbłądy i uwijających się ludzi naokoło obozu.

— Jestem bardzo ciekaw, co Abd Asl powie, gdy nas zobaczy — zauważył Ben Nil.

— I fakir el Fukara, który chce być Mahdim!

— Draby myśleli z pewnością, żeśmy przepadli! Niechże ich diabli wezmą za to! Darowałem życie staremu, lecz gdybym był wiedział, co nas czekało koło dżezireh Hassanii, nie byłbym tak miękkiego serca.

— Przypuszczam, że nie chcesz teraz dodatkowo zemścić się na nim.

— Bądź spokojny o to, effendi! Stary, śmierdzący szakał jest dla mnie tak wstrętny, że brzydziłbym się dotknąć go nie tylko ręką, ale nawet nożem.

Zbliżyliśmy się do studni na taką odległość, że obecni tamże mogli nas poznać.

— Effendi, effendi! — dały się słyszeć wyraźne głosy — Effendi i Ben Nil! Allahowi cześć i chwała, a nam zbawienie! Wrócili! Cali i żywi!

Prawie wszyscy obecni wybiegli naprzeciw nas, krzycząc z wielkiej radości jak dzieciaki. Omal nas nie ściągnęli z wielbłądów, a potem ściskali nam ręce kolejno, przeciw czemu wcale się nie broniłem, bo nie było to ujmą dla mnie. Ludzie ci naprawdę byli do mnie serdecznie przywiązani i cieszyło mnie to ogromnie. Sam reis effendina nie wzbudził w ich sercach takiej radości i wesela, gdy spotkał się z nami na Wadi el Berd. Oczywiście trzeba im było opowiadać o wszystkich przejściach od ostatniego widzenia się z nimi, wprzód jednak chciałem się dowiedzieć, jak im się wiodło; usiadłem, a najstarszy askari, któremu oddałem dowództwo, zaczął:

— Wszystko poszło jak najlepiej, effendi, tylko... jedno stało się źle, niestety. Brakuje jeden z pośród jeńców, Orama. Uwolnił się hycel z więzów i nie dość, że uciekł, jeszcze zabrał nam najlepszego wielbłąda...

— I pocwałował w nasze ślady — wtrącił Ben Nil.

— Tak, zaraz za wami pognał gałgan, ale skąd wiadomo wam o tym?

— Widzieliśmy go.

— A to gdzie?

— Dowiesz się później — odrzekłem — główna rzecz, czy wszyscy jeńcy są dobrze zabezpieczeni.

— Od chwili, gdy nam uciekł Oram, nie uda się to już żadnemu. Żywię nadzieję, że nie obwinisz

nas o tę ucieczkę, bo był on związany jeszcze w twojej obecności.

— Zdaje mi się, że winę należy przypisać nie tyle niedostatecznemu skrępowaniu, ile niedbałej warcie. No, ale wyście pilnowali! Niech was! Jestem pewny, że spaliście wszyscy, jak zabici.

— Słowo ci daję, effendi, że straż czuwała bez przerwy, ale ten pies posiadał zapewne jakieś czary albo ulotnił się w powietrze, jak dym...

— O, to niemożliwe, widziałem go i to kilka razy na własne oczy i Ben Nil również, lecz nie gniewam się bynajmniej, przeciwnie mam nawet powody do zadowolenia z jego ucieczki, która miała na celu wyrządzenie nam szkody, a... przynieść nam może wielkie korzyści.

— A to w jaki sposób?

— Mniejsza o to. Dziś bylibyśmy go złapali, lecz woleliśmy, żeby sobie bujał na wolności, bo w takim razie więcej nam się przysłuży, niż gdyby leżał związany pośród naszych jeńców.

Abd Asl nie mógł już dłużej wytrzymać i wybuchnął serdecznym śmiechem:

— Wszystko to są głupie przechwałki, aby nam dokuczyć, lecz daremne twoje usiłowania, nie zwiedzisz nas i nie uwierzymy twoim bredniom i kłamstwom. Gdybyś widział Orama, byłbyś go nie puścił, a żeś tego nie uczynił, więc i nie widziałeś go na oczy.

— Głowa twoja jest bezdenną studnią mądrości, najświętszy ze wszystkich muzułmanów — odrzekłem mu na to.

— He, he, a może mi powiesz, w którym kierunku Oram pojechał?

— Rozumie się, że do Ibn Asla.

— No, skoro naprawdę widziałeś Orama, to widziałeś niezawodnie i mego syna, nieprawdaż?

— Ależ naturalnie. Obaj z Ben Nilem byliśmy u niego w gościnie na jego własnym okręcie. Ja nawet spałem z nim w jednej kajucie.

— Kłamstwo!

— Uważaj no, bo każę cię wychłostać! Położenie twoje obecne jest tego rodzaju, że nie zaszkodziłoby, gdybyś był chociaż trochę uprzejmy.

Wtem fakir el Fukara podniósł się do postawy siedzącej i rzekł:

— Uprzejmości żadasz? Czyż obchodzisz się z nami tak, abyśmy byli dla ciebie uprzejmie usposobieni?

— Obchodzę się z wami tak, jak na to zasługujecie.

— Ja się nie poczuwam do niczego. Zbliżyłem się do was jako gość, a wyście mnie związali, jak zbrodniarza. Jest to przestępstwo, które nie wyjdzie wam na dobre.

— Któż to powiedział, żeś naszym gościem? Wyrzekłem może słowo daiif<sup>\*</sup> do ciebie albo habakek, wasahlan lub marhaba?\*

— To nie, ale siedziałem w waszym towarzystwie.

— A potem się usunąłeś. Ja nawet ocaliłem ci życie, czemu sam nie przecyzysz, a mimo to chciałeś uciec i zdradzić nas przed Ibn Aslem.

— Dowiedz mi tego!

— Zbyteczne. Dostyc, że ja wiem o tym sam. Ta właśnie niewdzięczność była powodem, że cię kazałem uwięzić, a że ci się to nie podoba, nie moja w tym wina. Narzekaj raczej na samego siebie i swą niewdzięczność!

— Ale ja się domagam wypuszczenia mnie na wolność i, jeżeli żądaniu memu nie uczynisz zadość natychmiast, rzucę na ciebie klątwę!

— Którą Allah w błogosławieństwo obróci!

— Przeklnie cię prorok.

— Mało mnie prorok twój obchodzi.

— O, ty niebawem zaczniesz śpiewać na inną nutę, gdy się dowiesz, jaką posiadam moc. W prochu będziesz się czołgał, żebrząc o moją łaskę.

— Ale obecnie posiadam moc ja i to właśnie nad tobą. A nad kim ty później będziesz miał władzę, nad swoim harem, czy psiarnią, jest mi najzupełniej obojętne. Zresztą radzę ci, siedź cicho, bo gotów jesteś poczuć pręgi na własnym grzbiecie, a to nie należy do zbytnej przyjemności. Nie mogę zresztą nawet zważać na przekleństwa, czy szczekanie człowieka, który zabrnął w bezbożności aż tak daleko, że okazał podłą niewdzięczność względem wybawiciela od śmierci.

— No dobrze, milczę już, ale niebawem nadejdzie czas, kiedy ja będę mówił, a ty będziesz milczał. Wówczas miliony słuchać będą mego głosu, a ty pierwszy z nich będziesz, musiał paść przede mną na twarz, jak niewolnik.

Skulił się jak pies i umilkł, widocznie zrozumiał, że to lepiej popłaca, ale innego mniemania był Abd Asl, który albo sobie lekceważył chłostę albo też był zdecydowany nawet tak drogo okupić wiadomości o swoim synu. Ciekawość paliła go niewątpliwie jak ogień, wszak był pewny, że nie ujdę cało z rąk syna, aż tu naraz widzi mnie zupełnie zdrowym. I dlatego to, nie czekając, co będę mówił do żołnierzy, zaczął sam, powtarzając ostatnie słowa fakira:

— Tak jest, w prochu będziesz się tarzał przed nim i przede mną! Nie masz wyobrażenia, jak wielkie niebezpieczeństwo zawisło nad twoją głową. Syn mój zniszczy cię, zgubi bez miłosierdzia,



jak to uczynił z resem effendiną!

— No tak, reisa effendinę zgubił, to prawda — odrzekłem, udając bardzo poważną minę.

— Zgubił? *Hamdulillah!* Allahowi dzięki! Udało się, no patrzcie, przecie się udało! Nieprzyjaciele zdeptani na proch, nie ma ich już na świecie!

— Nie zdeptani, lecz spaleni!

— Allah nie odmówił szczęścia memu synowi! Czy słyszycie, ludzie? Przyjaciele, wy wierni muzułmani, czy słyszycie, co się stało? Mówiłem wam już o tym, dusza moja przeczuwała wszystko. No i diabeł razem ze swoimi asakerami spłonął, a ten najstarszy z diabłów, którego tu widzicie i który musi nam opowiadać o tym, stracił już swoją władzę i musi nas uwolnić, bo jeżeli tego nie uczyni natychmiast, czeka go straszliwa kara i zgrzytanie zębów na wieki.

— No, no, nie tak zapalczywie stary — upomniałem go, ale to nic nie pomogło, bo począł teraz jeszcze głośniejsze krzyczeć:

— Co powiedziałaś? Przypuszczasz, że się mylę? Mój syn, najdzielniejszy z najdzielniejszych, najstraszliwszy z najstraszliwszych, spalił reis effendinę i przybędzie tu nam na ratunek. Biada wam, jeżeli spostrzeże, że włos jednego zabrakło z naszych głów! Czekają was męczarnie, o jakich się wam nawet nie śniło, będziecie wyc, jak potępieńcy, którzy siedzą na samym dnie piekła. Uwolnienia się domagam i to natychmiastowego uwolnienia! Jesteś głuchy, effendi, lecz będziesz żałował gorzko swej głupoty. Uwolnij nas i uciekaj, co sił nasz w nogach i o ile zdoła twój wielbłąd, gdyż inaczej spadnie na głowę twoją straszliwą zgroza, jakby lew na owcę, która niezdolna jest do obronienia się od jego ostrych pazurów!

— Miałaś sposobność przekonania się o tym, że nie bardzo uciekam od lwa, jeśli stanie mi na drodze, i możesz być również pewny, iż i przed tą wyprorokowaną przez ciebie grozą nie ucieknę. Niechaj syn twój pojawi się tutaj, a zobaczysz, jak go przyjmę!

— Spali cię, jak to uczynił z resem effendiną!

Tu wypada zauważyć, że wiadomość o klęsce reisa effendiny wywołała na żołnierzach wrażenie okropne. Wszak był to ulubiony ich wódz, który zginął śmiercią tak straszną razem z ich towarzyszami. Obskoczyli mnie więc moi ludzie wokoło i zasypywali pytaniami, lamentując i narzekając. Uspokoilem ich ruchem ręki i ozwałem się:

— Dowiedcie się o wszystkim, ale musicie być cicho. Muzułmanin ten nie będzie długo triumfował. Otóż wiecie o tym wszyscy, że co ja przedsięwezmę, tego dokonać muszę. Skoro więc postanowiłem uratować reisa effendinę — to oczywiście...

— Co! Jak? — przerywano mi niecierpliwie.

— Emir żyje i nikomu z jego wojska włos nie spadł z głowy. Żołnierze poczęli wykrzykiwać radośnie, a Abd Asl zawołał z całej siły:

— Kłamie! Chce ukrócić mą radość, pogrążyć nas w smutku przebiegle, ale to mu się nie uda, nie uda, nie damy się obalamucić i z wielką otuchą oczekujemy wybawcy, który pojawi się tu lada chwila.

— Możesz sobie czekać, dopóki nie szernieje na tobie grzeszna skóra z rozpaczy i rozczarowania — wtrącił Ben Nil — a tymczasem dowiesz się, co nasz effendi potrafi. Hej, przyjaciele — zwrócił się do żołnierzy — słuchajcie, effendi będzie mówił.

Oczy wszystkich w tej chwili zwrócone na mnie, zdało się, że oddechy zamarty w piersiach nie tylko żołnierzy, ale i jeńców. Podałem im do wiadomości cały przebieg swej wyprawy aż do chwili, w której znaleźliśmy się wszyscy trzej na łódce wolni i bezpieczni. O tym wszystkim bowiem mogli słyszeć jeńcy, ale co do późniejszych wydarzeń i w ogóle mego planu względem Ibn Asla, to musiałem zachować przed nimi ścisłą tajemnicę. A nużby wskutek nieprzewidzianego przypadku czmychnął z nich który i dostał się do Ibn Asla! Domagano się jednak ode mnie bardzo natarczywie dalszego opowiadania, za co skarcił ich Ben Nil:

— Cicho! Nie nadużywajcie uprzejmości effendiego. Słyszeliście, jak schwytano nas i grożono torturami, że dalej uciekliśmy im śmiało i mogliśmy nawet z łodzi zastrzelić Ibn Asla, a mimo to darowaliśmy mu jeszcze ten raz. Biada mu jednak, jeśli nawinie nam się jeszcze przed oczy!

— Ale co się stało z Abu en Nilem? Gdzie się podział?— zapytał któryś.

— Dziadek mój został w Hegazi i czeka tam sobie spokojnie na nasze przybycie.

— A reis effendina?

— Także w Hegazi. Dostawimy mu tam właśnie naszych jeńców.

— Czemu nie przysłał nam tu jeszcze bodaj kilku asakerów?

— Dlatego, mój ciekawski, że nie było wielbłądów, a zresztą jest nas tu dosyć do pilnowania i transportowania tych tchórzliwych ropuch, z których najobrzydliwsza, Abd Asl, niech sobie triumfuje do czasu; nie przeszkadzajcie mu w tym. Do Hegazi i tak niedaleko, a więc i czas nie długi.

Ben Nil uspokoił tymi słowy w zupełności ciekawość żołnierzy i na szczęście nie wygadał się z niczym niepotrzebnym, gdyż było wskazane, żeby nawet asakerzy nie dowiedzieli się jeszcze o niczym. Jedno bowiem słówko, niebaczenie wypowiedziane wobec jeńców, mogło pokrzyżować nasze plany. Zresztą wszyscy moi ludzie byli bardzo ucieszeni, że powróciłem i że pozbyli się bądź co bądź poważnej odpowiedzialności za całość gromady schwytanych łowców. Najstarszy z asakerów odetchnął pełną piersią, gdy mu oznajmiłem, że od teraz ja odpowiadam za wszystko. Tak samo zadowolony był przewodnik fesarski, na którym ciążyła również odpowiedzialność w pewnym stopniu.

Kazałem zmienić wartę i położyłem się spać zarówno jak i Ben Nil, bo ostatnie noce spędziliśmy prawie bezsennie. Obudziłem się dopiero w czasie modlitwy porannej i zarządziłem wymarsz, co było ogromnie uciążliwe, bo jeńcy nie chcieli w żaden sposób dać się wsadzić na wielbłądy.

Dopiero baty zmusiły opornych do posłuszeństwa.

Studnia Bir Safi leżała w południowej stronie od prostego kierunku drogi, od którego oczywiście wypadało trzymać się jak najdalej; prowadziłem karawanę łukiem w stronę zachodnią i dopiero później skręciłem ku południowi tak, że pod Dżebel Arasz Kwol zbliżaliśmy prawie prosto z północy. Ostrożność taka była uzasadniona tym, że szejk el beled, wiedząc ode mnie o kierunku mej drogi, zawiadomił z pewnością o tym Ibn Asla, a temu mogła przyjść do głowy myśl napadnięcia na mnie jeszcze w drodze, na otwartym stepie. Aby tego uniknąć, obrałem zupełnie inną drogę. Ibn Asl miał bowiem co najmniej stu ludzi, a ja tylko dwudziestu żołnierzy, wobec czego potyczka na otwartym miejscu nie bardzo mnie nęciła.

Jechałem dobrą milę w przodzie, abym pierwszy mógł zobaczyć cel naszej drogi. Było wczesne popołudnie, gdy spostrzegłem sinawy rąbek na horyzoncie.

Wróciłem więc natychmiast do karawany z rozkazem, by stanęła. Chodziło mi o to, ażeby któryś z jeńców nie spostrzegł się, gdzie jesteśmy, i dlatego pozaszadzano ich z wielbłądów i rozłożono obóz. Asakerzy byli bardzo zdziwieni tym moim zarządzeniem, zwłaszcza, że do wieczora było jeszcze daleko i o noclegu nikt ani myślał. Mając więc dosyć czasu, zebrałem wszystkich asakerów daleko na bok, i ustawivszy ich w koło, odkryłem przed nimi cały plan, który miał być dziś wykonany. Gdybym powiedział, że każdy dostanie po tysiąc piastrów w złocie, to jeszcze nie byłiby się tak ucieszyli, jak właśnie tą wiadomością o zasadzce na Ibn Asla. Każdy z nich domagał się udzielenia szczegółowych wskazówek, czemu jednak zadość uczynić nie mogłem, bo przede wszystkim należało zbadać dokładnie sytuację, a to było możliwe dopiero po zapadnięciu wieczoru. Ibn Asl z wszelką pewnością był już na miejscu i spostrzegłby mnie, gdybym się tam zbliżył w biały dzień. Zakazałem surowo wszystkim, aby ani słowem nie wspominali pomiędzy sobą o planie, bo łatwo mógł ktoś z jeńców podsłuchać. Utartym zwyczajem ułożyli się asakerzy naokoło jeńców, a tylko jeden czuwał na straży po stronie zewnętrznej.

Aż do zmroku nie zauważyliśmy żywej duszy na stepie. Przy zachodzie słońca żołnierze odmówili mogreb, po czym oddałem dowództwo nad karawaną Ben Nilowi, pouczyłem go dokładnie, jak się ma zachować w każdym możliwym wypadku i dosiadłem wielbłąda.

Zadanie moje nie należało do łatwych. Wiedziałem, co prawda, że las, w którym miał się ukryć reis effendina, znajduje się na południowym krańcu zachodniego brzegu bagna, ale dotrzeć tam wśród ciemności — to sztuka! Ba, ale druga, jeszcze rzecz, gdzie znajduje się Ibn Asl ze swoją bandą? A nużby właśnie w tej stronie! Jeżeli jednak plan jego polega na tym, że zechce podzielić swych ludzi na dwa oddziały, aby mnie z dwu stron zaatakować, to w takim razie najdogodniejszym dla niego miejscem na nocleg jest wschodni brzeg bagna i to mniej więcej w połowie jego długości. Stąd raniutko mógłby przecie wysłać dwa oddziały w przeciwnych kierunkach na upatrzone stanowiska. Gdyby zaś obozował po tej stronie musiałbym po drodze natknąć się na niego, zwłaszcza, jeżeli z przeczności nie będzie zakładał ogniska. Ale drab ma szczególną przyjemność w oświetlaniu obozu nocną porą, o czym przekonałem się już dwukrotnie, koło Hassanii i nad majieh es Saratin. Mnie nie spodziewał się z wszelką pewnością jeszcze, a o obecności emira nie mógł mieć nawet wyobrażenia i dlatego powinien czuć się zupełnie bezpiecznym i palić ogień, co oczywiście mogło mi oddać znakomitą usługę.

Zmierzałem prosto ku południowi. Na niebie wystąpiły już gwiazdy i mogłem się dobrze orientować. Po upływie pół godziny dotarłem w okolice bagna i tu, ze względu na uciążliwość terenu, trzeba było zachować wielką ostrożność. Majjeh el Humma wciska się wieloma ramionami w łąd i o niebezpieczeństwo bardzo łatwo. Musiałem zatem trzymać się dość z daleka po stronie wschodniej.

Była może, wedle naszej rachuby, dziewiąta, gdy spostrzegłem na horyzoncie słabo rysujące się kontury odosobnionego drzewa. Zwróciwszy się w tym kierunku, poznałem niebawem, że jest mi ono znajome, gdyż podczas mojej poprzedniej bytności w tym miejscu odpoczywałem w jego cieniu w czasie niezmiernej spiekoty. Od tego drzewa było do lasu nie dalej nad sto kroków. Pojechałem więc prosto. Wokół ani jednego światełka, nie było też czuć w powietrzu dymu, mogłem więc być pewny, że Ibn Asla tu nie ma. Przystanąwszy, dałem hasło, naśladując głęboki głos hieny. Brzmiało ta mniej więcej jak słowa „ommu, ommu!” ale niestety, nie otrzymałem na to żadnej odpowiedzi i dopiero po kilkakrotnym powtórzeniu, bliżej już koło lasu będąc, usłyszałem:

— Effendi?

— Ja — odrzekłem, zatrzymując wielbłąda.

— Proszę bliżej.

Postąpiłem parę kroków naprzód, gdy wtem stanął naprzeciw mnie tęgi mężczyzna i, przypatrując mi się uważnie, rzekł:

— Tak jest, poznaję cię. Zsiądź z wielbłąda, zaprowadzę cię do emira!

— Daleko!

— O, dosyć. Emir rozstawił długi łańcuch żołnierzy na posterunkach, abys się nie błąkał w poszukiwaniu za nami.

— Dobrze, więc zaprowadź mnie do posterunku, który jest najbliżej emira! Zostawię tam wielbłąda i dalej już udam się pieszo.

Zapytałem w drodze przewodnika, czy nie spostrzegli Ibn Asla, na co mi odpowiedział twierdząco. Ibn Asl przybył jeszcze po południu i rozłożył się obozem na południowym końcu majjeh.

— Podpatrywaliście, co robi, gdy noc zapadła?

— Reis effendina był sam na zwiadach.

— Palą ognie?

— Nie wiem, bo od dłuższego czasu stałem tu na posterunku.

Minęliśmy kilku z rzędu asakerów, po czym zostawiłem na opiece jednego z nich swoje zwierzę i

rozkazałem przewodnikowi, ażeby sprowadził do mnie emira. Byłem bowiem bardziej utrudzony, a emir wypoczął, mógł więc pofatygować się naprzeciw mnie. Niedługo trwało, a przewodnik przyprowadził istotnie emira, który powitał mnie z wielką radością.

— Są już tu od południa — szeptał zadowolony, ściskając mi rękę.

— Rozłożyli ogniska?

— Aż sześć. Prawdopodobnie chcą przez to opędzić się od złośliwych komarów, gdyż wiem, że bez ognia w pobliżu bagna nikt nie mógłby wytrzymać. Tu na szczęście, w ciemnym i dość suchym lesie plaga ta nie jest tak dotkliwa.

— Wiadome ci są plany, które Ibn Asl rano zamierza wykonać?

— Effendi! Cóż ty myślisz, że jestem prorokiem?

— No, nie, ale przypuszczam, że byłeś już na miejscu i mogłeś podsłuchać.

— Niechże Allah broni! Miałbym aż tak daleko wleźć pod rękę opryszkowi, iżbym mógł słyszeć jego słowa? Wszak spostrzeżonoby mnie i schwytano napewno.

— Są przecież pewne oznaki, z których można wyciągnąć wnioski. Czy nie zauważyłeś coś podobnego?

— Nie! Oni siedzieli naokoło ognisk, jedząc i rozmawiając głośno, ale co, tego wcale nie rozumiałem, bo byłem dosyć daleko.

— Widziałeś Ibn Asla?

— Siedział przy pierwszym z brzegu ognisku.

— Jak daleko stąd do nich?

— Prawie pół godziny drogi.

— A no, pójdę. Masz chęć iść ze mną?

— Bardzo, jeżeli oczywiście nie wpadniesz na jakiś dowcip, na przykład, abyśmy się przysiedli do Ibn Asla. Po tobie można się spodziewać nawet takiego psikusa.

Mój biały haik pozostał w obozie, obecnie zaś odłożyłem nawet niezbędną swą broń i poszliśmy, wymijając starannie pojedyncze krzaki i błyszczące tu i ówdzie kałuże. Po kwadransie drogi spostrzegłem blask pierwszego ogniska, potem drugiego, trzeciego i tak dalej aż do sześciu. Były tu tylko drzewa gafulowe i to bez podszycia. Obóz rozłożono bez żadnego planu, tu jedno ognisko, tam drugie, jak się komu podobało. Staliśmy dłuższy czas za szerokim krzakiem, nie dalej jak na sześćdziesiąt kroków od pierwszego ognia, koło którego siedział Ibn Asl w towarzystwie dwu swoich oficerów i dwu prostych łowców. Rozmawiali ze sobą swobodnie, jednakże nie mogłem

zrozumieć ani jednego słowa.

— Muszę iść dalej i dowiedzieć się, o czym oni mówią.

— Na miłość Allaha, co tobie strzeliło do głowy?! Przepadniesz, jak kamień wrzucony do wody.

— Ech, próbowałem szczęścia w warunkach o wiele trudniejszych tak, że dzisiejszy zamiar jest wobec tego zabawką.

— Ale ja cię zapewniam, że ani kroku dalej nie zrobię.

— Nie żądam też tego od ciebie. Pójdę przecie sam. Na linii, łączącej nas z pierwszym ogniskiem, stoją w równych odstępach dwa drzewa, rzucające długie i zlewające się ze sobą cienie. Jeżeli posunę się na kolanach w tym cieniu, to nikt nie odróżni mnie od barwy gruntu, a do tego mam jeszcze do ukrycia się dwa grube pnie drzew. Tamto drugie ma nawet dogodny konar tuż o jakie półtora metra wysokości, mogę więc w razie potrzeby wdrapać się tam jak kot i, będąc oddalonym ledwie o jakie piętnaście kroków od ognia, usłyszę każde słowo.

— Ba, ale w jaki sposób wydestaniesz się z powrotem?

— Tak jak poprzednio.

— Nie, effendi, ja na to nie pozwolę, żebyś narażał życie...

— A czy nie narażę go tak samo jutro, gdy stanę do walki? A dodajmy do tego, że właśnie przedsięwzięcie moje obecne może udaremnić jutrzejszą walkę...

— Uważasz to za możliwe?

— Przypuszczam, że dowiem się czegoś nowego, co wpłynie na zmianę moich planów w ten sposób, iż weźmiemy całą hurmę żywcem do niewoli bez jednego wystrzału.

Chciał mnie chwycić za ramię i zatrzymać, ale się spóźnił, bo w tej chwili pełzałem jak wąż wzdłuż cienia naprzód. Nie przedstawiało to żadnych trudności. Do ognia dorzucano ciągle mokre gałęzie, ażeby było więcej dymu, który odpędzałby komary, i właśnie dym ten ciągnął się grubymi smugami prawie po ziemi, bo powietrze było duszne i wilgotne od pobliskiego bagna. Wykorzystałem więc momenty, w których unosił się dym najgęściej, i posunąłem się aż pod drugie drzewo. Rozgałęziało się ono istotnie tuż na jakie dwa metry od ziemi, z czego skorzystałem skrzętnie, usadowiając się w widłach i wygodnie nasłuchując. Przez dłuższy jednak czas nie było słyhać nic interesującego, aż nareszcie uszu moich doleciały z dali słowa:

— Szejk el beled! Jest nareszcie!

I niebawem pojawił się z tamtej strony, prowadząc wielbłąda za uzdę. Wskazywano mu ręką, gdzie znajduje się Ibn Asl, ale żaden z łapaczy nie szedł za nim, bojąc się widocznie za to skarcenia od wodza. Przybyły puścił wielbłąda obok i zbliżył się do Ibn Asla, który powitał go z wielkim zadowoleniem i uprzejmością. Wywnioskowałem od razu, że szejk przychodzi doń z ważnymi

wiadomościami o nas. Ibn Asl nie mógł bowiem nikogo ze swoich wysłać na wywiady, bo zdradziłby się tym, gdybyśmy go poznali choć z daleka, szejk el beled zaś, złapany przez nas, mógł się wykręcić bardzo łatwo czymkolwiek i udać przed nami, że jest zupełnie niewinny, a może nawet, że działa dla naszego dobra.

— Siadaj i mów! — rozkazał mu Ibn Asl — Widziałeś ich?

— Niestety, nie — zaprzeczył zapytany, siadając obok.

— Więc nie? W takim razie wprowadziłeś mnie w błąd. Oni nie przybędą wcześniej jak jutro rano, a może nawet wcale nie zobaczymy ich już nigdy.

— Przybędą — przerwał szejk żywo — widziałem ich tropy.

— Ba, jeżeli ktoś wpadnie na czyjeś tropy, to zdaje mi się, że nietrudno mu już doścignąć tego kogoś, i doprawdy nie pojmuję, jak mogłeś zrezygnować z dalszego śledzenia nieprzyjaciela. Obowiązkiem twoim było nie spocząć dopóty, dopóki nie osiągnąłeś swego celu.

— Ależ przepraszam, to było niemożliwe, bo zapadła ciemność. Effendi ze swoim Ben Nilem zostawił za sobą bardzo widoczne tropy, za którymi dążyłem prosto jak pod sznur, ale w końcu ku memu zdumieniu skierowały się ku południowi. Przypuszczałem, że nieprzyjaciel wybrał sobie za cel Bir Safi. Czuwałem więc cały ranek, czy się tam pojawią, Niestety czekałem do samego południa nadaremnie. Widocznie effendi obrał inny kierunek, prawdopodobnie na północ. Sądziłem więc, że, jeżeli udam się i ja w tę stronę, to natrafię na ich tropy, i nie myliłem się. Prawie przed samym zachodem słońca spostrzegłem ślady w kierunku wschodnim.

— To znaczy w kierunku Dżebel Arasz Kwol.

— Och nie. Gdyby bowiem nie zboczyli z prostego kierunku, to ominęliby z daleka dżebel.

— Cóż u licha zamierza effendi?

— Mnie się zdaje, że zbłądził i dlatego kręci się po stepie. Nie ma on nikogo przy sobie z tych okolic, a Fessar, który służy mu za przewodnika, nie ma najmniejszego pojęcia o terenie.

Ale effendi musi go znać. Mówił przecie do ciebie, że zna dżebel, a nawet majeh.

— Może sobie znać. Zapominasz, że to obcy pies chrześcijański, który mógł tu być najwyżej raz jeden. I czyż wobec tego byłoby bardzo dziwną rzeczą, gdyby zbłądził? Oni z pewnością będą...

— Co — będą! Ja bym wolał, żebyś powiedział oni są... W takim razie byłbym pewny, gdy tymczasem ty przychodzisz do mnie z domysłami, które psu na budę się nie przydadzą. Czemu nie śledziłeś ich aż do skutku, czemu?!

— To było niemożliwe, bo zapadł wieczór, i ciekawy jestem, czy ty na przykład mógłbyś zobaczyć tropy po ciemku. Zresztą musiałem bezwarunkowo wrócić do ciebie, gdyż wiem, jak niecierpliwie oczekiwałeś wiadomości. Pomyśl dalej, w jak krótkim czasie musiałem przebyć wyznaczoną drogę!

Zwykły wielbłąd nie przebyłby jej ani w połowie i tylko dzięki temu, że dałeś mi swoją białą wielbłądzicę, mogłem wywiązać się z zadania, pędząc jak huragan przez step.

Aha — pomyślałem — tędy go wiedli. Szejk jechał na białej wielbłądzicy, której Ibn Asl zawdzięcza bardzo wiele. Na Wadi el Berd na przykład nie byłby mi z pewnością uszedł, gdyby nie szybkonoga wielbłądzica. Tylko... u licha, wielbłąd, na którym przybył szejk, nie jest wcale białej maści i wygląda, jak każdy inny pospolity hedżin. Czyżby wymienił go gdzie po drodze? Na szczęście sprawę tę wyjaśnił natychmiast Ibn Asl, mówiąc:

— Gdyby ten giaur wiedział, że moja wielbłądzica znajduje się u ciebie zawsze, gdy siadam na okręt, byłby ją niezawodnie ukradł. Sądzę jednak, że on nie ma o tym pojęcia. Co?

— Pewnie. Gdyby ją nawet zobaczył, to poznać jej nie mógłby, bo ja zawsze farbuję ją całą, ilekroć oddajesz mi ją w opiekę. Popatrz w tej chwili, czy zdołałbyś ją odróżnić od zwykłego wielbłąda...

— Rzeczywiście! Ale co ty mówisz... Wstydziłbym się, gdyby ona była podobna do zwykłych ordynarnych wierzchowców. Przypatrz się, jakie szlachetne posiada linie. Dobry znawca spostrzegłby od pierwszego wejrzenia, że to nie byle jakie zwierzę... Mniejsza jednak o to, mówimy przecie o tym przekłętym effendim — aha... po jakiego licha wielbłądzica ma leżeć koło nas, skoro jest głodna, po tak męczącej podróży! Paszy jest dość. Hej, jeden tu! Spętać zwierzę na przednie nogi, żeby się zbytnio nie oddaliło i puścić, niech się napasie!

Jeden z siedzących łowców powstał czym prędzej i puścił wspaniałą wielbłądzicę na paszę. Przypatrywałem się jej ruchom z wielkim natężeniem uwagi, mniej bacząc na rozmowę bądź co bądź bardzo ważną. Zwierzę podobało mi się do tego stopnia, że postanowiłem pozyskać je za wszelką cenę, i chociażby sam Ibn Asl miał ująć z życiem — bierz go diabli! Ważniejszą zdobyczą dla mnie byłaby —wielbłądzica.

Ibn Asl okazał żywe niezadowolenie z obrotu sprawy. Widocznie spodziewał się innej zupełnie wiadomości od szejka el beled.

— A no, skoro niewiadome ci jest miejsce, w którym znajduje się karawana, plan nasz jest chybiony. Niech to piorun trzaśnie! Dwadzieścia głupich asakerów, a my mamy do dyspozycji pięć razy tyle. Jakże łatwo można było dać sobie z nimi radę na otwartym stepie!

Co za szczęście, że wpadłem na myśl zboczenia z prostego kierunku na północ i dalej ku zachodowi i południu! Gdybym był jechał prosto — Ibn Asl byłby na nas napadł jeszcze dzisiejszego wieczora!

Szejk odpowiedział na jego zarzut:

— Jestem zdania, że dla nas o wiele lepiej, żeśmy się z nim nie spotkali. Znasz effendiego. Jest to człowiek niezmiernie czujny i nie pomija żadnej ostrożności, wobec czego wątpię bardzo, czy złąkłby się nas nawet na otwartym terenie.



— Ależ my byśmy go byli ujęli jak w kleszcze. Stu ludzi, uważaj, a ich dwudziestu! Byłby nas zebrał jak pies o łaskę, nie mogąc ramieniem nawet ruszyć we własnej obronie!

— Gadanie! On? Ty go nie znasz lepiej ode mnie! Przypuszczam, że sam nie wierzysz w to, co mówisz. Do walki byłoby niezawodnie przyjść musiało i wtedy... pomyśl... gdyby każdy askari jednego tylko z naszych uśmiercił... A effendi! Ten położyłby kilkunastu od razu, a w pierwszym rzędzie ciebie...

— E, e, mnie nawet by nie zobaczył, bom nie głupi pokazywać się tam, gdzie kule fruują. Od tego mam przecież ludzi, którym doskonale płacę, więc obowiązani są iść w ogień, nie oglądając się, czy i ja to samo robię. To nie brak odwagi z mej strony, lecz trzeźwe, rozsądne wyrachowanie i na wypadek, gdybyśmy się z nimi zetknęli, ja bym stał w takiej odległości, gdzie kule nie sięgają, jeżeli oczywiście może być o nich mowa, bo ja obstaję przy swoim, twierdząc, że wcale do tego by nie doszło. Zobaczysz zresztą, jak będzie, gdy się pojawią.

— Otóż to właśnie ważniejsza rzecz. Uważaj, żebyś się nie spóźnił z przygotowaniem na jego przyjęcie! Doniosłem ci, że ma przybyć w godzinie po modlitwie zorzy porannej do Dżebel Arasz Kwol i z pewnością dotrzyma słowa. Wobec tego oddział, który chcesz wysłać naprzód, musi stąd wyruszyć jeszcze przed północą.

— Dobrze, zaraz wydam rozkaz wymarszu. No, a ty jesteś zdania, że ludzie mogą się ukryć w suchym korycie potoku i nikt ich nie zauważy?

— Bez wątpienia. Miejsce to zaraz po kilku minutach drogi w głąb rozszerza się w wygodną kotlinkę, zarośniętą gęsto krzewami, gdzie można się skryć znakomicie. Jeden tylko z nastaniem dnia będzie czuwał na szczycie skały i zobaczy karawanę z daleka. Trzeba ich przypuścić tak, aby potem iść za nimi z tyłu, dopóki nie dotrą do miejsca, gdzie skały wznoszą się stromo tuż nad wodą, przepelnioną krokodylami. Drugi oddział naszych stanie, z przeciwnej strony i w chwili, gdy effendi zechce zabrać się do wykonania swego okropnego dzieła, zobaczy ku śmiertelnemu przerażeniu, że jest otoczony z obu stron przeważającą siłą i niezawodnie ani spróbuje nawet jakiegokolwiek oporu, czyli po prostu podda się i będziemy go mieli żywego wraz z całym oddziałem asakerów, no i naszymi jeńcami.

Trzeba przyznać, że szejk el beled obmyślił swój plan doskonale, i dziwnym trafem chciał zastawić na mnie tę samą pułapkę, co ja na przeciwnika. Jakże dobrze zrobiłem, udając się wbrew woli emira na wywiady!

— Ile dasz mi ludzi? — pytał szejk.

— A ile ci potrzeba?

— No ja bym wziął połowę, ale może wystarczy mniej, bo jestem pewny, że mi się powiedzie znakomicie.

— Dobrze, dam ci czterdziestu wojowników, z którymi musisz wymaszerować najdalej za godzinę. Przydałoby się, żeby obydwie części naszych utrzymywały bezustannie wzajemny związek.

— Byłoby to bardzo uciążliwe i może nawet nie do wykonania, bo należałoby obstawić bardzo długą przestrzeń wzdłuż majeh, a na to szkoda i czasu i ludzi, bo plan nasz jest bardzo prosty i bezpieczny. Ty z nastaniem dnia obsadzisz południową stronę majeh. Karawana przybędzie od północy, a za jej plecami będę ja. Mój strzał będzie hasłem do rozpoczęcia ataku, oto wszystko. Nie mogę się przy tym powstrzymać od słów radości z tego powodu, że effendi przybył do Hegazi za późno, gdy już reis effendina odjechał. Gdyby nie to, byłby emir pozostał, a ty musiałbyś się pogodzić z losem i nie próbować nawet jakichkolwiek kroków w celu uratowania ojca i jeńców. No, ale omówiliśmy wszystko dokładnie i teraz pozwól mi zdrzemnąć się chwilę, bom się zmęczył długą podróżą! Każ mnie zbudzić, gdy mój oddział będzie gotów do wymarszu!

Po tych słowach położył się koło ognia, a ja mogłem już spokojnie się oddalić, bo dowiedziałem się wszystkiego, co mi było potrzeba. Wykorzystałem, więc znowu chwilę, w której wzniósł się z ogniska silniejszy tuman dymu, i na czworakach posunąłem się w tył do emira, który stał na poprzednim miejscu za krzakiem i cały dygotał z obawy o mnie.

— Jesteś nareszcie, effendi — szepnął. — Twoje zuchwalstwo istotnie godne jest podziwu, bo mogło cię kosztować bardzo wiele, może nawet własne życie.

— Mylisz się, przyjacielu. Zaryzykowałem wiele, to prawda, ale też i odniosłem znakomitą korzyść. Wyobraź sobie, znam dokładnie plany przeciwnika!

Opowiedziałem mu następnie wszystko. Ucieszyło go to niezwykle, zauważył jednak mocno podniecony:

— Effendi! Mimo wszystko, boję się... Szejka ma czterdziestu ludzi i sądzę, że nie zwyciężysz go przebiegłością.

— Oczywiście, że nie myślę nawet próbować fortelu. Ja po prostu... no wiesz... Ja ich wezmę do niewoli...

— Ależ to niemożliwe bez potyczki... i niebezpieczne zresztą.

— Wcale nie niebezpieczne. Obsadzę teren wcześniej, niż on, i wówczas albo mi się będą musieli poddać albo ich powystrzelam co do jednego.

— Masz tylko dwudziestu asakerów, effendi.

— I tyle akurat potrzeba mi do strzeżenia karawany w obecnych warunkach. Gdybyś mi jednak dał czterdziestu...

— Chętnie.

— Bo sądzę, że i tak pozostanie ci dosyć. Ibn Asl obsadzi przesmyk po tamtej stronie, a ty napadniesz na niego z tyłu podczas, gdy ja od północy będę się zbliżał. Mój strzał będzie hasłem, powtarzam słowa szejka.

— Dobrze, skoro tylko usłyszę strzał, rzucę się na wroga.

— Zwracam ci jednak uwagę, że, jak się właśnie dowiedziałem, Ibn Asl nigdy nie bierze osobiście udziału w potyczce, bo zanadto ceni swoje zdrowie i życie. Zapewne więc i tym razem pozostanie daleko w tyle i musisz wyteńczyć wszystkie siły w tym kierunku, aby nam nie czmychnął. Możesz nawet odkomenderować nieduży oddział, złożony, dajmy na to, z dziesięciu ludzi, który będzie miał wyłącznie za zadanie schwytać szanowną osobę Ibn Asla.

— Dobrze, postaram się o to. Kiedyż ci potrzebny oddział do wymarszu?

— Natychmiast. Wracaj i rozkaż, aby byli gotowi do drogi, ja tam zaraz przybędę!

— Jak to? Zostajesz jeszcze tutaj? Nie pójdziesz razem ze mną? Cóż ty znowu zamyślasz?

— Mam wielką chęć zabrać białą wielbłądzicę łowcom niewolników.

— Dajże pokój, możesz przez to popsuć całą sprawę.

— Eh, szkoda czasu na gadaninę. Zobaczysz, że wszystko będzie dobrze.

— Ależ daj sobie wytłumaczyć... Skoro tam zauważą, że wielbłądzyca nie ma, muszą sobie pomyśleć, że ukradł ją jakiś złodziej, a więc, że są tu przecie jacyś ludzie w okolicy, i to wiele da im do myślenia.

— Ja przypuszczam inaczej. Pomyślą sobie z pewnością, że wielbłądzica była źle spętana, oddaliła się za daleko i że łatwo będą ją mogli w dzień odnaleźć. Co prawda cenię wysoko to zwierzę i radbym je mieć, ale kieruję się w tym wypadku jeszcze inną ważniejszą okolicznością. Jeżeli mianowicie Ibn Asl nie zechce wziąć udziału w potyczce, to mimo wszelkich starań z twojej strony, mógłby ci się wymknąć. Gdyby dosiadł swej wielbłądzicy, nie dogoniłby go żaden z naszych, bo pędziłby jak wicher, wierz mi, przekonałem się o tym na Wadi el Berd. Skoro mu jednak ukradnę to szybko nogie zwierzę, wówczas niech sobie robi, co chce; mogę być o niego spokojny.

— Prawda, tylko, na Allaha, miej się na baczności, żeby cię nie spostrzeżono!

Emir po tych słowach rad nierad musiał udać się z powrotem, a ja tymczasem popęzłem naprzód w kierunku, gdzie wielbłądzica obgryzała z apetytem bujne liście na krzaku. Ibn Asl nie umiał wytresować ulubionego i cennego zwierzęcia, które za zbliżeniem się obcego powinno było parskać, wierzgać i uciekać, byłem też na to przygotowany, ale ku memu zdziwieniu wielbłądzica była tak ułaskawioną i spokojną, że ani się troszczyła o to, jak jej zdejmuję pęto z przednich nóg i poszła potem za mną posłusznie, jakbym był jej właścicielem. Wkrótce dotarłem szczęśliwie z powrotem do lasu, gdzie reis effendina oczekiwał mego przybycia z wielkim niepokojem. Oddział, złożony z czterdziestu ludzi, stał już gotowy do wymarszu.

— Effendi! — zawołał półgłosem — jesteś bardzo niebezpiecznym złodziejem i należałoby cię zasądzić na dożywotnie więzienie...

— Przebacz mi przedstawicieli egipskiej sprawiedliwości, ja kradnę tylko od złodziei i rabusiów — zaśmiałem się. — Ale, tymczasem muszę w drogę... Czy ludzie ci są należycie zaopatrzeni? Najprawdopodobniej, będziemy musieli związać czterdziestu ludzi.

— Jest wszystko, czego potrzeba. Zabraliśmy dość powrozów z okrętu.

— Bądź więc zdrow i do widzenia rano, w chwili świetnego zwycięstwa!

— Dałby to Allah!

— A uważaj dobrze, żeby Ibn Asl nie uciekł! — ostrzegłem go raz jeszcze i wyruszyłem w drogę. Jeden z asakerów prowadził mego wielbłąda, na którym siedziałem, a drugi białą wielbłądzicę.

Upłynęło sporo czasu, nim dostaliśmy się na północny kraniec bagna i następnie okrążyli je od zachodu. Mimo znajomości terenu dwa razy pomyliłem się w poszukiwaniu suchego koryta i dopiero za trzecim razem natrafiłem na nie. Tu przede wszystkim należało ukryć obydwie wielbłądy, bo niepodobna było brać ich z sobą w głąb skał. Odprowadziłem je więc na bok, uwiązałem i pozostawiłem jednego człowieka na straży, po czym udaliśmy się w głąb koryta aż do kotlinki. Ściany też nie były bardzo strome, dzięki czemu trzydziestu ludzi mogło śmiało wspiąć się w górę i tam się ukryć. Dałem im rozkaz, aby się zachowali zupełnie cicho i bez najmniejszego szmeru aż do chwili napadu. Każdy z nich miał sobie wyszukać odpowiednią kryjówkę za skałą, aby na wypadek strzelania ze strony nieprzyjaciela być zabezpieczonym od kul. Gdyby zaś przed napadem któryś z wojowników drapał się w górę, to żołnierze moi mieli go schwytać zniemacka za gardło i od razu uczynić nieszkodliwym. Ulokowawszy trzydziestu ludzi w bardzo korzystnym miejscu, wziąłem pozostałych dziesięciu, wróciłem z nimi kawałek i tam umieściłem się dość wysoko na skalistym zboczu, oczekując przybycia szejka, który powinien był wyruszyć o jedenastej przed północą, a żeśmy go wyprzedzili co najmniej o jedną godzinę, więc najprawdopodobniej tak długo tylko na niego czekać było trzeba. Niestety, pomyliłem się w przypuszczeniach, bo przybył o wiele później, aż o samym świcie. Nie spieszył się widocznie z tego powodu, że wiedział dokładnie o czasie zapowiedzianego mego przybycia nad maijeh, to jest w godzinę po modlitwie o porannej zorzy.

Żaden z tych ludzi nie przypuszczał, jakoby w tym dzikim ustroniu znajdowała się żywa dusza ludzka, to też nie krępowano się zbytnio w marszu i mogłem już z daleka zauważyć ich zbliżanie się. Koło mnie przeszli swobodnie i z hałasem, nie zauważywszy mnie, bo siedziałem ukryty wysoko na zboczu. Gdy już uszli kawałek, zsunąłem się ze swoimi ludźmi po cichu w dół i udałem się aż do ujścia do kotlinki. Tu łapacze niewolników poczęli swobodnie szukać sobie miejsca do wypoczynku, śmiejąc się przy tym i dowcipkując. W najlepszym humorze był szejek el beled, który rozkoszował się już naprzód nadzieją łupu i na ten temat docinał innym, odgrażając się żartobliwie, że im nic nie da. Jak się później dowiedziałem, Ibn Asl przyrzekł mu bardzo znaczną część łupu.

Gdy się poczęło rozwidniać, oznajmił szejek swoim podkomendnym, że pójdzie rozejrzeć się po okolicy. Wbrew memu przypuszczeniu, nie wdrapał się na skałę, by stamtąd mieć rozległy widok, lecz udał się w kierunku wejścia, to jest wprost na nas.

— Skryć się! — rozkazałem żołnierzom, posłyszawszy jego kroki w pobliżu, i sam przykucnąłem do ziemi za krzakiem tak, że żadną miarą nie mógł mnie spostrzec, i dopiero, gdy zbliżył się tuż na jakie dwa kroki ode mnie, wyskoczyłem zza krzaka i obydwoma rękoma chwyciłem go za gardło.

— Tylko ręce mu związać, a nogi pozostawić wolne — rozkazałem asakerom, którzy w lot to

uczynili. Nie ścisnąłem go za gardło tak silnie, żeby go pozbawić przytomności. Cichutko tylko szepnąłem mu do samego ucha:

— Jeżeli tylko piśniesz, utopię w tobie nóż po rękojeść. Zrozumiałeś?

Potwierdził skinieniem głowy. Nie było zresztą obawy, aby się bronił, bo strach prawie pozbawił go przytomności umysłu. Przekonałem się później, że był to wielki tchórz, zdolny jedynie do zdrady lub szpiegostwa, ale nie do walki, a dowództwo nad oddziałem objął jedynie dlatego, że czuł się najzupełniej bezpiecznym.

W tym miejscu zostawiłem ośmiu ludzi z gotową bronią do strzału, a z dwoma podprowadziłem szejka w dół tak daleko, by do kotlinki nie dolatywały dźwięki naszej rozmowy. Ci dwaj trzymali złapanego z całej siły, ja zaś przytknąłem mu nóż do piersi i zapytałem:

— Znasz mnie?

— No... taak... Jesteś... e... effendi... — jęczał — czemu obchodzisz się ze mną jak wróg? Przecież powiedziałeś sam, że uznajesz we mnie osobę zwierzchności.

— A ty w to uwierzyłeś, ty zwierzchniku, ty przełożony głupców. Tylko w takiej baraniej głowie, jak twoja, mogła się zdradzić myśl, że ja się dam oszukać i otumanić. Nim jednak jeszcze pomyślałeś o tym, ja już byłem przekonany, że wpadniesz w ten sam dół, który był dla mnie przez ciebie wykopany.

— Ależ na Allaha, to jakaś straszna pomyłka! Przybyłem tu jako twój przyjaciel, aby w razie potrzeby być ci pomocnym, gdyż uwielbiam cię i podziwiam twoją zdolność i mądrość.

— A ci tam, w liczbie czterdziestu, są także moimi przyjaciółmi, co?

— Naturalnie. Zebrałem ich w okolicy Hegazi i przyprowadziłem tu do twojej dyspozycji, przeciw twoim wrogom.

— Chciałeś powiedzieć przeciw twoim jeńcom. No, no, dziękuję ci, nie potrzeba mi żadnych posiłków. Po co ty jednak skryłeś się tutaj?

— No, żeby ciebie tu oczekiwać. Dziwię się, jak możesz mnie posądzać, jakoby ludzie, których mamy ze sobą, pochodzili z bandy Ibn Asla...

— Milcz — przerwałem mu — poznałem się na twojej obłudzie, skoro cię tylko pierwszy raz zobaczyłem, kiedy to pożyczałeś Ibn Aslowi konia! To właśnie cię zdradziło. A kiedy przybyłem do ciebie na łódce z Ben Nilem, to — zapewne pojęcia o tym nie masz — rozmawiałem już z reisem effendiną na jego okręcie i oskarżyłem cię przed nim. On jednak był dla ciebie tak samo uprzejmy jak i ja, a to właśnie w tym celu, aby za twoją pomocą wciągnąć tu w zasadzkę Ibn Asla. Udało się nam to doskonale, dzięki twojej głupocie, no i nieuczciwości. Ibn Asl jest tu, jak sobie tego życzyłem, ale jest także tutaj i reis effendina i on schwyta tamtego tak, jak ja ciebie w tej chwili. Zamkniemy Ibn Asla na wąskiej drożynie w ten sam sposób, jak wy obaj chcieliście uczynić to z nami. Słyszałem bowiem w nocy waszą rozmowę tam koło ogniska w obozie Ibn Asla. Nie mieliście zapewne pojęcia

o tym, nieprawdaż?

— Niemożliwe! — wyrwało mu się z ust bezwiednie — nie byłem u Ibn Asla i nie wiem o niczym.

— Przekonać cię o tym? Przybyłeś na farbowanej wielbłądźcy, która położyła się obok, a Ibn Asl kazał ją puścić na paszę i dobrze spętać, by nie uciekła. I cóż, czy istotnie nie przepadła?

— No tak, zgubiła się gdzieś w zaroślach.

— Wcale się nie zgubiła, bo ją sam zabrałem, i przekonam cię o tym za chwilę. Mam ją tutaj. Umiesz jechać na wielbłądzie? — zwróciłem się do jednego z asakerów.

— Wybornie, effendi.

— Na północ od majeh obozuje nasza karawana z jeńcami. Dosiądź wielbłąda i pędź co sił, aby tu przybyła jak najprędzej! Pójdiesz naprzód wzdłuż koryta w dół i w pewnym oddaleniu natrafisz na wartę, która pilnuje obu moich wielbłądów. Gdybyś jej nie znalazł, to wołaj, a potem wsiądź na białą wielbłądźcę rabusia niewolników i jedź wzdłuż majeh aż na koniec! Tu natrafisz na moje ślady ku północy, które cię zaprowadzą do obozu. Spiesz się i powiedz tamtym, żeby nie tracili ani minuty czasu!

Żołnierz odszedł, a ja ciągnąłem dalej:

— Słyszałeś teraz, w którym miejscu znajduje się nasz obóz. Chciałeś zbadać to wczoraj, a żeby napaść na nas na otwartym stepie, co przewidziałem wcześniej jeszcze, niż ty powziąłeś zamiar, i dlatego obrałem inną drogę. Tak bywa zawsze, gdy ktoś głupi i zarazem zły chce szkodzić uczciwemu człowiekowi. Niecna jego robota przynosi szkodę jemu samemu. Zdaje mi się, że słyszałeś już dosyć i nie zaprzeczysz swej winy.

— Powiedz mi effendi, ilu asakerów masz tu w pogotowiu! — zapytał tchórzliwie.

— Więcej niż dosyć, aby was zdruzgotać. Przybyliśmy wcześniej, niż ty, i obsadzili kotlinkę tak, że ani jeden z rabusiów nie może nam się wymknąć, a ty jako dowódca dostajesz się do niewoli pierwszy. Jeżeli spowodujesz swoich podkomendnych, aby spokojnie złożyli broń i poddali się, to mogę użyć swego wpływu wobec emira i wyjednać ci bodaj cokolwiek znośniejszą karę.

— Allah! ‘1 Allah! Złożyć broń! Poddać się!... Czterdziestu ludzi!...

— Myślę... I brzmi to nieco inaczej, niż poprzednie twoje przechwałki i żarty co do podziału łupem. No, ale nie mam czasu do długiej z tobą rozprawy. Powiedz „tak”, to przynajmniej przy życiu pozostaniesz, w przeciwnym razie zabiję cię i wystrzelam wszystkich bez pardonu.

— Effendi, bądź litościwy, pozwól mi przynajmniej zobaczyć, iloma rozporządzasz ludźmi!

— Nie wierzysz mi na słowo? No, to nie! Nie kłamie i to powinno ci wystarczyć.

— O, ty jesteś chytry! Czego nie zdołasz przemocą, starasz się osiągnąć podstępem i w tym

wypadku... Allah, Mahomet!... Co to ma znaczyć? Już się zaczyna!

W kotlinie bowiem wszczął się nagle krzyk i padło kilka strzałów, po czym znowu ucichło.

— Masz najlepsze potwierdzenie moich słów — rzekłem. — Chodź, będziesz dla mnie tarczą! Jeżeli kto z twoich ludzi zechce strzelać, to przede wszystkim trafi ciebie, pamiętaj!

Pociągnąłem go ze sobą w kierunku kotlinki. U wejścia do niej stało ośmiu moich asakerów, trzymając karabiny gotowe do strzału. Było już dobrze widno. W tych okolicach bowiem dzień robi się równie szybko, jak zapada noc.

— Co się stało, po coście strzelali? — zapytałem.

— No, bo już się rozwidniło, a zresztą niektórzy z tych nicponiów chcieli wdrapywać się na skały, nasi zabronili im, a że to nie pomogło, więc użyli broni.

— A jakżeż tam wewnątrz kotlinki? Ucichło tak nagle...

— Łapacze niewolników pochowali się w krzaki jak szczury.

— A widzisz, jacy odważni są ci twoi bohaterowie — rzekłem do szejka. — Wejźmy tam! Zwracam ci jednak uwagę, że za najmniejszym poruszeniem przeciw mnie pchnę cię nożem w pierś i przebiję na wylot.

Trzymając nóż w prawej, chwyciłem go za kark lewą ręką i pchnąłem naprzód do kotlinki. Tu na dany znak pojawiło się jeszcze kilku moich asakerów.

— Popatrz no teraz do góry! — rzekłem do szejka. — Widzisz, ile luf zwróconych przeciw tobie?

Asakerzy byli ukryci w skałach tak, że wcale ich widać nie była, a tylko z poza głązów, ułożonych umyślnie dla obrony, sterczały lufy, skierowane ku środkowi. Spojrzawszy w krzaki, omal nie wybuchnąłem śmiechem, pomimo, że położenie moje było dosyć niebezpieczne. Bo jakże łatwo mógł pierwszy lepszy z drabów wycelować do mnie z ukrycia! Na szczęście nie było tak odważnego wojownika, który się zdobyłby na coś podobnego. Zresztą oni jeszcze nie wiedzieli, kto ich osaczył, a tylko przelękli się luf i zaraz się pochowali, jakby krzaki były istotnie dla nich ochroną! Tu widać było ramię, tam łokieć spod krzaka, ówdzie but lub bosą nogę. Wszyscy chowali głowy, nie troszcząc się o nic więcej.

— Gdzież są twoi bohaterowie? — pytałem szejka. — Wezwij ich, żeby powyłazili z krzaków i bronili się do upadłego!

— Effendi! Obcy effendi! — jęczał ktoś ukryty w gąszczu.

— Daję ci jedną jedyną minutę czasu do namysłu — mówiłem dalej do szejka — jeżeli nie zdecydujesz się na złożenie broni, to w tej chwili głowę ci uciąć każę.

— A... a... a... gdybym się poddał... czy... mogę liczyć na ułaskawienie?...

— Przymierzam ci łagodność, więcej nie możesz żądać ode mnie, bo los twój zależy od reisa effendiny. Prędko! Minuta ubiega...

Szejk począł się szamotać i szarpać widocznie w nadziei wyrwania się z moich rąk, w tej chwili jednak podniosłem nóż, jakbym zamierzał zadać mu cios śmiertelny i to go unieruchomiło od razu.

— Puść mnie, effendi, a uczynię wszystko, co zechcesz!

— Wcale puścić cię nie mogę, bo jesteś moim jeńcem. Rozkaż swoim ludziom, niech przychodzą tu pojedynczo, składają broń i niech wiązać się dadzą bez oporu, bo jeżeli który okaże choćby najmniej podejrzany ruch, otrzyma natychmiast kulka w łeb, stamtąd, patrz! Prędej więc, bo mi się spieszy!

Pod wpływem śmiertelnej trwogi, wydał szejk rozkaz, który ludzie jego wykonali z rezygnacją, wyłaząc po jednym na czworakach z zarośli. Po upływie kwadransa byli wszyscy rozbrojeni i powiązani. Na tym skończył się pierwszy akt dzisiejszego dramatu.

Należało teraz oczekiwać przybycia Ben Nila z karawaną. Wydrapałem się na szczyt skalny, patrząc w stronę, skąd karawana miała nadejść, niestety, dopiero po upływie dobrej godziny doczekałem się jej. Ben Nil jechał na czele w towarzystwie posłańca. Obaj, spostrzegłszy mnie, puścili się szybkim krokiem, by zobaczyć się ze mną jak najprędzej.

— Obawiałem się o ciebie ogromnie, effendi — zauważył młodzieniec, wyskakując z siodła, gdy zwierzę uklękło. — Nie wróciłeś i przypuszczaliśmy, że zdarzył ci się jakiś wypadek. Na szczęście, widzę cię zdrowym i rześkim. Jakże tam z nieprzyjacielem? Zyskałeś co?

— Owszem, zobaczysz zaraz. A czy jeńcy wiedzą o czym?

— Nie, bo posłaniec twój mówił po cichu, tylko że widzieli białą wielbłądzicę i oczywiście mogli sobie od razu pomyśleć, że odebrałeś ją Ibn Aslowi i że zapewne przydarzyła mu się, jeżeli nie śmiertelna, to przynajmniej niebezpieczna przygoda. Gdzież są ludzie, na których napadłeś?

— Schowałem ich w znakomitym miejscu. Zaprowadzimy tam również twoich jeńców, a wielbłądy muszą tu pozostać, naturalnie pod silną strażą.

Skoro tylko karawana przybyła, kazałem podwiązywać jeńców od siodła i następnie uwolnić nogi z więzów, aby mogli wędrować wzdłuż wyschłego koryta, wśród złomów i głazów. Z min ich można było wnioskować, że pojawienie się białej wielbłądzicy, należącej do ich pana, wywarło na nich wielkie przygnębienie. Rozglądali się trwożliwie naokoło i szeptali coś między sobą, tylko fakir el Fukara i Abd Asl udawali spokój, jakby nic w ogóle groźnego dla siebie nie zauważyli.

— Po co prowadzisz nas do jakiejś nory, effendi? — pytał mnie fakir el Fukara. — Co zamierzasz uczynić?

— Chcę wam przygotować nader miłą niespodziankę.

— Drwisz sobie z nas, effendi, i wyrządzasz nam krzywdę. Diabeł wie, dlaczego i za co dostałem



się w twoją moc i, mimo że nie poczuwam się do żadnej winy, pędzisz mnie jak dzikie bydło po stepie to tu, to tam, nie wiem, po co i na co. Ale uważaj! Nie jesteś ani moim panem ani w ogóle nie masz do mnie żadnego prawa, żądam więc raz jeszcze, puść mnie i daj mi wielbłąda, ażebym mógł wrócić do ojczyznanego miasta!

— Tak? Któreż to?

— Obecnie do Chartumu.

— Chwileczkę cierpliwości, a niebawem będziesz mógł przedsięwziąć tam podróż w towarzystwie wielu twoich przyjaciół.

— Niepotrzebne mi żadne towarzystwo. Przybyłem do ciebie sam i sam odjadę, a ty, nie mając żadnej nade mną władzy, musisz mnie puścić.

— I nade mną również nie masz władzy — dodał Abd Asl. — Skąd reis effendina może dawać ci jakkolwiek pełnomocnictwa? A zresztą choćby i tak było, to czyż wolno ci bezkarnie włóczyć nas po stepie bez ustanku? Domagam się więc słusznie, byś nas odstawił do Chartumu.

— Życzeniu twemu stanie się niebawem zadość — odrzekłem.

— Ba, ale kiedy, kiedy? Dziś na przykład oddaliliście się jeszcze bardziej od miasta, a tobie zdaje się zapewne, że postępujesz najmądrzej w świecie. Przypuśćmy, że spotkasz się z moim synem i co wtedy? Czeka cię niechybna śmierć.

— Spotkałem się z nim już dwa razy, no i — żyję.

— Bo masz szczęście, które jednak łatwo zawieść cię może. Dwa razy uszło ci na sucho, ale za trzecim... Allah wydał już wyrok, gdyż wiadomo ci, ilu syn mój posiada wojowników. Cierpliwość proroka wyczerpała się już do ostatka i nie ścierpi więcej, aby jakiś tam spod ciemnej gwiazdy chrześcijanin wodził za nos bezkarnie najzaciejszych muzułmanów. Uważaj tedy, bo nad głową twoją płomienisty miecz zawisł jak na włosie i urwie się lada chwila i biada ci, stokrotna biada!

— Pokażę ci właśnie, nad czyją głową miecz ten wisi, pójdźcie ze mną ku górze, a zobaczycie.

Rozsiodłano wielbłądy i puszczono, aby się pały pod nadzorem trzech asakerów. Reszta żołnierzy wzięła między siebie jeńców i prowadziła ich wzdłuż suchego łożyska. Można sobie wyobrazić przestrach, jaki ogarnął przybyłych, gdy, wszedłszy do kotlinki, zobaczyli leżących na ziemi czterdziestu swoich towarzyszy. Abd Asl krzyczał jak wściekły i obrzucał mnie stekiem obelg i przekleństw tak, że Ben Nil był zmuszony uspokoić go za pomocą bata. Inni jeńcy byli mądrzejsi, bo się nie odzywali. Powiązano im teraz nogi i poukładano obok tamtych czterdziestu.

Teraz już mogłem wybrać się na wyprawę przeciw Ibn Aslowi. Zostawiłem więc dla strzeżenia jeńców i wielbłądów dwudziestu asakerów, którzy poprzednio ze mną byli, a czterdziestu danych mi przez reisa effendinę zabrałem z sobą. Powinienem był zostawić Ben Nila na miejscu dla większej pewności i bezpieczeństwa, ale tak mnie błagał i zaklinał, abym mu dozwolił iść ze sobą, że musiałem się zgodzić. Ostatecznie przewodnik fesarski i najstarszy z asakerów dawali rękojmnię

uczciwości i wypróbowałem ich zresztą do tego stopnia, że niepodobna było odmówić im zaufania. Jeńcy byli porządnie powiązani i ani na myśl mi nie przyszło, aby przez tak krótki czas mogło się zdarzyć coś niepożądanego, tym bardziej, że pozostali tu wypróbowani i życzliwi mi żołnierze. Gdybym był chciał zarządzić nad nimi kontrolę, byłiby z pewnością czuli się obrażonymi.

Było postanowione, że punktualnie w godzinę po wschodzie słońca stanę nad maijeh, obecnie było trochę już za późno, ale nie obawiałem się, jakoby to mogło pociągnąć za sobą niepożądane skutki. Zażądałem tedy od pozostających żołnierzy, by czuwali ze wszystkich sił nad powierzonymi sobie jeńcami, pouczyłem ich dokładnie, jak mogą sobie postąpić w tym lub owym przewidzianym wypadku, zarządziłem wszystko, co tylko potrzeba, i byłem przekonany, że nie zdarzy się nic, co by popsło mi szyki, niestety, jak się niebawem okazało, popełniłem wielki błąd, ufając zanadto ludziom, którzy tego nie byli godni.

Wczorajszego dnia trzymałem się wschodniej strony maijeh, dziś zaś skierowałem oddział po stronie zachodniej ku północy. Przestrzeń między maijeh a górą wynosiła tu jaki kwadrans drogi, ale woda tu i ówdzie wciskała się ramionami w głąb łądu tak, że trzeba było ją okrążyć i wymijać z utratą czasu. Szczyt góry świecił łysiną, a tylko u stóp dołem ciągnęła się roślinność. Im dalej w głąb, tym więcej wznosił się poziom terenu, a skały piętrzyły się stromo i przestrzeń między nimi a wodą malała do tego stopnia, że wreszcie można było przejść tylko dwójkami. Natrafiliśmy wreszcie na z rzadka stojące drzewa gafulowe o liściach ustawionych nieparzyście. Po drzewach tych poznaliśmy, że miejsce, na którym powinien znajdować się Ibn Asl ze swoim oddziałem, jest już niedaleko. Zwróciłem uwagę Ben Nila na ten szczegół, a on na to:

— Możebyśmy przystanęli, effendi... Niechby jeden poszedł ukradkiem naprzód i rozejrzał się, gdzie siedzą łapacze niewolników!

— To zbyt późno, wszak mamy biały dzień.

— No, ale ty nieraz i w biały dzień potrafiłeś się podsunąć pod sam nos nieprzyjaciela.

— Bo teren był ku temu odpowiedni, tu jednak, ani mowy o tym nie ma, bo droga wąska, a Ibn Asl nie zaniedbał zapewne postawić kogoś na widocie, któryby spostrzegł natychmiast zbliżającego się człowieka. Lepiej więc będzie, gdy pomaszerujemy dalej.

— I wpadniemy im w ręce niespodzianie.

— Tego właśnie pragnę! Z wszelką pewnością nie będą do nas strzelać od razu, lecz naprzód zaczną krzyczeć, bo Ibn Asl ma chęć dostać mnie żywcem i musiał zakazać strzelania do mnie. Bądź więc zupełnie spokojny i pozostań z ludźmi poza mną o jakie trzydzieści kroków! Jeżeli przystanę, to czyńcie to samo i wy, dopóki nie dam znaku!

— Muszę być posłusznym, ale przyznam się, że wolałbym pozostać obok ciebie.

— Nie sądzę, bo Ibn Asl pojawi się dopiero wówczas, gdy będziemy w połowie maijeh, a do tego jeszcze kawałek.

— A gdyby reis effendina nie zdążył jeszcze na swoje stanowisko...

— Nic by się nie stało. Podpędzilibyśmy Ibn Asla przed niego. Zresztą czego się obawiać, skoro poza nami nie ma już nieprzyjaciela? Idzie tylko o jedno, a mianowicie, aby nam Ibn Asl nie umknął.

Ruszyliśmy dalej w ten sposób, że ja szedłem naprzód, a oddział posuwał się w tyle poza mną w oddaleniu, jakie wskazałem. Koło drzew gafulowych droga skręciła się ostro na prawo, gdyż właśnie w tym miejscu zatoka wrzynała się w ściany skalne głęboko, pozostawiając wąziutki tylko przesmyk. Skały wznosiły się tu prostopadle, tworząc, żeby tak powiedzieć, wydrążony walec, na którego ścianach nie utrzymałaby się przenigdy stopa ludzka. Po lewej ręce rozpościerało się bagno zarośnięte bujną roślinnością omm sufah, spomiędzy których tu i ówdzie wyglądały zabarwione rudawiną lusterka wody, jak złowrogie ślepie czarownicy. Pod nogami piętrzyły się mniejsze i większe głazy, stoczone z góry i powalone jedne na drugich. Częścią pokrywał je oślizły, mokry mech, to znowu rośliny zgniłe i śmierdzące, jak padlina. W takich warunkach można było tylko z niezwykłą ostrożnością posuwać się dalej, gdyż jeden fałszywy krok — a groziło połamanie nóg i karku.

— Gdyby na kogoś napadnięto z przodu i z tyłu, ten bezwarunkowo nie byłby zdolnym do najmniejszej obrony i musiałby się poddać bez namysłu. Ucieczka w górę na skały wykluczona, a z drugiej strony bagno, pełne paszcz krokodyli, które mają tu znakomite siedlisko. Droga ta najzupełniej trafnie została ochrzczona mianem zgrozy i nieszczęścia!

Mnie jednego chciano oszczędzić w tym miejscu, aby zgotować mi o wiele okropniejsze tortury, natomiast rabusie postanowili wszystkich moich asakerow porzucać żywcem w bagno na pastwę zgłodniałych, obrzydliwych bestii, które całą hurmą cisną się do brzegu, wietrząc zapewne suty żer!

Byłoby to może nieludzkie i niesprawiedliwe, gdybym ten sam los zgotował opryszkom? Ile krwi niewinnej mieli oni na swoim sumieniu! Ile tysięcy Bogu ducha winnych Czarnych unieszczęśliwili haniebnie, sprzedając ich jak bydło! Zdawało mi się w tej chwili, że gdybym ich zepchnął w majeh, byłoby to dla nich karą nader łagodną. Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie, powiada przysłowie, które tu na pustyni jest prawem, zarówno jak i na preriach, na sawannie lub na pampasie i llanosie Ameryki Południowej...

Nie mogłem myśli tej dokończyć, bo tuż niedaleko rozległ się donośny, rozkazujący głos:

— Stój! Ani kroku dalej, bo strzelamy!

Stałem, patrząc bystro przed siebie, gdzie rosły obok siebie dwa drzewa gafulowe, a przed nimi leżały potężne głazy, z poza których widać było trzy lufy, skierowane wprost ku mnie... Położenie okropne... Niechby tylko palcem ruszył który z nich, a poczułbym śmiercionośny ołów w swym ciele...

— Cóż ty zacz? — zapytałem w liczbie pojedynczej umyślnie, jakobym mniemał, że tam tylko jeden jest człowiek.

— Jestem twoim starym znajomym. Chciałbyś się widzieć ze mną?

— Bardzo chętnie...

— Odłóż więc broń, a wyjdę z kryjówki!

— Byłbym głupi, gdybym to uczynił.

Wypowiedziawszy te słowa, skoczyłem w bok, gdzie stało dość grube drzewo, znajdując za nim doskonałe schronienie. Ludzie ci byli nie lada w kłopotcie. Przyszli tu bowiem na czas i czekali znaku ze strony szejka el beled na rozpoczęcie kroków zaczepnych, aż oto wbrew oczekiwaniu zobaczyli mnie samego i zdradzili swą kryjówkę przedwcześnie. Cóż było robić? Czy zyskać na czasie przez nawiązanie rozmowy z nieprzyjacielem, który na szczęście ozwał się po chwili:

— Pokaż no się tu dobrowolnie, to lepiej będzie dla ciebie, niżbyśmy cię musieli zmusić do tego. Pogadamy o tym, czego od ciebie żądam.

— Mów więc, słucham!

— Eh, nie w ten sposób. Odłóż karabin i przyjdź do kamienia, który leży w połowie odległości między nami! Ja przyjdę tam również.

— Dobrze, zgadzam, się, ale gdybym tylko zauważył przy tobie chociażby mały nożyk, pchnę cię tam, skąd nie ma już powrotu.

Oparłem karabin o drzewo i położyłem nóż, a rewolwer na wszelki wypadek schowałem do kieszeni w spodniach, chociaż wcale tego nie było potrzeba.. Spojrzałem przelotnie wstecz. Ludzie moi stanęli, kryjąc się za krzak, który w tym miejscu na szczęście się znajdował, ale mimo to można ich było zauważyć, zwłaszcza Ben Nila, który stał na samym przodzie.

Zupełnie spokojnie wyszedłem z za drzewa i udałem się na wskazane miejsce, gdzie stanąłem, i dopiero teraz wychylił się zza głazów... porucznik Ibn Asla. Zdziwiło mnie to trochę, bo spodziewałem się, że może będzie sam dowódca. Oficer stanął przede mną o parę kroków i zapytał szyderczo:

— Zapewne nie spodziewałeś się ujrzeć mnie tutaj, nieprawdaż?

— I tak i nie — odrzekłem spokojnie — wiedziałem bowiem, że będziecie tutaj, zresztą było do przewidzenia, że raczej sam Ibn Asl zechce rozmówić się ze mną.

— Allah! Wiedziałeś, że urządziliśmy na ciebie zasadzkę?

— O, ja wiem jeszcze więcej. — Ja wiem wszystko. W tej chwili czekasz na hasło, które ma dać szejka el beled. Czy może myślę się, twierdząc, że strzał z jego flinty ma oznaczać rozpoczęcie kroków wojennych?

— Allah jest wszechwiedzący, on wszystko widzi i słyszy i wie. Ale skąd ty wiesz o zamiarach szejka?

— Dowiesz się później, a tymczasem przywołaj tu Ibn Asla!

— Jego tu nie ma.

— Jest na pewno.

— Na pewno? A no w takim razie sławna twoja wszechwiedza nie jest tak wielka i pewna, jak to udajesz, bo gdybyś wiedział, gdzie znajduje się obecnie Ibn Asl, to o wiele mniej bezczelnie zachowywałbyś się w tej chwili.

Słowa te zastanowiły mnie. Przede wszystkim żałowałem mocno, że nie zostawiłem Ben Nila przy jeńcach, bo właśnie teraz przyszło mi na myśl, że Ibn Asl zmienił plan o tyle, o ile właśnie osoba jego wchodziła w rachubę. Możliwe, że nie dowierzał szejkowi el beled i dlatego oddał dowództwo nad tym oddziałem swoim oficerom, a sam pospieszył w ślad szejka el beled, aby prowadzić nam na karki czterdziestu ludzi. Na szczęście spóźnił się z tym, bo zdołałem wcześniej rozbroić całą tę zgraję, zaczajoną w kotlinie. Pocieszałem się jednak tą myślą, że on sam jeden nie podołałby zadaniu, gdyby mu się zechciało uwolnić uwięzionych, ale i w tym wypadku trzeba było być przygotowanym na niespodziankę, wszak łatwo przez przypadek prosty mogło mu się poszczęścić i... wobec takiego obrotu rzeczy prawdopodobieństwo ujęcia tego gałgana znacznie w mym pojęciu zmalało. Oczywiście nie dałem poznać tej troski po sobie i odpowiedziałem oficerowi z chytrym uśmiechem:

— Gdzie znajduje się Ibn Asl, nie potrzebujesz mi mówić o tym. Jeżeli go nie ma tu na czele sześćdziesięciu ludzi, to z pewnością jest w tyle przy tamtych w kotlinie.

— Masz babo... On wie o tej kryjówce w wyschlým potoku... Któż ci zdradził to miejsce?

— Wiem o niej i powinieneś się tym zadowolić, zresztą słyszałeś już nieraz, że ja wiem wszystko, co chcę wiedzieć, a wy, głowy baranie, wy głupcy powinniście nareszcie pogodzić się z tym, iż ja nie dam się na nic złapać ani w jakikolwiek sposób podejść; Ustawiliście łapkę sami na siebie, a nie na mnie i daliście się połapać jak głupie osły.

— Cha, cha, cha— zaśmiał się szyderczo oficer — co też ty pleciesz... Nie powiem, że Allah odebrał ci wzrok, bo widzisz mnie w tej chwili, ale zdębiejesz, bratku, gdy ci oznajmię, że jesteś tu zamknięty naokoło razem ze swoimi dwudziestoma asakerami i nikt cię z tych sideł nie wydobędzie... Wyraziłeś się o nas, jakobyśmy mieli baranie głowy, a mimo to, nie widziałem nigdy jeszcze tak zbaraniałej jak twoja.

— Czy istotnie możesz mnie o tym przekonać, ty, mędrco nad mędrkami?

— Dowód zupełnie łatwy. Czy mogło być większe głupstwo nad to, żeś wtajemniczył szejka el beled w swoje plany i powiedziałeś mu, jak to będziesz wrzucał jeńców po jednym zgłodniałym krokodylom w majeh?

— A! U ciebie to nazywa się głupotą! Człowieku, żal mi cię, bardzo żal, że właśnie ty jesteś cielęciem. Nie było to wcale głupotą z mej strony, lecz ściśle i doskonałe obrachowanie, które aż do

tej chwili nie zawiodło mnie o jotę.

Opowiedziałem mu w krótkości cały przebieg moich starań od początku do chwili obecnej i, co już udało mi się uzyskać. Biedak, słysząc to, załamał ręce i zawołał:

— Allah, Mahomet! I ja... ja... mam w to uwierzyć?

— Chcąc nie chcąc, uwierzyć musisz. Gdzież się zapodział szejk z czterdziestoma wojownikami? Dlaczego nie daje do tej pory umówionego znaku? Dlaczego nie strzela?

— On się pojawi jeszcze, jestem tego zupełnie pewny! Ale nawet na wypadek, gdyby nie przybył, nie masz jeszcze powodu do triumfu. Rozporządzasz bowiem tylko dwudziestoma asakerami, a nas jest przeszło sześćdziesięciu i...

— I — przerwałem mu — nie macie nic lepszego do zrobienia, jak poddać się na moją łaskę lub niełaskę.

— Co? Myślisz, żeśmy powariowali?

— Mogę sobie to pomyśleć, skoro wleźliście w nastawioną przeze mnie pułapkę tak skwapliwie i łatwowiernie, a zresztą, niech ci się nie zdaje, że masz odwrót wolny, gdy tymczasem za plecami stoi reis effendina z całym oddziałem żołnierzy.

— Reis e... e... ef... effen... dina...? — szepnął drżącymi ustami. Kłamiesz!...

— Nie, nie kłamię, biedny człowieku, lecz mówię prawdę. A tu, po tej stronie mam nie dwudziestu tylko, lecz o wiele więcej ludzi, gotowych do ataku. Powiedziałem ci przecie, że reis effendina dał mi wczoraj cały oddział do dyspozycji. Rozkazuję ci więc, być złożył w tej chwili broń, gdyż na wypadek oporu, możesz niebawem poczuć na własnej skórze ostre zęby tych zielonych bestii, tam, patrz... Oczywiście nie sam, ale razem ze swoimi...

— Effendi, co tobie przyszło do głowy, chcesz mnie za pomocą podstępu...

— Milcz i nie obrażaj mnie! — przerwałem mu surowo. — Chcę ci jeszcze pokazać z grzeczności tylko i dla uniknięcia przelewu krwi, że mówię prawdę. Reis effendina!!... Emirze!!...

Wypowiedziałem te dwa wyrazy głosem donośnym, przykładając dłonie do ust, i natychmiast dała się słyszeć po drugiej stronie wąskiej zatoki odpowiedź:

— Effendi! Jesteśmy tu!

— No? — zapytałem porucznika — słyszałeś, że emir znajduje się nie dalej stąd, jak około dwieście kroków.

— Czy to on?

— A któżby inny? Dałem mu znać, że tu jestem, i oczywiście nadejdzie tu lada chwila z

żołnierzami i wpadnie wam na karki... Radzę ci więc, poddaj się zawczasu i dobrowolnie... A może... masz chęć zobaczenia moich żołnierzy? Proszę!

Obróciłem się wstecz, dając znak i w tej chwili wypadł z za krzaków Ben Nil, a za nim żołnierze z karabinami gotowymi do strzału. Droga skręcała tu w łuk do tego stopnia, że na wypadek strzelania z ich strony, byłem zupełnie na boku. Porucznik, zobaczywszy zbliżających się szybko żołnierzy, krzyknął rozpaczliwie: — Allah! Toż to co najmniej sto głów! Effendi! Poddaję się, poddaję!

Skoczył prędko do swej kryjówki i wyniósł karabin, a następnie pobiegł do dwu swoich towarzyszy, którzy byli nieco dalej. Postąpiłem naprzód kilka kroków za nim i spostrzegłem, że było tu dość znośne miejsce do ukrycia się. Wprawdzie nie spodziewałem się, żeby tu przyszło do utarczki, ale dla pewności kazałem żołnierzom skryć się poza kamienie i krzaki i czekałem, co będzie dalej. Porucznik był tak przerażony, że słowa przemówić nie mógł, widocznie nie spodziewał się ujrzeć tylu ludzi po mojej stronie. O niego więc nie miałem już żadnej obawy wiedząc, że się podda dobrowolnie. Ale co z emirem?

Po upływie niedługiego czasu usłyszałem z drugiej strony zatoki głośnie krzyki i wołania, ale nie można było zrozumieć z tego słowa, tym bardziej, że padł strzał, potem drugi, trzeci... Krzyk nie ustawał przez dłuższą chwilę, aż wreszcie ustał nagle, a na drodze ponad majeh ukazał się żołnierz, zmierzający ku mnie dość szybko. Wychyliłem się z kryjówki i zawołałem do niego, gdy był już blisko:

— Puścili cię łowcy?

— Musieli, effendi, bo... złożyli broń.

— Chwała Bogu! Ale... Strzelano...

— Emir chciał ich przekonać, że nie żartuje, a nawet czterech padło bez ducha, no i dopiero wówczas poddali się. Emir prosi cię, effendi, abys spieszył czym prędzej pomóc wiązać jeńców.

Poszliśmy naprzód i niebawem natknęliśmy się na kilku łowców, którzy mieli jeszcze broń w rękach, ale nie zdradzali bynajmniej ochoty do zrobienia z niej użytku.

— Effendi! — zawołał emir.

— Jestem!

— Nieprzyjaciel poddał się i złożył broń. Trzeba tylko powiązać złapanym ręce w tyle, ale tak, żeby jeden do drugiego był przywiązany w łańcuch, któryby można było transportować do łożyska potoku. Uważaj z tamtej strony, żeby który nie uciekł!

Emir obmyślił doskonały sposób transportowania jeńców systemem łańcuchowym, gdyż tylko tak na tej wąskiej i niebezpiecznej drodze było możliwe. Niebawem uformował się pochód. Na czele postępowali moi asakerzy z gotową do strzału bronią, za nimi jeńcy, a emir ze swoimi ludźmi na końcu. Potem, gdy droga się już rozszerzyła, ściągnęliśmy się tak, że jeńcy maszerowali dwójkami, a obok nich szli żołnierze, bacząc pilnie, żeby który nie uciekł. Emir mógł wreszcie na wygodnej już

drodze iść ze mną razem. Był bardzo zadowolony ze zwycięstwa, ale trapiło go tylko to, zarówno jaki i mnie, że nie udało nam się pochwycić Ibn Asla.

— Gdzieżby on się podział? — pytał emir. — Nie dowiedziałeś się od porucznika?

— Podobno ma być w łożysku wyschniętego potoku, tak bowiem postanowił już w ostatniej chwili. Może go jeszcze schwytamy, jak myślisz?

— Ciężko będzie. Chyba, że już go schwytano.

— Kto? Nasi w kotlinie?

— Bynajmniej, lecz ci, co strzegli wielbłądów, bo przecie musiał koło nich przechodzić, jeżeli zmierzał do kotlinki.

— Ilu tam było na straży?

— Z początku trzech, ale potem kazałem dodać jeszcze dwu.

— O jeżeli tak, to powinni go byli ująć. Pięciu mogło dać radę jednemu, a w ostatecznym razie przynajmniej Ibn Asl nic nie wskórał.

— Ja się obawiam czego innego, emirze... Czy wszyscy twoi żołnierze znają go osobiście?

— Nie.

— A zatem możliwe, że Ibn Asl podał się za kogo innego i łatwo wprowadził w błąd asakerów...

— Masz słuszość, trzeba się pospieszyć.

— Może lepiej będzie, gdy ja pójdę naprzód, bo im wcześniej będę na miejscu, tym lepiej.

— A więc idź i weź Ben Nila, a ja o ile możności przyspieszę pochód!

Okazało się, niestety, że obawy moje były uzasadnione. Przybywszy z Ben Nilem na północny stok góry, spostrzegłem od razu, że stało się coś, co się stać nie powinno. Tuż niedaleko miejsca, na którym pasły się wielbłądy zauważyłem pięciu ludzi, a dalej, gdzie koryto wrzynało się w głąb góry, znajdowała się grupa ludzi, którzy nie powinni byli znajdować się tutaj, gdyby było nie zaszło coś nadzwyczajnego. I tu było również pięciu. Dwu z nich leżało na ziemi, a tamci pochylali się nad nimi. Zobaczywszy mnie jednak, stanęli wyprostowani, czekając, dopóki się nie przybliżę. Byli to przewodnik fesarski i askari, któremu powierzyłem komendę, oraz jeden z asakerów. Z daleka już wywnioskowałem z ich zachowania się, że zaszedł jakiś przykry wypadek.

— Co się stało? — zapytałem — Dlaczego ci dwaj leżą na ziemi?

— Effendi, oni... oni są ranni... — odrzekł stary askari.



— Kiedy? W jaki sposób? Kto?

— Jakiś obcy...

— Jakżeż to możliwe... Nie wiecie, co to za jeden?

— Nie widziałem go nawet, a ten — wskazał obok stojącego żołnierza pełnił wartę i widział go wprawdzie, ale nie wie, kto to był.

— A reszta strażników?

— Nie wiem, czy oni go poznali, i nie mogę ich pytać, bo leżą, nie dając znaku życia.

— Ale widzę ich tylko dwu i tego trzeciego tutaj, jest więc razem trzech, a ja przecie rozkazałem wyraźnie, by pięciu strzegło wielbłądów!

— Effendi — ozwał się stary askari, spuszcżając wzrok — teraz to już stoi pięciu...

— Hm, teraz — rzekłem nie bez gniewu — teraz jest was tu dwa razy tyle, a zatem koło jeńców jest tylko dziesięciu, zamiast piętnastu! Co to za porządek!? Jeżeli nie umiesz wykonywać moich rozkazów, to nie ma się czemu dziwić, że zachodzą wypadki wcale niepożądane. Jesteś najstarszy z asakerów, to prawda, ale lepiej bym zrobił, gdybym powierzył dowództwo małemu dziecku niż tobie, bo ono by wypełniło moje rozkazy. Cóż to się dzieje z tymi dwoma?

— Mam nadzieję... effendi... że oni tylko... stracili przytomność... i że obudzą się zaraz...

— Cuciliście ich?

— Przez całą godzinę, ale to wcale nic nie pomaga...

— Rozumie się... Popatrz tylko na ich twarze, na te zmienione rysy!

Przykląknę, by zbadać rannych, leżących w kałuży krwi. Jeden z nich został trafiony śmiertelnie w tył czaszki, drugi w pierś. Ci stroskani nawet surdutów na nich nie rozpięli.

— Człowieku! — krzyknąłem gniewnie na starego — gdzie ty podziałeś swoje oczy? Przecie obaj skonali w krótkim czasie po otrzymaniu kul! Chciałbym tylko wiedzieć, jak się to wszystko stało.

— Pytaj tego, effendi, bo był przy tym — rzekł stary, wskazując żołnierza.

— Mów! — rozkazałem mu.

— Panie! — zaczął biedak, kłapiąc zębami — wierz mi, że ja nic nie winien. My wszyscy trzej właśnie objęliśmy wartę...

— Trzej? — przerwałem mu — a więc mimo mego nakazu było was tylko trzech!

— No, tak, ale to nie moja wina.

— Wiem, że to nie od ciebie zależało. Mów dalej!

— A no, skoro tylko tamci poprzedni odeszli, zobaczyliśmy człowieka, który zbliżał się do nas ze stepu wzdłuż brzegu bagna. Człowiek ten, zobaczywszy nas, zląkł się w pierwszej chwili, ale potem coś sobie pomiarkował i przyszedł tu...

— Był uzbrojony?

— Tak. Stałem przed nim pierwszy i zatrzymałem go, przystąpił bliżej dopiero wówczas, gdy mu na to pozwoliłem.

— Głupstwo popełniłeś. Trzeba było albo go ująć albo nie dopuścić do siebie.

— Myśmy go chcieli złapać i właśnie dlatego pozwoliłem mu zbliżyć się aż tutaj.

— Pytał, coście za jedni?

— Pytał.

— I powiedziałaś?

— Jakżeż nie miałem powiedzieć, skoro jestem żołnierzem reisa effendiny!

— Oj, ośle jeden, ośle, popełniłeś głupstwo nie do darowania. Pytał się, kim jesteście, aby wiedzieć, jak ma mówić z wami. Powtórz mi wszystko dokładnie, coście mówili i jak się rzecz miała, bo to dla mnie rzecz niesłychanie ważna! Odpowiadaj na moje pytania, ale prawdę, bo tylko w ten sposób możesz liczyć na łaskę, na którą wcale nie zasłużyłeś! O cóż on więc pytał?

— Pytał, cośmy za jedni, a gdy mu powiedziałem, chciał się dowiedzieć, gdzie są nasi towarzysze. Wzbraniałem się, ale on nalegał, mówiąc że jest przyjacielem emira.

— I uwierzyłeś?

— Nie zaraz, byłem ostrożny, effendi, i nawet zarzuciłem mu kłamstwo w żywe oczy, ale on mówił tak z góry i z taką pewnością siebie, że nie wiedziałem, co mam robić. Twierdził mianowicie, że jest posłańcem gubernatora z Chartumu i ma dla reisa effendiny bardzo ważne rozkazy.

— Gubernator nie ma nic do rozkazywania emirowi.

— O tym nie wiedziałem. Podał się za oficera wysokiej rangi, mówił, że jest... zaraz... że jest mi alaj\* zachowywał się tak butnie względem nas, żeśmy musieli mu uwierzyć.

— Musieli, no proszę! Gdyby pies do ciebie szczekał, zamiast spokojnie skomleć, to uwierzyłbyś, że to lew! No, ale mów dalej! Dowiedział się o wszystkim, nieprawdaż?

— Niby tak. On nawet ciebie zna i wyrażał się o tobie bardzo przyjaźnie, co zupełnie nas rozbroiło, i powiedzieliśmy mu, gdzie jesteś, gdzie znajdują się jeńcy, słowem — wszystko.

— Cóż on na to, gdy się dowiedział, że jeńcy są w kotlinie?

— Musieliśmy mu opowiedzieć, w jaki sposób połapaliśmy wszystkich czterdziestu.

— Dowiedział się też, że i reis effendina jest tu w okolicy?

— Niestety tak, effendi.

— A może nawet powiedzieliście mu, w jaki sposób postanowiliśmy schwytać Ibn Asla?

— O to najbardziej nas wypytywał.

— A no natrafił na prawdziwych cymbałów! O łatwowierniejszych nawet może i marzyć nie mógł. Gdzieście podzieli głowy, osły jedne! Wypapraliście wszystko obcemu zupełnie człowiekowi, zamiast schwytać go za kark i nie puścić, dopóki ja nie powrócę! A! Niech was! Jakże wyglądał?

— Miał na sobie biały haik.

— Wzrostu?

— Nie wysoki, ale bardzo barczysty.

— A twarz?

— Pokryta czarnym zarostem prawie w zupełności.

— I wiesz ty, synu, ty, wnuku dziadka największej w świecie głupoty, komu to udzieliłeś tak ważnych wiadomości? Toż to był Ibn Asl, dowódca bandy łapaczy niewolników i nasz wróg!

— Allah! Uszom własnym nie wierzę!

— Wartoby ci je porządnie natargać, boś osioł nad osłami. Cóż on na to, gdyś mu naopowiadał tyle pięknych rzeczy?

— Zażądał rozmowy z dowódcą.

— A wiesz ty, co wam należało zrobić, nicponiu jeden? Gdybyście byli mieli choć odrobinę oleju w głowie, to sprawa przedstawiałaby się w tej chwili zupełnie inaczej: trzeba było zażądać, ażeby złożył broń, a dwu was poprowadzi go do komendanta. Czemuście tego nie zrobili?

— Bo on rozkazał, żeby jeden poszedł zawołać go tutaj.

— I kto poszedł?

— Ja.

— To uratowało ci życie. Widocznie drab bał się trzech i dlatego wysłał cię, żeby mieć tylko z dwoma do czynienia. Mów dalej!

— Poszedłem, nie przeczuwając nic złego, gdy jednak znajdowałem się tam wewnątrz koryta, przysłała mi myśl, czyby nie lepiej wrócić i złapać go. W tej chwili właśnie usłyszałem dwa strzały jeden po drugim koło wielbłądów i wróciłem natychmiast; niestety było już za późno, bo nieznajomy wsiadał właśnie na białą wielbłądzicę, a dwaj moi towarzysze leżeli na ziemi.

— Nie strzelałeś za nim?

— Owszem, celowałem w samą głowę, ale kula chybiła. Nim naładowałem po raz drugi, on był już daleko.

— W którym kierunku pojechał?

— Tam, skąd przybył.

— Na zachód?

— Tak. Znikł za bagnem.

— A potem?

— Potem stary, usłyszawszy strzały, przybiegł tutaj, dopytując się, co zaszło. Kazał więc zaraz postawić koło wielbłądów pięciu ludzi, a sam usiłował ocucić nieboszczyków, ale, jak widzisz sam, bezskutecznie.

— Głupi zawsze tak czyni. Radby naprawić błąd, gdy już jest za późno. Wy jesteście winni śmierci dwu towarzyszy no i żeście pozwolili uciec Ibn Aslowi. Nie będę się wdawał w śledztwo i pozostawiam to reisowi effendinie, a sam wolę przedsięwziąć kroki celem naprawienia złego choć w części pomimo, że nie mam wielkiej ku temu nadziei. Pomóżcie mi jak najprędzej osiodłać wielbłądy: pojedę z Ben Nilem za zbiegiem! Ty, stary, marsz do jeńców! Zostawiłeś tam tylko dziesięciu ludzi i łatwo mogą nam draby puciekać. A powiedz reisowi effendinie, że wrócę niebawem!

W parę minut później jechaliśmy na wielbłądach w kierunku, gdzie, jak nam opowiadano, Ibn Asl zniknął poprzednio.

Mieliśmy obecnie te same wielbłądy, na których niedawno ścigaliśmy Ibn Asla na Wadi el Berd i kiedy to trudno nam było dogonić zbiega, siedzącego na białej wielbłądzicy. Wiedziałem więc z góry, że i obecnie nasze wielbłądy nie będą mogły sprostać szlachetnemu zwierzęciu pod względem szybkości, ale pocieszałem się myślą, że przecież wskóramy coś z pomocą podstępny. Widocznie i Ben Nil był tego samego zdania, bo skoro zrównaliśmy się ze sobą na stepie, zagadnął mnie:

— Sądziś istotnie, effendi, że dogonisz zbiega? Przypominasz sobie, co było na Wadi el Berd...

— Ani myślę gonić za nim, bo to do niczego nie doprowadzi, możliwe jest jednak, że wpadnie nam pod ręce sam, dobrowolnie, bez zbyteńnego z naszej strony wysiłku. On w tej chwili jest tam! — dodałem, wskazując ręką na step, ciągnący się ku północy.

— Byłby skończonym głupcem...

— Za pozwoleniem, tym razem nie można tego o nim powiedzieć. Przyznasz, że ja nigdy się nie mylę w przypuszczeniach i to zwłaszcza w takich wypadkach, kiedy są najbardziej ryzykowne i niepewne.

— No, prawda, ale czy i obecnie...

— Ibn Asl rozpływał się już w radości ze zwycięstwa i teraz tym większa ogarnia go rozpacz. Od żołnierzy dowiedział się, jakie nieszczęście zawisło mu nad głową i nawet nie miał odwagi pójść parę kroków celem zobaczenia się ze swoim ojcem i jeńcami. Jedyne ratunek widział w ucieczce, która mogła mu się udać tylko wówczas, gdyby dosiadł swej wielbłądzicy, a że ją spostrzegł w towarzystwie naszych wielbłądów, więc uporał się szybko ze strażnikami i wsiadł na to doskonałe zwierzę, będąc teraz pewnym, że go nikt nie dogoni, bo takiego drugiego wielbłąda nikt tutaj nie posiada. A zatem co do swej osoby czuje się zupełnie bezpiecznym, ale weźmie go niewątpliwie chęć dowiedzieć się, co się stanie z jego ludźmi, schwytanymi do niewoli, no i z tymi, którzy wedle jego nadziei, mogą przecież ujść nam bezkarnie. Nie ma więc potrzeby uciekać, przeciwnie, może być dla nas nawet bardzo groźnym, zwłaszcza gdyby zamknął nam odwrót. Jestem prawie pewny, że zbieg usadowi się gdzieś na otwartym miejscu, aby się przypatrzeć naszemu pochodowi w chwili, gdy będzie okrążał bagno w kierunku kotlinki.

— Ba, ale gdzieżby się schował?

— Mój drogi, w otwartym stepie można znaleźć doskonałą kryjówkę właśnie dlatego, że to wielka płaszczyna. Ileż to krzaków i kęp na całej przestrzeni, gdzie człowiek niknie, jak grudka ziemi i szukajże go, gdzie chcesz!

— No, prawda, ale... Ibn Asl posiada przecie białą wielbłądzicę, której tak bardzo łatwo ukryć nie można.

— Jest przecie pofarbowana.

— A biały haik...

— Zrzuci go niezawodnie..

— No to w takim razie powiem jeszcze jedno, czemu nie zaprzeczysz. Jeżeli on zechce nas widzieć, to musi się zbliżyć na taką odległość, że i my go zobaczyć możemy.

— Widziałem na pokładzie „Jaszczurki” lunetę okrętową, którą on ma przy sobie, jak przekonałem się o tym wczoraj, obserwując go przy ognisku. Otóż może on nas spostrzec o wiele łatwiej, niż my jego okiem nieuzbrojonym. Na nieszczęście zapomniałem zapoznać się z tym instrumentem, no ale niniejsza o to. Przypuszczam tedy, że on odjechał spory kawał drogi i potem zawrócił w kierunku,

gdzie znajduje się łóżysko potoku. Wybrawszy sobie dogodne miejsce, zsiadł, przywiązał wielbłądzicę, żeby leżała, i zwrócił lunetę w tym kierunku, w którym, jego zdaniem, ma ukazać się nasz oddział z powrotem.

— Jeżeli tak, to możliwe, że widzi nas obu w tej chwili.

— To nic nie szkodzi, bo on nie ma pojęcia, co zrobimy. Idzie tylko o to, w jakim kierunku zwróci się potem, gdy się już dowie, czego chciał się dowiedzieć.

— W każdym wypadku w dół Nilu, na miejsce, gdzie znajduje się jego okręt.

— I ja jestem tego mniemania. Uważa on sprawę obecną za przegraną z kretesem, bo pozostał jedynie sam i nie ma nikogo do pomocy w celu odbicia nam jeńców! Jedyną dla niego deską ratunku jest potajemna ucieczka do swego okrętu. Stąd następnie bądź drogą wodną, bądź też przez step na szybko nogiej wielbłądzicy pospieszy do Faszody, gdzie oczekują go współpracownicy i przyjaciele. Przy ich pomocy może więc zwerbować w Faszodzie i Funakamie świeży zastęp ludzi i rozpocząć na nowo zbrodnicze swoje rzemiosło. Z tego wszystkiego wynika, że obecnie pojedzie prosto w kierunku mniej więcej Hegazi, to jest tam, skąd przybył. Na tej tedy podstawie opieram swój plan, do którego wykonania musisz mi dopomóc.

— Rozkazuj, effendi!

— Jeżeli zbieg postąpi istotnie tak, jak się spodziewam, to oczywiście mogę nawet wnioskować, gdzie on się znajduje w chwili obecnej. Nasz pochód wyłoni się zza skał ponad majeh i następnie skręci na lewo. W tej zatem okolicy Ibn Asl musiał zająć odpowiednie miejsce do obserwacji i to nie dalej, jak sięga doniosłość jego lunety. Przeprowadziwszy w myśli odpowiednie obliczenia geometryczne, mogę niemal dokładnie oznaczyć punkt, który przez niego jest zajęty.

— Nie rozumiem...

— Mniejsza o to, że nie rozumiesz, bo wyszukanie tego człowieka należy do mnie, nie do ciebie. Okrążę go tak zręcznie, że ani się spostrzeże, kiedy zaskoczę go z tyłu i zmuszę do ucieczki naprzód, a więc ku południowi, gdzie właśnie ty w tym czasie udać się musisz i, ukrywając wielbłąda, zaczniesz się. W chwili, gdy zbieg będzie zupełnie blisko, wycelujesz i zastrzelisz wielbłądzicę.

— Czemu nie jego?

— Bo widzisz... jaki on jest, taki jest, ale zawsze to człowiek i należy oszczędzać jego życie. Wielbłądzica jego jest wprawdzie bardzo cenną, ale przyznasz, jest ona tylko zwierzęciem. Skoro więc padnie ona od twojej kuli, Ibn Asl pocnie uciekać na własnych nogach, a ty wtedy dosiędziesz wielbłąda i popędzisz za nim, podczas gdy ja zbliżać się będę ze strony przeciwnej, i wówczas musimy go złapać bezwarunkowo.

— A jeżeli on będzie do nas strzelał?

— Nic nie szkodzi, zresztą moja w tym głowa, aby do tego nie dopuścić. Możesz być pewny, że

zanim zdołałby podnieść karabin do ramienia, padłby z mej ręki. Zrozumiałeś mnie zatem?

— No, niby tak, ale co do tego miejsca, gdzie ja mam się zacząć, to naprawdę nie mam żadnego pojęcia i jestem bardzo ciekaw, czy zdołasz określić mi je dokładnie, wszak to rozległy, otwarty step!

— Bardzo łatwo...

— Co ty mówisz, effendi? Przypuśćmy, że zbieg istotnie pojedzie w kierunku południowym, ale czy wiesz na pewno, jak daleko będzie się trzymał ku zachodowi lub wschodowi?

— I to nawet można w przybliżeniu obliczyć. Za daleko ku wschodowi nie może się zapaść, bo zboczyłby przez to i przedłużył sobie drogę niepotrzebnie, a po wtóre zbliżyłby się zbyt do Nilu, gdzieby go niezawodnie spostrzeżono. Wnioskuje więc, że skieruje się on o ile możności jak najdalej na zachód, a że tu wysuwa się bardzo głęboko w step wąska odnoga majeh, więc musi ją okrążyć i jestem pewny, że spotkać go będzie można tuż na brzegu tej odnogi. Tam właśnie będzie twój posterunek.

— Daleko to stąd?

— Jesteśmy teraz na północnej stronie bagna. Spójrz w kierunku południowo-zachodnim, a ujrzysz na horyzoncie ciemną linię.

— Widzę, effendi.

— Otóż linia ta, to krzaki, które rosną nad brzegiem wspomnianej odnogi bagna. Tam, na lewo, gdzie urywa się ta linia, jest także zakończenie odnogi. Masz więc punkt określony prawie dokładnie i jedź natychmiast, ale uważaj dobrze, żebyś jakiego głupstwa nie palnął i przede wszystkim staraj się dobrze wycelować!

— Wiesz przecie, że strzelać umiem.

Po tych słowach rozjechaliśmy się w przeciwnych kierunkach. Jeżeli Ibn Asl istotnie był w tej chwili tak niedaleko, że mógł nas obserwować, to zdziwił się niemało, dlaczego przedsięwziąłem tego rodzaju manewr, i prawdopodobnie ani mu do głowy przyszło podejrzewać mnie o wrogie względem siebie zamiary; uważałem go zresztą za zbyt głupiego na takie domysły, a mimo to trzymałem się w dość znacznej odległości w kierunku zachodnim, aby nie być przez niego spostrzeżonym. W takim bowiem razie uciekłby co tchu i nie mógłbym go napędzić w stronę Ben Nila.

Wyjechawszy na pełny step, zatoczyłem wielki łuk, by o ile możności znaleźć się poza obrębem koła, w którym mógłby mnie Ibn Asl dostrzec przez swoje szkła. Okrążywszy go tak dalece, że znalazłem się wreszcie zupełnie po przeciwnej stronie domniemanej jego kryjówki, skręciłem nagle w to miejsce po linii prostej, zmuszając wielbłąda do wytężonych wysiłków, ażeby pozostawić przeciwnikowi jak najmniej czasu. Na wszelki wypadek odpiąłem od siodła karabin, przypuszczając, że może mi się samemu uda ubić zwierzę pod opryskiem.

Liczyłem na to, że on całą swoją uwagę skupi na jednym punkcie, to jest w miejscu, gdzie spodziewa się dostrzec nasze wojsko chciałem się przekonać, czy owo przypuszczenie nie jest zamkiem na lodzie. Szukać na stepie człowieka, który może Bóg wie gdzie się obraca byłoby rzeczą dosyć nierozsądną, a nawet poniekąd śmieszną.

Na szczęście jednak uniknąłem tej nieprzyjemności, bo właśnie spostrzegłem przed sobą niedaleko, jak poruszyła się trawa i następnie wielbłąd zerwał się na równe nogi razem z jeźdźcem i frunął jak wypłoszony ptak.

A więc był Ibn Asl i to właśnie w tym miejscu, jak przypuszczałem. Obecnie umknął jak strzała, zarzucając na plecy flintę i oglądając się na mnie zupełnie tak samo, jak wówczas na Wadi el Berd. Nie mogłem ani też nie chciałem strzelać za nim i możliwe, że byłbym go jeszcze trafił, chociaż odległość była wielka.

Zastanowiła mnie ta okoliczność, że Ibn Asl uciekał nie w tym kierunku, jak się spodziewałem, lecz na prawo, jakby właśnie obrał sobie za cel wiadome koryto potoku. Niebawem jednak zagadka się wyjaśniła, bo oto w tej chwili ukazali się tam asakerzy z jeńcami. Ibn Asl więc starał się podjechać o ile możności najbliżej, by zobaczyć dokładnie wszystko, a o mnie jakby wcale się nie troszczył.

Wiedziałem z góry, że będzie się trzymał o tyle z daleka, aby go nie dosięgły kule asakerów, po czym musiał, moim zdaniem, zwrócić się na lewo, żeby ominąć bagno. Nie trwało długo, a mój przeciwnik oddalił się na znaczną odległość i nawet przystanął na chwilę, aby się lepiej przypatrzeć pochodowi. Widocznie nazbyt ufał zdolnościom swojej wielbłądzicy. Wykorzystałem ten moment w ten sposób, że nie pędziłem prosto za nim, lecz zboczyłem w kierunku majeh, nie tyle w celu odcięcia mu odwrotu, bo to było wykluczone, ile dla zbliżenia się w najlepszym razie chociażby na odległość strzału.

Moi asakerzy zauważyli go, jak również i mnie i zmiarkowawszy, co się święci, wszczęli straszny krzyk, a on coś im odpowiadał, po czym obejrzał się za mną, a widząc, że go chcę wyprzedzić, podpędził zwierzę na nowo. Teraz dopiero poznałem dokładnie, jak wspaniałym okazem była biała wielbłądzica, która niosła jak wiatr w potężnych niedoścignionych skokach! Ażeby dopędzić ją na odległość strzału, o tym i mowy nie było. Zmuszałem wprawdzie swego wielbłąda do ostatnich wysiłków, ale to na nic się ni przydało.

Ku memu zadowoleniu Ibn Asl obrał kierunek wprost ku Ben Nilowi. Dlatego też manewrowałem na swoim wielbłądzie tak, aby zmusić uciekającego do utrzymania tego kierunku. Ponadto starałem się o ile możności zwrócić jego uwagę na siebie, to jest w tył, ażeby zawczasu nie spostrzegł Ben Nila i w tym celu począłem mu głośno wymyślać, co ślina na język przyniosła, a że powietrze było spokojne, głos się rozchodził daleko i mógł dotrzeć do uszu Ben Nila, tym bardziej, że i uciekający odplacał mi się nie mniej ordynarnymi wyrazami, nie szczędząc wcale gardła.

Nagle wyskoczył zza krzaka Ben Nil z karabinem w ręce, co oczywiście nie uszło uwagi Ibn Asla, który skreślił nagle w bok, ale wielbłądzica przez to właśnie stanowiła pewniejszy cel, bo była zwrócona do strzelającego bokiem. W sekundę później zobaczyłem małą chmurkę dymu i usłyszałem odgłos strzału... Wielbłądzica szarpnęła sobą, jakby zadano jej cios z przodu, lecz nie przeszkodziło



jej to wcale biec w dalszym ciągu niemal lotem ptaka, tym bardziej, że jeździec okładał ją z całej siły kolbą flinty, aż echo się rozlegało. Ben Nil strzelił po raz drugi, niestety... chybił, a tymczasem Ibn Asl ominął bagno i — uciekł.

— Ja nic nie winien, effendi — skarżył się Ben Nil, gdy za chwilę zatrzymałem się obok niego. — Trafiłem wielbłądzicę, która, jak sam zapewne zauważyłeś, stanęła w biegu na jedno okamgnienie.

— Trafiłeś — odrzekłem zsiadając — wiem o tym, ale tylko pierwszym razem, drugi strzał chybił zupełnie.

— A tak doskonale wycelowałem. Widocznie ręka mi zdrząła z wielkiego podniecenia i złości. Bo czyż można zachować zimną krew, gdy się ma pewność, że strzał nie chybił, a wielbłądzica pędzi dalej, jak gdyby nigdy nic. Ale ja ją trafiłem na pewno i w przeciągu krótkiego czasu musi paść. Celowałem przecież w piersi.”

— Ciekawy jestem, czy znajdziemy ślady krwi — rzekłem na to, schylając się ku ziemi. Niestety mimo skrupulatnych badań na znacznej przestrzeni, nie zauważyłem ani jednej czerwonej kropelki.

— A no... chybiłeś.

— Nie, effendi, mogę przysiąc na brodę proroka i wszystkich kalifów, że trafiłem w piers. Zważ, że strzelałem z oddalenia co najwyżej pięćdziesięciu kroków. Czyż wobec tego możliwe było, abym spudłował?

— I mnie się tak zdaje, bo wówczas wielbłądzica nie byłaby się tak rzuciła w bok. Trafiłeś, ale zaszło tu coś innego, poczekaj!

Podszedłem na miejsce, gdzie wielbłądzica znajdowała się w chwili wystrzału. Miejsce to łatwo było rozpoznać, bo pozostały tu bardzo silnie wryte ślady. Szukaliśmy w trawie dłuższą chwilę i — istotnie nie daremnie. Zauważyłem bowiem na ziemi błyszczący przedmiot, który podniosłem. Była to kula, spłaszczona jak pieniądz.

— Co za szkoda! — lamentował Ben Nil — widocznie trafiła na twardy przedmiot i tak się spłaszczyła!

— Masz słuszość — potwierdziłem. — Kula spłaszczyła się o metalowy guzik, jakimi wybite są gęsto rzemienie na piersiach wielbłądzicy. Szkoda, że chybiłeś za drugim razem...

— Przebacz, effendi! Mnie istotnie wyprowadziło z równowagi to, że mimo celności strzału wielbłądzica nie padła.

— Ha, trudno. Już się nie wróci. Wysnuj sobie z tego naukę na przyszłość, młodzieńcze!

Chmurna twarz jego zaczęła się powoli rozjaśniać. Ocknął się wreszcie i wydobył z zarośli ukrytego wielbłąda, po czym odjechaliśmy w kierunku suchego koryta. Z dala już zauważyliśmy niezwykle ruch wśród naszych. Zebrali oni wszystkich jeńców w jedną gromadę, naokoło której rozstawiono silną straż. Tuż obok rozłożyli się asakerzy, a dalej emir ze swymi oficerami. Wielbłądy

pały się w pobliżu. Żołnierze byli wesoło usposobieni, albowiem — wyprawa została uwieńczona bardzo dobrym skutkiem, a przy tym ani jeden z nich nie zginął ani też nie był raniony. Ponadto należała im się suta nagroda pieniężna za tak znaczny połów. Natomiast jeńcy mieli smutne miny i siedzieli w trawie przygnębieni jak skazańcy. Gdy zbliżyłem się do nich i zeskoczyłem z siodła rzucali ku mnie spojrzenia pełne nienawiści, a Abd Asl rzekł do swego sąsiada tak głośno, że usłyszeć mogłem: — Wszystko mamy do zawdzięczenia temu parszywemu giaurowi, temu śmierdzącemu psu. Niechże go Allah rozerwie na kawałki i wichrom po stepie roznieść każe!

Udałem, że mnie wcale to nie obchodzi, co on powiedział. Reis effendina zaś powstał z miejsca i podszedł ku mnie, mówiąc:

— Dowiedziałem się o wszystkim podczas twojej nieobecności i winnych ukarzę jak najsurowiej. Tam są — dodał, wskazując leżących na boku w trawie dwu związanych ludzi. Był to stary askari, któremu powierzyłem dowództwo nad karawaną, i ów żołnierz, co tak skwapliwie wygadał się przed Ibn Aslem.

— Powiedziano mi — mówił emir dalej — że udałeś się z Ben Nilem w pogoń za zbiegiem. Cóż to jednak był za jeździec, który niedaleko kręcił się po stepie, a za którym ty potem pędziłeś?

— Ibn Asl!

Usiadłszy z nim w grupie oficerów, opowiedziałem mu cały przebieg swej wyprawy, a gdy skończyłem, zamilkł na chwilę, pogładził niecierpliwie brodę i ozwał się, ale na szczęście nie gniewnie, jak się tego właśnie obawiałem:

— Bylibyśmy sobie zaoszczędzili wiele trudu i pracy, gdyby nie uciekł. Niestety, nie wolno mi spocząć dopóty, dopóki tego draba nie będę miał w garści. Muszę deptać mu po piętach aż do ostateczności, gdy mu już tchu braknie i padnie wyczerpany i zwyciężony, bo niebezpieczniejszy jest on sam o wiele więcej, niż wszyscy ludzie, których schwytaliśmy tutaj. Gdybyśmy byli złapali jego, we własnej osobie, wówczas dopiero mogłaby być mowa o prawdziwym triumfie i zadowoleniu. Mimo to nie narzekam. Mamy przecież jeńców. Sto sześćdziesiąt głów! Jak myślisz, effendi, udał się kiedy komu podobny połów?

— Przynajmniej o czymś podobnym nie słyszałem.

— Tak, tak, coś podobnego nie zdarzyło się jeszcze nigdy i, od dziś począwszy, podobni łajdacy będą z przerażeniem wymawiać moje imię, a wszystko to zawdzięczam jedynie tobie.

— No, no, nie w tym znowu stopniu, jak sobie wyobrażasz. Pomogłem ci trochę, to prawda, ale jest to tylko dziełem przypadku i sprzyjających okoliczności, nic więcej.

— Jesteś zanadto skromny! Kto schwycił łowców na Wadi el Berd i uwolnił kobiety fesarskie? Ty! Kto potem wziął do niewoli przy studni na stepie sześćdziesiąt łowców? Ty! Komu mam do zawdzięczenia, że nie spaliłem się razem z okrętem i załogą koło dżezireh Hassanii? Tobie! Kto wreszcie, jeśli nie ty, dał mi dziś w ręce tak obfity połów? Czyż można tu mówić o „przypadku”? Nie! Wszystko to jest skutkiem twej przebiegłości, śmiałości i trzeźwego obliczenia, które prawie

nigdy cię nie zawodzi. Nie mnie więc, lecz tobie przypada w udziale sława, której owoce ja mam zebrać. Musisz jednak wiedzieć, że jestem wdzięczny i będę nim w nieskończoność, jeżeli spełnisz jedną moją prośbę.

— Cóż takiego?

— Czy wnet musisz wracać do swej ojczyzny? ‘ — Kiedy mi się podoba.

— Otóż śmiem cię prosić, abyś pozostał przy mnie. Jeżeli dopomożesz mi do schwytania Ibn Asła, to obiecuję ci...

— Tylko bez obiecanek — przerwałem mu z odczuciem stanowczości. — Pozwoliłeś mi, abym cię uważał jako swego przyjaciela i, zdaje mi się, dowiodłem, że nim byłem i jestem istotnie. Między przyjaciółmi więc nie może być mowy o żadnych obiecankach, nagrodach, w ogóle nie powinien mieć miejsca żaden handel. Czasu mam dosyć i nie widzę powodu, dla którego miałbym odmówić ci swej pomocy, tym bardziej, że sam zacząłem grę z Ibn Asłem, leży więc we własnym moim interesie ukończyć tę grę, no i — wygrać. Kwestia niewolnictwa ponadto obchodzi mnie bardzo żywo, dlaczegóżbym więc nie miał poświęcić swych starań w tym kierunku, jeżeli mam istotnie ku temu zdolności i mogę się przysłużyć szlachetnej sprawie? Zostaję tedy z tobą przyjacielem.

— Dopóki nie schwytamy tego psa?

— Tak. Dopóki nie uczynimy go nieszkodliwym.

— Dziękuję ci, effendi, bo naprawdę jestem teraz pewny, że go dostanę w swoje ręce. Jak więc sądzisz, gdzie go teraz szukać?

Powtórzyłem mu to, co już poprzednio powiedziałem do Ben Nila, na co on odrzekł:

— I ja jestem tego zdania. Ibn Asl odszuka naprzód swój okręt, a potem podąży do Faszody celem zwerbowania nowej bandy. Cóż nam teraz czynić należy?

— Urządzić za nim pościg.

— No tak, ale niestety, muszę wprzód dostawić jeńców do Chartumu, a ponadto trzeba się tam zaopatrzyć w żywność i amunicję na dłuższy czas, bo możliwe, że będziemy musieli zapuścić się za Ibn Asłem daleko w górę Nilu, w okolice bagniste. Musisz wziąć pod uwagę i tę okoliczność, że potem zejdzie mi przynajmniej z tydzień, nim się dostanę do Faszody, a że to spory kawał czasu, Ibn Asl zapewne będzie już daleko.

— Czy nie mógłbyś zabrać z Chartumu małego parowca, który statek twój w znacznie krótszym czasie przyholowałby do Faszody?

— Ba, gdyby tylko jeden z tych małych waburatów\* przypadkiem był na miejscu, to wziąłbym go natychmiast, ale nawet i w tym przypadku Ibn Asl czmychnie prędzej z Faszody, niż ja się tam dostanę.

— No to udajmy się za nim prosto stąd, to będzie najlepiej.

— Dla ciebie byłoby to oczywiście dogodniejsze, ale dla mnie mniej. Gdyby któryś z nas dotarł przedzej do Faszody, to mógłby zasięgnąć w czas potrzebnych wiadomości i poczynić przygotowania tak, że gdy powrócę, moglibyśmy bez straty czasu wyruszyć śladem złoczyńcy.

— Myślałem o tym i nawet mam gotowy już plan, z którym cię zaznajomię. Nasze pomysły zgadzają się ze sobą prawie zawsze i jak dotąd okazały się w skutkach jak najlepsze. Otóż... pojedę naprzód!

— *Hamdullilah!* Ogromny ciężar spadł mi z serca w tej chwili. Nie mogłeś mi dać doskonalszego dowodu swej przyjaźni jak właśnie przez gotowość wyświadczenia mi tej przysługi, którą przyjmuję z wielką wdzięcznością, i uczynię wszystko, aby ci ułatwić zadanie. W jakież tedy sposób zamierzasz przebyć tę drogę?

— Rozumie się, że nie okrętem, bo potrzebowałbym co najmniej jedenaście dni na to, a przy nieodpowiednim wietrze jeszcze więcej. Byłoby to więc znaczną stratą czasu, jeżeli mamy niezłomny zamiar schwytać Ibn Asła.

— On przecież potrzebuje tyle samo czasu.

— Myślisz, że on popłynie na „Jaszczurce”? Z pewnością nie, bo będzie się obawiał twego „Sokoła”. Jestem przekonany, że pojedzie przez step, ma bowiem doskonałego wierzchowca, którego dosięgnąć niepodobna.

— Przyznaję ci słuszność, effendi, i wnioskuję, że ty również masz chęć dostać się do Faszody w ten sam sposób.

— Pod warunkiem, jeżeli dostanę dobrego wielbłąda.

— Masz przecież aż dwa doskonałe hedżiny, czyżbyś nie był z nich zadowolony?

— O, bynajmniej, są to znakomite wielbłądy. Przebyły one olbrzymią przestrzeń w tak krótkim czasie, a mimo to nie są wcale zmęczone. Rozumie się, że obchodziłem się z nimi bardzo troskliwie, a ponadto wypoczęły dostatecznie u Fessarów. Tylko że może zechcesz je oddać, komu należy, wszak zarekwirowałeś je z urzędu.

— To najmniejsza. Są potrzebne wicekrólowi i to powinno zadowolić właściciela. Możesz więc spokojnie zatrzymać je, jak długo ci się podoba.

— Dobrze! Ibn Asl nie zdąży uciec mi zbyt daleko.

— Ale, ale... wybierzesz się sam w tę drogę?

— Byłoby to oczywiście najdogodniej, towarzysz bowiem stanowiłby dla mnie niepotrzebny ciężar.

Spodziewałem się, że Ben Nil nie wytrzyma i odezwie się, jakoż rzeczywiście młodzieniec zbliżył się do naszego koła i przerwał mi w połowie zdania:

— No, nie każdy byłby dla ciebie uciążliwym, effendi, jest bowiem ktoś, kto chętnie oddałby życie dla ciebie, i choćbyś go nie wziął ze sobą dobrowolnie...

— To leciałby za mną sam...

— Tak, effendi. Masz przecież dwa wielbłądy dobrane doskonale i, jeżeli tylko wsiądę na jednego z nich, to już nie zdołasz mnie zsadzić. A dalej, gdybym ci nie mógł pomóc w niebezpieczeństwie, to przynajmniej będziesz miał we mnie szczerze oddanego sługę, który bądź co bądź zda się w tak długiej podróży. Proszę cię więc nie zostawiaj mnie, lecz zabierz z sobą!...

— No, widzisz, wziąłbym cię, ale masz przecież dziadka Abu en Nila...

— Czy on może zabrania ci wziąć mnie w drogę?

— Nie, ale przypuszczam, że obowiązkiem twoim jest poświęcić się teraz dla niego, ażeby znowu nie przydarzyło mu się jakie nieszczęście.

— To się da jakoś zrobić — wtrącił reis effendina — już podczas krótkiej podróży w Hegazi przekonałem się, że Abu en Nil jest znakomitym sternikiem. Przebaczyłem mu wszystko, co minęło, a teraz jestem gotów zatrzymać go w swojej służbie, dopóki nie powróci do Faszody, i wtedy niech Ben Nil nim się opiekuje.

Stary Abu en Nil bowiem, zarówno jak i Selim, znany fanfaron, pozostali na okręcie reisa effendiny i nie brali udziału w wyprawie. Ben Nil począł serdecznie dziękować emirowi za to, że poparł jego prośbę, wobec czego nie wypadało mi być gorszym, przyrzekłem więc wziąć go z sobą, tym bardziej, że dogadzało mi to w zupełności. Jechać sam na sam w obcy, nieznaną kraj nie odważyłby się pierwszy lepszy. Postanowiliśmy zatem, że Ben Nil pojedzie, wtedy reis effendina rzekł:

— Wiem, że wolałbyś wyruszyć w drogę natychmiast, ale zatrzymam cię jeszcze. Pojedziemy stąd razem aż do mego okrętu, gdzie mam znaczne zapasy żywności, w które muszę cię wyposażyć. Tu przy sobie niestety mam tylko ostatki. Potrzeba ci będzie zapewne prochu.

— No dobrze, tylko żebyśmy tu długo nie bawili.

— Wyruszymy zaraz, skoro tylko załatwię pewne czynności urzędowe.

— Chcesz może kogoś ukarać? — zapytałem, domyślając się, że emir postąpi sobie z jeńcami tak od ręki, jak to uczynił na Wadi el Berd.

— Przede wszystkim muszę zrobić porządek z tymi dwoma tam — wskazał na związanych dwu asakerów — obaj zasłużyli na śmierć.

— Na śmierć? — zapytałem, zdumiony tą surowością. — Mnie się zdaje, że drobne wykroczenia z

ich strony nie są jeszcze zbrodnią, za którą śmiercią karać należy...

— Nieposłuszeństwo, które pociągnęło za sobą tak fatalne skutki, jest zbrodnią, za którą kulka w łeb, przynajmniej ja obstaję przy tym.

— Mnie się zdaje, że na przykład ten, który stał na warcie i nie miał żadnych rozkazów do wypełnienia, nie zasługuje na tak surową karę.

— Bynajmniej, bez pozwolenia wygadał się przed wrogiem, z jego więc winy zginęli dwaj żołnierze i Ibn Asl uciekł. Pomyśl zresztą, jakich ludzi mam pod swoim dowództwem! Można ich utrzymać w karności jedynie jak najsurowszym postępowaniem.

— A ja, postępując z nimi łagodnie, nie naraziłem się na żadną nieprzyjemność.

— No tak, miałeś ich ledwie przez krótki czas, ale wnet zaczęliby ci z pewnością deptać po głowie. Ja ich znam! I oni mnie znają również. Ci dwaj przestępcy wiedzą dobrze, co ich czeka...

— Czy istotnie każesz ich stracić?

— Istotnie.

Możliwe, że emir miał słuszość, ale mimo to ja myślałem inaczej, zwłaszcza, że żał mi było tych dwu biedaków. Molestowałem więc emira tak długo, dopóki nie rzekł:

— Dobrze, daruję życie tym drabom. Niech mi się stracą z oczu natychmiast!

— Poczekaj, emirze, ja wcale nie spodziewałem się, że tak zrobisz. Jeżeli się coś robi, to nie tak od niechcienia, w połowie, lecz dokładnie i dobrze. Darujesz im życie i równocześnie pędzisz od siebie precz! Czy to ma być ułaskawienie? No pomyśl sam!

— Miałbym ich pozostawić nadal w służbie?

— Proszę cię o to właśnie, uczyn dla mnie tę łaskę!

— Jak to? Darowanie im życia nie jest łaską?

Uśmiechnąłem się do niego i chwyciłem go za rękę, jakby dla dobicia targu, mówiąc:

— Przybij! Oni zostają przy tobie! Nie jesteś przecież takim barbarzyńcą, za jakiego chcesz uchodzić. Zapewniam cię, że ktoś posłuszny z wdzięczności i przywiązania tysiąc razy więcej wart, niż posłuszny z obawy i trwogi. Znam cię na wylot, przyjacielu, i jestem przekonany, że żołnierze lubią cię mimo twojej surowości.

— Przekonałeś się o tym? — zapytał zupełnie już łagodnie i uśmiechnął się.

— O, i nie raz tylko. Cóż? Spełnisz mą prośbę?

— Zobaczysz — odrzekł krótko i rozkazał obu żołnierzom uwolnić z więzów i przyprowadzić do siebie. Biedacy drżeli ogromnie z trwogi, pewni niechybnej śmierci. — Chciałem was rozstrzelać — rzekł do nich emir — ale effendi wyprosił wam ułaskawienie, a nawet musiałem mu przyrzec, że nie wydalę was ze służby. Padnijcie mu więc do nóg, psy głupie, i podziękujcie mu, albowiem gdyby nie on, stalibyście w tej chwili w obliczu śmierci!

Obaj ze łzami w oczach rzucili mi się do nóg i poczęli je całować! Mahometanie chrześcijanina! Ledwie się opędziłem. Gdy potem wrócili do grona swoich towarzyszy, nie przestali spoglądać ku mnie z wyrazem głębokiej wdzięczności. Twierdzą zatem raz jeszcze, że chrześcijańska miłość bliźniego jest największą potęgą na ziemi i że nie ma człowieka pod słońcem, którego serce pod jej jasnymi promieniami nie otwarłoby się prędzej czy później.

— Cieszę się bardzo, że miałem sposobność wyświadczenia ci przysługi — zauważył reis effendina — upewnia mnie to w przekonaniu, że już teraz nie będziesz miał do mnie więcej pretensji. Pomimo bowiem wdzięczności i przyjaźni dla ciebie, nie mógłbym się zdobyć po raz wtóry na takie ustępstwo, jak przed chwilą. Proszę cię tedy oszczędź mi już takiego ambarasu. Dajcie tu fakira el Fukara! — dodał, zwracając się do żołnierzy.

Przyprowadzono fakira w mig; stanął ze związanymi w tył rękoma, pilnowany przez dwu żołnierzy, i patrzyła niedowierzaniem na emira, który zapytał go ostrym dość tonem:

— Twoje nazwisko?

— Nazywają mnie fakirem el Fukara.

— Pytałem cię, jakie nosisz nazwisko, a nie, jak cię nazywają, odpowiadaj więc!

— Fakir el Fukara... — wycedził przez zęby z niechęcią.

— Azis! Otwórz mu usta!

Był to, jak wiadomo, ulubieniec emira, młody, zwinny i prawdziwy mistrz bata. Na wezwanie swego pana wyskoczył z grupy asakerów, dobył zza pasa potężny bat rzemienny i uderzył nim kilka razy po plecach fakira tak niespodzianie i zręcznie, że ten ani się nawet spostrzegł, co się stało, lecz wkrótce zdołał się obrócić, plunął Azisowi w twarz i począł wrzeszczeć i przeklinać tak strasznie, że ciemne jego oblicze wykrzywiło się w sposób obrzydliwy nie do zniesienia.

— Wążysz się, psie jeden, bić mnie, mnie świętego świętych, fakira el Fukara, przed którym klękać będą miliony, ażeby...

— Azis! — przerwał gromkim głosem tę mowę emir. — Przyłóż mu!

Fakir skoczył szybko do niego i krzyknął:

— Mnie? Czyżby Allah wytrącił cię ze swej łaski do tego stopnia, że odebrał ci wiarę i że wążysz

się podnieść rękę na Jego oblubieńca...

— Azis, knebel! — przerwał mu emir znowu. Asakerzy, którzy byli razem ze mną u Fessarów cieszyli się bardzo, że samozwańczy pyszałek, którego nienawidzili, trafił wreszcie na swego. Przystąpili więc hurmą i starali się jak najszybciej wykonać rozkaz emira. Wkrótce też obezwładniono delikwenta, rozciągnięto go na ziemi, a gdy nie przestawał krzyczeć, zakneblowano mu usta własną jego szatą. Nie pomogły żadne wysiłki z jego strony, trzymało go kilkunastu, jeden usiadł mu na głowie, drugi na grzbiecie, trzeci na pośladkach, a inni trzymali nogi zgięte w kolanach go góry tak, żeby obnażone stopy były zwrócone wygodnie do bicia.

— Ile razy? — zapytał Azis.

— Dwadzieścia na każdą stopę!

Liczono bardzo skrupulatnie trzydzieści siedem... osiem... dziewięć... po czterdziestym stopy pyszałka wyglądały jak kawałek mięsa, usiekanego na sznycel. Wyjęto mu następnie knebel z ust i puszczone. Usiadł tedy i patrzył na emira, ale z jakim wyrazem, tego dostrzec nie można było, bo oczy miał zupełnie krwią zabiegłe.

— A zatem raz jeszcze pytam... Jak się nazywasz?:— zaczął na nowo emir.

— Mohammed Achmed — wybełkotał zapytany.

— Gdybyś był powiedział to od razu, byłbyś sobie zaoszczędził niepotrzebnej chłosty, wymagam bowiem posłuszeństwa. To, że mianujesz się fakirem el Fukara, wcale mnie nie rozczula ani nie obchodzi. Ten oto effendi uratował ci życie, zastrzeliwszy lwa, a odpłaciłeś mu się za to czarną niewdzięcznością, bo zamierzałeś wydać go i moich asakerów w ręce Ibn Asla. Mógłbym, co prawda, kazać ci dać kulkę w łeb, ale nie chcę i wcale nie myślę czynić ci tym zaszczytu, żebym sam miał zasądzić cię i ukarać; za marny jesteś w moich oczach! Zabrać mi precz tego wnuka niewdzięczności i zaciągnąć nad brzeg bagna. Niech tam prawi o Maħdim robactwu, które nie gorsze jest od niego, i pije cuchnącą wodę, dopóki nie zagoją mu się rany na stopach, aby mógł przez step dowlec się do domu!

Rozkaz ten wykonano co do joty. Dwaj żołnierze chwycili fakira el Fukara i zawlekli go nad bagno. Ciekawy jestem, jakie uczucie ogarniało go później na wspomnienie tego poniżenia, gdy istotnie po pewnym czasie opanował tłumy wiernych!

Nie miałem wcale ochoty wtrącać się w całą tę sprawę, bo moim zdaniem zasłużył sobie godnie na chłostę i tego rodzaju wyrzucenie nad bagno, co było o wiele gorsze, niżby u nas zepchnięto kogo na gnojówkę.

Emir jednak nie poprzestał na nim samym, bo z kolei kazał przyprowadzić do siebie Abd Asla. Człowiek ten życzył mi niedawno, aby mnie Allah kazał rozszarpać i rzucić na pastwę wichrów stepowych, obecnie zmienił być może swoje nastawienie do mnie, a może mi się tylko tak zdawało, gdy go zobaczyłem, jak szedł przed oblicze surowego sędziego, chociaż co prawda trzymał się krzepko na nogach i zęby zacisnął mocno, by nie zdradzić niczym śmiertelnej trwogi. Przypomniałem



sobie jaskinię w Maabdah, gdzie widzieliśmy się po raz pierwszy w życiu. Jak pobożnym i czcigodnym wydał mi się wówczas, a jakim poznałem go później! Wszak już następnego dnia groził memu życiu, a potem przez cały czas aż do tej chwili prześladował mnie z iście szatańską zawziętością. Powinno się uszanować sędziwy wiek, ale dla człowieka, który z prawdziwą rozkoszą lubuje się w zbrodni, nie można mieć litości, choćby jedną nogą był nad grobem a drugą już w grobie. Widocznie emir myślał i czuł tak samo, jak ja, bo spoglądał na starca z wyrazem istotnego obrzydzenia i w końcu przemówił tonem niezwyklej surowości:

— Szukałem cię bardzo długo, ty najświętszy z fakirów, a zawsze zdołałeś mi się wymknąć. Obecnie przyszła nareszcie chwila, w której wymierzę ci zasłużoną karę.

— Żądam innego sędziego! — odrzekł Abd Asl.

— Nie ma na świecie sędziego, który mógłby ukarać surowiej, niż ci się należy. Czy to będę ja, czy kto inny — wszystko jedno. Wszak twoje zbrodnie liczą się na setki! Tysiące ludzi zawdzięczają ci niewolę, śmierć lub nędzę swoją i swoich rodzin. Ileż to wsi puściłeś z dymem, ilu wymordowałeś niewinnych ludzi! A mimo to udawałeś zawsze świętego, pozwalałeś się czcić i szanować, jako godny największego uwielbienia marabut. Na szczęście należy to wszystko do przeszłości. Poślę cię tam, gdzie dawno już należało ci się zasłużone miejsce, do piekła!

— Nie masz prawa zabijać mnie — jęczał stary.

— O, nie tylko ja, ale i wielu, bardzo wielu innych miało ku temu prawo i za grzech poczytać im trzeba, że z prawa tego nie korzystali, dając ci czas do dalszych, coraz to potworniej szych zbrodni. Ja oczywiście nie mogę i nie wolno mi pod żadnym warunkiem popełnić podobnego błędu, przeciwnie uważam sobie za święty obowiązek uwolnić ludzkość od wstrętnego wrzodu, wyrwać chwast z korzeniem. Krew za krew! Wydaję więc wyrok... na śmierć!

Słowa te padły, jak grom. Jeżeli stary miał nadzieję ulaskawienia — a że ją miał, to pewne — chwila niniejsza wystarczyła zupełnie, by ją zgasić do ostatniej iskiej. Mimo to jednak próbował jeszcze ostatniego sposobu, przybierając minę niewinnego i wielce pobożnego człowieka:

— A jednak ja jestem świętym jestem marabutem i, jeżeli podniesiesz na mnie rękę — przeklnę cię a wówczas stronić od ciebie będą wszyscy wierni i twarz odwracać z pogardą. Jak ścigana hiena na pustyni, która padlina żywić się musi, nim zdechnie, skończysz i ty marne swe życie...

— A, możesz przeklinać, nie wzbraniam! Klątwa takiego potwora przemieni się niezawodnie w błogosławieństwo. Groźba twoja nie uratuje cię bynajmniej, bo jest niedorzeczną i śmieszną. Musisz umrzeć, ale jaką śmiercią, w tym własne sę! Nie ma bowiem rodzaju śmierci, któryby był dla ciebie dosyć stosowny. Chciałeś wprawdzie wespół ze swoim synem wyrwać żywcem członki temu effendiemu i właściwie powinienem to samo względem ciebie zastosować, ale przyniosłoby ci to zaszczyt. Wolę więc, żebyś zginął w sposób mniej honorowy. Jesteś potworem i potwory pożreć cię powinny. Zrozumiałeś? Każę cię wrzucić tam, w bagno, krokodylom na pastwę!

— O, Allah! — krzyczał starzec na całe gardło. — Nie czyń tego, reisie effendino! Daruj mi życie!

— Daruj mi życie! No, proszę! Oszczędzał cię ten oto effendi, a nawet Ben Nil miał litość nad tobą, a ty, mimo wszystko, prześladowałeś ich, godziłeś na ich życie. Jesteś szatanem, w którego naturze samej leży odpłacać się zbronią za dobrodziejstwa. Nie cofam więc wyroku. Będziesz wrzucony między krokodyle!

Emir wypowiedział to zupełnie poważnie, a mimo to Abd Asl wpatrywał się w jego twarz badawczo, czy to przypadkiem nie żart, lecz wkrótce zmiarkował, że surowy sędzia bynajmniej ani jednym drgnieniem w twarzy czegoś podobnego nie zdradza i zaczął wyć:

— To niemożliwe! To nieludzkie!

— Milcz! Wymierzyłem ci tylko sprawiedliwość. Bo czyż obchodziłeś się kiedy z kimś po ludzku? Kto sieje wiatr, zbiera burzę i biada mu, gdy nadejdzie czas sprawiedliwości! Co ciebie spotka dziś, to czeka w najbliższej przyszłości twego syna. Związać mu nogi i wrzucić w bagno! — zwrócił się do żołnierzy. — Jego przyjaciel, wielki fakir el Fukara, niech się patrzy, jak go sobie wydzierać będą żarłoczne bestie.

— Łaski!... Łaski!... — Tylko jedno słowo!... — jęczał skazaniec, gdy go chciano uchwycić.

— Co? — zapytał emir, dając znak, by się jeszcze wstrzymano, a Abd Asl zwrócił się teraz nie do niego, lecz do mnie:

— Effendi, jesteś chrześcijaninem i nie powinieneś pozwolić, ażebym zginął tak straszną śmiercią. Wstaw się więc za mną, wyjednaj mi łaskę! Jestem przekonany, że emir uczyni zadość twojej prośbie...

— Nie zasłużyłeś na to — odparłem w przekonaniu, że emir nie zrobiłby dla mnie tak wielkiego ustępstwa.

— Czy koniecznie musiałem na to zasłużyć? Czy nauka twoja nie jest nauką miłości, łaski i miłosierdzia? Tłumaczyłeś mi to dokładnie w czasie bytności w Sijut.

— I wkrótce potem zwabiłeś mnie podstępnie do jaskini, abym tam marnie zginął.

— Nie zważaj na to, lecz na przykazania twojej wiary, ażeby twój Jezus, gdy zejdzie na świat sędzić żywych i umarłych, i dla ciebie był łaskawy.

— Milcz! — rozkazał mu emir, sądząc zapewne, że może zechcę się wstawić do niego za skazańcem. — Effendi nic dla ciebie uczynić nie może, bo ja bezwarunkowo niczego mu nie przyrzekam. Związać!

Starzec bronił się związanymi rękoma, wierzgał nogami i ryczał przy tym nie jak człowiek, lecz raczej jak dziki zwierz. Oczywiście, że scena ta nie budziła we mnie żadnego współczucia dla łotra, który godnie sobie na śmierć zasłużył, ale nie tak okrutną. Można bowiem było obejść się bez wrzucania go krokodylom i dlatego postanowiłem przeszkodzić temu. W chwili tej przyszła mi do głowy pewna myśl. Przypomniałem sobie bowiem przewodnika po jaskini w Maabdah, któremu przyrzekłem, że poczynię pewne poszukiwania za jego zaginionym bratem. To, czego się od owej

chwili dowiedziałem, dawało mi do myślenia, że Abd Asl wie coś o jego losie. Dlatego to ozwałem się:

— Dajcie spokój! Chcę z nim pomówić w pewnej sprawie. Żołnierze mnie usłuchali, a stary tymczasem zwrócił się do mnie:

— Dziękuję ci, effendi! Dziękuję za pomoc w najstraszniejszej potrzebie... Jesteś zdecydowany prosić za mną?

— Może... Wprzód jednak odpowiedz na kilka moich pytań!

— Ależ owszem, pytaj, a odpowiem z prawdziwą gotowością, jeżeli oczywiście leży w mojej mocy udzielić ci potrzebnych wiadomości.

— Znany ci jest przewodnik po jaskini w Maabdah, niejaki Ben Wazak?

— Owszem. Wiedziałeś sam, że z nim rozmawiałem.

— A jego brata Hazida Sichara, znasz?

— Znam.

— Wiesz, gdzie on obecnie przebywa?

Stary, zamiast odpowiedzi, spojrział na mnie badawczo, po czym zapytał:

— Po co ci to potrzebne?

— Poszukuję go, bo prosił mnie o to jego brat.

— Dobrze, mogę ci powiedzieć, gdzie jest ten człowiek, ale pod warunkiem, że uzyskam natychmiast wolność razem ze wszystkimi jeńcami.

— Czyś ty zwariował? — przerwał mu reis effendina. — Toż to żądanie, na które zdobyłby się jedynie wariat...

— Ale ja postawiłem je i wcale go nie cofnę.

— Powiedźże mi więc, effendi — zwrócił się do mnie emir — jak się rzecz ma z tym zaginionym.

— Wybrał się on w podróż do Chartumu po odbiór znacznej sumy od kupca Barjada el Amin i rzeczywiście otrzymał ją, ale od tego czasu słuch o nim zaginął. Wówczas to Ibn Asl był zatrudniony u wspomnianego kupca jako ubogi pomocnik, lecz po zniknięciu Hazida Sichara stał się nagle bogatym i rozpoczął na własną rękę handel niewolnikami.

— Widocznie odebrano mu pieniądze i zamordowano go.

— Nie. Nie zamordował go nikt — wtrącił Abd Asl. — Powiem ci, gdzie on się znajduje, jeżeli wypuścisz nas wszystkich na wolność.

— To niemożliwe, ale z przyjaźni dla effendiego, proponuję, abyś wymienił dotyczącą miejscowość, a za to obejdę się z tobą mniej surowo, bo zamiast wrzucić cię między krokodyle, każę cię rozstrzelać.

Wtem nagle stary parsknął szyderczym śmiechem:

— Jakże łaskawy jesteś, emirze! Sądzisz, że śmierć od kuli nie jest śmiercią. Ja chcę żyć, żyć, rozumiesz? A nie, to nie dowiedcie się ode mnie niczego. Żądacie ode mnie uwolnienia Hazida Sichara i za to obiecujecie mi przedłużyć konanie o parę sekund! A w dodatku ów człowiek mógłby prześladować mego syna... O, cena ta jest dla mnie...

— A, no skoro tak — przerwał mu emir — bierzcie go i — jazda!

Żołnierze związali skazańcowi nogi i ponieśli nad bagno. Zachowywał się przy tym zupełnie spokojnie, nikt też nie wymówił jednego słowa w obozie. Wszyscy bowiem czekali z zapartym oddechem na tę straszną chwilę, gdy skazaniec wydał z siebie ostatnie, przeraźliwe, nieartykułowane dźwięki, które omal krwi we mnie nie zmroziły.

Jeden z ludzi, którzy wrzucali go do bagna, opowiadał, powróciwszy do obozu:

— Z początku zachowywał się, jakby był nieustraszonym bohaterem, lecz skoro tylko zobaczył istne mrowisko bestii, począł wyc i skomleć, jak pies, ale mu to nic nie pomogło. Gadziny rozszarpały go w kawałki natychmiast.

Zgroza mnie ogarniała, a mimo to zdawało mi się, że kara, która go spotkała, nie była za bardzo surowa, a reis effendina nawet zauważył:

— Szkoda, że tak prędko skończył. Zasłużył na dłuższe i okrutniejsze męczarnie, no, ale niech tam. Czas nam w drogę. Obawiam się tylko, effendi, abyś się na mnie nie gniewał, że nie uczyniłem zadość żądaniu skazańca.

— Cóż znowu? Przecie wymagania jego były istotnie niedorzeczne. Puścić go i wszystkich jeńców! A za to z pewnością byłby nas okłamał. Mimo wszystko mogę się pocieszyć jednym, co mi się znakomicie udało. Do tej chwili nie miałem pojęcia, czy zaginiony żyje czy też zamordowano go, skoro jednak stary wyraził obawę, jakoby Hazid Sichar mógł być niebezpieczny dla syna, mam zatem pewność, że do nieboszczyków bynajmniej się nie zalicza i że wiadomości o nim zasięgnąć mogę od samego Ibn Asla, który go gdzieś zapewne więzi. Znasz kupca Barjad el Amina w Chartumie?

— Bywałem często u niego.

— Czy to uczciwy człowiek?

— Bardzo nawet uczciwy i zacny.

— Cieszysz mnie to, boi brat zaginionego przedstawił mi go jako człowieka honoru, ale w jego opisie były pewne punkty, które wymagają wyjaśnienia. Jeżeli człowiek ten nosi na twarzy maskę obłudy, to zedrę mu ją niezawodnie zaraz po przybyciu do Chartumu, niestety daleko jeszcze do tego. Kiedy stąd wyruszamy?

— Możemy zaraz.

— Ukończyłeś już czynności sędziowskie?

— Już, bo właściwie chodziło mi tylko o tego starca, którego na wszelki wypadek trzeba było uczynić nieszkodliwym i na szczęście miałem ku temu władzę. W Chartumie nie będę miał czasu zajmować się losami tych ludzi i muszę ich oddać tamtejszemu sądowi. Obawiałem się, że za potężną opłatą pozwolonoby Abd Aslowi uciec, wolałem tedy załatwić się z nim krótko na miejscu.

— Należałoby przypuszczać, że jeżeli idzie o tak ważną sprawę, o przekupstwie sędziów i mowy być nie powinno.

— No, tak, przypuszczać wolno i, co się tyczy mnie, to gdyby mi ofiarowano miliony, nie odstąpiłbym ani na włos od zasad sprawiedliwości. Słyszałem jednak kiedyś, że istnieje kraj chrześcijański, w którym boginię sprawiedliwości przedstawiają jako kobietę ślepą...

— Nie chrześcijański to był kraj, lecz pogański — Grecja!

— Pogański, chrześcijański czy muzułmański, to wszystko jedno. U nas tak samo się dzieje. Słyszałeś może coś o mudirze w Faszodzie?

— O ile sobie przypominam, nazywa się Ali effendi el Kurdi i jest słynny z tego, że uśmierzył groźną rewoltę wojskową w Kassali.

— Tam istotnie postępował sprawiedliwie, ale później... Istny skandal! Mówiono za jego czasów w Faszodzie o bardzo Surowym zakazie handlu niewolnikami, ale co z tego... Łapacze niewolników przychodzili w biały dzień do jego domu, płacąc mu potajemnie pogłównie „od sztuki”, i mieli w nim doskonałego opiekuna i obrońcę wobec ustaw. Znałem ich wszystkich, lecz niestety żadnego schwycić nie mogłem, bo skoro któremu, że tak powiem, zarzuciłem stryczek na szyję, zaraz mi go ucięto. Jeżeli najwyższy urzędnik prowincji czyli mudir bierze łapówki, to co może zrobić niższy urzędnik? Faszoda stanowiła właśnie punkt do wypraw na połów niewolników. Łapacze gromadzili się tam jawnie i otwarcie, a gdy tylko o tym napomknąłem, mudir bądź mnie zakrzyczał, bądź wyśmiał. Tego oczywiście znosić dłużej nie mogłem i udałem się wprost do wicekróla, opowiedziałem mu wszystko dokładnie, przedłożyłem dowody, no i Ali effendi el Kurdi został złożony z urzędu, a jego miejsce zajął inny mudir.

— Czy ten będzie lepszy od swego poprzednika?

— Zapewne, jestem o tym przekonany, bo go znam osobiście, mnie też zawdzięcza on swoje stanowisko, bo właśnie przedstawiłem go wicekrólowi i bardzo się cieszę, że moje wstawiennictwo odniosło tak dobry skutek. Nowy mudir nazywa się Ali effendi, a poddani tytułują go Abu hamsaj

mijah\*.

— Z jakiegoż to powodu?

— Z powodu bardzo chwalebego zwyczaju, który zjednął mu poważanie i szacunek. Nie da się on bowiem żadną miarą przekupić ani w ogóle niczym przebłagać i zwykł każdego, który oczywiście na to zasłużył, skazać na pięćset plag. A że w tym względzie nie rozróżnia ani ubogich ani bogatych, ani prostaków ani panów, boją się go wszyscy jak ognia. Ja, oczywiście, mam tę nadzieję, że wkrótce zrobi on należyty porządek w Faszodzie. Że zaś jest to mój dobry przyjaciel, radziłem ci dlatego właśnie, byś do Faszody udał się okrętem i miał wszelkie wygody zarówno w drodze, jak i na miejscu, bo chciałbym ci dać do niego list polecający. Mudir uczyni dla ciebie wszystko, co będzie potrzeba.

— A to bardzo dobrze, bo pomoc mudira będzie mi w niejednym przypadku potrzebna, bez niej nie mógłbym sobie dać rady.

Podczas tej bardzo poważnej rozmowy zachowaliśmy oczywiście pełną powagę na zewnątrz, co wzbudziło u jeńców mniemanie, że czynność sądowa jeszcze się nie skończyła i że rozmawiamy właśnie na temat ukarania pozostałych. W tym wypadku oczywiście przy szlaby kolej przede wszystkim na obu oficerów Ibn Ala. Zrozumieli oni to sami, bo wnet „porucznik” przysłał do nas jednego ze swoich dozorców z zapytaniem, czy nie byłoby mu wolno poczynić pewnych ważnych zeznań. Pozwolono mu na to i, gdy stanął przed nami pomiędzy dwoma żołnierzami, ozwał się:

— Emirze, wykonałeś straszliwy wyrok na osobie Abd Asla. Czy i nas czeka to samo?

— Sądziś może, że was puszcze bezkarnie?

— To nie, znamy cię zbyt dobrze, znajdujemy się w twej mocy i wiemy na pewno, że nie ujdziemy bezkarnie, wolno nam jednak prosić cię, ażebyś zrobił z nami, co ci się podoba, tylko nie każ wrzucić nas między krokodyle. W jakież bowiem sposób zdołałby archanioł Dżibrail\* w dniu zmartwychwstania odnaleźć nasze nogi i ręce, jeśli je zjedzą i strawią te potwory?

— Ha, łotrze, teraz w trwodze przed śmiercią powołujesz się na koran! Jestem ciekaw, czy, dokonując zbrodni, pamiętałeś o religii i jej przykazaniach?

— Emirze! Wszak łowienie niewolników było dozwolone od niepamiętnych czasów. I co to religię obchodzi, że ludzie znieśli to prawo samowolnie?

— A co islamowi zależy na twoich rękach i nogach? Jeżeli strawi je żołądek krokodyla, tym lepiej dla nich, bo nie będą się potem smażyć w piekle i dlatego powinieneś mi być nawet wdzięczny, że zgotuję ci ten sam los, co Abd Aslowi.

— Na miłość Allaha, emirze, daj pokój, nie czyn tego! Przekonam cię, że nie jestem tak zły, jak sądzisz, i że nie zasłużyłem na podobną śmierć.

— Naprawdę? Radbym wiedzieć, w jaki sposób dowódca tych oto wściekłych psów, może dać dowód swej niewinności.

— Zpełnej niewinności nie, ale przecie mógłbym czymś okazać, że mam choć trochę dobre serce. Słyszałem przed chwilą, że effendi dowiadywał się o pewnego zaginionego człowieka. Gdybym więc udzielił ci o nim wiadomości, czy kazałbyś mnie wrzucić do bagna?

— Z pewnością, bo z góry wiem, że chciałbyś się wykręcić kłamstwem.

— Allah świadkiem, że chcę mówić prawdę. Jeśli mi nie wierzysz, to każ zatrzymać mnie tak długo, dopóki się nie sprawdzi to, co mówię, a jeśli skłamię, wówczas możesz mnie wrzucić krokodylom albo nawet postąpić ze mną jeszcze surowiej.

— Z góry nie mogę niczego przyrzekać, mów więc i, jeżeli wywnioskujemy z twych słów, że nie kłamiesz, to możliwe są pewne względy dla ciebie. Wiesz zatem, gdzie znajduje się Hazid Sichar?

— Wiem, ale nie znam ani kraju ani wsi.

— Co takiego? Drwisz sobie z nas, czy co? Mówisz, że wiesz, gdzie on jest, a nie znasz ani kraju ani wsi.

— No, bo istotnie tak jest.

— Mówiłeś kiedy o tym człowieku z Ibn Aslem lub z jego ojcem? Wtajemniczyli cię w tę sprawę?

— Oh, nie! Stosunek mój do nich obu nie był aż tak dalece bliski, żeby mi zupełnie zaufali. Raz tylko przypadkowo podsłuchałem ich rozmowę, ale nie całkiem dokładnie. Dowiedziałem się mianowicie, że Ibn Asl zrabował temu człowiekowi wielką sumę i podzielił się z nią z kimś drugim.

— Któż to jest, ten drugi?

— Niestety, żaden z nich nie wymienił ani jego nazwiska ani zawodu. Ibn Asl chciał Hazida Sichara zabić, ażeby zatrzeć wszelkie ślady swej kradzieży, ale ten drugi nie zgodził się na to. Za uzyskane pieniądze urządzono gazuah\*, a Hazida Sichara wywieziono w głąb Afryki i sprzedano go naczelnikowi jakiegoś dzikiego szczepu.

— Co to za szczep?

— Nie wiem, emirze. Powiedziałem wszystko, co wiem, i teraz proszę cię o spełnienie mej prośby.

— Zwróć się do effendiego, który jest zainteresowany w tej sprawie! Może zechce wstawić się za tobą.

Jeniec począł więc błagać mnie, jak mógł najpokorniej, a ja, chcąc wykorzystać jego trwogę wobec krokodyli, odrzekłem:

— Możliwe, że uczynię dla ciebie, czego żądasz, ale zależy to od twej szczerości w dalszym ciągu. Odpowiadaj więc, ale bez wykrętów. Słyszałeś kiedy nazwisko: Barjad el Amin?

— Owszem. Jest to kupiec w Chartumie. Pytałeś zresztą niedawno Abd Asla o niego.

— Czy Ibn Asl jest ciągle z nim w stosunkach handlowych?

— Nie, a przynajmniej ja o tym nic nie wiem.

— No, dobrze, idźmy dalej! Czy Ibn Asl ma wiele pieniędzy przy sobie?

— Prawie cały majątek. Zamierzał właśnie urządzić polowanie na ludzi tak wielkie, jakiego jeszcze nikt nie widział, lecz gdzie, o tym nie wiem, bo przedsiębrał wszystko w głębokiej tajemnicy i dopiero w Faszodzie miałem się dowiedzieć bliższych szczegółów.

— Mieliście zamiar pozostać tam długo?

— O tyle, o ile wymagały staranne przygotowania.

— Przekonałem się, że „Jaszczurka” była zupełnie pusta. Czy Ibn Asl miał zamiar nabycia towarów w Faszodzie jako materiału do wymiany?

— Tak i inne okręty również.

— Jak? Miało być więcej okrętów?

— Więcej, ale nie słyszałem, ile.

— Ibn Asl ma zapewne w Faszodzie bardzo zaufanych wspólników. Znasz ich może?

— Niestety jest on bardzo ostrożny i tchórzliwy. Wszystkie interesy i umowy ze swoimi wspólnikami zawiera sam osobiście, nie dopuszczając nikogo do tajemnicy, nawet mnie. Mimo to znam jednego człowieka w Faszodzie, o którym wiem, że Ibn Asl z nim się znosi. Nazywa się Ibn Mulej i jest majorem arnautów, stacjonujących tamże.

— Doskonale, a teraz jeszcze jedno: gdzie ukryliście swój okręt, wybierając się tutaj lądem?

— Na prawej odnodze Nilu koło dżezireh Mohabileh. Zostało tam dziesięciu ludzi na warcie.

— Dobrze! Przypuszczam, że powiedziałeś prawdę i jestem z ciebie zadowolony.

— Dziękuję ci, effendi, i mam nadzieję, że wstawisz się za mną do emira.

— No, no, co do tych krokodyli — wtrącił sam emir — to jakoś to będzie, ale więcej dla ciebie nic uczynić nie mogę. Za zbrodnię musi być wymierzona kara.

Porucznik wrócił na swoje miejsce uspokojony nieco a żołnierze poczęli się przygotowywać do drogi. Wiadomości, które uzyskałem, były dla mnie bardzo ważne, niestety nie dawały mi wcale nadziei odnalezienia zaginionego brata przewodnika z Maabdah. Pozostała mi tylko jedna jedyna osoba, od której mógłbym się dowiedzieć o miejscu pobytu nieszczęśliwego, a tą był Ibn Asl. Rad



nierad pocieszałem się jedynie myślą, że może w najbliższej przyszłości zabłyśnie jakaś szczęśliwa gwiazda i ułatwi mi trudne zadanie.

„Sokół” reisa effendiny stał w równej wysokości z bagnem u lewego brzegu Nilu. Drogę tę pieszo można było odbyć co najmniej w dwu godzinach, co wcale nie uszczupliło sił jeńców. Reis effendina postanowił wpakować ich pod pokład. Wielbłądy zaś miało kilku żołnierzy odstawić lądem do Chartumu.

Wyruszyliśmy prawie przed samym południem. Emir jechał na przodzie, ja zaś zwlekałem umyślnie tak abym wsiał na wielbłąda ostatni, a czyniłem to ze względu na fakira el Fukara, który leżał bezsilny nad bagnem, oddany na pastwę miliardom much, głodny do tego i spragniony. Wzbudziło to we mnie współczucie dla niego, mimo że nie zasłużył na nie. Miałem własny worek z wodą, ale nie chciałem się go pozbyć, dlatego postarałem się o inny, napełniony dostatecznie, i przyczepiłem go do siodła.

Gdy już ostatni z oddziału oddalili się o znaczną przestrzeń, pojechałem, ale nie za nimi, lecz w kierunku majeh. Nie było mi wiadome dokładnie miejsce, gdzie fakir leżał, ale mogłem je odnaleźć po śladach, które zostawili żołnierze, wlokąc tam po trawie Abd Asla na stracenie.

Wielki, oczywiście we własnym swoim pojęciu, przyszły Mahdi leżał pod krzakiem tuż nad bagnem, pokrytym grubą warstwą gnijącej roślinności, wśród której spoczywały olbrzymie krokodyły zupełnie bez ruchu, nasycone widocznie nie co dzień zdarzającym się żerem. Abd Aslowi mógł zazdrościć każdy przeciętny śmiertelnik, bo dają mu zazwyczaj jeden tylko grób, a ten miał ich kilkanaście...

Fakir popatrzył na mnie z śmiertelną nienawiścią, a z ciemnej jego twarzy wyglądała zwierzęca wprost wściekłość, podczas gdy spieczone wargi szeptały niezrozumiałe dla mnie wyrazy przekleństw i obelżywości. Ręce miał związane za plecami a na pokaleczonych okropnie nogach roiły się miliardy owadów, zadając mu istne katusze. Zsiadłem z wielbłąd, przeciąłem powróż i, uwolniwszy mu ręce, podałem mu worek z wodą i nieco żywności. Mogło to wystarczyć na kilka dni. Fakir patrzył na to wszystko, nie odzywając się ani słowem.

— Masz tu, żebyś nie zginął z głodu i pragnienia — rzekłem, wskazując worek z wodą i węzełek z żywnością. — Więcej dla ciebie niczego zrobić nie mogę.

Odpowiedział mi na to jedynie sykiem.

— Masz jakie życzenie?

— Nie — odrzekł.

— Nie? No to bądź zdrow! O dwie godziny drogi stąd prosto na wschód płynie Nil, możesz się tam dostać, nim wyczerpiesz zapas prowiantu.

Wsiadłem na wielbłąda i, skoro tylko puściłem się w drogę, zabrzmiały poza mną słowa... wdzięczności:

— Niech cię Allah potępi! Zemsta cię czeka! Śmiertelna zemsta!

Wkrótce dopędziłem oddział i znalazłem się obok reisa effendiny, a że nie było już czego się obawiać, pozostawiliśmy wszystkich za sobą i pojechali naprzód, by zdążyć jak najwcześniej na okręt. Tu w wygodnej kajucie emir napisał przyobiecany list i dał mi w ręce sporą sakiewkę, mówiąc:

— Będziesz zmuszony poczynić w Faszodzie znaczne wydatki za mnie, rozporządzaj więc tą sumą, jakby to była twoja własność! Zwrotu nie przyjmę żadnego.

Niebawem przybył cały oddział i ja począłem się przygotowywać do dalekiej drogi. Zaopatrzone mnie we wszystko, co tylko mogło się w drodze przydać, po czym pożegnałem się z emirem i znajomymi i wyruszyłem w podróż.

Skórę lwa zabrał emir do Chartumu, aby ją tam wyprawiono. Miałem ją sobie odebrać później.

Jechaliśmy nie wzdłuż Nilu, bo w takim razie wskutek licznych zakrętów byłibyśmy sobie drogę przedłużyli. Nam szło o drogę jak najprostszą i najkrótszą; o to, co nas w tej podróży spotkać mogło, nie troszczyliśmy się zbyt wiele.



# Rozdział IV

## U „Ojca pięciuset”

Dwaj podróżni zupełnie sami na rozległej pustyni!

Promienie słońca tak palą, że człowiek czuje się jakby w połowie upieczonym i aby nie oślepnąć, trzeba nasunąć głęboko na oczy kaptur haika. Mówić nie ma o czym, bo’ brakuje ku temu tematu, a poza tym język zasycha w ustach i gdyby nawet było o czym mówić, toby się nie chciało.

Jak okiem sięgnąć, morze piasku. Wielbłądy kroczą miarowo, automatycznie, jak nakręcone maszyny. Nie posiadają one wcale temperamentu szlachetnego konia, który na każdym kroku okazuje swemu panu, że cieszy się z nim razem i smuci. Człowiek niejako zlewa się w jedną istotę z rumakiem, ale z wielbłądem nigdy, choćby to był najszlachetniejszy hedżin. Pozna to każdy, kto odbywał podróż na jednym i drugim zwierzęciu.

Podróżny obejmuje konia nogami i jest, żeby tak rzec, wcieleniem podania o centaurach. To bezpośrednie zetknięcie się człowieka z koniem wystarcza, że nerwy jego mają pewien związek z nerwami zwierzęcia i to ostatnie odczuwa zamiary jeźdźca prędeej, niż on to ruchem zewnętrznym daje do poznania. Koń przywiązuje się do człowieka, czuje z nim i raduje się lub cierpi, odważa się na „szalone” nieraz przedsięwzięcia, pędzi z nim choćby w przepaść, a nawet z pełną tego świadomością leci w zapale w paszcze śmierci.

Inaczej rzecz się ma z wielbłądem. Człowiek siedzi w siodle na wysokim garbie i dotknie się skóry zwierzęcia chyba wówczas, gdy skrzyżuje nogi przez szyję, a więc nie ma tu wzajemnego oddziaływania na nerwy, i porozumiewania się z sobą za pomocą wyczucia. Jeżeli wielbłąd jest usposobienia łagodnego, to służy człowiekowi jak najbardziej oddany niewolnik albo raczej jak maszyna, nie okazując ani cienia własnej indywidualności. Natomiast jeżeli wielbłąd złośliwy, uparty, a takich jest najwięcej, to trzeba z nim ustawicznie walczyć, co wreszcie sprzykrzyć się musi i wywołuje u jeźdźca wyraźną niechęć do niego. Prawdziwe przywiązanie wielbłąda do swego pana należy do wyjątkowych rzadkości.

Podróż przez pustynię bez towarzystwa jest tedy o tyle przykrą i nudną, że czuje się pod sobą żywą istotę, a mimo to nie można się nią zająć. Koń rży, parska, strzyże uszami, porusza ogonem, grzebie nogą i wreszcie rozmaitymi sposobami chodu wyraża swoje uczucia i niejako z jeźdźcem rozmawia i przed nim się zwierza — wielbłąd niesie na swoim garbie człowieka tygodniami całymi i nie stara się nawet poznać go ani w ogóle nie zajmuje się nim wcale.

Czyż wobec tego jazda we dwóch tylko lub sam na sam przez nieprzejrzaną pustynię, nie jest prawdziwym udręczeniem? Z jakąż radością wita podróżny najmniejsze jakieś zdarzenie, jakiś przypadek, który wprowadza go bodaj na chwilę z przykrego odrętwienia i monotoności!

Nasze obydwie wielbłądy nie należały co prawda do najgorszych. Widać, że tresowano je

należycie. Skoro tylko się na nich, a biegną z miejsca, byle naprzód, a prędko, zawsze w jednakowym, miarowym tempie, bez żadnego zatrzymywania się, bez oporu, bez jakiegokolwiek objawu własnej woli lub chęci, a to tak strasznie nuży! Ostatecznie zdaje się człowiekowi, że stracił świadomość istnienia, że nie myśli już i nie posiada woli. Jednego tylko chyba jest się świadomym, a mianowicie, że pędzi po tej prostej, nieskończonej jak wieczność linii na morzu piasku.

Nagle obudził mnie z tego odrętwienia duchowego ostry krzyk. I Ben Nil równocześnie odsłonił twarz, spoglądając w górę z wielkim zaciekawieniem.

— Szahin! — rzekł do mnie, wskazując ręką w górę, po czym pogrążył się na nowo w milczeniu.

Był to istotnie szahin czyli sokół. Krążył właśnie ponad naszymi głowami. Ben Nil nie był wcale zdziwionym pojawieniem się tego ptaka, ale co do mnie, odzyskałem natychmiast sprawność umysłową, zbudziłem się zupełnie.

— Uwważaj!... Ktoś się tu zbliża! — rzekłem do towarzysza. Ben Nil wyciągnął się znowu na siodle i obejrzał się wokoło, a nie zauważywszy niczego, mruknął:

— Miałbym już ślepnąć od tego słońca? Nie widzę nikogo, effendi!

— I ja również, ale że się wnet z kimś spotkamy, to pewne. Sokół porywa tylko żywą zdobycz, a padliny nawet nie tknie. Jeżeli więc znalazł się tu, na pełnej pustyni, gdzie nie ma żadnej żywej istoty, to widocznie leciał za śladem karawany.

— Eh, może zbłądził lub podróżuje.

— Sokół nie łatwo błądzi, a zresztą trzeba mu się bliżej przypatrzeć, bo z zachowania się jego można poznać, czy jest wędrowcem.

Ale domniemany podróżnik nie leciał w jednej linii, lecz krążył nad naszymi głowami, zajmując się nami bardzo żywo. Niebawem usłyszeliśmy po stronie zachodniej krzyk drugiego ptaka, który przeleciawszy, zrównał się z pierwszym i krążył z nim razem.

Wstrzymaliśmy wielbłądy, ażeby lepiej przypatrzeć się ptakom.

— Warto by w każdym razie dowiedzieć się, co będzie — zauważyłem.

— Ba, ale czy możesz tutaj wiedzieć o czymś wcześniej, niż zobaczysz?

— Widziałem już właśnie sokoły, które odleciały prosto na zachód, patrz, zaczynają znowu krążyć i równocześnie posuwają się ku południowi. Wysnuwam stąd wniosek, że tam właśnie znajduje się karawana, która posuwa się tak powoli, że jestem prawie pewny, iż są tam ludzie, którzy maszerują pieszo.

— A skąd wiesz, że karawana posuwa się naprzód pomału?

— Z zachowania się sokołów.

— Effendi, ty jesteś istotnie czarodziejem... Czy spotkamy się z tymi ludźmi?

— Owszem, jeżeli umyślnie nie zechcemy ich ominąć. Są niedaleko. Pieszko zajść do nich można za godzinę.

— Allah!... Wiesz o tym tak dokładnie? Przecież sokoły nie powiedziały ci tego wcale.

— A któżby, jeżeli nie one? Jeżeli się zna chyżość lotu sokoła i czas, to łatwo obliczyć z tych dwu liczb trzecią, to jest odległość.

— Moglibyśmy widzieć karawanę tak, żeby nas nie spostrzeżono?

— Może, spróbujemy.

Skierowaliśmy ku południowi, obierając sobie za cel krążące, w powietrzu ptaki, na które patrzyłem przez lunetę, bacząc również, czy na horyzoncie nie widać ludzi. Chciałem bowiem na wszelki wypadek, uniknąć niespodziewanego spotkania. Teren był równy jak stół i o kryjówce ani myśleć, ale wiedziałem, że najdalej pod wieczór dotrzemy do okolicy urozmaiconej. Powinniśmy byli mianowicie natknąć się na Nid en Nil, to jest: bardzo długie łożysko rzeki, która wzbiera w porze deszczowej, a nawet i w porze suchej, jak mi opowiadano, można tam trafić na niewielki zapas stojącej wody i podobno nawet konie rzeczne znajdują tam schronisko. Aż do tej chwili nie przypuszczałem, żeby te zwierzęta dotarły aż tak daleko na północ.

Po upływie kilkunastu minut zbliżyliśmy się do sokołów na taką odległość, że można już było zobaczyć ludzi na horyzoncie, jeśliby się tam znajdowali. Próbowałem tego gołym okiem, ale nie zobaczyłem nic, natomiast przez szkła spostrzegłem długi szereg zwierząt i ludzi. Potem dałem lunetę Ben Nilowi, który, przypatrując się przezeń dłuższą chwilę, ozwał się:

— Masz słusność, effendi. To karawana i ja bym był wcale o tym nie pomyślał, choćby nie dwa, ale kilkadziesiąt sokołów drogę mi przeleciało. Jeśli się nie pomyliłem, to karawana liczy dwudziestu jeźdźców i czterdziestu czterech ludzi pieszych. Przecież nikt, do licha, nie wędruje pieszko przez pustynię. A może to karawana niewolników?...

— Gdzieżby znowu... Skądby tu można ich dostać? Zresztą karawana niewolników tu, nad Białym Nilem, wędrująca z północy na południe, byłaby istotnie czymś niesłychanym, wszak handlarze transportują swe ofiary w kierunku zupełnie przeciwnym — z południa na północ.

— Co to za kraj skąd ludzie ci wędrują?

— Kraj Takalów, ale poczekaj! Na wspomnienie tego wyrazu, przychodzi mi na myśl, że Takalowie, jakkolwiek są muzułmanami, mają niecny zwyczaj sprzedawania swych dzieci.

— Allah! Co za hańba, co za zbrodnia! Sprzedają własne dzieci za pieniądze?! Z pewnością są to murzyni.

— Szczep ten nie należy do całkiem czarnej rasy i nie można też o nim powiedzieć, jakoby stał na najniższym szczeblu rozwoju, ponadto nie można mu zarzucić braku zdolności. W czasie podboju

Sudanu przez Egipt Takalowie stawiali opór najdłużej, są bowiem bardzo waleczni i nawet wsławili się w tych wojnach niemało. Kraj ich wyróżnia się spomiędzy innych tym, że posiada obfite pokłady miedzi i że jego mieszkańcy znani są z niezwyklej gościnności dla obcych przybyszów. Mimo to nie należy ufać im zanadto, bo poza tym przymiotem posiadają wiele wad. Na czele szczepu stoi mek\*, który ma prawo sprzedawania w niewolę poddanych, jeśli okazali względem niego nieposłuszeństwo lub z jakiegoś innego powodu zasłużyli na jego niełaskę. Jeńcy wojenni ulegają temu samemu losowi, oczywiście, o ile, wedle prastarego zwyczaju, nie zostaną wymordowani.

— Ach, to tak! Bardzo więc możliwe, że ta karawana składa się właśnie z takich sprzedanych ludzi. Sądysz, że spotkanie się z nimi mogłoby być dla nas niebezpieczne?

— Bynajmniej, nie jest bowiem pożądane starcie się ani z naszej ani z ich strony.

— Więc co? Pojedziemy tam?

— Nie! Jeżeli nie chcemy ich spłoszyć, to lepiej by było nie zbliżać się do nich. Pojedziemy więc w kierunku Nid en Nil i rozłożymy się na nocleg. Oni tam nadciągają z pewnością, no i zetkniemy się z nimi niby od niechcienia, rozumiesz?

Skęciliśmy tedy ku południowi. Uczucie nudy i monotoności pierzchło zupełnie, a natomiast byliśmy bardzo zaciekawieni i podnieceni myślami, co będzie dalej, czy spotkamy się z karawaną i jakie tego będą skutki. Jechaliśmy dość długo i nareszcie spostrzegliśmy na horyzoncie ciemną linię, niby daleki łańcuch górski, a że w tych okolicach gór żadnych nie ma, przypuszczaliśmy, iż to właśnie będzie las, wznoszący się nad brzegami odnogi rzecznej. Jakoż istotnie przypuszczenia te wkrótce się sprawdziły. Już pod wieczór przybyliśmy na miejsce, gdzie brzegi wznosiły się dziko i stromo do takiej wysokości, że niepodobna było dostać się na wielbłądach i dlatego musieliśmy objeżdżać spory kawał drogi, zanim znaleźliśmy odpowiednie miejsce do przejścia.

Nid en Nil jest korytem a właściwie jarem, który w porze deszczowej w czasie tak zwanego charif wzbiera do olbrzymich rozmiarów. Obecnie łożysko, nad którym znaleźliśmy się, było prawie na wyschnięciu. Jechaliśmy dalej wzdłuż koryta może z kwadrans. Brzegi z obu stron opadały bardzo znacznie, a w końcu obramywały majeh albo raczej jezioro, którego woda była dość czysta i nie pokryta roślinnością. Jezioro to było tak szerokie, że niepodobna było dojrzeć drugiego brzegu, ten zaś, na którym znajdowaliśmy się, zarośnięty był gęsto wysokimi drzewami. O przeprawieniu się na drugą stronę i mowy być nie mogło, dlatego jechaliśmy wciąż dalej i wnet spostrzegliśmy, że jezioro się zwęża i wreszcie tworzy wąską szyję, która łączy je z drugim, szerszym jeszcze jeziorem. Woda w tej cieśninie stała spokojnie i nie była zapewne zbyt głęboka, bo wyrastały z niej liczne, gałęziste drzewa. Widocznie miejsce to wysycha w porze gorącej zupełnie.

W przypuszczeniu, że przejście w bród tę cieśninę nie będzie wcale trudne, postanowiłem tu właśnie rozłożyć się na spoczynek. Zsiedliśmy tedy i napoili wielbłądy, po czym przywiązaliśmy je do krzaków, by sobie obgryzały bujne, soczyste liście.

Ledwie uzbieraliśmy suchych gałęzi w celu rozniecenia ognia dla ochrony przed komarami, zobaczyliśmy zbliżającą się karawanę. Jadący naprzód mężczyźni, z pośród których jeden wyróżniał się wzrostem istnego Goliata, stanęli z daleka i poczęli przypatrywać się nam ze zdziwieniem, po

czym olbrzym przybliżył się, obrzucił nas piorunującym spojrzeniem i, obejrzawszy następnie wokoło krzaki, czy nie ma tam kogoś więcej, ozwał się, nie pozdrowiwszy nas wcale:

— Co wy tu robicie u Mahada ed Dill?

Wyrazy te oznaczają bród ocieniony. A zatem istotnie natrafiliśmy na miejsce, któredy można było przepawić się na drugą stronę łożyska, pomyślałem i przypomniało mi się zarazem, że jeżeli na Wschodzie ktoś przy pierwszym spotkaniu nie spieszy się ze słowami pozdrowienia, to jest to znakiem nie bardzo pocieszającym. Człowiek ten w ogóle nie wzbudzał swoim wyglądem zbytniego zaufania i dlatego odrzekłem krótko:

— Odpoczywamy, jak widzisz.

— Będziecie tu nocować?

— Zależy, czy nam się to podoba i czy nie zechce nam kto przeszkadzać.

— Jesteście sami?

— Widzisz to przecież sam.

— Zdaje mi się, że nie zbywa ci na uprzejmości...

— O, za pozwoleniem. Okazuję uprzejmość tylko wówczas, gdy ktoś i względem mnie jest uprzejmym. Odmówiłeś mi przecież pozdrowienia...

— Nie znam was. Kto wy jesteście, powiedz!

— Owszem, ale wówczas dopiero, gdy ty wyjawisz nam swoje nazwisko i zawód.

— Stoję wyżej od ciebie i dlatego powinieneś mi pierwszy ustąpić. Dowiedz się mianowicie, że należę do najwaleczniejszych wojowników króla Takalów. Imię moje Szedid.

— A ja jestem mudirem z Dżarabub, przypuszczam, że znana ci jest ta miejscowość...

W jaki sposób mi to przyszło na myśl, nie miałem pojęcia ani wówczas ani dziś nawet jeszcze. Miejscowość owa jest znana stąd, że założono tam najśłynniejszy w nowszych czasach zakon mahometański, ale żadnego mudira tam nie ma i nigdy nie było. Przywłaszczyłem sobie ten tytuł ot tak sobie, aby zaimponować Takalowi. Kto i co zacz jestem, zbyt czne było z łatwo zrozumiałych powodów wyjawiać to przed nim. Kłamstwo w podobnych wypadkach bynajmniej za zbrodnię poczytywane być nie powinno, przeciwnie szczerść mogła mnie i towarzysza narazić na niebezpieczeństwo, może nawet utratę życia.

— Nie słyzałem wcale o tej miejscowości — odrzekł olbrzym pogardliwie — a twoje całe mudirostwo stoczyły zapewne termity.

— Synem ciemnoty jesteś... Czy i o sidim Senussów również nie słyzałeś nigdy?



— Allah niech cię na wylot przewierci, skoro śmiesz pobożnego wiernego obrażać podobnymi pytaniami. Wszystko, co tylko żyje i rusza się na ziemi, wie, że sidi Senussów jest największym prorokiem, który głosi słowo islamu. Znasz miejscowości Siwah i Faraffah?

— Rozumie się.

— One błyszczą na kuli ziemskiej jak dwie gwiazdy olbrzymie, ponieważ znajdują się tam wszechnice, w których kształcą się uczniowie sidiego Senussów.

— To wiesz, a nieznane ci jest Dżarabub, które jaśniej jeszcze świeci? Wszak tam rezyduje właśnie sidi Senussów, a w Siwah i Farafrah znajdują się tylko jego szkoły. Wszystkie trzy miejscowości jednak leżą w obrębie mej władzy i stąd rozchodzą się promienie islamu na wszystkie strony świata, przed którymi cienie wszystkich herezji ustąpić muszą. Mój dom jest zarazem domem sidiego i ma tylko jedne drzwi wejściowe, żyjemy więc obaj pod jednym dachem i z jednego worka pijemy wodę. Powiedz więc teraz, kto starszy: ty czy ja? Biada temu, kto odmawia mi pozdrowienia! Stanie się nim to, co z owym bluźniercą, o którym mówi sto czwarta sura: „Będzie wrzucony do hutamy”. El hutama jest ogniem, który zapalił Allah na potępienie zbrodniarzy”. No teraz, Szedidzie, nadymaj się dalej, mimo że jesteś najzwyczajnym w świecie śmiertelnikiem!

Wtem przekonany olbrzym zsiadł z wielbłąda, uklonił się głęboko i rzekł:

— O pozwól, mudirze, by słońce przebaczenia twego weszło nade mną. Nie przypuszczałem wprost, ażebyś miał być przyjacielem i towarzyszem świętego sidiego. Wasz zakon obejmie cały świat, a przed potęgą waszą ugiąć się muszą wszyscy ludzie, którzy żyją i żyć jeszcze będą. Jak mam nazywać młodzieńca u twego boku?

— Liczba jego lat nie wynosi wiele, ale przymioty jego ducha uczyniły go już sławnym. Kształcił się na uniwersytecie we Farafrah i obecnie wybrał się wraz ze mną w te okolice celem szerzenia haseł nowego zakonu. Tytuł jego: chatib, i tak też młodzieńca nazywać możesz.

Szkoda, że na jego miejscu nie znalazł się słynny fanfaron Selim, ten z pewnością byłby natychmiast zaczął porywające kazanie, które przede wszystkim byłoby pełne samochwalstwa. Ben Nil jednak odrzekł jak najbardziej skromnie:

— Obszedłeś się z nami niegrzecznie dlatego, że niewiadomym ci było, co zacz jesteśmy. Przebaczymy ci więc chętnie.

To potwierdzenie mego kłamstwa przez mahometanina świadczyło wymownie, do jakiego stopnia był mi oddany. Takal znajdował się widocznie w przykrym kłopotcie. Zmiarkowałem po nim, że radby chętnie rozłożyć się obozem koło nas ale z uszanowania, które nam winien, nie śmiał odważyć się na to. Zwrócił się więc ku swojej karawanie, która niedaleko zatrzymała się na chwilę, i rzekł:

— Będziemy tu nocować, ale nie w tym miejscu, lecz trochę dalej, gdyż nie wolno nam być tak blisko świętych mężów, którzy się tu znajdują.

— Wobec Allaha wszyscy ludzie są sobie równi i dlatego pozwalam wam zająć miejsce koło nas

— rzekłem.

— Dziękuję ci, mudirze, i zapewniam, że moi ludzie z wielką nabożnością słuchać będą waszych kazań.

— Nie myśl, że my zaraz będziemy prawić kazania. Wszak na wszystko powinien być stosowny czas i miejsce, a usta mogą głosić święte słowa tylko wtedy, jeżeli duch jest natchniony.

Rozumie się, że wcale nie było mi na rękę spełnianie tu obowiązku muzułmańskiego misjonarza. Chciałem tylko imponować przybyszom, nic więcej, a że mi się to znakomicie udało, najlepiej świadczyło zachowanie się dowódcy karawany. Mimo to człowiek ów budził we mnie uczucie do pewnego stopnia odrażające, i to bynajmniej nie zewnętrznym wyglądem, lecz usposobieniem. Rysy jego były regularne, głos dźwięczny, ale w oczach czaiły się bardzo wiele mówiące błyski.

Na dany znak ludzie przybliżyli się do nas. Było ich tyle, ile naliczyliśmy poprzednio przez lunetę, a ponadto poznaliśmy dopiero teraz, że byli tu i mężczyźni i kobiety, które stanowiły połowę gromady pieszych. Zauważyliśmy również, że wszyscy ci ludzie, transportowani pieszo, mieli powiązane ręce i przytwierdzone do jednej wspólnej liny, A zatem — niewolnicy!

Jeźdźcy pędzili ich przed sobą bez zbytnich ceremonii, ot, jak stado owiec lub bydła. Szedid rozkazał im, aby się nam ze czcią pokłonili, co też nastąpiło bezwzględnie. Jeźdźcy następnie napiili wielbłądy, a potem dopiero zapędzili do wody gromadę niewolników, którzy po zaspokojeniu pragnienia zostali przypędzeni blisko nas i tu się pokładli na ziemi. Widoczne było u nich, że poddali się swemu losowi z pełną rezygnacją.

Uderzyło mnie przede wszystkim to, że między jeńcami a tymi, którzy ich pędzili, nie było żadnej różnicy w rysach, zapewne, należeli do jednego i tego samego szczepu. Barwa twarzy nie była czarna, lecz czarno brunatna, brody mieli słabo rozwinięte, włosy twarde a nie kręcone. Przewodnik wydał poszczególne rozkazy kilku ze swoich ludzi co do strzeżenia jeńców, a do reszty z nich ozwał się:

— Otwórzcie swoje oczy, zobaczcie tych oto dwu mężów, których modły mogą otworzyć wam niebiosą. Tu siedzi sławny i święty mudir z Dżarabub, który ma większą władzę niż sam senussi, a z sidim Senussów pod jednym dachem mieszka. Obok niego widzicie pobożnego młodzieńca, któremu mimo młodego wieku dana jest łaska głoszenia świętego słowa koranu. Pokłońcie się im i nie znieważcie ich przypadkiem jakim niebacznym słowem!

Ostatnie te słowa powinny były być zrozumiane zupełnie inaczej, a mianowicie: „Bądźcie rozsądni i ostrożni; przez niebaczną rozmowę nie zdradźcie się, że należymy do gatunku podłych ludzi.” Wszyscy, skrzyżowawszy ramiona na piersiach, uklonili się przed nami niemal do ziemi, przysunęli się potem tak, ażeby nam nie przeszkadzać, a jednak by mogli słyszeć naszą rozmowę, i poczęli dobywać z woreczków zapasy żywności. Jeńcy nie otrzymali nic i dlatego zagadnąłem Szedida:

— Sądzisz, że tamci nie są głodni?

— Co mnie to może obchodzić? — odrzekł — Dostają raz na dzień jeść ‘i pić. Jeżeli są teraz

głodni, to — niech śpią. Przecież to rekwik, a zresztą dostali dziś więcej, niż się im należało, bo napili się tu dowoli.

— No tak, napili się wody z jeziora, podczas gdy wy używacie z worów skórzanych.

— Dla niewolników woda jest wodą i jeżeli im nie smakuje, to ja na to nic nie poradzę.

— Czy to niewolnicy? Gdzie ich kupiłeś?

— Gdzie kupiłem? O, mudirze przezacny! Zadziwiasz mnie swą naiwnością. Wy, święci, znacie wszystkie siedem pierzei nieba, ale na ziemi jesteście jak ślepi. Takale nie kupują rekwiku, lecz zabierają go sobie sami.

— Rozumiem... A... a... czy ci niewolnicy pochodzą z tego samego szczepu, co ty?

— Zgadłeś.

— Cóż zawinili, że...

— Właściwie... oni nie zawinili nic, ale mek potrzebuje pieniędzy, więc dlatego ich sprzedaje.

— Jak to? Waszemu mekowi wolno sprzedawać swoich poddanych?

— Rozumie się. Ktokolwiek tylko jest dla niego niewygodny, zaraz bywa sprzedany. Wolno też rodzicom sprzedawać swoje dzieci, mężowi żonę, a panom tych, którzy podlegają ich rozkazom.

— A co byś na to powiedział, gdyby tak na przykład zachciało się mekowi sprzedać także ciebie?

...

— Ha! Musiałbym się poddać losowi — a po cichu prawie na ucho szepnął mi: — No, już ja bym znalazł na to radę i nie dałbym się za nic w świecie wziąć pod nogi...

Zwierzenie to uczynił przede mną z tej racji, że uważał mnie za świątobliwego i nie obawiał się mnie. Widocznie nie robił sobie nic z wysoko postawionej osoby w hierarchii duchownej, bądź też nie było dla niego w ogóle żadnej świętości. Ostatnią tę okoliczność potwierdzała odpowiedź na moje zapytanie:

— Czy i ty sprzedałeś kiedy rekwik?

— Wiele razy. Nawet tu wśród tych niewolników jest moja własna żona i dwie córki.

— Dlaczego je sprzedajesz?

— Bo znalazłem sobie inną żonę, a co do córek, to korzystniej jest przecież sprzedać je za gotówkę, niż żywić je niepotrzebnie.

Wypowiedział to z tak zupełną zarożumiałością i w takim tonie, jakby chciał przez to dać wyraz

nie tylko własnym, osobistym zapatrywaniem, lecz objawić zdanie całej ludzkości w ogóle.

— Czy poddały się dobrowolnie? — dowiadywałem się dalej.

— A cóżby im pomógł opór? Płakały, lamentowały, ale co znaczą łzy kobiety? Bo, jako uczony w wierze, przyznasz, że kobieta nie posiada duszy i nie może się dostać do nieba.

— Dokąd prowadzisz tych niewolników?

— Do Faszody. Mam tam stałego odbiorcę.

Już, już byłby mi dał inną, może nawet prawdziwą odpowiedź, ale się zawahał. Widocznie nie ufał mi w zupełności.

— Bywasz często w Faszodzie?

— Co sześć miesięcy ciągnę tam z żywym towarem na sprzedaż. A dokąd wiedzie twoja droga?

— Przede wszystkim do Maknadat el Kelb, gdzie przeprawię się przez Biały Nil w celu wyszukania szczepu Fungi i rozpoczęcia tam misji.

— Wstąpisz i do Faszody?

— Obecnie nie, lecz może później.

W tej chwili słońce dotknęło pozornie horyzontu, nadszedł więc czas modlitwy, zwanej mogreb. Ludzie, którzy siedzieli dotąd, nawet tamci powiązani razem podnieśli się na klęczki i zwrócili oczy na mnie, albowiem wedle zwyczaju powinien przewodniczyć modlitwie najgodniejszy z obecnych, a drudzy tylko mają powtarzać refreny w pewnych miejscach. Chwila ta była dla mnie wielce kłopotliwa. Modliłem się wprawdzie dość często z muzułmanami, ale oczywiście nie głośno i nie do Allaha i proroka. Tu jednak były przepisane liczne i rozmaite fatha, wiersze z korami, pozdrowienia dla Mahometa i archanioła, że byłbym się w tym najpewniej zgubił i skompromitował. I oto zacny Ben Nil odgadł od razu mój kłopot i ozwał się pokornie proszącym tonem:

— Przepraszam cię mudirze... Ty odmawiasz stale trzy razy dziennie modlitwy sam, a obie wieczorne należą się mnie. Czy i dziś pozwolisz mi je odmówić, jak zawsze?

— Dobrze! Przoduj w modlitwie, mój chatibie, ulubieńcze proroka — odrzekłem. — Słowa twe lecą tym samym szlakiem, co i moje, i osiągną ten sam cel.

Po mogrebie spożyłem z Ben Nilem posiłek, a Takalowie podczas tego odwrócili się, aby nie widzieć nas jedzących. Domaga się tego zwyczaju uprzejmość dla szlachetnych i pobożnych ludzi. Że zachowałem się przy tym milcząco, nie mógł i Szedid nic mówić, zarówno jak i tamci milczeli głęboko i zdawało im się zapewne, że obaj z młodym towarzyszem pogrążeni jesteśmy w pobożnych myślach i nie wolno nam przeszkadzać.

Niebawem ukazał się na niebie księżyc, a drzewa rzuciły ku nam długie cienie. Po prawej mojej

ręce rozciągała się bezkresna pustynia, po lewej lśniły na wodzie drobniuchne, wiecznie ruchome kwiatuszki, które nie zapuszczają w ziemię korzeni, lecz unoszą się na wodzie z miejsca na miejsce. Roślina ta przedostaje się z jeziora Tsad w wielkiej ilości, a mieszkańcy Bornu i Baghirmi śpiewają nawet o niej bardzo piękną barkarolę, która jest wyraźnym dowodem poetycznego usposobienia tych szczepów. Piosenka ta w wolnym przekładzie brzmi:

Poprzez wzburzone fale wód,  
Bezdomna fanna płynie, płynie...  
Hen do nieznanym, obcych wrót  
W smutnej i tęsknej gdzieś krainie...

A Talhy błędny, trwożny cień  
Rozpina żagle do księżyca  
I pełen cichych błogich snień  
Tęsknotą własną się zachwyca...

Wtem nagle drgnęło coś wśród fal,  
Tak piękne, szczytne, jak duch blade —  
Cień drgnął, w bezdomną spojrział dal  
I w toń na wieczną padł zagładę.

Poprzez wzburzone fale wód  
Bezdomna fanna płynie, płynie...  
Hen, do nieznanym obcych wrót  
W dalekiej tęsknej gdzieś krainie...

Zamiast pograżać się myślami w tajemnice koranu, patrzyłem na kwiecie, lśniące jak srebro w świetle księżyca, i powtarzałem w duchu słyszane kiedyś zwrotki o „bezdomnej farmie” i o jej ojczyźnie, gdzie lwy, słonie, nosorożce, krokodyle i inne olbrzymie potwory świata zwierzęcego żyją ze sobą w zgodzie.

Wtem przerwał ciszę jeden z Takalów, wyciągając rękę w stronę pustyni.

— Jakiś jeździec! Patrzajcie! Do nas się zbliża. Kto by to był?

I istotnie przez pustynię pędził jakiś jeździec wprost na „bród ocieniony”, zapewne znał dokładnie okolice i to miejsce do przeprawienia się na drugą stronę. Przybywał z północnego wschodu, a więc od strony Nilu, podczas gdy nasz kierunek był północno-zachodni.

Ponieważ paliliśmy ognie, musiał więc już z daleka nas zauważyć, a mimo to nie obawiał się, lecz zatrzymał wielbłąda tuż przed nami i rzekł:

— Allah niech wam da tysiąc takich pięknych i szczęśliwych nocy! Pozwólcie mi odpocząć koło siebie!

Nie odpowiedziałem na to ani Ben Nil, więc zdecydował się przemówić przewodnik:

— Zsiądź i rozgość się! Witamy cię.

Nieznajomy zeskoczył z siodła, puścił wielbłąda do wody i usiadł koło naszego ogniska między Szedidem a Ben Nilem. Ponieważ jeńcy leżeli opodal w cieniu, nie spostrzegł ich aż dopiero teraz i domyślił się od razu, że to niewolnicy, bo byli powiązani. Wywołało to na jego twarzy wyraz radości, która przebijała się również ze słów:

— Allah sprowadził mnie na czas tutaj, gdyż, jak mniemam, ci niewolnicy należą do szczepu Takalów. Czy się nie mylę?

— Zgadłeś — odrzekł przewodnik.

— W takim razie powinien tu być obecnym Szedid, najpierwszy sługa króla...

— Ja nim jestem... Ale kim jesteś ty, że znasz moje nazwisko?...

— Nazywam się Ben Bakkwara, mieszkam w miszrah Omm Oszrin i jestem przyjacielem człowieka, którego i ty znasz dobrze — Ibn Asla...

— Przybywasz może z jego polecenia?

— Tak, jako specjalny posłaniec.

— Jakżeż to? Dlaczego posyła cię nie do miejsca mego stałego pobytu, lecz w czasie podróży, kiedy znaleźć mnie nie zbyt łatwo? Czy może jaka gwałtowna sprawa?

— Zapewne, ale muszę cię objaśnić, że Ibn Asl wiedział dobrze, gdzie się znajdujesz. Mówił mi właśnie, że ty dwa razy do roku regularnie w ściśle określonym czasie opuszczasz swój kraj i wędrujesz do Faszody.

— No, to prawda.

— On nawet wie, w którym dniu wybierasz się w drogę i którego powracasz, mógł więc łatwo obliczyć, gdzie tego a tego dnia znaleźć cię można. Teraz na przykład zapewnił mnie, że spotkam się z tobą pojutrze tu właśnie, u tego brodu.

— Omylił się o jeden dzień, bo właśnie rozpocząłem podróż o tyle wcześniej. — Cóż tedy przynosisz nowego?

— Ostrzeżenie. Nie powinieneś w czasie marszu zbliżać się do Nilu, a ponadto nie masz tym razem prowadzić rekwiku prosto do Faszody, lecz ukryć go gdzieś w pobliżu. Potem udasz się sam do Ibn Muleja, sangaka arnautów, i powiesz mu, gdzie niewolników szukać należy.

— Po co te ostrożności?

— Bo w tych okolicach kręci się pewien obcy effendi w celu wyłapywania łowców niewolników, aby ich dostawiać potem w ręce reisa effendiny.

— A niechże Allah zniszczy tego psa!

— A wiesz? On jest chrześcijaninem!

— W takim razie Allah nie powinien go zniszczyć, lecz wtrącić go w najstraszniejszy kąt piekła. Z jakiej racji ten pies chrześcijański zajmuje się łowcami niewolników?

— Muszę ci dalej powiedzieć, że najprawdopodobniej jedzie on okrętem razem z resem effendiną do Faszody, a że ludzie ci często przedsiębiorą wycieczki na ląd, możliwe jest zatem, że cię spotkają i złapią, zwłaszcza jeśli nie będziesz się trzymał jak najdalej od rzeki. Ibn Asl właśnie dlatego przysłał mnie do ciebie z ostrzeżeniem.

— Ech, to było zbyt cenne. Co mnie obchodzą ustawy wicekróla? Służę przecież swemu królowi, a nasze ustawy pozwalają na sprzedawanie ludzi i jeżeli istotnie tym się zajmuję, to nikt nie śmie wtrącać się do moich interesów. A zresztą mamy doskonałego pomocnika w osobie Ali effendiego el Kurdi, mudira z Faszody, który nieraz już sprzątnął reisowi effendinie rekwik sprzed nosa. Kogóż tedy mamy się bać? Wcale więc nie myślę zbaczać z obranej drogi, tym bardziej, że wchodzi tu w grę ów przeklęty effendi, bo nawet cieszyłbym się, gdyby mi się nawinął pod rękę. Już ja bym mu dał nauczkę!

To mówiąc, począł zacierać dłonie zawzięcie, a rysy jego twarzy przybrały wyraz więcej niż zbójceki. Można sobie wyobrazić, z jakim zadowoleniem słuchałem tej rozmowy, zwłaszcza, że posłaniec i Szedid napomknęli o mudirze z Faszody i o sangaku arnautów, o którym wyraził już zdanie porucznik z bandy Ibn Asla. Posiadając tak cenne wiadomości, wiedziałem już, do których osób zwrócić mi się należy. Słowa Szedida dowodziły niezwyklej pewności siebie, co mnie tylko cieszyć mogło, bo im pewniejszym się czułem, tym bardziej ułatwiał mi moje zadanie. W tej chwili jednak nie miałem jeszcze ani pojęcia, co następnie usłyszę. Posłaniec bowiem, któremu się nie podobała śmiałość Szedida, ostrzegł:

— Uważaj i nie bądź tak bardzo pewny siebie! Bo czyż sądzisz, że Ibn Asl posyłałby mnie tutaj, gdyby nie był niezbitcie przekonany, że to konieczne? Ów chrześcijański effendi jest o wiele niebezpieczniejszy niż sam reis effendina.

Wtedy Szedid zerwał się na równe nogi, wyprostował się jak struna i krzyknął:

— No, no, zbyteczne obawy! Popatrz tylko na mnie! Czyż wyglądam na takiego, któryby miał powód do obawy przed jakimś tam effendim i do tego chrześcijaninem. Zabijam co najmniej pięć takich psów za jednym zamachem!

— No bez wątpienia jesteś silny, uprzedził mnie już o tym Ibn Asl, ale on mimo to kazał cię ostrzec, że ów effendi jest również silny, a może nawet silniejszy niż ty.

— Niż ja? Jak mógł Ibn Asl obrażać mnie do tego stopnia? Toż nie było jeszcze człowieka, który by mnie pokonał!

— Nie sądzę, żeby Ibn Asl miał zamiar obrażać cię, bo on miał na myśli nie tylko siłę fizyczną, ale i inne przymioty, które w walce dwu ludzi wiele zaważyć mogą. Wchodzi tu w grę spryt, podstęp, rozmaite sztuczki, nawet czarodziejskie, a ów giaur, jak się zdaje, jest uosobieniem chytryści. On potrafi wszystko, nawet najbardziej zawiłe tajemnice są dla niego dostępne, ba co więcej — jeżeli ktoś nastawi nań pułapkę, to niewątpliwie złapie się w nią sam. Opowiadał mi Ibn Asl niestworzone rzeczy o tym niesłychanym człowieku, niestety, za mało było na to czasu. Z tego jednak, co słyszałem, wyrobiłem sobie przekonanie, że to człowiek strasznie niebezpieczny.

— No to opowiedz mi... Chciałbym na własne uszy usłyszeć, dlaczego wierny muzułmanin ma się bać niewiernego giaura...

Usiadł na powrót, a posłaniec opowiadał mu nasze przygody, oczywiście piąte przez dziesiąte, mimo to olbrzym dał się do pewnego stopnia przekonać i odpowiedział:

— Ów pies istotnie może być niebezpieczny i dlatego należałoby strzec się go za wszelką cenę, ale że na szczęście on mnie nie zna ani też nie słyszał zapewne o mnie nigdy, mogę być spokojny.

— Ja bym na twoim miejscu nie był tak pewny. Zważ, że on zabrał do niewoli cały oddział Ibn Asla! I jeżeli udało mu się tylko pociągnąć za język kogokolwiek z jeńców, to zrozumiesz...

— Prawda! Nie myślałem o tym.

— Mnie się zdaje, że gdyby nawet nie słyszał o tobie ani słowa i nie miał w ogóle żadnego pojęcia o twoich sprawach, to spotkawszy cię na pustyni i widząc rekwik, zaczepiłby cię bezwarunkowo.

— Pokonałbym go!

— Może, zwłaszcza, gdyby cię zaczepił otwarcie, ale słyszałeś właśnie, że on tego unika i ma setki innych sposobów do zwyciężenia stokroć liczniejszego nieprzyjaciela. Strzeż się tedy przed nim, o ile tylko leży w twojej mocy!



— No dobrze, uczynię to, ale nie z obawy, tylko dlatego, że Ibn Asl tak sobie życzy. Gdzie on się obraca obecnie?

— Przybył wczoraj w południe na swej wielbłądzicy do miszrah Omm Oszrin i ja zaraz stamtąd odjechałem tu do ciebie. Możesz z tego wywnioskować, że on obecnie jest już daleko poza Makhadat el Kelb.

— Pojedzie do Faszody?

— Tak jest.

— A skąd weźmie ludzi na nową wyprawę po niewolników, skoro cały jego oddział zabrano?

— Zwerbuję sobie nowy zastęp u Szyluków i Nuerów, a może nawet Dinków, skoro tylko znajdzie dobrą sposobność, ale musi się bardzo spieszyć, bo reis effendina dąży jego śladem. Prawdopodobnie prześladowany będzie musiał ukryć się w Faszodzie, bo przede wszystkim ma zobaczyć się z tobą. Przypomniałem sobie w tej chwili, że nakazał mi, abym polecił szczególnej twojej uwadze jednego z niewolników. Jest to ten sam, którego zamówił u ciebie podczas ostatniej podróży do Faszody...

— Zapewne Hazid Sichar! A znam go! Leży tam właśnie pierwszy w łańcuchu niewolników.

— Ibn Aslowi zależy ogromnie na tym, aby go ponownie dostać w swe ręce. Musisz więc zwrócić szczególniejszą bacność na tego niewolnika, bo cena jego nie byle jaka.

— Dobrze, będę uważał, ale dziwię się, że Ibn Asl zapomniał o najważniejszej rzeczy, na której zależy mi najbardziej. Bo co by się stało, gdybym na przykład spotkał owego chrześcijanina? Nie znam go i bardzo łatwo mógłbym wpaść w jego ręce. Ibn Asl widział go, rozmawiał z nim nawet i powinien był podać mi przez ciebie rysopis tego psa.

— Allah, jaki ze mnie posłaniec! — krzyknął, uderzając się w czoło — to nie Ibn Asl, lecz ja sam zapomniałem o tym. Mam od niego wyczerpujące wskazówki o tym diable i nawet o jego towarzyszu, który się nazywa Ben Nil.

Chwyciłem bezwiednie rewolwer do ręki, bo rozmowa przybierała obrót istotnie dla mnie niebezpieczny. Jeżeli ten człowiek uzyskał mój rysopis, będę zgubiony. Ben Nil myślał o tym samym, bo rzucił do mnie badawcze spojrzenie.

— Ben Nil? — pytał Szedid. — Któż to jest?

— Młody człowiek, który mimo, że jest muzułmaninem, nie odstępuje ani na krok effendiego. Niech go Allah potarga w strzępy! Nigdy nie można widzieć jednego bez drugiego i z tej przyczyny Ibn Asl podał mi rysopisy ich obu.

— No, no?

— Ów Ben Nil liczy około osiemnastu lat, jest postawy smukłej, ale odznacza się niezwykłą siłą.

Twarz bez zarostu, włosy i oczy czarne, policzki pełne. Ubranie, które nosił w ostatnich czasach, składało się...

Urwał nagle, przypatrując się ze zdumieniem Ben Nilowi, po czym wykrzyknął:

— Co za szczególny zbieg okoliczności! Rysopis tego odszczepieńcy zgadza się zupełnie... Ach tak... tak... Młodzieniec, który koło mnie siedzi...

— E, pomyliłeś się albo zachodzi tu przypadek podobieństwa.

— Ależ zapewniam cię, że rysopis najzupełniej się zgadza.

— Wydaje ci się tak, bo osobiście nie znasz Ben Nila i nie widziałeś go nigdy. Przecież tysiące młodych ludzi mogą mieć czarne włosy i oczy, pełne policzki i inne podobne oznaki. Ten młodzieniec jednak nie ma nic wspólnego z twoim Ben Nilem. Jest to sławny chatib ze świętego zakonu sidiego Senussów.

Posłaniec skrzyżował ramiona na piersiach, skłonił się przed Ben Nilem i rzekł:

— W takim razie pomyliłem się, nie znaczy to jednak, jakobym miał zamiar obrazić tego pobożnego chatiba, któremu niech błogosławi Allah i prorok.

Dzięki Bogu, pierwsze niebezpieczeństwo minęło, ale, co będzie dalej, kiedy posłaniec zacznie mówić o mnie?

— Ben Nil, bądź co bądź — mówił Szedid — jest dla mnie osobą mniej ważną; idzie mi głównie o effendiego...

Pomyślałem sobie w duszy, żeby ten posłaniec nagle oniemiał lub żeby chociaż pomylił się w rysopisie. Gdzież tam! Ibn Asl umiał poinformować posłańca o mnie do najdrobniejszego szczegółu. Opisujący tak samo, jak poprzednio co do Ben Nila, zamilkł na chwilę i przypatrując mi się uważnie, mówił:

— Allah jest wielki! Czy można uważać to za możliwość? Oto siedzi koło nas we własnej swej osobie ten, którego rysopis mam podać! To on! On! Nie ma o tym najmniejszej wątpliwości!

Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie wywarły te słowa na obecnych, których oczy były na mnie jednego zwrócone; nawet jeńcy podnosili głowy, a jeden z nich wyrwał się ze zdaniem:

— *Hamdulillah!* Może jestem uratowany!

Na szczęście nikt nie zwracał na te słowa uwagi, bo skupiała się ona wyłącznie na mojej osobie, a tylko ja jeden zrozumiałem, o co idzie, gdyż od dłuższego czasu przemyślałem nad uratowaniem zaginionego człowieka, którego imię właśnie przed chwilą Szedid był wymienił. Czyżby to istotnie był Hazid Sichiar, brat przewodnika z Maabdah? Ibn Asl kazał powiedzieć przez posłańca, że mu bardzo zależy na tym jeńcu. Nie marzyłem nawet o tym, że tak łatwo odnajdę człowieka, dla którego byłbym poświęcił wiele czasu i trudu. Ów wykrzyknik z ust jeńca, rozproszył we mnie resztki

wątpliwości. Rozumie się, że obecnie nie była pora do przedsięwzięcia środków ratunkowych, bo naraziłbym przez to nie tylko siebie, ale i wielu ludzi.

Ben Nil nie zdradzał ani cienia niepokoju lub lęku, przeciwnie, patrzył na Szedida i posłańca z prawdziwym zdumieniem, jak mają odwagę posądzać go o jakieś tam historie, które go nic nie obchodzą. Mogłem więc być zupełnie pewnym, że zachowaniem swoim nie zdradzi ani siebie ani mnie.

Co do mnie, to skupiłem w sobie całą potęgę woli i spoglądałem na posłańca w milczeniu, w tym celu, aby dać dostrzec, że nie oszumiłem na jego mowę. Szedid był najświęciej przekonany, że jestem istotnie effendim, ale niezwykle spokojny, z jakim słuchałem opisu, wprowadził go w poważną wątpliwość.

— Co ty mówisz? — pytał posłańca. — Ten człowiek, który siedzi u mego boku miałby być niewiernym effendim?

— Tak! To on, z całą pewnością!

— Ależ zastanów się! Toż to jest mudir z Dżarabub, mąż zaufania i najwierniejszy przyjaciel sidiego Senussów!

— Czy to prawda? Możesz tego dowieść? — pytał posłaniec.

— Wiem to od niego samego.

— Od niego samego, no proszę! — zaśmiał się Arab. — Jeżeli nie dowiedziałeś się o tym od jakiegoś pewnego i zaufanego człowieka, to dowód twój mógłby się przydać jedynie psu na buty. Wspominałem ci przecież, że ten gjaur bardzo często zmienia nazwisko.

— Na Allaha, prawda! Czyżby...

Spojrzał na mnie bardzo uważnie i widać było, że walczy z samym sobą i nie wie, co ma myśleć i jak sobie postąpić. Teraz dopiero ozwałem się głosem stanowczym i oznaczającym wielkie zdziwienie:

— Co ten człowiek mówi? Może o mnie?

— Naturalnie o tobie — odparł Szedid. — Nie rozumiałeś jego słów?

— Gdybym go był rozumiał, to musiałbym być uważać go za wariata, wolę raczej przypuszczać, że źle słyszałem.

— On utrzymuje, że jesteś właśnie tym effendim, o którym on wspomniał.

— Allah niech mu przebaczy! Istotnie powiedział te niemądre słowa? Duch jego jest chory, bardzo chory. Powiedz mu, żeby umoczył chustkę w wodzie i włożył ją sobie na głowę, a opuści go wkrótce gorączka.

— Nie jestem chory i wiem dobrze, co mówię— wtrącił Bakkwarczyk. — Można się pomylić co do jednej osoby, ale co do dwu równocześnie — darujesz, byłoby to niemożliwe! Ten młody człowiek jest Ben Nilem, ty effendim... Zgadza się to najzupełniej, a zresztą jeszcze jeden dowód... Czy przypadkiem nie są ich hedżiny siwej maści?

— A tak, zgadza się to — wtrącił Szedid.

— Czyż trzeba więcej? Nie daj się oszukać, Szedidzie, i zbadaj całą sprawę dokładnie!

Szedid popadł teraz w podwójną wątpliwość.

— Słyszysz, co on mówi — rzekł, zwracając się do mnie. — Żywię wielką cześć dla twej świętości, ale, daruj, nie mam dowodu na to, jakoby ona była prawdziwa, proszę cię więc, dopomóż mi sam w tym, ażebym ci uwierzył!

— Posądzasz mnie istotnie o kłamstwo? — zapytałem tonem niezwykłego zdziwienia. — Żądasz, abym cię przekonał, że jestem właśnie tym, kim jestem — dobrze. Powiedz mi tedy, gdzie znajdujemy się w tej chwili?

— No, tu, nad Machada ed Diii.

— A gdzie jest ów effendi, jak to Ibn Asl sam powiedział?

— W drodze na Nilu.

— Czyż może być obecnie tutaj?

— No, to, co powiedział Ibn Asl, było tylko domysłem. Gdyby rysopis zgadzał się był co do jednej tylko z dwu osób, to możliwy byłby błąd, ale przyznasz sam, że jest inaczej. Jesteś owym effendim i muszę cię zabić.

— Ależ ja nim wcale nie jestem!

— Nie udowodniłeś tego niczym, chyba, że zechcesz uczynić to teraz.

— Jedynym i najpewniejszym dowodem, jestem ja sam...

— Ha, wobec tego, muszę cię uwięzić i zatrzymać przy sobie tak długo, dopóki nie zobaczy cię Ibn Asl.

— Tego nie uczynisz, bo wyrządziłbyś niepowetowaną szkodę świętej sprawie islamu.

— Jeżeli nie postarasz się o to, bym uwierzył w twoje święte posłannictwo, to nie będę się kierował żadnymi względami.

— Ja zaś jestem przekonany, że wiesz doskonale, jak wielką władzę i moc posiada mój zakon, który zwróci się przeciw tobie, skoro tylko zażądam tego.

Tu nadmieniam, że wśród ludności tych okolic panuje ogromna ciemnota i wiara w zabobony. Tym się też tłumaczy wielkie przerażenie, jakie na obecnych groźba moja wywołała. Szczególnie Szedid znalazł się w nader kłopotliwym położeniu. Jeżeli, jego zdaniem, byłem effendim, to powinien być bez wahania albo mnie zabić albo ująć. Jeżeli zaś byłem istotnie wysoko postawioną osobą w zakonie, za jaką się podałem, to byłem nie tylko świętym, lecz zarazem czarodziejem i cudotwórcą, który, aby się pomścić, zdolny jest zmobilizować wszystkie dobre i złe duchy, jakie tylko istnieją. To właśnie czarodziejstwo napełniło go niesłychaną trwogą. Posłaniec mimo to dręczył go dalszymi uwagami, zwróconymi przeciw mnie tak, że ostatecznie Szedid rzekł:

— Doprawdy nie wiem, co mam czynić. Nie chciałbym ci wyrządzić krzywdy, a ty, mimo wszystko, nie możesz się należycie wylegitymować. Zdaje mi się, że mógłbyś rozproszyć moją wątpliwość i to w dwojaki sposób. Czy zgadzasz się na to?

— Muszę naprzód wiedzieć, o co idzie.

— Słyszałeś, że ów effendi ma być podobno bardzo silny. Otóż zechciej spróbować się ze mną, abym zbadał, czy istotnie posiadasz taką siłę, jak on.

Rozumie się, był to tylko wykręt z jego strony w celu popisania się swą siłą. Pocziwiec sądził, że byłoby niemożliwością, aby ktoś, posiadający siłę, mógł udać, że jest słaby. Co do mnie, to byłbym bez wahania przystał na jego żądanie, gdyby nie wzgląd na moją godność duchowną, do jakiej konsekwentnie przyznawać się należało. W tej więc myśli odrzekłem:

— Powiadasz więc, że mogę się wylegitymować w dwojaki sposób, a przede wszystkim za pomocą pojedynku. Niestety, przyznasz sam, że powołaniem moim jest praca dla dobra dusz ludzkich, dla świętej wiary, a nie walka. Porównaj zresztą siebie i mnie, czyż nie jesteś pewny z góry, że musiałbym ci ulec?

— Ba, ale w walce nie zawsze rozstrzyga fizyczna budowa...

— Tak jest — wtrącił posłaniec łowcy niewolników. — Jak się dowiedziałem od Ibn Asla, ów obcy effendi nie jest wcale olbrzymem, a mimo to odznacza się taką siłą, że nikt mu pod tym względem nie dorówna. Jeśli więc jesteś giaurem, to musisz odnieść zwycięstwo nad Szedidem. W przeciwnym razie będziemy mieli dowód, że nie jesteś effendim.

— Słusznie — potwierdził Szedid. — Powinieneś zmierzyć się ze mną, jeżeli tylko masz czyste sumienie. Wahaniem zaś dasz dowód, że się boisz, aby nie wypróbowano i nie odkryto twej siły. Decyduj się więc i to prędko!

Wstałem, jakbym istotnie godził się na propozycję, ale zauważyłem przy tym z wyrazem udanego zakłopotania:

— No, ostatecznie, mógłbym się zgodzić, ale gdy się w Dzarabubie dowiedzą, że zostałem pokonany, to sława moja i powaga bardzo na tym ucierpi.

Wtem mój nie lada filut, Ben Nil, wmieszał się bardzo mądrze, zauważając:

— Któżby cię zdradził, mudirze? Przecież żaden z tych ludzi nawet nogą w naszej ojczyźnie nie stanie, a co się tyczy mnie, to możesz być pewny, że tajemnicy przed nikim nie zdradzę.

— Słyszałeś... — dodał Szedid. — Cześć twoja nie ucierpi wcale na tym, jeśli cię pokonam i dlatego ponawiam swoje żądanie.

— Ha, no! jeśli inaczej być nie może, zgadzam się. Zechciej określić warunki!

— Będziemy się mocować w sposób najprostszy. Kto kogo położy na ziemi, ten wygrywa. Zrozumiałeś dobrze?

— Tak — odrzekłem, zrzucając ze siebie haik, podczas gdy i on uczynił to samo.

Rozumie się, że byłem z góry zdecydowany dać mu się pokonać, ale nie bez pewnego oporu, bo to wzbudziłoby w nim podejrzenie. Otwarcie zaś mówiąc wolałbym być zupełnie poważnie zmierzyć się z tym Goliatem w celu przekonania się, czy dałbym mu radę. Niestety i mowy o tym być nie mogło.

Stanęliśmy naprzeciw siebie gotowi do zapasów, gdy wtem olbrzym pochwycił mnie nagle w ramiona i starał się podnieść mnie szybko w górę. Stawiałem mu oczywiście opór, z dość natężającym wysiłkiem, ale mimo to podniósł mnie dwa razy tak, że nie zdołałem dotknąć stopami ziemi, a za trzecim razem zebrał wszystkie siły, podniósł w górę i chwycił pod pachę jedną ręką, a drugą za udo tak, że wsparł mnie na sobie w równowadze, a potem łatwo już położył mnie na ziemi. W tej właśnie chwili przekonałem się, że mógłbym być zrobić to samo z nim, gdybym był tylko chciał.

— Nie jest słaby — rzekł zwycięzca — i posiada znaczną siłę, ale żeby znowu tak bardzo nadzwyczajną, o tym i wątpliwości nie ma.

— Wiedziałem z góry, że tak będzie — odparłem wstając — wszak na ziemi nie ma człowieka, którego byś nie pokonał.

A przy tym udawałem wielce zmęczonego, oddychając szybko.

— O tak. Dwa razy udało ci się dostać stopami do ziemi, ale za to teraz pracują twoje płuca, jakbyś pół dnia biegł w pełnym, no, ale mniejsza o to. Wytrzymałeś pierwszą próbę, a teraz kolej na drugą.

— Jaką drugą?

— Powiadają, że są tacy chrześcijanie, którzy znają koran prawie cały na pamięć, czemu oczywiście ja zaprzeczam, bo żaden giaur nie jest do tego zdolny. Jestem pewny, że żaden niewierny nie potrafi bez zajknięcia wygłosić sury El Kuiffar. Znasz ją?

— Znam.

— I umiesz na pamięć?

— Może, ale musiałbyś mi ją wprzód wygłosić sam.

Szczegół ten był dla mnie zbyteczny, bo umiałem istotnie setną dziewiątą surę, która podobno miała być objawiona Mahometowi, gdy niektórzy Arabowie żądali od niego, żeby czcił przez rok ich bożki, a oni potem będą czcili jego Boga. Sura ta składa się zaledwie z kilku wierszy, ale słowa są tak dziwnie zestawione, że nawet rodowity Arab może się łatwo pomylić w wygłaszaniu. Jest nawet zwyczaj, że właśnie z powodu tej trudności, każe się ją wygłaszać ludziom, podejrzanym o stan opilstwa. Bo, jak wiadomo, człowiek pijany nie jest pewny swego języka i skoro zechce tak trudny ustęp wyrecytować, o pomyłkę nie trudno.

— Zobaczmy — zauważył przewodnik z chytrym uśmiechem. — Wypowiem ci ten ustęp naprzód, jakkolwiek zdradziłeś się już tym samym, że tego żadasz. Mudir i wybitny człowiek świętego bractwa powinien wygłosić tę surę sam, od razu, bez niczyjej pomocy.

Po tych słowach przybrał odpowiednią postawę skłonił głowę, złożył ręce i zaczął:

— W imię najmiłosierniejszego Boga! Mów: O, wy niewierni, nie czczę tego, co wy czcicie, a wy nie czcicie tego, czego ja nie czczę, a ja nie będę również nigdy czcił tego, czego wy nie czcicie, a wy będziecie... nie będziecie czcili tego, czego ja nie będę... co ja będę czcił, bo wy macie moją religię, a ja nie mam... ja mam... ja nie mam...

Utknął, spostrzegłszy, że pomylił się i to dość poważnie, bo nie tylko poprzekręcał wyrazy, ale nawet dodał takie słowa, których wcale w surze nie ma.

— No? — zaśmiałem się — jesteś pijany, czy też jesteś giaurem?

— Ani jednym ani drugim — odparł z gniewem. — Ta sura jest istotnie najtrudniejszą ze wszystkich. Ty zaś jako Senussi musisz potrafić wypowiedzieć ją bez pomyłki.

— Skoro ci to przyrzekłem, możesz być pewnym, że dotrzymam słowa.

— A więc zaczynaj! Uprzedzam cię jednak, że skoro tylko pomylisz się o jedno słowo, to sprawa po twojej stronie przegrana, to znaczy życie twoje będzie w moim ręku i wszystko, co masz, będzie moją własnością.

— No, no, grozisz na próżno. Radbym jednak wiedzieć, w jaki sposób przekonasz się o pomyłce, jeśli sam tekstu nie znasz...

— Już ja wiem, co umiem... Mów! I zacząłem prawie jednym tchem:

— W imię najmiłosierniejszego Boga! Mów: O, wy niewierni, ja nie czczę tego, co wy czcicie, a wy nie czcicie tego, co ja czczę, a ja także nie będę nigdy czcił tego, co wy czcicie, a wy nie będziecie nigdy czcili tego, co ja czczę. Wy macie swoją religię, a ja swoją.

Tekst ten, przetłumaczony, nie jest wcale trudny do gładkiego wypowiedzenia, ale w arabskim

rzecz ma się zupełnie inaczej. Odmiana czasownika „ihtaram” (czcić) jest tego rodzaju, że istotnie nie trudno pomieszać twierdzenie z przeczeniem, a pierwszą osobę liczby pojedynczej z osobą drugą liczby mnogiej.

— Masz szczęście! Wypowiedziałeś całą surę bardzo prędko i bez najmniejszego błędu, co może się udać tylko wiernemu muzułmaninowi.

— Ech — wtrącił posłaniec — przypominam sobie, co mówił mi Ibn Asl... Ów effendi nie tylko włada wybornie językiem arabskim, ale i zna koran tak, jakby się tu urodził i był uczniem najświetniejszego muderriego\* w Kahirze. Bądź więc ostrożny i nie wydawaj sądu zbyt pośpiesznie!

— Co mówisz? Na jakąż próbę jeszcze wystawić go mogę?

Tego było dla mnie za wiele. Posłaniec uważał mnie niezbitcie za effendiego i mógł łatwo popsuć mi opinię u Szedida, który już, już byłby się dał dostatecznie przekonać. Musiałem więc udać gniew, mówiąc:

— Co? Jeszcze mało próby! To mi się podoba! A wiesz ty, co znaczy mudir z Dżarabuby? Toż ja cię przyjąłem tak życzliwie i gościnnie, ba, nie dość, poniżyłem się do tego stopnia, że stanąłem z tobą do zapasów i nawet odmówiłem surę El Kuiffar! Nie! Tego doprawdy już za wiele i nie dam się już obrażać więcej. Ja, mudir Senussów, i chatib zostaliśmy obrażeni i dlatego opuszczamy to miejsce, boście niegodni patrzeć w nasze oblicza!...

— Za pozwoleniem — krzyknął posłaniec, przerywając mi. — Nie puścimy was stąd wcale!

— Nie? A to dlaczego i w jaki sposób? — odrzekłem, mierząc go wzrokiem wyniośle.

— Zatrzymam was przemocą!

— Chcesz się targnąć na świętych mężów?

— Tak. Siadaj! — rzekł groźnie i wyciągnął rękę, by mnie zatrzymać.

— Stój, szaleńcze! Mamże rzucić na ciebie klątwę, pod którą wyschnie twoje ciało jak szczapa, a dusza na potępienie pójdzie? No! Spróbuj, spróbuj na własnej skórze, co znaczy lani\* Allaha, którą w ręce nam dano. Toż czekałoby cię okropne życie i koniec pełen grozy... Próbuj! No? Czyja ręka śmie nas tknąć? czyja?!...

Spojrzałem dokoła siebie. Milczeli wszyscy, nikt ani się poruszył z trwogi, nie tyle przed moją groźbą, ile z powodu tonu, w jakim to powiedziałem. Obaj z Ben Nilem poszliśmy opodal, gdzie były nasze wielbłądy. Wsiedliśmy na nie i pojechali w bród. Nikt nas nie zatrzymywał ani też nawet nie wyrzekł jednego słowa pożegnania lub groźby.

Woda w tym miejscu nie była wcale głęboka, bo sięgała wielbłądom zaledwie po brzuchy. Na przeciwnym brzegu rosły z rzadka krzaki, a dalej grunt był pokryty roślinnością na takiej przestrzeni, dokąd mogła sięgać wilgoć wody z Nid en Nilu.



Gdyśmy się oddalili o tyle, że obserwować nas od obozowiska nie było można, skręciłem nagle w lewo, co zastanowiło Ben Nila.

— Dokąd chcesz jechać, effendi? Wszak powinniśmy ku południowi.

— Owszem, ale wprzód musimy powrócić nad jezioro i to w dwojakim celu. Przede wszystkim, ażeby Takalowie nie odnaleźli naszych tropów, bo gdybyśmy jechali prosto aż tam, gdzie kończy się już trawa, a zaczyna piasek, to rano wpadliby na nasze ślady, ale tu na trawie nie, gdyż rosa je zatrze.

— Podejrzawasz Takalów, że będą nas ścigali?

— Jestem nawet tego pewny. Zechcą nam odebrać Hazida Sichara.

— Hazida Sichara? Przypominam sobie to nazwisko. Czy znajduje się on może wśród jeńców? Będziesz się starał uwolnić go?

— Tak. I to jest właśnie drugim powodem, dla którego wracamy w kierunku jeziora.

— Allah! Znowu przygoda! Trzeba przyznać, effendi, że kto się wybierze z tobą w podróż, ten na brak przygód i niebezpieczeństw uskarżać się nie może. Położenie nasze na przykład tam, wśród Takalów, było więcej niż groźne. Ale, dlaczego poniżyłeś się tak dalece, że nie odmówiłeś im próby?

— Bo tak nakazywał rozsądek. Gdyby Szedid się dowiedział, że jestem effendim, nie udałby się już do Faszody, a ponadto wysłałby posłańca do Ibn Asla i sangaka z ostrzeżeniem, no, i nasza podróż do tego miasta byłaby bezcelowa. A tyleśmy słyszeli! Szedid zdaje sobie z tego sprawę równie dobrze, jak my.

— Masz słuszość, effendi. Jedźmy więc na wschód, aby zmylić Takalów, ale co potem?

— Okrążymy Nid en Nil aż do miejsca, na które przedtem natrafiliśmy, gdzie te brzegi są strome i skaliste, przypominasz sobie. Tam więc zostaniesz przy wielbłądach, a ja skradnę się cichaczem i uwolnię Hazida Sichara.

— A cóż ty z nim poczniesz?

— Zawiozę go do Faszody.

— A skąd weźmiesz dla niego wielbłąda?

— Dostyc ich jest u Takalów.

— . Hm, czy tylko nie za ryzykowna to stawka? Wykraść niewolnika z pod czujnej straży i w dodatku jeszcze wielbłąda, to trochę za trudne zadanie na jedną osobę...

— Zabrałbym cię chętnie z sobą, ale kto w takim razie będzie pilnował wielbłądów? Wiesz przecież, że zwierzęta drapieżne kręcą się zawsze w pobliżu wody.

— Zdaje ci się, że mógłbym obronić wielbłądy przed lwem? Przenigdy! Jestem odważny, nie zaprzeczysz, ale na lwa nie porwę się za żadną cenę; to przechodzi moje siły i zapewne po powrocie zastałbyś ze mnie i z wielbłądów tylko strzępy. Ażeby więc tego uniknąć, weź mnie z sobą!

Młodzieniec miał słuszość, a po wtóre nie było wykluczone, że znajdę się w przykrym położeniu, które wymagałoby pomocy, i dlatego przychyliłem się do jego prośby.

Niebawem okrążyliśmy parów i dotarli do znanego nam już miejsca bez żadnych przeszkód. Księżyc oświetlał pełnią blasków całą okolicę, jednakże w tej chwili rad byłbym, aby zapanowała zupełna ciemność, bo wówczas wyprawa nasza byłaby o połowę ułatwiona.

Przywiązaliśmy wielbłądy do drzewa i udaliśmy się dalej pieszo, biorąc z sobą karabiny w przewidywaniu, że spotkamy może na drodze lwa, rewolwery oraz noże nie wystarczyłyby na obronę. W pobliżu brodu nie widać było wcale ognia, co świadczyło, że Takalowie spali snem „sprawiedliwych”. Ben Nilowi kazałem, by się zatrzymał pod drzewem, na uboczu, a sam pomknąłem chyłkiem dalej, wreszcie trzeba było posuwać się na czworakach co najmniej sto kroków.

Na szczęście pobliskie drzewa rzucały na obóz głęboki cień, co ułatwiło mi zadanie w znacznym stopniu. Takalowie jednak byli przezorni o tyle, że postawili jednego na straży koło niewolników. Słyszałem jego miarowe, choć ciche kroki tam i sam byłem w nie lada kłopotcie, co robić. Oczywiście trzeba było naprzód rozejrzeć się dokładnie w położeniu, dlatego więc okrążyłem łukiem cały obóz. Nie zmieniło się nic. Jeńcy spali na tym samym miejscu, co przedtem, Takalowie również.

By się zbliżyć do jeńca, którego uważałem za Hazida Sichara, trzeba było sprzątnąć strażnika. Siodła leżały na dwu kupach obok siebie, wielbłądy zaś skubały liście krzaków, a niektóre odpoczywały na ziemi.

Obejrzawszy wszystko dokładnie, wróciłem po Ben Nila, który chętnie poczołgał się ze mną w pobliże obozowiska. Kazałem mu okrążyć je łukiem aż na drugą stronę, gdzie znajdowały się wielbłądy. Tam miał czekać na mnie w ukryciu. Przy czołgałem się następnie o jakieś dziesięć kroków i począłem nasłuchiwać. Wszyscy spali jak zabici i nic dziwnego; po tak forsownym marszu przez cały dzień w straszliwą spiekotę i prawie o głodzie, każdy był strudzony niemal do zupełnego wyczerpania sił. Nikt w całej tej gromadzie ani się poruszył, oczywiście oprócz strażnika, który przechadzał się ociężale po jednej linii. Zbliżyłem się na taką odległość, jak tylko było możliwe, po czym zerwałem się nagle i zaskoczywszy strażnika z tyłu, chwyciłem go obydwoma rękoma za gardło, a następnie zadałem mu pięścią cios w głowę, co go tak ogłuszyło, że zachwiał się i padł. Podtrzymałem go, by uderzając o ziemię, nie zbudził kogo. Zarzuciłem go szybko na plecy i poniosłem do Ben Nila. Złożywszy go tu na ziemi, odpocząłem chwilę, a ponieważ cień drzew nie dochodził w to miejsce, spostrzegłem ku wielkiemu zadowoleniu, że to nie kto inny, jak tylko... ów Bakkwara!

— Kogoś przyniósł, Hazida Sichara?— spytał Ben Nil po cichu.

— Jeszcze nie. Popatrz, toż to posłaniec Ibn Asla. Takalowie nie bardzo byli gościnni dla niego, skoro powierzyli mu wartę.

— Może by tak zakłuć draba? Był wobec nas tak zawziętym...

— Nie. Weźmiemy go z sobą. Jest współnikiem Ibn Asla i jeżeli oddamy go w ręce reisa effendiny, obowiązek nasz będzie spełniony.

— Mnie się zdaje, że obowiązek ten byłby spełniony o wiele właściwiej, gdybyśmy rabusia posłali na tamten świat.

— Ba, ale w takim wypadku, Szedid łatwo się domyśli, kto tu był, jeżeli jednak zabierzemy go, to olbrzym może łatwo podejrzewać go, jakoby ukradł Hazida Sichara i uciekł.

— Dobrze, effendi, ale musimy wyszukać właśnie jego wielbłąda i siodło i zabrać to również.

— Niekoniecznie. Im lepsze, siodło i wielbłądy zabierzemy, tym pewniej posądzi go Szedid. Bo cóż w tym byłoby dziwnego, gdyby sprawca wymienił swoją marną własność na lepszą? Zostaw to już mnie a teraz trzeba zrobić porządek z Bakkwara. Takalowie śpią twardo i należy z tego korzystać.

Związaliśmy jeńca i zakneblowali mu usta, po czym powróciłem do niewolników. Szczęście sprzyjało mi znakomicie. Hazid Sichar był pierwszym w łańcuchu, jak o tym wiedziałem z góry, i tam też poczołgałem się na czworakach. Wszyscy spali w okrąg i nawet na noc nie uwolniono ich z więzów. Zdziwiłem się ogromnie, gdy, wysunąwszy głowę tuż koło Hazida Sichara, przekonałem się, że... czuwał.

— Tyś to, effendi? — szepnął.

— Ja.

— Allah! Nie omyliły mnie przeczucia, chociaż co prawda, w ostatniej chwili miałem pewne wątpliwości, czy to ty byłeś, czy nie ty.

Jeńcy byli ułożeni w koło, nogami do środka, a głowami na zewnątrz. Ponieważ znajdowałem się poza kołem od zewnątrz, głowy nasze były bardzo blisko. Podniosłem się więc tuż nad jego twarzą i szepnąłem:

— Jak się nazywasz?

— Hazid Sichar z Maabdah.

— Jak się nazywa twój brat?

— Ben Wazak.

— Jesteś więc istotnie tym, którego poszukuję!

— O nieba, o Allah!

— Cicho bądź, zaczynam!

Dobyłem nóż i z wielką ostrożnością poprzecinałem wszystkie więzy, ale to nie wystarczyło. Musiałem następnie podnieść go całego w górę tak powoli, żeby nie poruszył swego sąsiada. I udało się. Obaj na do Ben Nila. Uwolniony chciał mi dziękować, ale go zgromiłem za to i nie tracąc czasu, zająłem się Arabem, który odzyskał już przytomność i począł się szamotać. Więzy jednak były tak zaciśnięte, że wszelki wysiłek na nic się nie przydał. Również znakomitą usługę oddał knebel, bo drab mógł tylko przez nos wydawać słaby wprawdzie jęk, ale i to mogło być dla nas niebezpieczne. Ben Nil przyłożył mu więc nóż do piersi i szepnął:

— Jeżeli tylko raz jeszcze spróbujesz trąbić nosem, to cię zakłuję.

To pomogło. Bakkwara uspokoił się zupełnie.

— No, a teraz dwa wielbłądy, effendi—zauważył Ben Nil.

— Nie dwa, lecz trzy. Musimy przecież teraz mieć więcej wody na drogę niż przedtem, przyda się więc jedno zwierzę wyłącznie do dźwigania worków. Tych ostatnich przydałoby się nam również więcej, bo mamy tylko dwa.

— Pozwól mnie, effendi, wyszukać wielbłądy, bo ja znam ich wartość — prosił Hazid Sichar. — Wybiorę trzy, co najlepsze.

I nie czekając na pozwolenie, pobiegł w krzaki. Nie pozostało nam nic innego, jak tylko czekać jego powrotu, oczywiście z wielką niecierpliwością, bo jeden nieostrożny krok, mógłby tu popsuć całą naszą robotę. Na szczęście, po upływie niespełna kwadransa, który mi się rokiem wydali Hazid Sichar powrócił i rzekł:

— Jestem gotów, effendi. Możemy ruszyć w drogę.

— Gotów? Z czym?

— Nie widziałeś? Przeniosłem trzy siodła i trzy worki w bród na tamtą stronę.

— Nie widziałem. Sprawileś się widocznie doskonale.

— I trzy wielbłądy są też gotowe. Chodźcie! — Nie zbudził się kto?

— Śpią wszyscy, nie bój się!

— No, dobrze, ale zabierz wprzód nóż i flintę Araba, bo musisz być przecież uzbrojony!

Chwyciłem Araba na plecy i poniosłem w kierunku brodu, gdzie były uwiązane trzy wielbłądy. Nie można było na nie wsiadać, bo narobiłyby krzyku i hałasu, dlatego obaj tamci poprowadzili je za uzdy, a ja, brodząc po pas w wodzie dźwigałem jeńca aż na drugi brzeg. Tu rozwiązałem mu nogi, by biegł razem z nami. Siodła narzucono wielbłądom jak bądź i dalej w drogę. Dopiero o spory kawał dalej zatrzymaliśmy się w celu należytego osiodłania wielbłądów, które mogły sobie już krzyczeć.

Wyskoczyłem na siodło, a tamci podali mi Bakkwaraę tak, że trzymałem go przed sobą w pół, po czym puściliśmy się szybkim krokiem do miejsca, gdzie były nasze wielbłądy. Czy jednak zastaniemy je? — myślałem. Na szczęście nic im się nie stało. Obgryzały spokojnie gałązki i liście. Pozsiadaliśmy i rozłożyli się na odpoczynek pod drzewem, do którego przywiązaliśmy Bakkwaraę. Teraz dopiero odkneblowałem mu usta i zacząłem go pytać:

— Ben Bakkwara, wiesz ty dokładnie, kim jestem?

Nie odpowiedział.

— Wiem, żeś nie głuchy i jestem przyzwyczajony do tego, aby mi dawano odpowiedź, gdy pytam. Jeżeli nie chcesz otworzyć ust, to jest na to środek, a mianowicie bat. Więc?...

— No, tak — odmruknął gniewnie. — Wiem, jesteś effendim, a twój towarzysz, to Ben Nil.

— Ale effendi odznacza się podobno ogromną siłą, a ja, jak wiesz, zostałem pokonany przez Szedida.

— Dałeś mu się pokonać umyślnie.

— No, a czy mógłby chrześcijański effendi wygłosić bez zająknięcia surę El Kuiffar?

— U ciebie wszystko możliwe.

— Nie wszystko, lecz wiele. Tak na przykład mogę bardzo łatwo pewnego Araba ze szczepu Bakkwara wydobyć z pośród gromady Takalów i zaprowadzić go do Faszody, by tam otrzymał należną karę od reisa effendiny.

— Za co miano by mnie karać? Co zrobiłem złego?

— Oj, głuptasie, głuptasie. Posiadasz tyle myśli, co krokodyl piór, ale moja w tym rzecz, żeby cię opamiętać. Reis effendina...

— Nie boję się go! — przerwał mi szyderczo.

— I wiem nawet z jakiego powodu. Zdaje ci się że mudir z Faszody stanie w twojej obronie.

Potwierdził to niejako wymijającym zdaniem:

— Co znaczy jakiś tam effendi wobec mudira! Jaką władzę mieć może... effendi?!

— Tak myśli tylko człowiek, który niczego nigdy się nie uczył i nic nie wie, bo głowa jego podobna jest do skorupki jaja, gdy się zeń ciecz wyleje. Otóż posłuchaj ty, ty posiadaczu takiej głowy: tytuł effendi należy się tylko wysoko postawionym ludziom, na przykład synom sułtana, a nawet wicekról Egiptu lubi, gdy go tak nazywają. A ministrowie ubiegają się o ten tytuł, jako o najwyższy zaszczyt. Cóż więc znaczy taki sobie pospolity mudir z Faszody wobec tych potężnych panów? I czy w ogóle znasz tego mudira?

— Znam.

— Powiedz mi więc, jak się nazywa?

— On także jest effendim, bo tytuł jego brzmi: Ali effendi el Kurdi.

— Nieprawda!

— Jak to? Zarzucasz mi kłamstwo, ty, obcy, nie mający pojęcia o tym kraju i jego stosunkach?

— Zdaje mi się, że ja to wszystko znam o wiele dokładniej od ciebie. Mudir faszodzki nazywa się Ali effendi Abu Hamzaj–miah.

— Co, co?

— Sławny generał Muzah–basza bawił właśnie na życzenie reisa effendiny w Faszodzie i złożył z urzędu el Kurdiego, a na jego miejsce mianował reis effendina mudira Abu Hamzaj–miah. Ba, co więcej, zasuspendowany el Kurdi został aresztowany i odstawiony do Chartumu również na życzenie reisa effendiny. Spróbuj więc zaprzeczyć, jakoby reis nie był potężniejszy od zdrajcy el Kurdiego!

Milczał. Widocznie zatrwożyły go te wiadomości.

— Teraz wiesz — ciągnąłem dalej — że el Kurdi nie może już nic pomóc żadnemu zbrodniarzowi i radby chętnie, żeby się raczej kto za nim ujął. Oddam cię więc reisowi effendinie, a ten niezawodnie zaprowadzi cię do mudira i wówczas doświadczysz, że on nie na darmo nosi swoje nazwisko czyli że, „Ojciec pięciuset” zaraz na wstępie każe ci wyliczyć pięćset plag, nie pytając wprzód, czyś winien, czy nie.

— Śmiałyby mnie... wolnego Araba?...

— A tobie, jako posłańcowi, będącemu na usługach łowcy niewolników. Kim jesteś poza tym, nic go nie obchodzi.

— Muszę cię więc ostrzec, że w tym przypadku od ciebie to wszystko zależy, boś pierwszy mnie uwięził i, jeżeli spotka mnie coś podobnego, pomszczą się na tobie wszystkie szczepy arabskie. Hańba byłaby o wiele dla mnie straszliwszą niż śmierć.

— Nie obawiam się zemsty twoich szczepów, choćby liczba ich wynosiła tysiące. Mogą mi one zrobić akurat tyle, ile tobie pomóc obecnie. Pominąwszy jednak to, że się ich wcale nie boję, jestem skłonny wrócić ci wolność jutro rano, ale pod pewnymi warunkami.

— Słucham.

— Powiesz mi, ale szczerą prawdę, w jaki sposób poznałeś się z Ibn Aslem, a oprócz tego dasz odpowiedzi na wszystkie pytania, które ci zadam.

— Tego nie uczynię za żadną cenę.

— A no, skoro tak — sprawa między nami załatwiona. Nie chcesz mówić teraz za cenę uzyskania wolności, powiesz wszystko później, gdy dostanie cię w swoją moc „Ojciec pięciuset”.

Wtem wtrącił Hazid Sichar:

— Jeżeli chcesz poznać złość i przewrotność Ibn Asla, to nikt ci lepiej o tym nie może opowiedzieć ode mnie.

— Owszem, bardzo ci będę za to wdzięczny, ale wprzód musisz się dowiedzieć, kim ja jestem, ponieważ... — Ależ, effendi — przerwał mi — znam cię już doskonale, bo słyszałem dosyć, jak Bakkwara opowiadał Szedidowi, byłem przecież tak blisko was. Nie miałem pojęcia o tym, że znasz mego brata, ale widocznie Allah sam szepnął mi do ucha: ten effendi uwolnił już wiele ludzi z rąk wrogów i wybawił od nieszczęścia i przybył tu właśnie, aby wybawić i ciebie. Przypomnisz sobie, że nawet imię twe wymówiłem niebacznie. Szczęście, że Szedid nie zauważył tego, bo byłaby wówczas dola moja więcej niż oplakana.

— Bardzo dobrze uczyniłeś, wrywając się ze słowami, bo to właśnie zwróciło moją uwagę na ciebie, no, i obecnie jesteś wolny. Co prawda, byłbyś uzyskał wolność później w Faszodzie, ponieważ postanowiłem odnaleźć cię i wyrwać z paszczy potwora, ale lepiej, że jesteś wolny już teraz. Słyszałeś tedy o mnie dosyć z ust Bakkwary, dowiedz się jeszcze choćby tyle, że bawiłem niedawno w Maabdah w celu zwiedzenia sławnej tamtejszej jaskini krokodyli, a twój brat oprowadzał mnie i potem darował mi na pamiątkę rękę mumii kobiecej...

— Rękę mumii kobiecej? — przerwał mi bardzo szybko. — Opisz mi ją!

A kiedy uczyniłem zadość jego żądaniu, krzyknął:

— Widocznie wyświadczyłeś memu bratu wielką przysługę, effendi!

— Ależ bynajmniej!

— Nie? Wywarłeś więc na nim wrażenie, jak żaden z tych, których oprowadzał po jaskini. Ręka ta należała do córki pewnego faraona egipskiego z czasów starożytnych. Wiem, jak wielką wartość przywiązywał mój brat do tego skarbu, i cieszę się ogromnie, że udało ci się tak łatwo uzyskać jego życzliwość.

— Życzliwość ta była obustronna, zapewniam cię o tym. Mam tę rękę jeszcze w pakunkach u siodła i mogę ci ją pokazać, skoro się tylko rozwidni. Brat twój, dowiedziawszy się, że jadę do Chartumu, opowiedział mi o tajemniczym twoim zniknięciu i prosił mnie, żebym poczynił odpowiednie poszukiwania.

— Czyżby był zaniechał ich przedtem?

— O, nie! Zadawał sobie wiele trudu, niestety bez skutku. Moim zdaniem popełnił on wielki błąd, darząc zbytnim zaufaniem waszego znajomego kupca Barjada el Amina. Ten nie powinien był wcale wiedzieć, że poszukiwania są w toku i nawet podejrzewam go o współudział w sprawie twego nagłego zniknięcia.

— No, tak, tak — potwierdził Hazid Sichar. — To on oddał mnie w ręce Ibn Asla!

— Ach, nie na darmo przyszło mi na myśl jeszcze wówczas, gdy brat twój opowiadał mi wszystko, że sprawa z tym Barjadem nie bardzo jasna. Przydomek el Amin znaczy uczciwy i właśnie dlatego wzbudziło się we mnie podejrzenie, czy pod tą osłoną nie kryje się łotr. Miał podobno wypłacić ci wielką sumę, a poza tym nie mógł dać żadnej o tobie odpowiedzi. Powstało we mnie podejrzenie i postanowiłem wziąć go od razu na cel, to jest dochodzić skrycie po nitce kłębka, ale niestety, zaskoczyły mnie w podróży ważne i straszne przygody, zboczyłem znacznie od Chartumu. Do dziś jeszcze tam się nie dostałem i kto wie, kiedy to nastąpi.

— I to na moje szczęście, effendi, bo gdybyś był nie spotkał nas dzisiaj, przepadłbym był na zawsze!

— Przypuszczenie to jest może jednak zwodnicze. Ibn Asl utrzymywał stosunki handlowe z Barjadem el Aminem, co naprowadziło mnie na myśl, że właśnie od niego można zasięgnąć o tobie wiadomości. Do tego przyłączyły się jeszcze dalsze powody, a mianowicie te, aby go schwycić, co prędzej czy później musiałyby się było udać, no, i musiałyby wyjaśnić co się z tobą stało.

— Chwała Allahowi, sprawy ułożyły się dla mnie o wiele pomyślniej i doprawdy nie wiem, czym zasłużyłem na to szczęście.

— Co się tyczy zasługi, o której wspominasz, to pamiętaj, że na świecie nie ma człowieka bez winy i że każdy żyje jedynie z łaski i miłosierdzia Allaha. Na każde nieszczęście, które nas nawiedza, zasłużyliśmy niezawodnie, a mimo to Allah i wówczas jeszcze nie szczędzi nam swej opieki i łaski, jeżeli poddajemy się losowi z pokorą i żalem za przewinienia. Nie mów więc o żadnej zasłudze, lecz uważaj to, za próbę, zesłaną od Allaha, aby cię naprowadzić na drogę prawości i cnoty!

Nie odpowiedział na to i dopiero po długiej chwili milczenia pochwycił moją rękę i uściśnął ją serdecznie, mówiąc:

— Trafiłeś do mego serca, effendi... Żyłem nędznie i w ustawicznej kłótni z Allahem. Przekląłem własne życie i ludzi i świat cały. Czasem pojawiały się w mej głowie jaśniejsze myśli, ale serce nie chciało się przed nimi skruszyć. W tej chwili jednak, gdy zaczynam żyć na nowo, a dusza moja odczuwa moc rozkoszy i kiedy o nawróceniu mówisz, czuję, jakby jakieś błyskawice jasne oświectliły mój umysł, i przyznaję ci słusność. Kim i jakim ja byłem przedtem, dowiesz się później, dziś czuję się odrodzonym, nie wiedząc nawet, jak się to stało. Wiem tylko chyba, że cierpiałem słusznie i Allahowi za to niech będą dzięki.

— Cieszę mnie te słowa. Miesiące całe i lata twego życia przepadły, ale odnalazłeś za to skarb wewnętrzny, którego nie naruszy żąb czasu. Mienie doczesne, z którego cię obrabowano, mam nadzieję wrócić ci, gdy moje starania uwieńczą pożądany skutek.

— Jak to? Czyżbyś był tak bogaty, effendi?

— Przeciwnie, jestem nawet ubogim, ale wiem, że Ibn Asl posiada wielką sumę. Jeżeli tylko



schwytam go, zanim się jej pozbędzie, wówczas będzie musiał zwrócić tobie i twemu bratu wszystko, co wam zagabił.

— Mnie się zdaje, że do tego nawet Ibn Asla nie potrzeba, bo co do niego, nie mam tyle pewności, ile co do Barjada el Amina.

— To i on brał udział w zbrodni?

— Tak. Barjad był ubogim, ale uczciwym. Mój brat wiedział o tym i dał mu pieniądze na otwarcie przedsiębiorstwa w Chartumie, a ja potem pożyczyłem mu jeszcze większą sumę w celu rozszerzenia tego przedsiębiorstwa i kiedy zapadł termin zwrotu tej pożyczki, pojechałem do Chartumu, by odebrać pieniądze. Barjad el Amin zmienił się nie do poznania. Miał on pomocnika nazwiskiem Ibn Asl, który go namówił do handlowania niewolnikami. I istotnie, zlakomił się na zyski z tego źródła, ale do przedsięwzięcia podobnego interesu potrzeba wiele pieniędzy, a tu, na jego nieszczęście, należało wypłacić mi większą sumę, wobec czego, nie pozostało mu już wiele do dyspozycji. I wówczas, widocznie szatan podsunął mu myśl, aby mi pieniądze wypłacić, uzyskać pokwitowanie i potem mi je odebrać. Tym sobie też tłumaczę bardzo uprzejme przyjęcie, które mnie z jego strony spotkało. Mieszkałem bowiem u niego dni kilka i nareszcie dano mi pieniądze, a ja pokwitowałem odbiór wedle wszelakiej formy i miałem wsiąść następnego dnia na dahabijeh w kierunku Chartumu. Pożegnałem się więc ze znajomymi i poszedłem wcześniej na spoczynek, gdy wtem podczas snu w nocy uderzył mnie ktoś w głowę tak, że straciłem od razu przytomność. Gdy ją odzyskałem i otworzyłem oczy, przekonałem się, że kołyszę się na jakimś przedmiocie, a wokoło grobowa ciemność. Miałem oprócz tego związane ręce i nogi. Gdy spróbowałem wołać o pomoc, grożono mi plagami.

— Znajdowałeś się więc na wielbłądzie...

— Tak i to w wygodnej kobiecej lektyce, umieszczonej na grzbiecie wielbłąda, a okrytej starannie ze wszystkich stron tak, że nie widziałem nic. Wyobraź sobie moje zdziwienie, gdy następnie spostrzegłem, że ubrano mnie w strój kobiecy i zawoalowano twarz widocznie w tym celu, aby w razie spotkania się z kimkolwiek nie wzbudzić podejrzenia. Wiesz zresztą sam, że nikt nie troszczy się o kobietę, siedzącą w lektyce, bo tego wymaga obyczaj...

Około południa stanęliśmy w szerokim stepie na odpoczynek. Wyjęto mnie z lektyki i posadzono na ziemi. Spostrzegłeś wówczas, że towarzyszy mi pięciu jeźdźców, między którymi znajdował się we własnej swojej osobie... Ibn Asl!

— I on śmiał pokazać się przed tobą?

— O, on miał czelność nawet przyznać się do wszystkiego w żywe oczy. Opowiedział mi mianowicie z drwiącym, szatańskim isticie uśmiechem, że zawiązał spółkę z Barjadem w celu rozpoczęcia handlu niewolnikami, że do tego potrzebne im są moje pieniądze i że zyskami podzielią się obaj. On sam był za tym, aby mnie zgładzić, ale Barjad oparł się, a to ze względu na mego brata, któremu wiele miał do zawdzięczenia. Ażeby jednak usunąć mnie zupełnie i unieszkodliwić, oddano mnie mekowi Takalów jako niewolnika. Mek nie zapłacił za mnie ani grosza, a tylko był obowiązany czuwać nad tym, aby nikt mnie nie zobaczył. Słyszałem potem, że mek zawarł z Ibn Aslem kontrakt, mocą którego miał temu ostatniemu dostarczać dwa razy w roku w pewnych, ściśle określonych

terminach niewolników do Faszody, za co miał otrzymywać cenę w gotówce i natychmiast. Potem mnie wywieziono.

— Dokąd?

— Och, żebyś wiedział... Miejsce to okropne. Zapakowano mnie do kopalni miedzi, których w kraju Takalów, jak ci wiadomo, jest wiele. Tam przykuto mnie na łańcuchu w podziemiach i kazano pracować. Od tego dnia, kiedy przywiózł mnie Ibn Asl do meka, nie widziałem słońca, aż dopiero teraz wyprowadzono mnie na świat, a jeden z dozorców, który miał dla mnie odrobinę współczucia, oznajmił mi w sekrecie, że skazany jestem na śmierć...

— Co też ty mówisz?

— Ibn Asl zażądał podczas ostatniego transportowania niewolników, aby mnie na powrót odstawiono do niego. Pokłócił się ze swoim współnikiem Bar jadem i obecnie prowadzi swoje wstrętne rzemiosło na własną rękę, a że nie liczy się już wcale ze swoim byłym współnikiem, uważa więc za stosowne zgładzić mnie ze świata. Mógł wprawdzie polecić wykonanie wyroku mekowi, ale mu trochę nie dowierza i woli dostać mnie w swe ręce i zabić. Nie chcę dziś opowiadać ci o wszystkim, co przeszedłem i wycierpiałem, może znajdzie się ku temu sposobność później, wspomnę tylko, że dusza moja przepelniona jest szczęściem i radością, albowiem uszedłem śmierci i niewoli, a ciebie uważam za anioła, zesłanego przez Allaha, któremu ja...

— No, no, nie rozczulaj się — przerwałem. — Allah tak zrządził. Jemu jedynie składaj dzięki... Czujesz się na siłach o tyle, żebyś mógł jechać z nami do Faszody przez step?

— I ty jeszcze pytasz o to? Wszak miałem pieszo i w kajdanach odbyć tę drogę! W ciężkiej pracy zahartowałem się do tego stopnia, że co do mojej wytrwałości możesz być zupełnie spokojny. Jak długo musimy jechać do Faszody?

— Przypuszczam, że staniemy tam najdalej za cztery dni.

— A Ibn Asl przebywa tam również?

— Prawdopodobnie.

— Jeśli tak, to biada mu! Zemszczę się i to nie w ten sposób, żebym go miał oddać w ręce mudira, lecz...

— Pozwól, że ci przerwę i poproszę, abys sobie nie łamał głowy nad tym, w jaki sposób wykonasz zemstę, bo nie jesteś jedynym, który ma z nim porachunki, o czym później ci opowiem, a teraz czas odpocząć, bo mamy długą i uciążliwą podróż przed sobą. Zdaje mi się, że, jeśli komu, to właśnie tobie potrzebny jest sen.

— Sen? Co tobie przychodzi na myśl, effendi? Ja, przekonawszy się, że uszedłem śmierci, że nie grożą mi już kajdany, miałbym myśleć o śnie? Toż nawet, gdybym chciał, byłoby to niemożliwe. Śpijcie raczej wy, a ja będę czuwał i rozkoszował się w milczeniu wolnością i szczęściem, że wolno mi oglądać firmament nad głową i gwiazdy jasne i z Allahem rozmawiać w głębokich modłach!

— A no, skoro tak chcesz, nie wzbraniam ci — czuwaj! Musisz nas jednak obudzić, nim świtać zacznie, a nie później, bo chciałbym obserwować Takalów. A uważaj dobrze na Bakwkwarę, żeby nam nie umknął!

— Zapewniam cię, effendi, że możesz spać zupełnie spokojnie i bez troski. Przecież to posłaniec Ibn Asla, mego dręczyciela i szatana i dlatego nie może oczekiwać ode mnie żadnych względów, żadnej litości. Wolałbym raczej sam pozbawić się życia, niż darować mu wolność.

Wierzyłem mu i bez tych zapewnień, bo przecież po tym, co zaszło, nie mógł być dla mnie niewdzięcznym. Owinąłem się więc w haik i zasnąłem wkrótce. Okazało się istotnie, że słowa szczęśliwca nie były cczą przechwałką. Czuwał on całą noc i zbudził nas jeszcze wcześniej, niż dzień zaczęło.

Przed zaśnięciem przysłała mi do głowy myśl, aby podsłuchać Takalów i oczywiście mieć pojęcie, czego od nich spodziewać się należy. Dotrzeć jednak do nich drogą lądową było bardzo niebezpiecznie i niewygodnie, pozostawał tylko jeden sposób — przez jezioro na wodzie, ale jak? Nawet gdyby była łódka pod ręką, to użyć by jej nie można. Ku temu mogła się nadawać jedynie tratwa, urządzona w ten sposób, aby łatwo nie wpadała w oczy. Postanowiłem więc zbudować malutką pływającą niby wysepkę, ku czemu nie brakło materiału w pobliżu. Były tu mianowicie bujne i ulistnione gęsto krzaki, poplątane podobnie jak nasza kosodrzewina. Z tego materiału tudzież z andropogon giganteus i hibiscus cannabinus skleciliśmy z Ben Nilem wnet tratwę, wyglądającą istotnie jak wysepka, bo nawet nie żałowaliśmy omm suffah w celu upiększenia jej i nadania kształtu, jaki dla nas był pożądany. Nawet gałęzie, mające zastąpić wiosła, owinęliśmy wodorostami.

Sporządzony w ten sposób statek nie był wcale ciężki i mógł z łatwością unieść dwu ludzi, wszelako niedaleko, bo ostatecznie, po nasiąknięciu wodą, można się było spodziewać katastrofy, ale przypuszczałem, że nie nastąpi to tak prędko.

Jeszcze nawet nie zaczęło świtać, gdy wsiałem z Ben Nilem na tratwę. Hazid Sichar pozostał na straży przy jeńcu i wielbłędach. Obozowisko nasze znajdowało się w ukryciu za krzakami i nie było wielkiej obawy, aby je odnaleziono, tym bardziej, że obfita rosa pokryła nasze poprzednie tropy.

Wzdłuż brzegu aż do brodu rosły drzewa i krzaki, dzięki czemu mogliśmy śmiało wiosłować przez małe jezioro, które można było raczej nazwać stawem; potem bardzo ostrożnie posuwaliśmy się tuż pod krzakami aż niemal do samego obozu Takalów. Ku memu wielkiemu zdziwieniu spali jeszcze wszyscy, a tylko od czasu do czasu zwierzęta się odzywały.

Słońce już wzeszło, a my czekali i nasłuchiwali daremnie aż nareszcie, gdy się namyślałem, czy by nie lepiej było wrócić, usłyszałem nagle przeraźliwy głos:

— Wstawajcie! Stało się wielkie nieszczęście!

W całym obozie wszczął się ruch i zgiełk nie do opisania. Ludzie biegali to tu to tam jak opętani, krzyczeli, przeklinali, zadawali sobie nawzajem pytania i bardzo trudno było zrozumieć, co mówią, ale z pojedynczych słów wywnioskowałem, że zauważono brak Bakwkvary, Hazida Sichara i trzech

wielbłądów. Każdy z obecnych miał coś do gadania. Jeden przypuszczał to, drugi tamto, trzeci znowu co innego, powstał więc gwar, który jednak przypomniał mi sejmik wróbli na dachu, ćwierkających bez ustanku, czemu mógł koniec położyć najstarszy z tych wróbli, a mianowicie sam Szedid, krzyżąc na całe gardło:

— Cicho, gaduły! Nie plećcie głupstw i nie przeszkadzajcie mi, bo chciałbym dobrze pomyśleć nad tym, co się stało!

Byłem bardzo ciekaw wyniku namysłu tego człowieka, Bakkwara znikł; wołano go, nie pojawił się; znikł Hazid Sichar również i wołano go tak samo, ale daremnie; przepadły trzy wielbłądy i szukano ich bez skutku. Trzeba więc było przypuszczać, że zniknięcie dwu ludzi i trzech wielbłądów ma ze sobą pewien związek. Że jednak nie zdarzyło się nigdy jeszcze, aby wielbłądy wykradły ludzi, ale odwrotnie, przypuszczano więc, że i tu zaszedł podobny wypadek, to jest ludzie uprowadzili wielbłądy. A że z nich jeden był skrupowany, więc najprawdopodobniej ten drugi uwolnił go z więzów i wykradł, biorąc ponadto tak cenne do podróży wielbłądy. — A zdrajca! A pies! — narzekał Szedid. — To dlatego domagał się tak natarczywie, abym mu powierzył straż nad obozem!

— Widocznie przybył umyślnie w tym celu, aby wykraść Hazida Sichara — zauważył któryś z gromady.

— Nie inaczej! — dodał drugi. — A wszystko, co mówił było kłamstwem, obmyślanym w tym celu, by wykurzyć stąd owych dwu Senussów!

— Łotr! Gałgan! — wygrażał trzeci.

— A ci dwaj byli świętymi! — wtrącił czwarty. — Jak mogliśmy obrażać ich dla jakiegoś łajdaka! Widocznie rzucili na nas klątwę i Allah ich wysłuchał.

— Tak, tak, Allah nas ukarał za to, żeśmy ich znieważyli — krzychał inny. — Gdybyśmy byli uwierzyli tym dwóm świętym, nie byłoby nieszczęścia!

— A to co? Brakuje mi worka na wodę — zauważył któryś nagle.

— Rozejrzyjcie się! Może tam jeszcze czego brakuje — rozkazał Szedid.

— Mnie brakuje worków...

— A mego wielbłąda nie ma...

— I mego... Nawet wielbłąd Szedida gdzieś się zapodział! — wołał ktoś z oddalenia.

— Co takiego? — pytał zdziwiony dowódca — nie ma mego wielbłąda? Toż to cenny abu-hawas-hedzin!

— Tak, tak. Spędziliśmy wszystkie wielbłądy i przekonaj się sam, że brak z nich najcenniejszych!

— O Allah! O piekło, o szatanie! Wszystko przez tego przekłętą Bakkwara. Musimy poszukać

jego śladów!...

— Dalej, szukać na wszystkie strony — rozkazał Szedid — a wszyscy! Tylko trzech niech tu zostanie na straży koło jeńców, reszta — dalej!

— Effendi — szepnął do mnie Ben Nil — gdybyśmy byli o tym wiedzieli!... Można było zabrać wszystkich jeńców... Teraz dopiero się przekonuję, że przesadna ostrożność z naszej strony nie bardzo była potrzebna.

— Moglibyśmy wprawdzie zabrać całą gromadę niewolników, ale po co nam kłopot, skoro sam Szedid zaprowadzi nam ich do Faszody. Jak dotąd, poszcęściło się nam nadzwyczajnie i tylko ciekaw jestem, czy po ukończeniu poszukiwań zmienią swój pogląd na całe zdarzenie.

— Mnie się zdaje, że nie. Ludzie ci są ciemni i głupi. Zapatrywanie to było dość trafne. Wysłani na wszystkie strony ludzie powrócili niebawem, niczego nowego nie przynosząc. Oczywiście, żadnemu ani się śniło zwrócić uwagę na wodę. Szedid był bardzo nierad z raportów i wierzyć mu się nie chciało, jakoby zbieg nie pozostawił żadnego śladu. Udał się więc sam osobiście w bród i po pewnym czasie powrócił, przeklinając zbiegów na czym świat stoi.

— Mielicie rację — mówił. — Ów przeklęty Bakkwara widocznie wzniosł się w powietrze, bo ani jednego śladu nie ma. Co teraz powie mek, co Ibn Asl, że stała się taka szkoda! Niechby raczej było uciekło dziesięciu innych, niż ten jeden!...

Wtem zauważył któryś, widocznie najmądrzejszy jeszcze z nich wszystkich:

— Ja bym powiedział, że w tak krótkim czasie ślady bezwarunkowo zatrzeć się nie mogły...

— Co przez to rozumiesz? — zapytał Szedid.

— Że gdzie nie ma śladu, tamtędy nie mógł biec żaden wielbłąd. Jeżeli więc w żadnym kierunku nie można tego było odkryć, jasne jest, że Bakkwara wcale jeszcze nie uciekł, lecz schował się gdzieś w pobliżu razem z Hazidem Sicharem i wielbłędami. Przyznasz sam, że to człek wielce przebiegły, bo odważył się nawet rzucić podejrzenie na świętość dwu Senussów, a to dlatego, ponieważ byli dla niego niebezpieczni. Wymyślona przezeń bajka jest najlepszym dowodem jego diabelskiej przebiegłości.

— O, prawda!

— A widzisz. Przewornym, jak wyrafinowany złodziej, musiał on być i potem, bo pomyślał sobie zapewne, że moglibyśmy odnaleźć jego ślady i gonić go. Wolał więc zaczekać, aż się oddalimy, i wtedy będzie bezpieczny.

— *Allah akbar!* Nie myślałem o tym. Hej, ludzie! Przeszukajcie wszystkie krzaki het aż do końca z jednej i drugiej strony! — rozkazywał Szedid.

Zaczynało być gorąco. Bardzo łatwo bowiem mogli nas zauważyć, przeszukując nadwodne krzaki i

zarośla. Odpłynawszy spory kawał, odetchnęliśmy, gdyż teraz nie łatwo mogli nas zauważyć, bo na wodzie było więcej podobnych wysepek, a zresztą zasłaniała nas trzcina, rosnąca wysoko przy brzegu. Ludzie tymczasem przeszukiwali krzaki i zarośla po obu stronach jeziora i to dosyć szczegółowo. Wiedziałem, że nie spoczną, dopóki nie przejdą aż do samego końca, ale żadnej nie było obawy. Byli przecież rozproszeni na całym niemal terenie nadbrzeżnym i spostrzec nas mogła zaledwie jedna ich grupa. Gdyby więc ci trzech lub najwyżej czterech chcieli zebrać więcej towarzyszy na pomoc, my bylibyśmy już na pustyni zupełnie bezpieczni. Mimo to wołałem, aby nas nie znaleziono, bo zależało mi, aby historia o obcym effendim była nadal bajką w pojęciu Takalów. Inny obrót musiałaby wziąć sprawa, gdyby odkryto naszą kryjówkę i przekonano się, że Bakkwara nie jest takim łotrem, za jakiego dotąd go uważają.

Dotarłszy na mniejsze jezioro, nie szczędziłem sił, by jak najprędzej wrócić na miejsce. Sam dziwiłem się, będąc już na brzegu, że sklecona przez nas na poczekaniu tratwa wytrzymała tak świetnie próbę.

Hazid Sichar był bardzo niespokojny, dlatego tak długo nie wracaliśmy, ale teraz uradował się naprawdę, zobaczywszy nas znowu. Opowiedziałem mu o wszystkim, co było godne uwagi podczas całej wyprawy, i następnie wdrapałem się na wysokie drzewa, rosnące tuż w pobliżu, zabrawszy oczywiście lunetę.

Z wierzchołka roztaczał się rozległy widok. Po dość długiej chwili zauważyłem na północnym brzegu jeziora dwu ludzi, posuwających się naprzód ostrożnie, a niebawem ukazało się za nimi jeszcze trzech i ci zagłądali pod każdy niemal krzak. Zsunąłem się więc z drzewa czym prędzej i pobiegłem kawałek naprzeciw. Stały tu gęste krzaki, oplecione gęstą tarniną. Nie namyślając się wiele, wlałem w jeden z nich na czworakach i zacząłem się. Nie była to pozycja bardzo wygodna, bo ciernie kłuły bez litości, a ponadto mogło mi grozić jakie niebezpieczne stworzenie. Niebawem jednak usłyszałem tuż w pobliżu:

— Wróćmy się, szkoda czasu na daremne szukanie!

— Jeszcze parę kroków, do tego drzewa subakowego, tam na końcu — odpowiedział drugi.

A niechże cię lichy!... Przed chwilą właśnie siedziałem na tym drzewie subakowym, a o pięć kroków dalej jest nasze legowisko. Gdy szukający zbliżyli się do mojej kryjówki, poruszyłem nagle gałązkami i począłem naśladować głos lwa, który ze snu nagle się obudził, a następnie zdobyłem się na potężny ryk, na odgłos którego oniemieć musi z przerażenia każdy mieszkaniec pustyni, zwłaszcza Arab lub murzyn. Co do trafności naśladownictwa, to oczywiście sprawa ta nie jest łatwa, bo organa głosowe człowieka nie wystarczą ku temu, aby oddać wiernie mruczenie i ryk lwa, kto jednak posiada w tym kierunku pewne doświadczenie, ten istotnie może nastraszyć bardzo lekliwie usposobionych synów pustyni. Nieraz podczas długiej podróży przez morze piasku, próbowałem z nudów naśladować głosy rozmaitych zwierząt, jak małpy, hieny, lwa, i przydało mi się to nieraz. Takalowie bowiem oniemieli na chwilę ze zgrozy.

— Lew! — krzyknął jeden.

— O Allah, o potężny, ratuj! — krzyczał drugi.

Więcej nie mogłem już niczego usłyszeć, bo dzielni wojownicy drapnęli na łeb, na szyję, aż się za nimi kurzyło, a Ben Nil, wychyliwszy się z zarośli wołał zupełnie swobodnie, śmiejąc się przy tym:

— A to dobre! Cha, cha, cha! A to znakomite! Karki pokręca, a ty, effendi, ty czarodzieju, przemieniasz się nawet w dziką bestię! A niechże cię!... Przyznam, że mruczenie było znakomicie naśladowane, ale ryk... darujesz za otwartość... — nie bardzo ci się udał. Tylko głupi Takalowie mogli się na nim nie poznać!...

— No, no. Ręczę, że gdybyś nie był uprzedzony, co to za lew, uciekałbyś tak samo, jak oni.

— A wiesz?... Ty czytasz w moich myślach, effendi. Uciekałbym co siłą, bo „pan z wielką głową” to nie lada przeciwnik i niech Allah broni, abym miał kiedykolwiek usłyszeć jego mruczenie. Ale... ale... Jak mogłeś wpaść na podobną myśl, effendi?

— W decydującej chwili myśli same się pojawiają, ale co widzę? Masz w pogotowiu nóż...

— Bo widzisz... skoro Takalowie zbliżyli się tutaj, powiedziałem naszemu jeńcowi, że jeżeli tylko słówko piśnie, a wyjmę mu serce z piersi i rzucę w mrówcze gniazdo. I skutkowało. Teraz jesteśmy bezpieczni.

— Niech tamci jadą naprzód!

— Ależ szkoda czasu, effendi. Wiesz przecie, że musimy jak najprędzej stanąć w Faszodzie.

— Sądzę, że utratę czasu wynagrodzimy sobie później, wszak posiadamy wyborne wielbłądy. Dla nas główną rzeczą jest teraz, aby Takalowie nie wpadli na nasze tropy. Jestem pewny, że wyruszą natychmiast, bo będą się obawiali lwa. Poczekaj!

Wylazłem po raz drugi na drzewo, niestety nie mogłem niczego zauważyć, bo drzewa zasłaniały to miejsce, gdzie karawana się rozłożyła. Dopiero po upływie co najmniej pół godziny, spostrzegłem jak Takalowie ruszyli wprzód na drugą stronę i skierowali się na pustynię. Część jeźdźców była umieszczona na przodzie, druga część zamykała pochód z tyłu. Jeńcy maszerowali w pośrodku. Uważałem na karawanę tak długo, dopóki nie zniknęła na horyzoncie, a następnie ot, tak sobie, bez żadnego celu skierowałem szkła wokoło. I oto ku memu zdziwieniu spostrzegłem na zachodzie ruchome punkciki, poruszające się nie w kierunku do nas, lecz ku południowemu zachodowi, tak że gdzieś w pewnym oddaleniu mogłyby się zejść z karawaną Takalów. Co to jednak było? Ludzie, czy zwierzęta? Nie mogłem tego stwierdzić, nawet przy pomocy lunety. Punkciki te zmniejszały się z każdą chwilą, aż wreszcie znikły zupełnie.

Zlazłem z drzewa i teraz dopiero przypatrzyłem się bliżej Hazidowi Sicharowi. Był on bardzo podobny do swego brata z Maabdah, jak się z rysów jego twarzy przekonałem.

— Może mi pokażesz teraz rękę mumii — prosił, a gdy uczyniłem temu zadość, odrzekł z pewnością siebie

— Tak jest, to ręka córki faraona.

Wydobyłem teraz z nieprzemakalnego pasa dwa niezaadresowane listy, które wręczył mi jego brat w Sijut, i rzekłem:

— Te dwa listy przyniósł mi Ben Wazak do pałacu baszy w Sijut i prosił, abym je otworzył po przybyciu do Chartumu.

— Dlaczego mówisz mi o tym, skoro one są twoją własnością? — rzekł Hazid Sichar, przypatrując się listom. — Schowaj je z powrotem i otworzysz je, gdy będziemy w Chartumie!

— Ja bym wolał, żebyś ty je otworzył i to teraz. Wówczas byłem pewny, zarówno jak i twój brat, że pojedę prosto do Chartumu, niestety, losy zapędziły mnie do kraju Fessarów i sporo już upłynęło czasu od owej chwili. Kto wie, jak ważne wiadomości zawierać mogą te listy. Sądzę więc, że należałoby je otworzyć teraz.

— Więc je otwórz!

— Nie ja, lecz ty. Przecież nie jestem jeszcze w Chartumie.

— A no, skoro tak nalegasz — otworzę.

I otworzył je, a przebiegłszy szybko ich treść, spojrzał na mnie wilgotnymi od łez oczyma i zapytał:

— Znałeś mego brata przedtem jeszcze, nim przybyłeś do Maabdah?

— Nie!

— I to uczynił dla mnie mój brat!... Sądziłem, że o mnie zapomniał zupełnie, gdy tymczasem te listy świadczą zupełnie o czym innym, i może nawet nie wiesz, jak wielką jest ich wartość. Zawierają one przekazy do jednego z banków w Chartumie na bardzo wysoką sumę... Otóż brat mój, jak się przekonuję z tego, postanowił za wszelką cenę odszukać mnie i nie wahał się nawet oddać tobie, obcemu zupełnie człowiekowi, tak drogocennych listów! Widocznie uważa cię za człowieka godnego zaufania, mimo że jesteś chrześcijaninem. Co jednak byłbyś uczynił z tak wielką sumą pieniędzy?

— Tobie oddał, skoro tylko byłbym cię odszukał. Schowaj więc te przekazy, bo to twoja własność! Zdaje mi się, że pozostaniemy razem aż do czasu, gdy się zobaczysz ze swoim bratem. Gdybym więc kiedy potrzebował koniecznie pieniędzy, poprosiłbym cię o pożyczkę.

— No, dobrze, zatrzymam papiery pod tym warunkiem, ale... gdzie je schowam, skoro nie mam wcale kieszeni?

Skarga ta była zupełnie słuszna. Ów bogaty człowiek nie miał nie tylko kieszeni, ale żadnego ubrania oprócz przepaski na biodrach i to zniszczonej już niemal zupełnie.

— Będziesz miał zaraz kieszenie — odrzekłem. — Bakkwara jest tego samego wzrostu, co i ty.



Zamienicie więc ze sobą ubrania.

— Ani się waż! — wtrącił Bakkwara — jestem wolnym Ben Arabem i nie mogę chodzić nago.

— Eh, co tam! Przedtem Hazid Sichar był jeńcem i chodził nago, a ty byłeś wolny i nosiłeś ubranie, teraz ty jesteś jeńcem, a on jest wolny, z czego wynika jasno, że musisz być gołym, a on ubranym.

— Ja się na to nie zgadzam!

— Ben Nil, wytnij no kij, który będzie zaraz potrzebny!

— Śmiałybyś mnie bić? — krzyknął Bakkwara — Mnie? Kto cię do tego upoważnił?

— Wicekról. Jestem tu zastępcą reisa effendiny, ale nawet gdyby i nie to, uczyniłbym tak, jakby mi się podobało. Jesteś współnikiem mego śmiertelnego wroga, który godzi natarczywie na moje życie. Sam zresztą usiłowałeś wczoraj wieczór usposobić dla nas wrogo Takalów. Pytam więc własnymi twymi słowami: kto cię do tego upoważnił? Jakim prawem to czyniłeś? Otóż powiem ci, że zarówno ty, jak i ja, moglibyśmy się kierować tu prawem silniejszego, obyczajem pustyni i stepu. Radzę ci więc, jeżeli ci są miłe własne stopy, oddaj ubranie dobrowolnie! Zresztą ofiarowałem ci nawet wolność pod pewnymi warunkami, ale nawet słyszeć o tym nie chciałeś, wobec czego samemu sobie zawdzięczasz to, co cię ma spotkać, a sędzę, że na wszelki wypadek, nie będzie to wielka dla ciebie przyjemność. Dawaj ubranie! Gdy Ben Nil chciał zdjąć zeń haik, bronił się wszelkimi siłami, wobec czego nie należało żartować z opornym. Położyliśmy go na ziemi plecami do góry, ugięli nogi w kolanach i przywiązali je do drzewa, po czym Hazid Sichar siadł mu na grzbiecie, a Ben Nil wyciął z krzaka pręt grubości palca i rozpoczął egzekucję. Ledwie jednak padły dwa uderzenia, Ben Bakkwara począł krzyczeć w niebogłosy i błagać o litość, przyrzekając bezwzględne posłuszeństwo.

— A widzisz — odezwałem się — trzeba ci było tego? Wolny Arab nie przywykł do plag cielesnych i dlatego są one dla niego okropnością.

Odwiązaliśmy go i wymiana ubrania odbyła się bez żadnej przeszkody, po czym zaczęliśmy się przygotowywać do marszu. Dla nas było wody dość jeszcze w zapasie, a tylko napełniliśmy wory dla wielbłądów i niebawem opuściliśmy to miejsce, gdzie tyle zdarzyło się ważnych wypadków w ciągu nocy i to wypadków dla mnie najzupełniej szczęśliwych, jeśli weźmiemy na uwagę chociażby odnalezienie zaginionego Hazida Sichara.

Jak poprzednio wspomniałem, Takalowie nie powinni byli wpaść na nasze tropy. Z tej przyczyny udaliśmy się teraz ich drogą, aby wiedzieć później, którądy ich ominąć. Po niespełna pół godziny drogi zauważyliśmy drugie ślady, pozostawione niezawodnie przez owe istoty, które przedtem nawet rozróżnić było trudno.

— Co by to było? — zapytał Ben Nil. — Odciski tak drobne... A zobacz, tropy połączyły się teraz.

Zsiadłem z wielbłąda i kazałem uczynić to samo Ben Nilowi, aby nauczyć go czytać ze śladów na pustyni. Nauka taka mogła mieć dla niego wielką wartość w przyszłości. Ja poznałem wszystko od razu, mimo to, rzekłem do niego:

— Przypatrz się dobrze śladom! Wiesz, które to zwierzęta je pozostawiły?

— To... najprawdopodobniej... osły... nieprawdaż?

— Tak, osły. A wiesz ile ich było?

— Cztery albo pięć.

— Nie! Trzy tylko. Chcąc się dowiedzieć, ile było zwierząt, trzeba uważać na własności śladów poszczególnych nóg. Weźmy na przykład w tym wypadku pod uwagę ślad przedniej prawej nogi! Odróżnić go można od innych po wielu znakach. Jeżeli tedy uda się nam wysledzić je w normalnych odstępach zwykłego kroku, będziemy mieli jeden ślad, potem zwróćmy poszukiwania na ślad drugi, od tamtego się różniący, a potem na trzeci i tak dalej możemy dokładnie obliczyć liczbę zwierząt, które przeszły tą samą drogą.

— Jakie to łatwe! — zawołał ucieszony Ben Nil, podnosząc się z postawy pochylonej. — Wiem już na pewno, że szły tedy tylko trzy osły.

— No, a teraz dalsze zagadnienia: co dźwigały, jeźdźców, czy ciężary? A może który biegł luzem?

— Tego już nie potrafię.

— Wcale nie sztuka. Weź pod uwagę głębokość odcisków i ich miarowość! Im bardziej zwierzę jest objuczone, tym bardziej w piasku odciskają się jego kopyta. Zwierzę wierzchowe zaś pozostawia lżejsze odciski i chód jego nie jest tak miarowy, jednostajny, jak zwierzęcia jucznego, ponieważ zależne jest ono w znacznej części od woli jeźdźca. Idź parę kroków naprzód, a przekonasz się, że osły, nad których śladami zastanawiamy się z takim zaciekawieniem, kręciły się to w tę, to w ową stronę, a więc miały na swoich grzbietach jeźdźców, lecz kto zaczął?...

— Tego chyba nie dowiesz się ze śladów...

— A gdyby... Wiemy przecież, że na osłach jeżdżą ludzie pewnego zawodu.

— Dżelabi, nieprawdaż?

— Tak, tylko handlarze posługują się osłami w tych okolicach. Wiemy zatem więcej, niż przypuszczałeś, a o resztę troszczyć się nie mamy powodu, przynajmniej nie obchodzi nas to, skąd oni jadą, lecz dokąd jadą, i mam nadzieję, że dowiemy się o tym, bo znajdują się przecież przed nami. No, a teraz naprzód!

Prowadziliśmy wielbłądy za uzdy, podczas gdy tamci dwaj pozostali na siodłach. Tropki dżelabich łączyły się od tego miejsca z tropami Takalów, lecz po pewnym czasie zauważyliśmy szeroko wydeptane miejsce, a dalej znowu ciągnęły się tropki wąskim pasmem, jak poprzednio.

— Tu nastąpiło spotkanie — objaśniłem. — Takalowie zatrzymali się w celu pozdrowienia i wypymania dżelabów, a co między nimi zaszło, może zdołam odczytać ze znajdujących się tu śladów.

Zdawało mi się mianowicie, jakoby tylko część Takalów się zatrzymała, a reszta nie. Począłem tedy liczyć ślady zwierząt, między którymi nie brakło także i ludzkich.

— Otóż, słuchajcie! Tu zatrzymało się tylko pięciu Takalów. Rozmawiali oni dłuższy czas z dżelabami, którzy posiadali ze swych osłów, po czym pojechali już razem za poprzednimi. Przystanek więc miał na celu wzajemne poznanie się obcych podróżnych.

— A jak sądzisz, czy Takalowie nie obeszlą się wrogo z dżelabami? — zapytał Ben Nil.

— Do tej chwili nie zauważyłem ani jednego znaku, któryby świadczył, o czymś podobnym, że jednak Takalowie nieszczególnie dobrze są usposobieni, handlarze ci muszą się mieć na baczności, chociażby tylko z tego powodu, jeżeli już nie z wielu innych. Chodźmy pieszo jeszcze kawałek!

Ledwie jednak postąpiłem kilka kroków naprzód, krzyknął Ben Nil, wyciągając ramię:

— Patrz, effendi, tam na lewo od tropów siedzi hiena!

— A tu obok leżą na piasku dwie inne — dodał Hazid Sichar. Przyłożyłem rękę prostopadle do czoła, aby lepiej widzieć i, domyślając się nieszczęścia, krzyknąłem:

— Toż to nie hieny, lecz ludzie! Czyżby Takalowie napadli na handlarzy? Chodźmy tam prędko!

Pospieszaliśmy prawie biegiem naprzód, podczas gdy obaj jeźdźcy jechali tylko krokiem. Ów człowiek, którego Ben Nil uważał za hienę, był obrócony do nas plecami. Siedział w ten sposób, że łokcie oparł na kolanach, a głowę schował w dłonie, nic więc dziwnego, że mój towarzysz mógł go wziąć za hienę. Dopiero, gdy usłyszał odgłos naszych kroków, odwrócił głowę i próbował wstać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Ponieważ Bakwkwaro był na samym przodzie, więc człowiek ów jego właśnie tak mocno się przestraszył i dopiero po chwili mógł wydobyć z siebie przeraźliwy głos:

— Jestem zgubiony! Toż to Amr el Makaszef, szejka Bakwkwarów!

Nazwisko to obilo się już nieraz o moje uszy. Nosił je dowódca Bakwkwarów, słynący z gwałtownego i wielce wojowniczego usposobienia, Wówczas odgrywał on swoją rolę tylko w szczupłych granicach swego kraju, ale później dał się poznać daleko poza nim. Był krewnym Mahdiego, a dnia 6 kwietnia 1882 mudif Sennaaru wysłał do wicegubematora depeszę następującej treści: „Szejka Bakwkwarów Amr el Makaszef, kuzyna Mahdiego, zbliża się do mego miasta na czele wielu uzbrojonych Bakwkwarów z zamiarem zajęcia go na rzecz Mahdiego. Proszę o natychmiastową pomoc”. Człowiek ów zatem był moim jeńcem. Dziwiło mnie to, że naczelnik szczepu poniżył się do tego stopnia, iż przyjął na siebie rolę posłańca. Jego stosunek więc do Ibn Asła opierał się niezawodnie na poważniejszych podstawach, a nie wynikał tylko ze zwykłej znajomości. Domysł ten znalazł potwierdzenie w jego odpowiedzi, gdyż skoro usłyszał słowa nieznanego, odparł z oburzeniem:

— Mylisz się! Należę do szczepu Bakwkwarów, ale szejkiem ich nie jestem!

— Czemu się wypierasz? — pytał handlarz. — Byłem u was wiele razy i widywałem się z tobą! Znasz mnie więc i wiesz, kto jestem.

— Głupstwa pleciesz, widocznie w gorączce, która cię opadła z powodu nieszczęśliwego przypadku.

Spojrzał przy tym na mnie, jakby chciał wymiarkować, co o tym myślę, i to właśnie przekonało mnie dostatecznie. Był niezawodnie szejkiem, a chciał uchodzić za zwykłego człowieka, aby tym łagodniej obchodzono się z nim w Faszodzie. Handlarz jednak nie dał się zbić z tropu i twierdził dalej:

— Nie wiem, z jakiego powodu wypierasz się własnego nazwiska. Co prawda, jestem poturbowany, ale gorączka jeszcze nie wystąpiła i wiem dobrze, co mówię. Niczego złego nie zrobiliśmy Takalom, handlującym ludźmi, na miłość Allaha nie wierz w to, jakobym był wrogiem tych ludzi, którzy łowią niewolników, i ratuj mnie, szejku, ratuj!

Wtem zwróciłem się do niego ja:

— Po co to tłumaczenie się? Sądzisz, że ten szejek Amr el Makaszef jest także łowcą niewolników?

Nie zauważył mnie był jeszcze i teraz dopiero obrzucił mnie badawczym spojrzeniem i odpowiedział:

— Jak możesz pytać mnie o to! Należysz przecież do szejka i wiesz zapewne lepiej ode mnie, że jest on przyjacielem i odbiorcą Ibn Asla, naj słynniejszego łowcy niewolników.

— Kłamstwo! — przerwał mu Bakkwara. — Nie jestem tym, za którego uważa mnie ten człowiek!

— Cicho bądź! — rozkazałem mu — wiem już dokładnie, co mam myśleć o tobie, i usiłowania twoje w celu wprowadzenia mnie w błąd, na nic się nie przydadzą. Jesteś za głupi, by mnie podejść i oszukać. — A zwracając się do handlarza — Ja nie należę do niego, jestem obcym i chrześcijaninem. Przypatrz się jednak lepiej szejkowi! Czyś nie zauważył, że on nie ma przy sobie broni? Nie zauważyłeś liny, którą jest przymocowany do wielbłąda?

Człowiek ów trzymał ciągle głowę w dłoniach, lecz w tej chwili podniósł ją i wykrzyknął z wielkim zdziwieniem:

— Allah działa cuda! On związany! Czyście walczyli z nim i do niewoli zabrali?

— Dowiesz się później, a teraz należy przede wszystkim zbadać cię i twoich towarzyszy, którzy leżą jak nieżywi.

— Tamci już nie żyją. Zastrzeleni! Nie widzisz kałuży krwi koło nich?

— Do ciebie nie strzelano?

— Nie! Byłem pierwszym, na którego się rzucili. Bili mnie kolbami w głowę tak, że straciłem natychmiast przytomność, a gdy ją odzyskałem, towarzysze moi leżeli już zabici. Zabrano nam wszystko, nie wyłączając nawet osłów.

— Co do tych ostatnich — nie troszcz się, nie zabrano ich i ja ci je przypędzę, ale naprzód daj głowę do zbadania!

Oglądałem ją i przekonałem się, że była bardzo opuchnięta, ale na szczęście rannego czaszki nie naruszono. Widocznie otrzymał on ciosy płaską stroną kolby. Tamci dwaj byli nieżywi naprawdę. Na piersiach ich odkryłem rany od kul. Oczywiście nie było tu już nic do roboty, wobec czego zdjąłem jednemu zawój z głowy, ażeby zrobić żyjącemu okład. To ulżyło mu znacznie i mógł teraz z mniejszą trudnością mówić ze mną. Trwoga przed szejkiem nie opuszczała go ciągle, wobec czego musiałem go uspokoić:

— Zapewniam cię, człowieku, że znajdujesz się między przyjaciółmi i dowódca Bakwkwarów nic złego uczynić ci nie może. On jest przyjacielem Takalów, którzy na was napadli. Wczoraj wieczorem przybył do nich nad Nid el Nil, mniejsza zresztą o to. Słyszałeś może o reisie effendinie?

— Tak, panie!

— Otóż ja jestem przyjacielem reisa i w jego imieniu wziąłem do niewoli tego Bakwkwarę, aby go oddać w ręce władzy w Faszodzie. Możesz więc być zupełnie spokojny i mówić ze mną otwarcie. Skąd przybyliście i dokąd zamierzaliście się udać?

— Byliśmy w Dar Famaka, gdzie sprzedaliśmy wszystkie towary, otrzymując za nie tylko tibr. Następnie skierowaliśmy się przez Biały Nil do Gojak nad Bahr el Arab, gdzie chcieliśmy tibr wymienić na pióra strusie, aby odwieźć je do Chartumu. Uśmiechał nam się doskonały zarobek, ale niestety, Takalowie nas obrabowali i... jestem obecnie zrujnowany doszczętnie.

Pod nazwą „tibr” rozumie się w tych okolicach złoto w postaci ziarneczek lub pyłku, które wydobywają tu z pokładów aluwialnych. Jest to prawie jedyny środek wymiany w górnych okolicach Nilu i ma walor wszędzie, jak na przykład talary Marii Teresy. Dla dogodniejszego użycia tych osobliwych afrykańskich „pieniędzy” stapiają ziarenka w kształt pierścionków lub związują w skórzane albo płócienne płatki w bardzo małych ilościach i to służy jako moneta zdawkowa.

— Przypuszczam, że Takalowie nie od razu wystąpili wobec was nieprzyjaźnie...

— Byli nawet bardzo uprzejmi i serdeczni. Dowódca, gdyśmy się z nimi spotkali, kazał karawanie iść dalej, a sam z czterema towarzyszami pozostał na miejscu i wypytywał nas o wiele rzeczy dość długo. Dopiero gdy karawany nie było już zupełnie widać, pozwolił nam jechać razem z sobą, co też uczyniliśmy, lecz właśnie w tym miejscu otrzymałem niespodzianie cios w głowę. Co było dalej, możesz się domyślić.

— Wspominałeś im, że macie przy sobie tibr?

— Pytali nas, za co chcemy kupić strusie pióra, musiałem więc wspomnieć o pyłku złota.

— Szkoda. Znadto byłeś otwarty i ponosisz teraz skutki 4 tego błędu. Owych pięciu Takalów złakomiło się na wasze pieniądze i aby nie dzielić się łupem z innymi, kazali karawanie umyślnie wędrować naprzód. Z tych samych powodów nie zabrali wam żadnych innych rzeczy, bo zdradziłyby ich wobec tamtych i musieliby się dzielić. Gdyby nie to, byłiby wam zabrali wszystko, a tak przynajmniej masz ubranie na sobie, no i osły są również niedaleko, bo je tylko odpędzili kawałek od tego miejsca.

— Ale dlaczego nie zostawili ich tutaj? Po co zadali sobie aż tyle trudu, by je zapędzić tak daleko, skąd ich widzieć nie można?

— Z prostej przyczyny i trud ich nie był tak zbyteczny, jak ci się wydaje. Wszyscy trzej leżeliście na ziemi i nikt nie mógł odkryć waszej obecności z daleka. Gdyby jednak osły zostały koło was, wówczas przejeżdżający przypadkowo ludzie zobaczyliby je i natrafili przez to na ślad zbrodni. Ty wprawdzie nie należysz jeszcze do umarłych, ale byłbyś zginął niezawodnie, gdybyśmy cię nie znaleźli. A stało się to właśnie dzięki tej okoliczności, że śledziliśmy w pewnym celu tropy Takalów.

— No, ale co teraz, panie? Możebyśmy ścigali morderców... Pragnę bowiem zemścić się na nich i odebrać im zabrany łup.

— Otrzymasz ów łup, przyrzekam ci to, ale w tym celu nie jest konieczne ściganie karawany i może nawet walka orężna. Bo zresztą czy sądzisz, że byłbyś zdolny do tej walki, będąc tak poturbowany? Nie ma o czym mówić. Odszukam osły i wtedy możesz się przyłączyć do nas.

— Dokąd jedziecie?

— Mówiłem ci, że do Faszody. Tak samo i Takalowie tam dążą, a mając ludzi pieszych, przybędą o wiele później niż my. Będziemy więc mieli czas przygotować policję i schwytać ich wszystkich zaraz na wstępie.

Idąc następnie za śladami nie dłużej nad kwadrans, spostrzegłem trzy zwierzęta, leżące na piasku blisko siebie. Wszystkie miały na grzbietach siodła. Wsiadłem na jednego osła, aby prędzej wrócić, dwa pozostałe biegły za mną dobrowolnie bez zachęcania ich ku temu z mej strony.

Teraz trzeba było oddać ostatnią posługę pomordowanym. Wykopaliśmy więc, o ile było możliwe, głęboki dół i pogrzebali ciała. Następnie usadowiliśmy na wielbłądzie, który dźwigał tylko worki z wodą, rannego kupca i ruszyliśmy w drogę. Osły, nieobładowane, biegły za nami.

Do Faszody mieliśmy około trzydziestu mil. Drogę tę mogłem odbyć z Ben Nilem w dwu dniach, ale w obecnych warunkach było to niemożliwe. Hazid Sichar był przez dłuższy czas więziony w podziemiach kopalnianych i wycieńczony przez to o tyle, że szybka jazda na wielbłądzie nie była dla niego tak łatwą, jak sobie wyobrażał. Do chodu pieszo miał dość zahartowane członki, ale kołysanie się na wielbłądzie nużyło go ogromnie. Handlarz zaś zmieniał ustawicznie okłady na głowie i stękał, bo każdy krok zwierzęcia sprawiał mu ból, wobec czego trzeba było jechać o ile możności pomału i to wcale nie za tropami Takalów, lecz w znacznym okrążeniu na wschód. Trzeciego dnia wyprzedziliśmy ich mimo to, a czwartego rano stanęli koło Faszody, która nawiasem mówiąc, na miasto wcale nie wygląda i jest taką sobie zwykłą wielką wsią, ale ze względu na obwiedzione

murem budynki rządowe, koszary i rezydencję mudira przedstawia się na zewnątrz nie najgorzej. Wrażenie to jednak znika, skoro się tylko wejdzie do środka. Na murach obwodowych ustawione są armaty, a nocą pełnią wartę liczni żołnierze, co ze względu na wojowniczo usposobionych Szyluków wcale nie jest zbyteczne.

Naokoło budynków rządowych stoją liczne nędzne domki i tak zwane tukuły, wzniesione na podmurowaniu z cegieł, gdyż z powodu olbrzymich spustoszeń, jakie przedtem wyrządzały liczne pożary, rząd zakazał bardzo surowo budowania chat ze słomy. Tukuły te są zamieszkiwane częściowo przez Szyluków, częściowo przez żołnierzy, którzy mają tu swoje żony i dzieci. Ulice i zaułki, jeżeli można użyć tych wyrazów na ich określenie, składają się z jam, gnojówek i stert nieczystości, przez które przewijać się trzeba ze zrećnością linoskoczka, jeśli oczywiście nie ma się chęci ugrzęznąć po pas.

Faszoda jest kolonią karną, tak jak był poprzednio Dżebel Gazan i Fassokwl, mimo to liczba więźniów nie zwiększa się tu wcale, bo przybysze giną szybko w zabójczym dla nich klimacie.

Miejscowość ta jest ostatnim ufortyfikowanym posterunkiem nad Białym Nilem i mieści w sobie załogę w liczbie około tysiąca ludzi. Jest to piechota murzyńska i po części arnaucci, bardzo niespokojni i skłonni do buntów, wobec czego może ich utrzymać w ryzach tylko sprężysty i surowy dowódca. Stanowisko to zajmował wówczas sangak, sprzymierzeniec Ibn Asla, jak o tym poprzednio już była mowa.

Rozumie się, że do miejscowości tej nie wjechaliśmy ot tak po prostu i otwarcie, gdyż należało wziąć pod uwagę wiele okoliczności. Tak na przykład, mógł właśnie niebawem nadciągnąć tu Ibn Asl, również należało tu szukać Murada Nassyra z siostrą, muzabira i mokedema świętej Kadiriny, którzy byli moimi wrogami. Oprócz tego, należało się mieć na baczności przed zwierzchnikiem arnautów, który zapewnię został dokładnie przez tamtych o mnie powiadomiony. Znali mnie osobiście i dlatego nie wolno mi było pokazywać się, jeżeli chciałem osiągnąć zamierzony cel z dobrym skutkiem. Z przeczności tej nie zbliżaliśmy się pod samo miasto, lecz zatrzymaliśmy się w lesie, położonym mniej więcej o godzinę drogi od tej sławnej miejscowości. Las ów był gęsto podszyty krzakami nabakowymi i składał się z wysokich drzew senesowych, hegelikowych i innych, poplątanych gęsto przez wijące się rośliny i krzewy. Tu więc wyszukaliśmy sobie wygodną kryjówkę, gdzie można było czuć się najzupełniej bezpiecznym.

Po krótkim odpoczynku chciałem zawiadomić w jakiś sposób mudira o swoim przybyciu. Nadawał się ku temu Ben Nil, niestety nie mogłem go wysłać, bo poznano by go w Faszodzie bardzo łatwo. Obarczyłem więc posłannictwem Hazida Sichara, dając u list reisa effendiny i oczywiście wyczerpujące wskazówki jak się ma zachować i co mówić. Na powrót jego czekaliśmy całe cztery godziny i nareszcie raczył się zjawić i to nie sam, lecz w towarzystwie jakiegoś człowieka, ubranego całkiem skromnie, a nawet powiem nędznie. Spodziewałem się, że „Ojciec pięciuset” wyśle do mnie zaufanego urzędnika, gdy tymczasem, ku memu niemal osłupieniu, dowiedziałem się w tej chwili, że ów człowiek to mudir we własnej swojej osobie. Surowy ten człowiek zdradził się natychmiast swoim postępowaniem, bo gdy Hazid Sichar rzekł:

— Przepraszam cię, effendi, że tak długo czekałeś... Ten dostojny pan jest... — przybysz zgromił go piorunującym głosem:

— Milcz! Obchodziłem się z tobą życzliwie, bo litowałem się nad twoim losem, nie wnioskuje z tego, że jestem ci równym! Jak śmiesz przedstawiać mnie effendiemu i jeszcze w dodatku usprawiedliwiać się przed nim, że czekał długo. Co to ja mam być psem, który biegnie, skoro się tylko nań zagwiżdże, gałganie jeden!?!...

— No — pomyślałem sobie w duchu. — To z pewnością sam „Ojciec pięciuset”, skoro tak ostro zabiera się do rzeczy. I jeżeli wobec nas, ludzi spokojnych i oddanych mu, jest taki surowy, to można sobie wyobrazić jego postępowanie ze zbrodniarzami.

Straszliwy ten człowiek obrzucił mnie od stóp do głowy badawczym wzrokiem, nie okazując przy tym ani cienia życzliwości. Za jego zbliżeniem wstałem i przeczekawszy chwilę, zapytałem swobodnie:

— Kogo mam powitać? Sądzę, że samego Ali effendiego?

— Ali effendiego? — pochwycił surowo — nie wiesz, jak się tytułuje mudira?

— Owszem, wiem i nie zaniedbam obowiązku grzeczności, skoro tylko zdarzy się okazja rozmowy z mudirem.

— No, to okazja ta już się zdarzyła, bo ja właśnie jestem mudirem faszedzkim.

Mieszkaniec Wschodu byłby skrzyżował ręce na piersiach i pokłonił się przed nim aż do ziemi, ja zaś skinąłem tylko głową, wyciągnąłem rękę i rzekłem dosyć uprzejmie:

— Niech ci Allah udzieli tysiąc lat żywota, mudirze! Cieszę się, że dane mi jest oglądać twe szlachetne oblicze, albowiem pod twymi sprężystymi rękami podniesie się wkrótce ta prowincja i oczyszczona będzie z band zbrodniarzy i opryszków.

Mudir wahał się z podaniem mi ręki, spojrzął mi w oczy z wyrazem wyższości i odrzekł:

— Sądząc z tego, co czytałem i słyszałem o tobie, musisz być nie lada chwatem, ale co do uprzejmości i dobrego tonu, to nie bardzo zbywa ci na tych przymiotach...

— Każdy człowiek posiada jakieś wyłączone i osobliwe zalety i podług tych właśnie oceniać go należy.

— Jak to? Miał bym także swoje sługi oceniać wedle tej miary? No, daleko bym zaszedł! Wy chrześcijanie jesteście osobliwymi ludźmi, wobec czego zmuszony jestem tak cię brać, jakim jesteś, to jest bardzo dzielnym człowiekiem, ale i wielkim grubianinem. Siadajmy!

Śmiałem się w duchu, gdy ów człowiek, będący uosobnieniem grubiaństwa, zarzucał właśnie mnie ten błąd. Usiedliśmy na ziemi. Mudir dobył skórzane pudełko z papierosami i zapalki, zapalił papierosa, wcale mnie nie częstując i, położywszy resztę tuż obok siebie, zaczął:

— A zatem jesteś w służbie reisa effendiny. Gdzie i kiedy on cię poznał?



— Czy on mnie poznał czy ja jego, w tym leży wielka różnica, którą zajmować się obecnie nie mamy powodu. Jeśli jednak sądzisz, że jestem sługą reisa effendiny, to mylisz się.

— No, on wprawdzie w liście do mnie nazywa cię swoim przyjacielem, ale to tylko zwykła forma przyzwoitości. Ty jesteś odważnym, nawet bardzo śmiałym człowiekiem i w dodatku nie wyglądasz wcale na głupiego, ale żeby muzułmanin był twoim przyjacielem — o tym i mowy być nie może.

— A to dlaczego? Jeżeli uważam, że jakiś człowiek jest godny mej przyjaźni, to okoliczność, że on należy do wyznawców Mahometa, wcale nie przeszkadza uważać go za serdecznego przyjaciela.

— Ach, to tak! — zauważył ironicznie. — Ty ofiarowałeś mu przyjaźń, a nie on tobie...

— Kto pierwszy oświadczył ku temu gotowość, to rzecz uboczna i powinno ci wystarczyć samo zapewnienie, że między mną a resem effendiną istnieje serdeczna przyjaźń. Jeżeli nie wierzysz, nic mi na tym nie zależy.

— Jak? Obojętne ci jest, czy mudir faszodzki uwierzy ci czy nie? Przyznaję, że po raz pierwszy stykam się z podobnym śmiałkiem.

— W mojej ojczyźnie istnieje przysłowie, które opiewa: „Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie” i chętnie kieruję się tą zasadą w praktyce życia.

— O to naprawdę śmiało! Słuchaj! Gdyby kto inny odważył się na coś podobnego, ta na Allaha wymierzyłbym mu z miejsca pięćset...

— No tak, to u ciebie codzienna śpiewka i dlatego nazwano cię Abu Hamzaj Miah, ja jednak jestem zupełnie bezpieczny i nie obawiam się podobnego przyjęcia z twej strony.

— Bezpieczny? Eh, czy się nie przeliczyłeś... Wszak jeśli bym zechciał, to kto by mi zabronił wymierzyć ci pięćset takich... wiesz... odlewanych...

— Moje papiery, no i konsul.

— Gwizdę na twoje papiery i na konsula...

— No, ale na tę oto z pewnością nie ważyłbyś się gwizdać!... Podczas tych słów pokazałem mu pięść tak blisko nosa, że odruchowo cofnął się w tył i krzyknął:

— Człowieku, chcesz się bić ze mną?

— Nie, a przynajmniej tak długo, dopóki ty pierwszy nie zaczniesz. Ale dosyć już żartów i musimy pomówić o ważniejszych sprawach. Przybyliśmy...

— Kto tu ma rozkazywać, o czym mówić należy, ja czy ty? — przerwał mi żywo.

— Ja, ponieważ jestem tu gospodarzem na tym miejscu. Jeżeli nie masz ochoty mówić ze mną, to się wynoś, ja bez ciebie i twojej łaski mogę podróżować po świecie, a nawet i po tej okolicy!

Wtem mudir spojrzął na mnie nie zdziwiony, ale wręcz osłupiały, cisnął niedopałek papierosa i krzyknął:

— Allah jest wielki, nie, Allah jest większy, nie, On jest jeszcze wiele większy, On jest największy — ty jednak jesteś największym grubianinem, jakiego kiedykolwiek oczy moje widziały. Co by to była za błogość dla mnie, gdybym ci tak kazał wrzepić pięćset... I kto wie, czy do tego jeszcze nie przyjdzie...

— Wobec tego poczuwam się do obowiązku ostrzeżenia cię, że kula mego karabinu lub rewolweru przewierciłaby ci mózg, nim zdołałbyś dokończyć wypowiedzenia podobnego rozkazu...

— A niech cię diabli zjedzą!... Zdaje mi się, że z tobą do ładu można przyjść jedynie drogą uprzejmości...

Zapalił papierosa, a ja odrzekłem:

— No dobrze, zacznij uprzejmość od poczęstowania mnie papierosem!

I nie czekając na przyzwolenie, sięgnąłem po papierosa, zapaliłem go, a widząc, że go to oburza, zacząłem:

— Obowiązkiem twoim było jeszcze przedtem gdy zapaliłeś pierwszego, poczęstować mnie, ale zaniedbałeś obowiązku i jeszcze w dodatku czyniłeś mi wymówki jakobym nie był uprzejmy. Cóż więc wypadało mi myśleć o tobie? Obojętne mi, czy będziesz dla mnie uprzejmy, czy grubiański, bo nie po to przybyłem tutaj, ale zupełnie w innej sprawie. Ja stanąłem przed tobą gotów udzielić ci pomocy w spełnieniu trudnych obowiązków. Przywitałeś mnie niegrzecznie, wobec czego musiałem ci się odpłacić tą samą miarką. Poznaj mnie bliżej, a inaczej będziesz myślał o mnie! A zresztą nie chciałeś mi nawet podać ręki... Zapewniam cię jednak, że rozmawiałem już z ludźmi o wiele, bardzo wiele wyżej od ciebie postawionymi, a obchodzili się ze mną uprzejmie:

Mudir rzucił znowu nadpalonego papierosa, zacisnął pięść, ale... zmiarkował się na pewną chwilę, po czym wybuchnął powtórnie i, obejrzawszy się wokół, zatrzymał nagle wzrok na jeńcu i krzyknął:

— A! Jest ptaszek! To ty jeździłeś w poselstwie do Ibn Asla od Takalów nad Niej en Nil?

— Ja — odrzekł zapytany.

— Ty psie, ty w siedmiokroć skręcony psi synu, śmiesz utrzymywać stosunki z łapaczami niewolników? No, tobie to się przyda pięćset, uważasz? Jak mam tych oto pięć palców, tak każę ci wyliczyć pięćset, ale nie od razu, lecz tygodniowo po sto, na raty! Potem leć sobie na cztery wiatry i opowiadaj, jakie przyjęcie zgotował ci Abu Hamzaj Miah! Niestety, nie mogę ci ściąć głowy, gałganie jakiś, bo odpowiadasz tylko za to poselstwo, ale nie troszcz się! Każde z tych pięćset uderzeń wryje się tak w twą pamięć, że sam diabeł nie wypali ci go stamtąd piekielnym ogniem!

Gniew mudira znalazł nareszcie ujście. Surowy ten urzędnik zwrócił się teraz do mnie z miną zupełnie przyjazną i nareszcie raczył mi podać rękę.

— Musisz, effendi być przy tym, gdy ten pies będzie jęczał pod razami. Pokrzepi ci to duszę i serce. O, bo, nie ma większej przyjemności, jak podobne wykonywanie naszych dobrych i mądrych praw! No, ale opowiadaj nareszcie o wszystkim, co zaszło od chwili, gdy poznał cię reis effendina... albo — poprawił się zaraz i uśmiechnął się przy tym — przeciwnie, kiedy ty jego poznałeś.

— To bardzo rozwlekła historia i wymaga długiego czasu do opowiedzenia.

— Wszystko jedno. Z mocy mego urzędu powinienem wysłuchać sprawozdania, no, a do wykonania obowiązku czas zawsze znaleźć się musi.

— Pozwól, żeby opowiadał Ben Nil.

— A czemu nie ty sam?

— Gdy on skończy, dowiesz się sam, mimo że ci o tym ani słowa nie rzeknę.

— No dobrze, niech mówi!

Ben Nil zaczął, a ja sięgnąłem pod drugiego papierosa | położyłem się na trawie twarzą do góry, ręce założyłem pod głowę i słuchałem, puszczając kłębki dymu. Opowiadający skracał o ile możliwości, ale nie zapomniał żadnego ważnego szczegółu. Z każdego jego słowa przekonywałem się, że mnie lubi nadzwyczaj. Mudir słyszał wprawdzie już coś niecoś od Hazida Sichara i dowiedział się też niektórych rzeczy z listu reisa effendiny, a mimo to słuchał opowiadania z niezmiernym zainteresowaniem i od czasu do czasu gestykulował lub wtrącał swoje słowa. A kiedy opowiadanie się skończyło, chwycił pudełko z zapalkami i papierośnicę i, wysypawszy zawartość na mnie, krzyczał:

— No, masz, effendi, pal, pal jeden po drugim, pal, bo zasłużyłeś na to! Klnę się na Allaha i proroka, że zasłużyłeś, a skoro tylko przybędziesz do mego domu, dam ci kilka pudełek, co mówię, dam ci całą skrzynię, pomimo że diabelnie są drogie!

— Po ile płaciłeś? — zapytałem, bardzo ciekawy ceny papierosów, które nie wiadomo, w jaki sposób zabłąkały się aż do Sudanu.

— Sztuka kosztuje całego piastra!

— O, to drogo! Powinieneś był się potargować.

— Ech, cóż znowu — przerwał mi prawie gniewnie — ja się nigdy o nic nie targuję, lecz płacę rzetelnie i zaraz. Każdy piast to jeden raz. Skoro drab otrzymał pięćdziesiąt takich razów, uciekł, pozostawiając mi towary, i krzyczał głośno, że mu znakomicie zapłaciłem. Możesz więc palić, effendi, i rozkoszować się wonnym dymem, bo z ciebie diabelnie dzielny zuch i przypuszczam, że reis effendina, poznawszy cię, był tobą zachwycony. Wy chrześcijanie nie jesteście tak bardzo źli i zaczynam wierzyć, że reis uznał w tobie przyjaciela. Jestem mudirem i, na Allaha, mimo to proszę cię

o przebaczenie za zbyt szorstkie obejście się z tobą. Nie myśl jednak, że poniżam się aż do tego stopnia za darmo. Musisz mi w zamian przyrzec jedną rzecz...

— Ba, ale czy będę w możności uczynienia temu zadość?...

— Założyłbym się, że wiesz, o co idzie...

— W tym wypadku... tak!...

Uściskał mi obie ręce i zawołał z radością:

— *Hamdulillah!* Idzie tu o razy, ale nie o pięćset, lecz pięć tysięcy! Słuchaj, effendi, musisz złapać Ibn Asla, lecz nie dla reisa effendiny, tylko... dla mnie!...

— Dobrze!

— I tego grubego Turka, który się nazywa Murad Nassyr.

— Pięknie!

— I muzabira z kochanym morkademem świętej Kadiriny.

— Niech będzie...

— Dziękuję ci, serdecznie, dziękuję! Toż dopiero będzie uroczystość, jakiej Faszoda jeszcze nie widziała. Wszystkich każe powiesić, ale naprzód każdy musi otrzymać należne mu... pięćset w podeszwy, nawet siostra Turka, na Allaha i ona także!...

— Mudirze, to przecież kobieta i coś podobnego byłoby przestępstwem...

— Wszystko mi jedno. Dlaczego chciała poślubić łowcę niewolników, Ibn Asla?

— No, żeby sama chciała, o tym mowy nie ma. Ona musiała, wszak małżeństwo to miało być tylko przypieczętowaniem stosunków handlowych między Ibn Aslem a jej bratem.

— Nie gadaj głupstw — przerwał mi — tu nie ma nikt nic do przypieczętowania oprócz mnie. Ja posiadam monopol w tej sprawie i przypieczętuje pięcioma setkami. Wszystkich tedy musisz mi dostawić, bo to przyrzekłeś...

— I dotrzymam słowa. Jednego tylko nie muszę ci dostarczyć, bo znajduje się już w twoich rękach — sangaka arnautów...

— Ibn Muleja? Toż on cieszył się moim głębokim zaufaniem aż do tej chwili!... Sądzisz naprawdę, że on się zna z Ibn Aslem?

— Jestem o tym przekonany.

— A więc... więc otrzyma także swoje... pięćset... Zamilkł nagle, widocznie coś sobie przypomniał. Po chwili rzekł:

— Tu więc należy szukać adresata... A ja łamałem sobie na próżno głowę... Effendi, o mało co, a gotów jestem przyznać, że wierzyłem i ufałem człowiekowi, który tego nie był godzien.

— A ja mogę przysiąc, że Ibn Mulej jest współnikiem Ibn Asla.

— Możliwe, bardzo możliwe... Dopiero teraz pojmuje pewne ustępy listu, które były dla mnie niejasne.

— Mogę wiedzieć, o jakim liście mówisz?

— Owszem, możesz. Wczoraj moi ludzie przychwycili koło Bringhi Seribah jakiegoś Murzyna, który wydał im się podejrzanym. Podczas rewizji znaleźli w jego bujnych włosach list, i przynieśli mi go dziś rano. Pochodzi on z Seribah Aliab, która to miejscowość leży nad Bahr el Dzebel. Murzyn ów chciał uciec, ale go zastrzelono i oczywiście niczego dowiedzieć się od niego nie było można. Ów, do którego list był wysłany, miał go przeczytać i doręczyć Ibn Aslowi.

— Czyżby owa seriba należała do Ibn Asla?

— Nie wiem, bo jestem tu niedługo.

— Można więc to przypuszczać... Pozwolisz mi przeczytać ten list?

— Ależ z największą chęcią, effendi, tylko wiesz co? Przyszła mi do głowy wyborna myśl...! Sangak musi otrzymać ten list...

— Doskonale! Podejźmy go w ten sposób, ale — kto mu go wręczy?

— Ty?

— Co? Mnie nie wolno pokazywać się jeszcze w Faszodzie.

— Dlaczego? Ci, przed którymi chcesz się ukryć, są jeszcze daleko.

— A gdyby przybyli już potajemnie...

— To niemożliwe! Na brzegach rzeki stoi dzień i noc warta. Ty musisz podać się za posłańca z Seribah Aliab i, jeżeli zatrzyma list, będzie to najlepszym przeciw niemu dowodem, no, a ja będę go ćwiczył tak długo, dopóki nie wyśpiewa wszystkiego, a w szczególności nie da nam wskazówek, w jaki sposób możemy wysledzić tamtych złoczyńców.

— Zapominasz, mudirze, że nie jestem Murzynem i nawet, gdybym się ufarbował, mógłby poznać to po samych rysach twarzy. Czy jest wzmianka w liście o posłańcu?

— Ani jednego słowa o tym.

— W takim razie może by to było i dobre. Zdaje mi się jednak, że byłoby o wiele lepiej, gdybyśmy odesłali list przez kogo innego, ale rozumie się wypróbowanego człowieka.

— Mów, co chcesz, ale ja ciebie tylko obarczę tym obowiązkiem, bo po pierwsze, rzecz jest tak niebezpieczna, że tylko bardzo odważny może się jej podjąć, a po wtóre, idzie tu nie tylko o samo doręczenie listu, lecz i o podsłuchanie sangaka, a do tego ty jeden się nadajesz.

Nie powinienem był zgodzić się na ten niepraktyczny, a nawet bardzo ryzykowny plan i, jak się później okazało, bardzo nawet niebezpieczny. Mudir jednak ujął mnie ogromnie swoim poczuciem sprawiedliwości. A ponadto, mimo chłodnego przyjęcia z początku, zmienił się dla mnie do tego stopnia, że zaufał mi prawie w zupełności. To połechtało moją miłość własną i podjąłem się sprawy dość trudnej i odpowiedzialnej. „Tylko ty jeden” wyraził się mudir... A no, skoro tak, nie było innej rady, jak tylko dowieść mu, że się na mnie nie zawiódł.

— Dobrze, spróbuję! Gdzie i kiedy otrzymam ten list?

— To już od ciebie zależy, rozkazuj!

— Gdzie mieszka sangak?

— Zajmuje cały dom w pobliżu koszar. Czy weźmiesz sobie list, czy mam ci go przysłać?

— Ani jedno ani drugie. Przede wszystkim wskazane jest, abym się w biały dzień nie pokazywał w Faszodzie. Pójść więc mogę dopiero o zmroku, a że musiałbym wstąpić jeszcze do ciebie, byłoby to niepotrzebną stratą czasu. Posłać zaś listu nie możesz, bo w takim razie musiałby być wtajemniczony w sprawę ktoś trzeci, który szukałby mnie tutaj i potem mógłby się z tym wygadać. Sądzę więc, że najlepiej będzie, gdy ci dam Hazida Sachara, któremu list powierzysz, i on mi go tu przyniesie.

— Dobrze, pošlę ci ponadto co do jedzenia, bo zapewne jesteś głodny.

— Dziękuję ci, mamy jeszcze dosyć prowiantów w zapasie, ale natomiast przydałoby mi się jakie ubranie. Przypuszczam bowiem, że arnauta otrzymał dokładny mój rysopis, w którym nie pominięto najmniejszego szczegółu ubrania i uzbrojenia i, gdybym stanął przed nim, jak jestem, poznałby mnie od razu. Nie mogę także wziąć ze sobą swej broni.

— Przecież tu każdy człowiek jest uzbrojony.

— Na wszelki wypadek prosiłbym cię o starą, długą flintę, stary nóż i jaki bądź pistolet. Nie wiem jeszcze, za kogo się podam, ale bezwarunkowo nie za bogatego człowieka, więc i ubiór mój musi być jak najprostszy.

— Życzeniu twemu stanie się zadość. Ale co poczną ci ludzie, podczas twojej nieobecności?

— Będą oczekiwali mego powrotu.

— Dlaczego? Czyż nie lepiej, żeby się udali do mnie? Wieczorem nikt ich nie zobaczy. A ty prosto od arnauty udasz się do mego domu, zgoda?

— No dobrze, ale kim jesteśmy i co zamierzamy, musi to pozostać głęboką tajemnicą. Udaję przecież łowcę niewolników i jako taki nie mogę zamieszkać w twoim domu.

— Uwaga ta nie wytrzymuje krytyki, effendi. Przede wszystkim zajmiemy się arnautą, z którym zapewne uporasz się jeszcze dzisiaj, po czym nie byłoby najmniejszego powodu, dla którego miałbyś się ukrywać poza miastem. Nie! Będziesz mieszkał u mnie i cieszę się tym bardzo, bo mam wiele z tobą do pomówienia. Chciałbym się od ciebie dowiedzieć o stosunkach tam na Zachodzie, nie pozwolę więc, abyś sterczał w lesie jak zapowietrzony. Masz zresztą jeńca, tego psa Bakkwara, przy sobie. Po co ci więc kłopotać się nim, skoro twoi towarzysze mogą mi go przyprowadzić. Zamknę go i, skoro tylko powrócisz od arnauty, zrobię ci tę przyjemność i wymierzę mu w twojej obecności pierwszą setkę.

— Rób jak chcesz, mudirze, ty jesteś tu panem! Ale w jaki sposób dostaniemy się przez wodę?

— Z zapadnięciem zmroku postawię na brzegu dwu zaufanych służących. Jednemu oddacie wielbłądy, które on zaprowadzi do pewnego Szyluka, drugi zaś przewiezie was w łódce do miasta i wskaże drogę do mego domu. Po twoim powrocie od arnauty omówimy wszystko szczegółowo, a teraz spieszno mi, bo musisz wiedzieć, że wyszedłem z domu potajemnie i w przebraniu i ludzie moi mogą się zaniepokoić o mnie.

— No dobrze, ale jeszcze muszę ci przypomnieć Takalów. Czy zechcesz zająć się nimi?

— Allah! I ty jeszcze o to pytasz? Rozumie się, że chwycę wszystkich. Jeńców puszcze na wolność, a resztę ukarzę, pięciu morderców nawet zasądzę na śmierć. A nie zapomnij, że każdy z nich otrzyma swoje pięćset i oblicz sobie, ile tego będzie razem... Podobnego gaudium Faszoda jeszcze nie widziała. Co to za przykład będzie miał z tego cały Sudan egipski! Zachwyt ogarnie wszystkich uczciwych ludzi, a groza łotrów i drabów! Tobie, effendi, zawdzięczać będę tę sławę, bo sam nigdy na coś podobnego bym się nie zdobył. Kiedy, twoim zdaniem, Takalowie tu nadciągną?

— Nie przedziej, jak pojutrze, ale wówczas należy się ich spodziewać każdej godziny.

— Dobrze, przyjmę ich, jak na to zasłużyli, a ten ich przyjaciel zakosztuje jeszcze wcześniej chłosty i niech wyje, ale tak głośno, żeby aż w Kairze słyszano i tam w górze u Emiria aszy!

Wstał, kopnął szejka potężnie, po czym odszedł z Hazidem Sicharem, ale po chwili wrócił jeszcze i rzekł:

— Nie biorę papierosów, abyś ty miał co palić. Papierośnicę zatrzymaj sobie na pamiątkę naszego pierwszego spotkania i niech cię Allah strzeże aż do zobaczenia się ze mną wieczorem!

Dałem połowę papierosów Ben Nilowi i obaj siedzieliśmy dłuższy czas w milczeniu, paląc i rozkoszując się wonnym dymem. Przedsięwzięcie, do którego się zobowiązałem, wydało mi się teraz po odejściu mudira o wiele straszniejsze, niż przedtem. Począłem nawet żałować, że się na coś podobnego odważyłem, ale niestety — stało się. Bakkwara przewracał się z boku na bok, bo mudir kopnął go nie na żarty i bolało go to widocznie. Jeżeli żywił nadzieję, że będą go oszczędzać ze względu na godność szejka, jaką reprezentował, to po tym kopnięciu nie mógł się już łudzić i był

pewny pięciuset kijów i to nie od razu, lecz na tygodniowe raty! Można sobie wyobrazić ból, jaki cierpieć musi katowany, gdy razy poprzednie jeszcze się nie zgoiły, a tu nowe plagi się sypią i to przez pięć tygodni z rzędu, a w międzyczasie trzeba siedzieć, Allah wie, w jakim lochu! Drżał więc biedak, trząsał się cały ze zgrozy i myśląc teraz, jak się to wszystko stało, nabrał przekonania, że mnie jednemu dolę swoją zawdzięcza i że nawet mógłby ujść tej doli, gdybym ja za nim się wstawił. W tej nadziei widocznie zagadnął mnie z wielką pokorą:

— Effendi, pozwolisz mi powiedzieć kilka słów?

W ciągu całej podróży zachowywałem się tak, jakbym go wcale nie widział i o niego się nie troszczył. Tak samo i teraz udałem, że nie słyszę jego słów:

— Effendi, mam ci coś do powiedzenia...

— Milcz! — krzyknąłem, mimo że zeznania jego mogły być dla mnie bardzo cenne.

— Będiesz żałował tego, effendi, jeżeli nie zechcesz mnie wysłuchać, bo to, co ci powiem, ma dla ciebie wielką wartość.

— Nie jestem ciekaw. Nie wykręcisz się już wcale od pięciuset, co w każdym razie dla twoich podeszew ma niesłychane znaczenie.

— Effendi... ale ja ci za to ofiaruję bardzo wiele...

— Cóż takiego? — zacząłem niby od niechcenia.

— Wiadomości o Seribah Aliab, o której tu była mowa. Słyszałem i wiem, że wiadomości o niej mogłyby ci się przydać.

— No, możliwe... Znana ci jest ta miejscowość?

— Ależ, nawet bardzo dobrze.

— Czyją jest własnością?

— E, chciałbyś się dowiedzieć tanim kosztem... Ale ja odpowiem na wszystkie twoje pytania za pewne wynagrodzenie z twojej strony.

— Dobrze, sądzę, że za jakie pięćdziesiąt plag sprzedasz chętnie swoją tajemnicę.

— Widzisz, effendi, ja mogę zgodzić się na wszystko, tylko nie na chłostę. Jeżeli więc wstawisz się za mną do mudira i ten mnie uwolni od plagi cielesnej, to opowiem ci wszystko, czego tylko zażadasz.

— Alboż ty możesz wiedzieć tak wiele...

— Przynajmniej, co do Seribah Aliab wiem wszystko dokładnie, bo byłem tam osobiście.



— Po co?

— Mogę ci to powiedzieć, skoro przyrzekniesz wstawienie się za mną; ponadto nie powinieneś robić z tego użytku, co usłyszysz i nie narażać mnie na dalsze kary.

— Ostatecznie mogę ci przyrzec, lecz czy moje pośrednictwo odniesie pożądany skutek, za to nie biorę odpowiedzialności.

— Ale ja jestem za to pewny, że mudir uczyni dla ciebie wszystko, co zechcesz.

— Mylisz się, lecz mniejsza o to. Przyrzekam ci, że powiem mu parę słów na twoją obronę, ale zwracam ci uwagę, że oszukać się nie dam. Jeżeli ci się zdaje, że wskutek wykrętów ujdiesz plag, to mylisz się. Cóż zatem wiadomo ci o Seribah Aliab?

— Jest ona własnością Ibn Asla.

— Przypuszczałem to. No, a teraz zapewniam cię, że z zeznań twoich nie zrobię przed mudirem użytku i możesz być zupełnie szczerym. Czy ty z tym człowiekiem razem rabowałeś ludzi?

— Tak, effendi, ale nie powiedz o tym mudirowi!

— Przyrzekłem ci to już przecież i wiem, jak straszne jest twoje położenie. Jako muzułmanin nie uważasz niewolnictwa za zbrodnię, ale za rzecz dozwoloną i uświęconą przez wiekowe tradycje, a obecnie zakaz podobnego procederu wydaje ci się naruszeniem tych tradycji i praw. Czyż nie tak?

— Ależ akuratnie tak, effendi. Pomyśl, że my Bakwkwarowie żyjemy jedynie z hodowli bydła, a częsta zaraza panująca u nas powszechnie, rujnuje nas doszczętnie! W tak ciężkich chwilach, nim się nowych trzód dochowamy, stanowiło dla nas jedyny ratunek niewolnictwo. A robiliśmy tak: nasi wojownicy wynajmowali się przedsiębiorcom na łowy i otrzymywali za to od głowy każdego złapanego pewne, ściśle określone wynagrodzenie, a wypłacano nam nie pieniędzmi, lecz w ludziach, za których liczone nam bardzo mało; sprzedawaliśmy potem żywy towar o wiele drożej i to właśnie było naszym czystym zarobkiem.

— A ty nie tylko dawałeś łowcom swoich żołnierzy, ale nawet sam brałeś udział w łowach?

— Tak. Punktem wyjścia była zawsze Seribah Aliab.

— Kto tam rządzi pod nieobecność Ibn Asla?

— Pewien wachmistrz, nazwiskiem Ben Ifram, który w potyczce stracił nogę i nie może już brać udziału w polowaniu, ale w domu jest bardzo dzielny i ponadto wierny Ibn Aslowi.

— Dostyc już na teraz. Możliwe, że później zażądam od ciebie więcej.

— Później? Mam nadzieję, że mudir puści mnie zaraz, jeśli wstawisz się za mną.

— I ja tak myślę, ale ty wiesz, jakie są nasze zamiary. Możliwe, że Ibn Asl podążył już stąd do

Seribah Aliab i musimy go ścigać, no a ty byłbyś dla nas wyborynym przewodnikiem.

— A niechże Allah zachowa! Co by moi ludzie myśleli, gdybym nie powrócił do nich w ciągu całych tygodni! Zresztą, czy mógłbym być waszym przewodnikiem przeciw Ibn Aslowi, który jest moim przyjacielem i obdarza mnie wielkim zaufaniem.

— Może i racja, ale obecnie nie mamy powodu rozważać bliżej tej sprawy. To, co powiedziałem, było tylko przypuszczeniem, a nie postanowionym planem. Nie mówmy więc o tym i czekajmy spokojnie, co będzie dalej...

— Dobrze tobie mówić... czekajmy spokojnie — jęczał szejk. — Ty, oczywiście... możesz być spokojny... ale ja... ja...

Miał słuszość. Jego zeznania były dla mnie bardzo ważne, gdyż teraz wiedziałem już, gdzie szukać Ibn Asła, gdyby go w Faszodzie nie wytropiono.

Po upływie około trzech godzin wrócił Hazid Sichar, obładowany jak osioł. Przyniósł mianowicie ubranie dla mnie, broń, dwie pieczone kury, trochę ciastek i dużą flaszkę raki. Zabraliśmy się do tego z niezłym apetytem i daliśmy także trochę jeńcowi, który bądź co bądź należał do ludzi wyżej postawionych i mimo wszystko należało to uwzględnić.

Na tym zleciał nam czas mniej więcej do czwartej godziny po południu. Do Nilu trzeba było jechać całą niemal godzinę, a o szóstej zapada wieczór, wobec czego należało przygotować się do wymarszu. Włożyłem na siebie przysłane mi przez mudira ubranie i wyglądałem w nim istotnie jak łowca niewolników, zwłaszcza, że twarz moja była opalona od słońca, tak samo jak i ręce. Około piątej wyruszyliśmy. Mudir wskazał Hazidowi Sicharowi miejsce nad Nilem, gdzie mieli nas oczekiwać służący i przestrzegał jeszcze przez tego ostatniego, abym się miał na baczności wobec sangaka, bo to człowiek bardzo silny i gwałtownego usposobienia.

Rozumie się, że list przeczytałem uważnie i przekonałem się, że pisał go wspomniany wachmistrz. Pieczęci nie było żadnej, a tylko zaklejono go ciastem. Można więc było łatwo zalepić go na nowo bez obawy, aby adresat poznał się na tym, zwłaszcza w sztucznym świetle.

Zmrok zapadł już na dobre, gdy przybyliśmy na brzeg, gdzie oczekiwała nas służba. Jeden odebrał od nas wielbłądy i odprowadził je gdzieś tam do jakiegoś Szyluka, a drugi zabrał pakunki i przewiózł nas na łódce do miasta. Dodam jeszcze dla ścisłości, że dżelabi znajdował się razem z nami, a osły jego poszły na tę samą kwaterę, co i wielbłądy.

Po wylądowaniu zaprowadził nas służący naprzód pod koszary i wskazał mi dom sangaka, a potem zabrał tamtych do mudira.

O ile mogłem rozróżnić w ciemności, budynek był nieduży, parterowy i miał zaledwie dwa okna, wąskie, jak szczelina do strzelania w forcie. W środku zaś znajdowały się niskie i wąskie drzwi, okute blachą. Zamka w nich nie było, a tylko namacałem jakąś klamkę, która za pociśnięciem poruszała się, ale drzwi otworzyć nie było można. Widocznie po tamtej stronie znajdowała się osobna zasuwka. Począłem tedy pukać i niebawem dały się słyszeć wewnątrz kroki i dość szorstkie

zapytanie:

— Kto tam?

— Posłaniec z Bahr el Džebel do sangaka.

— Przyjdź później, nie ma go w domu!

— Jestem tu obcy. Otwórz mi, a zaczekam do jego przybycia!

— Zapytam się o to! — brzmiała odpowiedź, a po pewnym czasie usłyszałem znowu odgłos czyichś kroków i zapytanie, ale już innym głosem:

— Czy coś bardzo pilnego?

— Bardzo. Mam ważny list.

— To mi go daj i nie potrzebujesz czekać!

— Nie można. List musi być doręczony do własnych rąk Ibn Muleja.

— Skoro tak, możesz wejść!

Zgrzytnęła żelazna zasuwka i drzwi się otwarły. Wszedłem do obszernej sieni, oświetlonej lampą olejną, którą żołnierz trzymał w ręku. Nosił on mundur arnauty i miał przy sobie nawet tu w zamkniętym domu dwa pistolety, dwa noże do sztyletów podobne i zakrzywioną szablę. Z twarzy sądząc, człowiek ten nie należał do zbyt uprzejmie usposobionych ludzi, a oczy błyszczały, jakby mnie zamierzał nimi zasztyletować.

— Chodź tu, bliżej! — rzekł gburowato. — Czemu tłuczysz się po nocy? Nie mogłeś przybyć wcześniej?

— Przybyłem tu dopiero przed chwilą i muszę też wracać jeszcze w ciągu dzisiejszej nocy, a zresztą dano mi rozkaz, abym doręczył list natychmiast.

— Jak słyszę, z ciebie wcale nie kiep i umiesz się odciąć, ale pamiętaj, że jestem arnautą i noże moje bardzo łatwo dają się wyjmować z za pasa. Marsz za mną!

Żołnierz zarygłował drzwi, a ja tymczasem rozejrzałem się lepiej po sieni, która wyglądała jak strażnica wojskowa, bo na ścianach wisały po obu stronach karabiny. Naprzeciw głównego wejścia były drugie drzwi, poza którymi znajdowała się obszerna izba. Z sufitu zwieszał się gliniany, czteroramienny pajak, a w nim błyszczała skąpo lampa olejna. W każdej ze ścian znajdowały się drzwi; okna wcale nie było. Pod świecznikiem na podłodze rozścielono rogożę. Siedziało tu kilku żołnierzy, zajmując się grą w kości. Przywitali mnie wzrokiem nie bardzo zachęcającym. Mój przewodnik przysiadł się do nich, aby rozpocząć przerwana grę i rzekł do mnie z lekceważeniem:

— Tu zaczekasz, dopóki nasz przełożony nie wróci, ale musisz siedzieć cicho i nie przeszkadzać

nam, bo w przeciwnym razie pożałowałbyś tego!

Położenie moje było nie do pozazdroszczenia. Drzwi na zewnątrz zamknięte, a tu siedzi pięciu drabów, dzikich i butnych, gotowych każdej chwili do sprzeczki. Na dobitek uzbrojenie moje było więcej niż marne i w razie czego mogłem liczyć jedynie na własną zręczność i siłę. Broń swoją, ubranie, zegarek i w ogóle cały swój majątek dałem do przechowania Ben Nilowi.

Z rozmowy arnautów wywnioskowałem, że byli to ludzie prawie dzicy. Każda niemal partia gry kończyła się tak wielką sprzeczką, że omal krew się nie poląła. Na mnie nie zwracano najmniejszej uwagi, z czego byłem bardzo zadowolony. Czas dłużył mi się okropnie, zwłaszcza że nie miałem zegarka, w każdym jednak razie czekałem co najmniej trzy godziny w tym przedpieklu, aż nareszcie począł się ktoś dobijać do drzwi z wielką gwałtownością.

— Sangak — rzekł, zrywając się ów arnauta, który przedtem mi otwierał, a który prawdopodobnie był podoficerem. Zerwali się też na równe nogi i jego towarzysze, pozostawiając Kości na rogoży, widocznie w tym celu, aby sangak zobaczył, czym się zajmowali w czasie jego nieobecności.

Podoficer, wpuściwszy sangaka do sieni, meldował mu po cichu o moim przybyciu, po czym weszli obaj do izby. Są twarze ludzkie, które bardzo łudząco przypominają typy tego lub owego zwierzęcia. Ludzie o takich twarzach odznaczają się niezawodnie własnościami dotyczącymi zwierząt. Pomyślałem sobie to, gdy zobaczyłem dowódcę arnautów, który przypominał mi rozjuszonego byka z rogami, nastawionymi do kłucia.

Przybył byk, w ludzkiej postaci, spojrział na mnie przelotnie i burknął:

— Chodź!

Podoficer otworzył naprzeciw leżące drzwi, przez które sangak wszedł pierwszy, a ja postępowałem za nim przez jakiś ciemny korytarz do trzeciego pomieszczenia, gdzie paliło się światło. Tu sangak zatrzymał się i rzekł grzmiącym, basowym głosem:

— Hej tam, uważać! Zdawało mi się, że u wejścia stał jakiś drab i nadśluchiwał, ale, spostrzegłszy mnie, uciekł. Weź więc sobie kilku ludzi, przedostań się przez tylny mur i jedni niech idą lewą, drudzy prawą stroną naokoło domu! Jeżeli drab ten powrócił, to złapcie go i przyprowadźcie do mnie!

Pokój, w którym znajdowaliśmy się, był rzęście oświetlony i wyglądał na selamlik\*. Wzdłuż ścian były ławy, wyłożone poduszkami, a na środku leżał wielki i miękki dywan. Sangak, po odejściu podoficera, zwrócił się do mnie:

— Masz do mnie list?

— Tak, od wachmistrza Ben Iframa.

— Pokaż!

Wziął do ręki list niedbale i patrząc na mnie wzrokiem badawczym, zapytał:

— Twoje nazwisko?

— Iskander Patras.

Wybrałem greckie nazwisko dlatego, ponieważ z rysów mej twarzy można było spostrzec od razu, że należę do Europejczyków, a zresztą w tych okolicach Sudanu nie brak tu i ówdzie Lewantyńców, służących bądź to przy wojsku, bądź też zajmujących się kupiectwem.

— Jesteś więc Grekiem. Skąd pochodzisz?

— Urodziłem się z rodziców Greków w Kairze.

— Chrześcijanin?

— Tak.

— Obojętne mi. Czym się zajmujesz w Seribah Aliab?

— Jestem tłumaczem. Wałęsając się długi czas pomiędzy Murzynami, nauczyłem się ich narzeczy.

— O, to wygodne zajęcie. Zarabia się pieniądze bez powąchania prochu — zauważył lekceważąco. — Zobaczmy, co ów Ben Ifram ma mi do powiedzenia.

Teraz dopiero obejrzał list, a we mnie serce biło jak młotem. Pokój bowiem był bardzo dobrze oświetlony i sangak łatwo mógł zauważyć, że z zaklejeniem nie wszystko w porządku. Na szczęście ciekawość jego była większą niż podejrzliwość. Rozerwał kopertę i czytał, będąc ode mnie odwróconym, po czym schował list do kieszeni i zwróciwszy się do mnie, zaczął:

— Wiadoma ci jest treść listu?

— Wachmistrz nic mi nie mówił.

— Wiesz dla kogo jest przeznaczony?

— Dla ciebie przecież.

— Ależ nie, nie dla mnie, lecz dla twego pana Ibn Asla i jeżeli wachmistrz nie powiedział ci tego, to znak, że ma do ciebie mało zaufania.

— Mnie się zdaje, że gdyby go nie miał, nie posyłałby mnie do Faszody...

— Hm... ale z pewnością uważa cię za gadułę... W jaki sposób odbyłeś podróż?

— Na małej łódce aż do jeziora No, tam zaś spotkałem pewien noker z Diakin, który zmierza do Chartumu i właśnie przysiadłem się.

— Kiedy przybyłeś tutaj?

— Zaraz po zachodzie słońca.

— Szczególne! Byłem dłuższy czas na rzece powyżej miasta i nie zauważyłem żadnego nokeru.

— Nie chciano mnie tu wpuścić — rzekłem żywo, aby go zagadać — i musiałem czekać całe trzy godziny.

— Widocznie jesteś głodny, skoro się skarżysz. Dostaniesz jeść i potem będziesz mi opowiadał o seribie.

Kazał mi usiąść i wyszedł. Wolałbym był, żeby mi był kazał odejść. Dowiedziałem się bowiem, że on zna wachmistrza i seribę, a z tego wynika, że i Ibn Asl nie jest mu obcy. Ba, ale czy można było odejść? Bez jego pozwolenia i wiedzy wyjście było wykluczone. Rad nierad, musiałem się pogodzić z losem i czekać, co przyniesie każda następna chwila.

Jego ostatnie słowa: „Dostaniesz jeść i będziesz opowiadał o seribie” nie wróżyły dla mnie nic dobrego. Co prawda, samo jedzenie nie wzbudzało we mnie żadnego niepokoju, ale owo opowiadanie!... Co ja mogłem wiedzieć o seribie? Szejk Bakwkwarów chciał wprawdzie opisać mi ją, ale nie pozwoliłem mu na to. Zresztą, gdyby nawet był to uczynił, to jeszcze nie można by się wyplątać, jeżeli sangak zechce zadać tysiące pytań. Dobrze opowiedzieć mógł tylko ten, kto tam był osobiście. Po chwili wrócił sangak, trzymając w ustach zapaloną fajkę. Za nim wszedł arnauta, niosąc na desce olbrzymią kość, na której tu i ówdzie zauważyć można było strzępy mięsa. Były to resztki uda wołowego i wyglądały, jakby psy żarły się o każdy kęs. Arnauta położył deskę na środku pokoju i odszedł, a sangak rozkazał mi:

— Siadaj i jedz!

Co do zajęcia miejsca, to mogłem go posłuchać, ale druga część rozkazu była prawie nie do wykonania. Mimo wszystko próbowałem zabrać się do tego przy pomocy noża i kiedy przypatrywałem się kości ze wszystkich stron, gdzie najłatwiej można coś odkroić, sangak zapytał:

— Dawno już jesteś w Seribah Aliab?

— Od dwu lat — odrzekłem, męcząc się porządnie w celu odkrojenia żyłastego strzępka mięsa.

— Kto cię przyjął do służby?

— Sam Ibn Asl w miszrah Omm Oszrina. Amr el Makaszef, shejk Bakwkwarów, polecił mnie bardzo gorąco.

— Makaszef? Przemawia to na twoją korzyść, bo nasz zaufany znajomy. Jakże się powodzi wachmistrzowi?

— Nieszczególnie. Odnowiła mu się rana na nodze.

— Allah! Gotów umrzeć nieborak... Cóżście robili w czasie nieobecności Ibn Asla?

— Asakerzy ćwiczyli się w mustrze, ja zaś byłem w podróży.

— Jak to? Przecież tłumacz powinien być obecny zawsze w seribie. Gdzieżeś więc bywał?

— Tłumacz nadaje się do wielu innych rzeczy, ważniejszych niż musztra... Bawiłem między czarnymi w celu przygotowania dobrego połowu i istotnie przedsięwzięcie moje rokuje jak najlepsze nadzieje. Wachmistrz porucił mi obecnie drugą taką podróż.

— Obecnie? Dokąd cię wysyła?

— Do Takalów.

— Ależ to zupełnie w przeciwnym kierunku! Zresztą, co prawda, i stamtąd otrzymujemy niewolników. Czy tylko trafisz do tego plemienia?...

— Byłem tam już kilka razy. Mek jest dla mnie bardzo życzliwie usposobiony zarówno jak i jego powiernik Szedid, którego znać musisz niewątpliwie, a który zawarł ze mną ściślejszą przyjaźń.

— Co ja słyszę? Znasz tego olbrzyma i nawet jesteś jego przyjacielem? Jeżeli tak, to istotnie znaczysz dla nas bardzo wiele. Jak długo zamierzasz zabawić tutaj?

— Niedługo. Noker, którym zamierzam udać się aż do wyspy Metari, odpływa stąd przed północą.

— Jedz zatem prędko, ażebyś się nie zapóźnił! A strzeż się po drodze przed reiseffendiną, szczególnie staraj się ominąć pewnego psa chrześcijańskiego, którego obecnie wszędzie pełno na całej przestrzeni aż do Chartumu!

— Chrześcijanin? Przecież i ja jestem chrześcijaninem, Wobec czego nie mam powodu ustępować mu z drogi.

— Wiele, bardzo wiele jest przyczyn, dla których musisz się go obawiać. To sprzymierzeniec reisa effendiny i to głównie przeciw nam. Jak się przekonuję, nie słyszałeś jeszcze o nim, więc muszę ci opowiedzieć...

Byłem bardzo zadowolony z obrotu rozmowy. Udało mi się wybadać znakomicie arnautę, który uwierzył mi i zaufał. Mogłem ponadto wymknąć się jak najprędzej pod pozorem, aby się nie spóźnić na okręt a przez tych kilka chwil chciał mi sam opowiadać ciekawe rzeczy o effendim, przez co niebezpieczeństwo zdemaskowania mnie wskutek zręcznych pytań, zupełnie minęło. Czyż nie sprzyjało mi szczęście? Do tej chwili — tak, ale niestety, odwróciło się nagle ode mnie. Oto na zewnątrz domu u wejścia wszczął się wielki zgiełk i krzyk. Otwarto drzwi z hałasem i zatrzaśnięto je na powrót, po czym przybył jeden z żołnierzy i zameldował:

— Panie! Schwytiliśmy draba, który podsłuchiwał pod drzwiami.

— Dajcie go tu!

— W chwili, gdybyśmy go schwytili, przybył do nas pobożny pan ze swoim przyjacielem.

Zdawało się, że go znają. Chcieli widzieć się z tobą.

Wypowiedziawszy to, wyszedł, a mnie aż ciarki przeszły... Był jakiś „pobożny” pan! Hm! A któżby był tym obcym, którego schwytano? Czyżby Ben Nil? Możliwe, że nie mogąc się mnie doczekać...

Wtem otwarły się drzwi i wniesiono do izby — biedaka... Ben Nila!

Powstałem i usunąłem się w kąt, aby mnie nie można było od razu zauważyć. Pięciu drabów trzymało Ben Nila, a około ośmiu czy dziesięciu postępowało za nim, w tyle zaś pojawił się... mokkallem świętej Kadiriny i muzabir. Obaj ci ostatni godzili na moje życie aż dotąd bez skutku, ale teraz... Sprawa dla mnie przybrała obrót nie bardzo wesoły. Co było począć? Pięciu arnautów trzymało Ben Nila, dziewięciu stało w pogotowiu, a do tego dodać trzeba sangaka i tych dwu gałganów, a więc razem dwanaście osób oprócz, rozumie się, tych, którzy musieli zostać przy Ben Nilu. W razie ucieczki rzuciłoby się na mnie dwunastu mężczyzn, a w budynku było ich niezawodnie jeszcze więcej. Oprócz tego drzwi były zamknięte, a na dobitek nie miałem przy sobie własnej broni! Rozważywszy to wszystko dokładnie, powziąłem jedno jedyne postanowienie, jakie było w tym wypadku możliwe.

— Coś ty zacz, psie? — krzyczał sangak do Ben Nila. — Czemu się kręciłeś koło mego domu?

Zapytany nie zdołał jeszcze mnie spostrzec i zapewne chciał się wykręcić za pomocą kłamstwa, ponieważ odrzekł:

— Panie! Nie miałem żadnych nieuczciwych zamiarów. Jestem majtkiem na okręcie, który się tu zatrzymał, i chciałem...

— To kłamstwo — przerwał mu mokkallem. — Nie wierz mu, sangaku! My go znamy!

— Tak? Powiedzcie więc, kto to!

— Panie, serca nasze pełne są radości i wesela, a i ty zdumiejesz się naszą odpowiedzią. Schwytaliśmy człowieka, który jest towarzyszem naszego najstraszniejszego wroga...

— Jakiego wroga?

— Ten młody drab jest towarzyszem obcego effendiego i nazywa się Ben Nil. Gdzie jednak znajduje się jeden, tam znajdować się musi i drugi, bo są nierozłączni, a że mamy Ben Nila w rękę, jest tedy pewność, że i jego pan przebywa w Faszodzie.

— Czy możliwe? To ma być Ben Nil? — krzyknął sangak z niedowierzaniem.

— Tak jest. Nie mylimy się, bo go znamy bardzo dobrze. Każ go chłostać i męczyć, dopóki nam nie powie, gdzie szukać jego pana!

— To zbyteczne — rzekłem, występując z kąta na środek. — Mogę wam sam powiedzieć, gdzie się znajduję.



Słowa te wywołały zupełnie inne wrażenie, niż się spodziewałem. Miałem bowiem zamiar poddać się bez obrony, gdyż tę uważałem za rzecz wielce nierozsądną, a liczyłem tylko na korzystniejsze okoliczności później. Sądziłem nawet, że oni natychmiast rzucą się na mnie i powalą mnie, gdy tymczasem było zupełnie przeciwnie.

— Effendi, sam effendi! — krzyczał muzabir. — Jest tu wśród nas. Allah, niech nas strzeże! o Allah, Allah!

Przerażeni ludzie stali jak posągi z kamienia, otwarłszy szeroko usta, a żaden się nawet nie ruszył i to właśnie należało wykorzystać. W dwu skokach znalazłem się obok Ben Nila, wyrwałem go z rąk siepaczy i rzuciłem nim między arnautów w drzwiach tak, że się rozlecieli po kątach, sam zaś pobiegłem za nim aż do sieni. Poza mną jednak opamiętano się.

Sangak wrzeszczał na całe gardło, aby nas łąpać. Nagle Ben Nil się potknął i upadł, a ja, chcąc go podnieść, pochyliłem się, gdy wtem otwarto nagle drzwi, które uderzyły mnie kantem w skroń, a równocześnie wybiegli arnauti. Czuję, jak mnie pojmano. Broniłem się jeszcze rękami i nogami, ale ostatecznie obezwładnili mnie i wnieśli na powrót do pokoju sangaka, gdzie mnie skrupowano powrozami tak samo jak i Ben Nila. Moment zaiste trudny do opisania. We mnie gotowało się wszystko, Ben Nil również omal nie oszalał, ale i arnauti ledwie mogli chwycić oddech z przestachu i wysiłku. Sangak usunął ich na bok, aby mieć do nas przystęp, miał obydwoma rękami brodę i rozdzielał ją na kosmyki, po czym ozwał się szyderczym, lecz zarazem triumfującym tonem:

— Co za dzień! Co za szczęśliwa godzina! Co za niespodzianka! Czy też uszy moje słyszały należycie? Człowiek ten nie byłby próbował ucieczki, gdyby się nie poczuwał do winy. Widocznie jest tym, za którego chcemy go uważać.

— Ba! Przecież powiedziałem ci sam, kim jestem — odrzekłem mu na to.

— Proszę! Co za bezczelność, z jaką się do tego przyznaje! Podnieście drabów i ustawcie koło ściany, niech im się dobrze przypatrzą!

Rozkaz ten wykonano i, gdyśmy, jak jakie okazy na wystawie, przyciśnięci byli do muru, sangak przystąpił do mnie i wypowiedziawszy wszystko, co tylko o mnie słyszał, dodał w końcu:

— I czego szukasz teraz u mnie? Na pewno nie przybyłeś tu bez celu.

— Zapewne.

— Powiedz zatem, co masz przeciwko mnie?

— Możliwe, że wyjaśnię ci to później, ale nie teraz.

Wtem zwrócił się do mokkadema i muzabira:

— Ten najbardziej przeklęty ze wszystkich giaurów jest o wiele bardziej zły i niebezpieczny, niżście mi to opisali. Pomyślcie tylko... Przyszedł do mnie, nazwał się Iskander Patras, podał, że jest tłumaczem w Seribah Aliab, dał mi list, który najprawdopodobniej sam napisał no i — pytam

was teraz, w jakim celu to wszystko?

— Bez wątpienia w celu dla ciebie jak najgorszym — odrzekł morkadem — i jezeli ci tego nie wyjawii, każ go chłostać aż do skutku!

— Ależ owszem, spróbuję tego środka i to zaraz.

— A potem oddasz go nam. Dostawimy go Ibn Aslowi, który zgotuje mu należny los, a którego to losu uszedł już raz bezkarnie.

— Tak — wtrąciłem. — Ibn Asl miał poobcinać mi ręce i nogi i zechce uczynić to teraz, ale do tego jeszcze daleko. Ty zaś, sangaku, nie potrzebujesz mnie biczować w celu wydobycia ze mnie tajemnicy, bo ci ją wyjawię dobrowolnie. Oto przyszedłem do ciebie z ostrzeżeniem przed Ibn Aslem i jego ludźmi.

— Z jakim ostrzeżeniem? Zwariowałaś chyba!... — odparł szyderczo.

— W takim razie zwariował i mudir, który wysłał mnie do ciebie.

— Mudir! To kłamstwo!

— Zapytaj Ben Nila. Mieszkamy u mudira i on mnie posłał, abym się rozmówił z tobą o Ibn Aslu.

Wiadomość ta przeraziła go.

— Psie, powiedz prawdę! — rozkazał Ben Nilowi. — Gdzie mieszkacie?

— U mudira.

— Mówił o mnie?

— Tak jest.

— Zmówiliście się obaj i kłamiście!

— Myśl, co ci się podoba, ale ja do rzędu moich czynów, które poprzednio wyliczyłeś, dodam jeszcze niektóre. Dowiesz się od Ibn Asla, że on wysłał na pustynię dowódcę Bakwkwarów el Makaszefa, którego ja schwytałem i oddałem w ręce mudira. Działo się to bezpośrednio, nim do ciebie przybyłem. Szejk więc siedzi teraz pod kluczem i otrzyma swoje sławne „pięćset”, jezeli oczywiście nie spotka go los o wiele gorszy.

— Człowieku, jakie ty szkody nam wyrządzasz! Ja bym cię starł na proch!

— Odechce ci się tego, ponieważ mudir każe cię natychmiast aresztować, skoro tylko nie powrócę do niego przed północą. Możesz być tego pewny.

— Nie wierz mu, to kłamstwo, by się wykręcić — zauważył morkadem.

— Dowiem się za parę minut o wszystkim — odrzekł sangak i wyszedł na chwilę, a powróciwszy wziął na stronę mokkadema i muzabira i rozmawiał z nimi długo, po cichu wprawdzie, ale z wielkim ożywieniem. Trwało to, dopóki nie wszedł jeden z arnautów.

— No? — zapytał sangak.

— Szejk Bakwkwarów jest przykuty na łańcuchu w więzieniu; widziałem go — meldował żołnierz.

— Połóżcie teraz jeńców na ziemię — rozkazał sangak — i wynoście się wszyscy.

Ułożono nas na podłodze. Arnauaci wyszli, a tamci trzej w kącie jeszcze się ze sobą sprzecjali, ale nie można było z tego zrozumieć, ani słowa. Z gestykulacji tylko sądziliśmy, że idzie o rzeczy bardzo ważne. Nareszcie i oni zwrócili się do wyjścia, a sangak ozwał się do mnie w przelocie:

— Obmyśliłeś wszystko bardzo zgrabnie, ale teraz nic ci już nie pomoże. Nie zobaczymy się już nigdy, i niech was obu diabli wezmą, psy jedne!

Splunął i wyszedł. Przez krótki czas leżeliśmy sami w pokoju. Co miałem począć? Czynić wyrzuty Ben Nilowi, że z obawy o mnie popełnił głupstwo? Bynajmniej! Zresztą nie polepszyłoby to wcale położenia. Ale on czuł w tej chwili to samo, bo rzekł do mnie:

— Effendi, popełniłem wielką nieostrożność, której bezwarunkowo nie możesz mi przebaczyć. Wylej więc swój gniew na mnie, a to będzie mi miłsze, niż milczenie, które duszę moją dławi.

— Ja się wcale na ciebie nie gniewam — odrzekłem. — Wyrządziłeś szkodę sobie samemu, a nie mnie.

— Jak to? Toż gdybym nie dał się złapać, byłbyś obecnie na wolności.

— Mylisz się. Byliby mnie poznali i bez tego.

— Tylko że tobie jednemu mogła się łatwiej udać ucieczka.

— Nie łatwiej, lecz nawet gorzej.

— Jeżeli tak jest w rzeczywistości, to nie mam się już czym martwić, rozumie się, co do twego gniewu, ale co do tego, co nas czeka... a czeka nas niewątpliwie śmierć. Uciec z rąk tych ludzi, którzy nas tak nienawidzą, nie będziemy już mogli.

— Nie mam najmniejszej ochoty martwić się tym, czy się nam uda uciec czy nie. Wszak znajdowaliśmy się nieraz w gorszym — jeszcze położeniu i jakoś poszło. Czy na przykład w głębokiej studni w Sijut miałeś jaką nadzieję ratunku? Jestem przekonany, że nic złego nie stanie się nam tu, w Faszodzie, ale zapewne wyślą nas tam, gdzie znajduje się Ibn Asl i na to przygotowanym być należy. Cieszę się, że nie mam przy sobie swej broni i innych rzeczy, bo zabrano by mi to, a

potem w razie ucieczki mogłoby wszystko przepaść bezpowrotnie. A jak tam z twoim majątkiem?

— I ja nie mam nic. Flintę i pistolety zostawiłem u mudira i ażeby nie domyślił się, co zamierzam, wziąłem jedynie nóż, ale ten mi odebrano.

W tej chwili weszli do pokoju czterej żołnierze, niosąc maty i powrozy. Ludzie ci zakneblowali nam usta, zawiązali oczy i owinęli potem w maty, obwiązując po wierzchu powrozami. Przedstawialiśmy więc dwa duże w formie walca tłumoki, które zabrano i wyniesiono. Głowy jednak wystawały nam z tego opakowania, i dzięki temu, mogliśmy przynajmniej oddychać, podczas gdy jakikolwiek ruch ręką lub nogą był niemożliwy. Oczywiście nie mieliśmy pojęcia, dokąd nas niesiono. Czuję tylko, że niosący mnie utykali od czasu do czasu na kupach gnoju, a potem usłyszałem plusk wody i nareszcie ułożono nas na twardych deskach, a równocześnie zabrzmiał głos komendy:

— Teraz jazda! Prędko i ostrożnie!

Uderzyły wiosła o wodę, znajdowaliśmy się w łodzi. Wokoło panowała głucha cisza, przerywana tylko od czasu do czasu szeptem wiosłarzy, ale nie rozumiałem z tego ani słowa. Później, gdyśmy mieli już Faszodę daleko poza sobą, rozmawiano głośniejszym głosem, ale niestety nie o naszej podróży. Były to tylko słowa komendy, dotyczące wiosłowania lub steru.

Mijał czas bardzo a bardzo długi, i gdy łódź zatrzymano, miałem wrażenie, że podróż trwała przynajmniej cały dzień.

— Kto tam? — zawołał ktoś, jak mi się zdawało, w nieodległej wysokości.

— Ludzie sangaka.

— Czy jest Ibn Asl? ...

— Nie, ale przybędzie niebawem.

Upłynęła spora chwila, podczas której rozmawiano około nas po cichu, i nie mogłem niczego się domyślić, tylko z chwilowych wybuchów wywnioskowałem, że się wszyscy bardzo cieszą. Po pewnym czasie przymocowano nas do liny i wyciągnięto do góry, jak worki zboża. Tam „rozpakowano” nas, odwiązano oczy i usta, i spostrzegłem, że znajdujemy się na pokładzie jakiegoś okrętu. Około nas zgromadziło się co najmniej dwudziestu ludzi. Mogłem widzieć ich twarze, bo księżyc świecił jasno. A zatem odgrywaliśmy rolę pakunków nie przez dzień cały, lecz zaledwie kilka godzin, bo jeszcze nawet nie świtało. Nic zresztą dziwnego, że czas w tym szczególnym położeniu dłużył się tak bardzo.

Człowiekiem stojącym najbliżej mnie, był ni mniej ni więcej, tylko Murad Nassyr we własnej, grubej osobie. Przypominałem sobie natychmiast jego słowa, rzucone mi na pożegnanie w Korosko. Były one dosyć groźne, a mimo to nie obawiałem się go tyle, ile jego współników, którzy posiadali znacznie więcej energii i zaciekłości. Rozmawiał z człowiekiem, który zapewne należał do tych, co nas tu przywieźli

— Czemu nie przybył razem morkadem i muzabir?

— Udali się z Faszody drogą lądową do Dinków, gdzie Ibn Asl werbuje ludzi. Obaj mają zawiadomić go o schwytaniu effendiego i Ben Nila.

— Ależ oni go tam nie znajdą, bo powinien pojawić się tu lada chwila razem z nowozacieżnymi ludźmi i jeżeli tak, to będziemy musieli poczekać tu aż do ich powrotu i tracić czas nadaremnie.

Słowa te świadczyły, że Mudar Nassyr nie należał do ludzi przezornych, ani nawet do mądrych, bo wygadał się w mojej obecności, że Ibn Asl werbuje ludzi u Dinków. Teraz dopiero zwrócił się do mnie Murad Nassyr i wycedził przez zęby:

— Przypominasz sobie, psie, kto jestem? Sięga pamięć twoja aż tak daleko?

A nie otrzymawszy odpowiedzi, mówił dalej zjadliwym tonem:

— Przypomnij sobie Korosko i słowa, które tam do ciebie wyrzekłem.

I znowu nie odpowiedziałem, co go jeszcze więcej gniewać zaczęło, mówił więc:

— Groziłem ci wówczas: Jeżeli cię kiedykolwiek spotkam, to cię zetrę „na miazgę! I spotkanie to nastąpiło obecnie, z czego wynika, że powinieneś przygotować się na śmierć. Jesteś zgubiony, i jakakolwiek litość względem ciebie z naszej strony jest stanowczo wykluczona.

Zdawało mu się, że groźba aż do tego stopnia posunięta zmusi mnie do mówienia, lecz się pomylił. Zgniewało go to okropnie, krzyknął więc doprowadzony do ostateczności:

— Otworzysz usta czy nie, ty... ty... zabłocona ropucho? A może straciłeś mowę ze strachu?

Na to roześmiałem się głośno i odrzekłem:

— Może ze strachu przed tobą? Cha, cha, cha! A to doskonałe! Mój kochany grubasie, daj się wyśmiać. Ciebie nie może się obawiać żaden w ogóle człowiek, a już najmniej ja. Pilawę\* z owczym ogonem potrafisz zjeść, ale ponadto jesteś do niczego.

— Będiesz jeszcze dowcipkował, psie jakiś? Toż ja gotów jestem podwoić ci męczarnie!

— Daj mi spokój. Wyglądasz z swymi groźbami tak głupio, że naprawdę trudno się powstrzymać od śmiechu. Znasz mnie tak długo, bo począwszy od Algieru i mogłeś od tego czasu przekonać się, że twoje gadulstwo nie wywiera na mnie żadnego wrażenia. Połóż się raczej spać i nie próbuj nawet wzbudzić we mnie strachu, bo to głupie i bardzo śmieszne.

Wtem grubas kopnął mnie i rzekł:

— Już ja cię nauczę, psie jeden! Wiadomo ci, że męczarnie masz obiecane, ale o ile one będą straszniejsze, o tym ani ci się śniło. A może myślisz, że i tym razem uciekniesz? Ho, ho! Ja, ja sam

będę cię pilnował, dopóki Ibn Asl nie przybędzie. Hej, ludzie, zabrać obu i marsz za mną!

Poszedł ku przodowi okrętu, a nas poniesiono za nim aż do budki, znajdującej się na pokładzie. Wpakowano nas tu do małej ciupki, oświetlonej lampką olejną. Na pierwszy rzut oka przekonałem się, że ściany kajuty nie były sporządzone z desek, lecz z płótna, rozciągniętego między odpowiednio umocowanymi drągami. Na zewnątrz rozłożono na tych płótnach maty i rogoże. Przednia ściana składała się z kawałków płótna, zwisającego z góry w dwóch płachtach, które stanowiły zarazem drzwi. Kolejny kawał płótna, rozwieszony w poprzek, przedzielał kajutę na dwie części; w jednej z tych właśnie części umieszczono nas, z drugiej zaś dolatywały nas głosy kobiece, co naprowadziło mnie na myśl, że znajduje się tam zapewne siostra Turka ze swoją służącą. Z tyłu była jeszcze jedna ściana poprzeczna, którą w tej chwili odchyłono tak, że odsłaniał się widok na cały dziób okrętu, zavalony rozmaitymi pakunkami i rupieciami. Widocznie wyprzątnięto je z kajuty, aby zrobić miejsce dla nas. Turek obejrzał dokładnie więzy na naszych rękach i nogach, po czym kazał powbijać w tyle pokładu grube gwoździe i do nich nas przymocowano, zapewne z przeczności, która wcale nie była zbyt duża, gdyż w razie rozluźnienia więzów mogliśmy łatwo się oswobodzić i mieć wolną drogę do ucieczki.

— Teraz, to żaden z was ani się ruszy — rzekł z odcieniem zadowolenia Turek — i niechby który spróbował ucieczki! Ibn Asl przybędzie tu najdalej w południe, no i losy wasze natychmiast się rozstrzygną. Ja mieszkam tuż za płótnem i mogę słyszeć każde wasze słowo. Gdybym więc zauważył choćby nieznaczny podejrzaną ruch z waszej strony, nie będę szczędził bata. Niechże wam Allah udzieli miłego spoczynku i... przyjemnych marzeń!

Ostatnie słowa wypowiedział z nietajoną ironią i, zabrawszy swoich ludzi, oddalił się. Przez cienkie płótno mogliśmy obserwować w drugim przedziale światło i poruszający się cień grubasa, wskutek czego można było wnioskować, co robi. Widzieliśmy, jak uchylił płótno i oddalił się, a dwa głosy kobiece zadźwięczały znów ożywioną rozmową. Po chwili Turek wrócił, usiadł i rozmawiał z kobietą, z którą niebawem wszedł na pokład, a w kilka sekund później jakaś postać uchyliła płótno, wsunęła głowę do naszego przedziału i ozwała się szeptem:

— Gdzie jesteś, effendi?

— Tu! Ktoś ty?

— Fatma, którą znasz.

A więc była to ulubiona służąca siostry Turka. Czego ona chciała? W jakim celu zaczepiła mnie?

— Czego sobie życzysz ode mnie? — zapytałem.

— Moja pani dowiedziała się, że jesteś uwięziony i mają cię na śmierć zamęczyć, czego ona nie przeżyłaby tak ci jest życzliwą.

— Niech ją Allah błogosławi za to współczucie.

— Ona jest bardzo szlachetna, effendi, i chce cię uratować.

— *Hamdulillah!* W jakiż to sposób?

— Niestety, niewiele ona może zrobić dla ciebie, ale zrobi wszystko, na co ją tylko stać. Pamiętasz, jak włosy poczęły jej wypadać, a ty zapobiegłeś temu swoimi lekami; ona nigdy ci tego nie zapomni. Teraz właśnie zdarza się sposobność wyświadczenia ci wdzięczności za to. Powiedz więc, jakie masz życzenie w tej chwili.

— Gdzież jest twoja pani?

— Na pokładzie; zagadała umyślnie brata i wyciągnęła go aż tam, bym mogła rozmówić się z tobą.

— A jeżeli on wróci niespodzianie i zobaczy, co tu robisz?

— O, nie. Już ona go tam zatrzyma aż do chwili, gdy jej dam znak, że spełniłam swoje zadanie.

— Dobrze, przynieś mi ostry nóż, a żywo!

— W parę sekund później podała mi żądany nóż, którego jednak nie mogłem wziąć, bo ręce miałem związane.

— To jeszcze nie dosyć, moja kochana. Chcesz przysłużyć należycie swej pani, to przyjdź tu i rozetnij mi powrozy na rękach.

— Allah! Tego się nie spodziewałam! Żądasz ode mnie rzeczy nad moje siły. No, ale odważę się na wszystko, chociaż ręce mi drżą okropnie... Jesteś dobroczyńcą mej pani i nie mogę ci odmówić pomocy.

Istotnie ręce jej drżały mocno, gdy przecinała powróż. Wziąłem potem nóż od niej i, uściskawszy jej rękę, rzekłem:

— Dziękuję ci, Fatmo; jesteś najpocziwszą ze wszystkich kobiet na świecie, za co Allah ci stokrotnie zapłaci. Czy dużo ludzi znajduje się na pokładzie?

— Dwudziestu kilku. Śpią przy burtach.

— A gdzie są ci, którzy nas przywieźli z Faszody?

— Są razem z naszymi.

— W takim razie łódź ich wisi jeszcze koło okrętu.

— Tak.

— Dziękuję ci, możesz odejść i nie trudź się daniem znaku swej pani, bo ona bez tego dowie się za parę minut, że spełniłaś godnie jej polecenia. Prawdopodobnie zobaczymy się jeszcze i

wówczas potrafię ci się odwdziżyć należycie; teraz nie mogę.

Cofnęła się do drugiego przedziału, a Ben Nil rzeki:

— Co za szczęście, effendi! Miałeś zupełną słuszość twierdząc, że nigdy nie powinno się tracić nadziei. Jeżeli nam nie przeszkodzą w ucieczce, będziemy uratowani.

— Co do przeszkodzenia, to wcale się już nie boję. Gdy mam wolne ręce i nogi, a w dodatku wyborny nóż, to nawet dwudziestu kilku ludzi nie da mi rady. Możemy więc powiedzieć sobie zupełnie śmiało, że jesteśmy wolni!

Podczas tej rozmowy poprzecinałem wszystkie powrozy. Wstawszy, podniosłem płótno z jednej strony i wyjrzałem na zewnątrz. Księżyc jeszcze świecił. Okręt był zatrzymany na prawym brzegu Nilu, a niedaleko spostrzegłem stojące obok siebie latarnie, które później mogły mi służyć jako punkt orientacyjny. Na pokładzie spało kilku mężczyzn, Turek zaś stał w pobliżu steru ze swoją siostrą i wpatrywał się w dal z wielkim zajęciem.

— Wszystko w porządku — rzekłem po cichu do Ben Nila i wysunąłem się na pokład, następnie spuściłem się po łańcuchu kotwicy na dół, a Ben Nil za mną. Nikt nas nie zauważył. Łódź znajdowała się trochę dalej od łańcucha, trzeba więc było przepłynąć kawałek. W tamtejszym klimacie można przemoczyć ubranie bez narażenia się na katar. Podczas płynięcia trzymaliśmy się jak najbliżej ściany okrętu, aby nie spostrzeżono nas z góry. Nareszcie podołaliśmy zadaniu, bądź co bądź dosyć trudnemu, gdyż trzeba było płynąć zupełnie po cichu. Przewoźnicy nasi z Faszody nie zabrali z sobą wiosł na pokład i dobrze zrobili, bo nam się teraz znakomicie przydały.

— Prędko, effendi! — nalegał Ben Nil, odczepiając linę, na której umocowaną była łódka.

Odbiliśmy i w tej sekundzie spostrzeżono nas.

— Effendi uciekł! — krzyknął Murad — tam jest! w łódce! Dalej, za nim! Tysiąc piastrów otrzyma, kto go schwyta!

Na pokładzie powstało wielkie zamieszanie. Kilkunastu ludzi rzuciło się do łodzi okrętowej, która wisiała po przeciwnej stronie, w pobliżu steru, i nie widzieliśmy, jak się to działo. Było tylko słyszeć słowa Murada:

— Prędejj, prędejj! dwa tysiące, trzy tysiące piastrów dostanie, kto schwyta zbiega!

— Dziesięć tysięcy — przedrzeźniałem go, śmiejąc się na całe gardło, a wiosłując równocześnie nie na żarty, i łódka pomknęła z prądem wody tak szybko, jak torpedowiec. Wkrótce straciliśmy okręt z oczu.

Ben Nil umiał wiosłować wspaniale; niemniej i ja pod tym względem nie chciałem mu się dać zawstydzić, wskutek czego już po upływie kwadransa byliśmy zupełnie bezpieczni.

Wedle moich obliczeń, uwięziono nas u sangaka około godziny dziesiątej wieczorem; obecnie, sądząc po gwiazdach, mogła być mniej więcej godzina trzecia rano. Jeżeli spędziliśmy jedną godzinę



na okręcie, to podróż z Faszody trwała cztery godziny, mimo, że czas ten wydawał się dla mnie wiecznością. Że z prądem wody łódź płynie o wiele szybciej, niż w górę rzeki, liczyłem teraz trzy godziny na odbycie drogi powrotnej do Faszody, gdzie powinniśmy byli dobić do brzegu o szóstej rano.

Można sobie wyobrazić, jak wesoło byliśmy usposobieni. Ben Nil od czasu do czasu przerywał monotonną jazdę wesołymi okrzykami, jak zaś długo myślałem o dobrej Turczynce, która tak szlachetnie i z takim narażeniem się ofiarowała nam swą pomoc. To, co ongiś dla niej zrobiłem, było przecież drobnostką. Za zwyczajny roztwór solny do smarowania wyłysiałego miejsca na głowie — uratowanie życia! Trzeba więc było przyjąć, że dziewczę to posiada bardzo dobre serce, za co należy mu się istotnie wdzięczność ode mnie. Postanowiłem tedy uczynić wszystko z mej strony, byle tylko przeszkodzić jej małżeństwu z niecnym Ibn Aslem.

Świtać zaczęło, gdy spostrzegliśmy Faszodę. W pobliżu na falach rzeki kołysała się mała łódka, w której siedział jeden tylko człowiek. Gdy człowiek ten nas zobaczył, podpłynął ku nam, zwinął żagiel i zapytał:

— Skąd przybywacie?

— Z góry — odrzekłem, wskazując poza siebie.

— Co za jedni jesteście?

— Niby, dlaczego o to pytasz? Jesteś urzędnikiem, czy może nawet samym mudirem?

— Ech, gdzieżbym znowu był aż tak wielkim panem... Jestem zwykłym rybakiem i wybrałem się z rozkazu mudira na poszukiwanie dwu zaginionych ludzi. Jeden ma być obcym effendim, a jego towarzysz, młody jeszcze, nazywa się Ben Nil. Skoro więc spostrzegłem was dwu w łódce, zaraz sobie pomyślałem, że może właśnie jesteście tymi, których szukam.

— Znasz sangaka arnautów?

— Widziałem go, ale nie rozmawiałem z nim nigdy.

— Lubisz go, czy nienawidzisz?

— Pytanie to jest dla mnie kłopotliwe... Że jednak nie spodziewam się po was niczego ani dobrego, ani złego, odpowiem: ani jedno, ani drugie; jest mi obojętny, pomimo, że posiada wpływy, władzę i może bardzo wiele.

— Wobec tego i ja będę szczery, aczkolwiek nie wiem, czy dobrze zrobię. Jesteśmy tymi, których szukasz...

— Istotnie? — zapytał, nie posiadając się z uciechy. — *Hamdulillah!* Ja właśnie, a nie kto inny, zarobię wiele pieniędzy...

— W jaki sposób?

— Mudir wypłaci mi sto piastrów, bo obiecał je dać temu, kto was odnajdzie.

— My jednak wróciliśmy do mudira i bez twojej pomocy.

— Allah! Czyżbym się łudził? Nie dostanę więc nic?

— Żądać możesz na wszelki wypadek.

— Ee, nie głupi jestem... Zamiast piastrów, dostałbym pięćset kijów...

— No, no, nie rozpaczaj. Otrzymasz pieniądze, za co ja ręczę, i jeżeli mudir nie zechce ci ich wypłacić, to ja to sam uczynię. Żądam jednak za to, abyś nas zaprowadził do mudira tak, iżby nas sangak nie zobaczył, ani w ogóle żaden arnauta.

— Effendi, czyżby arnauti byli wmieszani w sprawę twego zniknięcia? — zapytał niemało zdumiony.

— Nie powiem ci, bo cię nie znam.

— Dlaczego? Jestem ubogim rybakiem i wszystko, co tylko ułowię, dostawiam wyłącznie do kuchni mudira, który nieźle mi płaci, a od sangaka żadnego nie mam zarobku.

— Gdzie mieszkasz?

— Tu, niedaleko, na przedmieściu. Stąd nawet widać już moją chatkę nad brzegiem, patrz!

Opowiedziałem mu pokrótce całe zajście w nocy i dodałem na końcu:

— Gdyby sangak się dowiedział, żeśmy wrócili do mudira, to czmychnąłby, zanim jeszcze wydano by rozkaz jego uwięzienia.

— Effendi — odrzekł rybak — zdumiałbym się, słysząc to wszystko, gdybym nie wiedział, co to za ziółko z tego sangaka. Dobrze więc, zaprowadzę cię do mojej chaty, i tam zaczekasz, dopóki nie powrócę od mudira z rozkazem, co masz czynić dalej.

— Zgoda.

— Ale nie powinniście teraz płynąć w swej łódce za mną bo to zwraca uwagę. Lepiej więc będzie, gdy was po jednym zawiozę do mojej chaty, która, jak widzicie, stoi zupełnie na uboczu.

Wskoczyłem do łódki rybaka, przykucnąwszy tak, aby mnie na wypadek z brzegu nie zauważono. Niebawem wysiedliśmy na brzeg i weszli do chaty. Rybak rozkazał żonie, Murzynce, aby nie wpuszczala nikogo i powrócił po Ben Nila. Przywiózłszy go następnie, otrzymał ode mnie wyczerpujące wskazówki i udał się do mudira.

Wrócił dopiero po godzinie, przynosząc dwa ubrania: jedno kobiece, dla Ben Nila, drugie eunucha, dla mnie. Ja miałem poczernić sobie twarz. Właściwie powinienem był ja przebrać się za

kobietę, a nie za stróża haremu, bo byłoby to bezpieczniejsze; ale z powodu wzrostu nie nadawała się dla mnie podobna maskarada.

Przebraliśmy się naprędce, a rybak, nakazawszy babie milczenie, powiózł nas łódką do miasta. Ben Nil był owinięty w chusty i ubrany tak, że można go było uważać za kobietę. Cieszyło go to ogromnie, więc śmiał się i dowcipkował nie tylko z siebie, ale i ze mnie, bo moja broda nie licowała wcale z poczernioną twarzą.

Podczas wysiadania nie było w pobliżu nikogo, widocznie z tej przyczyny, że wszystko, co żyło, poszło na poszukiwanie zaginionych, by zarobić sto piastrów. Dotarliśmy nawet aż do budynku rządowego, nie spotkawszy się z nikim. Tu jeden ze służących zaprowadził nas do mudira, który zarządził, ażeby nawet w domu nie wiedział nikt o naszym powrocie.

Mudir siedział na jedwabnym dywanie, paląc fajkę, i mimo ustawicznej surowości i powagi, jaka malowała się na jego twarzy, uśmiechał się do nas i nawet silił się, by nie wybuchnąć głośno.

— Allah czyni cuda! — krzyknął. — Któż kiedy widział murzyna, stróża kobiety, z taką brodą! A niechże cię! Założyłbym się, że cię poznano, effendi...

— Bynajmniej. Nie Spotkaliśmy jednej żywej duszy.

— To dobrze! Usiądźcie i zapalcie sobie fajki, które są dla was umyślnie przygotowane. A ty — zwrócił się do rybaka — czekasz zapewne na pieniądze!

— Daruj, mudirze; moja śmiałość... pozwalam sobie zauważyć, że...

— Milcz, bo inaczej każę ci dać pięćset, przerwał mu mudir; — marsz stąd, niech cię nie widzę!

Przysiedliśmy się z Ben Nilem do mudira i zapalili fajki, po czym trzeba mu było opowiedzieć o całym zajściu. W ciągu mojego opowiadania namiestnik nie przerwał mi ani słowem, ani też nie zdradził żadnym ruchem, co myśli o tym wszystkim. Gdy ukończyłem, milczał dobrą chwilę, a potem ozwał się spokojnie i cicho, a nie, jak oczekiwałem, wśród wybuchu gniewu.

— Gdy oznajmiłeś mi wczoraj, że ten psi syn jest współnikiem łowcy niewolników, nie chciało mi się w to wierzyć; ale obecnie dowiodłeś czynem swych słów. Ja go...

Zamilkł nagle i po upływie sporej chwili klasnął w ręce. W izbie pojawił się natychmiast służący, który otrzymał rozkaz:

— Idź do sangaka i poproś go, aby przyszedł do mnie natychmiast, bo sprawa bardzo ważna i nikt o niej dowiedzieć się nie powinien. Staraj się, by rozkaz ten usłyszał sangak sam; możesz w razie potrzeby rzec mu to na ucho. Rozumiesz? Przedtem jeszcze niech tu przyjdzie Abu chabit.

Służący wyszedł, a niebawem pojawił się olbrzymi czarny drab, który skrzyżował ręce na piersiach i skłonił się do samej ziemi.

— Będzie coś do roboty — rzekł mudir do niego. — Pewien pies nad psami musi dostać pięćset i potem niech zniknie. Zrozumiałeś?

— A gdzie? — zapytał z dziwnym zadowoleniem na twarzy, albowiem rad był, że zdarza mu się sposobność do wykonania swego przyjemnego urzędu.

— Tu — odrzekł mudir, wskazując drzwi za sobą. „Ojciec kijów” uklonił się znowu nisko do ziemi i wyszedł tyłem, a mudir rzekł do nas:

— Wiesz, dlaczego kazałem przyjść sangakowi potajemnie?

— Bo się boisz jego żołnierzy.

— Allah! Odgadłeś...

— Nic dziwnego. Znam arnautów, których bardzo trudno utrzymać w dyscyplinie. Gdybyś więc pociągnął do odpowiedzialności sangaka, a oni się o tym dowiedzieli, w takim razie mogliby się zbuntować.

— Tak, tak. Sangak musi być ukarany tak, aby o tym nikt nie wiedział. Gdy wczoraj nie wracałeś tak długo, posłałem do niego z odpowiednim zapytaniem, ale mi odpowiedział, że nikogo u niego nie było. Następnie udałem się do niego sam i spotkałem się z tym samym twierdzeniem. Potem nawet doszło do mojej wiadomości, że i Ben Nil przepadł, wobec czego ogłosiłem rozkaz, aby was szukano. Ten pies chciał mnie za nos wodzić. Poczekaj, zdrajco, morderco! Zobaczysz, effendi, i usłyszysz moją z nim rozmowę i co z nim zrobię. Idźcie teraz do drugiego pokoju, gdzie znajdziecie wszystko, co wam potrzeba. Wolno wam przysłuchiwać się mojej rozmowie z sangakiem i w odpowiedniej chwili wejść tutaj.

To mówiąc, wskazał nam drzwi, przez które weszliśmy następnie do pokoju. Znajdowały się tu wszystkie nasze rzeczy, a oprócz tego umywalnia, mydło, woda, ręcznik i inne przybory toaletowe, które bardzo się nam przydały dla pozbycia się farby z twarzy. Po umyciu przebrałem się, ale Ben Nil musiał jeszcze pozostać w ubraniu kobiecym, bo jego było u rybaka. Ukończyłem był właśnie toaletę, gdy sangak wszedł do Mudira. Mogliśmy słyszeć całą rozmowę, gdyż to, co Mudir nazywał drzwiami, składało się z otworu, przysłoniętego dywanem.

— Wezwałeś mnie, mudirze? — mówił sangak.

— Tak, potajemnie. Czy wie kto, że tu jesteś u mnie?

— Nikt.

— Słuchaj! Nie dowiedziałeś się czego o dwu zaginionych obcych?

— Niestety, dotąd żadnego śladu.

— To źle! Nie spocznię tak długo, dopóki ich nie odnajdę.

— Uczyniłem wszystko, co mogłem. Wszyscy moi arnaucci poszli, aczkolwiek pojąć nie mogę, dlaczego oni, wierni, mają szukać śmierdzących śladów chrześcijanina.

— Jest mi potrzebny, i to powinno tobie i im wystarczyć. Czy przeszukałeś dokładnie swój dom?

— Tak, lecz bez skutku.

— Szczególne! Effendi udał się do ciebie, a jego towarzysze nawet widzieli, jak pukał do twoich drzwi.

— Możliwe, bo nawet otwierano, ale nie było nikogo. Później żołnierz z warty zauważył jakąś postać, która przesunęła się przed drzwiami. Kto to może wiedzieć, w jakim celu przybył ten chrześcijanin i dlaczego znikł tak niespodziewanie.

— On wyjawiał mi swój plan, i wnioskuję, że nie miał żadnego powodu do nagłego ulotnienia się; raczej mógł on dać powód pewnym tutejszym osobom, aby zniknęły.

— Może więc zechcesz wypytać te osoby?

— Owszem, pytałem, ale one twierdzą, że nie wiedzą o niczym.

— To czemuż nie każesz im dać po pięćset? Zarazby się przyznały.

— Dobrze, skoro mi tak radzisz, uczynię to, a ty będziesz obecny przy tej próbie.

— Dziękuję ci, władco! Wiesz, że hołduję zasadom sprawiedliwości i zawsze chętnie jestem świadkiem kary, jaką zadajesz tym, którzy zawinili. I dziś więc rozkoszą będzie dla mnie, gdy usłyszę wycie tych psów. No, a teraz śmiem zapytać, co to za tajemnica, dla której wezwałeś mnie do siebie.

— Dowiesz się natychmiast. Jest to tajemnica, której odkrycie leży mi bardzo na sercu, a ty, jako człowiek rzetelny i prawy, musisz mi być pomocny. Czy nie znasz przypadkiem pewnego muzabira, kuglarza z Kairu?

— Nie.

— To może niejakiego Abd el Baraka, który jest morkademem świętej Kadiriny?

— Również nie.

— Obaj ci mężczyźni znajdują się obecnie w Faszodzie, i muszę ich wytropić, bo to sprzymierzeńcy łowcy niewolników, Ibn Asla.

— Czy mam poczynić poszukiwania? Jeżeli tylko przebywają w Faszodzie, to ich wykryję.

— Są tu z pewnością, bo jeszcze wczoraj wieczorem widziano jak pukali do twoich drzwi.

— Allah, czegóżby ode mnie chcieli? To widocznie jakaś pomyłka. Tacy ludzie nie byliby do tego

stopnia wariatami, żeby się ważyli zbliżyć do moich drzwi.

— Są wariaci, którzy czasem odznaczają się niezwykłym rozumem. Jeszcze jedno pytanie: czy rozmawiałeś kiedyś z pewnym Turkiem, który się nazywa Mudar Nassyr?

— Nie. A o co idzie?

— Dowiesz się potem, a tymczasem zapytam cię jeszcze, czy nie znasz pewnego Takala, imieniem Szedid?

— Nie znam. Ale rad bym wiedzieć, z jakiego powodu wymieniasz przede mną tyle nieznanymi mi nazwisk?

— Czynię to, aby ułatwić ci odkrycie tajemnicy. Wykonałem mianowicie przedwstępne przygotowania do pewnej sprawy, którą ty będziesz musiał dokończyć. O cztery godziny drogi łódką w górę rzeki znajduje się pewien okręt, który należy do Ibn Asla.

— Allah, Allah!

Sangak aż do tej chwili odpowiadał szybko i bez zająknięcia; ostatni okrzyk jednak wydał ze siebie z odcieniem pewnego przerażenia.

— Na tym okręcie — mówił mudir dalej — znajduje się ów Turek, o którego cię pytałem. Ma on przy sobie siostrę, którą Ibn Asl chce pojąć za żonę.

— Skąd wiesz o tym? — zapytał głosem prawie przygnębionym.

— Naprzód musisz wiedzieć, że Ibn Asl bawi obecnie u Dinków w celu zwerbowania zastępu ludzi, potrzebnych do nowych wypraw na niewolników. Okręt ten miano na oku, i dziś nad ranem zauważył ktoś, jak przyłynęła tam łódka, na której przywieziono dwa długie pakunki i wydano na okręt. Czy nie mógłbyś mi powiedzieć, co się w nich znajdowało?

— Skądże ja o tym mogę wiedzieć?

— Staraj się zatem dociec, bo to właśnie jest wspomnianą tajemnicą. Jesteś sprytny i mam nadzieję, że ci się to uda.

Podczas tej rozmowy stanąłem w drzwiach i odchyliłem dywan, by zobaczyć rozmawiających. Mudir był obrócony do mnie twarzą, sangak plecami. Pomyślałem, że teraz nadeszła właściwa pora, i szepnąłem do Ben Nila:

— Wyjdź po cichu i stań przed drzwiami. Popchnąłem go i spostrzegłem, że przez oblicze mudira przebiegł ironiczny uśmiech na widok przebranego Ben Nila. Sangak tymczasem namyślał się, co ma począć, i dopiero po upływie dobrej chwili odrzekł:

— Odnajdę ten okręt, panie. W tej chwili wyruszę. Pakunki, o których mowa, będzie można tam jeszcze odnaleźć.

— Kto wie... a zresztą nie przywiązuję do nich zbyt wielkiej wagi. Chciałbym się tylko dowiedzieć, co one zawierały i to dla mnie rzecz ważna tak dalece, że jeśli wywiążesz się dobrze z zadania, otrzymasz wynagrodzenie i to wynagrodzenie tak wielkie, że ci się nawet o tym nigdy nie śniło.

— Jestem najwierniejszym z twych sług, mudirze — zapewniał arnauta, składając się jak scyzoryk.  
— Moje szczęście polega jedynie na twojej dobroci i łasce.

— Wiem. Jesteś bardzo wierny i godny, dlatego w nagrodę i w dowód mej życzliwości wyszukałem ci kobietę, z którą nie może się równać najjaśniejsza gwiazda haremu.

— Kobietę? — zawołał sangak, zachwycony naprawdę.

— Tak, kobietę, wzór nie tylko piękności, ale i dobroci, przywiązania i w ogóle wszelkich przymiotów. I żebyś mógł poznać jak zacny skarb ci ofiarowuję, zobaczysz w tej chwili tego anioła nad anioły. Wyjdź, o jedyna, o piękności prawdziwa i odsłoń twarz, ażeby dzielny sangak arnautów olśniony blaskiem twych wdzięków i piękności, padł u nóg twoich jako niewolnik.

Po tych słowach dał znak Ben Nilowi, który wysunął się skromnie na przód. Sangak zerwał się na równe nogi. Patrzył na zawoalowaną postać wielkimi oczami i wreszcie rzekł:

— Kobieta! Naprawdę kobieta! Co za niespodzianka! Była już czyją żoną, czy też jest jeszcze panną? Czy pochodzi z rasy czarnej czy białej?

— Odpowiedz sobie sam na te pytania — odrzekł mudir, wstawszy ze swego miejsca, po czym zerwał zasłonę z twarzy młodzieńca. Wywarło to wrażenie naprawdę szczególne. Sangak mimo woli wydał z siebie okrzyk przerażenia.

— No, i cóż? Podoba ci się? Jesteś zachwycony? — pytał mudir, przybierając taką postawę, aby sangak, rozmawiając z nim, nie zobaczył mnie we drzwiach. Wykorzystałem ten moment i wszedłem do pokoju. Sangak nie odpowiadał nic. Twarz jego przybrała wyraz śmiertelnej trwogi i zdawało się jakoby skamieniał na miejscu.

— Jesteś tak zachwycony, że myśli zebrać nie możesz — szydził mudir — i jeżeli widok jednego pakunku wywarł na tobie takie wrażenie, to cóż dopiero będzie, gdy zobaczysz zawartość drugiego. Obróć się!

Arnauta uczynił zadość temu żądaniu i spotkał się oko w oko ze mną.

— Do wszystkich piekieł! — krzyknął. — Graliście ze mną, ale dosyć mam już tego! Szatan niech was porwie, wszystkich trzech razem!

Zwrócił się ku drzwiom z zamiarem ucieczki, lecz nagle zagroziłem mu drogę.

— Precz, psie! — Budzisz we mnie wstręt!

— Wiem! Dlatego to wczoraj wieczorem powiedziałeś do mnie, że się nigdy nie zobaczymy —

odrzekłem; — ale ja byłem przekonany, że cię spotkam jeszcze w tym życiu.

— Precz, albo sobie utworuję drogę sam!

Dobyl noża i zamierzył się na mnie, gdy wtem uderzyłem go z dołu w łokieć tak silnie, że nóż poleciał o parę kroków, a następnie chwyciłem go za kark, podniosłem do góry i cisnąłem o ziemię tak silnie, iż obawiałem się, czy karku nie złamał. Miał oczy otwarte, ale się nawet nie ruszył.

— Allah! — krzyczał mudir. — Toż z ciebie największy na świecie siłacz, skoro dałeś radę takiemu olbrzymowi. A ja w żaden sposób nie chciałem uwierzyć reisowi effendinie... Może nie żyje?

— Żyje, i zobaczysz, jak się nagle zerwie, aby...

Nie dokończyłem zdania, bo to, czego oczekiwałem, ziściło się. Sangak wydobyl pistolet z za pasa i błyskawicznym ruchem skierował lufę ku mnie. Bezwładność jego zatem była udawana tylko, by nas wprowadzić w błąd. Ben Nil stał za nim; nagle schylił się i chwycił rękę, trzymającą pistolet, a ja równocześnie kopnąłem sangaka w brzuch tak, że poleciał aż pod przeciwległą ścianę i upuścił broń na podłogę. Chciał zaraz powstać i bronić się dalej, lecz z powodu kopnięcia nie mógł. Zacisnął tylko pięść ku mnie i zionął strasznymi przekleństwami.

— Zostawcie go! — rozkazał mudir. — Łajdak nie wart jest, aby go dotykały wasze ręce. Słyszałeś, effendi, co rozkazałem swemu „Ojcu kijów”, a jeżeli wydaję rozkaz, to nie cofam go nigdy.

Klasnął w dłonie, i na ten znak pojawili się z dwu stron czarni, którzy w okamgnieniu ujęli sangaka i obezwładnili. Biedny, spostrzegłszy „Ojca kijów”, domyślił się, co go czeka i syknął w kierunku mudira:

— Każesz mnie może obić?

— Zamierzam tylko spełnić twą wolę na tobie samym. Radziłeś mi przecież, abym zastosował chłostę tych, którzy są winni, a że winnym jesteś ty właśnie, więc...

— A czy ty wiesz, co to znaczy?

— Nic więcej, tylko tyle, jak gdybym kazał wychłostać psa.

— Ale ten pies ma zęby!... Na moje skinienie arnauti rzucą się na ciebie... Nie znasz mnie jeszcze!...

— O, przeciwnie, znam cię doskonale. Wymieniłem nawet nazwiska twoich przyjaciół, co niewątpliwie powiększa szereg dowodów twej zbrodniczości. A zresztą możesz utrzymywać, że cię nie znam, natomiast ty mnie znasz i wiesz, dlaczego nazywają mnie Abu Hamzaj Miah. Dostaniesz więc pięćset...

— Pie... pięć... seeeet? — krzyczał arnauta. — Byłaby to cena twego życia!...



— Ech, zamiast się odgrażać, zwróć się do Allaha, aby cię pobłogosławił na drogę przez most śmierci i abyś nie spadł przypadkiem w ogień dżehenny...

Sangak drgnął na to i rzucił na mudira spojrzenie trudne do określenia:

— Moost... śmierci? Chcesz zamęczyć mnie... na śmierć?...

— Dostaniesz pięćset i znikniesz mi z oczu; taki wydałem rozkaz „Ojcu kijów”, a ty wiesz, że nie wydaję rozkazów na wiatr...

— Ale ja mam ręce i nogi i zęby... będę się bronił... rozszarpię cię na strzępy...

Szarpnął się gwałtownie, chcąc się rzucić na mudira. Ale pomocnicy „Ojca kijów” odznaczyli się znakomitą wprawą w podobnych wypadkach: przycisnęli go do ziemi, jak rozjuszony zwierzę, i zarzucili nań rodzaj rzemiennej uzdy na głowę w ten sposób, że dolna szczeka została silnie zaciśnięta, co uniemożliwiło mu wydanie z siebie głosu. Wyniesiono go, a namiestnik zauważył:

— Otrzyma, co mu się należy, a my będziemy świadkami...

— Co do mnie, to zrzekam się — odpowiedziałem. — Nie lubię patrzeć na takie rzeczy.

— Rozumiem. Masz słabe nerwy. Ja jednak jako urzędnik, nie powinienem mieć nerwów wcale, jeżeli oczywiście chcę wytrwać w zasadach sprawiedliwości. Nie zmuszam cię więc, możesz tu pozostać, dopóki nie powrócę.

— Zaczekaj chwilę, mudirze; mam ci jeszcze coś do powiedzenia.

— O? Proszę!

— Daj mi oddział asakerów i dobrą łódź. Trzeba bowiem zabrać okręt Ibn Asla, dopóki jeszcze nie za późno.

— Nie mam nic przeciwko temu, ale ze względu na arnautów, którzy nie powinni cię tu widzieć, musisz poczekać parę godzin. Jeżeli bowiem zobaczą cię i postrzegą potem brak swego sangaka, to łatwo mogą się domyślić, że zniknięcie jego stoi w związku z twoim pobytem. Jestem tu od niedawna i nie zdołałem jeszcze uzyskać nad nimi przewagi. Dotąd nie mudir tu rozkazywał, lecz oni. Ale to się musi zmienić. Ja sobie dam z nimi radę, ale nie od razu.

— Ba, ale ja mogę odpłynąć z wojskiem potajemnie i oni wcale tego nie zauważą.

— Nie, będzie lepiej, gdy ich wyślą w dół Nilu w celu ściągania podatków, ku czemu wielką zawsze mają ochotę. Zaraz wydam odpowiedni rozkaz.

Wyszedł tymi samymi drzwiami, którymi wyniesiono sangaka, a ja stanąłem w drugich. Stał tu jeszcze rybak, trzymając na ręce ubranie Ben Nila. Mój towarzysz wziął je i przebrał się, po czym zasiedliśmy do fajek, oczekując powrotu mudira.

Słyszeliśmy tu całkiem wyraźnie uderzenia mocne i do taktu. Towarzyszyły im jęki, które coraz bardziej cichły, aż wreszcie ustały zupełnie. Uczucie, które w podobnej okoliczności ogarnia duszę, nie jest do opisania. Powiniennem był znienawidzić mudira za to okrucieństwo, a jednak tego rodzaju surowość jest tu na stanowisku namiestnika niezbędna.

Mudir powrócił nareszcie i usiadłszy koło nas, zapalił fajkę. Nie mówiliśmy nic. On tylko podśluchiwał, czy razy padają miarowo, a mnie przez kości szedł mróz, ścinając szpik od głowy do nóg. Nareszcie otworzyły się drzwi, przez które „Ojciec kijów” wychylił głowę i zameldował:

— Pięćset!

— A sangak?

— Nikt go już nie zobaczy, o władco!

— Wynieść precz!

Czarna głowa zniknęła za drzwiami, a ja zapytałem:

— Arnauta nie żyje?

— Tak.

— Gdzie go pochowają?

— We wnętrznościach krokodyłów, które niczego nie wygadają. Teraz kolej na Bakkwara, po którego posłałem. Przyrzekłem ci bowiem, że otrzyma należne kije w twojej obecności i sądzę, że teraz nie wymówisz się.

— Dziękuję ci, nie mam ochoty.

— Ależ, effendi, to nie takie straszne jak ci się zdaje. Tylko w tym przypadku, gdy delikwent musi przepaść, bije się tak, żeby wyzionął ducha. Bakkwara zaś otrzyma swoje razy w pięciu ratach i potem niech sobie wraca do swego plemienia.

— A mimo to proszę cię nie żądaj ode mnie, abym się patrzył na tego rodzaju wymiar sprawiedliwości.

— No, zmuszać cię nie będę... Słuchaj, zaczyna się właśnie.

Znowu słychać było uderzenia, a że nikt nie rozmawiał, więc liczyłem odruchowo i trwało to bardzo długo, nim nareszcie „Ojciec kijów” zameldował: sto. A te sto otrzymał wolny Bakkwara, krewny późniejszego Mahdiego! Odesłano go z powrotem do więzienia, ażeby pozostałe raty były mu w odpowiednich terminach rzetelnie wyliczone.

Teraz przypomniałem mudirovi rybaka, który ciągle jeszcze czekał na swoje sto piastrów. Kazał mu wejść i zapytał:

— Czekasz zapewne na nagrodę, którą ogłosiłem? nieprawdaż?

— Jeżeli dobroć twoja pozwala mi mieć tę błogą nadzieję, to żywię ją w głębi duszy, panie i władco! — odpowiedział rybak z głęboką pokorą.

— Moja dobroć niczego ci nie pozwala, a więc i żadnej nadziei mieć nie możesz.

— Za cóż więc przyprowadziłem ci effendiego i Ben Nila?

— Byliby przyszli i bez twojej pomocy. Daję ci tedy do wyboru: albo ogłosisz, żeś otrzymał sto piastrów, albo... każę ci dać pięćset. Cóż tedy wolisz?

— Panie, jestem już wynagrodzony!

— No, to dobrze. Możesz odejść.

„Ojciec pięciuset” był nieubłagany w wymiarze sprawiedliwości, o ile chodziło o przestępców. Co zaś do wynagradzania za dobre, to zupełnie inna sprawa. Ano, najdoskonalszy nawet człowiek posiada pewne właściwe sobie słabości. Rybak skierował się ku wyjściu, lecz zwrócił jeszcze głowę ku mnie i rzekł:

— Dotrzymasz słowa, effendi? Jestem człowiekiem biednym...

— Co on mówi? Jakiego to słowa powinieneś dotrzymać? — wtrącił mudir.

— Obiecałem mu, że otrzyma sto piastrów — odrzekłem, sięgając do kieszeni.

— I chcesz mu je wypłacić? Co tobie przychodzi do głowy? Słyszałeś przecież, że już otrzymał, co mu się należało.

— Słyszeć słyszałem, ale nie widziałem. Pozwól więc, że mu wypłacę.

— Nie! Jeżeli koniecznie upierasz się przy tym, to ja mu sam dam, ale nie w pieniądzech, bo ich nie mam. Podatki płacą tu w naturze, więc i ja w ten sposób mogę zaspokoić jego pretensję. Niech więc idzie do mego owczarza i każe sobie dać trzy owce. A teraz precz!

Obdarzony okazał wielkie zadowolenie z obrotu sprawy. Skłonił się trzykrotnie aż do ziemi i wyszedł. Na drugi dzień, ku memu zadowoleniu, dowiedziałem się, że istotnie dano mu trzy owce.

Ledwie rybak wyszedł, zameldowano mudirowi, że arnaucci wyruszyli w okolice Kuek w celu ściągania podatków. Biada tym, do których zawitają ci żołnierze! Ludność bowiem musi nie tylko zapłacić należne podatki, ale utrzymywać żołnierzy swoim kosztem. Można sobie wyobrazić, jak wielkie nadużycia dziać się muszą, gdy rozpasana tłuszcza żołnierska wpadnie do wsi i hula w niej bezkarnie. Mieszkańcy zazwyczaj, skoro tylko usłyszą o zbliżającej się pladze, zabierają żony, dzieci i cały dobytek i uciekają w świat na tak długo, dopóki żołnierze się nie wyniosą.

Po wymarszu arnautów przygotowano pewną ilość łodzi żaglowych i dodano mi pięćdziesięciu

dobrze uzbrojonych żołnierzy, nad którymi objąłem dowództwo z Ben Nilem. Wyruszyliśmy w górę rzeki po południu. Około piątej dotarliśmy na miejsce koło latarni nadbrzeżnych; okrętu już tam nie było!

Udałem się na brzeg i znalazłem bosa ślady wielu ludzi, których liczbę wywnioskować było bardzo trudno, ale co do czasu mogłem sobie wyrobić pojęcie, bo odciski nie były świeże i wskazywały, że upłynęło co najmniej pięć godzin od chwili, gdy gromada bosych wojowników weszła na pokład.

Nie było więc mowy o ściganiu okrętu i dlatego musiałem jak niepyszny zawrócić do Faszody.

Niepowodzenie to popsuło mi humor, a jednak starałem się o ile możliwości wyzyskać czas i przynajmniej zrobić porządek z Takalami, którzy napadli na trzech dżelabów i dwu nawet zabili.

Szedid, dowódca Takalów znał sangaka, wobec czego należało się spodziewać, że ukryje się gdzieś w pobliżu Faszody ze swoją karawaną i wyśle posłańca do arnauty, a więc niezawodnie do jego mieszkania, gdzie teraz wypadałoby zaczekać i schwytać go. W tym celu prosiłem mudira, aby mi pozwolił zamieszkać w domu sangaka, na co ten się chętnie zgodził. Wziąłem ze sobą Ben Nila i dżelabiego, a nawet i Hazid Sichar przyłączył się do nas, bo — jak mówił — czuł się bezpiecznym jedynie w naszej obecności. Ponadto dał nam mudir kilku żołnierzy do usługi i utrzymywania warty. Stojący u drzwi wejściowych miał zaprowadzić natychmiast do mnie każdego, kto by tylko zapytywał o sangaka.

Sprowadziliśmy się na tę osobliwą kwaterę późnym wieczorem pierwszego dnia. Dzień następny upłynął zupełnie spokojnie, i dopiero trzeciego raniutko pojawił się oczekiwany posłaniec, którego natychmiast do mnie przyprowadzono. Powiedziałem mu, że jestem obcym effendim, lecz bynajmniej żadnym mudirem z Dżarabub, a tym mniej Senussim, i że ja, a nie kto inny, zabrałem im Hazida, Sichara i Bakwkwarę. To napełniło go taką trwogą, że nie mógł wymówić nawet jednego słowa i dopiero, gdy mu zagroziłem kijami i to wcale nie na żarty, zdecydował się wymienić miejsce, w którym ukryli się Takalowie. Był to ten sam las, w którym i ja znalazłem przedtem kryjówkę. Doniosłem o tym mudirovi i ten odkomenderował mi natychmiast pięćdziesięciu żołnierzy, oczywiście nie arnautów, których w mieście już nie było, lecz zwykłych pieszych. Zabrałem ich i pomaszzerowaliśmy naprzeciw karawany, a posłaniec musiał nam wskazywać drogę i opisać dokładnie miejsce, gdzie Takalowie się ukryli. Hazid Sichar i Ben Nil prowadzili go z wielką bacznością, aby nie uciekł. Z przeczności musieliśmy zboczyć z prostej drogi i zatoczyć łuk, ażeby Szedid, którego uwaga musiała być zwrócona w kierunku Faszody, nie zauważył nas wcale. Przybyliśmy tedy do lasu nie ze wschodu, lecz z południa, i poczęliśmy się przedzierać po cichu przez krzaki i zarośla, aż nareszcie okazało się, że posłaniec zbłądził i nie był w stanie wskazać nam miejsca, na którym rozłożyła się karawana. Wobec tego musieliśmy się zatrzymać, a ja sam poszedłem naprzód na zwiady.

Zadanie to udało mi się wykonać, aczkolwiek nie bez trudu. Natrafiłem na polankę i ukrywając się na jej brzegu pod drzewami, przypatrywałem się obozowi Takalów, po czym wróciłem po swoich żołnierzy i umieściwszy ich tuż w krzakach, postanowiłem sobie zażartować z Szedida i jego towarzyszy. Okrążyłem tedy polankę i z drugiej strony zbliżyłem się do karawany. Takalowie poznali mnie od razu i pozrywali się, zdziwieni wielce.

— Senussi! Mudir z Dżarabub! — krzyczeli, pootwierawszy gęby.

Przystąpiłem do nich blisko i pozdrowiłem uprzejmie.

— Jak to? Ty tutaj? W okolicy Faszody? — pytał Szedid, robiąc bardzo ponurą minę. — Nie rozumiem, jak to się stać mogło. W jaki sposób znalazłeś się tutaj?

— Na wielbłądzie.

— A gdzie twój towarzysz, młody chatib Senussów?

— Jest tu, w pobliżu.

— Czego szukacie w Faszodzie? Wydaje mi się to wszystko podejrzane. Czemuście nam nie powiedzieli, że jedziecie do Faszody?

— Pytałeś nas tylko, skąd przybywamy, a nie dokąd jedziemy!

— Dawno przybyliście do tego lasu?

— O, myśmy tu byli jeszcze przedwczoraj. Obecnie mieszkamy u sangaka arnautów.

— U sangaka? Wiadomo ci, że go znam? Wysłałem właśnie posłańca... Nie wiesz, czy sangak jest w domu?

— Oho! Nie zobaczysz go już więcej.

— Dlaczego?

— Bo wyprowadził się już bardzo daleko, może do nieba, a może nawet do piekła... kto to wie...

— Allah! Sangak umarł...

— Tak, wczoraj.

— A co mu było?

— Chłosta!

— O Allah, o Mahomet, o proroku! Chcesz powiedzieć, że zginął pod razami?

— Nie inaczej.

— Sangak arnautów poniósł śmierć wskutek chłosty. To mogło stać się jedynie na rozkaz mudira, a ten przecież był jego protektorem i przyjacielem.

— Poprzedni tak, ale nie ten, który rządzi obecnie.

— Jak to? Czyżby obecnie był już inny mudir?

— Ali effendi el Kurdi został złożony z urzędu, bo popierał handel niewolnikami. Jego miejsce zajął inny, który również nosi tytuł Ali effendi, ale z dodatkiem Abu Hamsaj Miah, ponieważ tępi niewolnictwo i każdemu łapaczowi niewolników, którego w swe ręce dostanie, każe wyliczać pięćset.

— A niechże Allah weźmie nas pod swe skrzydła! Zawiodły nas zupełnie nadzieje. A posłaniec... dawno już wrócić powinien i obawiam się o niego... Skoro mudir go schwyta, dowie się od niego, po co przybyliśmy do Faszody.

— To nic nie szkodzi.

— Nic? A powiedziałeś właśnie, że każdy łowca niewolników otrzymuje pięćset, no, a myśmy tu przybyli w zamiarze sprzedania rekwika.

— Ba, ale wyście niewolników nie połapali, lecz są oni własnością waszego męka, który wysłał was z nimi do Faszody; a ty, jako dowódca, musisz wypełniać rozkazy swego pana. Zresztą prawa wasze pozwalają królowi na podobny handel i mudir nie może temu zaprzeczyć, a zatem nie ukarze ciebie, chyba że tylko zakaże ci sprzedawać ludzi.

— Allahowi dzięki! Słowa te napełniają otuchą me serce i teraz nie powinienem się obawiać o siebie tak jak na przykład ty o swoją osobę.

— Ja? O swoją osobę? Nie rozumiem...

— Nie jesteś tym, za którego się przedstawiasz. Dopiero bowiem, gdy się oddaliłeś, przyszedł mi na myśl pewne szczegóły twej mowy i oczywista zbudziło się we mnie podejrzenie, które z czasem przybrało cechy pewności, a mianowicie, że nie jesteś mudirem z Dżarabub. Obecnie wpadasz znowu w moje ręce, chcąc nie chcąc, i ja tym razem muszę uzyskać od ciebie potwierdzenie tej pewności. Jeżeli będziesz się wzbraniał, no, to znajdziemy dosyć środków by zmusić cię do tego.

— Ba, ale czy dla ciebie konieczną jest wiadomość kim właściwie jestem?

— Bardzo mi na tym zależy, bo z łatwowierności wygadałem się przed tobą z tajemnic, o których nikt nie powinien był się dowiedzieć. Skoro jednak byłbyś owym potępionym effendim...

— Hm... To prawda, ale niestety nie możemy już odmienić tego, co się już raz stało.

— Odmienić? — zapytał, przypatrując mi się badawczo z odcieniem lęku. — Co to ma znaczyć?

— No, że jestem właśnie owym „potępionym” effendim...

— I ty, psie, masz czelność przyznać się do tego przede mną?

— A dlaczegożby nie? Nie widzę w tym nic nadzwyczajnego. Mogę zresztą powiedzieć ci jeszcze więcej: po naszym oddaleniu się znikł z pośród was Bakkwara i pewien niewolnik, imieniem Hazid Sichar, nieprawdaż?

— No, tak.

— Otóż ja właśnie wykradłem wam tego niewolnika, gdyście spali, a Bakkwara zabrałem również, aby go przedstawić mudirowi do ukarania. Jakoż istotnie został zasądzony na pięćset kijów, z których pierwszą setkę właśnie otrzymał.

— Co za bezczelność!... — krzyczał Szedid. — Mówisz mi o tym wszystkim, jakby tu chodziło o drobnostkę! — I równocześnie wyciągnął ręce, jakby mnie chciał schwytać, ale je zaraz opuścił, tak był zmieszany i zdziwiony mą śmiałością i odwagą.

Ja zaś, nie zważając na to ciągnąłem dalej:

— To, czego się dowiedziałem od ciebie o sangaku, zgubiło go właśnie, bo na tej podstawie oskarżyłem go przed mudirem. Otrzymał tedy chłostę i padł nieżywy.

— A więc ty jesteś winien jego śmierci i jeszcze się tym przechwalasz? Toż to należy pomścić od razu, z miejsca! Ja cię zgmiotę na nic tą oto pięścią!

Teraz istotnie chciał się rzucić i ująć mnie, lecz uchyliłem się w tył i ostrzegłem go:

— Ani się waż tknąć mnie! Nad Nid en Nil pozornie tylko dałem ci się zwyciężyć; w rzeczywistości jednak ty byłbyś machnął nogami i padł jak długi.

— Teraz jest rzeczywistość i to zupełna, pokaż mi więc tę sztukę! — krzyknął, rzucając się ku mnie.

— Ben Nil, do mnie! — ozwałem się donośnie, odskakując w bok przed rozgniewanym Takalem, który nie zważając ani na te słowa, ani na to, co się działo, natarł na mnie gwałtownie, wzrokiem przeszywając mnie. Wprawdzie ludzie jego krzyczeli z całych sił, ale widocznie zdawało mu się, że idą mu na pomoc. Zresztą obróciłem się tak, abym ich miał za swymi plecami. Trwało to chwilę, gdy olbrzym zawadził nogą o jakiś korzeń, co wykorzystałem natychmiast, trącając go tak, że rozciągnął się na ziemi na całą długość. Powstać już nie mógł, bo wpakowałem mu się kolanami na piersi, a Ben Nil przybył właśnie z kilkoma asakerami i związał go.

Pokonany olbrzym drżał z oburzenia; oczy nabiegły mu krwią. Mnie jednego miał ciągle na myśli i krzyczał ochryple:

— Psie jakiś, śmiesz mnie wiązać? Śmierć sangaka pomści się na tobie dziesięciokrotnie!

— Oślepieś nagle, czy co? — odrzekłem mu. — Rozejrzyj się wokoło siebie, co się stało! Kto cię obroni? Może twoi ludzie?

Takalowie byli opanowani w zupełności. Nie zdradzali zresztą nawet ochoty do bronienia się,

złożyli broń bez oporu i teraz stali w zbitej grupie, którą żołnierze nasi otoczyli wokół, trzymając karabiny, gotowe do strzału.

— Tu, do mnie, żołnierze! Napadnięto na nas! Kłamca, zdrajca, oszust! Zdawało mi się, że jesteś sam tylko w lesie — krzyczał Szedid, widząc, co się stało.

— Był to bardzo niemądry krok z twojej strony, ale mniejsza o to. Pójdiesz ze mną do mudira w Faszodzie.

— Po co? Upewniłeś mnie sam przecież, że on mi nic zrobić nie może.

— Jeżeli idzie o sprzedaż tych oto niewolników, to oczywiście nic ci się nie stanie; ale istnieje pewien o wiele ważniejszy powód, dla którego sprawiłem wam tak miłą niespodziankę. Czy nie ma przypadkiem wśród was kogo, kto by posiadał przy sobie złoto w proszku z Dar Famaki?

— Złoto w proszku? Z Dar Famaki? Nie byliśmy nigdy w tym kraju — odparł Szedid z widocznym zakłopotaniem.

— O, można przecież posiadać tibr, nie widząc nigdy tych okolic... Na przykład drogą wymiany, kradzieży albo nawet rabunku można uzyskać szlachetny ten kruszec.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Nie rozumiem.

— Chciałem tylko przez to objawić wam, że wiadome mi jest wszystko. Pięciu z was posiada to złoto.

Szedid przeraził się, a po chwili wycedził przez zęby:

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— A ja tych pięciu natychmiast odnajdę wśród was. Na północ od Nid en Nil spotkaliście trzech dżelabów, jadących na osłach.

— Nie! — przeczył Szedid.

— Kłamiesz! Ty właśnie pozdrowiłeś ich i wypytywałeś, skąd przybywają, dokąd jadą, ażeby karawana się oddaliła. Potem z czterema towarzyszami zamordowałeś handlarzy, i właśnie za to jesteś obecnie aresztowany.

Zwróciłem się następnie do Takalów i rzekłem:

— Wasz dowódca oszukał was, i dlatego powinniście poświadczyć, że istotnie spotkaliście trzech dżelabów. Szedid dowiedział się od nich, że posiadają tibr, zląkomił się nań, a was wysłał naprzód, ażebyście nie byli świadkami jego czynu, no i nie zażądali podziału zdobyczy. Czyż więc postąpił z wami uczciwie? Czyż nie powinien był każdy z was otrzymać swoją część? Wy wiecie, którzy to z was zostali z Szedidem i powinniście mi ich wskazać. Ukarani będą tylko ci, którzy zawinili, a reszta może spokojnie powrócić do swojej ojczyzny. Jeżeli jednak będziecie milczeli, to przez to samo



staniecie się współwinnymi i będę zmuszony was zatrzymać.

Szedid próbował unicestwić wrażenie tych moich słów i krzyknął rozkazującym tonem:

— My nie jesteśmy zbrodniarzami ani rabusiami! Nie zamordowaliśmy żadnych handlarzy i nie mamy żadnego złota przy sobie. Moi ludzie są dzielnymi Takalami i nie poniżą się do tego stopnia, żeby mieli dawać odpowiedź niewiernemu.

Poprzednie moje słowa wywołały wśród Takalów poruszenie i pomruk i zdawało się, że niewinni oddzielili się od winnych. Ale wskutek rozkazu uspokoili się i nie odrzekli na moje pytanie. Dżelabi, którego uratowałem, był razem z nami na tej wyprawie i aż do tej chwili siedział cicho za krzakiem. Teraz jednak, słysząc, o co idzie, wyskoczył i rzekł, wskazując Szedida i czterech innych:

— Effendi, poznałem natychmiast wszystkich pięciu. Przetrzęsaliśmy kieszenie tych, których handlarz nam wskazał, lecz nie znaleźliśmy niczego. Rewizja jednak siodeł na wielbłądach dała pożądany skutek: każdy ze sprawców schował zdobycz tak, aby się drudzy o tym nie dowiedzieli. Dopiero teraz niewinni poczuli się tłumaczyć, a jeden z nich zapewniał:

— Allah świadkiem, effendi, że jesteśmy niewinni. Zażądaj od każdego przysięgi, do której jesteśmy gotowi. Nie wiemy bowiem nic o zajściu i oszukano nas jak to sam powiedziałaś.

— Wierzę i powtarzam, że nic się wam złego nie stanie. Wprawdzie muszę was wszystkich zabrać do mudira, ale on was nie uwięzi. Mógłby was ukarać tylko w tym wypadku, gdybyście stawiali mi opór.

Poszukiwałem zrabowanego mienia umyślnie tu, w lesie, bo później w Faszodzie, gdyby mudir dowiedział się o istnieniu złotego piasku, zabrałby go niezawodnie. A żal mi było biedaka handlarza. — Wziąłem go więc na bok, zanim jeszcze wyruszyliśmy w drogę, i rzekłem:

— Znasz rodziny pomordowanych swoich towarzyszków?

— Oczywiście, byli to moi krewni. Odnalazłeś tibr, effendi, i rad bym wiedzieć, co teraz będzie? Przypomnij sobie, że raczyłeś przyrzec mi łaskawie zwrot mego mienia, gdyby się ono znalazło.

— Pamiętam o tym. Uważam cię za człowieka uczciwego i sędzę, że nie uczynisz krzywdy rodzinom pomordowanych twoich towarzyszków. Dowiedz się od Ben Nila lub asakerów, gdzie są twoje osły, zabierz je i uciekaj, ażeby ci drugi raz nie odebrano zapracowanych pieniędzy.

Wziął ode mnie pięć paczek w ręce i patrząc to na nie, to na mnie, ozwał się ze łzami w oczach:

— Czy to tylko możliwe? Miałbyś istotnie tak ze mną postąpić? Nie zatrzymasz dla siebie nic?

— Nie mam ku temu prawa, a nawet gdybym je miał, nie śmiałbym zeń skorzystać.

— Nie, effendi, musisz wziąć chociażby jeden pakiet albo dwa... Jest wszystkich pięć.

— Powtarzam, że nie wezmę.

— W jakim więc sposób odwdzięczę ci się za twoją dobroć? Wiem, że mudir pogniewa się na ciebie.

— Niech się pogniewa; nie bardzo się tym przejmuję. Troszcz się raczej o to, aby ciebie nie spotkał i nie odebrał ci mienia.

— Spodziewam się, że mnie nie zobaczy więcej. Ucieknę co sił i nie obejrzę się, aż daleko bardzo poza Faszodą. Niech cię Allah błogosławi! Jesteś chrześcijaninem, effendi, i bodajby wszyscy muzułmanie byli takimi!

Ujął moją rękę i przycisnął ją do ust, a potem czmychnął, nie oglądając się wcale na nas. Oczywiście nie brałem mu tego wcale za złe z łatwo zrozumiałych powodów.

Powrót do miasta nie odbył się gładko, a to z tego powodu, że Szedid nie chciał w żaden sposób dać się zabrać. Mimo, żeśmy go skrępowali, opierał się z niezwykłą siłą, tak, że dopiero po bardzo wielu trudach udało się nam przywiązać go do ogona wielbłąda na długim powrozie, a Ben Nil i Hazid Sichar podpędzali go z tyłu batami. Jego czterej towarzysze, którzy byli współwinni, nie opierali się zbytnio, i dobrze zrobili. Reszta szła za nami dobrowolnie.

Osobliwy ten pochód wywołał w Faszodzie wielkie zbiegowisko. Starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety wybiegli na ulicę i gapili się, powiększając coraz bardziej tłum, który długo jeszcze stał przed bramami mudira, gdyśmy tam weszli.

Przypuszczenia moje ziściły się. Pierwsze pytanie mudira odnosiło się do złotego piasku. A gdy mu powiedziałem prawdę, wybuchnął takim gniewem, że wprost opamiętać się nie mógł. Obrzucił mnie przy tym tak „szlachetnymi” wyrazami, że wolę raczej ich nie powtarzać. A biegał podczas tego po pokoju i gestykułował, jak wariat; wreszcie stanął przede mną, jak kapral przed niezgrabnym rekrutem i krzyknął:

— Poczekaj! Wiem, co zrobię! Każę złapać tego handlarza! Z wszelką pewnością znajdą go tam, gdzie są wasze wielbłądy i jego osły. Każę go aresztować, zamknę go... dam pięćset... i muszę mieć złoto! muszę, rozumiesz!?

— Ba, a jeżeli już odjechał...

— To go będę ścigał. A jakże! Zaalarmuję całą załogę...

— A jeżeli i to na nic się nie przyda?

— Nie—przyda? A no, to wypędzę cię do stu diabłów! Zrozumiałeś?

— I uczyniwszy to, otrzymasz złoto?

— Niestety, nie! Ale pozostanie mi tylko... zemsta! Powiadam ci... zemsta!

Zgrzytnął zębami i mrucząc, jak Otello, rozejrzał się, po czym dodał, tupiąc nogami z niecierpliwości i gniewu:

— Mam, mam pięciu morderców. Biada im, jeżeli nie dostanę złota! Odpokutują to straszliwie!

Na szczęście, gniew jego zwrócił się ode mnie na kogo innego i zresztą swobodniej mógł teraz puścić wodze wściekłości, jaka pierś mu rozsadzała. Ze mną bądź co bądź musiał Się liczyć, ale tamci to co innego. Rozkazał więc wszystkich Takalów, winnych, czy niewinnych, strzec jak najbaczniej i rozesłał ludzi na wszystkie strony świata w celu wyszukania dżelabiego. Ja zaś udałem się do przeznaczonego dla mnie pokoju i nie pokazywałem się, aż wieczorem, gdy mnie znowu do siebie zawezwał. Do tej pory nie minął jego gniew, bo ozwał się do mnie z gorzkim wyrzutem:

— Przepadł pies! A z nim pieniądze, które powinny były wpłynąć do kasy rządowej. Nikt nie wie, gdzie się podział. Zabrał swoje osły i znikł jak kropla wody, która wpadła w morze. Niech go Allah zniszczy na nic! Ja tylko mogę się pocieszyć odszkodowaniem innego rodzaju. Wymknęło mi się z rąk złoto, ale za to dostaną więcej kijów Takalowie i to rozraduje me serce, uspokoi duszę. Właśnie posłałem po tych drabów i będę ich sądził, a ty musisz być przy tym obecny. Chodź!

Wyprowadził mnie na dziedziniec, gdzie zgromadzeni byli wszyscy Takalowie, otoczeni wojskiem. Ben Nil i Hazid Sichar byli tam również. W jednym rogu dziedzińca ustawiono ławę i umocowano ją pasami i sznurami. Obok piętrzył się stos prętów grubości palca, a koło nich siedział „Ojciec kijów”. Z całego tego urządzenia wywnioskowałem od razu, co będzie. Dodać należy, że przeważną część dziedzińca zajęła liczna i żądna sensacji publiczność.

Sąd odbył się bardzo prędko. Szedid i czterej jego towarzysze zostali zasądzeni na „pięćset” z dodatkiem, „aby ich nikt już nie zobaczył”. Resztę uwolniono, ale że należeli do tego samego szczepu, co mordercy, nie wyłączając nawet niewolników, zaaplikował im mudir po dziesięć kijów. Niewolnicy nie chcieli żadną miarą wracać do ojczyzny, gdzie niezawodnie sprzedano by ich powtórnie. Prosił mnie więc o radę i kazałem im zwrócić się do reisa effendiny, który pojawi się tu lada chwila. Potrzebni mu są ludzie do wyprawy na łowców niewolników, a że Takalowie odznaczają się walecznością, więc niezawodnie skorzysta ze sposobności i ich zwerbuje.

Po ukończeniu sędziowskiej czynności mudira zaczął wykonywać swój urząd „Ojciec kijów”. Brano Takalów po jednym na wspomnianą ławę i wyliczano im „po dziesięć”. Robota owa była wykonywana miarowo i mechanicznie, a Takalowie zachowywali się tak po bohatersku, że całe audytorium miało sposobność do wielkiej uciechy, a nawet sami delikwenci udawali dla ratowania „honoru”, że to wszystko fraszka. Skoro jednak przyszła kolej na morderców — oddaliłem się. Dziesięć patyków można od biedy uważać za żart, ale pięćset... to wielka różnica.

Reis effendina, wbrew oczekiwaniu, spóźnił się i przybył dopiero szóstego dnia mego pobytu w Faszodzie.

Jak przypuszczałem, zwerbował on Takalów, zaopatrzył okręt w żywność, i rozpoczęliśmy wyprawę, pewni, że uda się nam plan bardzo łatwo. Niestety! Ibn Asl miał czas przez sześć dni wyprzedzić nas do tego stopnia, że zadanie nasze natrafiło na bardzo wielkie trudności.



# Rozdział V

## Seribah Aliab

Jazda pod prąd na Białym Nilu aż po ujście rzeki Sabat jest o tyle ułatwiona, że regularnie każdego dnia o świcie wszczyna się wiatr północny i wieje silnie przez cały dzień, a dopiero wieczorem ustaje, by znowu o świcie rozpocząć „pracę” na nowo.

Poza ujściem wspomnianego dopływu wiatr ów jest zupełnie bezużyteczny, bo zaczynają się tu liczne zakręty Nilu, wobec czego musi się zmieniać i kierunek żeglugi. Wówczas płynie się pod żaglami tylko na przestrzeni równoległej z kierunkiem wiatru, a przez zakręty, trzeba okręt holować za pomocą łodzi wiosłowych i żerdzi do odbijania się, co jest dosyć uciążliwe i pochłania wiele czasu. Jeżeli brzeg jest o tyle suchy, że ludzie mogą przejść tamtędy, to w takim wypadku ciągną okręt na linie; lecz wśród brzegów bagnistych musi załoga przyprząc niejako łodzi do okrętu i wiosłując z niemałym natężeniem, holować okręt. Niestety, nawet i ten sposób nie da się zastosować na wypadek, gdy okręt napotka na przestrzeń, pokrytą dziką trzciną cukrową, zwaną omm sufah. Posługiwać się można w takiej okolicy tylko żerdziami. Nieraz trzeba całego dnia pracy, ażeby statek przeprowadzić przez ławicę tej rośliny. Potem ma się wolną przestrzeń rzeczną na pół godziny żeglugi i zaczyna się nowa ławica, większa jeszcze od poprzedniej i uciążliwsza. Przyznać więc trzeba, że to ogromnie wyczerpuje i nuży.

A do tego dodajmy różnorodność okolic nadbrzeżnych. Tu już nie ten sam Nil, który tam, poniżej, przecina piaszczystą suchą pustynię i zasila w wilgoć najbliższe okolice na tyle, że mogą tam rosnać nawet drzewa i całe lasy, ale pozbawione bagnisk. Tu rzeka rozpada się na liczne ramiona, większe lub mniejsze i rozprzestrzenia się niejako wśród rozległych obszarów bagnistych, po większej części zalesionych bujną roślinnością. Okolice te — to ojczyzna febry. Tu miliardy miliardów komarów, much i owadów wszelakich stanowią nieznośną plagę; tu tysiące krokodyłów tarza się w błocie i mule, a konie rzeczne uwijają się po wodzie w wielkiej liczbie; tu wreszcie nie brak wszelakiego gatunku mniejszych i większych zwierząt drapieżnych, zamieszkujących dziewicze prawie lasy i puszcze. Można dzień cały jechać i nie natrafić choćby na jedno „okno na świat”. Woda tu prawie nie do użycia. Upolowana zwierzyna cuchnie po dwu godzinach; zapasy żywności również psują się szybko.

Zdawałoby się, że niemożliwe jest, aby tu istniał człowiek, a jednak wiodą tu nędzny żywot całe ludy, zazwyczaj zupełnie jedne od drugich odosobnione, bądź też zmieszane ze sobą, nie tracąc mimo to swoich cech charakterystycznych.

Ludzie ci należą do rasy murzyńskiej rozmaitych odcieni. Tu właśnie łowcy niewolników znajdują wyborny teren do swoich polowań!...

Przybędzie tu biały, zaprzyjaźni się z tym lub owym szczepem murzyńskim, uzyska podstępem lub za marną cenę kawał ziemi i urządza sobie osadę, zwaną seribą. Posiada on oczywiście więcej wiadomości i inteligencji w stosunku do półdzikich czarnych, a ponadto posiada dobrą broń.

Początkowa jego przyjaźń i uprzejmość zamienia się szybko w surowość. Czarni boją się go, podczas gdy przedtem mieli do niego zaufanie i lubili go nawet.

Teraz ów biały sprowadza więcej białych towarzyszy, których sobie zwerbował. Są to zazwyczaj wyrzutki z wszystkich stron Wschodu. Przynoszą oni ze sobą strzelby i proch i nęcą czarnych lichymi wyrobami bawełnianymi, wódką, tytoniem, paciorkami i innymi tego rodzaju osobliwościami, za co otrzymują białą kość słoniową i czarnych ludzi.

Szejk szczepu zgadza się zazwyczaj chętnie na podobny proceder, jeżeli tylko łowcy przeznaczą dla niego część łupu. Zaczyna się wówczas rabunek. Biali członkowie bandy każą się nazywać asakerami, czyli żołnierzami. Piastują oni zwykle godności oficerów, podoficerów i zwykłych żołnierzy. Ryzykują jednak bardzo mało, a biorą lwią część zdobyczy. Czarni nie są żołnierzami i do nich należy najcięższa praca oraz obowiązki, połączone z największym niebezpieczeństwem jak na przykład w służbie wywiadowczej. Pierwsi też muszą iść do ataku i osłaniać sobą białych, a za to wszystko otrzymują ze zdobyczy zaledwie marne resztki albo nawet nic.

W wielkich przedsiębiorstwach myśliwskich nawet i czarni bywają żołnierzami, ale mimo to stanowisko ich wobec białych jest podrzędne. Właściciel seriby, względnie przedsiębiorca, płaci żołd w naturze, to znaczy — dzieli zdobycz pomiędzy uczestników, a więc daje im ludzi lub bydło. Czarni asakerzy otrzymują zatem starych lub chorowitych niewolników i krowy, z których żadnego nie mają pożytku.

Łowienie ludzi w ten sposób jest zbrodnią taką samą jak u nas kradzież i rabunek, tylko że na szeroko zakreślonej skali. Rabuś wzbogaca się cudzym mieniem, lecz prędzej lub później dostaje się do więzienia i nawet na hak. Łowca niewolników jest o tyle gorszy od zwykłych zbrodniarzy, że kradnie, a raczej rabuje ludzi, puszcza całe wsie z dymem lub je wyludnia i czyniąc na przykład ze stu wolnych ludzi niewolników, zabija prawie tyleż starców i dzieci, jako towar dla niego bezużyteczny...

Od naszego wyjazdu z Faszody upłynęły trzy tygodnie. Zatrzymaliśmy się u ujścia dopływu Roi do Bahr el Dżebel. Mimo rozlicznych przeciwności mogliśmy być zadowoleni z żeglugi. „Sokół” był bardzo dobrze zbudowany i pruł wybornie gładkie fale rzeki ze sprzyjającym wiatrem, a w miejscach mniej dogodnych załoga łatwo dawała sobie z nim radę. Wewnętrzne urządzenie nie należało również do najgorszych, a w każdym razie żaden z tutejszych statków nie mógł równać się z nim pod tym względem. Zapasy żywności zachowały się dobrze; ponadto łowiliśmy rybę i polowali na zwierzynę. Mieliśmy siatki przeciw moskitom dla każdego z żołnierzy stan zdrowotny całej załogi był tedy stosunkowo nie najgorszy. Niestety, na jeziorze No statek został przypadkowo uszkodzony i musieliśmy stracić całe trzy dni z tego powodu. Ponadto nie było wśród nas nikogo, kto by znał dokładnie okolicę. Rzeczywisty sternik „Sokoła” Abu en Nil i jego pomocnicy znali okolice rzeki tylko do jeziora No. Odtąd zaś wpłynęliśmy na Bahr el Dżebel, nie mając pojęcia o terenie.

Celem naszym było wyszukać Seribah Aliab — ale niełatwa to sprawa. Niektórzy z naszych ludzi chwalili się, że znają dokładnie okolicę, w której szukać jej należy; niestety, teraz dopiero okazało się, że nie mieli o tym pojęcia.

W miejscu, w którym stanęliśmy, rozpoczynała się okolica Aliab. Mieszkający tu Nuerowie

mianują się nawet Aliabami, ale seriby o tej nazwie nikt nie znał. Od czasu do czasu rozpytywaliśmy spotkanych murzynów, niestety, daremnie.

Załoga nasza składała się z właściwych marynarzy, dalej z wynajętych Takalów i ze stu żołnierzy pod dowództwem jednego kapitana. Nie obawialiśmy się więc Ibn Asla, bo nie rozporządzał on tyloma ludźmi.

Nil u ujścia rzeki Roi jest bardzo szeroki. Promienie słońca padały prawie prostopadle, a nigdzie nie było ani śladu drzew, pod którymi można by szukać schronienia. Wokoło rosła trzcina i tylko trzcina, jak okiem sięgnąć. Ludzie byli nader pomęczeni holowaniem i dlatego musieliśmy zarzucić kotwicę, by odpocząć i przeczekać największy skwar. Z nudów tedy wsiadłem do małej łódki i udałem się na polowanie. Zresztą w czasie całej podróży uważano mnie za specjalistę od dostarczania żywności dla całej załogi, bo prawie zawsze płynąłem na łódce przodem i polowałem.

Jak zwykle, tak i teraz Ben Nil towarzyszył mi podczas tej wycieczki. Wziąłem go chętnie ze sobą, bo dobry był z niego wioślarz, a ja natomiast mogłem mieć zawsze strzelbę w pogotowiu i oczywiście upolować, co się nawinęło. Czasem prosił mnie mały chłopak okrętowy, bym go brał ze sobą. Chłopak ów, jak wiadomo z poprzedniego mego opowiadania, był porwany wraz z siostrą ze szczepu Djangeh i sprowadzony do Kairu, gdzie musiał ciężko pracować w służbie u mokkadema, za co otrzymywał lichą strawę i baty. Wydobyłem go z tej niewoli i zawiodłem na okręt, gdzie aż dotąd się znajdował, pełniąc posługę w miarę swoich sił i zdolności, tak samo, jak i jego siostrzyczka. Obchodzono się tutaj z nimi po ludzku i reis effendina miał ich oddać rodzicom, ale nie było sposobności ku temu. Dzieci te lubiły mnie ogromnie, jako swego dobroczyńcę i okazywały mi swą wdzięczność i przywiązywanie.

Obecnie chłopak spał, mogłem więc zabrać tylko Ben Nila. Bahr el Dżebel dostarczył mi już bardzo wiele ptactwa i zwierzyny, postanowiłem tedy zapuścić się na rzekę Roi, ciekawym będąc, czy i tu szczęście będzie mi sprzyjać. Niestety, pora nie była odpowiednia. Panował wielki upał, i wszystko, co żyło, wpadło w odrętwienie. Co chwila musieliśmy zwilżać głowy i piersi i bładziliśmy po rzece z godzinę, wymijając kępy omm sufah, ale nie trafiło się nic. Ben Nil namawiał mnie do powrotu, lecz nie śpieszyłem się zbytnio, bo nieprzyjemnie mi było wracać z próżnymi rękoma. Stanąwszy w łódce, by lepiej rozejrzeć się wokoło, spostrzegłem powyżej jakiś przedmiot, który się poruszał w kierunku do nas. U góry był biały, a dołem czarny, i zdawało mi się że to będzie jakiś wielki ptak z rodziny pływaków z upierzoną na biało głową. Usiadłem szybko i rozkazałem Ben Nilowi, aby skierował łódź za kępę trzciny.

Po chwili byliśmy zupełnie ukryci. Przygotowałem sobie strzelbę tak, aby zaraz wypalić, skoro cel się pojawi. Jakoż wkrótce usłyszeliśmy plusk wody i — już miałem pocisnąć jęczyczek... Ale przebóg! Nie ptak to był, lecz człowiek... murzyn! Człowiek ten płynął w lekkim czółnie i był nagi. Miał tylko zwyczajem wschodnim zawój biały na głowie, dlatego też z oddalenia wziąłem go za ptaka.

— Murzyn! — szepnął Ben Nil. — Trzeba go zatrzymać!

— Dobrze, bo może się dowiemy od niego o seribie Aliab. Wyłynęliśmy więc na pełny prąd, lecz murzyn, zobaczywszy nas, przeląkł się bardzo i począł wiosłować ze wszystkich sił, chcąc

uciec. Pomknęliśmy za nim, ale bylibyśmy go może nie doścignęli, gdybym go nie nastraszył strzałem. To pomogło. Zatrzymał się, odłożył wiosła i czekał, aż do niego się zbliżymy. Twarz jego, bynajmniej nie brzydka, zdradzała nie tyle trwogę, ile zakłopotanie.

— Do którego szczepu należysz? — zapytałem go, gdyśmy się ku niemu zbliżyli.

— Bongo! — odpowiedział.

— Dokąd płyniesz?

— Do Faszody. Słyszałem, że tam potrzebni są żołnierze, więc chciałbym się zaciągnąć w ich szeregi.

— A tak, potrzebni są asakerzy i chętnie cię tam przyjmą.

— Naprawdę, panie? Znane ci jest to miasto?

— Przybywam właśnie stamtąd.

Chciał coś jeszcze powiedzieć, lecz się rozmyślił; wreszcie wykrztusił pytanie:

— Znasz sangaka arnautów?

— Bardzo dobrze.

— Czy jeszcze żyje?

— A dlaczegożby żyć nie miał?

— Bo... bo... bo...

Utknął. Wziąłem strzelbę do ręki i rzekłem do niego głosem podniesionym:

— Okłamujesz nas, nicponiu jakiś! Nie należysz do szczepu Bongo, gdyż miałbyś w takim razie skórę brunatną, a nie zupełnie czarną. Bongo zresztą nie tatuowałby czoła w taki sposób jak to u ciebie widzę. Muszę cię więc bliżej poznać i w tym celu udasz się ze mną w dół do mego okrętu. Uprzedzam cię, że gdybyś próbował ucieczki, zastrzelę cię natychmiast.

Murzyn, widząc, że opór na nic mu się nie przyda, chwycił wiosła i puścił czółno spokojnie we wskazanym kierunku, a my za nim w tym samym tempie. Niebawem dobiliśmy do „Sokoła” i czarny rad nierad musiał wejść z nami na pokład, będąc zupełnie pewnym siebie, a więc prawdopodobnie i niewinnym, choć zdradzał zakłopotanie.

Reis effendina zainteresował się żywo przybyszem i wypytawszy mnie o wszystko, rzekł:

— Ciekawy jestem, dlaczego on podaje się za Bongo, skoro rysy jego i barwa skóry wcale tego nie dowodzą.



— Ma ku temu powód i musimy to zbadać. Przypatrz się dobrze tatuowaniu na jego czole. W środku skośna kreska, od której biegną łukami kropkowane linie po obu stronach ku skroniom i do ciemienia. W ten sposób, jeśli się nie mylę, tatuują się tylko Dinkowie, ale nikt z ludzi Bongo. Człowiek ten skłamał przede mną, i domyślałam się, w jakim celu. Jego pytanie o sangaka arnautów budzi we mnie podejrzenie, że jest wysłany do Faszody w poselstwie...

— Czyżby od Ibn Asla? — przerwał żywo emir.

— Tak, od Ibn Asla, a może innego handlarza ludźmi.

— Jeśli tak, to ten człowiek jest dla nas znakomitą zdobyczą. Trzeba go lepiej wybadać.

Emir rozkazał murzynowi wyznać prawdę pod grozą bardzo dotkliwej kary, lecz dowiedział się tylko tyle, co ja poprzednio. Z kolei zrewidowano przybysza i jego łódź, lecz nie znaleziono niczego, chociaż nie pominięto nawet włosów na głowie, które były strzyżone krótko, na sposób, jak to czynią Dinkowie.

Wobec takiego wyniku sprawy nie wypadało inaczej, jak tylko puścić czarnego draba — niech sobie buja dalej po falach rzeki. Sytuacja to dosyć kłopotliwa, jeśli się wie, że huncwot coś ukrywa, a dowieść mu tego nie można. Emir kazał mu się oddalić, a ja tymczasem wziąłem go jeszcze na spytki, czy wiadomo mu, w której stronie znajduje się seriba Aliab.

— Wiem — odrzekł, rozglądając się badawczo po pokładzie.

To jego ciekawe rozejrzenie się utwierdziło mnie w przekonaniu, że wie on dobrze, na którym okręcie się znalazł i kogo ma przed sobą. Zapewne poinformował go ktoś z nas, a może nawet sam Ibn Asl i dlatego informacje murzyna przyjmowałem z zastrzeżeniem.

— Gdzież to jest? — zapytałem.

— Hen, w górze — w okolicy, którą nazywają Bahita. Będzie stąd cztery dni drogi.

— Który z ludów zamieszkuje tę okolicę?

— Odłam Szurów.

Wypowiedział to z pewnym wahaniem, co wskazywało, że ważył każde słowo nim je wygłosił. Nie posiadał też zdolności ukrywania wyrazu twarzy w takich okolicznościach — czyli nie umiał się maskować. Z twarzy jego bowiem można było bardzo łatwo wyczytać, że śmiał się w duchu z naszej łatwowierności. Oczywiście udałem, że tego nie zauważyłem, i pytałem dalej:

— Byłeś tam osobiście?

— No... taak... to jest... byłem. Odpowiedzią tą zdradził się zupełnie.

— W takim razie wiesz doskonale, co mówisz. Dowiedzieliśmy się od ciebie, że tam mieszkają Szurowie, gdy tymczasem inny zupełnie szczep rozsiadł się w tej okolicy, a mianowicie Tuiczowie.

— Tuiczowie? — powtórzył zmieszany. — Ci mieszkają gdzie indziej.

— Kłamstwo! Tuiczowie zajęli okolicę na prawym brzegu, Kyczowie zaś na lewym, a ziemia Szurów zaczyna się daleko na zachód. Co zaś do odległości, to powiadasz, że dostaniemy się tam za cztery dni i chcesz przez to zwieść nas, byśmy nadaremnie żeglowali do Ba—hity, dokąd nawet przy sprzyjającym wietrze dwudziestu czterech dni potrzeba. Widzisz więc, że dałeś się złapać niebacznie.

— Ja nie kłamię, effendi — uniewinniał się.

— Effendi? Znasz mnie zapewne, skoro tytułujesz mnie w ten sposób.

— No, ja tak nazywam każdego zamożnego podróżnika z rasy białej.

— A więc uważasz mnie za wielkiego i bogatego człowieka, a mimo to zaś zdaje ci się że mnie zdołasz okłamać. O, nie ptaszku, nie uda ci się to.

— Panie, przecież powiedziałem szczerą prawdę...

— We wszystkim, coś mówił, jedno jest tylko prawdą, a mianowicie to, że znasz seribę. Zależy ci jednak na tym, abyśmy jej nie znaleźli i dlatego wskazałeś nam mylną drogę. Ja jednak biorę za prawdę zupełnie coś przeciwnego: oto seriba nie leży nad Bahr el Džebel, lecz nad odpływem Roi, skąd właśnie przy wiosłowałeś. Musisz tedy powiedzieć, do kogo należy Seribah Aliab, boś tam był i wiesz wszystko.

— Ona należy do... do... — zająknął się — do jednego z białych, ale nazwisko jego wywietrzało mi z głowy.

— Powiedz raczej, że nie chcesz go wymenić, bo się boisz, abyśmy cię nie posądzili o znajomość z tym białym, który... który nazywa się Ibn Asl. Przypominasz sobie?

— Tak — potwierdził po długim wahaniu.

— Pięknie. Znasz tego człowieka, byłeś u niego. Należysz do Dinków, wśród których tam, nad Białym Nilem, werbował sobie niedawno nową bandę. Ciebie właśnie wysłał w poselstwie do sangaka arnautów w Faszodzie, ostrzegając cię, że możesz spotkać się z nami po drodze. W tym celu opisał ci obszernie nasz okręt, reisa effendinę i mnie i pouczył cię, jak masz mówić z nami na wypadek spotkania. Czy śmiesz zaprzeczyć temu wszystkiemu.

Słabo rozwinięty umysłowo człowiek nie mógł pojąć tego swoim rozumem, co dla kogo innego było zwykłym i prostym następstwem logicznego myślenia. Patrzył więc na mnie zdumiony i wreszcie spuścił wzrok ku ziemi.

— Odpowiadaj! — domagałem się natarczywie.

— Wcale tak nie jest, jak myślisz — zapewniał. — Jestem Bongo, zmierzałem do Faszody, aby się zaciągnąć w szeregi żołnierskie. Powiedziałem ci to przedtem i powtarzam raz jeszcze.

Upór ten byłby mnie może wreszcie zmylił, gdyby nie szczególniejszy przypadek. Ów chłopak Djangczyk, o którym dopiero co wspomniałem, zbudził się i wyszedł z siostrzyczką na pokład, a zobaczywszy murzyna, stanął jak skamieniały, wytrzeszczył oczy i następnie krzyknął nienaturalnym głosem:

— Agadi! Aba—charang!

Wyrazy te nie należały do mowy arabskiej, lecz do dialektu szczepu, z którego pochodziło rodzeństwo, i oznaczały: „Agadi, brat mego ojca”, a więc stryj. Zagadnięty nie zauważył przedtem dzieci, a teraz, usłyszawszy wymówione swe imię, zwrócił się do nich, porywając je w ramiona. Był do tego stopnia oszołomiony niespodzianką, że słowa wymówić nie mógł, a one tymczasem, wykrzykując z niesłychanej uciechy, obejmowały go za szyję. W końcu nie zdołał oprzeć się rozczuleniu, usiadł i począł rozmawiać z dziećmi bez przerwy, oczywiście w rodzinnym narzeczu, z czego mogliśmy zrozumieć ledwie niektóre wyrazy. Trwało to może z pół godziny. Nie przeszkadzaliśmy im zupełnie, czekając cierpliwie, aż skończy się ta osobliwie czuła scena. Wygadawszy się do woli, wstał i złożył przede mną głęboki ukłon, a z twarzy jego promieniała wielka radość.

— Przebacz mi, effendi — zaczął w języku arabskim — nie wiedziałem, że te dzieci znajdują się tutaj i co dla nich uczyniłeś. Jesteś dobrym, bardzo dobrym panem i szlachetnym człowiekiem, a nie takim, jak myślałem do tej chwili.

— Ach tak? Znałeś mnie więc przedtem?...

— Już podczas pierwszego spotkania tam na rzece wiedziałem, kto jesteś. Tu, na okręcie, utwierdziłem się w tym przekonaniu.

— Zatem domyślałem się trafnie, że osobę moją opisano ci z najdrobniejszymi szczegółami.

— Tak. Sam Ibn Asl to uczynił.

— A ty należysz do jego wojowników?

— Zgadłeś. On wynajął Dinków, a ja jestem ich wodzem.

— Jesteś wodzem, a użyto cię, jako posłańca do Faszody.

— Posłańca z listem do sangaka arnautów.

— Umiałeś bardzo dobrze schować ten list, skoro nie znaleźliśmy go przy tobie. Dawaj go tu!

— Effendi, dałem słowo honoru, że oddam go w ręce sangaka, a nie komu innemu.

— Wnioskuje z tego, że jesteś człowiekiem honoru. Ale Ibn Asl jest łotrem, który najprawdopodobniej chce cię porządnie okpić.

— Mnie okpić? A to w jaki sposób?

— Posłuchaj! Jesteś dowódcą wojowników ze szczepu Dinków i jako taki, byłeś Ibn Aslowi bardzo potrzebny, a mimo to wysłał cię, co świadczy, że nie ma on wcale szlachetnych zamiarów względem twoich ludzi. Czyżby pierwszy lepszy biały nie nadawał się do tego poselstwa? Ludzie twoi muszą być pozbawieni naczelnika, zrozumiałeś?

Zamyślił się chwilę, po czym rzekł:

— Ibn Asl zapewniał mnie, że jedynie z powodu wielkiego zaufania powierza mi to poselstwo. Zresztą nie może on nic złego wyrządzić moim ludziom, bo ich potrzebuje; bez nich nie zdobędzie rekwiku.'

— To prawda, z ich pomocą będzie łowił niewolników, ale potem, gdy już nie będą potrzebni? A gdyby tak, zamiast wypłacenia im żołdu, uczynił ich samych niewolnikami?

Przypuszczenie to przeraziło Murzyna. Myślał długo i nareszcie ozwał się z odcieniem rozpaczony w głosie:

— Czy naprawdę, effendi, mogłoby być aż tak źle?

— Po tym łotrze można się spodziewać rzeczy nawet najgorszych. I jakich to ludzi gości on u siebie? Zapytaj tych dzieci, które są twymi krewnymi.

— One mi wszystko opowiedziały. Uratowałeś je i wielu, bardzo wielu niewolników. Ty przewidujesz wszystko naprzód, bo twoje oczy umieją patrzeć w przyszłość i widzieć to, co się dopiero ma zdarzyć. A jeżeli i w tym wypadku nie mylisz się, to biada Ibn Aslowi! Gdybym tylko miał pewność, że się nie mylisz!

— Bardzo łatwo możesz się o tym dowiedzieć, gdyż tajemnica zawiera się w liście, który posiadasz. Pokaż go tu!

— Ale... ale...

Uczciwość nie pozwalała mu oddać mi w ręce powierzonego sobie listu i dlatego wahał się dłuższą chwilę, walczył ze sobą, aż wreszcie zwyciężyła w nim troska o własną skórę.

— Effendi — zdecydował się — człowiek musi być nie tylko uczciwy, ale i rozsądny. Jeżeli Ibn Asl żywi względem nas zbrodnicze zamiary, to nawet moja uczciwość nie powstrzyma go od tego. Dobrze rozumiem?

— Zupełnie dobrze i możesz dać nam ów list.

Byłem bardzo ciekawy ukrycia listu, gdyż, jak wiadomo, dokładna nasza rewizja spełzła na niczym.

— Pismo znajduje się w garnuszku, który leży na dnie mojej łódki — rzekł murzyn.

— Łódka była leciuchna, wciągnięto ją więc bez wielkich trudów na pokład. Na dnie jej

zauważaliśmy flaszkowaty garnuszek, a raczej słoik gliniany, którego otwór zalepiony był smołą. Rozbiliśmy naczynie i znaleźli rzeczne pismo, które emir chwycił szybko, by je odczytać — ale wzruszył ramionami, obejrzał je kilka razy, odwracając na różne strony, potrząsnął głową, i raz jeszcze wzruszywszy ramionami, zapytał mnie:

— Umiesz po persku, effendi?

— Tak, ale skądżeby Ibn Asl znał ten język? Zdaje mi się, że i sangak, do którego list wystosowany, nie umiał po persku. No, ale pokaz, zobaczymy.

Przyjrzałem się uważnie wierszom, pisany atramentem; nie było to jednak ani po persku, ani po arabsku. Mogłem, co prawda, odczytać poszczególne słowa, ale nie rozumiałem ich znaczenia. Dopiero po długich mozolach przyszła mi od głowy myśl, że Ibn Asl niezawodnie wpadł na jakiś szczególny pomysł i napisał list tak, aby, jeśli się dostanie w niewłaściwe ręce, nie był zrozumiany. Jak wiadomo, Arabowie piszą od prawej ku lewej ręce, spróbowałem więc czytać przeciwnie — i łamigłówkę rozwiązałem. Treść mówiła:

„Posyłam ci Agadiego, dowódcę moich Dinków. Powiedziałem mu, że wybieram się na łowy do Rolów, gdy tymczasem mój pochód skierowany jest przeciw Gokom, o czym nie powinien obecnie wiedzieć, gdyż Gokowie są pokrewni z Dinkami. Przyślij mi natychmiast z pięćdziesięciu albo i więcej asakerów, ale tylko białych, nie czarnych! Niech mnie oczekują w mojej seribie. Skoro powrócę z wyprawy, to przy ich pomocy rozbroję stu pięćdziesięciu Dinków i uczynię ich niewolnikami, bo w takim razie nie zapłacę im żołdu i jeszcze na nich dobrze zarobię. Usuwam umyślnie dowódcę, aby mnie bezpośrednio słuchali, i proszę cię, postaraj się o to, żeby nie powrócił już do mnie. Dowiedziałem się, że chrześcijański effendi był u ciebie i że nawet schwytałeś go i na mój okręt odwiozłeś, ale nam uciekł. Musieliśmy z tego powodu cofnąć się czym prędzej w głąb Sudanu. Spodziewam się, że ucieczka jego nie wyrządziła ci żadnej szkody. Znam cię dobrze; jesteś mądry. On nie ma pojęcia o seribie Aliab i oczywiście nie odnajdzie nas, choćby nie wiem jak szukał. A zresztą, gdyby go nawet kto powiadomił, to Dinka, który wiezie niniejsze pismo, wprowadzi go na mylną drogę. Jest o tym dobrze pouczony.”

Przeczytałem list głośno, a murzyn, wysłuchawszy treści, zapytał:

— Co to za Dinka, o którym tu mowa?

— Ty sam, Ibn Asl zalicza cię i twoich wojowników do Dinków. Czy masz istotnie pod swoimi rozkazami stu pięćdziesięciu ludzi?

— Tak. Mieliśmy urządzić wyprawę na Rolów.

— Słyszałeś jednak z listu, że pochód skierowany jest przeciw Gokom.

— Ależ to nasi pobratymcy; ja się na to nie zgodzę!

— Ba, ale ciebie tam już nie ma, i Ibn Asl popędzi twoich wojowników, dokąd mu się spodoba, a po powrocie zamieni ich w rekwik, zamiast wypłacić należny im żołd. Ty zaś słyszałeś przecież

wyraźnie, masz zginąć w Faszodzie, oczywiście, gdybyś tam dojechał.

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem. Murzyn, poganin, nie mógł pojąć zła, jakie zawisło nad jego głową. Przyszedłem mu więc z pomocą, opowiadając mu pokrótce wszystko o Ibn Aslu co wiedziałem i to wystarczyło, aby przekonać czarnego w jakie dostał się ręce.

— Effendi — zawołał — pozwól mi opuścić okręt! Wrócę natychmiast do seriby i ostrzegę swoich ludzi, a na opryszku zemszczę się sromotnie!

— Daj pokój! — ozwałem się, zatrzymując go, bo chciał już zabrać swoją łódkę. — Możesz odpłynąć, jeśli chcesz, bo jesteś wolny; ale radzę ci, zostań z nami. San nie dokazesz niczego i jeszcze narazisz się na śmierć.

— Ja zabiję Ibn Asla, a nie on mnie.

— Nie znasz go. Co ty wobec niego znaczysz? A zresztą nie zastaniesz go już w seribie.

— Prawda. Zamierzał natychmiast rozpocząć gazuah, ale ja go będę ścigał i dopytam się o drogę w seribie.

— Oho, nie łudź się. Gdybyś teraz tam się pojawił, ujęliby cię i zamordowali. Zostań raczej z nami, pod naszą opieką, i prowadź nas do seriby. Potem udamy się za nim w pościg, zabierzemy mu w niewolę wszystkich białych, i twoi pobratymcy będą uratowani.

— Masz słuszość, effendi. Zostanę, jeśli pozwolicie mi na to. Kto by to pomyślał? Przedstawiono nam was, jako największych wrogów szczepów murzyńskich i dlatego z przyjemnością podjąłem się zadania, mającego na celu wprowadzenie was w błąd. Aż oto wrogowie stają się nagle moimi przyjaciółmi, a przyjaciele wrogami! Słuchajcie więc; skłamałem, wskazując wam drogę w górę Bahr el Dzebel; powinniśmy żeglować w górę Rolu i ja wam wskażę seribę Aliab.

— Daleko to stąd?

— Pięć albo sześć dni żeglugi.

— Znasz dobrze położenie seriby?

— Doskonale. Znajduje się ona na prawym brzegu rzeki, a więc po lewej ręce od nas.

— Są tam góry?

— Okolica jest zupełnie równa i pokryta nieprzebytymi lasami. Seriba otoczona jest ze wszystkich stron gęstwiną, przez którą nie przedostanie się żaden człowiek. Ibn Asl, zakładając tam swe gniazdo, powycinał wiele drzew, i część ich jeszcze leży na ziemi; wyrosły już wśród nich krzaki i badyłe, co tworzy naturalne ogrodzenie wokoło, jakby wały lub parkan. A dalej, za wolną, niezbyt szeroką przestrzenią, roztacza się las.

— Z jednej zaś strony zapewne przypiera seriba do rzeki?

— Tak, ale i tu znajdują się belki i częstokoły, powbijane w ziemię. W jednym tylko miejscu jest dostęp, strzeżony dniem i nocą przez załogę.

— Toż to istna twierdza!

— O tak. Ibn Asl utrzymuje, że gdyby ją obiegiło stu ludzi, to do obrony jej wystarczy dziesięciu asakerów.

— Możliwe to, gdyby oblegający byli niezdarami. A jakie jest urządzenie wewnątrz?

— Seriba zbudowana jest na wielkiej czworokątnej przestrzeni, na której wznosi się dwadzieścia okrągłych tokulów, zbudowanych z mułu i trzciny. Jeden tokul zajmuje sam Ibn Asl, w dwu mieszczą się rozmaite zapasy, a w pozostałych rozlokowali się wojownicy.

— Zapewne i obecni goście Ibn Asla mieszkają w jednej z tych chat? Zauważyłeś ich?

— Owszem, przybyli razem z nami na okręcie z Faszody. Jest tam jeden biały, który się nazywa Abd el Barak...

— MokkaDEM Kadiriny, z którego rąk uwolniłem dzieci twego brata. Mów dalej!

— Drugi nazywa się muzabir; trzeci, gruby, jak beczka, jest Turkiem; ma przy sobie siostrę, której usługują dwie białe i dwie czarne dziewczyny.

— Wiesz, po co zabrał ją Turek ze sobą?

— Chce ją wydać za Ibn Asla.

— Wesele miało się odbyć w seribie.

— A wiem. Odbędzie się po jego powrocie z wyprawy.

— Wiesz, ilu ludzi poszło na tę wyprawę?

— Wszyscy, prócz Turka, który nie chciał się odłączyć od siostry; zostało też dziesięciu białych asakerów i wachmistrz, jako komendant. Ale, effendi, ja mogę wam to wszystko opowiedzieć po drodze; teraz szkoda czasu czekać dłużej. Wiatr właśnie się zrywa, sprzyjający żegludze.

— Masz słusność; czas już. Zaraz wyciągniemy kotwicę. I istotnie zaczęto się krzątać, przygotowując do odjazdu i niebawem „Sokół” pod pełnymi żaglami zawrócił z dotychczasowego kierunku w prawo przez fale rzeki Roi.

Nie była ona tak szeroka jak Bahr el Džebel, ale mogły po niej żeglować nawet większe okręty, niż nasz „Sokół”. Wspomniałem już, że w tych okolicach prawdziwą plagą dla żeglugi jest dzika trzcina. Spotykaliśmy i tu całe kępy i wyspy tej wodnej rośliny, a następnie zaczęły się po obu brzegach krzaki i zarośla, aż wreszcie wpłynęliśmy w wysoki nieprzejrany las. Tu nie było już omm sufah, a że noc była pogodna, mogliśmy żeglować przez całą noc.

W ciągu następnego dnia nie natrafiliśmy już trzcinę, a wiatr, jakby ujęty w wąską szczelinę między dwoma brzegami lasu, wiał doskonale. Dzięki tym sprzyjającym warunkom, dotarliśmy do celu już wieczorem czwartego dnia. Djangczyk oznajmił nam, że seriba znajduje się w odległości zaledwie godziny jazdy, wobec czego należało zarzucić kotwicę.

Nasunęło się teraz pytanie, co robić: Czy otwarcie na drugi dzień rano dobić do samej seriby? Myśl ta nie znalazła uznania, gdyż, wedle opisu Murzyna sądząc, wejście do seriby było dobrze obwarowane, i nawet śmiesznie mała garstka załogi mogła stawiać długo opór. Zresztą nie było pewności, czy nie zastalibyśmy tam Ibn Asla. A nużby zaniechał wyprawy z jakiegokolwiek powodu. Postanowiłem więc nadchodzącą noc wyzyskać na wywiad i emir zgodził się na to, a nawet byłby chętnie sam udał się ze mną, gdyby nie obowiązki komendanta, które go zmuszały do pozostania na okręcie.

Do kroków wywiadowczych potrzebni mi byli dwaj wyćwiczeni na wodzie ludzie, wybrałem więc Ben Nila i jego dziadka, a Djangczyk miał nam służyć, jako przewodnik. Odbiliśmy od okrętu około godziny dziewiątej wieczorem. Ben Nil z dziadkiem wiosłowali ja sterowałem, a Djangczyk przykucnął w łodzi i nie poruszał się nawet; widocznie przejmowało go do głębi przedsięwzięte zadanie. Niebo było pogodne i gwiazdy odbijały się w wodnej toni, mieliśmy więc dosyć łatwą żeglugę; zresztą za jakieś pół godziny powinien był wzejść księżyc.

Z początku płynęliśmy środkiem rzeki, lecz po upływie pół godziny skierowaliśmy się ku brzegowi, ocienionemu drzewami. Djangczyk zapewniał, że podczas jego bytności w seribie wejście nawet w nocy nie było strzeżone; ale obecnie, ze względu na szczupłość załogi, należało być przygotowanym i na to że spotkamy się z wartą. Przedsięwzięliśmy jak największe środki ostrożności, aby stojący na straży askari nie mógł nas zauważyć.

Księżyc już wzeszedł ale nie wychylił się jeszcze z poza wysokich drzew. Płynęliśmy blisko brzegu, na którym wznosiła się nieprzerwana, gęsta ściana lasu, jakby mur jakiś olbrzymi. Djangczyk objął teraz kierownictwo łodzi i rozkazywał szeptem, jak sterować.

— Tu znajduje się miszrah — oznajmił wreszcie murzyn; — trzeba przystanąć.

— Ale nie w samym miszrah, lecz nieco bliżej, koło jakiegoś drzewa — poprawiłem go.

Miszrah, jak wiadomo, jest miejscem wylądowania, i jeżeli żołnierz stał na warcie, to mógł nas zauważyć bardzo łatwo. Teraz dopiero spostrzegłem wyłom w ścianie lasu, szerokości około dwudziestu kroków. Prowadził on na brzeg w górę i zwężał się coraz bardziej, a kończył się barykadą z belek i częstokołami.

Tuż o parę kroków przed tym wychylał się ponad wodę pień grubego drzewa. Zawinąłem tam, aby przywiązać doń łódź. Djangczyk posunął się na sam dziób, aby przymocować linę, gdy wtem nagle łódź się zakołysała, i murzyn, straciwszy równowagę, wpadł do wody, wydawszy z siebie przeraźliwy okrzyk; wiedział bowiem, że w tym miejscu są krokodyle. W pierwszej chwili poszedł na dno, lecz wydobył się i Ben Nil chwycił go za rękę. Powyżej przeświecała ławica piasku czy mułu, i nagle stamtąd posunął się ku temu nam jakiś cień. Djangczyk zauważył to i krzyknął:



— Krokodyl!

— Puściłem ster i podążyłem na pomoc. Jeszcze chwila, a byłaby go bestia chwyciła. Wciągnęliśmy Murzyna do łodzi, która się chybotwała, jak łupina orzecha, i może by się nawet wywróciła, gdyby nie krokodyl, który uderzył ją paszczą z boku i przez to wprowadził w równowagę. Ben Nil zdzielił bestię wiosłem w głowę tak, że zniknęła natychmiast pod powierzchnią wody.

Ostatecznie udało się nam przymocować łódź do pnia. Siedzieliśmy cicho z jakie dziesięć minut, nasłuchując. Nie usłyszawszy nic, wywnioskowaliśmy, że nie zauważono krzyku Murzyna, wobec czego można już było wysiąść.

— Ja — szepnął Ben Nil. — Nie puszczę cię samego.

Wobec hałasu, jakiego narobiliśmy, bezpieczniej było oczywiście trzymać się razem. Wysiadłem więc w tym miejscu, gdzie las stykał się z wodą i miszrah. Miałem przy sobie tylko rewolwer i nóż; karabin pozostał na okręcie. Na stałym gruncie przykucnęliśmy, nasłuchując znowu dłuższą chwilę. Cisza panowała zupełna. Księżyc właśnie wychylił się z za wierzchołków drzew i oświecił całą przestrzeń miszrah. Nie spostrzegliśmy nic podejrzanego, pozostaliśmy więc, chcąc, udać się w górę i zobaczyć, w jaki sposób zamknięte było wejście do seriby. Był to rodzaj wysokiego parkanu z belek, zaopatrzony w ostrokoły.

— Tędy nie wejdziemy, effendi — szepnął do mnie Ben Nil — trzeba się wrócić.

— Ja też nie miałem zamiaru wdrzeć się do seriby — odrzekłem po cichu. — Muszę tylko zobaczyć, czy pale są wbite w ziemię. Ponieważ wejście to jest mocno obwarowane, należy wnioskować, że znajduje się gdzieś inne, dogodniejsze.

Pochyliłem się, by się przekonać, czy pale wbite są w ziemię, gdy wtem Ben Nil wydał z siebie krótki okrzyk. Obróciłem się, lecz w tej chwili pociemniało mi w oczach i — straciłem przytomność...

Odzyskawszy ją, spostrzegłem, że znajduję się wewnątrz chaty, obwiązany powrozami, jak mumia egipska. Na środku tokulu było rozpalone ognisko, z którego dym uchodził przez otwór, wybity w stropie. Obok mnie leżał Ben Nil, skrępowany tak samo, jak i ja. Zobaczywszy, że otwarłem oczy, rzekł:

— Allahowi dzięki... zbudziłeś się. A myślałem, że już po tobie.

Czułem ból głowy i szumiało mi w uszach, jakby gdzieś w pobliżu brzęczał rój pszczół. Spostrzegłem też, że jesteśmy w tym pomieszczeniu sami.

— Czy i ciebie tak uderzono, jak mnie? — zapytałem.

— Nie!

— Powiedz więc, jak się to wszystko stało, że znaleźliśmy się prawdopodobnie w tokule seriby.

— Niestety tak, chociaż nie miałeś tego zamiaru. No, ale wtargnęliśmy tu wcale nie z własnej woli. Zaledwie powiedziałeś do mnie, że nie chcesz wejść do seriby, chwycił mnie ktoś za gardło tak, że tylko mogłem wydać z siebie krótki okrzyk. Równocześnie jakiś człowiek uderzył ciebie wiośłem i padłeś na ziemię. Było może czterech lub pięciu drabów, którzy nas ujęli, mimo rozpaczliwego oporu z mej strony.

— Spodziewam się, że nasi towarzysze wiedzą już, co się stało.

— Dlatego właśnie tak głośno krzyknąłem, aby zwrócić ich uwagę na nasze pojmanie.

— Djangczyk zapewne uda się na okręt o pomoc. Mów dalej!

— Wspominałeś o tajemnym wejściu, effendi, i przypuszczenie było zupełnie trafne. Gdy nas powiązali powrozami odchylili krzak i odsłoniłi przez to otwór, przez który może wejść jeden człowiek, nieco skulony. Przez ten otwór właśnie wniesiono nas tutaj i jeszcze silniej skrupowano.

— Turek był przy tym obecny?

— Nie! Widziałem same obce twarze.

— A teraz radbym wiedzieć, co robili poza seribą ci ludzie, którzy nas schwytali. Przecież aż tylu nie stało na warcie.

— Z rozmowy ich wywnioskowałem, że przedsięwzięli połów ryb. Wiesz, jak się to w nocy robi? Zapala się światło na brzegu lub w łódce, aby zwabić ryby, i łowi się je, a raczej zakłuwają lancami. Żołnierze wyleźli byli właśnie wówczas z otworu, gdy Djangczyk krzyknął. Zaczaili się więc i potem schwytali nas. Czy sądzisz, że wydobędziemy się jeszcze i tym razem?

— Taką nadzieję mam zawsze, a więc i obecnie. Emir jest tutaj.

— A jeżeli zechcą zadać nam śmierć, zanim on przybędzie...

— Jest to zupełnie możliwe i kto wie... Dwa razy wymknęliśmy się już z rąk tych ludzi; teraz może zechcą skończyć z nami od razu, aby po raz trzeci nie żałować. Dziwne tylko, że zostawili nas tu samych, bez straży. Cicho! zdaje się, że ktoś idzie...

Istotnie po chwili odchyliła się mata, która stanowiła drzwi i wszedł, gruby Turek z wachmistrzem i kilkoma asakerami. Pierwszy z nich stanął przede mną, pogładził z zadowoleniem brodę i rzekł z wyrazem szyderstwa:

— A! jesteś znowu? Mam nadzieję, że wizyta twoja tym razem będzie nieco dłuższa, niż przedtem. A może masz zamiar i dziś umknąć natychmiast? Bo ty nigdy nie masz czasu; zawsze ci się śpieszy.

Nie odpowiedziałem na to. Grubas więc zwrócił się do kulawego wachmistrza:

— Patrz, oto jest pies chrześcijański, o którym ci opowiadałem. Przekłeta bestia ściga nas aż tutaj, ale na szczęście tu kończy mu się droga, która będzie w jego życiu ostatnią. Przysięgam na Allaha, że

nie wydostanie się już stąd nigdy; zginie razem ze swoim towarzyszem.

— Nie mam nic przeciwko temu — odrzekł wachmistrz.

— Jesteś tu władcą z ramienia Ibn Asla i muszę cię słuchać. Czy mamy ich natychmiast rozstrzelać?

— Nie, rozstrzelać to byłaby to zbyt szybka i lekka śmierć; oni powinni konać długo i ciężko, jak to od dawna już postanowiłem. Musimy ponadto wymyślić taki rodzaj śmierci, na jaką jeszcze nikt nigdy nie umarł. Co mówię... nie jeden, lecz wiele rodzajów śmierci, które równocześnie zastosujemy, by kara była w całym znaczeniu tego słowa okrutna i bezlitosna. Obecnie mamy noc i musimy zaczekać do dnia, abyśmy mogli przypatrywać się ich męczarniom, ich rozpacz i konaniu.

— Czy zostawimy ich tu do rana?

— Nie. Każ rzucić ich do dziura ed dżaza; niech tam leżą spokojnie. Uciec nie mogą i warty nawet nie potrzeba, a tymczasem będziemy łowili ryby w dalszym ciągu, bo zapasy się już skończyły. Czy łódź tych psów wzięta?

— Wzięta. Odwiązaliśmy ją od drzewa nad wodą i przyciągnęli do miszrah. Możemy jej użyć do połowu ryb.

— Doskonale! Co dwie łodzie, to nie jedna. Do każdej łodzi po czterech asakerów; ty będziesz na jednej, ja na drugiej, a dwu pozostałych żołnierzy zostawimy tu na warcie.

— Ja sędzę — odrzekł wachmistrz — że przydałaby się liczniejsza warta na wypadek, gdyby, oprócz tych dwu psów, przyszło tu jeszcze więcej! Mogli przybyć na okręcie reisa effendiny!

— Dobrze, żeś o tym wspomniał; wybadam jeńców natychmiast — rzekł Turek, a zwróciwszy się ku nam, kopnął mnie nogą i dobył nóż.

— Zapytam cię o niektóre rzeczy i jeżeli nie odpowiesz, utnę ci palec. Widzisz nóż? Bardzo ostry i w przeciągu niedługiego czasu możesz stracić wszystkie palce. Uważaj! Drwiłeś sobie ze mnie, uciekłeś z mego okrętu pod Faszodą teraz pokażę ci, że ja jestem panem twego życia i twoich palców. Przybyłeś tu sam?

Turek mówił to poważnie i bezpieczniej było odpowiadać. Ale to jeszcze nie powód, bym miał mówić prawdę. Szło tu o moje życie! Jedno tylko było mi niejasne. Łódź naszą zabrano, a o Abn en Nilu i Djangczyku nikt nie wspomniał; widocznie ukryli się gdzieś. Ale w jakim celu? Czy może, aby nas ratować? Takiego bohaterstwa niepodobna było oczekiwać od starego marynarza. Czyż nie lepiej było dla obu wrócić na okręt i sprowadzić emira na pomoc?

Turek popełnił wielkie głupstwo, mówiąc w naszej obecności o łowieniu ryb, bo odkrył w ten sposób przed nami karty. Łatwo bowiem mogła zdarzyć się nam sposobność skorzystania z tej okoliczności.

— Przybyłem tu tylko z Ben Nilem — odrzekłem na jego pytanie.

— Gdzież znajduje się reis effendina?

Udałem jakoby odpowiedź na to sprawiła mi wielkie zakłopotanie. Turek przykucnął więc nade mną, ujął mój wielki palec u lewej ręki, przyłożył do niego nóż i groził:

— Odpowiadaj, bo utnę!

— Reis effendina znajduje się na Bahr el Džebel w poszukiwaniu waszej seriby.

— A czemu ty z nim nie pojechałeś?

— Bo nie wierzyłem w to, aby wasza seriba tam się znajdowała.

— Kto wam kazał płynąć w górę Bahr el Džebel?

— Pewien Bongo, imieniem Agadi.

— Ach tak! Gdzieście go spotkali?

— W drodze do Faszody. Chciał tam zaciągnąć się do wojska.

— Zrewidowaliście go?

— Tak, ale nie znaleźliśmy nic podejrzanego.

— A o seribę pytaliście?

— Nie, bo nie znaleźliśmy jej nazwy. Dowiadaliśmy się tylko o Ibn Asla i powiedział nam, że go zna i że należy go szukać w Seribah Aliab, nad górnym Bahr el Džebel, w okolicy Bahita.

— I uwierzyliście?

— Reis effendina uwierzył, ale ja nie, i dlatego zabrawszy łódź z okrętu, powiosłowałem z Ben Nilem w górę Nilu.

— Słyszałem, że byłeś u sangaka Ibn Muleja. Jakże mu się powodzi?

— Bardzo dobrze. Tylko dzięki temu drabowi musiałem uciec z Faszody. Odkryłem mianowicie, że jest on w porozumieniu z łowcami niewolników; dlatego to schwycił mnie i odstawił na wasz okręt, skąd udało mi się zaraz uciec. Oskarżyłem go przez mudirem, ale ten miał do niego tak wielkie zaufanie, że nie mnie, lecz jemu uwierzył. Wyniosłem się więc czym prędzej z Faszody, rad, że uszedłem chłosty.

— Dobrze ci tak — zaśmiał się Turek. — Zresztą nie ciesz się zbytnio, żeś nie dostał kijów w Faszodzie, bo my ci ich tu nie pożalujemy. Powiadasz tedy, że ów Bongo pojechał do Faszody, aby zostać żołnierzem. Czy miał nadzieję przyjęcia?

— Owszem. Miał się zwrócić wprost do sangaka arnautów.

— Oj, głupcy, głupcy! Chcecie uchodzić za mądrych, a ubolewać trzeba nad waszą naiwnością. Wiesz ty, kim właściwie był ów Bongo?

— No?

Gruby Turek nadał się, jak ropucha, będąc pewnym, że wprowadzono nas w błąd tak łatwo. Odpowiedział więc z miną zarozumialca, jakby chciał się pochwalić swymi wiadomościami.

— To nie był Bongo, lecz dowódca Dinków, których wynajęliśmy w liczbie stu pięćdziesięciu.

— Do licha! — krzyknąłem, udając wielce zdziwionego.

— Tak, tak! — śmiał się Turek. — Daliście się wywieść w pole znakomicie. Posłaniec ten miał przy sobie bardzo ważny list. Gdybyście go szczegółowiej zrewidowali i list ten znaleźli mogłoby być z nami bardzo krucho. Tylko że nie macie tyle oleju w głowie, aby wpaść na takie rzeczy. Zresztą człowiek ten miał za zadanie wskazać wam drogę zupełnie mylną, to jest na Bahr el Dzebel.

— Mnie jednak nie zwiódł...

— No, ciebie nie, ale tamtych.

— Ja, mimo wszystko, znalazłem was.

— I co ci z tego? Obaj będziecie rano powieszni. Reis effendina musi żeglować cały miesiąc do Bahity, a spostrzegłszy pomyłkę, wróci się. Nim zdołałby nas tu odszukać, upłynęłoby ze dwa miesiące, a wówczas Ibn Asl, będąc już dawno na miejscu, zgotowałby mu takie przyjęcie, że...

— Allah! — krzyknąłem — Ten Dinka to wielki gałgan!

— O, przepraszam! Nie gałgan, lecz dzielny chwyt i dziesięć razy rozumniejszy, niż wy. Ty na przykład wpadłeś w ostateczny stopień zarozumiałości i głupoty, skoro ważyłeś się we dwu tylko zapuścić się aż tutaj. Nie minie cię więc zasłużona kara śmierci. Ale, ale! Powiedz no mi, w jaki to sposób udało ci się umknąć z okrętu koło Faszody.

— Miałem dwa noże przy sobie — skłamałem, aby nie wydać jego siostry. — Jednego z nich nie zdołano znaleźć przy mnie i ten właśnie posłużył mi do przecięcia więzów. Potem spuściliśmy się po łańcuchu kotwicznym na dół i wsiedli na znajdującą się tam łódkę.

— A! To tak było? No, dzisiaj zabezpieczymy was trochę lepiej. Przetrzęsnę jeszcze raz wasze kieszenie, a potem znajdziecie przyjemny odpoczynek w dżura el dżaza, skąd rano powiozą was prosto na tortury i na śmierć.

Słowa „dżura el dżaza” tłumaczą się jako „jama kary”. Askerzy, łapacze niewolników, składają się z ludzi bardzo niesfornych i nieokiełznanych i nie raz buntują się przeciw swoim panom. Stąd też potrzebne są więzienia w seribach. Tokule, sklecone bardzo prymitywnie, nie nadają się ku temu, bo

łatwo by je więźniowie roznieśli. Właściciele zatem urządzają głęboki dół o prostopadłych, gładkich ścianach i tam wtrącają przestępców. Ponieważ seriby znajdują się prawie zawsze nad samą rzeką, więc doły takie, wykopane w gliniastym gruncie, mają na dnie szlam, w którym nie brak wszelakiego rodzaju robactwa.

Wiadomość, że trzeba będzie spędzić noc w takiej oślizgłej wstrętnej jamie, nie była dla mnie zbyt pocieszającą.

Zrewidowano na raz jeszcze bardzo starannie i wyniesiono z tokulu nad jamę, do której spuszczone drabinę. Z długości jej wywnioskowałem, że jama była dosyć głęboka. Spuścili mnie w dół w ten sposób, że jeden postępował po drabinie naprzód i podtrzymywał mnie, a inni trzymali powróż na brzegu i wysuwali go z rąk w miarę, jak zsuwałem się po szczeblach.

— Dobrej nocy! — ozwał się Turek, gdy nas ulokowano na dnie jamy i wyciągnięto drabinę — Allah niech wam użyczy przyjemnych marzeń!

Słowa te słyszałem już raz z ust Turka, a mianowicie na pokładzie okrętu koło Faszody, skąd tak łatwo zdołaliśmy się wymknąć i zadrwić sobie z niego. Czy jednak i dziś będzie to możliwe? Gdyby sternik z Dinkiem powrócili na okręt, to można by się było spodziewać ratunku. Mimo to, nie traciłem jeszcze nadziei.

Łowcy niewolników oddalili się, i zapanowała cisza, przerywana tylko szmerem, spowodowanym przez rozmaite stworzenia, żyjące na dnie jamy. Nie zwracaliśmy jednak zbyt uwagi na to, bo myśli nasze były zaprzątnięte troską ważniejszą. Zdawało mi się, że na górze nie ma nikogo, ale po pewnym czasie krzyknął ktoś do nas:

— No, psy! Jakże wam się powodzi w towarzystwie jaszczurek i robactwa?

Nie odpowiedzieliśmy na to. Zbytecznym było stawiać strażnika koło nas, gdyż nawet, gdybyśmy nie byli powiązani, nie moglibyśmy się wydostać z jamy. Turek wygadał się wobec nas, że dziesięciu ludzi udaje się na połów ryb, a więc zostało w takim razie w seribie tylko dwu: jeden nad jamą, drugi zaś u wejścia. Po kilku minutach usłyszeliśmy znowu rozmowę na górze:

— Kto idzie? — pytał dozorujący nas askari.

Odpowiedziano mu, ale nie zrozumieliśmy nic.

— Schwytaście i tamtych? — pytał znowu żołnierz. — Ale... nie poznaję was. He, he, kto to? Stać, bo... Allah, Allah!

Dźwięk ostatnich jego słów przemienił się w charczenie. Słyszeliśmy tupot nóg i szamotanie się, wreszcie nastąpiła chwila ciszy i ozwał się ktoś półgłosem nad jamą:

— Jesteś tam w jamie, effendi?

— Tak. A kto tam?

— No, ja, Abu en Nil. Allahowi dzięki, żeśmy cię odnaleźli. Czy mój wnuk znajduje się razem z tobą?

— Owszem, ale nie pytaj wiele, tylko dawaj czym prędzej drabinę w dół i zleż rozciąć nam więzy.

— Zaraz, zaraz!

W parę sekund stary był już w jamie i przecinał powrozy.

— Dziwisz się, effendi, że ja tu? Myśmy...

— Schowaj swoje opowiadanie na potem, a teraz na górę! Dopiero na brzegu będę się czuł bezpiecznym.

Wylazłem po drabinie, a dziadek i wnuk za mną. Tuż niemal na samej krawędzi zobaczyłem leżącego na ziemi żołnierza, którego Agadi trzymał obydwoma rękoma za gardło.

— Nie żyje? — spytałem.

— Jeszcze wierzga nogami.

— Myśmy go nie chcieli od razu zabić, bo któżby nam udzielił rozmaitych wskazówek — dodał stary sternik.

— Bardzo mądrze zrobiłeś. Puść go, Agadi; zobaczymy, czy da się co z niego wydobyć.

Odsunąłem Agadiego, pochyliłem się nad żołnierzem, ująłem go za rękę, by nie uciekł, i zapytałem:

— Wiesz, kto jestem?

— Effendi — wykrztusił z wielką trudnością, przecierając oczy.

— Gdzie Murad Nassyr?

— Poszedł na ryby.

— A wachmistrz?

— Tak samo... i ośmiu asakerów.

— Brakuje więc jeszcze jednego.

— Ten strzeże wejścia. Jeżeli gwizdnę, to on przyjdzie.

— Czy nie wiesz, gdzie znajdują się rzeczy, które nam odebrano?

— W tokule Turka... tu zaraz, drugi na prawo.

— Siostra mieszka przy nim?

— Tak, razem z czterema służącymi.

— Czy ludzie, którzy poszli na ryby, mają ze sobą broń?

— Nie, tylko noże i lance do zakłuwania ryb. Karabiny i pistolety znajdują się w naszym tokule, gdzie mieszka nas dziesięciu. O, ten zaraz na brzegu!

Nie żądałem wcale od żołnierza, by mówił prawdę, był bowiem tak załęczniony, że nie mógł się zdobyć na kłamstwo. Odebrałem mu wszystko, co miał przy sobie, i poleciłem trzem moim towarzyszom schować się na chwilę pod jeden z tokulów, a następnie rozkazałem jeńcowi:

— No, gwizdź; niech przyjdzie twój kolega.

Spełnił rozkaz bez wahania. Tamten odpowiedział mu w taki sam sposób.

— A teraz marsz do jamy po drabinie! a prędko, bo cię strącę na łeb i gdybyś parę tylko wydobył z siebie, każę cię zabić.

Groźba poskutkowała znakomicie. Żołnierz wlaźł do jamy, a ja chciałem wyciągnąć drabinę, lecz nie było już czasu ku temu, bo zjawił się drugi askari. Przykucnąłem, aby nie poznał, że ma z kim innym do czynienia, nie zaś z towarzyszem.

Spostrzegłszy wystający z jamy koniec drabiny, zaniepokoił się i w tym kierunku patrząc, zapytał:

— Co się stało? Uciekli?

I nie czekając na odpowiedź, przysadził się do drabiny, by ją wyciągnąć, gdy wtem podskoczyłem ku niemu, chwyciłem za gardło i powaliłem na ziemię.

— Milcz, ani słowa, bo śmierć!

Zbyteczna jednak była ta przestroga, bo biedak jakby oniemiał ze strachu i ani się ruszył. Pofolgowałem mu na chwilę. Otworzył szeroko oczy i wykrztusił szeptem:

— Effendi, Allah!

Skinąłem na towarzyszków, którzy natychmiast rozbroili schwytanego, odebrawszy mu wszystko, co miał przy sobie, po czym spuścili go do jamy i wyciągnęli drabinę.

Teraz należało zrobić porządek z bronią asakerów. Udaliśmy się więc do wskazanego nam przedtem tokulu, szukał naprędce pochodnie, wbiegł z jedną do tokulu, gdzieśmy przedtem leżeli związani, i zapalił ją tam od ogniska. Oprócz tego, znaleźliśmy glinianą lampkę, napełnioną olejem palmowym, i zaopatrzeni w tego rodzaju światło, weszliśmy do tokulu żołnierskiego. Na okrągłej ścianie wisiało dziesięć karabinów i więcej niż tyle pistoletów. Zabraliśmy to wszystko i poszli do baraku Turka. Już z góry cieszyłem się, że zobaczę znowu jego siostrę. W pierwszym przedziale



tokulu było ciemno, ale przez matę wydostawało się światło z drugiego. Odsunąłem zasłonę i wszedłem. Damy były zajęte sporządzaniem kawy. Kumra, czyli Turkawka, siostra grubego Turka, siedziała na miękkim dywanie, a służące podkładały drzazgi pod gliniany kociołek, na którym umieszczony był drugi z gotującą się wodą. Fatma wrzucała właśnie do niego potłuczoną kawę. Pojawienie się moje wprawiło wszystkie w nieopisane zdumienie.

Jestem zazwyczaj bardzo grzecznie usposobiony dla dam, ale w tym wypadku odstąpiłem od swojej zasady, popełniając wielką niewłaściwość: po pierwsze — przestąpiłem próg haremu, co w żadnym wypadku nie jest dozwolone; po wtóre — uczyniłem to w czasie niestosownym wcale na wizyty; a po trzecie — byłem ubrany bynajmniej nie po wizytowemu. Ubranie moje, zniszczone prawie zupełnie w ciągu długiej podróży, było teraz oblepione gliną, bo, jak wiadomo, leżałem niedawno na dnie jamy. A do tego dodać uzbrojenie! Trzy strzelby na ramionach, cztery pistolety za pasem — istotny Rinaldo–Rinaldini, ulepiony z gliny, wcale nie salonowiec, nie dżentelmen. Mimo wszystko jednak, skrzyżowałem ręce na piersiach, skłoniłem się i rzekłem:

— Mahomet, prorok proroków, niechaj udzieli waszemu napojowi woni siódmego raj! Dusza moja pragnie pokrzepienia. Czy mogę prosić o jeden findżan\*?

— To effendi! — odzyskała pierwsza głos turkawka. — Przypominam sobie. Złapali cię i wsadzili do jamy.

— No, w tej chwili tam nie siedzę.

— Ja... chciałam... naprawdę... chciałam cię uwolnić, ale nie wiedziałam, w jaki sposób to uczynić...

— Dziękuję ci za dobre chęci, o, najlepsza i najszlachetniejsza z dziewic. Oddałaś mi już raz wielką, bardzo wielką przysługę; dzisiaj, nie chcąc cię trudzić po raz wtóry, nie liczyłem nawet na ciebie. Przybyłem tu prosić cię o co innego, a mianowicie, abyś nie opuszczała tego pokoju bez mego zezwolenia.

— Dlaczego?

— Bo łatwo mogłaby cię albo którą ze służących trafić kula.

— Allah, kula! Będziesz walczył? A z kim?

— Z wachmistrem i asakerami.

— A więc i z moim bratem?

— No, tak, jeżeli zechce się bronić.

— Allah! Jesteś silny i mężny, zwyciężysz go, a może nawet zabijesz...

— Nie. Z wdzięczności dla ciebie nie uczynię tego i oszczędzę go, ale tylko pod tym warunkiem, jeśli będziecie się zachowywały zupełnie spokojnie.

— Ależ będziemy, effendi, będziemy siedziały cichutko w kąciku; przyrzekam ci to, effendi.

Złożyła przede mną ręce, jak do modlitwy, zapominając, że nie ma zasłony na twarzy. Miałem więc drugi raz przyjemność zobaczyć naiwną, a raczej głupim wyrazem nacechowaną twarzyczką tej osobliwej wschodniej piękności.

Na ławie, przykrytej dywanem, a służący za otomanę, stała taka sama gliniana lampa, jaką już mieliśmy. Chwyciłem ją i wbiegłem do sąsiedniego pomieszczenia gdzie ku mojej radości znalazłem wszystko, co mnie i Ben Nilowi odebrano. Na ścianie wisały niezłe wcale karabiny, kilka pistoletów i dwie krzywe szable. Zabraliśmy to wszystko, po czym odniosłem damom lampę i wyszliśmy na dwór.

— No, dotychczas wszystko poszło dobrze — zauważył Ben Nil — pytanie tylko, co będzie dalej. Wszak mamy do zwalczenia dziesięciu asakerów.

— Najlepiej będzie, gdy ich wszystkich wystrzelamy — odrzekł jego dziadek. — Broni nam wystarczy.

— To środek ostateczny — odparłem. — Wiecie o tym, że ja niechętnie przelewam krew. Chodźmy teraz ku wyjściu zobaczyć, co robią ci ludzie.

Udaliśmy się w wymienionym kierunku, i stary pokazał mi tam krzak, który zakrywał tajemne wejście do seriby. Odsunąłem go i wyjrzałem na zewnątrz. Naprzeciw mnie w miszrah przytwierdzono do brzegu obie łodzie — tę z seriby i naszą, położono na nie jakieś deski czy belki i na tym rozniecono ogień, który buchał w górę jasnym płomieniem i oświetlał powierzchnię wody. Asakerzy stali w łodziach z długimi spisami, zaopatrzonymi na końcach w haczyki, i chwyтали zwabione światłem ryby.

— Teraz mamy trochę czasu — rzekłem — możecie więc opowiadać, w jaki sposób dostaliście się do wnętrza seriby. Oczywiście słyszeliście krzyk Ben Nila.

— Nie tylko to — odrzekł sternik — ale i widzieliśmy dokładnie, co się stało, bo świecił księżyc. Draby wnieśli was do lochu, a Agadi zaraz sobie przypomniał, że to jest wejście, tędy bowiem przechodził nieraz za swej bytności w seribie. Postanowiliśmy więc spróbować szczęścia. On szedł naprzód, ja za nim. Odsunęliśmy krzak, a wlaższy do lochu, dostaliśmy się na tamtą stronę, gdzie było tak jasno, że w obawie, by nas nie spostrzeżono, ukryliśmy się w cieniu drzewa i czekaliśmy, co będzie. Draby trzymali was dłuższą chwilę w baraku, a potem wynieśli, wsadzili do jamy i opuścili seribę, jednego tylko pozostawiając. Wówczas to Agadi wyskoczył z ukrycia, chwycił za gardło draba, który stał nad jamą, no, i reszty nie trzeba ci opowiadać, boś sam widział wszystko.

— Oddaliście mi obaj wielką przysługę i nie zapomnę wam tego.

Podczas tej rozmowy siedzieliśmy za krzakiem, a ja od czasu do czasu odchylałem lufą gałęzie, by zobaczyć, co robią rybacy. Turek nie miał widocznie wprawy w łowieniu ryb, więc po kilku nieudanych próbach wylazł z czółna i siadł na brzegu, przypatrując się robocie innych. Znudziło go to widocznie, bo wreszcie wstał i skierował się ku nam.

— Idzie tu — zauważył Ben Nil.

— Znakomicie. Biegnij szybko do wnętrza po powrozy. Są nad jamą a i w baraku asakerów wisi ich dosyć. Wy dwaj cofnijcie się w tył, żeby was nie zauważył.

Odłożyłem karabiny i pistolety, aby mi nie zawadzały, i wcisnąłem się w krzak tuż nad otworem. Turek bardzo się zasapał, bo ścieżka prowadziła pod górę. Odchylił gałęzie, wetknął naprzód głowę do dziury i wlaź. W tej chwili chwyciłem go za gardło obiema rękami i powaliłem na ziemię, jak kłodę. Krzyczeć nie mógł, bo trzymałem go za krtań. Wierzgał tylko nogami i rzucał rękoma, ale sternik i Ben Nil przytrzymali go, a ja szepnąłem mu do ucha:

— Piśnij tylko, a przebiję cię na wylot!

Grubas zrozumiał od razu, że to nie przelewki, więc ani drgnął, ani ustami nie poruszył. Ben Nil tymczasem przyniósł powrozy, którymi skrupowaliśmy jeńca w oka mgnieniu, po czym ostrzegłem go raz jeszcze:

— Pamiętaj, ani pary z ust, bo w przeciwnym razie pojedziesz natychmiast do dżehenny!

Ledwieśmy się z nim uporali, usłyszałem kroki. Dwu ludzi niosło wielki garnek, napełniony rybami. Trzeba było obezwładnić z kolei i tych obu, ale zupełnie po cichu. Sprawa jednak nie była łatwa, gdyż przez otwór musieli wchodzić pojedynczo i jeden z nich mógł uciec. Kazałem więc Ben Nilowi stanąć po tamtej stronie otworu i rzekłem po cichu:

— Wciągnij żołnierza do środka, skoro tylko uderzę go kolbą. Zaczaiłem się, trzymając kolbę gotową do uderzenia. Dwaj żołnierze zbliżyli się do otworu. Jeden z nich obrócił się tyłem, żeby mu lepiej było nieść naczynie przez loch. Uderzyłem go płaską stroną kolby w ciemność tak, że padł od razu, a Ben Nil odrzucił go na bok, a chwyciwszy ucho naczynia, pociągnął je, gdy wtym ukazała się głowa drugiego żołnierza. Pałałem go tak samo jak pierwszego i oszołomiłem. Powiązano ich obu i ułożono na ziemi obok Turka, który patrzył na to wszystko, ale nie miał odwagi ostrzec asakerów przed niebezpieczeństwem. Mieliśmy więc pięć osób, ale pozostało jeszcze do pokonania siedem.

— Dopisało nam szczęście — zauważył Ben Nil, ciągle jeszcze niepewny zakończenia całej tej sprawy.

— Zobaczmy niebawem — odrzekłem. — Kto by się tam o to z góry troszczył.

Na obu łodziach stały wielkie naczynia gliniane do składania złowionych ryb. Jedno odnieśli dwaj asakerzy i zostali pojmani; drugie napełniono niebawem i wachmistrz wydał rozkaz innym dwóm asakerom, by je odnieśli. Spotkał ich oczywiście ten sam los, co poprzednich. Byłem jednak ciekaw, co będą robili tamci na łodziach, bo nie mieli już w co składać ryb, więc wrzucali je po prostu do łodzi. Że jednak nie mogli się ustrzec od pogniecenia ich, poczęli spoglądać ku otworowi, zaniepokojeni trochę, dlaczego czterej asakerzy nie wracają z naczyniami. Stary zaś wachmistrz zgiął palec wskazujący w kształt haka, wsadził go do ust i gwizdnął tak głośno, aż echo rozległo się dokoła. Nie otrzymawszy jednak na to odpowiedzi, wystąpił na brzeg i zwrócił się ku otworowi, gdzie złowiliśmy go bez najmniejszego szmeru, bo sternik i Ben Nil nabyli już w tym pewnej wprawy

i razem z Agadim dopomagali mi tak dzielnie, że po prostu sprawność ich w wykonywaniu tego ciężkiego i niezwykłego zadania robiła mi niejaka przyjemność.

— Poszło tak gładko, jak na przykład zwijanie liny na pokładzie — cieszył się sternik. — Jeszcze czterech, a odpoczniemy nareszcie.

— Z tymi krótsza już robota — odrzekłem. — Stanę nad miszrah i zawołam, aby szybko wracali. Wy zaś ustawicie się z karabinami przed otworem i zagroziecie strzelaniem, jeśli się nie poddadzą dobrowolnie.

— A jeżeli uciekną na łodzie?...

— Już ja ich nie puszczę — odpowiedziałem i postąpiłem kilka kroków naprzód, gdzie ukryłem się w cieniu, a sternik niebawem wydał okrzyk, jakby o ratunek. Zbyteczne było powtórzenie go. Asakerzy powyskakiwali z łodzi i przebiegli obok mnie, dążąc ku otworowi. Pierwszy wlaźł do środka — drugi się cofnął, bo usłyszał krzyk tamtego. Byliby może zawrócili do ucieczki, gdybym im był nie zastąpił drogi, grożąc:

— Marsz do środka, bo kula w łeb!

— O nieba, to effendi! — krzyknął jeden z nich.

W tej chwili moi towarzysze zjawili się z przeciwległej strony z nastawionymi lufami, a ja zagroziłem z tej. Biedacy ni wiedzieli, co począć, Ben Nil zaś wołał:

— Tu inne będziemy teraz łowili ryby. Odrzućcie noże, dzielni wojownicy, i poddajcie się, bo będzie źle.

„Dzielni wojownicy” poddali się bez najmniejszego oporu. Powiązaliśmy ich wszystkich, nie wyłączając tamtych czterech ogłuszonych, którzy odzyskali już byli przytomność, a następnie poznosiliśmy ich do dżura el dżaza, pozostawiając na brzegu tylko wachmistrza i Turka.

— Muradzie Nassyr — rzekłem do tego ostatniego, dobywając noża — ile razy nie odpowiesz na moje pytanie, tyle braknie ci palców. Powtarzam twoje własne słowa i nie życzę sobie, abyś używał wykrętów. Więc odpowiadaj: czy dawno wyruszył stąd Ibn Asl?

— Przed pięcioma dniami — odrzekł spiesznie Murad — towarzyszy mu przeszło dwustu ludzi.

— Znasz tego Murzyna, który tu stoi?

— Znam.

— Dowiedz się więc, że nie byliśmy tak głupi, jak sądziłeś, i nie daliśmy się zbałamucić. List Ibn Asla czytaliśmy, a reis effendina znajduje się nie na Bahr el Dżebel, lecz zatrzymał okręt w takiej stąd odległości, że może nawet usłyszeć nasz głos, gdybyśmy nań zawołali. Umrzesz więc śmiercią iście męczeńską i tak okrutną, jak żaden jeszcze Turek dotąd nie umarł.

— Litości, effendi! Zmiłowania!

— Aaa!... Zmiłowania... proszę! A tyś je miał dla mnie? Co? Nie, ptaszku mój, życie za życie, krew za krew, mówka za mówkę. Obejdziemy się z tobą zupełnie tak samo, jak ty chciałeś postąpić ze mną.

— Ja bym się ulitował nad tobą... i przebaczył...

— Co? Przebaczył? A cóż ty masz mnie do przebaczenia, albo raczej, kto tu winien? Ty czy nie ty? Kilka razy triumfowałeś nade mną, wiedząc dobrze, że niesłusznie. Nie mściłem się też na tobie. No, ale teraz wyczerpała się moja cierpliwość; nie mam dla ciebie żadnych względów. Sam sobie zgotowałeś smutny koniec, który cię zaskoczy, skoro tylko nastanie dzień.

— Nie mów tak, effendi, nie groź; wszak jesteś chrześcijaninem — jęczał Turek.

— Albo psem chrześcijańskim... Ciągłe przecież nazywałeś mnie w ten sposób. Jakże więc możesz oczekiwać teraz jakiegokolwiek litości od psa?... Pies walczy ze swoim wrogiem i jeżeli jest silniejszy, to go rozrywa w kawałki. A wy powołujecie się „na naszą wiarę wówczas tylko, gdy krucho z wami. Nie mam z tobą więcej nic do gadania, jak tylko raz jeszcze powtarzam: koniec już z tobą.

— Effendi, miej wzgląd na moją siostrę. Co się z nią stanie, jeśli mnie zabijecie?

— Z pewnością czekać ją będzie lepszy los, niż ten, który jej przygotowałeś. Zamażpójście za Ibn Asla byłoby dla niej najstraszniejszą rzeczą, jaką tylko wyobrazić sobie można. Na dół z nim! — zawołałem do towarzyszków. — Dostyc już gawędy!

Spuszczono go po drabinie w dół, a następnie ten sam los spotkał kulawego wachmistrza. Nie z zemsty i nie z pychy obszedłem się z Turkiem tak surowo, lecz miałem jak najlepsze zamiary, a mianowicie nastraszyć go, by się zastanowił nad sobą przez te kilka godzin pobytu na dnie błotnistej jamy. Możliwe, że skruszy się jego serce bodaj pod wpływem trwogi przed bliską śmiercią.

— Effendi — zauważył nieśmiało Ben Nil — mamy ich wszystkich dwunastu w tej jamie, to prawda; ale dwaj z nich nie są związani i mogą tamtym dopomóc do wydobycia się. Jama wprawdzie głęboka, ale gdyby stanął jeden na drugim, to trzeci wydrapie się po nich na wolność.

— Bardzo słuszna uwaga, mój młodzieńcze. Jeden z nas będzie stał na warcie z nabitą bronią, i skoro który wystawi głowę, dostanie kulą.

Teraz należało zawiadomić o wszystkim emira. Kazałem więc sternikowi, jako wypróbowanemu na wodzie fachowcowi, by wsiadł do jednej z łódek i popłynął. Udałem się z nim aż do miszrah, pomogłem odwiązać łódkę, w którą wsiadłszy, odbił od brzegu i ruszył z prądem rzeki. Gdy już odpłynął na środek, wróciłem do seriby, by teraz odszukać Turkawkę. Przyjęła mnie, jak poprzednio, nie zasłoniwszy twarzy, i skarżyła się, że z troski o brata nie mogła nic wziąć do ust.

— Co z nim zrobiłeś? — pytała. — Gdzie on jest? Czemu nie przychodzi do domu? Walczyłeś z nim może?

— O, tak; ale powaliłem go tylko na ziemię i związałem. Jest teraz naszym jeńcem i śpi zapewne wygodnie w dziura el dżaza.

— Co? Mój brat w dziura el dżaza? Taki szlachetny, możny, godny człowiek?

— A mnie czy nie uważasz za szlachetnego człowieka?

— Cóż znowu? Jesteś bardzo zacny, szlachetny i dobry; szkoda tylko, żeś chrześcijanin; uważałabym cię za wyższego o wiele, niż mego brata.

— Mimo to, on mnie wtrącił do tej jamy i jeżeli mnie mogło to spotkać, to dla czegoż by i on nie spróbował tej przyjemności... Ja zresztą zawsze postępuję w myśl ustaw i prawa, a on jest zwykłym przestępcą...

— Jak to? Czyżby łowienie niewolników istotnie było zbrodnią?

— Największą pod słońcem.

— A ja o tym nie wiedziałam! Zawsze mi się zdawało, że biali mają prawo łapać czarnych i sprzedawać. Czy mego brata czeka kara?

— O, i jeszcze jaka!...

— Allah! przecież nie zasądzą go na śmierć... Wiem, że reis effendina, którego jesteś przyjacielem, postanowił ująć go. Czy ów potworny człowiek jest także tutaj?

— Przybędzie rano.

— Powiedz mi więc jedno tylko, tylko to jedno: opowiadano mi, że reis effendina zabija wszystkich łowców niewolników; czy to prawda?

— Tak. Sam nawet raz widziałem, jak kazał całą gromadę wystrzelać co do nogi.

— Straszna rzecz, okropna! Ale chyba mego brata nie każe rozstrzelać?

— Obawiam się bardzo, aby tego nie zechciał uczynić.

— Ależ ty musisz ratować mego brata, effendi! Słyszysz? Musisz! Wszak ja ciebie również uratowałam!

Podniosła złożone ręce, jak poprzednio i patrzyła pokornie, oczekując odpowiedzi.

— Tak. Uwolniłaś mnie raz z niewoli, a że nie jestem niewdzięcznikiem, wstawię się do reisa effendiny.

— W takim razie wszystko będzie dobrze. Dziękuję ci, effendi, i sporządzę sobie jeszcze raz

kawę, bo poprzedniej pić nie mogłam z wielkiej obawy i zmartwienia. Przypominam sobie, że prosiłeś mnie przedtem o jedną filiżankę.

— A tak, prosiłem, lecz nie raczyłaś mnie poczęstować...

— Przebacz, effendi; sama nie wiedziałam, co się ze mną wówczas działo, taki lęk ogarnął moją duszę. No, ale teraz już przeszło. Pozwolisz filiżankę?

— E, to mało. Przyrządź wielki garnek, bo mam dwu towarzyszy, którzy zarówno, jak i ja, radzi by doznać twej łaskawej gościnności. Niech nam Fatma wyniesie napój i filiżanki nad jamę.

— A czy teraz wolno nam już wychodzić z tego pokoju?

— Owszem, ale musisz mi przyrzec, że nie spróbujesz dopomóc bratu do ucieczki, bo reis effendina zastrzeliłby cię natychmiast.

Wyszedłem, myśląc o tej typowej córce Wschodu. Brata jej uwięziono. Jakie będą tego skutki, co z nim zrobią, nie obchodziło jej to wcale, byle go tylko nie stracili i byle smakowała jej kawa! I siostra tego niedołęznego stworzenia miała być moją żoną na wypadek, gdybym został łowcą niewolników!

Przysiadłem się do Ben Nila i Murzyna nad jamą w oczekiwaniu przyobiecane go napoju. Niebawem Fatma w towarzystwie dwu czarnych służących wyniosła gotującą się wodę i potłuczone ziarenka kawy oraz filiżanki, tytoń i fajki, będące własnością Turka. Sporządziłem sobie jedną filiżankę, a wypiwszy, zapaliłem fajkę, po czym przeszedłem się po seribie, oglądając ją szczegółowo. Teraz dopiero spostrzegłem, jak znakomicie urządzona była i jak obszerna ta kryjówka Ibn Asla. Część tylną przedzielały pale, wbite w ziemię. W miejscu tym, obecnie pustym, przechowywał Ibn Asl trzody, zrabowane podczas swych wypraw.

Reszta nocy zbiegła mi bardzo szybko. Nad ranem zerwał się niezbyt silny wiatr, jak każdego dnia o tej porze, emir więc mógł rozwinąć żagle i przyplłynąć na miejsce. Pozostawiłem Agadię na straży koło jamy i udałem się z Ben Nilem do tokulów, aby je w świetle dnia przeszukać. Były one w przeważnej części puste, gdyż mieszkańcy, jak wiadomo, wyruszyli na połów. Mimo to, znaleźliśmy dość zapasów broni i amunicji, a w jednym nawet były obfite zapasy rozmaitych rzeczy, między którymi nie brakło skrzyni z ubraniami. Bez trudności dobraliśmy z Ben Nilem dla siebie nowiutkie szaty. A było mi w nowym przebraniu tak do twarzy, że wzięła mnie chętka złożenia jeszcze raz wizyty Turkawce w celu podziękowania jej za kawę i fajki. Niestety, gdy przestąpiłem próg pierwszej pierzei, oświadczyła mi przez drzwi dość energicznie, że słońce jeszcze do pokoju jej nie zajrzało i przyjąć mnie nie może. Tak więc chętka pochwalenia się nowym strojem spełzła na niczym i jak niepyszny musiałem wrócić nad jamę, aby przed przybyciem emira rozmówić się raz jeszcze z Turkiem i wydobyć od niego niektóre potrzebne zeznania.

Spojrzałem w dół. Jeńcy istotnie uwolnili się z więzów, ale żaden się nie ważył próbować ucieczki. Leżeli spokojnie w szlamie, lecz bynajmniej nie spali. Murad Nassyr, zobaczywszy mnie, zawołał:

— Proszę cię o jedną łaskę, effendi! Pozwól mi wyjść na chwilę, żebyśmy się z tobą rozmówili.

— Nie wart jesteś tego, ale mimo to, zgadzam się.

Podaliśmy mu drabinę, po której wygramolił się na brzeg, był jednak tak przygnębiony, że na nogach utrzymać się nie zdołał. Usiadł więc na ziemi, oparł łokieć na kolanach i podparłszy w ten sposób głowę, jęknął ponuro:

— Zgotowałeś mi straszliwą godzinę!

— Ja? Przecież sam winien jesteś wszystkiemu. Nasze przysłowie powiada: „Jak sobie kto pościele, tak się wyśpi”.

— Nie uczyniłem jeszcze nic złego, za co można by mnie zasądzić na śmierć.

— Ja zaś nie tylko, że nie uczyniłem nic złego, ale starałem się zawsze o dobro bliźnich, a jednak wy od dawna postanowiliście zgubić mnie bez litości.

— O tym już i mowy nie ma, effendi. Przekonałem się, że popełniłem ogromne głupstwo, zapuszczając się tak daleko w głąb Sudanu. Jakże bym pragnął teraz powrócić do ojczyzny!

— Aby tam dalej handlować niewolnikami, bo to mniej niebezpieczne — przerwałem.

— Nie, effendi; są jeszcze inne towary do kupna i sprzedaży. Puść mnie, effendi, a przysięgnę ci na Allaha, na proroka i na zbawienie wszystkich moich przodków i potomków, że nigdy już nie kupię ani nie sprzedam jednego choćby niewolnika.

— Sądysz, że przyrzeczenie to wystarczy do odparcia nagromadzonych przeciw tobie zarzutów?

— A czego żądasz więcej?

— No, niczego więcej, krom twojej śmierci.

Ukrył twarz w dłoniach i umilkł na chwilę, po czym spojrzał na mnie i wykrztusił:

— Zastrzel mnie więc od razu, tu, na miejscu...

Twarz jego przybrała wyraz zmieniony nie do poznania.

Zdawało się, że przez te kilka godzin na dnie jamy postarzał się o lat kilkanaście i tego właśnie pragnąłem, to mnie cieszyło. Rzekłem więc z odcieniem pewnej łagodności:

— Przypomnij sobie chwile naszego spotkania w Kairze. Nie znałem cię jeszcze, a ty widziałeś mnie przedtem w Algierze i słyszałeś o mnie wiele. Opowiedziawszy mi to, zaprosiłeś mnie do siebie i wkrótce byliśmy przyjaciółmi, a nawet zgodziłem się odbyć razem z tobą podróż do Chartumu. Wtem dowiedziałem się przypadkowo, że jesteś handlarzem niewolników, co przedtem przemilczałeś przede mną. Czyniłeś mi wtedy bardzo korzystne propozycje, na które zgodzić się nie



mogłem i oczywiście musieliśmy się rozejść z tego powodu. Na tym właściwie powinna była skończyć się nasza znajomość. Ale ty, niestety, poprzysiągłeś mi zgubę i stałeś się moim śmiertelnym wrogiem. Była to postawa z twojej strony bardzo niewłaściwa. Wiedziałeś bowiem, że należę do ludzi, którzy idą śmiało i odważnie wytkniętą przez siebie drogą i, prócz Boga, przed nikim obawy nie czują, nie zważają na żadne przeszkody i zdradzieckie sidła wrogów. ‘Prosty rozsądek powinien był cię ostrzec, że niebezpiecznie jest zadzierać z takim jak ja człowiekiem, a jednak byłeś moim wrogiem, przegrywałeś na całej linii do tej pory, aż wreszcie zawiodła cię ostatnia karta i nie masz innego wyjścia jak tylko przeprosić mnie i przebłagać. Ja oczywiście nie zapominał nawet w tej chwili, żeś był kiedyś moim przyjacielem i radbym nawet pomocną podać ci rękę; niestety, nie leży to w sferze mojej możliwości. Życie twoje zawisło nie ode mnie, lecz od reisa effendiny. Jeżelibym miał wstawić się za tobą, to musiałbym o wiele więcej mieć ku temu danych, niż poprzednie twoje przyrzeczenia.

— Powiedz zatem, czego żadasz.

— Dowodu, pewnego, dowodu, że chcesz raz na zawsze porzucić handel ludźmi i że zrywasz z Ibn Aslem.

— Tylko tyle? — zapytał z odcieniem ulgi. — Ależ to bardzo łatwe. Przekonałem się, że człowiek ten był moim złym duchem. W jakim celu wymagał ode mnie, bym sprowadził siostrę, skoro nie żeni się z nią? Dlaczego zwabia mnie wciąż dalej i dalej w dzikie okolice? Po co to wszystko?

— Możesz być pewien, że w celu dla was obojga jak najgorszym.

— Z początku było postanowione, że wesele odbędzie się w Chartumie, potem w Faszodzie, a potem w seribie. Gdy zaś dostaliśmy się tutaj, on pędzi dalej, a nas zostawia tu na opiece ludzi, których nie znam i do których nie mam zaufania.

— Za mało jesteś przezorny i nie posiadasz daru poznawania ludzi, nie dziwne więc, że nie poznałeś się na tym diable w ludzkim ciele. Ja na twoim miejscu dawno bym już wiedział, co on zamierza, gdyż zdołałem go ocenić należycie już w Kairze i przewidzieć jego plany. Ale mniejsza o to. Weźmy na przykład choćby biednych Dinków. Zwerbował ich do swoich celów i obiecał sutą zapłatę, a kiedy przeleją w jego sprawie wiele krwi i poniosą liczne trudy, on zamiast zapłaty, sprzeda ich jako niewolników. Czyż to nie zdrada godna samego szatana? A człowiek taki czyż nie jest zdolny postąpić tak samo haniebnie z tobą? Przecież on obrabował Hazida Sichara i sprzedał go potem Murzynom. Ty jesteś również bogaty, a Ibn Asl stracił bardzo wiele, prawie wszystko i potrzebne mu są pieniądze. Po co on cię tedy włóczy za sobą tak daleko? Czy nie w tym właśnie celu, aby cię tu zamordować? Bo w takim razie nikt by się o tym nie dowiedział i nie pociągnął go do odpowiedzialności.

— Czyżby tak było? — zerwał się Turek, przerażony.

— Z wszelką pewnością tak.

— Ha, może masz słuszość, effendi. Im więcej rozważam to wszystko, tym silniej się przekonuję, że może to być prawdą.

— Wycofaj się więc; jeszcze nie późno. Wiesz, gdzie Ibn Asl znajduje się teraz?

— Podążył do Goków.

— Mógłbyś mi opisać drogę, którą obrał?

— Przysiągłem, że tego nikomu nie powiem.

— Ech, dotrzymanie podobnej przysięgi jest grzechem; wszak my chcemy pójść z pomocą zagrożonym Murzynom, a to byłoby możliwe tylko w tym razie, gdybyś nas objaśnił. Odmówisz tego, a będziesz miał na sumieniu mord setek ludzi. Żądam więc od ciebie otwartości, a to będzie dowodem, o którym wspomniałem ci przedtem i to rozstrzygnie o twoim losie. Przysięga twoja była krokiem lekkomyślnym i jeżeli jej dotrzymasz, popełnisz przez to samo zbrodnię.

— Pomyśl jednak, effendi, że przysiągłem na brodę proroka...

— Głupstwo! — przerwałem mu. — Wasz prorok nie miał żadnej brody.

— Co? Jak? Żadnej brody? Mahomet nie... nie miał... żaaa...

Słowa ugrzęzły mu w gardle. Patrzył na mnie prawie obłąkanymi oczyma i jakby skamieniał.

— No, no, uspokój się. Może miał...

— Mówisz „może”, a więc wątpisz, effendi, a tyś przecież człowiek bardzo uczony i jeżeli twierdzisz, że prorok nie miał... o niebiosia!...

— Powiedziałem bez głębszego zastanowienia...

— A zatem prorok miał brodę?

— Prawdopodobnie.

— Allahowi niech będzie cześć i dzięki! Nie widziałem jeszcze takiego człowieka, który by nie wierzył w istnienie brody proroka...

— Bo nikt jej nie widział, przynajmniej ci, którzy obecnie żyją na świecie, a w Koranie wcale wzmianki o żadnej brodzie nie ma. Jeżeli więc przysiągłeś na tak wątpliwą rzecz, to przysięga ta w moim pojęciu nie ma żadnej wartości. Złożyłeś ją zresztą bez głębokiego zastanowienia i możesz teraz śmiało ją odwołać, a wyjdzie to na dobre nie tylko wielu bliźnim, ale przede wszystkim tobie samemu.

— Pozwól, niech się namyślę, effendi.

— Ale prędko, bo reisa effendiny ledwie co nie widać.

— Ja właściwie dosyć ci już powiedziałem, uwiadamiając cię, że Ibn Asl udał się do Goków.

— Wiedziałem o tym i bez ciebie z jego listu do sangaka. Gokowie są zachodnim szczeniem Dinków i stykają się z Szurami; zajmują oni olbrzymi obszar i posiadają wiele bogatych wsi. Pochód Ibn Asla na wszelki wypadek skierowany jest jedynie na jedną ściśle określoną wieś i jeżeli pomoc nasza ma przynieść zagrożonym Murzynom ratunek, musimy wiedzieć, która to wieś. Ty z wszelką pewnością możesz nam ją wskazać, zarówno, jak i drogę którą Ibn Asl podążał.

— A tak, znam ją. Ibn Asl posiada dokładne mapy, które zaufani ludzie dla niego specjalnie wykonali. Byłem nawet przy tym jak Ibn Asl wykreślał sobie drogę na takiej mapie.

— Możesz więc śmiało udzielić nam potrzebnych wskazówek. A jeżeli odmówisz, to nie spodziewaj się niczego dobrego od reisa effendiny. Wróc do jamy. Powiedziałem wszystko, co ci miałem powiedzieć, a jak uczynisz to już twoja rzecz.

— Jeszcze jedno, effendi. Czy uważasz moją siostrę również za wroga?

— Nie. Pod tym względem możesz być zupełnie spokojny. Postaram się ją pocieszać, gdy ciebie straci. Zresztą, jak mi wiadomo, pije ona z apetytem kawę, a dopóki kobieta ma apetyt, nie trzeba się obawiać, aby niebo się zawaliło.

Turek wlaźł do jamy, po czym wyciągnąłem drabinę i, nałożywszy świeżą fajkę, wyszedłem nad miszrah, by popatrzeć na rzekę. Niebawem ukazał się „Sokół” pod pełnymi żaglami. Miło było spojrzeć na ten wspaniały okręt, szybkością niemal dorównujący parowcom. Na przodzie pokładu stał emir, który, zobaczywszy mnie, z daleka, krzyknął:

— Patrzcie! Oto stoi zdobywca świata i pali fajkę zwycięstwa!

„Sokół” zawinął szybko do miszrah; ściągnięto żagle, zarzucono kotwicę i mostek na brzeg, na którym stanął pierwszy reis effendina. Pochwycił on obie moje ręce i ścisnąwszy je silnie, uśmiechnął się:

— Czterech tylko, i to jeden z nich Murzyn, zdobyli wielką seribę! Doprawdy to nie do uwierzenia! Winszuję ci, effendi. Dawaj tu drabów, niech im głowy pościnać każe, nie wyłączając nawet Turka...

— Powoli, emirze; nie można tak gorączkowo...

— Co? — przerwał mi, ściągając gniewnie brwi. — Może znowu wystąpisz przede mną z jaką humanitarną prośbą? — I pogodna jego twarz przybrała nagle wyraz surowy, gdy mówił dalej: — Nic z tego nie będzie. Tego rodzaju łotrów nie mogę zostawiać przy życiu. Chodźmy do seriby!

Udaliśmy się ścieżką w górę i przeszli przez otwór do wnętrza. Oprowadziłem go tu wokół, by zobaczyć wszystko, i rzekłem w końcu:

— Siądźmy na tym pniu. Mam ci coś do powiedzenia.

— Dobrze, ale wprzód muszę zauważyć, że Ibn Asl nie lada kiep, skoro zdobył się na urządzenie takiej twierdzy. Przez te wały i ogrodzenia nikt by się nie przedostał, a jedynym miejscem do ataku

jest miszrah. Zastalęś tu dwunastu mężczyzn; mało to, co prawda, ale mogli oni, mając pod dostatkiem prochu i broni, oprzeć się całej naszej załodze.

— Znalazłem istotnie wielkie zapasy.

— Świadczy to, że Ibn Asl nie kłopot, raz jeszcze powtarzam. Ale natrafił na swego. Zdobyłeś seribę bez jednego wystrzału, bez żadnej straty w ludziach, podczas gdy ja byłbym przelał wiele krwi nadaremnie. Masz szczęście, effendi, wielkie szczęście i jeżeli zechciałoby cię kiedy opuścić, to biada ci. Miej się więc na baczności i na przyszłość bądź bardziej ostrożnym. No, a teraz mów, słucham.

Sternik opowiedział mu już wszystko szczegółowo, nie miałem więc wiele do dodania, a celem moim było głównie usposobić go dobrze dla Turka. W bardzo długiej mowie nagromadziłem wszystkie możliwe argumenty na jego korzyść, i ostatecznie emir dał się udobruchać, mówiąc, aczkolwiek z widoczną niechęcią:

— Jestem ci bardzo obowiązany, a że posiadasz wyjątkowe zdolności do uzasadniania swoich humanitarnych celów, więc bądź co bądź muszę przyznać ci pod jednym względem słusność, a mianowicie: Turek nie jest łowcą, lecz handlarzem niewolników. Ściśle jednak rzecz biorąc, handlarz nie jest wcale lepszy od łowców, bo ten ostatni, nie mając zbytu na towar, porzuciłby swój zawód i szukałby zajęcia na innym polu. No, ale jest jakaś różnica. A zresztą ma on przy sobie siostrę, która spadłaby nam na kark niepotrzebnie. Bo co byśmy zrobili z dziewczyną i jej czterema służącymi? Wrzucić je do rzeki, tylko dlatego, by się pozbyć ciężaru, tak czy owak nie wypada.

— Albo wiesz co! — wtrąciłem, korzystając z przelotnego humoru emira — zostawmy mu te cztery kobiety, a będzie dostatecznie ukarany.

— Oho, myślisz już, że go puszczę na wolność tak sobie, bez niczego? Nie, effendi; muszę nawet dodać, oczywiście ku twemu zmartwieniu, że wachmistrz razem z dziesięcioma asakerami musi zginąć bezwarunkowo.

— To od ciebie zależy, nie ode mnie.

— Nie wymykaj mi się z rąk podstępem. Muszę ich uśmiercić i na to żadnej nie ma rady. A co do wypuszczenia Turka na wolność, to sam przyznasz, że to nie byłby mądry postępek. Widzisz więc, że twoja prośba jest za nadto poważna.

— Przyznaję i tym więcej będę ci wdzięczny za jej spełnienie.

— Tylko nie mów mi o wdzięczności, bo z góry jestem przekonany, że przy najbliższej sposobności staniesz znowu w poprzek moim zamiarom. Gdyby chociaż ten Turek mówił prawdę.

— Mnie się tak zdaje.

— A jeśli wprowadzi nas w błąd?

— Przeciw temu mamy bardzo dobry środek: weźmiemy go z sobą, niech nas prowadzi, a gdy

okaże się, że kłamał, wówczas będziesz go miał w ręku.

— Ba, a co będzie z jego fraucymerem?

— Nic trudnego; zabierzesz piękną płeć na okręt i sprawa skończona. My przecież i tak będziemy musieli pozostawić je po drodze.

— Prawda. A zatem zgadzam się, lecz z góry się zastrzegam, że gdyby nas Turek oszukał...

— Da się to sprawdzić jeszcze tu, na miejscu. Agadi również chciał nas zwieść, a nie udało mu się. To samo z Turkiem. Przypominasz sobie, jak to sam jeden wziąłem do niewoli koło Bir Murat straż przednią Ibn Asla razem z dowódcą Malafem?

— Tak.

— Otóż ze wszystkiego, co im wówczas odebrałem jak broń, amunicję i inne rzeczy, zatrzymałem sobie tylko mapy, które mnie zaciekały. Były to bardzo udatne zdjęcia fotograficzne okolic, w których grasuje Ibn Asl, a więc nie brak tam i kraju Goków. Każę sobie przynieść z okrętu te papiery i będę mógł przekonać się od razu, czy Turek mówi prawdę.

— Znakomicie.

— Wnioskuje z tego, że gotów jesteś obejść się z nim łagodnie.

— No, to jeszcze zobaczymy. Przede wszystkim muszę go sam przesłuchać. Stosownie do wyniku badania postanowię, co będę uważał za stosowne. Chodźmy po owe mapy, bo zresztą czas wysadzić wojsko na ląd i zrobić porządek z jeńcami.

Udaliśmy się na okręt. Emir wydał odpowiednie rozkazy, i asakerzy weszli na ląd, zburzyli zapory i pale u wejścia do seriby i wmaszerowali do niej w ordynku. Tu rozstawiono ich naokoło jamy, tworząc w ten sposób silny kordon, a następnie spuszczone drabinę w dół, by jeńcy mogli wy leżeć na górę.

Na widok regularnego wojska wicekróla opadł biedaków taki lęk, że padli od razu na klęczki, dzwoniąc zębami z trwogi przed nieuniknioną śmiercią. Murad Nassyr stał na ich czele z oczyma spuszczone w dół. Siostra jego wyszła ze służącymi przed tokul i przypatrywała się ciekawie żołnierzom. Nie wiem, co ją więcej zajmowało: los brata, czy ci żołnierze? Zdawało mi się, że lada chwila podejdzie do emira i zapyta go, czy nie życzy sobie filiżanki kawy.

Reis effendina zmierzył wzrokiem Turka i zapytał:

— Wiesz kto jestem?

Zapytany uklonił się, o ile tylko mogła mu na to pozwolić jego otyłość.

— A ty jesteś zdziercą niewolników, któremu należałoby również zdjąć skórę żywcem; jesteś robakiem, którego nadeptać nie warto. Wyznaj otwarcie: zajmujesz się handlem niewolnikami?

— Dotychczas tak.

— Byłeś współnikiem Ibn Asla?

— Tak.

— Potwierdzeniem tym wydajesz na siebie wyrok śmierci.

— Emirze! ja nie wiedziałem, co to za człowiek! — jęknął przerażony Turek.

— Tym gorzej dla ciebie. Nie powinieneś być dać się wciągnąć nieznajomemu tak daleko w głąb Sudanu. Gdzie on jest obecnie?

— U Goków.

— Jaką obrał drogę?

— Zrazu okrętem do Agudy.

Murad Nassyr nie myślał już teraz ani o swej przysiędze ani o brodzie proroka. Drżał z trwogi, bo emir bynajmniej nie żartował i wziął się do niego z całą surowością. Odpowiedzi biedaka na krótkie, dosadne pytania emira następowały bez jakiegokolwiek namysłu, a ja zresztą baczyłem pilnie na rozłożone przed sobą mapy, czy podawane informacje są zgodne.

— Którą miejscowość upatrzył sobie Ibn Asl?

— Wagundę.

— Dlaczego właśnie Wagundę?

— Tamtejszy naczelnik ma wielkie zapasy kości słoniowej, a jego poddani posiadają bardzo liczne trzody. Odznaczają się oni ponadto silną budową ciała, więc są poszukiwani, jako niewolnicy.

— O, wy, psie syny! Kość słoniowa, trzody, murzyni! A niech was szejtan rozniesie na wszystkie wiatry! Czy w okolicy Wagundy są inne osady?

— Tuat, Agardu, Akoku, Foguda.

— Czy Ibn Asl obliczył, kiedy stanie u celu?

— Zastanawialiśmy się nad tym bardzo dokładnie i obliczyliśmy, że najdalej za dwadzieścia dni.

Emir spojrział na mnie pytającym wzrokiem, na co skinąłem głową, wyrażając tym, że zeznania Turka są zgodne z prawdą.

— No, gotów jestem uwierzyć ci — rzekł nieco łagodniej — bo nie zełgałeś niczego i to jedno cię ratuje. Effendi wstawił się za tobą i spróbuję uczynić zadość jego życzeniu. Znasz najprostszą i

najkrótszą drogę do Goków?

— Nie byłem tam, ale z mapy wiem, że trzeba naprzód płynąć pod prąd trzy dni do majeh Semkat. Tu należy okręt zostawić i udać się łodem na zachód, co znowu wyniesie co najmniej sześć dni.

— Potrafisz nas prowadzić drogą dogodną?

— Emirze, przecież powiedziałem już, że nie byłem tam nigdy.

Wtem zabrał głos jeden z asakerów:

— Bądź łaskaw, emirze, i pozwól mi mówić. Znam tę drogę. Ibn Asl wysłał tam Malafa w celu zrobienia mapy, a ja mu byłem do pomocy. Obeszliśmy całą okolicę, i Malaf odrysował na papierze każdy las, każdą rzekę lub potok.

Młody ten człowiek mógł nam być bardzo pożytecznym, dałem więc emirowi odpowiedni znak i on go zrozumiał. Chciał więc coś powiedzieć, gdy wtem uwagę jego zwróciło nieoczekiwane zdarzenie. Oto ktoś od zewnątrz usiłował wtargnąć do środka kordonu i niebawem istotnie omal nie zdębiałem. Była to Kumra. Twarz miała zasłoniętą, a w rękach niosła buchający parą garnek. Za nią pojawiły się: Fatma z tłuczoną kawą i dwie białe służące z porcelaną. Omal nie wybuchnąłem głośnym śmiechem, podczas gdy emir zmarszczył brwi i krzyknął do płci pięknej:

— Czego tu chcecie? Wasze miejsce w izbie, a nie wśród żołnierzy! Wynoście się!

To jednak nie zbiło z tropu dziewic. Postąpiły naprzód gęsiego aż do samego emira, a Turkawka ozwała się wdzięcznym głosikiem:

— My jesteśmy tutejsze, o władco, i prosimy cię, byś się pokrzepił po uciążliwej podróży. Kawa jest świeża i ciepła, jak usta dziewczyny, a tytoń posiada tak rozkoszną woń, jakiej w siódmym niebie nawet nie masz. Pij więc, pal i uwolnij mego brata, bo ja...

Nie mogła dalej mówić, gdyż zabołały ją już ręce od trzymania garnka, który począł się chwiać wreszcie i... katastrofa tuż, tuż. Dobroduszna Turkawka obchodziła się bez ochrony rąk, zwanej przez Arabki tandżaraja (rodzaj rękawiczek przy pracy kuchennej); naczynie na wodę było zbyt gorące dla jej delikatnych paluszków — cierpiała tedy biedaczka, ale, mimo najlepszej chęci, dalej wytrzymać było ponad wszelkie jej siły, i garnek wraz z wodą upadł na nogi emira, a Turkawka krzyknęła, uciekając:

— Cierpliwości, emirze! zaraz zagotuję wodę na nowo!...

Cztery jej towarzyszkę pokładły co miały w rękach na ziemię i pobiegly za nią. Przygryzłem wargi, by nie wybuchnąć śmiechem; Turek zbladł, jak kreda; emir zaś, patrząc to na swoje nogi, to na mnie, roześmiał się wesoło. Zawtórowałem mu oczywiście natychmiast, a za moim przykładem poszedł Ben Nil i sternik i niebawem śmiech udzielił się całemu gronu asakerów.

Rozumie się, że w tym wypadku musiała ucierpieć powaga emira. Wziął mnie więc pod ramię i wyszliśmy poza koło, gdzie przechadzaliśmy się przez pewien czas, rozmawiając to o tym, to o

owym. Rzecz naturalna, że wysiłałem się na wszystko, aby uspokoić emira, aż nareszcie dał się wciągnąć na powrót. Po chwili zabrzmiał jego donośny głos:

— W imieniu wicekróla, któremu niechaj Allah da tysiąc lat życia! Seriba ta była od lat widownią okrutnych zbrodni i dlatego musi dziś jeszcze zniknąć z powierzchni ziemi. Murad Nassyr złoży przysięgę, że od tej chwili nigdy nie będzie już zajmował się handlem niewolników, a następnie uda się razem z nami w pościg za łowcami. Jeżeli nic nie skłamał, daruję mu życie; w razie przeciwnym zaś dostanie kulę w łeb, a cały jego majątek skonfiskuję. Podczas jego nieobecności cały jego niswan\* znajdzie pomieszczenie na moim okręcie. Jedenastu żołnierzy zasłużyło na śmierć, ale effendi wyprosił ich od niej. Niechże Allah da im sposobność do poprawy. Mogą zostać przy nas. Jeśli się dobrze spiszą, daruję im wolność i do służby swojej zaciągnę. Gdyby jednak który z nich okazał chociażby jakąkolwiek skłonność do nieposłuszeństwa, każę wystrzelać wszystkich. Niechże więc uważa jeden na drugiego!

Na tym skończył emir, po czym zapanowała głęboka cisza przez chwilę, aż wreszcie przerwał ją wachmistrz:

— Niech Allah błogosławi reisowi effendinie teraz, zawsze i na wieki.

— Iljaum, dajman, abadi!\* — powtórzyli chórem asakerzy. Turek zbliżył się następnie do emira, uklonił się i złożył żadaną przysięgę, po czym podał rękę mnie, mówiąc:

— Tobie jedynie zawdzięczam życie i nie zapomnę tego nigdy! Przysięgam ci, że nie pożałujesz swego wstawiennictwa!

Wśród wszystkich zapanował bardzo wesoły nastrój, który wzmógł się jeszcze o tyle, że właśnie nadeszła Turkawka ze świeżym garnkiem, dymiącym parą. Na ten raz jednak, dla uniknięcia podobnej jak przedtem katastrofy, naciągnęła na delikatne rączki... pantofelki. Przypadek jest czasem dowcipnym nauczycielem życia.

Ledwie mi się udało odciągnąć ją z powrotem do tokulu. Tu, w przedziale swego brata, zastawiła dla mnie i emira wonny napój i tym razem obeszło się bez wypadku.

Po śniadaniu wszczął się w seribie wielki ruch. Z asakerami, którzy dopiero co byli naszymi nieprzyjaciółmi, obchodzono się życzliwie, pracowali więc razem z naszymi ochoczo. Wszystko, co tylko miało jakąkolwiek wartość, rozdano po części między żołnierzy, po części zaś przeniesiono na okręt, a kiedy już nie było nic do zabrania, podpalono seribę ze wszystkich stron. Czekaliśmy, dopóki się nie spaliła, w obawie, aby ogień nie przerzucił się na las. Podczas tego urządzono na pokładzie małą kajutę z żerdzi i mat dla fraucymeru Turka. Około południa z seriby pozostała tylko kupa popiołu.

Po krótkich przygotowaniach „Sokół” rozwinął żagle, jak ptak olbrzymi, i popłynęliśmy z wiatrem ku południowi...

---

\* Wielbłąd-wierzchowiec.



- \* Zielony step.
- \* Handlarz.
- \* Egipscy żołnierze.
- \* Turban, zawój na głowę.
- \* Lis
- \* Pluskwa.
- \* Tygodniowy drapieżca
- \* Polujący na lwy.
- \* Żołnierz egipski.
- \* Asaker jest liczbą mnogą od „askari”
- \* Acacia gummifera
- \* Piekarz
- \* Chlebek z prosa murzyńskiego.
- \* Boswellia papyrifera.
- \* Wyspa.
- \* Święta księga — biblia.
- \* Uniwersytet
- \* Pocieszyciel, Duch Święty
- \* Jezus, syn Maryi.
- \* Wieś.
- \* Wójt.
- \* Niewolnicy.
- \* Napiwek.
- \* Pozdrowienie.

- \* Wyprawa na połów niewolników.
- \* Ryba
- \* Tram, kil.
- \* Cella więzienna dla marynarzy.
- \* Strażnik portowy.
- \* Febryczne Bagno
- \* Balsamodendron.
- \* Droga Nieszczęścia.
- \* Gość
- \* Wszystkie te słowa oznaczają powitanie.
- \* Pułkownik.
- \* Liczba mnoga od wabur — parowiec.
- \* Ojciec pięciuset.
- \* Gabriel.
- \* Wyprawa na połów niewolników.
- \* Z arabskiego „melek” = król.
- \* Piekło
- \* Profesor uniwersytetu muzułmańskiego.
- \* Klątwa.
- \* Pokój do przyjęć.
- \* Ulubiona na Wschodzie potrawa z ryżu i baraniny.
- \* Filiżanka.
- \* Fraucymer
- \* Teraz, zawsze i na wieki.